

Dr inż. Jan Pająk

Wykuwanie okna na przyszłość - czyli autobiografia dra inż Jana Pająk

Autobiografia [17] Petone koło Wellington, Nowa Zelandia, 2020 rok,
ISBN 978-1-877458-46-0

Copyright © 2020 by dr inż. Jan Pająk.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Całość ani też żadna z części niniejszej autobiografii nie może zostać skopiowana, zreprodukowana, przesłana, lub upowszechniona w jakikolwiek sposób (np. komputerowy, elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny, nagrania telewizyjnego, itp.) bez uprzedniego otrzymania wyrażonej na piśmie zgody autora lub zgody osoby legalnie upoważnionej do działania w imieniu autora. Od uzyskiwania takiej pisemnej zgody na kopiowanie tej autobiografii zwolnieni są tylko ci którzy zechcą wykonać jedną jej kopię wyłącznie dla użytku własnego nastawionego na podnoszenie wiedzy i dotrzymają warunków że wykonanej kopii nie użyją dla jakiegokolwiek działalności zawodowej czy przynoszącej dochód, a także że skopiowaniu poddadzą cały wybrany tom lub całą autobiografię - włącznie ze stroną tytułową, streszczeniem, spisem treści i rysunków, wszystkimi rozdziałami, tablicami, rysunkami i załącznikami.

Niniejsza autobiografia [17] jest publikowana elektronicznie z Nowej Zelandii jako prywatne wydanie jej autora. Praca nad jej treścią (np. jej rozdziału X) rozpoczęta była w 1981 roku, zaś nad niniejszą jej wersją - 2019/3/7. Poniższa najnowsza jej aktualizacja przygotowana była 2020/6/19 - w przypadku dostępu do kilku jej egzemplarzy, rekomendowane jest zapoznanie się z egzemplarzem o najnowszej dacie aktualizacji.

Autobiografia [17] stanowi rodzaj naukowego raportu z przebiegu i wyników życia jej autora. Stąd prezentacja zawartych w niej materiałów posiadających wartość dowodową lub dokumentacyjną dokonana została według standardów przyjętych dla publikacji (raportów) naukowych. Szczególna uwaga autora skupiona była na wymogu odtwarzalności i możliwie najpełniejszego udokumentowania źródeł, tj. aby każdy naukowiec czy hobbysta pragnący zweryfikować lub pogłębić badania autora był w stanie dotrzeć do ich źródeł (jeśli nie noszą one poufnego charakteru), powtórzyć ich przebieg, oraz dojść do tych samych lub podobnych wyników.

Niniejsza autobiografia należy do opracowań prezentujących życie i naukowy dorobek jej autora. Jej celem jest zaprezentowanie w chronologicznej kolejności tło i sytuacje życiowe prowadzące do alternatywnych i nadal nieuznawanych przez oficjalną naukę odkryć i wynalazków autora - uprzednio pofragmentowanych i opisywanych w wielu jego stronach i publikacjach, a stąd trudnych do chronologicznego i całościowego ogarnięcia.

Wszelka korespondencja przeznaczona dla autora niniejszej autobiografii [17] powinna być kierowana na następujące jego emaille (ale typowo autor NIE odpowiada na listy i emaille):

Email: pajana@gmail.com lub pajakjan@gmail.com czy jpajak@poczta.wp.pl

SPIS TREŚCI całej autobiografii [17] dra inż. Jana Pająk (ISBN 978-1-877458-46-0)

Strona temat omawiany począwszy od danej strony:

1	Strona tytułowa
2	Spis treści całej autobiografii [17]
7	Wykaz ilustracji autobiografii [17]
8	Ogólne uwagi o autobiografii [17]
10	Podłoże historyczne autobiografii [17]
11	Wprowadzenie do autobiografii [17]

Część 1: POLSKI OKRES MOJEGO ŻYCIA (tj. pierwsze 36 lat: 1946 do 1982)

A-1 A. Wieś STAWCZYK początkowo zwany CEGIELNIA (1946-1953) (**MOJE DZIECIŃSTWO**)

A-3	A1. Moi rodzice
A-7	A2. Moje rodzeństwo i najbliższa rodzina
A-11	A3. Moje dzieciństwo
A-15	A4. Jak się żywiliśmy
A-17	A5. Najważniejsze wydarzenia które pamiętam z czasów dzieciństwa

B-1 B. Miasteczko MILICZ (1953-1957) (**SZKOŁA PODSTAWOWA nr 1 w MILICZU - klasy szkoły 1, 2 i 4**)

B-3	B1. Szkoła Podstawowa nr 1 w Miliczu
B-8	B2. Miniaturowe muzeum ze Szkoły Podstawowej Nr 1 w Miliczu
B10 Miliczu	B3. Najważniejsze wydarzenia z okresu mojej szkoły podstawowej w Miliczu
B-13	B4. Jak Zdzichu "wybierał miód" z gniazda os

C-1 C. Wieś WSZEWILKI (1955-1956) (**SZKOŁA PODSTAWOWA we WSZEWILKACH - 3 klasa**)

C-2	C1. Szkoła we Wszewilkach
-----	---------------------------

D-1 D. Wieś CIELCZA koło JAROCINA (1957-1958) (**SZKOŁA PODSTAWOWA w CIELCZY - 5 klasa**)

D-2	D1. Moje życie w Cielczy
D-6	D2. Korzenie naszej rodziny utkwione w Cielczy

E-1 E. Wieś STAWIEC koło MILICZA (1958-1960) (**SZKOŁA PODSTAWOWA w STAWCU - 6 i 7 klasa**)

E-4 liter "N" i "Z"	E1. Związek Napoleonistów - czyli użyteczność prostoty i symetryczności liter "N" i "Z"
E-6 "Pajana"	E2. Moja fascynacja tajemniczą magią słowa brzmiącego jak "Diana" czy "Pajana"

3

F-1 F. Miasteczko MILICZ (1960-1964) **(SZKOŁA ŚREDNIA: LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE w MILICZU)**

F-3 F1. Moja nauka w Liceum Ogólnokształcącym w Miliczu

F-9 F2. Życie moje i naszej rodziny w czasach chodzenia do Liceum

F-11 F3: Tajemnicza fascynacja rysami twarzy córki wice-dyrektora naszego liceum

G-1 G. Miasto WROCŁAW (1964-1970) **(6-letnie MAGISTERSKIE STUDIA na POLITECHNICE WROCŁAWSKIEJ)**

G-2 G1. Moje egzaminy wstępne na Politechnikę Wrocławską

G-4 G2. Moje życie jako student Politechniki Wrocławskiej

G-10 G3. Życie prywatne w okresie moich studiów

G-11 G4. Koniec moich studiów na Politechnice Wrocławskiej

H-1 H. Miasto WROCŁAW (1970-1982) **(WYKŁADANIE na pozycjach od Asystent Stażysta aż do Adiunkt) w ITBM (I-24) na POLITECHNICE WROCŁAWSKIEJ)**

H-2 H1. Moje zdrowie

H-3 H2. Moje życie zawodowe

H-9 H3. Działalność w ruchu "Solidarność" i moja ucieczka z Polski

Cześć 2: ŻYCIE NA EMIGRACJI (tj. lata 1982 do dziś)

I-1 I. Miasto CHRISTCHURCH, NOWA ZELANDIA (1982-1983) **(POST-DOCTORAL FELLOWSHIP na UNIVERSITY OF CANTERBURY)**

I-3 I1. Fellowship na University of Canterbury

J-1 J. Miasto INVERCARGILL, NOWA ZELANDIA (1983-1987) **(TUTOROWANIE (Tutor level T3) w SOUTHLAND COMMUNITY COLLEGE)**

J-4 J1. Moja praca na Southland Community College

J-7 J2. Moje życie w Invercargill

K-1 K. Miasto DUNEDIN, NOWA ZELANDIA (1988-1989 i 1990-1992) **(STARSZY WYKŁADOWCA (Senior Lecturer) na UNIWERSYTYET OTAGO, potem BEZROBOCIE)**

K-2 K1. Moje wrażenia z Dunedin

K-4 K2. Uniwersytet Otago w Dunedin

K-5 K3. Moje życie w Dunedin

K-9 K4. Doświadczenia wyniesione z bezzasiłkowego bezrobocia (1990-1992)

L-1 L. Miasto FAMAGUSTA, Północny CYPR (1992-1993) **(PROFESURA (Associate Professor) na EASTERN MEDITERRANEAN UNIVERSITY - EMU)**

L-2 L1. Moje życie na Cyprze

M-1 M. Miasto KUALA LUMPUR, MALEZJA (1993-1996) **(PROFESURA (Associate Professor) na UNIVERSITI MALAYA - UM)**

4

M-4	M1. Moje przybycie do Malezji
M-6	M2. Moje spostrzeżenia na temat Malezji
M-7	M3. Moja wizyta w Polsce i Włoszech
M-8	M4. W Malezji posunąłem do przodu następujące sprawy
M-9	M5. Moje próby postowania
M-10	M6. Sue
M-12	M7. Moje najciekawsze wrażenia z Malezji
M-14	M8. Folklor malajzyjski
M-15	M9. Przeżycia religijne
M-17	M10. Spotkania z nadprzyrodzonym

N-1 N. Miasto KUCHING, BORNEO, SARAWAK (1996-1998) **(PROFESURA (Associate Professor) na UNIVERSITI MALAYSIA SARAWAK - UNIMAS)**

N-2 N1. Moje życie w Kuching (zaraz po Kuala Lumpur)

N-4 N2. Tzw. "Kryzys Azjatycki" i mój powrót do Nowej Zelandii

O-1 O. Miasteczko TIMARU, NOWA ZELANDIA (1999-2000) **(TUTORING (Tutor) na AORAKI POLYTECHNIC w Timaru)**

O-2 O1. Moje zatrudnienie w Timaru

O-3 O2. Moje życie w Timaru

P-1 P. Miasteczko PETONE, NOWA ZELANDIA (2001-2005 i 2005-2007) **(AKADEMIK (Academic staff member) w WELLINGTON INSTITUTE OF TECHNOLOGY (WELTEC), poczym drugie bezzasiłkowe BEZROBOCIE)**

P-3 P1. "Seismograf Zhang Henga"

Q-1 Q. Miasto SUWON, Południowa KOREA (2007) **(PROFESURA (Full Professor) na AJOU UNIVERSITY)**

Q-2 Q1. Moje życie w Korei

R-1 R. Miasteczko PETONE, NOWA ZELANDIA (2008-teraz) **(BEZZASIŁKOWE BEZROBOCIE (2008-2011 i 2011 do dziś) oraz EMERYTURA)**

R-2 R1. Stan Nowej Zelandii jaki zastałem po powrocie z Korei

R-3 R2. Wrażenia po powrocie do Nowej Zelandii na bezrobocie i to bez prawa do zasiłku dla bezrobotnych

R-5 R3. Eksploatacja nowozelandzkich staruszków i ich psychologiczne torturowanie zapowiedziami podwyższania wieku nabycia prawa do otrzymywania emerytury

R-8 R4. Przeróżające odkrycie, że Nowa Zelandia z roku 2009 stała się podobna do Polski z roku 1980

R-9 R5. Wysiłki aby stopniowo zamienić Nową Zelandię w państwo typu "nany"

R-10 R6. Nowozelandzkie tzw. "prawo przeciw-klapsowe" jako przykład zupełnego nieliczenia się rządu z opinią obywateli

R-13 R7. Uprzywilejowywanie niektórych, czyli wychowywanie sobie klasy "równiejszych wśród równych"

R-14 R8. Eskalowanie biurokracji

R-15 R9. Czy był to już koniec mojego zawodowo aktywnego życia?

R-16	R10. Moja emerytura
R-17	R11. Zakup mieszkania "spółdzielczego" w Petone, NZ
R-19	R12. Życie we własnym mieszkaniu spółdzielczym ("company share")

Część 3: PODSUMOWANIE, UOGÓLNIENIE i WNIOSKI z MOJEGO ŻYCIA

S-1 S. PODSUMOWANIE, UOGÓLNIENIE i WNIOSKI MOJEGO ŻYCIA, oraz EWOLUCJA MOICH POGLĄDÓW I

S-2 S1. Moralna esencja mojego życia - czyli ustalenie że "każde moralnie poprawne działanie musi wspinać się pod górę pola moralnego czyli iść wzdłuż linii największego intelektualnego oporu intelektualnego"

T-1 T. TRWAŁE TRENDY W MOIM ŻYCIU

T-2 T1. Życie na walizkach - ciągłe utraty pracy i częste zmiany miejsca pobytu

T-4 T2. Nieustające zmiany miejsca zamieszkania

T-6 T3. Moje liczne przypadki "ocierania się o śmierć"

T-9 T4. Przypadki kiedy w życiu stykałem się z interwencjami nadprzyrodzonego

T-10 T5. Cuda zachodzące w moim otoczeniu

U-1 U. TEMATY O ROZCIĄGŁOŚCI ŻYCIA

U-2 U1. Tabela Cykliczności

U-3 U2. Wynalazki przyszłościowych urządzeń napędowych i łączności

U-4 U3. UFO

U-5 U4. Metody działania Boga

U-6 U5. Inne wieloletnie tematy i przedmioty mojego zainteresowania

V-1 V. EWOLUCJA MOICH POGLĄDÓW I PODSUMOWANIE ŻYCIA

W-1 W. MOJE OBSERWACJE I UWAGI FILOZOFICZNE

W-2 W1. Rozważania o prawdzie

W-3 W2. Rozważania o naturze ludzkiej

W-5 W3. Wpływ otoczenia na ludzi

W-6 W4. Szef a nasze życie zawodowe

W-7 W5. Ludzkie poglądy i filozofia codziennego życia

W-8 W6. Upadające kraje

W-9 W7. Stan dobrobytu poszczególnych krajów

W-10 W8. Nauka, technika, itp., a edukacja i naukowcy

W-14 W9. Różnice międzyludzkie i inne kontrowersje

W-15 W10. Inne filozoficzne ustalenia

X-1 X. MOJE DRZEWO GENEALOGICZNE

X-3 X1. Mój prywatny system oznaczania pokrewieństwa (jaki ja sam opracowałem dla potrzeb niniejszej genealogii), oraz symbole jakie używam w opisach tego rozdziału

6

X-5	X1.1. Przeliczanie zapisu pokrewieństwa
X-6	X2. Moi przodkowie "po mieczu" (tj. z męskiej linii Pająk)
X-8	X3.. Życiorysy mojej linii genealogicznej "po mieczu"
X-19	X4 Moja geneaologia "po kądzieli"
X-20	X5. Życiorysy mojej linii geanologicznej "po kądzieli"
X-20	X5.1. Życiorysy rodziny Kubiak – tj. mojej babci "po kądzieli"
X-22	X5.2. Życiorysy rodziny Dzieciątko – tj. mojego dziadka "po kądzieli"
X-30	X5.2.1. Wyniki historycznych badań rodziny Ludwika Dzieciątko (1826 do 1890) - tj. mojego prapradziadka [XM000] "po kądzieli"
X-32	X6. Geneaologia rodzin będących pochodnymi rodziców moich rodziców (tj. pochodnymi od dziadków Jana Pająk)
X-33	X6.1. Rodziny pochodne od Józefa Pająk (tj. mojego dziadka po mieczu)
X-36	X6.2. Rodziny pochodne od rodziców Marii Pająk z domu Sternal (tj. mojej babci po mieczu)
X-37	X6.3. Rodziny pochodne od rodziców Edwarda Dzieciątko (tj. mojego dziadka po kądzieli)
X-38	X6.4. Rodziny pochodne od rodziców Katarzyny Dzieciątko z domu Kubiak (tj. mojej babci po kądzieli)
X-39	X6.4.1. Spokrewniona rodzina Gosków
X-41	X6.4.2. Spokrewniona rodzina Wojcieszaków
X-44	X6.4.3. Spokrewniona rodzina Skibickich
X-45	X7. Inne rodziny pospokrewniane z naszą poprzez małżeństwa (z którymi jednak ja, tj. [X], NIE dzielę wspólnych genów)
X-46	X8. Standard życiorysu, czyli informacje które dobrze byłoby zawierać w życiorysach

Y-1	Y. UWAGI KOŃCOWE I PODSUMOWANIE
Y-2	Y1. Podsumowanie

Z-1	Z. ZAŁĄCZNIKI
Z-1	Załącznik Z1: CHRONOLOGICZNY WYKAZ MOICH MONOGRAFII wraz z OPISEM ICH ZAWARTOŚCI
Z-4	Załącznik Z2: Ilość i treść innych moich publikacji
Z-5	Załącznik Z3: Cytowania opinii czytelników moich opracowań
Z-13	Załącznik Z4: Bilet na Księżyc
Z-14	Przykład biletu na księżyc dla Andrzeja Olszewskiego i Małgorzaty Olszewskiej
Z-15	Przykład biletu na księżyc dla Danieli Giordano

Wykaz ilustracji:

Strona	Zdjęcie	Co zdjęcie przedstawia
A-2	Fot. A:	Zdjęcie z wesela Gosków z Jankowa koło Milicza z 1947 roku pokazujące autora tej autobiografii [17] w wieku około 1 roku
A-5	Fot. A1:	Zdjęcie mojego ojca Wincentego Pająk
A-10	Fot. A2	Zdjęcie matki autora i jego siostry Ireny, wykonane przy zamku w Malborku w 1956 roku przy okazji odwiedzania na stałe mieszkającego tam mojego brata Czesława.
B-12	Fot. B3:	Zdjęcie autora tej autobiografii wykonane z okazji jego pierwszej komunii świętej
J-3	Fot. J:	Zdjęcie grupowe moich kolegów zawodowych na Southland Community College
X-7	Fot. X2:	Zdjęcie Józefa Pająk (1873/3/14 do 1936/4/17) - tj. mojego dziadka "po mieczu".
X-40	Fot. X6.4.2:	Zdjęcie z wesela Cecylii Wojcieszak i Stefana Daszyńskiego z 4 lutego 1934 roku

Ogólne uwagi o autobiografii [17]

1. Zanim opracowywanie niniejszej autobiografii zostało doprowadzone do stanu tutaj pokazanego, spora liczba omawianych w niej tematów była prezentowana już wcześniej w internecie na tzw. "stronach totalizmu" i innych publikacji jej autora. Aczkolwiek prezentacje ze stron internetowych z natury musiały być krótkie, a stąd znacznie uproszczone, ciągłe strony te prezentują wysoce specjalistyczne tematy. Owe strony totalizmu ciągle powinny być też dostępne i dzisiaj. Dlatego podczas omawiania tematów które są również dyskutowane na stronach internetowych totalizmu, przy każdym z owych tematów podane również zostały fizyczne nazwy moich stron internetowych na jakich dany temat jest także omawiany. Jeśli więc czytelnik zechce, może z owym tematem dodatkowo zapoznać się z internetu. Znalezienie internetowych adresów danych stron powinno być możliwe jeśli w jakiejś wyszukiwarce, np. w <https://www.google.com/> czy w www.bing.com, jako słowa kluczowe wpisze się albo tematykę czy tytuł danej strony (najlepiej dodając też jej autora: dr Jan Pająk) albo też fizyczną nazwę strony której się szuka. Przykładowo, aby znaleźć stronę o nazwie "dipolar_gravity_pl.htm", powinno wystarczyć aby np. w wyszukiwarce www.google.pl wpisać albo słowa kluczowe "**dipolarna grawitacja dr Jan Pająk**" czy (mniej efektywnie) tylko słowa kluczowe "**dipolarna grawitacja**", albo też nazwę "**dipolar_gravity_pl.htm**" (najmniej efektywnie). Odnotuj tu, że NIE powinno się wpisywać cudzoławiów przy pisania słów kluczowych. Jeśli poszukiwane tematy mają definitywne nazwy i my je znamy, takie jak przykładowo **Koncept Dipolarnej Grawitacji**, czy **Komora Oscylacyjna** albo **Magnokraft**, wówczas nawet lepiej jeśli zamiast fizycznych nazw stron opisujących dany temat, za słowa kluczowe wpisze się owe definitywne nazwy.

2. Dalsze dogłębne i udoskonalanie niniejszej autobiografii będzie wymagało stopniowego wkładu pracy - jaki z uwagi na inne moje wysiłki badawcze będzie rozciągał się na wiele lat. Dlatego, jeśli Bóg na to pozwoli, wówczas za jakiś czas niniejsza biografia będzie dopracowana w jeszcze bardziej zaktualizowanym i udoskonalonym jej sformułowaniu. Warto więc co jakiś czas sprawdzać aktualność jej najnowszego wydania. Data najnowszego jej aktualizowania zawsze bowiem jest podana na stronie tytułowej.

3. Proszę odnotować, że ja celowo w treści tej autobiografii ani NIE nazywam ani nawet NIE usiłuję omawiać potomków pokolenia poza dziećmi mojego pokolenia. ("Moje pokolenie", to pokolenie którego daty urodzin kształtowały się pomiędzy latami około 1930 do około 1955.) Znacząco ja opisuje przeszłość tak daleko jak jest ona mi znana, jednak opisy przyszłości ograniczam tylko do wspomnienia o dzieciach mojego pokolenia - chociaż często znane mi są także dzieci ich dzieci oraz ich losy. Powodem takiego ustalenia granicy dla opisów jest, że przyszłe pokolenia czytelnik łatwo sam sobie może przebadać z owej coraz większej liczby genealogicznych stron internetowych, sporo z których poszerza informacje podane w "rozdziale X" niniejszej autobiografii, podczas gdy pamięć przeszłości bardzo szybko zanika. Ponadto ucinając referowanie do pokolenia młodszego od dzieci "mojego pokolenia" umożliwiam udostępnienie tej autobiografii do publicznego wglądu już począwszy od 2019 roku - bowiem już wtedy nie ma potrzeby dalszego utrzymywania prywatności informacji na temat życia osób wspomnianych imiennie w tej autobiografii.

4. Życzeniem autora niniejszej autobiografii (tj. moim) jest aby **zarobkowo** (tj. w celu generowania komuś korzyści finansowych) NIE była ona publikowana albo (a) do 2046 roku, albo też (b) do 10 rocznicy mojej śmierci (zależnie od tego która z tych dwóch okoliczności (a) lub (b) nastąpi wcześniej). Stąd aż do wskazanego tu roku może ona być upowszechniana jedyne nieodpłatnie. Natomiast po wskazanym tu roku "(a) lub (b)" autobiografia ta może być upowszechniana i udostępniana publicznie w dowolny sposób na jaki ktoś zechce - pod warunkiem jednak, iż w okresie kiedy jej copyright zastrzeżenia pozostają ważne, osoba upowszechniająca ją dla zysku jest jedną z osób, lub potomkiem którejś z osób, jakie w

"rozdziale X" tej autobiografii są wymienione imieniem lub nazwiskiem (tj. pod warunkiem, że osoba ta jest jednym z moich krewnych).

PODŁOŻE HISTORYCZNE autobiografii [17]

Tak się jakoś składa, że kiedykolwiek natykamy się na czyjś dorobek twórczy, który albo nam imponuje, albo też nas obrusza, zwykle chcemy poznać też życie jego autora. Ponieważ dzięki moim publikacjom sporo ludzi miało okazję poznania mojego dorobku twórczego, poczuwam się do obowiązku aby pozwolić im także poznać co ważniejsze szczegóły z mojego życia. Niniejsza moja autobiografia prezentuje właśnie owe szczegóły.

Jakiegolwiek by nie były powody dla których czytelniku zabłądziłeś na niniejsze moje opracowanie biograficzne nr [17], jednym z nich zapewne jest chęć poznania mojego życia. Dlatego główną intencją sformułowania tej autobiografii, było zaprezentowanie największej ilości informacji na temat mojego życia, w możliwie najmniejszej objętości.

Kiedykolwiek zestawia się ze sobą dowolne informacje, zawsze nieświadomie przekazuje się wraz z nimi jakieś uczucia, poglądy, idee, itp. W niektórych też przypadkach, zupełnie bez naszego zamiaru, owe nieświadome przekazy mogą u czytelnika zadominować nad informacją którą dany tekst zawiera. Dzieje się tak zresztą relatywnie często. Często bowiem my sami przyłapujemy się podczas czytania czyjś tekst, że wzbudza on w nas uczucia które są drastycznie odmiennego rodzaju niż informacja w tekście tym zawarta. Oczywiście, każdy taki przypadek niezamierzonego indukowania u czytającego jakichś przekornych uczuć, poglądów, czy idei, niweluje obiektywizm w asymilacji przeczytanych informacji. Dlatego dodatkową (trudniejszą) intencją jaką też usiłowałem nałożyć na sformułowanie treści tej autobiografii o publikacyjnym numerze [17], jest takie zestawienie informacji na temat mojego życia, aby owe nieświadome przekazy nie zagłuszały sobą informacji które staram się przekazać treścią pisaną. Znaczy, aby albo całkowicie te przekazy wyeliminować, lub chociaż znacząco je zminimalizować.

Mój ojciec zwykł mawiać, że **"człowiek uczy się całe życie i ciągle umiera głupim"**. Ja jednak wierzę, że w życiu ludzkim NIE każda wiedza jest istotna, a głównie ta która wynosi nas na wyższy poziom moralny i cywilizacyjny. Zdaniem bowiem filozofii zwanej **"totalizm"** (ten pisany przez "z") - którą ja stworzyłem: "świat fizyczny i ziemia w rzeczywistości są to ogromnie inteligentnie zaprogramowane i doskonale przed ludźmi zakamuflowane maszyny do podnoszenia świadomości moralnej dusz które przez nie zostają przepuszczone". Innymi słowy, żyjemy na ziemi głównie po to aby podnosić swoją moralność a pozbywać się swoich niemoralnych tendencji - podobnie jak kłosa są przepuszczane przez młockarnię po to aby pozyskać z nich ziarno a usunąć słomę i plewy.

Niniejsza autobiografia jest prawdopodobnie najdłużej pisanym opracowaniem mojego życia. Faktycznie za jego napisanie po raz pierwszy zabrałem się już w 1981 roku - kiedy to nadal w Polsce rozpocząłem zbierać dane genealogiczne mojej rodziny obecnie opisane w rozdziale X przy końcu tej autobiografii. Jednak po wstępnym zgromadzeniu tych danych przerwałem pisanie aż do roku 1998 - kiedy to w końcu się zebrałem w sobie i zaprojektowałem treść jej niniejszego sformułowania oraz wypracowałem jego pierwszy szkielec. Po kolejnej przerwie podjąłem jej pisanie dopiero 2009/11/7. Następna przerwa trwała do 2019/3/7 - kiedy to zdołałem doprowadzić do jej opublikowania. Za każdym też razem kiedy jakaś zmiana mojej sytuacji życiowej domagała się podjęcia pisania niniejszej autobiografii, zawsze uświadamiałem też sobie, że jej pisanie przychodzi mi z ogromną trudnością. Kiedyś przypadkowo słyszałem jak ktoś prominentny twierdził coś w rodzaju, że "mówienie o sobie samym przychodzi mu łatwo stąd jest w stanie mówić o sobie samym całymi godzinami". W moim jednak przypadku jest zupełnie odwrotnie - mianowicie pisanie o sobie samym przychodzi mi z największą trudnością. Stąd w miarę kompletne opisanie mojego życia kosztuje mnie wiele wysiłku i zajmuje bardzo dużo czasu. Uważam jednak, że winny jestem czytelnikowi i przyszłym pokoleniom jakąś rzetelną i autoryzowaną przez samego siebie informację na swój własny temat. Stąd chociaż z wielkimi oporami i trudem, ciągle starałem się opracować tą autobiografię tak sumiennie jak tylko zdołałem.

WPROWADZENIE do autobiografii [17]

Aczkolwiek zajęło mi wiele lat życia zanim zdołałem to zauważyć, w tym niedoskonałym świecie w jakim przychodzi nam żyć **panuje szczególny rodzaj sprawiedliwości**. Mianowicie, każdy otrzymuje w darze od Boga coś równoważnie cennego - co maźnaby określić użytym w Biblii pojęciem "**talent**" w jego rozumieniu z tzw. "**przypowieści o talentach**" zawartej w wersetach 25:14–30 z "Ewangelii Św. Mateusza" (jaką to przypowieść ja zinterpretowałem szerzej w punkcie #I1 ze swej autobiograficznej strony internetowej o nazwie "[pajak_jan.htm](#)"). Jako mały chłopiec zawsze zazdrościłem swoim kolegom darów jakie oni otrzymali. Jedni z nich posiadali muzyczne ucho i bez trudności potrafili grać na różnych instrumentach lub wyśpiewywać najmodniejsze melodie imponując w ten sposób miejscowym pięknościami - w których ja po kryjomu się podkochałem. Inni byli atletycznej budowy wzbudzając respekt miejscowych zabijaków, którzy "**mizerakom**" takim jak ja dawali w kość przy każdej nadarzającej się im sposobności. Jeszcze zaś inni mieli bogatych i chojnych rodziców, którzy kupowali im różne wspaniałości oraz nigdy nie gonili ich do roboty. Moje porównania z kolegami zawsze więc wyglądały mizernie. Gdy sam próbowałem śpiewać, jedynie mój wierny kundel doceniał piękno mojego głosu i wtórował mi swym głośnym wyciem. Gdy pokazywałem innym swoje napięte bicepsy, znawcy przyrównywali je do "**kolan bociana**". Z kolei najulubieńszym powiedzeniem mojego ojca było "**zrób dzisiaj to co masz zrobić jutro, zaś zostaw sobie na jutro to co zamierzałeś zjeść dzisiaj**".

Jako mały chłopiec nie wiedziałem jeszcze, że także i ja otrzymałem co najmniej równie cenny dar - jeśli nie znacznie cenniejszy od głosu, bicepsów, czy bogatych rodziców. Tyle że pozostaje on dobrze ukryty przed oczami postronnych ludzi, a początkowo nawet i przedemną samym. Jest nim mój nietypowo **twórczy intelekt**. W rzeczywistym życiu intelekt ten okazał się ogromnie obserwacyjny, dociekliwy, logiczny, oraz zdolny do syntezy ogromnej liczby nieznanymi wcześniej idei. Dzięki temu darowi zdołałem zgłębić wiele tajemnic natury, które opisałem już wcześniej w swoich naukowych monografiach wyszczególnionych w załączniku Z1 do tej autobiografii, a także w przelicznym stronach internetowych jakie osobiście opublikowałem, zaś jakich kompletny wykaz zawiera strona internetowa o nazwie "[menu2_pl.htm](#)". Czego jednak przedtem nie opisywałem, to że intelekt ten pozwolił mi także dokonać wielu ciekawych obserwacji na temat życia w ogólności oraz zagadek i zachowań natury ludzkiej. Ponieważ zaś zgodnie z wymienioną wcześniej bibilijną "przypowieścią o talentach" otrzymanego od Boga "talentu" NIE wolno nam symbolicznie "zakopywać", bowiem za takie jego "zakopanie" byłoby się potem surowo ukaranym, poczuwam się do obowiązku, aby swe obserwacje na temat życia i zagadek ludzkiej natury sumiennie opisać z przestrzeganiem totaliztycznej zasady aby "**w tym co się pisze zawierać prawdę i tylko prawdę**". Wszakże tylko pisząc prawdę i samą prawdę przygotowuje się przyszłym pokoleniom zestaw informacji z poznania jakich będą mogli odnotowywać prawa i regularności jakie faktycznie rządzą naszym życiem, a także będą mogli podejmować wysiłki unikania błędów jakie popełniali ich przodkowie – w tym popełniały osoby opisane w niniejszej autobiografii. Skoro więc już piszę tę autobiografię, mam zarówno okazję jak i właściwy czas aby podzielić się również tymi obserwacjami i prawdami, które inni ludzie typowo "zatajają przedz obcymi", ponieważ NIE są dumni z sytuacji w jakich one się zmanifestowały. Owo dzielenie się prawdą zostanie dokonane w niniejszej autobiografii, przy okazji opisywania kolei mojego losu i porównywania ich do losów innych znanych mi osób, włączając w to opisywanie historyczne okoliczności moich najważniejszych odkryć naukowych i wynalazków technicznych.

Niestety, aby napisać prawdę i tylko prawdę na temat swojego życia, koniecznym jest narażenie się niektórym innym ludziom, którzy owymi opisami prawdy mogą poczuć się urażeni – włączając w to nadal żyjących członków mojej własnej rodziny. Wszakże w czasach kiedy ja publikuję tę autobiografię, w dzisiejszym świecie panuje szokująca moda aby

"**wmiatać pod dywan i tam ukrywać każdą prawdę która może komuś sprawić przykrość, zaś jedynie ujawniać tzw. 'białe kłamstwa' w jakich wysłuchiwanie dzisiejsi ludzie się lubują**". Tymczasem każdy z nas ludzi, w tym także ja - autor tej autobiografii, jest niedoskonały i omylny, zaś jako taki w dzisiejszej sytuacji ludzkości popełnia w swym życiu więcej czynów - które przez innych ludzi są odbierane jako przykre, niż dobrych uczynków - które inne osoby odbierają jako dobro i przyjemność. Unikanie więc mówienia tego co innym może sprawić przykrość, prawienie "białych kłamstw", lub ukrywanie iż coś przykrego zaistniało, NIE jest totalistycznym postępowaniem - wiedzie bowiem do coraz intensywniejszego popełniania tego, czego powinniśmy się uczyć aby NIE popełniać. Ponadto **wszystkie rodzaje kłamstwa są tylko zwykłym kłamanem** - bez względu na to czy mają biały, szary, czy też inny kolor. Jednak dzisiejsi ludzie tak już nawykli do prawienia i słyszenia niemal wyłącznie "białych kłamstw" (w rodzaju "jak pięknie Pani dziś wygląda" – chociaż faktycznie wygląda ona jak czarownica), że NIE są w stanie znieść "nagiej prawdy" – która z definicji niemal zawsze jest przykra. Stąd moda na prawienie wyłącznie "białych kłamstw" rozszerzyła się NIE tylko na życie prywatne (np. NIE martw się że zawiesili cię ze szkoły, bowiem ja wiem że jesteś najgrzeczniejszym młodym człowiekiem w całym kraju), na cały handel (np. ten rodzaj garderoby naprawdę Pani służy), w polityce (np. zamierzam walczyć z korupcją), w prawodawstwie (np. każdy zasługuje aby prawo uszanowało jego prywatność, stąd jakiegokolwiek święstwa uprzednio popełnił, NIE wolno mu tego wypominać ani oficjalnie uwzględniach w dalszym z nim obcowaniu), itd., itp. Ukrywanie zaś i unikanie mówienia prawdy o tym co niemoralnego, niewłaściwego, krzywdzącego, niesprawiedliwego, szkodliwego, urażającego, błędnego, itp., co jednak ktoś naprawdę uczynił, jest jednym z powodów, które prowadzą naszą cywilizację wprost do przepaści i zagłady - tak jak ilustruje to film "**Zagłada ludzkości 2030**" (dla którego ja jestem jednym ze współautorów). NIE bez powodu jednym z najważniejszych ustaleń mojej **Filozofii Totalizmu** jest regularność wyraźnie widoczna w życiu każdej osoby i każdego kraju, iż **"bez ujawnienia prawdy NIE ma postępu"**. Ponadto, ujawnianie prawdy i tylko prawdy ma to do siebie, iż czują się nią urażeni tylko ci co prawdę tą z jakichś powodów starają się ukrywać. Zwykle NIE są oni bowiem świadomi mądrości ludowej, stwierdzającej że **"NIE ma takiego złego co by na dobre nie wyszło i NIE ma takiego dobra, co by NIE wygenerowało sobą też jakiejś formy zła"** – która to mądrość ludowa wyraża sobą też zasadę na jakiej działa tzw. **"pole moralne"**, a stąd stanowi również kolejną istotną składową Filozofii Totalizmu. Faktycznie bowiem z moich doświadczeń życiowych wynika, że **jedynie to co my sami odbieramy jako przykre, bolesne albo wymagające wielu motywacji, wysiłku i pracy, faktycznie jest w stanie wpływać na udoskonalenie naszego charakteru**. Natomiast to co jest przyjemne i bezwysiłkowe jedynie psuje nasz charakter. NIE bez powodu w swych wysiłkach wychowywania ludzi na **"żołnierzy Boga"** zahartowanych w pokonywaniu napotkanych trudności nasz stwórca stosuje metodę wychowawczą, którą moja Filozofia Totalizmu nazywa **"zasadę odwrotności"**, a która polega na uzyskiwaniu pożądanego celu poprzez serwowanie ludziom doświadczeń jakie wyglądają jakby wiodły w kierunku odwrotnym niż ów cel (np. aby wykształtować u kogoś wysokie poczucie sprawiedliwości, Bóg wielokrotnie kieruje na niego czyjeś niesprawiedliwe postępowanie). NIE bez powodu amerykański piosenkarz o nazwisku **John Cash** skomponował piosenkę o tytule **"A Boy Named Sue"** (tj. "Chłopiec o imieniu Zuzia"), która stała się ogromnie popularna ponieważ wyraża ona głęboką prawdę życiową, zaś którą w 2019 roku czytelnicy mogli wysłuchać (za darmo) w YouTube np. pod adresem <https://www.youtube.com/watch?v=NIMgEEASoWQ>. NIE bez powodu też, cała moja rodzina, na przekór otwartego doświadczenia wszystkiego tego co inne rodziny starannie "wmiatają pod dywan" i ukrywają, uzyskała sukcesy życiowe, jakimi NIE mogą się pochwalić inne rodziny. Przykładowo, pomimo pochodzenia z raczej biednej rodziny, wszyscy moi bracia wieczorowo pokończyli studia wyższe (aczkolwiek tylko mi Bóg przyznał możliwość dziennego studiowania), zaś moja siostra ukończyła technikum. Każdy z mojej rodziny miał

konstruktywny i twórczy zawód, którym służył dobru innych ludzi i kraju swego zamieszkiwania, odnosił w tym zawodzie wyższe niż inni sukcesy, oraz wiódł moralne, konstruktywne i spełnione życie. Ponadto każdy z mojej rodziny wykazywał się też umiejętnością pokonywania wszelkich trudności życiowych, osiągania celów jakie sobie postawił, przestrzegania podszeptów swego sumienia, oraz bezinteresownego pomagania innym ludziom. Nikt z mojej rodziny NIE działał na szkodę innych ludzi, NIE łamał prawa, ani NIE popełniał przestępstwa. Mimo więc, że niektórzy czytający niniejszą autobiografię mogą poczuć się urażeni jakimiś zawartymi w niej prawdami, ja wierzę iż dla dobra i edukacji przyszłych generacji, ja mam w niej obowiązek ujawniania też i przykrych dla niektórych ludzi (w tym i dla mnie samego) prawd i faktów. Być też może, iż biorąc przykład z tej autobiografii, inne osoby też już wiedzące iż "bez ujawnienia prawdy NIE ma postępu", zaczną w końcu odwracać obecny trend ukrywania niepopularnej prawdy oraz publicznego prawienia wyłącznie przyjemnych kłamstw, poczym też zaczną ujawniać o sobie i innych to co kogoś chwilowo może urazić, jednak co w końcowym efekcie zawsze przyniesie więcej dobra niż przykrości.

Powinienem tu też się przyznać, że z powodu postanowienia aby w swej autobiografii pisać edukującą innych prawdę i tylko prawdę - i to nawet jeśli komuś może ona wydawać się przykrą, ja sam naraziłem się członkini własnej rodziny. Po pierwszym opublikowaniu bowiem niniejszej monografii po 2019/3/7, otrzymałem kilka emailów od córki mojego najstarszego, już **nieżyjącego** brata. Wypunktowywała mi w nich co niewłaściwego jej zdaniem napisałem w autobiografii o jej zmarłym ojcu oraz miała mi za złe iż po treści tej autobiografii jej ojciec mogłby zostać przez kogoś zidentyfikowany. Najpierw starałem się więc eliminować to co mi wskazywała - jednak do 2019/5/17 wyeliminowałem już wszystko co mogłem pouścić bez zubożenia znanej mi prawdy. Ponieważ zaś nadal owa bratanica miała zastrzeżenia, w dniu 2019/5/17 zdecydowałem się całkowicie zawiesić upowszechnianie tej autobiografii. Z braku czasu na kontynuowanie spełniania dalszych zastrzeżeń owej bratanicy, zawieszenie upowszechniania tej autobiografii trwało aż do 2019/10/15. Wówczas to uświadomiłem sobie jednak, że zamiast tracić czas i zubażać prawdę poprzez nieustające uwzględnianie jej zastrzeżeń, korzystniej będzie jeśli z autobiografii całkowicie poustawię wszelkie informacje o jej ojcu, zaś tam gdzie absolutnie konieczne stanie się referowanie do niego, napiszę tylko "**mój najstarszy brat**".

Na dodatek do twórczego intelektu, w darze od Boga otrzymałem też **nietypowo bogate życie**. Mam więc wiele interesujących doświadczeń wartych opisania i poznania. Przykładowo, już jako mały chłopiec oraz potem nastolatek prowadziłem życie niemal rolnika. Będąc jedynym pozostałym w domu chłopcem przy równoczesnym inwalidztwie mojego ojca, musiałem wstawać przy porannej rosie aby (ręczną kosą) kosić trawę, paść krowy, wykonywać ser i pomagać w wykonywaniu masła, własnoręcznie zabijać kurczaki i świniaki przeznaczone do zjedzenia, produkować i wędzić kiełbasy i szynki, budować płoty i pomieszczenia, sadzić drzewa owocowe i zrywać ich owoce, fermentować domowe wino i piwo, zabierać psa na pobieganie, łowić ryby, oraz czynić dziesiątki innych prac jakie rolnicy w tamtych czasach zwykle wykonywali w swoim codziennym życiu. To mocno zbliżyło mnie do natury, dając mi doskonałe zrozumienie dla pozazmysłowych sygnałów wymienianych pomiędzy ludźmi i otaczającym ich środowiskiem. Dało mi to także wgląd w głębię, czystość, niewinność i prawdomówność wyrazów ludowych mądrości (t.j. przysłów, powiedzeń, opowiadań, legend, itp.). Potem przyszły lata studiów i osobistego zarabiania na życie na różne (niekiedy nawet fantazyjne) sposoby, takie jak organizowanie zabaw ludowych i zawodów sportowych; praca w mleczarni, pomaganie geodetom w poszukiwaniu ropy naftowej, obsługa młockarni, działacz komitetu stołówkowego, udzielacz korepetycji, itp. Po studiach były lata wykładania, doktoratu i naukowego doradztwa w fabryce komputerów i fabryce autobusów. W końcu przyszły lata najpierw ucieczki a potem i wygnania z kraju, pomiatanego emigranta, podróżnika, tułacza po świecie w poszukiwaniu chleba, oraz badacza obcych kultur, sposobów życia, tajemnej wiedzy, itp. Wszystko to razem dostarczyło mi

bogatego zbioru doświadczeń życiowych, których uogólnieniem chciałbym niniejszym podzielić się z czytelnikiem.

Istnieje kilka istotnych celów jakie pragnąłbym osiągnąć za pośrednictwem niniejszej autobiografii. Oto najważniejsze z nich:

1. Utrwalić na piśmie i przygotować do ewentualnego opublikowania to wszystko czego z najróżniejszych powodów NIE byłoby bezpiecznym publikować w czasach mojego wcześniejszego życia. Wszakże żyłem, pracowałem naukowo i działałem w czasach kiedy w moim świecie szalała dwulicowość tzw. "**praw prywatności**". Zgodnie z owymi prawami indywidualni ludzie pozbawiani zostawali wszelkiej informacji nawzajem o sobie, po to tylko aby rządy i instytucje miały monopole na dysponowanie wszelkimi szczegółami ogromnej ilości wysoce "prywatnej" informacjami na temat każdego indywidualnego człowieka. Stąd przykładowo, wielu tzw. "prywatnych informacji" na temat niektórych osób, jakie należało włączyć do tej autobiografii, nie było wskazanym publikować w czasach kiedy ludzie i rządy jakich one dotyczyły ciągle jeszcze żyli, czy byli u władzy. Podobnie w tamtych czasach nie byłoby rozsądnym opisywanie różnych niezbyt chwalebnych spraw na temat konkretnych ludzi (szczególnie tych przy władzy). Itd., itp.

2. Opisać pełny przebieg jednego faktycznego (mojego) życia. Zgodnie z moimi poglądami, życie ludzkie rządzone jest zbiorem czterech ogromnie istotnych wielkości moralnych (tj. tzw. (1) "pola moralnego", (2) "praw moralnych", (3) "energii moralnej", oraz (4) "omniplanu") - precyzyjnego działania których jak dotychczas ludziom nie udało się całkowicie poznać. Działanie tych wielkości może jednak stać się ewidentne dla wnikliwych obserwatorów - jeśli tylko istniał będzie rzetelny i chronologiczny opis czyjegoś pełnego życia jaki poddać oni będą mogli szczegółowej analizie. Niniejsza autobiografia dostarcza właśnie takiego opisu. Opracowanie to nie zawiera bowiem zdarzeń wymyślonych ani literackiej fikcji. Wszystko co tu opisano zdarzyło się naprawdę, w sposób w jaki to przedstawiono, w kolejności tu przytoczonej, oraz w przybliżonych czasach dla których je tu przypisano. Również nazwiska oraz daty (gdy tylko je podano) są prawdziwe. Autobiografia ta przedstawia więc prawdę spisana tak wiernie jak ją zdołałem zapamiętać, a jaka reprezentuje esencję mojego życia.

3. Zilustrować na faktycznym przykładzie mojego życia, że życie ludzkie wcale NIE jest przypadkowe, a jest rządzone określonymi prawami jakie daje się naukowo identyfikować i definiować, oraz jest celowo kierowane przez Boga z pomocą boskiego "omniplanu" na taki przebieg jaki możliwie najlepiej zbliża charakter i pamięć danej osoby do przydatnego dla Boga stanu i poziomu jakości. Ponadto zilustrować też, że prawdą jest informacja zawarta w Biblii (patrz tam wersety 33:25-30 z "Księgi Hioba") i wyjaśniona w punkcie #B4.1 mojej strony internetowej "[immortality.pl.htm](#)", że każdy z ludzi jest przepuszczany przez to samo życie co najmniej dwukrotnie, a często trzykrotnie, tyle że po każdym takim powtórzeniu jego pamięć jest wymazywana (choć pozostaje mu tzw. "**deja vu**", czy dziwne fascynacje - w rodzaju mojej fascynacji pseudonimem "**Pajana**" oraz twarzą córki wice-dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu - która z upływem czasu okazała się być bardzo podobna do twarzy mojej malezyjskiej żony). Na dodatek okazuje się, że przebieg życia każdego człowieka w dużej mierze uwarunkowany jest jego stanem moralnym. W niniejszym opracowaniu starałem się wszystko to wyraźnie uwypuklić. Jak to bowiem wynika z moich badań opublikowanych wcześniej w innych monografiach, oprócz już nam znanych od dawna praw fizycznych, istnieją i działają także tzw. "**prawa moralne**". Podobnie jak w przypadku praw fizycznych, również działanie praw moralnych ujawnia się niemal na każdym kroku. Jednak jak to jest zwykle z prawami, w normalnym przypadku ich działanie umyka naszej uwadze. Pisząc tę autobiografię starałem się więc nie tylko przedstawić swoje losy, ale

także zwracać uwagę czytelnika na działania różnych nieznanymi nam wcześniej praw typu moralnego, jakie ujawniły się poprzez określone zdarzenia z mojego życia.

4. Uświadomić czytelnikowi, że jednak istnieją, działają i znacząco wpływają na nasze życie takie wielkości moralne jak owo "pole moralne", "prawa moralne", i "energia moralna", oraz zilustrować na przykładzie mojego własnego życia że **"wszystko co moralne musi wspinać się pod górę pola moralnego - czyli musi przebiegać wzdłuż tzw. 'linii największego oporu' "**.

5. Zaprezentować podłoże historyczne i okoliczności mojej twórczości odkrywczej, wynalazczej i naukowej.

6. Zilustrować gorzką prawdę że w dzisiejszym świecie im ktoś ma więcej do stracenia, tym bardziej będzie unikał moralnego działania i mówienia prawdy. Wszakże to z jej powodu osoby na szczycie niemal nigdy nie wypowiadają prawdy, unikają czynienia to co właściwe w danej sytuacji, niemal nigdy nie odpowiadają wprost na zadane pytania, dużo mówią zaś niemal nic nie czynią, itd., itp.

7. Klarownie wyrazić często dobrze poukrywane prawdy życiowe, opinie i sekrety zawodowe, które gdybym wyraził w czasach swej pracy zawodowej i zarabiania na chleb, prawdy te jeszcze bardziej zraziłyby moich przełożonych i kolegów, szybciej niż to się stawało pozbawiałyby mnie pracy, zaś z ich powodu moje życie stałoby się jeszcze trudniejsze niż już faktycznie było. Wielu rzeczy i poglądów ludziom aktywnym zawodowo nie wypada wszakże wypowiadać z wielu różnych powodów (np. politycznych, socjalnych, statusowych, narażania się na krytykę, napaści, klimatu politycznego i prawnego, itp.). W tej autobiografii obecnie mogę jednak sobie pozwolić na opisanie w sposób jawny ludzkich słabostek, śmieszności, złych nawyków, przemilczanych prawd, ambarasujących lub przykrych prawd, oraz innych prawdziwych zachowań, bez oglądania się jaki wpływ będą one miały na moją karierę, na czyjś stosunek do mnie, na reakcje innych ludzi, itp. Nie opisuję tu jednak negatywnych zachowań ludzkich aby kogoś skrzywdzić, zemścić się na kimś, zdemaskować, itp. Wszakże większość ludzi o których tu piszę to moi krewni, najbliższa rodzina, przyjaciele, dobrzy znajomi, itp., tyle że albo już nie żyją - stąd opisywane tu zwyczaje, działania i sytuacje najprawdopodobniej wymarły wraz z ich nosicielami, albo też są już w fazie życia, w której ujawnienie prawdy na ich temat nie ma już znaczenia. Przyczyną dla której to wszystko opisuję jest aby uczulić czytelnika na tego typu sytuacje. Znając bowiem naszą cywilizację jestem pewien, że sytuacje takie zdarzać się będą w otoczeniu każdej osoby, a co gorsza nawet z pasywnym lub aktywnym współudziałem tej osoby. Pamiętając więc sytuacje jakie tu opisuję być może czytelnik w przyszłości potrafi wyczuć ich niewłaściwość kiedy je napotka, a stąd podejmie kroki aby je wyeliminować w przyszłości ze swego własnego otoczenia (a stąd z osądzenia jakiemu Bóg kiedyś go podda). Dlatego np. zamiast "psioczyć" na niemoralnych ludzi mojego pokolenia, którzy uniemożliwili mi zbudowanie powiedzmy mojego **"wehikułu czasu"**, czytelnik rozglądnie się dookoła siebie aby zidentyfikować i wesprzeć kogoś, kto w jego własnych czasach też jest równie prześladowany i powstrzymywany przed dokonywaniem istotnego dobra, jak kiedyś ja byłem.

* * *

Mam nadzieję że czytelnik przyzna i doceni iż niniejsza autobiografia zdołała osiągnąć wszystkie powyższe cele.

A-1

Dr inż. Jan Pająk

Część 1: POLSKI OKRES MOJEGO ŻYCIA (tj. pierwsze 36 lat: 1946 do 1982)

Rozdział A: Wieś STAWCZYK początkowo zwany CEGIELNIA (1946-1953) (MOJE DZIECIŃSTWO)

Uzupełnień i poszerzeń opisów z tego "rozdziału A" szukaj w: stronach internetowych o nazwach "[pajak_jan.htm](#)", "[jan_pajak_pl.htm](#)", "[stawczyk.htm](#)", "[wszewilki.htm](#)".

Była sobota, dnia 25 maja 1946 roku, około godziny 5 po południu (17:00). W osamotnionym domku na uboczu wsi [Wszewilki](#), a ściślej wszewilkowskiego sioła o nazwie [Stawczyk](#)" (zaraz po wojnie nazywanego CEGIELNIA) w pobliżu wówczas powiatowego miasteczka [Milicz](#) (w owym czasie liczącego zaledwie około 3000 mieszkańców), na świat przyszedł mały puciołowaty chłopczyk - patrz "**Fot. A**". Jego ojciec zdecydował się nazwać go "Jan" dla upamiętnienia swojego ulubionego brata.

W księżycowym kalendarzu chińskim ów Jan urodził się pod znakiem "**ognistego Psa**" z chińskiego zodiaku, zaś data jego urodzenia wyraża się jako: 25 dzień, 4 miesiąca księżycowego, 35 roku, 5 po południu. Według kalendarza buddyjskiego w dniu jego urodzenia panował właśnie rok 2490. Natomiast w/g kalendarza muzułmańskiego chłopiec ten urodził się w roku 1396 H. Urodzenie Jana Pajaka odnotowane zostało w Urzędzie Stanu Cywilnego w Miliczu, pod numerem 40/Gm, dopiero 5 czerwca 1946 roku.

Tak oto autor tej autobiografii urodził się w 1946 roku w owej maleńkiej wiosce, która przez najdłuższy okres czasu nazywała się Wszewilki. (Wioska ta bowiem aż kilkakrotnie zmieniała swoją nazwę – początkowo, tj. zaraz po wojnie, nazywano ją Cegielnia, potem Wszewilki, potem Stawczyk, zaś od jakiegoś już czasu podwójną nazwą Wszewilki-Stawczyk.) Na temat owej wioski napisane jest nieco więcej w dalszej części tej autobiografii. Po urodzeniu autor tej publikacji mieszkał we Wszewilkach aż do 18 roku swojego życia, tj. mieszkał tam od 1946 roku aż do 1964 roku, czyli aż do czasu kiedy wybrał się na studia do wojewódzkiego miasta [Wrocławia](#) oddalonego o około 60 kilometrów od Milicza.

Życie każdego człowieka podobno daje się streścić jednym słowem. W przypadku owego **Jana Pajaka**, czyli mnie, słowem tym zapewne byłaby "**walka**", "**zmaganie się**" albo "**wykuwanie**". Zmagania mojego życia zaczęło się jeszcze na długo zanim miałem się urodzić. Jakaś "mroczna moc" najwyraźniej nie chciała abym pojawił się na tym świecie. Stąd życie obojga moich rodziców często ratowane musiało być cudami - przykłady których opiszę w podrozdziale A1 poniżej.

Pierwsze lata mego życia dominowane były właśnie przez takie "zmaganie się", oraz przez niebezpieczeństwa. Moi rodzice byli bardzo biedni - tylko z trudnością jakoś przeżywali. Zaś na mnie jakby jakaś "mroczna moc" uparcie **polowała**. Tylko do czasu ukończenia szkoły podstawowej zapamiętałem siedem zdarzeń kiedy omal nie straciłem życia - włączając w to "przypadkowe" przestrzelenie mojej czapki na głowie z dubeltówki we wsi [Cielcza](#) w 1957 roku - opisane także w podrozdziałach B1 i T3 tej autobiografii (ocalałem wtedy tylko dzięki koledze szkolnemu, który przejął swoim ciałem niemal cały ładunek). Z kolei do chwili obecnej naliczyłem się już około trzydziestu takich przypadków "**ocierania się o śmierć**" - patrz ich wykaz w podrozdziale T3. Najbardziej szokujący z nich miał miejsce 13 listopada 1990 roku - kiedy to pojechałem na spotkanie z moim przyjacielem, Gary Holden, mieszkającym w miasteczku [Aramoana](#) koło Dunedin w Nowej Zelandii. Na szczęście coś tajemniczo zmusiło

A-2

mnie abym zawrócił w swej drodze - w przeciwnym wypadku z całą pewnością bym zginął w masakrze, która wówczas zaczęła się właśnie w domu Gary'ego.



Fot. A: Weselne zdjęcie grupowe gości rodziny **Gosków** wykonane w 1947 roku w niewielkiej wsi Jankowo leżącej około połowy drogi z Milicza do Sulmierzyc (tj. niedaleko Trzebicka). Na zdjęciu tym utrwalony został między innymi i autor tego opracowania w wieku 1 roku - patrz ten puciołowaty chłopczyk w białym ubranku trzymany na ręku pomiędzy swym ojcem i matką w prawym-górnym rogu zdjęcia. Zdjęcie to omawiam szerzej przy "Fot. #1" ze strony "[pajak jan.htm](#)". Z tego co mi wiadomo, jestem ostatnim nadal żyjącym ze wszystkich osób ujętych na owym zdjęciu. Inny chłopiec z tego zdjęcia, tj. mój rówieśnik, kuzyn i misjonarz, **Józef Zębik** (1946/2/12 do 2009/11/18), też już zmarł na raka i jest pochowany w Sędziszowie Małopolskim (on też jest ubrany na biało - trzyma rękę swojej babci).

A-3

A1. Moi rodzice

Moim **ojcem** był mechanik o tzw. "**złoty**ch rękach" i ogromnie twórczym umyśle. To zapewne od niego twórczy zmysł oddziedziczyły wszystkie 6 jego dzieci, chociaż u każdego z moich 4 braci objawiał się on inaczej - po szczegóły patrz podrozdział X3. Ojciec naprawiał wszystko co się popsło w promieniu dziesiątków kilometrów od naszego domu, zaczynając od zegarków i zegarów, poprzez rowery i różne maszyny, a skończywszy na ogromnych silnikach gazowych jakie napędzały pompy w miejscowych starych wodociągach zbudowanych jeszcze w 19 wieku. Faktycznie to był on nawet zatrudniony przez gazownię w pobliskim miasteczku Miliczu aby utrzymywał owe stare wodociągi miejskie w stanie działającym. Obecnie się zastanawiam, jak on właściwie mógł mnie tolerować, jako że cokolwiek zreperował jednego wieczora, natychmiast ja rozmontowywałem to następnego dnia kiedy on był w pracy, aby zobaczyć jak to działa. Oczywiście, nie zawsze też zdołałem potem to poskładać z powrotem tak aby działało jak powinno. (Szczególnie trudnymi do poskładania, tak aby potem działały, okazywały się małe zegarki. Po tym więc jak doświadczyłem kilkakrotnie jak mój ojciec reaguje na widok rozmontowanych zegarków, które on naprawił jedynie noc wcześniej, zwolna nauczyłem się powstrzymywać swoją ciekawość dowiedzenia się co właściwie powoduje że owe zegarki tykają.) Owo praktyczne podejście do wszystkiego od strony zasady działania i budowy wewnętrznej pozostało mi z dzieciństwa na całą resztę życia. Na wszystko też później patrzyłem właśnie z tego punktu widzenia - znaczy jak to jest skonstruowane, jak to działa, jak to daje się zbudować, jak tym sterować, itp. W swoich badaniach naukowych zawsze też byłem praktykiem, który fizycznie eksperymentuje, mierzy, buduje, wykonuje, docieka, itp., a nie który jedynie spekuluje, opowiada, czy rysuje. Niestety, po wyemigrowaniu z Polski NIE było mi dane kontynuować tej praktycznej tradycji, bowiem się okazało, że w krajach zachodnich ludzie z mojego środowiska niczego sami NIE budują ani nie eksperymentują praktycznie, a jedynie o tym spekulują i wypowiadają się czysto teoretycznie. Do budowania i eksperymentowania mają tam techników i odpowiednie laboratoria - do których mi nigdy nie udzielono dostępu.

Na króko przed wojną mój ojciec pracował jako nocny stróż w majątku ziemskim ze wsi **Cielcza**. Jakiś bandzior chciał okraść spichlerz, którego mój ojciec pilnował, uprzednio więc postanowił zastrzelić stróża. Wyststrzelił więc w głowę mego ojca z odległości zaledwie około dwóch metrów - i ciągle chybił głowę, chociaż przestrzelił dłoń (i kość) w ręce ojca. (Ciekawe, że potem ów bandzior uniknął sprawiedliwości, bowiem przekupny sąd ówczesnej przedwojennej polski zignorował raport lekarza, który poskładał postrzałowe zniszczenia ręki mego ojca, oraz zignorował zeznanie mego ojca, a zaakceptował kłamliwą wersję bandziora, iż ten tylko osłaniał się sztachetą przed "atakami" mego ojca, która to sztacheta jakoby miała gwoździa jaki zranił dłoń mego ojca.) Natomiast podczas wojny mój ojciec wzięty został do niewoli (jako POW - tj. "Prisoner of War") i umieszczony w obozie pracy w **Peenemunde** - wyspie na Bałtyku (koło Świnoujścia) słynnej potem z jej pocisków V2 oraz ich wyrzutni. Niestety, kiedy alianci przylecieli zbombardować Peenemunde, załoga ich samolotu znacznikowego tak się wystraszyła niemieckich myśliwców, że niedbale pozrzuciła znaczniki obszaru do zbombardowania, swoim spartaczeniem całej operacji włączając NIE tylko wyrzutnie V2 i montownię pocisków, ale także i obóz więźniów POW. Ojciec potem opowiadał, że nawet woda wówczas tam się paliła, zaś w całym Peenemunde nie dało się potem zobaczyć nawet jednej całej cegły. Jakimś jednak **cudem** mój ojciec wyszedł bez szwanku. Ponieważ niemal wszyscy zostali wtedy tam zabici, zaś ogrodzenia obozu zniszczone, mój ojciec samotnie opuścił obóz i ubrany w obozowy "**pasiak**" wybrał się piechotą do domu. Niestety, nie doszedł daleko, bo ci w czarnych mundurach zatrzymali go już na moście przez Odrę. Na szczęście, zamiast z miejsca go rozstrzelać - jak to mieli w zwyczaju czynić z uciekinierami z obozów, zdecydowali się wybadać jakie powiązania ma on z

A-4

aliantami, skoro ci pozostawili go żywym podczas gdy wszyscy inni zostali wybici do nogi. Potem ojciec się skarżył, że podczas tego śledztwa nie tylko dwóch w czarnych mundurach tak się męczyło okładaniem go pałkami, że aż musieli bić go na zmiany, ale że również nakazywali mu aby liczył w ichnim języku każde uderzenie jakie mu zaserwowali. Ponieważ jednak w końcu NIE doszukali się żadnej "konspiracji" w jego wyjściu z obozu, zaś jego "techniczne umiejętności" były zbyt wartościowe aby je marnować, pozostawili go żywym i tylko odesłali ponownie na roboty - tym razem w prywatnej niemieckiej fabryce (to z czasów jego pracy w owej fabryce prywatnej pochodzi zdjęcie pokazane na "**Fot. A1**" poniżej).

Mi osobiście zawsze imponuje boska sprawiedliwość połączona z poczuciem humoru. Wszakże wynalazcą gwiazdolotu o nazwie "**Magnokraft**", oraz "**Wehikułu Czasu**", jakie w przyszłości będą wznosiły ludzi do gwiazd i owierały do użytku ludzkości nieprzebrane zasoby kosmosu, wcale NIE okazał się syn Wernher'a von Braun - budowniczego śmiertelnych rakiet "V2", na którego wysoce szkodliwe dla ludzkości rozwiązania techniczne "postawili" Amerykanie. Okazał bowiem się nim być syn jednego z byłych polskich "niewolników" von Braun'a, tj. syn Wincentego Pająk, który to "niewolnik" zmuszony był montować dla von Braun'a rakiety V2, poczym należał do tych nielicznych więźniów całego obozu jeńców z Peenemunde, którzy przeżyli spartaczone przez Aliantów bombardowanie Peenemunde z nocy 17/18 sierpnia 1943 roku (patrz: <http://www.google.com/search?q=Peenemunde>).

Moja **matka** była gospodynią domową - skromny geniusz matematyczny oraz niezwykłość wśród kobiet, które tradycyjnie nie lubią rachunków i nie są biegłe w liczeniu. Była ona w stanie liczyć w pamięci niemal tak samo szybko jak czynią to dzisiejsze komputery. Moja mama musiała więc mieć jeden z owych niezwykłych matematycznych umysłów, którymi tak się fascynują dzisiejsi psycholodzy, jednak którymi w jej czasach nikt się nie interesował. Jej zdolności obliczeniowe zawsze szokowały sprzedawców w sklepach, dostarczając wiele uciechy mi i mojej siostrze, z którą często towarzyszyliśmy mamie w wyprawach na zakupy. To prawdopodobnie po niej odziedziczyłem swoje zdolności matematyczne i upodobania do nauk ścisłych.

Moja matka w czasach ciąży na krótko przed datą mojego urodzenia się dostała zakażenia od skaleczenia obu swych nóg na ściernisku. Zakażenie to było czymś czego wówczas lekarze nie potrafili ani nazwać ani wyleczyć. Obecnie prawdopodobnie nazwano by to "**flesh eating bacteria**" (tj. "bakteria zjadająca ciało ludzkie"). Typowo ludzie od tego bardzo szybko umierają. Gdyby więc i moja matka wówczas umarła, ja nigdy bym nie otrzymał szansy aby się urodzić. Matka jednak jakoś przeżyła - chociaż owa bakteria zjadała stopniowo jej nogi praktycznie aż do końca jej życia. W ten sposób owa prześladowająca mnie "mroczna moc" NIE dopięła jednak swego i dane mi było się urodzić.

A-5



Fot. A1: Mój ojciec, Wincenty Pajak (1903-1981), powyżej grający na skrzypcach – mój ojciec faktycznie potrafił dosyć ładnie zagrać kilka góralskich melodii ludowych, jedną z których linkuję przy powyższym zdjęciu na "Fot. #1" ze strony ["p 1.htm"](#). Odnotuj obowiązkową podczas drugiej wojny światowej żółtą etykietkę z literą "P" (oznaczającą "Polak") naszytą na prawej stronie piersi marynarki mojego ojca. Mój ojciec aż do czasu swej śmierci zachował sobie ową etykietkę jako pamiątkę z czasu wojny. Zapewne wraz z dwoma innymi pracownikami prywatnej fabryki niemieckiej, do obowiązkowej pracy w której mój ojciec został skierowany po alianckim zbombardowaniu Peenemunde, powyżej jest on sfotografowany w pokoju na strychu jaki albo był im przydzielony na mieszkanie, albo też w jakim zamieszkiwała osoba wykonująca owo zdjęcie - niestety, kiedy mój ojciec nadal był żywy, NIE zadbałem aby wypytać go o szczegóły tego zdjęcia, a szkoda, bo obecnie zdjęcie to nieco mnie intryguje i pobudza ciekawość. Przykładowo, jak to możliwe, że wszyscy oni palą fabrycznie wykonane, eleganckie papierosy, podczas gdy mój nałogowo palący papierosy ojciec często nam opowiadał jak to podczas wojny więźniowie NIE mogli kupić ani w jakikolwiek inny sposób zdobyć papierosów, stąd zmuszony był podnosić z ziemi "sztumle" (czyli niedopałki papierosów porzucone przez kogoś na ziemię) aby móc coś zapalić i zaspokoić tym swój głód nikotyny. NIE posiadam też żadnych danych o tych dwojgu pozostałych osobach utrwalonych na powyższym zdjęciu, ani o ich dalszych losach. Chociaż u nich NIE widać owej żółtej etykietki z literą "P" (być może iż aby ładnie wyglądać przed wykonaniem zdjęcia przebrali się w marynarki bez owego "P" - bo wyraźnie widać, że starannie i "na mokro" uczesali swe włosy), ciągle można zgadywać, że oni też prawdopodobnie byli POW (tj. Prisoners of War) – tak jak mój ojciec, których z uwagi na posiadane przez nich umiejętności techniczne Niemcy uznali za zbyt cennych dla gospodarki aby marnować ich talenty poprzez zwykłe zamknięcie ich w obozach jeńców albo koncentracyjnych. Warto też pamiętać, że w tamtych czasach aparaty fotograficzne NIE posiadały samowyzwalaczy, stąd zdjęcie to pstryknął ktoś czwarty, o kim też NIE posiadam żadnych informacji. Ponieważ zaś trudno wyobrazić sobie "jeńca wojennego" posiadającego wówczas własny i działający aparat fotograficzny, posądzam, że fotografem tym był jakiś

A-6

Niemiec - być może wykonujący owo zdjęcie dla jakichś tylko jemu znanych celów propagandowych. Zdjęcie to wykonane było w końcowej fazie drugiej wojny światowej. Pokazuję je też i omawiam szerzej jako "Fot. #1" ze swej strony "[p.l.htm](#)".

A2. Moje rodzeństwo i najbliższa rodzina

Moje rodzeństwo to głównie czterech starszych niż ja braci, czyli: (1) **mój najstarszy brat**, (2) **Ludwik**, (3) **Czesław** i (4) **Stefan**, - potem byłem (5) ja (tj. **Jan**), zaś po mnie na świat przyszła jeszcze młodsza niż ja siostra (6) **Irena**. Ich krótkie życiorysy opisałem w podrozdziale X3. Wiele ustaleń i obserwacji opisanych w tej autobiografii i w innych moich opracowaniach wywodzi się właśnie z moich oddziaływań z tą najbliższą rodziną - przykładowo rozważ ustalenie totalizmu, że zawsze drugie dziecko w danej rodzinie sprawia największy problem, t.j. jest "czarną owcą" w danej grupie rodzeństwa (zjawisko to opisałem w podrozdziale JD13.1 z tomu 7 monografii [1/5]). Owo ustalenie faktycznie sprawdza się dla wszystkich rodzin jakie znam. We wielu przypadkach drugie dziecko czasami prawie że dostaje "kuku". Ciekawe jak to może być tłumaczone, jako że żadne z wytłumaczeń nie wyjaśnia dlaczego trzecie i dalsze dzieci w danej rodzinie znowu są OK. Przykładowo moja żona Sue tłumaczy to efektem rozluźnienia wymogów, obowiązków i dyscypliny jakie rodzice nakładają na swoje dzieci. Te wymogi, obowiązki i dyscyplina są zawsze wysokie dla pierwszego dziecka, są rozluźniane dla drugiego dziecka, oraz ponownie podwyższone dla dziecka trzeciego i następnych.

Mój ojciec Wincenty był raczej prostym człowiekiem. W obcowaniu wcale nie był wzorcem okrzesań. Był też gwałtowny, porywczy, skory do bitki, zaś w gniewie niemal niepochamowany. Z tego powodu miał też różne kłopoty - np. nie miał zbyt wielu przyjaciół ponieważ jego gwałtowny charakter zniechęcał do przyjaźni. Niemal jedynymi dobrymi przyjaciółmi których moi rodzice mieli, to sąsiedzka rodzina Adamiaków ze **Stawczyka** - którzy zresztą już wkrótce po moim urodzeniu wyprowadzili się ze Stawczyka około 1950 roku. Dla nas, jego dzieci, ów porywczy charakter ojca oznaczał, że w domu wykazywaliśmy wzorcową dyscyplinę - za co obecnie jestem mu ogromnie wdzięczny, bowiem dyscyplina ta nauczyła mnie wielu przydatnych umiejętności życiowych i bycia zaradnym we wszystkim co czyniłem.

Oczywiście mój ojciec Wincenty miał także i rozliczne zalety. Przykładowo, jego umysł był ogromnie twórczy - szczerze mówiąc to w późniejszym życiu NIE spotkałem już innej osoby o równie twórczym umyśle. Na przekór że był ateistą, miał też ogromnie rozbudowane poczucie sprawiedliwości, moralności i "fairness" - wierzę też, że nieustannie wysłuchiwał podszeptów własnego organu sumienia. Ponadto był chodzącą encyklopedią staropolskiego folkloru. Znał tak ogromną liczbę ciekawych opowieści, że można go było słuchać całymi dniami. Przykładowo to on mi opowiadał wiele na temat tzw. "**anielskich włosów**", tuneli pod Babią Górą, naszego drzewa genealogicznego, całej "wioski zamieszkałej przez osoby o nazwisku Pajak", itd., itp.

To właśnie następstwa owego twórczego umysłu mego ojca uświadomiły mi jedną dosyć szokującą prawdę życiową, która z czasem weszła w skład postępowej i moralnej filozofii totalizmu jaką ja stworzyłem. Prawda ta stwierdza, że "**ci co pracują głośno i w sposób rzucający się w oczy faktycznie są niekompetentni, zaś wyniki ich działań są mizerne. Ludzie naprawdę wydajni i fachowi zawsze pracują cicho, niepozornie, oraz w sposób przez nikogo niemal nie odnotowany**". Działanie tej prawdy moralnej odkryłem w wodociągach z Wszewilek, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Zdarzenie które najbardziej mi uwypukliło działanie tej prawdy opisałem później na totaliztycznej stronie internetowej o nazwie "**wszewilki.htm**". Mój ojciec pracował wówczas w tych wodociągach jako mechanik obsługujący ich ogromne motory i pompy. A obsługa tych motorów była bardzo trudna, bowiem jak wszystkie stare maszyny, miały one swoje "dusze" i swoje zadziorne "osobowości". Przykładowo okazywały "humory", były bardzo "narowiste" i często poddawały się one "nastrojom". Trzeba było je znać doskonale aby móc je uruchomić i potem utrzymać w działaniu. (Mimo swego ogromu, silniki te uruchamiane były ręcznie korbami, tak

A-8

jak pierwsze samochody. Ciekawe czy czytelnik wie, że nawet po drugiej wojnie światowej samochody ciągle zapalane były ręcznie poprzez zakręcenie korby rozruchowej, która sprzęgana była z ich wałami korbowymi. Dzisiejsze rozruszniki weszły do powszechnego użycia dopiero w latach 1960-tych.) Oto opis tamtego zdarzenia z wszewilkowskich wodociągów.

Pewnej niedzieli, kiedy ja byłem jeszcze niewielkim chłopcem, ktoś szczególnie ważny w maleńkim Miliczu utknął wówczas w łazience pokryty mydłem. Woda bowiem na wieży omawianych tutaj wodociągów się skończyła, zaś oba motory z pompami właśnie stały. Ta milicka "gruba ryba", czyli ów ważny człowiek, zadzwonił więc do szefa wodociągów, aby ten spowodował puszczenie więcej wody do miejskiej sieci. Ponieważ zaś był to ktoś bardzo ważny, ówczesny szef wodociągów wezwał natychmiast wszystkich mechaników mieszkających w pobliżu wodociągów, aby ci uruchomili silniki i napompowali nowej wody do wieży ciśnień. Jednak oba stare i "narowiste" silniki wcale nie były owej niedzieli w "nastroju" do pracy na rzecz owej "grubej ryby" z Milicza (była wszakże niedziela). Nie dały się więc zapalić. Po jakiejś godzinie bezowocnych prób ich zapalenia, w końcu posłano po mojego ojca do Wszewilek-Stawczyka. Ojciec posadził mnie na ramę swego roweru i wziął mnie ze sobą, bo była niedziela, zaś on pojechał do wodociągów jedynie aby zapalić owe silniki. Kiedy weszliśmy z ojcem do hali wodociągów uderzyło mnie iż wokół jednej z maszyn biegała cała chmara krzykliwych ludzi, zaś hala wodociągów wyglądała jak duża ruchliwa fabryka podczas masowej produkcji. (Typowo kiedy odwiedzałem ojca w czasie jego pracy, był on jedyną osobą w całych owych wodociągach.) Mój ojciec wszedł do środka niemal niedostrzeżony w panującym tam tumultem. Podszedł do drugiego z motorów, wokół którego nikt właśnie nie biegał, położył jedną rękę na krzywce jego iskrownika zapłonu, drugą ręką z czuciem popchnął korbę rozruchową, zaś silnik natychmiast "zagadał". Cicho, spokojnie, bez wzbudzania wiatru. Rozkrzyczana chmara ludzi rzuciła się więc do obsługi motoru i pompy które właśnie zaczęły pracować. Wówczas mój ojciec równie skromnie i cicho poklepał cylinder drugiego motoru, coś tam przestawił w iskrowniku, popchnął korbę rozruchową i drugi motor także zagadał. Wszystko niepozornie, cicho, szybko i bez wiatru - aczkolwiek szokująco efektywnie. Obraz tego niepozornego sposobu pracy fachowców naprawdę efektywnych i wydajnych utknął mi na zawsze w pamięci. Teraz więc już wiem, że aby rozpoznać tego kto pracuje naprawdę wydajnie i czyj wkład naprawdę się liczy - chociaż zazwyczaj niemal go nie widać w tłumie, wcale NIE należy szukać go po tym ile hałasu ten ktoś czyni, czy ile wiatru wzbudza on swoim bieganiem. Raczej, zgodnie z tym co stwierdza Biblia w Ewangelii wg św. Mateusza, 7:16 i 7:20, należy pamiętać że **"po owocach go poznać"**.

Jednym z następstw opisywanego powyżej zdarzenia było, że szybko potem Milicz podjął budowę nowych wodociągów. Po ich zbudowaniu miejscowe "grube ryby" nie ryzykowały już utknięcia w łazienkach z oczami pokrytymi mydłem, którego nie byłoby czym zmyć. Innym następstwem było, że po zbudowaniu nowych wodociągów, mój ojciec NEI został w nich już zatrudniony, a stworzono z niego jednoosobową instytucję "miejskiej zieleni" przydzielając mu do siania, sadzenia, przycinania i opieki wszystkie milickie trawniki i kwietniki.

Ogromnie twórczy umysł mojego ojca odziedziczyły również wszystkie jego dzieci. Twórczość jego dzieci manifestowała się jednak u nich w najróżniejsze sposoby. Przykładowo mój brat Ludwik Pająk spędził swe życie starając się zbudować **"mieśniolot"** (tj. maszynę latającą jak samolot, tyle że napędzaną energią ludzkich mięśni). Muszę tu też przyznać, że wypracował na to bardzo innowacyjny projekt w którym siły wynoszącej w górę jego maszynę dostarczały nie skrzydła, a wirujące bębny formujące tzw. **"Efekt Magnusa"**. Niestety, po chemicznym zatruciu w fabryce, w której pracował, a jaka wymusiła jego przejście na rentę inwalidzką, nie miał warunków ani finansowania aby swój projekt zrealizować praktycznie.

A-9

Z kolei twórczy umysł mojego lubującego się w podróżach brata Stafana Pająk powodował, że Stefan opowiadał pobudzające wyobraźnię mity na temat pochodzenia, historii i losów naszej rodziny. Przykładowo, to właśnie Stefan od kogoś zasłyszał legendę i potem nam opowiadał, że nasza rodzina ze strony ojca (tj. "po mieczu") ma jakoby wywodzić się od dowódcy przybocznej gwardii tureckiego władcy ottomańskiego z czasów bitwy pod Wiedniem (tej dowodzonej przez Sobieskiego, a rozgrywającej się pomiędzy armiami Polski i Turcji). Pojedyńczy żołnierz tej gwardii był znany Polakom pod nazwą "Pajuk" - co po jego przybyciu do Polski miano przekształcić właśnie w nazwisko w "Pająk". Zgodnie z ową legendą powtarzaną przez Stefana, podczas bitwy pod Wiedniem dowódca tych "Pajuków" został wzięty do niewoli przez polskiego króla Sobieskiego, zaś po odzyskaniu wolności powędrował na piechotę do Polski aż z Wiednia, kupił sobie ziemię i osiedlił się w Polsce w okolicach Żywca. Ciekawe, że (jak wszyscy Turcy) owe "Pajuki" oryginalnie musieli by wywodzić się z okolic Mongolii - co zdawał się potwierdzać mój rozdwojony paznokieć narodu zwanego "Han" na małym palcu u nogi. Zgodnie bowiem z ludowym wierzeniem z Chin, jakie poznałem podczas swej profesury w Malezji, także wszyscy Chińczycy podobno wywodzą się albo od narodu "Man" albo też od narodu "Han". Nazwa "Man" dla części Chińczyków pochodzi od "Mandżurów", podczas gdy nazwa "Han" dla innej części Chińczyków pochodzi od "Mongolów". Warto tu przypomnieć, że podobne wierzenia o pochodzeniu Polaków kultywowane były na terenie dawnej Polski. Wszakże dawniej opowiadano sobie, że wszyscy Polacy wywodzą się albo od „Ormiana” albo też od „Chama”. Od "Ormiana", czyli od Gruzinów, miała wywodzić się polska szlachta. Natomiast od "Chama", czyli od Mongołów, mieli wywodzić się polscy chłopci. Tych którzy mają pochodzić od Han'a, Chińczycy rozpoznają ponieważ posiadają oni genetycznie im przekazane rozdwojone małe paznokcie na nodze. Znaczą, na małych palcach u nogi, ich paznokieć wygląda tak jakby się składał z dwóch odrębnych paznokci wyrastających równolegle obok siebie. Przez spory okres czasu w moim życiu - w tym podczas profesury w Malezji, ja też posiadałem właśnie taki rozdwojony paznokieć Han'a na małych palcach u nogi. Tyle że u mnie rozdwojenie to tajemniczo zaniknęło około 2000 roku. Stefan opowiadał też dosyć zastanawiające mity o naszej rodzinie po kądzieli, np. o wywodzącym się ze starożytności pochodzeniu nazwiska "Dzieciątko" dla rodziny mojego dziadka po kądzieli (tj. rodziny, wszyscy uczestnicy której, za wyjątkiem mojego dziadka, zginęli podczas drugiej wojny światowej). W porównaniu z jego mitami, np. książka o "DaVinci Code" brzmiała potem jak bajeczka dla małych dzieci.

A-10



Fot. A2: Moja mama, Anastazja Pająk, wraz ze mną (Jan Pająk) i moją młodszą siostrą Ireną Pająk, sfotografowani przy pokrzyżackim zamku podczas wizytowania w 1956 roku mieszkającego w Malborku mojego starszego brata Czesława Pająk – patrz strona "[malbork.htm](#)".

A3. Moje dzieciństwo

Ze swego najwcześniejszego dzieciństwa niewiele już pamiętam. Faktycznie to zanim moja pamięć zadziałała, poznałem o sobie tylko to co inni o mnie mówili. Przykładowo mój wujek i ojciec chrzestny, Edmund Gosek, żartobliwie kiedyś mi opowiadał, że wierzył iż zostanę śpiewakiem, bowiem podobno bardzo głośno płakałem podczas chrztu. Z kolei mój ojciec twierdził, że będę kochliwym bowiem miałem narzeczoną już w wieku dwóch lat - której zresztą nigdy świadomie nie pamiętałem. Była ona córką naszego sąsiada, bodajże nazywającego się Krawiec, który zaraz po wojnie mieszkał w najbliższym do nas domu Stawczyka jaki około 1950 roku został potem przejęty przez rodzinę Dajczmanów. Opowiadania ojca o tej mojej "narzeczonej" z dzieciństwa przyjmowałem więc jak jakąś baśnię o kimś innym niż ja sam. Nie pamiętam zresztą także rodziny owych sąsiadów zamieszkujących późniejszy dom Dajczmanów, chociaż pamiętam już swe często odwiedzanie Józka Dajczmana (starszego niż ja), bawienie się z nim na strychu ich domu, a nawet pamiętam że mój elementarz dla pierwszej klasy moi rodzice odkupili właśnie od rodziców Józka Dajczmana (był on starszy o dwa lata niż ja, ukończył więc pierwszą klasę dwa lata wcześniej i już nie potrzebował swego elementarza, zaś podręczniki szkolne były wtedy trudne do zdobycia). Podobno zwykłem wozić tą swoją "narzeczoną" na swoim dzieciennym trzykołowym rowerku, który ojciec mi osobiście zbudował zaraz po tym jak tylko nauczyłem się chodzić.

Pierwszym zdarzeniem jakie w swym życiu ciągle do dziś pamiętam, był zjazd na moim rowerku ze skarpy do przy-kolejowego poletka rodziny Krzyżosiaków. Poletko to mieściło się kilkadziesiąt metrów przed bramą naszego domu, na dnie wykopu po pradawnym śpichlerzu Wszewilek. Zawisłem wówczas na kolczastym płocie ogradzającym to poletko i omal nie straciłem oczu - do dzisiaj mam po tym bliznę na prawej brwi. Później zbulwersowało mnie potraktowanie rodziny Krzyżosiaków (naszych niemal sąsiadów) przez władze ludowe, gdy ich dom został im zabrany, zaś owe wiekowo starsze już osoby tuż przed emeryturą zostały przesiedlone do Milicza. Jak mi wiadomo, Krzyżosiak zresztą tego już nie zdołał przeżyć i wkrótce potem umarł.

Z dzieciństwa pamiętam też coniedzielne chodzenie z matką do naszego "rodzinnego" kościoła [Św. Andrzeja Boboli w Miliczu](#). Mój ojciec był ateistą, nigdy więc nam w tych wyprawach nie towarzyszył. (Będąc sam ateistą, nam nigdy jednak nie narzucał swego światopoglądu i pozwalał nam wierzyć w co tylko zechcemy.) Latem po każdej mszy, w drodze do domu matka kupowała mi loda. Ja nie wiedziałem wtedy czym ów lód jest, wiedziałem jednak że smakuje on przepysznie i dlatego zawsze z najwyższą chęcią towarzyszyłem matce w jej niedzielnych wyjściach do kościoła (Bóg działa w tajemniczy sposób).

Raz do roku odbywał się "odpust" przy małym kościółku [świętej Anny](#) w Karłowie koło Milicza. Na odpust ten zwykle przyjeżdżała moja babcia z Cielczy, zaś wszyscy troje, tj. matka, babcia i ja (mojej siostry Ireny wówczas jeszcze nie było na świecie), szliśmy na odpust skrótową drogą na wprost przez most kolejowy na Baryczy, oraz przez pola i łąki. Po drodze matka i babcia opowiadały mi ponownie historię objawienia się cudownej latającej istoty na dębie, który wtedy ciągle rósł przy ścianie za ołtarzem pod kościółkiem Św. Anny w Karłowie. Mnie jednak w odpuscie najbardziej interesowały stragany z zabawkami, stąd szybko zapomniałem opowiadania babci i mamy, a także co działo się wtedy podczas mszy. (Ówczesnych modlitw kościelnych i tak bym NIE rozumiał, bowiem w owych czasach msze nadal odprawiane były po łacinie.) Do dzisiaj pamiętam jedynie "**anielski kamień**" jaki leżał niedaleko od zachodniej ściany tego kościółka i jaki miał cechować się cudownymi zdolnościami (jak przekonałem się o tym podczas swych odwiedzin Polski w czasach pisania strony o nazwie "[sw andrzej bobola.htm](#)" i już po wyemigrowaniu do NZ, kamień ten

A-12

stamtąd tajemniczo zniknął), oraz pamiętam owe celofanowe wiatraczki jakie po mszy odpustowej babcia mi kupowała.

Jako małe dziecko aż do wieku kilku lat podobno byłem małym puciołowatym grubaskiem. Nawet moje zdjęcie z owych czasów pokazuje mnie jako grubaska – patrz "Fot. A" powyżej. Ciekawe jednak, że tak długo jak tylko pamiętam, byłem już szczupłym dzieckiem, jeśli nie wręcz chudziwą. Chudy i kościsty byłem też przez cały okres pobytu w Polsce i na początku po wyemigrowaniu do Nowej Zelandii. Przykładowo pamiętam, że nawet w 1992 roku ciągle ważyłem tylko 73 kilogramy przy wzroście 176 cm. Zacząłem stopniowo tyć dopiero po powrocie do Nowej Zelandii z profesur odbywanych poza jej granicami - znaczy dopiero po 1998 roku (powód, tj. zatruta chemikaliami woda, jaki ustaliłem, że spowodował on wówczas moje tycie, opisałem szczegółowiej w punktach #11, #12 i #13 ze swej strony internetowej o nazwie "[woda.htm](#)"). Na początku 2010 roku osiągnąłem już wagę 98 kg, która okazała się być górną granicą mojej wagi. Owe więc opowiadania rodziców, że byłem grubaskiem i że jako dwulatek miałem "narzeczoną", przyjmowałem tak jakby były o kimś innym, za kogo potem zostałem podmieniony w wieku około 4 lat - tj. w czasach kiedy moja jakby wyczyszczona wówczas pamięć zaczęła rejestrować wspomnienia z dzieciństwa.

Pomimo, że urodziłem się w czasach tzw. "**wyżu demograficznego**" (po angielsku "baby boom"), w okresie dzieciństwa **nas dzieci w moim wieku** wcale NIE było tak dużo w pobliżu naszego domu. NIE bardzo było więc się wówczas z kim bawić. Oprócz mnie, bezpośrednim naszym sąsiadem ze Stawczyka była rodzina Dajczman, której najmłodszym synem był chłopiec Józef Dajczman - o dwa lata starszy niż ja. Ich z kolei sąsiadami była rodzina Ugorek, ze synem Bronkiem Ugorek w moim wieku, oraz starszym o dwa lata Bolkiem Ugorek. Obok Ugorków mieszkała rodzina o nazwisku Sołtys, ze starszym o trzy niż ja lata Wackiem Sołtysem. Przy końcu Stawczyka mieszkała inna rodzina też o nazwisku Sołtys (NIE spokrewniona z uprzednią), z synem Tadeuszem Sołtys w moim wieku. Dopiero w kilka lat po nas, Stawczyk i Wszewilki zaczęły się zaludniać znacznie młodszymi od nas dziećmi. Aby jednak z nimi móc się bawić, my musieliśmy odczekać aż one nieco dorosną.

Z kolei z dzisiejszych Wszewilek, niemal naprzeciw poniemieckiego elektrycznego młyna mieszkała rodzina Matyka z synem Zbyszkiem Matyka, starszym o trzy lata niż ja, oraz młodszą niż ja Danką Matyka i jeszcze młodszym synem Jórkiem Matyka. Potem wiele domów dalej mieszkała rodzina Horak, z najmłodszym synem Zdlichem Horak o dwa lata starszym niż ja. Dalej mieszkała tylko rodzina Dobrzańskich z Leszkiem Dobrzańskim w moim wieku i starszym o kilka lat Czechem Dobrzańskim. Pod koniec Wszewilek mieszkała też rodzina Dziewaczyńskich, z synem których chodziłem do szkoły. Praktycznie też w owych czasach byli to już wszyscy z jakimi się bawiłem. Dopiero później zaczęło przybywać więcej ludzi z dziećmi, a także zaczęły rodzić się i wyrastać młodsze od nas dzieci.

W Stawczyku i Wszewilkach wszystko też wyglądało wówczas nieco odmiennie niż obecnie. Przykładowo, obecną szosę przez Wszewilki zbudowano dopiero w czasach budowy kolei żelaznej z Milicza do Krotoszyna (tj. tej kolei, szyny której odzielają Stawczyk od Wszewilek). W czasach więc gdy byłem małym chłopcem, sporo budynków starych Wszewilek nadal stało na polach wzdłuż pasa ziemi po którym przebiegała stara droga przez Wszewilki, tj. stało około 200 metrów na południe od dzisiejszego przebiegu szosy przez Wszewilki. Fragmentem owej starej drogi była też owa polna droga biegnąca jakieś 50 do 100 metrów na południe od obecnej szosy z Wszewilek do Godnowa, tj. polna droga wzdłuż jakiej nadal stoi spora część zabudowań Stawczyka.

Okolice Stawczyka i Wszewilek miały też sporo starych ciekawostek historycznych. Przykładowo, przy tamie na Baryczy istniały wówczas resztki prastarego młyna wodnego Wszewilek, domu młynarza prze owym młynie, oraz prastarego mostu drewnianego przez rzekę Barycz - obecnie wszystko to jest zalane stawem rybnym. Z kolei przy polnej "drodze na tamę" biegnącej od poniemieckiego młyna elektrycznego we Wszewilkach do owego

A-13

staropolskiego młyna wodnego przy obecnej tamie na Baryczy, w tamtych czasach nadal widać było pozostałości (np. klepiska z gliny i fundamenty) licznych lepianek robotników młyna wodnego. Lepianki te były bardzo małe - typowo wystarczające na zmieszczenie w nich jednego łóżka i maleńkiego stołu. Jakiś czas przed drugą wojną światową lepianki te zostały jednak wyburzone na rozkaz Hitlera, zaś ich mieszkańcy otrzymali lepsze mieszkania. W okolicach Stawczyka i Wszewilek istniało też wówczas aż kilka wiatraków. Jeden z nich było nawet widać z domu moich rodziców - stał bowiem na niewielkim wzgórzu przy szosie z milickiej stacji kolejowej do wsi Duchawa. Aż dwa inne stały na szczytach lokalnych wzgórków z pobliza wsi Stawiec.

Z owych historycznych ciekawostek w czasach dzieciństwa mnie najbardziej jednak fascynowały owe liczne drewniane "krzyże polne". Ich wysokość typowo była normalnej wysokości "krzyża Jezusa" - czyli około 3 metry i sporo z nich miało małe ogrodzenie (płotek) jakie je obiegały. W okolicach Stawczyka, Wszewilek, Cielczy i innych wsi jakie poznałem, było ich sporo. Niektóre z nich (z reguły te najbardziej stare) stały na zupełnym pustkowiu - zawsze pobudzając u mnie ciekawość dlaczego je postawiono właśnie w takich miejscach. Pamiętam, że w owych czasach praktykowaliśmy tradycję, iż kiedykolwiek przechodziliśmy koło takiego samotnego "krzyża polnego", zdejmowaliśmy czapkę i się żegnaliśmy. Niestety, z upływem czasu ilość nadal stojących "krzyży polnych" stopniowo malała, zaś dawnej tradycji żegnania się przy nich z czasem i ja pomału się oduczyłem i ją zapomniałem. Jedyny tego typu krzyż drewniany jaki widziałem iż nadal istniał w 2004 roku, jednak z powodu swej bliskości do kościoła trudno było go zaliczyć do kategorii "polnych krzyży", był ten stojący niedaleko kościoła Świętej Anny z podmilickiego Karłowa.

Zapewne każdy emigrant porównuje kulturę i wierzenia swego nowego kraju z dawną ojczyzną. Ja oczywiście też to czynię. Nic dziwnego więc, że po wyemigrowaniu do NZ, między innymi rozglądałem się tam też za obecnością "krzyży polnych". Jak jednak odkryłem, w NZ niemal NIE ma "krzyży polnych" - typu tych jakie pamiętałem z Polski. Za to jest wiele Biblii. W przeciwieństwie bowiem do Polski, gdzie NIE znałem nikogo kto posiadałby w domu własną Biblię, w NZ niemal każdy dom posiada co najmniej jedną Biblię. W każdym też pokoju motelowym czy hotelowym Biblię zawsze znajdzie się w szufladzie przyłóżkowego stolika. Zaraz po moim przylocie do NZ Biblia też leżała w poczekalni niemal każdej instytucji - w tym także w poczekalni do biura dyrektora (CEO) uczelni Southland Community College w jakiej pracowałem. (Ostatnio jednak owe Biblie pomału znikają z poczekalni instytucji państwowych NZ.) Natomiast z krzyży, to znajdują się one niemal wyłącznie na budynkach NZ kościołów, na cmentarzach, zaś specjalnie wykonywane małe "białe krzyże" umieszczone są też na obrzeżach szos w miejscach gdzie ktoś umarł w wypadku drogowym. (To właśnie pojawianie się zgrupowań takich "białych krzyży" w miejscach gdzie pod szosą przebiega tzw. "fault geologiczny" upewniło mnie iż generowany m.in. przez trzęsienia ziemi silny "**hałas telepatyczny**" zakłóca ludzką koncentrację.) Kiedy już niemal zapomniałem o swych poszukiwaniach nowozelandzkiej wersji "krzyża polnego", jeden z owych ogromnie tu rzadkich takich krzyży, ale z cementu a NIE z drewna, zobaczyłem przy petońskiej plaży zaledwie kilkaset metrów od mojego obecnego mieszkania. Z uwagi na swój specjalny kształt i konstrukcję jest on zwany "**krzyżem celtyckim**" - patrz <https://www.google.co.nz/search?q=petone+celtic+cross+burning+bush+pilgrimage&tbm=isch>. To przy nim dnia 2018/4/25 zmanifestował mi się "**gorejący krzew**" - o jakim w podrozdziale R12 tej autobiografii wyjaśniam, że cechy tego płomienia przekonały mnie iż ów krzyż celtycki wskazuje jedyne w całej Nowej Zelandii miejsce "chrześcijańsko święte" (niestety, nadal oficjalnie NIE uznawane za takie). Tuż bowiem przy nim osobiście byłem potem świadkiem aż szeregu następných cudów. Przykładowo to niedaleko od niego wcześniej widziałem "serce" (symbol miłości) wypalone w trawie. Na swoją prośbę modlitewną zostałem przy nim też cudownie wyleczony z kolejnego nawrotu mojego powtarzalnego "chronicznego kaszlu" powodującego wymioty, jaki przed tym wyleczeniem

A-14

męczył mnie przez około pół roku, zaś jakiego żadne znane mi lekarstwa NIE potrafiły pomniejszyć. Ponadto zdarzyły się przy nim jeszcze inne niezwykle manifestacje jakie opisuję i ilustruję w punkcie #J3 swej strony o nazwie "[petone.pl.htm](#)". Owe cuda jakie przy nim zaobserwowałem przywróciły mi więc chęć aby sprawdzić czy ktokolwiek z owych licznych nieustająco przechodzących obok tego krzyża Nowozelandczyków żegna się do niego - tak jak w czasach mej młodości my tradycyjnie czyniliśmy to przy krzyżach z okolic Stawczyka, Wszewilek, czy Cielczy. Chociaż jednak do chwili pisania tego paragrafu minęło już około roku niemal codziennego obserwowania co przy krzyżu tym się dzieje, jak dotychczas NIE odnotowałem tam żadnej innej niż ja sam osoby, która by tam się żegnała (ja sam przy nim staram się żegnać za każdym razem kiedy pogoda mi pozwala na zdjęcie czapki oraz podchodzę tuż do niego aby się pomodlić).

A4. Jak się żywiłmy

Fakt że przez większość lat młodości byłem chudziwą częściowo wynikał zapewne z biedy jaką przeżywali moi rodzice. W mojej rodzinie tylko ojciec pracował. Jego głodowe zarobki były czysto symboliczne - faktycznie zbyt małe aby utrzymać naszą ówczesną czterosobową rodzinę (tj. ojca, matkę, mnie i siostrę). Matka zaś nie pracowała - była tzw. **"gospodynią domową"**. Aby więc nie umrzeć z głodu przy tamtych głodowych zarobkach ojca, moi rodzice prowadzili też małe gospodarstwo rolne o wielkości 3 hektarów. Praktycznie też większość naszej żywności pochodziła właśnie z owego gospodarstwa, a NIE z zarobków mojego ojca - np. sami produkowaliśmy wszelkie mięso jakie wtedy zjadaliśmy, wszelkie mleko i wszelkie wyroby mleczne (ser, masło), całość owoców, warzyw, oraz ziemniaków. Z zarobków ojca nasza rodzina zakupywała jedynie chleb, cukier, kawę z palonego zboża, tłuszcze (najczęściej tzw. **"ceres"** - czyli tłuszcz roślinny do pieczenia, a czasami także margarynę i tani olej rzepakowy), marmoladę, śledzie, oraz sól.

Nasze posiłki były bardzo skromne – chociaż zaradność moich rodziców powodowała, że nigdy NIE głodowaliśmy. Przykładowo, na śniadanie typowo jedliśmy chleb posmarowany albo marmoladą, albo też margaryną (nigdy obojgiem naraz). Popijaliśmy to czarną chociaż posłodzoną kawą zbożową z palonego jęczmienia. Niemal nigdy nie piliśmy herbaty - bo ta była znacznie droższa od kawy zbożowej. Chleb posmarowany smalcem był tylko dostępny przez okres zimy, bowiem na początku zimy rodzice zabijali świnie, którą zjadaliśmy do wiosny - ponieważ potem mięso by się psuło, jako że przecież nie mieliśmy lodówki. Na obiad jedliśmy jakąś jednodaniową potrawę bezmięsną, którą moja matka cudownie potrafiła wyczarować ze skromnych produktów naszego gospodarstwa rolnego. Przykłady najczęściej przez nas jedzonych z takich potraw to: kluski z ziemniaków, tzw. "plindze" (tj. placki ziemniaczane), kluski na parze z mlekiem (tj. rodzaj jakby białych "bułek" z żytniej mąki gotowanych na gorącej parze), kapuśniak, ziemniaki z kapustą, zupę ze strąków zielonej fasoli, "zacierkę" (tj. zupę mleczną z mącznymi okruskami) lub makaron z mlekiem, naleśniki z serem, ziemniaki z "pojdką" (tj. z rodzajem jakby jajecznicy sporządzanej z małej liczby jajek i sporej ilości mąki z dodatkiem mleka), ziemniaki z "gziką" (tj. twarogiem zmieszany z śmietaną, mlekiem i ziołami, ziemniaki ze śledziem (solone śledzie były wówczas najtańszą rybą, moi rodzice często więc je kupowali), oraz kilka podobnych do nich potraw. Odnotuj przy tym, że w jednym dniu zjadaliśmy tylko jedną z wymionionych powyżej potraw - tak że taka lista potraw wystarczała nam na tydzień wyżywienia. Na zimę rodzice zabijali świnie. Stąd zimą na nasze niedzielne obiady składały się albo ziemniaki z kawałkiem upieczonego mięsa, albo też rosół z makaronem i z kawałkiem mięsa (przez "kawałek mięsa" rozumiem porcję jednorazowo nie przekraczającą 100 gram). Moi rodzice chodowali też kury. Jednak głównie były one dla znoszenia jajek, moja zaś matka tylko z dużymi oporami zgadzała się je zabić na mięso. Stąd matka zabijała kurę tylko w dwóch przypadkach, mianowicie albo (1) kiedy ktoś w domu był chory (wszakże rosół z kury jedzony z makaronem wzmacniał chorego, stąd w domu moich rodziców stanowił on rodzaj "lekarstwa"), albo też (2) kiedy kura była chora (tj. w naszej rodzinie nigdy żywność NIE była marnowana, stąd zjadaliśmy również i nasze chore zwierzęta, tj. chore kury i chore świnie, tyle że rodzice przykładali wówczas znacznie większą uwagę aby ich mięso dokładnie ugotować i wyprażyć). Kiedy rodzice zabijali kurę, wówczas jedna kura jedzona była przez całą naszą czterosobową rodzinę przez dwa dni. Jednego dnia zjadaliśmy z niej wszystkie kościste części i podroby, jak skrzydła, kadłub, szyję, żołądek, serce, wątrobę - ugotowane jako rosół jedzony z makaronem. Drugiego zaś dnia matka piekła mięsiste części, tj. oba udka oraz obie strony piersi kury, oraz zjadaliśmy je ze smakowitym sosem z masła i mąki oraz z duszonymi ziemniakami. Kiedy więc była kura na obiad, pojedyncza osoba otrzymywała do zjedzenia ze swym rosołem np. albo jedno skrzydełko, albo szyję, albo kości kadłuba, zaś z duszonymi ziemniakami i sosem np. jedno

A-16

udko lub połowę mięsistej piersi kury. To dlatego kiedy wyemigrowałem do Nowej Zelandii przeżyłem prawdziwy szok, kiedy odnotowałem, że moja piękna i elegancka koleżanka z pracy (Anna) zjadała całą pieczoną kurę na jeden "lunch" - wszakże w Polsce ta sama kura stanowiłaby dwa dni obiadu dla czteroosobowej rodziny. Na kolację ponownie jedliśmy chleb posmarowany albo marmoladą, albo też margaryną, oraz zapijany czarną kawą zbożową. Tylko z rzadka jedliśmy coś specjalnego, np. chleb z wędzonym dorszem albo chleb z kaszanką. (Wędzone dorsze też wówczas były bardzo tanią rybą, chociaż droższą od solonych śledzi, stąd kilka razy do roku rodzice kupowali je do zjedzenia z chlebem. Podobnie "kaszanka", czyli świńska krew gotowana z kaszą, była najtańszą "wędliną" stąd rodzice czasami też ją kupowali.) W późniejszych czasach, tj. około roku 1955, do Wszewilek dotarła umiejętność chodowania pomidorów, zaś moi rodzice też nauczyli się jak je chodować, stąd latem na kolację czasami jedliśmy też chleb z pomidorem. (Przed owym dotarciem pomidorów do Wszewilek, nikt z całej okolicy NIE znał, NIE widział, ani NIE potrafił ich wychodować.) Niemal wszystkie nasze posiłki były jednodaniowe, znaczy składały się tylko z jednej potrawy. Typowo nie miały też deseru, chociaż kiedy dojrzewały owoce w naszym sadzie wówczas każdy z nas jadł tyle owoców ile tylko zechciał i to w czasie kiedy tylko zechciał. (Mój ojciec lubował się w sadzeniu drzewek owocowych, mieliśmy więc spory sad przydomowy jaki rodził dostatek owoców.) Z kolei latem zawsze w domu był do picia orzeźwiający tzw. "**kompot z dyni**", tj. kosteczki polskiej miękkiej dyni jaką rodzice zawsze sadzili w ogrodzie i na polu, ugotowane z wodą, octem i cukrem - które też każdy pił do syta kiedy odczuł pragnienie.

Wyjątkiem od jednodaniowych posiłków było święta, tj. Boże Narodzenie i Wielkanoc. W owym czasie matka zawsze przygotowywała kilkudaniowy tradycyjny posiłek. Kiedy tradycja na to pozwalała posiłek ten obejmował również potrawy mięsne. Po posiłku tym serwowane były na deser różne ciasta domowego wypieku, takie jak babki, serniki, makocze, oraz placki z kruszynami. Na święta, oraz podczas specjalnych okazji, np. młocki, potrawy zapijane były słodkim piwem domowego wyrobu - zaś kiedy ja nieco podrośłem i nauczyłem się od ojca jak fermentować wino, także najróżniejszymi owocowymi winami domowego wyrobu (tj. winami jakie ja fermentowałem z wiśni, albo jabłek, albo czeremchy, albo jeżyn, a przy braku tychże, to z żyta). Z uwagi na owe smaczne i odmienne jedzenie podczas świąt, a także ponieważ na święta zjedzali się wszyscy moi starsi bracia, którzy w owym czasie mieszkali już z dala od domu, wszyscy lubiliśmy święta i przez cały rok wyglądaliśmy ich nadejścia.

Oczywiście, nawet już jako mały chłopiec, widziałem iż moi koledzy i sąsiedzi mieli więcej do jedzenia (szczególnie mięsa) i żywność o lepszej niż nasza jakości. Wypytywałem więc rodziców w tej sprawie. Rodzice zaś wyjaśniali, że mamy szczęście iż NIE musimy głodować - tak jak działo się w czasie wojny. Opisywali mi też jak podczas wojny musieli sami mleć żarnami zboże na mąkę aby móc samemu piec chleb jakiego wówczas NIE dało się kupić, zaś bardzo często przychodziło im też jeść jedynie łatwo dostępne wówczas chwasty jadalne zwane "lebioda" i "pokrzywy". (Lebiodę pokazują ilustrację pod adresem <https://www.google.pl/search?q=lebioda+chwast&tbm=isch> , zaś jadalny rodzaj pokrzyw - bo istnieją też pokrzywy niejadalne, pokazują ilustracje spod adresu <https://www.google.pl/search?tbm=isch&q=pokrzywa+zwyczajna> .) Poprosiłem więc mamę aby mi zademonstrowała jak smakują owe chwasty. Matka jednak NIE miała "serca" aby je przyrządzić w sposób na jaki jedli je w czasie wojny, upiekła mi więc te chwasty z jajkami - jako rodzaje jajecznic (oczywiście, w czasach wojny rodzice ani dziadkowie NIE mieli jajek, chwasty te smakowały im więc bardziej niejadalnie). Kiedy upieczone jak jajecznicą, okazały się całkiem smaczne i pożywne. Przykładowo, "lebioda" smakowała jak szpinak, zaś upieczone pokrzywy miały przyjemny pikantny smak - niestety pokrzywy były trudne do zrywania bowiem nieprzyjemnie "**parzyły**" skórę zrywającego, a w owych czasach NIE używało się rękawic (np. plastikowych czy gumowych) do ich zrywania. Dobrze więc wiedzieć o ich jadalności z powodów opisanych w (A6) z punktu #S5 na mojej

A-17

stronie o nazwie "[2030.htm](#)" – choć, niestety, żadne z obu gatunków tych jadalnych chwastów NIE rosną w NZ.

A-18

A5. Najważniejsze wydarzenia które pamiętam z czasów dzieciństwa

Ze swego dzieciństwa zapamiętałem kilka co bardziej emocjonalnie dla mnie istotnych zdarzeń. Oto opisy najważniejszych z nich:

1. Wielka powódź wiosenna na Wszewilkach. Miała ona miejsce około 1952 roku (+/- jeden rok). Wszystkie łąki aż do piaskowego wywyższenia przy domu moich rodziców były wtedy zalane wodą. Mój brat Stefan nieroztropnie wziął mnie do drewnianej wanny z dwoma deskami przybitymi poprzecznie do jej dna (dla lepszej stabilności) i pływał ze mną po owym oceanie wody. Kiedy wanna zaczęła się wywracać on musiał skoczyć do wody ponieważ ja nie umiałem pływać. (Gdyby on nie skoczył do wody, wówczas wanna by zakołobowała i oboje wylądowalibyśmy w wodzie - ja zaś zapewne bym wtedy utonął.)

2. Dziwne zachowanie brata. Mój brat Czesław pewnego razu sobie popił. Po pijanemu zdecydował się mnie udusić - i głośno mi to zapowiedział. Ponieważ wyczułem, że on twierdzi to na poważnie, zdołałem mu się wyrwać, uciec i ukryć przed nim w życie rosnącym koło naszego domu. Niestety, on mnie tam znalazł i po zablokowaniu mi dłonią ust faktycznie zaczął mnie dusić. Zapewne w ten sposób by został mordercą własnego brata gdyby nie najstarszy brat oraz brat Ludwik, którzy słysząc moje krzyki przybiegli i mnie uratowali od tamtego dziwnego napadu morderczych zamiarów brata Czesława. Powinienem tu dodać, że było to jedyne tego rodzaju zachowanie w niemal całym życiu Czesława. Przez resztę jego życia pozostawaliśmy bardzo dobrym, niemal wzorcowym rodzeństwem. Jedyny czas kiedy brat Czesław ponownie „pogniewał się” ze mną (tym razem na międzykontynentalną odległość) był okres kilku ostatnich miesięcy jego życia - kiedy zaczął zachowywać się bardzo dziwnie i nietypowo.

Tak nawiasem mówiąc, to Czesław omal że sam uległ uduszeniu w wieku około 7 lat - zapewne więc pamiętał jak takie duszenie się odczuwa. Było to czasach około środka drugiej wojny światowej. Bawił się wówczas w piaskowni położonej tuż przy szosie z Cielczy do Jarocina, Wysoka ściana piasku wówczas obsunęła się na niego i kompletnie go zasypała. Wyjątkowo jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności szosą tą właśnie jechał na rowerze niemiecki żołnierz i widział przebieg owego obsunięcia się piaskowej ściany. Zeskoczył więc z roweru i zaczął odkopywać Czesława. Gdy do niego się dokopał Czesław był już nieprzytomny. Jednak żołnierz jakoś zdołał przywrócić go do przytomności. Oprócz owego niemieckiego żołnierza, nikt z dorosłych NIE był świadkiem tamtego zdarzenia.

3. Fascynacja zapachem benzyny i spalin. W dzisiejszych czasach ludzie wążają kleje i inne narkotyzujące substancje. Pamiętam jednak, że w czasach mojego dzieciństwa wszyscy ludzie jakich znałem lubili wążać zapach benzyny (tej używanej jako paliwo w samochodach). Intrygująco, nawet zapach spalin z silników na benzynę lub na ropę też ludziom się podobał. Niektórzy nawet dla tego zapachu spryskiwali benzyną swoje ubrania - tak jak obecnie kobiety spryskują się perfumami. Owo wążanie benzyny NIE było jednak dla celów narkotyzowania, a - jak wierzę, rodzajem przedsmaku czy intuicyjnej znajomości epoki motoryzacyjnej jaka miała wkrótce nadejść na Ziemię. Moja żona Sue żyjąca wtedy w Malezji też potwierdziła mi potem, że w owych czasach także lubiła wążać benzynę. Wygląda więc na to, że jesteśmy jakoś programowani na określone technologie, które mają nadejść za naszego życia (np. generacja, która ma popierać rozwój motoryzacji, musi lubieć zapach benzyny i paliw, a stąd podświadomie popierać wszystko co z benzyną się wiąże).

4. Pierwsza jazda. Moja pierwsza przejażdżka samochodem jaką pamiętam miała miejsce kiedy miałem około 5 lat. Mama zabrała mnie wtedy na obowiązkowe szczepienia ochronne do Stawca, zaś w drodze powrotnej ktoś ją (i mnie) podwiózł w kabinie starożytnie wyglądającej ciężarówce. W owym czasie wszystkie samochody, włączając w to ciężarówki, zapuszczało się korbą (a nie rozrusznikiem). Z kolei zamiast migających obecnych kierunkowskazów, samochody i ciężarówki miały wtedy na bokach jakby podnośne ramiona małych czerwonych semaforów, które po zasterowaniu przez kierowcę podnosiły się kiedy ciężarówka zamierzała skręcać.

B-1

Rozdział B:

Miasteczko MILICZ (1953-1957) (SZKOŁA PODSTAWOWA nr 1 w MILICZU - klasy szkoły 1, 2 i 4)

Uzupełnień i poszerzeń opisów z tego "rozdziału B" szukaj w: stronach internetowych o nazwach "[milicz.htm](#)", "[sw_andrzej_bobola.htm](#)", "[klasa.htm](#)" i "[rok.htm](#)".

Faktycznie to cała moja **edukacja** podążała typowym kursem komunistycznej Polski. Najpierw, nadal mieszkając w podmilickich Wszewilkach, w dniu 1 września 1953 roku zacząłem uczęszczać do pierwszej klasy **Szkoły Podstawowej numer 1** w pobliskim miasteczku **Miliczu** (w owym czasie mającym już około 6000 mieszkańców). Podczas pisania niniejszej autobiografii w marcu 2019 roku znalazłem w internecie adres strony tamtej szkoły: <http://sp1milicz.pl/index.php> . Później aż kilkakrotnie zmuszony byłem zmieniać szkoły podstawowe do jakich uczęszczałem - tak jak to wyjaśnię w następnych rozdziałach. Jednak swą podstawówkę ukończyłem w normalnym czasie (tj. bez powtarzania żadnej klasy) w 1960 roku. Potem zacząłem uczęszczać do szkoły średniej (od 1960 do 1964), którą było jedyne wówczas **Liceum Ogólnokształcące w Miliczu**. Maturę zdałem w 1964 roku. Świadectwo maturalne upoważniało mnie do wstępu na wyższe uczelnie. Wybrałem 6-letnie studia magisterskie na **Politechnice Wrocławskiej**, która w owym czasie była jedną z najbardziej renomowanych uczelni w Polsce. (Na bazie swojej obecnej znajomości poziomu nauczania w innych uniwersytetach świata, ja osobiście wierzę, że w owym czasie **Politechnika Wroclawska była nie tylko najlepszą uczelnią w Polsce, ale jednocześnie i jedną z najlepszych, jeśli nie najlepszą, ze wszystkich uczelni na świecie.**) Przypadało wówczas około 12 kandydatów na każde wolne miejsce z owej Politechniki. Stąd jedynie zdanie egzaminów wstępnych okazało się ogromnym sukcesem. Studiowałem tam od 1964 roku do 1970 roku. Przez ostatni rok studiów otrzymywałem specjalne "**stypendium naukowe**" zarezerwowane tylko dla kilku najlepszych studentów. Stypendium to upoważniało do zostania zatrudnionym na uczelni po zakończeniu studiów.

Dominującym akcentem mojej młodości i edukacji była bieda naszej rodziny (t.j. było nam wszystkim bardzo ciężko). Jednak jak obecnie wierzę, owa nasza bieda i przeżyte trudności okazały się ogromnie korzystne dla mojej przyszłości. Moja teoria, że zaznanie hardship'u (tj. twardej szkoły życia) w młodości, szczególnie zaś w okresie szkoły podstawowej i szkoły średniej, jest nieodzownym warunkiem późniejszego sukcesu w życiu, opisana jest m.in. w punkcie #A3 na początku strony "[god proof pl.htm](#)". Poparciem dla tej teorii są treści przysłów różnych narodów (szczególnie chińskich i angielskich), a także słowa Biblii.

Jako przykład tamtejszych trudności życiowych rozważmy zdobywanie mojej edukacji. Okazało się ono jedną długą drogą cierniową. Tylko podczas kończenia podstawówki, w owym czasie rozciągającej się na siedem klas/lat, aż 5-krotnie zmieniałem szkołę. I tak podstawówkę zacząłem (1) w Szkole Podstawowej nr 1 w Miliczu - do której dochodziłem piechotą z Wszewilek. Z powodu owego 3-kilometrowego codziennego dochodzenia piechotą do szkoły w Miliczu, niemal każdego dnia musiałem staczać zacięte boje z bandami chuliganów jacy wówczas okupowali jedyną drogę do szkoły przez ulicę Krotoszyńską i jacy sprawiali lanie każdemu przechodzącemu tam dziecku, które NIE należało do ich bandy. Jakoś jednak przebrnąłem tak przez klasę pierwszą i drugą. W klasie trzeciej zmienili rejony i władze przenieśli mnie (2) do Szkoły Podstawowej we Wszewilkach. Klasę czwartą ponownie uczęszczałem (3) w Szkole Podstawowej nr 1 w Miliczu. Jednak na czas klasy piątej musiałem

B-2

przenieść się (4) do Szkoły Podstawowej z wioski Cielcza koło Jarocina, bowiem moja niedawno owdowiała babcia potrzebowała wsparcia moralnego i towarzystwa, zaś ja byłem jedynym "nieosiadłym" w rodzinie jaki mógł do niej się przeprowadzić. Na czas klas szóstej i siódmej wróciłem do domu we Wszewilkach i mój brat Czesław próbował abym mógł je ukończyć (4) w Szkole Podstawowej nr 3 w Miliczu - jednak jej nauczyciele widząc u mnie mizerne efekty edukacyjne poprzeniego ucześnieczania do 5 klasy w szkole z Cielczy, oraz słysząc moją zaawansowaną gwaraę poznańską, już po kilku tygodniach spowodowali abym oficjalnie został przeniesiony do (5) Szkoły Podstawowej we wsi Stawiec - tj. do szkoły z niewielkiej wioski sąsiadującej z Wszewilkami.

B-3

B1. Szkoła Podstawowa nr 1 w Miliczu

Uzupełnień i poszerzeń opisów z tego "podrozdziału B1" szukaj w: punkcie #D9 z mojej strony o nazwie "[milicz.htm](#)", w punktach #D3, #H1 i #H2 innej mojej strony o nazwie "[bitwa o milicz.htm](#)", oraz w punktach #D1 i #F3 strony "[sw andrzej bobola.htm](#)".

Przygotowania do podjęcia nauki w szkole podstawowej zaczęły się latem 1953 roku. W tym celu moja mama kupiła mi buty (jeden z których szybko gdzieś zgubiłem), dwa zeszyty, ołówek i pióro, używany elementarz od sąsiadów Dajczmanów, oraz nową torbę szkolną na plecy. (Torbę tę używałem potem aż do ukończenia 7 klasy - czyli przez cały czas nauki w podstawówce.) Dnia 1 września 1953 roku moja mama wzięła mnie za rękę i poprowadziła do szkoły. O godzinie 8 rano przyszlśmy na podwórko Szkoły Podstawowej Numer 1 w Miliczu, gdzie oczekiwały już dzieci z wyższych klas zebrane razem na apel poranny i poustawiane we wojskowym szyku. Prymus z siódmej klasy (wówczas ostatniej klasy szkoły podstawowej), raportował właśnie dyrektorowi szkoły, panu Orzechowskiemu, stan poszczególnych klas.

Pierwszego dnia nie nauczyliśmy się wiele. Coś tam rysowaliśmy i zapoznawaliśmy się z życiem w owej szkole - wówczas zwanej "**jedynka**". Następnym jednak dni zaczęła się nauka pisania i czytania. Szkoła każdego dnia zaczynała się o 8 rano od "**apelu**" całej szkoły w wojskowym stylu, kiedy każda klasa stawała w dwuszeregu, a przedstawiciel uczni raportował stan liczbowy poszczególnych klas. Do nauki miałem wówczas używany "elementarz" jaki mama dla mnie odkupiła od rodziców o dwa lata starszego sąsiada Józka Dajczmana.

W moich latach szkolnych zawsze miałem szczęście, że **do mojej klasy zawsze byli przydzielani doskonali nauczyciele**. Przykładowo, w szkole nr 1 w Miliczu moją wychowawczynią była Pani **Bronisława Krzywicka** - doświadczony i doskonały pedagog od której dużo się nauczyłem. (Dożyła ona niemal 100 lat.) Moim ulubionym przedmiotem były wówczas rachunki. Znacznie gorzej szło mi jednak z językiem polskim (szczególnie z ortografią i gramatyką) - stąd potrzebowałem dobrego nauczyciela. Ponadto w "**dobrej szkole**" nawet najleniwszy uczeń nauczy się więcej niż najzdolniejszy uczeń w niezbyt dobrej szkole. A szkoła nr 1 w Miliczu była wówczas właśnie "dobrą szkołą" (a być może nawet "**doskonałą szkołą**"). Musi też być w tym jakieś prawo natury, lub istotna mądrość ludowa. Wszakże niemal to samo twierdziła moja znajoma Bev z Dunedin (właścicielka "real estate" przedsiębiorstwa sprzedającego domy) - używając nieco innych słów: "**lepiej kup najgorszy dom w najlepszej dzielnicy, niż najlepszy dom w najgorszej dzielnicy**".

W budynku szkoły nr 1 z Milicza były unikalne schody. Posądzam że doskonały architekt tej szkoły celowo zaprojektował owe schody w taki sposób aby dzieci mogły "ześlizgiwać" się w niej w dół po poręczach schodowych. Poręcze te bowiem były idealnie dostosowane do wzięcia ich pod pachę przez dziecko i do błyskawicznego zjeżdżania po nich w dół schodów podczas gdy nogi szybko "tukotały" po schodach. Muszę się tutaj przyznać, że tamten sposób "szybowania" w dół schodów z pomocą poręczy, śni mi się czasami i obecnie (tj. w wieku ponad 70 lat) i należy do jednego z najmilszych wspomnień dzieciństwa i szkoły podstawowej. Niestety, zgodnie z zasadą "zabrońmy dzieciom wszystkiego co da się zabronić", kiedy byłem już w liceum poręcze te ktoś przerobił poprzez panakręcanie na nie poschodkowanych nakładek, tak że późniejsze niż moje pokolenia uczni pozbawione już zostały owej przyjemności "szybowania" w dół schodów.

Przez okres drugiej klasy szkoły podstawowej wszystkie dzieci z naszej szkoły dostawały mleko. Na długiej przerwie przybywali wówczas z mleczarni i każde dziecko dostawało do wypicia jeden kubek mleka (ok. 250 ml). Była to ogromnie pożyteczna i zbawienna dla zdrowia dzieci inicjatywa, bowiem wiele dzieci (w tym i ja) w owym okresie

B-4

pochodziło z biednych domów, gdzie nie bardzo było stać ich rodziców na danie dziecku kubka mleka każdego dnia. Szkoda że w dzisiejszych czasach taka inicjatywa nie jest już nigdzie kontynuowana. Od mojego bliskiego przyjaciela od czasów profesury w Malezji (nawiasem mówiąc, którego umiejętności i cechy charakteru nabyte dzięki spędzeniu biednego dzieciństwa pozwoliły mu awansować do pozycji faktycznego generała i "commaner in chief", jakiemu potem przyznano prawdopodobnie najwyższe dekoracje uzyskane przez kogokolwiek w jego kraju) dowiedziałem się, że zaraz po wojnie i ciągle w czasach kiedy Malezja pozostawała kolonią Anglii, podobną zasadę dokarmiania szkolnych dzieci także i tam praktykowano. Tyle że zamiast mleka, każde malezyjskie dziecko codziennie otrzymywało wówczas do wypicia łyżkę ogromnie pożywnego i pobudzającego zdrowie "oleju palmowego" opisywanego na mojej stronie o nazwie "[fruit pl.htm](#)".

W życiu każdej osoby występują niewyjaśnione zjawiska jakie zapewne wynikają z [karmy](#). W moim życiu takim zjawiskiem była dziwna "**karma butów**". Powodowała ona, że aż do czasów poznania mojej żony Sue, ja nigdy nie miałem dobrych butów. Kiedykolwiek dostawałem lub kupiłem sobie jakieś buty, natychmiast w jakiś tajemniczy sposób pojawiała się w nich dziura, rozlatywały się, albo cisły. Ta moja "butowa karma" zaczęła się w dzieciństwie, kiedy to najlepszą parę butów na jaką moich rodziców było wówczas stać i jakie kupili mi abym miał buty dla chodzenia do szkoły, na drugi dzień po zakupie zdekompletowałem poprzez zgubienie jednego buta w drodze powrotnej ze szkoły. W owym czasie ciągle było ciepło (wrzesień to przecież koniec lata), w drodze więc powrotnej do domu zdjąłem budy i niosłem je w ręku zamiast na nogach. Do dzisiaj nie mam pojęcia jak to było możliwe aby zgubić jeden but. Faktem jednak jest, że po przyjsciu ze szkoły do domu okazało się, iż w ręku mam tylko jeden z obu butów. Przez kilka kolejnych dni musiałem chodzić więc do szkoły na bosaka bowiem moich rodziców nie stać było na kupienie mi drugiej pary butów. Całe szczęście, że było wówczas ciągle ciepło. Zagubienie drogich butów w czasach kiedy moich rodziców kosztowało sporo wyrzeczeń aby mi je kupić, wprowadziło mnie w uczucie winy na resztę swego życia. Z kolei chodzenie na bosaka do szkoły dało mi lekcję o tytule "**nie gub butów kiedy masz tylko jedną ich parę**". Po tym zdarzeniu, z najróżniejszych powodów przez sporą proporcję życia żyłem już z niedoskonałymi butami – prawdopodobnie z powodu działania "prawa morlanego" jakie w (#6C) z podrozdziału I4.1.1 w tomie 5 mojej monografii [1/5] nazywam "**Prawem Drabiny Partnerskiej**". W sprawie butów prawo to stwierdzało, że "**skoro w swym partnerstwie z pierwszymi swymi butami potraktowałem je lekceważąco i nieodpowiedzialnie, w następnych partnerstwach z butami to one traktowały mnie w dokładnie taki sam sposób**". Jeśli więc zakupywane później buty były solidne i dobrej roboty, nie mogłem ich nosić bowiem uciskały. Jeśli zaś były wygodne, zawsze miały gdzieś dziurę. Kiedy w czerwcu 1991 roku wizytowałem mego brata Czesława w Malborku, on powiedział że "spacerowanie po deszczu jest tylko wtedy nieprzyjemnie gdy się ma dziurawe buty - ale oczywiście Ty jako dobrze płatny naukowiec bez wątplenia masz wysokiej jakości i szczelne buty, stąd taki spacer będzie dla Ciebie przyjemnością". Nie czułem się wtedy jakoś na siłach aby mu się przyznać, że ja przez niemal całe swe uprzednie życie, włącznie z chwilą kiedy on mi to wyjaśniał, noszę dziurawe buty.

W czasach uczęszczania do szkoły w Miliczu, na ulicy Krotoszyńskiej operowała dziecięca "**banda**" której przywódcą był mój kolega z tej samej klasy (mieszkał on razem z kilkoma brańcami w pomalowanym na żółto kilku-rodzinnym budynku jaki wówczas znajdował się na ulicy Krotoszyńskiej na wprost wylotu głównej szosy z Wszewilek). Banda ta dokonywała tego co po angielsku nazywane jest słowem "bullying" (tj. "bykowanie") - znaczy objała każde słabe dziecko jakie NIE było się w stanie bronić przed owymi chuliganami. Normalnie jednak banda ta mnie nie atakowała, bo moim przyjacielem był Leszek Dobrzański z Wszewilek, jakiego uczestnicy owej bandy się bali. Jednak w dniach kiedy Leszek z jakichś powodów nie przychodził do szkoły, ja i jeszcze jeden wierny mój sprzymierzeniec musieliśmy

B-5

staczać regularne bitwy z ową bandą. Z owego okresu wyniosłem naukę, że prawdą jest rzymskie powiedzenie **"aby mieć pokój przygotuj się do wojny"**.

Mój ojciec palił papierosy. Badania zaś ujawniają, że przykład palącego ojca źle działa na dzieci. Już więc od pierwszej klasy szkoły podstawowej wykazywałem skłonności do skrytego palenia papierosów. Rodzice tego nie widzieli, jednak **mój starszy brat Stefan mnie wypatrzył, że palę**. Postanowił więc dać mi nauczkę, jaka oduczylaoby mnie skrytych ciągót do palenia papierosów. Pechowo tak się zbiegło, że w owym czasie zabolał mnie ząb. Mój brat Stefan umiejętnie przekonał więc dobroduszną mamę, że abym nie cierpiał bólu zęba powinienem wypalić papierosa. Moja mama się zgodziła, zaś brat Stefan zaczął mnie częstować papierosami. Miał ich już przygotowaną całą paczkę – marki **"mewa"**, które były wówczas **"najsilniejszymi"** w sprzedarzy w komunistycznej Polsce (nawet mój ojciec NIE chciał ich palić). Aby zwiększyć ich moc mój brat je dodatkowo sprasował – tak, że były płaskie. Pierwszego podanego mi papierosa wypaliłem z przyjemnością. Kiedy jednak go skończyłem mój brat odpalił od niego drugiego i kazał mi kontynuować. Paliłem go już z ociąganiem. Po skończeniu brat odpalił od niego następnego i nakazał mi palić. Mi już było niedobrze, więc usiłowałem odmówić. Wówczas brat powiedział, że **sprawi mi "łomot" jeśli nie wypalę**. Paliłem więc. Po nim były następne - nie pamiętam już ile ich było zanim w głowie mi się już kręciło jak pijanemu i zacząłem wymiotować. Dopiero wówczas brat zaprzestał. Dostałem okropnego zatrucia nikotyną i o mało nie umarłem. Jednak siedziałem cicho, bo wiedziałem iż brat powie rodzicom o moim paleniu jeśli pisnę choćby słowo. Byłem potem chory chyba z tydzień, zaś moja dobroduszna mama na głos się zastanawiała **jak to zwykły ból zęba sprowadził na mnie aż tak silną chorobę**. Niemniej owa "kuracja odwykowa" mojego brata okazała się zdumiewająco skuteczna. Po owym doświadczeniu **przez resztę życia nie mogłem patrzeć na papierosy, zaś zapach dymu papierosowego przyprawiał mnie o mdłości**.

Jak powtórnie dowiedziałem się tego z telewizji dopiero w październiku 2019 roku, silne zatrucie się czymkolwiek utwierdza w organizmie podświadomą odrazę do tego co kogoś zatrulo. Owa zaś odraza może być używana właśnie do przeprowadzania efektywnych **"kuracji odwykowych"** – podobnych do tej jaką mi zaserwował mój brat Stefan. Tak się też złożyło, że jakiś pozbawiony rozsądku plantator trzciny cukrowej sprowadził do Australii silnie trującą ropuchę, która z upływem czasu tak się tam rozmnożyła, iż stała się prawdziwą plagą. Atakowały ją bowiem i zjadały wszystkie miejscowe zwierzęta mięsożerne, zaś zawarta w niej trucizna natychmiast je uśmiercała. W rezultacie w Australii na początku 21 wieku z jej powodu zaczęło wymierać wszystko co mięsożerne - a więc węże, jaszczury, psy dingo, krokodyle, a nawet domowe zwierzęta. Dopiero więc pod koniec 2019 roku jakiś miejscowy znawca natury wprowadził tam do użycia "kurację odwykową" mojego brata Stefana. Mianowicie zaczęto tam łapać owe ropuchy kiedy jeszcze są bardzo maleńskie i stąd nadal mają w sobie niewiele trucizny, poczym dawano je do spożycia miejscowym zwierzętom mięsożernym. Trucizna owych maleńkich ropuch czyniła te zwierzęta okropnie chorymi, jednak typowo jej mała ilość pozwalała im wyzdrowieć i przeżyć. Jak też praktyka pokazała, po pierwszym zatruciu się tymi małymi ropuszkami, owe zwierzęta przez resztę życia z obrzydzeniem omijały już inne z tych ropuch, w ten sposób przeżywając rozpanoszenie się ich plagi po Australii.

Moją ulubioną zabawą wiosenną w owych czasach było **"skakanie po krach lodowych"** - czyli okropnie niebezpieczna dziecinna zabawa, jaka później stała się **symbolem mojego dorosłego życia**. Bawiłem się w nią w czasach, kiedy jeszcze nie umiałem pływać. Mianowicie, kiedy na wiosnę lód topniał zaś duże połacie łąk były zalane wodą o wiele głębszą od mojego wzrostu, po wodzie tej pływały ciągle niestopione kry lodowe. Były one zbyt małe aby statycznie utrzymać moją wagę. Jeśli jednak wskakiwałem na nie na krótko, wówczas było dosyć czasu aby przeskoczyć na następną krę zanim dana kra uległa zatopieniu pod moim ciężarem. Owa moja ogromnie niebezpieczna zabawa w "skakanie

B-6

po krach lodowych" polegała więc na tym, że **przeskakiwałem z kry na kry** biegając sobie w ten sposób po krach pływających po głębokiej wodzie. Jakoś w dziecięcej głupocie nie przyszło mi wówczas do głowy, że jeśli któraś kra się ropadnie pod moimi nogami, albo ja się z niej ześlizgnę, to przecież nie umię pływać, zaś woda jest zbyt głęboka abym w niej nie utonął w butach i ciężkim ubraniu wiosennym. Widac NIE bez istotnego powodu w wersecie 22:15 bibilijna "Księga Przysłów" podkreśla: "**W sercu chłopięcym głupota się mieści, różga karności wypędzi ją stamtąd**". Miałem jednak szczęście, że owa moja dziecięca głupota NIE zakończyła się tragicznie, oraz że z upływem czasu jakoś wyrosłem z tej zabawy zanim przytrafił mi się tragiczny wypadek.

Latem 1954 roku (około końca czerwca - początku lipca - zboża były już duże bo nie mogłem już w nich zbierać rybek) - **we Wszewilkach padały z nieba niewielkie płotki** - około 5 [cm] długości. Najprawdopodobniej była wtedy niedziela około południa, bowiem wszyscy byliśmy w domu (włączając w to pracującego ojca). Pamiętam, że obserwowaliśmy przez okno to niezwykle zjawisko i dyskutowaliśmy (komentowaliśmy) je ze sobą (ja, ojciec i matka). Gęstość spadania - jedna rybka na każdy kwadrat o boku około 10 metrów. Na podwórku i na przydomowej drodze potem nabierałem około 20 rybek (ojciec kazał mi je pozbierać aby potem wrzucić do naszego stawku potorfowego). Wszystkie były tej samej wielkości i tego samego gatunku płotek (wyglądały jak bliźniaki). Jedna wpadła do naszej (odkrytej) studni i została wyłowiona ciągle żywa w kilka dni później. Po upadku zawsze gwałtownie się rzucały wykazując znaczną świeżość i siłę. W chwili ich spadania lał dosyć ulewny deszcz, jednak nie było silnego wiatru (typu huragan czy trąba powietrzna) któremu możnaby przypisać ich przyniesienie. Warto tu dodać że Anglicy posiadają powiedzenie "rains cats and dogs" (tj. "pada kotami i psami") które prawdopodobnie wywodzi się z podobnych ulewnych deszczy rzucających żywymi stworzeniami.

W okresie szkoły podstawowej miałem też niezwykle przyzycie. Mianowicie kiedy mój dziadek, Edward Dzieciątko, był bliski śmierci, moja matka wysłała mnie (samego) pociągiem ze Stawczyka do ich domu w Cielczy, abym się z nim pożegnał. Po rozmowie z dziadkiem wieczorem w dniu 9 sierpnia 1955 roku (byłem wówczas na wakacjach pomiędzy 2-gą i 3-cią klasą szkoły podstawowej), położyłem się do łóżka i twardo zasnąłem. W środku tego twardego snu coś mnie nagle przebudziło bez żadnej przyczyny. W chwilę po przebudzeniu usłyszałem swoją babcię jak wyszła z pokoju w którym leżał mój umierający dziadek i przyszła do pokoju w którym ja spałem. Po wejściu Babcia powiedziała mi, że właśnie chwilę wcześniej **mój dziadek umarł**. A więc owo nagłe przebudzenie się ze snu spowodowane jakoś zostało śmiercią mojego dziadka. U babci pozostawałem wówczas przez czas przygotowań do pogrzebu aż do czasu po pogrzebie - w którym też uczestniczyłem.

W powyższym zdarzeniu warto odnotować że jako 9-letnie dziecko na ochotnika podróżowałem już samemu pociągiem dalekobieżnym z Wszewilek aż do Cielczy. W dzisiejszych czasach "chronienia i owijania dzieci w bawełnę", taka **samotna podróż pociągiem 9-letniego dziecka byłaby wprost NIE do pomyślenia**. Chociaż dojście z domu do stacji kolejowej w Miliczu, zakup biletu, oraz wsiadnięcie do pociągu nie były takie trudne (nasz dom rodzinny stał tuż przy torach kolejowych, zaś w owym czasie tylko jeden, tj. mój, pociąg przejeżdżał tej godziny przez stację kolejową w Miliczu), problem stanowiło wysiadnięcie z pociągu. Wszakże rozpoznać Jarocin oraz wysiąść z pociągu na stacji w Jarocinie musiałem już sam. Sam też musiałem przejść całą drogę (częściowo przez las) ze stacji kolejowej w Jarocinie do domu mojej babci w Cielczy. (Oczywiście, ja znałem dobrze tą drogę, bowiem przedtem podróżowaliśmy do babci wiele razy z moją matką.) Aby łatwiej mógł śledzić podróż i wiedzieć po którym zatrzymaniu się pociągu będzie Jarocin, wspólnie z matką sporządziliśmy perforowany maszyną do szycia pasek papieru z wypisanymi na nim kolejnymi stacjami pomiędzy Miliczem i Jarocinem. Stąd na każdej kolejnej stacji ja oddzierałem kolejny poperforowany segment z owego paska papieru (tj. jakby oddzierałem jeden znaczek z długiej wstęgi znaczków pocztowych), zaś kiedy dotarłem tak do ostatniego

B-7

segmentu wówczas wiedziałem, że mam wysiąść z pociągu, bo była to już stacja w Jarocinie. Nic dziwnego że po takim wyczynie, kiedy następnej podróży (już z moją matką) widzieliśmy o wiele lat starszego niż ja chłopca, który panicznie bał się pociągu - zaś jego matka go usprawiedliwiała, że jedzie pociągiem po raz pierwszy w życiu, u mnie moja samodzielność wzbudziła szczególną dumę, zaś obraz owego panicznie uczonego matki nastolatka utkwiał mi na zawsze w pamięci.

B2. Miniaturowe muzeum ze Szkoły Podstawowej Nr 1 w Miliczu

Szkoła Podstawowa Nr 1 w Miliczu miała zapewne doskonałego architekta. Jak bowiem na owe czasy była ona zaprojektowana ogromnie funkcjonalnie. Miała trzy piętra klasowe i dodatkowe czwarte piętro użytkowe. Na każdym z trzech pięter od strony podwórka znajdował się długi korytarz, z którego były wejścia do poszczególnych klas. Wzdłuż ścian tego korytarza na każdym piętrze stały szklane gabloty zamykane na klucz. Zawartość zaś owych gablot reprezentowała miniaturowe muzeum Milicza. Ja muszę się tutaj przyznać, że w moich licznych podróżach po świecie zawsze staram się odwiedzić miejscowe muzea. Jak też później stwierdziłem, owo miniaturowe muzeum ze Szkoły Podstawowej Nr 1 w Miliczu, w moich czasach było lepiej zaopatrzone w zapierające dech eksponaty, niż odwiedzane przezemnie w późniejszych czasach muzea narodowe Malezji i Singapore zlokalizowane w Kuala Lumpur i w mieście Singapur. Co ciekawsze, owo miniaturowe muzeum szkolne z lat mojego dzieciństwa było nawet nieporównanie lepiej zaopatrzone w interesujące eksponaty, niż oficjalne muzeum Milicza które odwiedziłem w lipcu 2004 roku, a które pod nazwą "Izba Regionalna" mieściła się wówczas w prawym skrzydle pałacu margabiów Maltzanów w Miliczu (tj. w skrzydle kiedyś przeznaczonym dla służby pałacowej).

W owych gablotach z korytarza Szkoły Podstawowej Nr 1 w Miliczu mieściły się setki najróżniejszych eksponatów, które w czasach międzywojennych oraz w 19 wieku zapewne używane były jako pomoce dla nauki. Jednak po drugiej wojnie światowej zaprzestano ich używania w klasach jako pomoce naukowe, a jedynie pozostawiono je w gablotach do oglądania przez dzieci - tj. zamieniono je w eksponaty muzealne. Najwięcej wśród nich było najróżniejszego starego sprzętu optycznego, starych astronomicznych przyrządów obserwacyjnych, a także najróżniejszych maszyn elektrycznych i mechanicznych. Doskonale wyposażone też były gabloty mineralogiczne i przyrodnicze. Przykładowo z okazji mineralogicznych pamiętam fragmenty porowatej lawy wulkanicznej, której w Polsce się nie uświadczy i którą w naturze widziałem dopiero najpierw w Nowej Zelandii a potem w Malezji. Doskonała też była kolekcja mineralogiczna z naturalnymi kryształami o różnym pochodzeniu geologicznym i odmiennych kolorach. Było też sporo skamienielin - np. pamiętam że widziałem tam sporo skamieniałych żyłtek wyglądających jak duże ślimaki z kamienia (zapewne znajdowane one były lokalnie gdzieś w okolicach Milicza). Z kolei w gablotach przyrodniczych znajdowały się najróżniejsze ciekawe okazy skorupek, owoców i owocników, szkieleciki najróżniejszych stworzeń, jajka ptasie (np. była tam wydmuszka z ogromnego jaja strusia), zakonserwowane i wypchane stworzenia (np. węże) i fragmenty ich organów, koral i fragmenty rafy koralowej, dziwne muszle, kolekcje motyli i nocnych ciem, itp.

Niezależnie od gablot na korytarzach, liczne eksponaty muzealne znajdowały się wtedy również w przystrychowym pokoiku składowym owej szkoły, który mieścił się na końcu schodów po zachodniej stronie szkoły. Tam przechowywane były stare mapy, plansze, globusy, oraz niezwykle przyrządy astronomiczne i fizyczne. Niestety, w 1957 roku pokój ów zamieniono na klasę, w której między innymi uczyłem się i ja. Nasze ławki otoczone wówczas były bezcennymi, bo historycznymi globusami, mapami, planszami, przyrządami astronomicznymi, które obecnie stanowiłyby perły każdego muzeum. Szczególnie utkwiła mi w pamięci do dzisiaj stara plansza przedstawiająca atak (i bitwę) jakiegoś plemienia pigmejów (zapewne z dżungli Nowej Gwinei), na inne plemię którego "długi dom" zbudowany był na konarach ogromnego drzewa tropikalnego.

Doskonale do dzisiaj pamiętam, że w tamtych czasach szkolnych oglądanie owych eksponatów ze szkolnego muzeum stanowiło dla mnie ulubioną rozrywkę podczas przerw szkolnych przy deszczowej pogodzie. **Nie tylko ono uczyło i ilustrowało, ale też doskonale pobudzało wyobraźnię i nakłaniało do marzeń.** Przykładowo to właśnie tam widziałem po raz pierwszy w życiu **skorupkę z orzecha kokosowego.** (W czasach gdy ja

B-9

chodząc do szkoły podstawowej, kokosa w Polsce to nikt nawet na lekarstwo nie uświadczył. Opowiadania więc i wizualne dowody, że gdzieś w dalekim świecie istnieje orzech wyglądający jak laskowy, jednak mający wielkość głowy ludzkiej, potrafiły naprawdę pobudzić wyobraźnię dziecka uwielbiającego smak orzechów laskowych.) Skorupka ta zainspirowała u mnie marzenia o czasach, kiedy będę podróżował po dalekich tropikalnych wyspach, gdzie takie kokosy rosną, objadając się nimi do woli. (Wyobrażałem sobie wówczas, że orzechy kokosowe są jedynie większą wersją dobrze mi znanych orzechów laskowych, oraz że utrzymują one doskonały smak rodzimej leszczyny.) Marzenie to potem częściowo się wypełniło, bowiem faktycznie często podróżuję po tropikalnych wyspach gdzie rosną **kokosy**. Często też zapijam się wodą z młodych orzechów kokosowych, którą z upływem czasu bardzo polubiłem (początkowo mi NIE smakowała), oraz którą obecnie staram się pić każdego dnia podczas corocznych wakacji w tropiku, ponieważ wykazuje ona silne naturalne własności lecznicze. Jednak nie jem mięszu kokosowego, bo jakoś mi nie smakuje. (Wolę objadać się naszymi orzeszkami laskowymi, lub owocem malezyjskiego owocu "**durian**", który to okropnie śmierdzący durian jest oficjalnie uważany za najsmaczniejszy owoc świata - po szczegóły patrz moja strona internetowa "[fruit.pl.htm](#)" o owocach tropiku.)

W chwili obecnej Milicz desperacko potrzebuje własnego muzeum (takiego z prawdziwego zdarzenia) oraz własnej informacji turystycznej. (Jest przy tym istotne aby obie te instytucje umiejscowione były w jednym i tym samym budynku zlokalizowanym w pobliżu centrum miasta.) Wszakże muzeum zaopatrywałoby mieszkańców Milicza w poczucie przynależności i indywidualności. Z moich obserwacji w podróżach po świecie wynika, że mieszkańcy miejscowości jakie posiadają własne i dobrze zaopatrzone muzea, zawsze są bardziej samoświadomi, bardziej związani uczuciowo, oraz bardziej dumni ze swojego miasta, niż mieszkańcy miejscowości bez muzeów. Ponadto przybyszom takie muzeum oferowałoby szybkie i ilustratywne poznanie historycznych korzeni tego miasta. Z kolei informacja turystyczna powiadamałaby przybyszy co interesującego można zobaczyć w Miliczu i okolicy, organizowałaby im noclegi, wyżywienie i wycieczki, wskazywałaby środki transportu, itp.

B-10

B3. Najważniejsze wydarzenia z okresu mojej szkoły podstawowej w Miliczu

W okresie chodzenia do Szkoły Podstawowej nr 1 w Miliczu zaszło wiele wydarzeń wartych raportowania. Oto niektóre z nich:

- **Kolonie.** W owym czasie rodzice wysłali mnie na pierwsze w moim życiu letnie kolonie w Świebodzicach. Już podczas przygotowania do nich popełniliśmy zasadniczy błąd - który dla mnie zamienił te kolonie w rodzaj nieprzerwanej tortury. Mianowicie, jechałem na kolonie z jedyną parą butów na nogach, jakimi na dodatek były nowo-zakupione **trampki**. W owych czasach w Polsce nie znano jeszcze sportowych butów w rodzaju "Adidas" jakie używamy dzisiaj. Istniały wtedy tylko dwa rodzaje butów sportowych, mianowicie: (1) tenisówki i (2) trampki. Oba niemal całe były z płótna, a tylko podeszwy miały gumowe. Jednak tylko znacznie droższe "trampki" były faktycznymi wysokimi butami, podczas gdy tanie tenisówki były tylko półbutami. Moja rodzina była na tyle uboga, że ja nigdy nie miałem trampek, a jedynie czasami kupowano mi tenisówki. Byłem więc prawdopodobnie jedynym chłopcem w okolicy, który nigdy nie mógł się pochwalić chodzeniem w trampkach. Jednak kiedy miałem pojechać na kolonie, a okazało się że nie mam żadnych butów, rodzice kupili mi pierwsze w życiu trampki. Na kolonie pojechałem więc mając trampki na nogach. Oczywiście, były to jedyne buty jakie wziąłem na kolonie - wszakże nie miałem już innych butów w używalnym stanie. Niestety, musiały one mieć jakąś wadę fabryczną, albo i dla nich moc utrzymywała moja "**karma butów**" jaką opisałem w podrozdziale B1 powyżej, bo zaraz na początku kolonii na obu nogach podeszwa pękła mi w poprzek trampek w najszerszym miejscu stopy. Podczas chodzenia pęknięcie to się otwierało w szeroką dziurę ze środkowej części podeszwy. W rezultacie, na przekór że ciągle zakładałem swoje "trampki" dla ozdoby, oraz że wyglądałem jakbym faktycznie miał buty na nogach, w rzeczywistości na owej kolonii wszędzie chodziłem na bosaka. To zaś stało się dla mnie źródłem prawdziwych tortur, bowiem codziennie nasze kolonie maszerowały dosyć spore dystanse, zaś niezależnie czy szliśmy po igliwie w lesie, po ostrych kamieniach, czy po rzadkim żwirze rozsypanym na twardej powierzchni jaki boleśnie wpijał się w moje nogi, ja musiałem maszerować po tym z równą szybkością jak inni chłopcy, którzy mieli faktyczne buty. Na dodatek do torturujących mnie trampek, kolonie te okazały się rodzajem miniaturowego obozu koncentracyjnego. Przeszedłem na nich przez szokującą głódówkę. Najwyraźniej kucharki, czy też organizatorzy kolonii, rozkradali niemal całą żywność przeznaczoną dla dzieci. Nawet suchy chleb był tam ograniczany dzieciom do ilości równej około połowy tego co dzieci chciały zjadać. Jako zaradny chłopak z biednego domu, ja jednak szybko tam znalazłem sposób aby mieć coś do zjedzenia. Mianowicie, z drugim kolegą z którym się zaprzyjaźniłem na owej kolonii, wkrótce nauczyliśmy się podkradać chleb ze stołówki wychowawców. Wychowawcy kolonijni jadali bowiem w odrębnej stołówce niż dzieci, zaś ich żywność nie była ograniczana tak jak nasza. Zaraz więc po tym jak wychowawcy wychodzili z owej stołówki po skończeniu swego posiłku, zaś kucharki nie zdążyły jeszcze wejść i pozbiierać niezjedzonej przez naszych wychowawców reszty żywności, jeden z nas stał na warcie, zaś drugi z nas wpadał do stołówki gdy była już pusta aby pozbiierać kromki chleba jakie ciągle pozostawione były tam na stołach. Inne dzieci nie były jednak aż tak zaradne, więc z głodu jadły zielone jabłka rosnące w przykolonijnym ogrodzie - za co lekarz kolonijny traktował ich rycynusem, jeśli zostali na tym przyłapani. Kiedy my tam głodowaliśmy, zaś nasze porcje były ograniczane jak w obozie koncentracyjnym, gruby dyrektor kolonii z dziobatym nosem wyglądającym jak truskawka, zjadał na naszych oczach ogromne porcje. Mojego przyjaciela odwiedziła jego matka w środku kolonii. Widząc naszą głódówkę i sytuację na owej kolonii, zabrała ona swego syna do domu około połowy trwania tych kolonii. Ja więc ją poprosiłem aby i mnie odwiozła do Milicza. Odbyliśmy z nią długą jazdę pociągiem ze Świebodzic do Milicza, z wielogodzinnym czekaniem na połączenie na dworcu głównym we Wrocławiu. W domu zostałem przyjęty niezbyt entuzjastycznie - bowiem matka też nie bardzo miała mi co dać do jedzenia. Gorzko

B-11

doświadczony przykrościami i głodówką tamtych pierwszych kolonii w jakich uczestniczyłem, oraz pamiętając, że aż byłem zmuszony z nich uciekać, nigdy już potem nie pojechałem na następne kolonie.

- **Pierwsza komunia święta** (1955). Po zajęciach w szkole, sporo z nas uczęszczało do **kościółki św. Andrzeja Boboli** zlokalizowanego niedaleko szkoły, aby uczestniczyć w lekcjach religii. Na lekcjach tych siostra zakonna przygotowywała nas do pierwszej komunii świętej – patrz "**Fot. B3**" z pamiątkowym zdjęciem po tej komunii.

- **Wybicie szczęki**. Mój kolega szkolny o nazwisku Eliasz mieszkający na ulicy Sulmierzyckiej, zaczął w szkole ze mną się boksować udeżając mnie w szczękę i wybił mi ją z oryginalnego stawu (miejsca) przy lewym uchu. Aczkolwiek po pewnym czasie ból sam przeszedł, szczęka ta pozostała wybita na całą resztę życia. Nigdy szczęka ta już nie działała naprawdę poprawnie. Co też kilka lat jej ból mi się odnawiał.

- **Śmierć Bestry**. Nasza wierna krowa "Bestra" w owym czasie musiała być zawieziona do rzeźni. Ten jej los spowodował odwrócenie się od nas szczęścia z krowami - zapewne z powodu jej pozbycia się "z naszej winy" (t.j. z powodu jej pobicia przez mojego ojca aż do odbicia jej kości biodrowej). Następna krowa (córka Bestrej) przypadkowo przebiła się na kosie. Potem kilka innych krów przychodziło i odchodziło bez okazania się przydatnymi dla rodziny. Widać opisane poprzednio w podrozdziale B1 tej [17] moralne "Prawo Drabiny Partnerskiej" działa też i w odniesieniu do "związków" rolników z ich krowami.

B-12



Fot. B3: Oto moje zdjęcie z 1955 roku, upamiętniające moją pierwszą komunię świętą. Jak zaś rysy mojej twarzy zmieniały się z upływem czasu w przeciągu całego dotychczasowego życia ilustruje to "**Fot. #1**" z mojej strony o nazwie "[pajak_jan.htm](#)".

B-13

B4. Jak Zdzichu "wybierał miód" z gniazda os

Opis tej przygody publikuje też punkt #L4 mojej strony o nazwie "[wszewilki.htm](#)".

W owych czasach zaszło ciekawe wydarzenie z naszym przyjacielem Zdzichem. Jego ojciec trzymał pszczoły. Dlatego Zdzichu zawsze nam się chwalił, że wie jak wybrać pszczołom miód i że wcale się nie boi takiego wybierania. Podpuściliśmy go więc aby "wybrał miód" z gniazda os koło niemieckiego cmentarza. Wszyscy wtedy zostaliśmy pożądeni włączając w to i tych co napuścili Zdzicha na osy. Całą przygodę opisałem w punkcie #L4 ze strony o nazwie "[wszewilki.htm](#)". Ponieważ jednak jest ona wysoce ucząca, ilustrująca działanie "natychmiastowej karmy", oraz śmieszna, powtórzę ją i tutaj. Oto ona:

Jak zwykle w dni niedzielne, po powrocie z kościoła w Miliczu, oraz po zjedzeniu obiadów, spotkaliśmy się wszyscy na skrzyżowaniu dróg zaraz za torami, czyli w samym [Stawczyku](#). Skrzyżowanie owo było zwykłym punktem zbiorczym dla młodzieży ze Stawczyka. Spotkanie rozpoczęliśmy od rozważenia rodzaju zajęcia lub zabawy jakie podejmiemy tej niedzieli. Któryś z chłopaków, zdaje się że był to Broniek, poinformował nas, że odkrył duże gniazdo os niedaleko za cmentarzem - być może więc warto abyśmy się wybrali aby je sobie oglądnać. Z entuzjazmem wybraliśmy się więc całą gromadą aby sobie te osy pooglądać. Faktycznie też okazały się warte naszej uwagi. Gniazdo położone było w dużej dziupli do jakiej wejście znajdowało się jakieś 2 metry od ziemi. Było już wysoce rozwinięte, bowiem osy wlatywały do niego, oraz wylatywały z niego, dwoma grubymi nieprzerwanymi strugami. Zaczęliśmy więc rozważać, jak dałoby się spożytkować fakt odkrycia tak dużego gniazda os. Wacek, który był największym podpuszczaczem w całym ówczesnym powiecie milickim, zawyrokował że powinniśmy namówić Zdzicha, którego nie było wówczas w naszej grupie, a którego ojciec posiadał ule z pszczołami, aby wybrał dla nas miód z tego gniazda. Któryś z młodszych chłopaków, zdaje się że Tadek, zaczął protestować, twierdząc, że osy wcale przecież nie mają miodu. "W tym właśnie rzecz" - odpowiedział Wacek. Po zrozumieniu o co tutaj chodzi, cała nasza paczka ze Stawczyka entuzjastycznie udała się pod dom Zdzicha, który mieszkał w środku Wszewilek, nie należał więc do naszej paczki ze Stawczyka, a do tego "drugiego obozu". Po wywołaniu Zdzicha z domu, pozostawiliśmy sprawę Wackowi, aby ten wygłosił potrzebne mowy. Wacek zaczął od "podbierania" Zdzicha. "Chociaż Twój ojciec ma pszczoły, Ty zapewne ciągle nie wiesz jak podbierać im miód". "Wiem" dumnie odpowiedział Zdzichu. "Pomagałem ojcu już wiele razy i się nauczyłem jak to czynić". "Ale gdyby przyszło do podbierania miodu, to pewno byś stchórzył" - Wacek nie dawał za wygraną. "Ja stchórzył" odbruszył się Zdzichu, "ja tam się pszczoł wcale nie boję". "Naprawdę nie bałbyś się sam wybrać pszczołom miodu?" - Wacek nie popuszczał w schwyтaniu Zdzicha za słowo. "A pewno, że bym się nie bał", zapewnił nas Zdzichu. "To fajnie się składa", ciągnął Wacek, "bo właśnie odkryliśmy gniazdo dzikich pszczoł w lesie i trzeba nam kogoś kto by odebrał im miód - czy Ty masz odwagę to uczynić". "Pewnie że wybiorę", odpowiedział Zdzichu. Więcej zapewnień już nam nie było trzeba, Niemal biegiem poprowadziliśmy Zdzicha do gniazda owych "dzikich pszczoł" aby od nich "wybrał dla nas miód". Dwóch silnych chłopaków podsadziło Zdzicha do gniazda, aby ten mógł wygodnie "wybrać miód". Reszta z nas, włączając w to i mnie, z respektem zachowała odpowiedni dystans około 10 metrów od gniazda. Zdzichu bez namysłu i ociągania się włożył do gniazda swoją prawą rękę aż do pachy. W tym momencie obaj koledzy którzy go podtrzymywali na swoich barkach nie mogli wytrzymać już dłużej i obaj dali nogę. Ostanią więc rzeczą jaką zobaczyłem, to Zdzichu wiszący przy owej dziupli na swojej ręce. Ja też dłużej nie czekałem i dałem nogę razem z owymi dwoma kolegami podtrzymującymi Zdzicha. Naszą ucieczkę tylko zintensyfikował głośny i długi krzyk Zdzicha, który zabrzmiał jakby ktoś go żywcem obdzierał ze skóry. W biegu odnotowałem kątem oka, że cała nasza paczka rwała od gniazda ile tylko sił w nogach,

B-14

rozsypana w szeroką tylarię. Uciekaliśmy w kierunku dużej kępy niskich zarośli jaka była oddalona jakieś 100 metrów od gniazda. W chwilę później z szokiem zobaczyłem, że po mojej prawej stronie zaczyna mnie szybko wyprzedzać sam Zdzichu. Zdzichu był wówczas o głowę mniejszy odemnie (choć aż o dwa lata starszy), z reguły więc biegał wolniej. Tym razem jednak, na przekór że ja gnałem ile tylko sił w nogach, on ciągle wyprzedzał mnie w tempie jakbym ja szedł piechotą a tylko on biegł. Kiedy mnie wyprzedził zrozumiałem dlaczego jest taki szybki. Nad jego głową, a także za jego plecami, unosiła się bowiem w powietrzu cała chmura rozwścieczonych os. W chwilę po tym jak Zdzichu z ową chmurą os mnie wyprzedził, nagle poczułem na plecach jakby trzasnął mnie piorun. Zrozumiałem, że to jedna z owych os zdecydowała się użyć na mnie swojej broni. Krzyknąłem z bólu. Jednocześnie usłyszałem podobne krzyki od niemal każdego z naszej paczki. W chwilę później poczułem drugie uderzenie bólu, tym razem w tył głowy. Bolało jak diabli. Na szczęście właśnie dopadaliśmy kępy owych zbawiennych zarośli. Osy szybko się pogubiły. Uszliśmy więc dalszym ukąszeniom. Po zebraniu się do kupy, powlekliśmy się do domu. Każdy z nas wyglądał jakby wracał z wojny, podrapany krzakami i z kilkoma bąblami po ukąszeniach os. Los jeszcze raz nam przypomniał, że to co zwykle planujemy dla innych, dosięga także i nas samych. Szczerze mówiąc to najmniej poszkodowany z nas wszystkich był właśnie Zdzichu. Zamiast więc my śmiać się z niego, to on miał zabawę oglądając nasze opuchlizny w różnych niezbyt dogodnych miejscach. Po tamtej przygodzie Zdzichu stał się też jakby jednym z nas. Choć mieszkał w centrum Wszewilek, czyli nieco z dala od Stawczyka, my odtąd uważaliśmy go za "swojego", czyli za należącego też do naszej własnej paczki z za torów.

W tamtym zdarzeniu z wybieraniem osom miodu, a także z innych okazji kiedy w czasach młodości osy nas pożyły, najbardziej mnie zastanawia iż ukąszenia os NIE były wówczas niebezpieczne, a czasami nawet uważane wręcz za lecznicze. Ta sytuacja drastycznie zmieniła się w dzisiejszych czasach. Obecnie bowiem użądlenia os uśmiercają ludzi - ciekawe dlaczego? Przykładowo w 2016 roku syna mojej sąsiadki z Petone, użądliły dwie osy kiedy przypadkowo rozłóścił ich gniazdo znajdujące się przy wejściu do naszych mieszkań. W rezultacie wylądował on w szpitalu z silnym zakażeniem owych ukąszeń. Z kolei po innym pożądeniu przez osy z 2012 roku, jakie stało się bardzo głośne w NZ, a jakie opisałem w w/w punkcie #L4 swej strony internetowej o nazwie "[wszewilki.htm](#)", ofiara pożądenia umarła.

C-1

Rozdział C:

Wieś WSZEWILKI (1955-1956) (SZKOŁA PODSTAWOWA we WSZEWILKACH - 3 klasa)

Ja urodziłem się w okresie, który w Polsce nazywano "**wyżem demograficznym**" (po angielsku "**baby boom**"). Wyż ten powstał kiedy wracający z wojny ojcowie i matki, zajęli się pokojową działalnością - w tym zaludnianiem kraju. Oczywiście, wyż ten miał swoje dobre i złe strony. Jedną z owych złych stron było, że państwo miało trudności z zapewnieniem edukacji, a później i pracy, dla tak ogromnej liczby młodych ludzi. Kiedy więc w dniu 1 września 1955 roku poszedłem ponownie do szkoły podstawowej nr 1 w Miliczu aby podjąć naukę w trzeciej już z kolei klasie swojej siedmioletniej podstawowej edukacji, nauczyciele nakazali dzieciom pochodzącym z Wszewilek ustawić się oddzielną kolumnę i nasza nowa wychowawczyni, Pani **Stanisława Borejko** (zmarła później w latach 1980-tych) oraz nasz nowy nauczyciel, Pan **Spychalski**, poprowadzili nas parami z powrotem do Wszewilek. Szkoła Podstawowa Numer 1 w Miliczu okazała się bowiem być przepełniona i nie miała już wystarczającej liczby miejsc dla uczni z Wszewilek. Ponieważ zaś we Wszewilkach stał niewykorzystany budynek szkoły, władze zdecydowały się otworzyć na Wszewilkach dodatkową jakby "filie" szkoły z Milicza, o jednej tylko klasie, tj. naszej "trzeciej". Podczas pisania niniejszej autobiografii w marcu 2019 roku NIE znalazłem w internecie adresu strony tamtej szkoły we Wszewilkach, jednak ustaliłem, iż jej opisy są publikowane w internecie - oto więc adres pod którym opisy te można sobie wyszukiwać: <https://www.google.pl/search?q=szko%C5%82a+podstawowa+we+wszewilkach>.

Ja uczęszczałem do tej "filii" we Wszewilkach tylko przez jeden rok szkolny 1955/1956, tj. tylko do 3-ciej klasy. Uczono w niej bowiem dzieci tylko przez tą jedną klasę. Po skończeniu tej jednej klasy 3-ciej na Wszewilkach, w dniu 1 września 1956 roku udałem się do klasy 4-tej ponownie w Szkole Podstawowej nr. 1 w Miliczu. W owej milickiej szkole zacząłem też chodzić do klasy piątej w roku 1957/1958 - chociaż z powodów rodzinnych już na jej początku musiałem się przenieść do szkoły w Cielczy i nie zdołałem już ukończyć w Miliczu owej klasy 5-tej.

C1. Szkoła we Wszewilkach

Ja niewiele już pamiętam z owej szkoły we Wszewilkach. Uczęszczanie do niej odbyło się bowiem bez żadnych nadzwyczajnych zdarzeń. Niemniej to co pamiętam opiszę poniżej.

Oboje nasi nauczyciele szkoły we Wszewilkach byli nauczycielami jeszcze z okresu przedwojennego - czyli swoją karierę zawodową w edukacji zaczęli jeszcze przed drugą wojną światową. W czasach zaś przed ową wojną, szkoły praktykowały motywowanie dzieci do nauki za pomocą kar cielesnych. Nauczyciele ci NIE zaprzestali więc owego karania kiedy i nas uczyli. Stąd jeśli czegoś NIE umieliśmy, lub coś przeszkrobaliśmy, oni nakazywali nam wyciągać dłoń do przodu, poczym w zależności od "ciężaru" naszego przewinienia, wymierzali nam linijką jedno, lub więcej, bolesnych uderzeń w dłoń. Muszę tu też przyznać, że w swej karierze ucznia, nigdy NIE widziałem niczego co by silniej od owych kar cielesnych mobilizowało wszystkich uczniów do dyscypliny i do nauki. Wszyscy bowiem w tamtej szkole uczyliśmy się sumiennie, aby nie oberwać. Zachowywaliśmy się też wzorowo - niemal jak żołnierze na paradzie. Nic dziwnego, że z owej szkoły we Wszewilkach nie pamiętam nic nadzwyczajnego. Wszakże **aby coś nadzwyczajnego się zdarzyło, trzeba być albo urwisem albo nieukiem**. Tam jednak wszyscy się staraliśmy aby takimi nie być w oczach nauczycieli. Oczywiście, ani my, ani nasi rodzice, NIE mieliśmy im za złe owych kar, bowiem zawsze je otrzymywaliśmy w sprawiedliwy sposób, kiedy wiedzieliśmy doskonale, iż na nie zasługujemy. To dlatego aż do dziś **ja głęboko wierzę i się z tym NIE kryję, że kary cielesne powinny być utrzymywane w wychowywaniu dzieci** - dokładnie tak jak Biblia nam to nakazuje - po więcej szczegółów patrz punkt #B5.1 z mojej strony internetowej o nazwie "[will_pl.htm](#)".

Posądzam, że w owych czasach karanie cielesne uczniów było już nielegalne (jako sprzeczne z prawami człowieka). Wszakże oprócz nauczycieli z Wszewilek w żadnej innej szkole NIE było ono praktykowane. Niemniej ponieważ tamtejsi nasi nauczyciele znali doskonale wszystkich naszych rodziców (wszakże wszyscy mieszkaliśmy w jednej i tej samej wsi), poczuli się oni do prawa aby nas karać cielesnie - tak jak czyniliby to nasi rodzice lub bliscy krewni. Tak szczerze mówiąc to ja osobiście jestem ogromnie wdzięczny losowi za dostarczenie mi praktycznych doświadczeń jak to się czuje kiedy otrzyma się karę cielesną od swego nauczyciela. W dzisiejszych czasach karanie cielesne jest bowiem aż tak potępiane i aż tak zakazywane, że gdyby jakiś nauczyciel odważył się je zaaplikować swemu uczniowi, wówczas zapewne trafiłby do więzienia. Wszakże przykładowo w Nowej Zelandii obecnie nawet rodzicowi NIE jest wolno dyscyplinować swojego dziecka uderzeniem różgą, pasem, czy gumowym wężem (jakimi moje pokolenie regularnie było traktowane po swoich tyłkach), zaś aby dyscyplinowaniu temu zapobiegać stworzono tam nawet specjalny numer telefonu, na który dzieci mogą zadzwonić aby się poskarżyć iż rodzice sprawili im lanie. Z kolei rodzice którzy w NZ dyscyplinują cielesnie swe dzieci, są tam wsadzani do więzienia - jako przykład patrz artykuł o tytule "Mother jailed for beating son with hose" ze strony A1 gazety "The New Zealand Herald", wydanie z piątku (Friday) November 20, 2009 rok, w którym opisano przypadek matki, która przyłożyła synowi w tyłek 15 razy gumowym wężem ponieważ wagarował on szkołę, za co matka ta została wsadzona do więzienia na 15 miesięcy (czyli nowozelandzka sprawiedliwość zasądziła jej miesiąc więzienia za każde uderzenie jej syna w tyłek). Dlatego wiedząc dzięki osobistym doświadczeniom z Wszewilek, że NIE tylko iż wcale nie ma nic szkodliwego czy wykrzywającego psychikę w publicznym i sprawiedliwym oberwaniu w szkole od swego nauczyciela za coś, co się przeszkrobało lub niedouczyło, a iż wręcz okazuje się to być bardzo dobre dla przyszłości obrywających dzieci, ja sam obecnie czuję się kompetentnym w obstawaniu za i w propagowaniu poglądu, że pomimo hysterii jakimi pozbawieni rozumu ludzie je otoczyli, **"sprawiedliwie wymierzane kary cielesne są wychowawczo właściwe i w przypadku dzieci działają one korzystnie"**. Nic więc

C-3

dziwnego, że na świecie nadal istnieje sporo państw, gdzie kary cielesne są praktykowane nawet w odniesieniu do dorosłych - tak jak doświadczył tego ów rozwydrzony młody Amerykanin, który został przyłapany jak w jednym z takich krajów gwoździem zdewastował kosztowny samochód, za co został publicznie wychłostany ku oburzeniu swej rodziny i polityków swego kraju, którzy usiłując z tego wychłostania uczynić międzynarodową aferę polityczną, faktycznie stali się obiektem ośmieszenia i żartów w rodzaju: **"zgadnij co to za samochód - był on wyprodukowany przez Niemców, zakupiony przez Chińczyka, szoferowany przez Indyjczyka, a zdewastowany przez publicznie wychłostanego za to Amerykanina"**. Moje pokolenie wszakże regularnie otrzymywało kary cielesne zgodnie z mądrym i dalekowzrocznym przysłowiem **"pożałuj różgi a popsujesz dzieciaka"** – wierzę też, że wyrosliśmy na znacznie lepszych i właściwiej motywowanych ludzi niż owe obecne rozwydrzone potworki, które nie zaznały różgi. Warto też pamiętać, że nawet Biblia zaleca rodzicom karanie cielesne - co wyjaśniłem dokładniej w punkcie #B5.1 w/w strony ["will_pl.htm"](#).

D-1

Rozdział D:

Wieś CIELCZA koło JAROCINA (1957-1958) **SZKOŁA PODSTAWOWA w CIELCZY - 5 klasa)**

Uzupełnień i poszerzeń opisów z tego "rozdziału D" szukaj w: mojej stronie o nazwie "[cielcza.htm](#)".

W dniu 9 sierpnia 1955 roku umarł mój dziadek po kądzieli, Edward Dzieciątko. Po jego śmierci moja babcia, Katarzyna Dzieciątko, mieszkała samotnie w ich własnym domku przy ulicy "Leśnej" ze wsi Cielcza koło Jarocina. Samotne życie wcale NIE jest przyjemne i babcia często się skarżyła mojej mamie na brak towarzystwa. Mojej mamie było jej żal, jednak jedyną osobą, którą mogła wysłać babci dla towarzystwa, byłem ja. Mama długo więc zwlekała z podjęciem takiej decyzji. W końcu, pod koniec września 1957 roku, kiedy ja zacząłem już uczęszczać do piątej klasy Szkoły Podstawowej Nr 1 w Miliczu, moja matka zdecydowała się wysłać mnie do Cielczy abym dotrzymywał towarzystwa babci. Tak więc wylądowałem we wsi Cielcza - jakieś 5 kilometrów na północ od Jarocina. Podczas pisania niniejszej autobiografii w marcu 2019 roku znalazłem w internecie adresy stron na jakich są publikowane opisy tamtejszej szkoły do której wówczas uczęszczałem - oto więc adres pod którym opisy te można sobie wyszukiwać: <https://www.google.pl/search?q=szko%C5%82a+podstawowa+w+cielczy> .

D-2

D1. Moje życie w Cielczy

Moje życie w Cielczy było drastycznie odmienne od życia w rodzinnym Stawczyku. Przykładowo na przekór swego młodego wieku musiałem przejąć wówczas sporo obowiązków jakby męskiej **"głowy rodziny"**, podczas gdy w rodzinnym Stawczyku ciągle byłem dzieckiem. Wszakże moja babcie była tradycyjną kobietą, nawykłą że jej mąż wykonywał wszelkie naprawy oraz dbanie o dom, o chlewik i o płoty. Na przekór więc młodego wieku, to ja musiałem tam naprawiać wszystko co w domu było popsute - w pobliżu nie było przecież nikogo innego kto by to wykonał dla owdowiałej babci (babcia była zbyt uboga aby kogoś wynajmować). Tak się też stało, że płoty u babci wówczas właśnie już się waliły, musiałem więc je podreperować. Ja też musiałem pomagać w naprawach (tj. tzw. "gaceniu" wyschniętymi paprociami zbieranymi w pobliskim lesie) babcinego małego chlewika, zaś w wolnych chwilach paść też babciną kozę. (Babcia ciągle wówczas trzymała własną kozę, świnie, psa, oraz kota.)

Podczas jednej z licznych napraw jakie dokonywałem w Cielczy, zakopałem tam tzw. **"kapsułę czasu"** - czyli butelkę z opisami mojego życia i moimi danymi. Zakopałem ją jakies 1.5 metra pod ziemią w miejscu o jakim wierzyłem iż długo nikt tam NIE będzie kopał. Ciekawe czy do dzisiaj została ona znaleziona i odkopana?

Atmosfera szkoły podstawowej w Cielczy była odmienna niż w szkole w Miliczu. Wszakże w Cielczy wszyscy się znali i byli jakby jedną dużą rodziną. Cielcza ciągle hołdowała więc wówczas przedwojennym tradycjom nauczania. Przykładowo, na przekór że nauka religii była wówczas oficjalnie zabroniona w socjalistycznej Polsce, ciągle każdego dnia rano **do szkoły przychodził ksiądz** z plebanii położonej jedynie po przeciwnej strony drogi. Każdy dzień w szkole rozpoczynał się więc tam od przeżegnania się pod dyktando księdza i od wspólnego mówienia paciorka w klasie. Nie było więc tam owych porannych ateistycznych apeli w militarnym stylu do jakich przywykłem w szkole w Miliczu. Tylko raz na kilka miesięcy mieliśmy tam apel na podwórku szkoły z powodu jakiejś ważnej okazji.

W związku z owym rozpoczynaniem każdego dnia szkolnego od przeżegnania się i od paciorka miałem tam dosyć zabawne zdarzenie. Mianowicie, zaraz na początku odnotowałem, że ja żegnam się inaczej niż czyni to ksiądz stojący przed klasą. Ja bowiem na "ducha" i "świętego" przykładam palce najpierw do swego lewego, potem zaś do prawego, ramienia - ksiądz zaś czyni to odwrotnie: najpierw do prawego, potem zaś do lewego ramienia. Pomyślałem więc, że w Miliczu na religii siostra nauczyła mnie źle żegnania i zacząłem żegnać się dokładnie tak jak czynił to ów ksiądz, tj. najpierw przykładając swe palce do prawego, potem zaś do swego lewego ramienia. W jakiś czas po tym jak zmieniłem kolejność ramion w swoim żegnaniu, ksiądz wywołał mnie na środek i kazał mi się przeżegnać. Gdy to uczyniłem, ksiądz wyjaśnił mi, że przykładam palce w niewłaściwej kolejności. Kiedy zaś wyjaśniłem, że ja czynię dokładnie to co on czyni, on mi wyjaśnił, że on celowo przykładam swe palce w złej kolejności aby pokazać dzieciom w którą stronę one mają przykładać swe palce. Dzieci w Cielczy bezmyślnie i mechanicznie małpowywały bowiem (powtarzały po księdzu) jego żegnania się w sposób jakby widziały księdza w lustrze. Moje zaś bardziej inteligentne niż mechaniczne podejście do tego co widziałem nakazywało mi postawić się w miejsce księdza i czynić dokładnie to co czyni ksiądz - tyle że z poprawką na fakt iż ksiądz jest odwrócony do nas przodem (tj. ja powtarzałem po księdzu jakbym obserwował go w oknie, a nie w lustrze). W rezultacie, moje zbyt inteligentne analizowanie tego co ksiądz czynił spowodowało, że powtarzałem ów błędny kierunek żegnania się księdza. Interesującym następstwem tamtych zdarzeń jest, że owa **konfuzja żegnania się zadrutowana została na stałe w moich odruchach**. (Oczywiście, dzisiejsi lekarze mają już nawet naukową nazwę dla takiej konfuzji trwale zapisanej w czymś umyśle - np. znam dwie kobiety, jedna z których podobną trwałą konfuzję ma w sprawie prawej i lewej ręki - stąd zawsze jej trzeba pokazywać który kierunek

D-3

lub rękę ma się na myśli, druga zaś w sprawie lwów i tygrysów – widząc którekolwiek z tych zwierząt nigdy NIE wie z pewnością czy jest to lew czy tygrys.) W rezultacie, przez całe dziesięciolecia mojego dalszego życia, kiedykolwiek przychodziło mi bezmyślnie się przeżegnać, bez jakiegoś wzorca w moim pobliżu, wówczas oba kierunki przykładania palców do ramion czuły się równie poprawnymi. Aby wyleczyć się z tamtej "**przeżegnaniowej konfuzji**" wdrutowanej na stałe we mnie przez nieodpowiedzialnego ówczesnego księdza z Cielczy, musiałem potem włożyć nieopisanie dużo wysiłku i celowej pracy. W rezultacie, częściowo udało mi się ją pomniejszyć poprzez trudny i zawodny wysiłek intelektualnego, zamiast czysto mechanicznego, zapamiętywania (i to dopiero w wieku około 65 lat) – chociaż szczerze mówiąc, kiedy NIE mam w pobliżu kogoś, kto także się żegna i na kim mogę potwierdzić poprawność swego pamiętania, wówczas nadal NIE jestem absolutnie pewien czy żegnam się prawidłowo – patrz też adres internetowy: <https://www.google.pl/search?q=jak+się+przeżegnać+prawidłowo> .

Niezależnie od porannej modlitwy, szkoła w Cielczy organizowała też tzw. "**pikniki**", których też nie znaliśmy w Miliczu. Pikniki te polegały na tym, że cała szkoła wychodziła na odległą "piknikową górkę" (położoną niedaleko od cmentarza i w pobliżu piaskownicy w której mój brat Czesław został przysypany piaskiem w czasie wojny), gdzie rodzice przygotowali najróżniejsze atrakcje dla dzieci. Na piknikach tych dzieci dostawały kanapki. Grała muzyka. Były też tam najróżniejsze gry i zabawy - niemal wszystkie z nagrodami dla dzieci.

Atmosfera w tamtejszej szkole była bardziej rodzinna niż oficjalna. Przykładowo, nauczyciel przyrody naszej klasy był ogromnym wielbicielem przedwojennego piosenkarza o nazwisku **Jan Kiepora**. Na każdej więc lekcji przyrody dzieci go "podpuszczały" aby nam pokazał jak Kiepora śpiewał. Nauczyciel nie dawał się długo prosić, wychodził na podium, przyjmował teatralną postawę Jana Kiepury - i śpiewał grzmiącym głosem, który zapewne było słyhać w sporej części Cielczy:

**"Ninon, ach uśmiechnij się, Tyś jest w życiu mem najcudniejszym snem.
Ninon, ach uśmiechnij się, urok ust Twych opromienia życie me."**

Faktycznie też słowa owej piosenki stanowiły najważniejszy fragment wiedzy jaki wyniosłem z tamtych lekcji przyrody.

Niestety, pod względem akademickim szkoła w Cielczy wlokła się bardzo daleko za szkołą w Miliczu. W Cielczy nauczyciele nie pędzili dzieci do nauki, bo dobrze znali się z rodzicami. W rezultacie poziom odpowiedzi uczniowskich oraz poziom nauczania był wprost żenujący. Na dodatek, w Cielczy ludzie mówili "**gwarą poznańską**", która miała niewiele wspólnego z literackim językiem polskim i której poza poznańskim obszarem niemal nikt nie rozumiał. Chociaż więc mój pobyt w Cielczy był chrześcijańskim "**dobrym uczynkiem**" popełnianym na rzecz mojej babci, w sensie akademickim stanowił on dla mnie rodzaj **karierowego samobójstwa** i akademicko niemal zamknął na dobre przyszłość przed moim dostępem.

W sporym kontraście do kompletnie przypadkowej rozpiętości cech młodzieży Wszewilek, większość młodzieży (i dorosłych ludzi) zamieszkałych w Cielczy była wysoce religijna, moralnie i sprawiedliwie postępująca, dotrzymująca słowa, honorowa, itp. (Wierzę, że prawdopodobnie tacy tam też oni są i do dzisiaj.) Oczywiście, jak zawsze to się dzieje w każdym co większym zbiorowisku ludzi, istniało tam też kilku zabijaków i różnego rodzaju "czarnych owiec" - jednak o ich cechach doskonale wiedzieli wszyscy inni mieszkańcy wsi, stąd mieli się wobec nich na baczności i traktowali ich odmiennie. Ogromnie istotną też różnicą młodzieży Wszewilek i Cielczy był stosunek do grupowego działania. Młodzież we Wszewilkach była bowiem zbiorowiskiem niezgodnych indywidualistów nieustannie sprzeczącą się między sobą i zmieniających swych sprzymierzeńców, którzy niemal nigdy NIE potrafili się zdobyć na zdecydowane i dobrze zorganizowane grupowe działanie - chyba że jako całość młodzież Wszewilek konfrontowała mieszkańców jakiejś innej miejscowości. Natomiast w Cielczy wszyscy działali grupowo jak doskonale wytrenowana i zorganizowana

D-4

jednostka armii lub służb specjalnych. Najlepiej widać to było na grupach młodzieży. W Cielczy praktycznie każda młoda osoba przynależała do określonej grupy podobnych do siebie cechami dzieci lub nastolatków. Ja też wkrótce po przybyciu do Cielczy zostałem włączony do grupy, której uczestnicy wykazywali podobne do moich cechy osobowe. W każdej też takiej grupie panowała nieznana we Wszewilkach lojalność grupowa, zgodność, zwartość i grupowe działanie. Przykładowo, jeśli ktoś z danej grupy został zaatakowany przez kogoś obcego, cała grupa odważnie, z wiarą i z doskonałą wzajemną synchronizacją natychmiast stawiała w obronie zaatakowanego. Nawet dziecięce zabawy i zawody szkolne odbywały się tam z zachowaniem poza-zabawowego podziału grupowego - tak że każda zabawowa czy szkolna drużyna powtarzalnie formowała się zawsze z jednej i tej samej grupy młodzieży, która w zabawie konfrontowała inną, konkurencyjną wobec siebie grupę. Jeśli zaś dla wyrównania sił któraś drużyna musiała pozbyć się swego nadmiaru uczestników, wówczas niektórzy jej członkowie rezygnowali zupełnie z udziału w zabawie i zamieniali się w kibiców swej grupy, zamiast jak na Wszewilkach przyłączyć się do przeciwstawnej drużyny. W ten sposób nawet dziecięce zabawy w Cielczy faktycznie trenowały i cementowały zbiorowe działanie uczestników poszczególnych grup, wprawiając ich we wzajemnym współdziałaniu i w grupowej specjalizacji poszczególnych ich uczestników. Dla porównania, we Wszewilkach niemal w każdej zbiorowej zabawie dane dziecko czy nastolatek włączał się, lub był włączany, do innej drużyny, tak że tworzył jedną drużynę ze swoimi uprzednimi zabawowymi przeciwnikami, zaś zmagał się ze swoimi uprzednimi kolegami drużynowymi. W rezultacie działanie wszewilkowskich drużyn zawsze było nieskoordynowane – niemal zawsze też Wszewilki były bite przez inne miejscowości.

Wszyscy moi najlepsi koledzy z Cielczy należeli do grupy pozytywnych, czynnych i pokojowo nastawionych chłopców. Niemal też wszyscy z nich byli tam ministrantami i służyli do mszy. Namówili więc i mnie abym ja też zaochotniczył na ministranta. Aby zaś zostać zaakceptowanym do tej wymagającej roli, trzeba było aby inni ministranci zarekomendowali księdzu nowego kandydata. Razem więc z owymi kolegami ministrantami poszedłem aż kilka razy do plebanii aby zapisać się u księdza jako ministrant. A takie wybranie się całą paczką było dość trudne, bowiem wszyscy musieliśmy się umówić i zebrać w tym samym czasie i miejscu. Jednak szokująco, na przekór że w innych sprawach ksiądz zawsze był pod ręką, kiedy chciałem zostać ministrantem nigdy go nie było w plebanii. Wybieraliśmy się więc do niego wiele razy i zawsze był nieobecny. Jakby celowo "diabeł go wymiatał" z plebanii tuż przed naszym przybyciem. W rezultacie ministrantem nie zostałem. Obecnie, patrząc z perspektywy moich badań Boga i metod działania Boga, zaczynam wierzyć, że **Bóg celowo spowodował, że nigdy księdza tam NIE było**. Zapewne bowiem Bóg chciał abym swe naukowe badania Boga rozpoczął z pozycji uczuciowo niezaangażowanego ateisty bez uprzednich nawyków i uprzedzeń, a stąd abym nie uwzględniał tego co twierdzą religie powypaczane już długim upływem czasu.

Z powodu owego nawyku do zbiorowego działania, w Cielczy istniały lokalne grupy dziecięce - jakie w innych miejscach i sytuacjach ludzie nazywaliby "bandami". Parę razy zmuszony byłem ścierać się z niektórymi z nich. Starcia te wprawdzie miały swój honorowy kod nieprzestrzegany w innych miejscach Ziemi, przykładowo że NIE wolno używać żadnej pomocy w rodzaju kija czy kopniaka ciężkim butem, że jeśli komuś połała się krew dalsze zmaganie zostawało przerywane, czy że już leżącego NIE wolno było uderzyć. Ciągle jednak można było oberwać podczas tych utarczek. Tamte ścieranie się z innymi grupami uświadomiły mi istotność przygotowania się i umiejętności obrony, oraz umożliwiły mi też zrozumienie znaczenia przysłowia że **"kruk krukowi oka nie wykole"**.

Jesienią 1957 roku w Cielczy odbyło się polowanie na zające. Ja wziąłem w nim udział jako "naganiacz". Myśliwi płacili bowiem każdemu naganiaczowi 50 złotych (co wówczas było dużo – np. można za nie było kupić nowe dobre buty). Jednak z powodu chodzenia po polach przez cały dzień popsulem sobie wtedy swoje buty. Owe więc 50 złotych jakie zarobiłem

D-5

musiałem zaraz przeznaczyć na zakup nowych butów. Podczas przerwy pomiędzy dwoma nagonkami, myśliwi i naganiacze zgromadzili się na szosie w pobliżu mostu na rzeczółce Lubieżce, aby uzgodnić plan następnej nagonki. Jeden z myśliwych niechlujnie przewiesił naładowaną strzelbę kurkową na jednym ramieniu. Był on wysoce nieodpowiedzialnym i niechlujnym myśliwym, bowiem bezpieczeństwo nakazuje, że przed zebraniem się w grupę powinien on rozładować swą strzelbę oraz nosić ją przewieszoną przez pierś, a nie tylko przez jedno ramię. Nagle pasek jego fuzji ześlizgnął mu się z ramienia, zaś strzelba upadła uderzając kolbą w twardej asfalt. Jej kurki poruszone uderzeniem spowodowały, że wypaliła. Wylot jej lufy był wycelowany ukośnie dokładnie w moją głowę z odległości zaledwie jakichś 2 metrów. Nie zginąłem wówczas tylko ponieważ w momencie upadku tej strzelby mój kolega ze szkoły (starszy o 2 lata niż ja, bo z 7-mej klasy) wstawił swą nogę pomiędzy wylot lufy i moją głowę. Niemal cały ładunek wstrzelony więc został w jego kolano. Tylko jeden śrut przestrzelił moją czapkę na wylot. Kolano tego kolegi zostało dokumentnie zniszczone i po owym wypadku pozostał on kaleką na całe życie. Jednak owemu nieostrożnemu i niechlujnemu myśliwemu, który powiesił nabitą fuzję na tylko jednym ramieniu, nic nie zrobiono. Uznano wszystko za tzw. **nieszczęśliwy wypadek**. Tamto zdarzenie było pierwszym ostrzeżeniem jakie otrzymałem abym trzymał się z daleka od broni palnej. Wszakże broń jest niezwykle niebezpiecznym narzędziem zbudowanym po to aby zabijać (nic dziwnego, że w czasach mojej młodości powtarzano powiedzenie stwierdzające, iż karabin, albo inna "**broń raz do roku strzela bez amunicji**").

Faktycznie to w swym życiu o mało zostałem postrzelony z fuzji aż dwukrotnie. Pierwszym (1) z tych przypadków był ten opisany powyżej - kiedy to nabita fuzja ześlizgnęła się z ramienia nieodpowiedzialnego myśliwego i wypaliła, przestrzeliwując moją czapkę jednym ze śrutów. W drugim (2), zaszłam już w czasach mojego uczęszczania do ogólniaka, mało brakowało abym został postrzelony (lub zastrzelony) przez naszego sublokatora z Wszewilek. Aby zarobić jako naganiacz wybrałem się bowiem na polowanie tylko z nim. Znaleźliśmy się po obu stronach podłużnego wzgórka, wzdłuż grzbietu którego wbiegał pomiędzy nas zając. Nasz sublokator przymierzając się do tego zająca zaczął z wolna podążać fuzją coraz bardziej w moim kierunku. Uświadomiłem sobie, że jeśli ją wypali, wówczas ja oberwę na wysokości piersi. Rzuciłem się więc na ziemię, zaś on wypalił. Usłyszałem świst śrutu tuż ponad swoją głowę. Na szczęście, przeleciały tuż nademną, ale żaden mnie NIE dosięgnął. (To zdarzenie opisałem w podrozdziale F2 niniejszej autobiografii.)

Dosyć ciekawym zdarzeniem jakie też pamiętam z Cielczy, była woda buchająca z nowo wykopywanej wówczas studni koło lasu (tj. przy tej samej ulicy Leśnej przy której stał dom mojej babci). Woda ta zalała całe okoliczne pola formując tam rodzaj małego jeziora. Rozprężające się brzegi tego jeziora dotarły niemal do domu mojej babci.

Pod koniec roku szkolnego 1957/1958, mój brat Czesław przyjechał do Cielczy aby mnie odwiedzić i sprawdzić jak sobie radzę akademicko. (Cała moja rodzina przykładła bowiem dużą wagę do zdobywania dobrej edukacji - w rezultacie aż trzech moich starszych braci wieczorowo ukończyło studia wyższe.) Poszedł więc ze mną do szkoły i rozmawiał z moimi nauczycielami oraz kolegami. Służył on wówczas w wojsku, wyglądał przystojnie w mundurze, stąd wywarł duże wrażenie na dwóch młodych moich nauczycielkach. Jednak NIE spodobał mu się poziom akademicki szkoły w Cielczy do jakiej uczęszczałem, ani moja poznańska gwara ludowa jakiej tam szybko nabyłem. Doradził więc mojej mamie aby przeniosła mnie z powrotem do szkoły w Miliczu, w przeciwnym wypadku moja przyszłość i praca zawodowa może zostać zagrożona z powodów złej edukacji. Po zakończeniu więc tamtego roku szkolnego moja matka zabrała mnie z Cielczy ponownie do Stawczyka.

D2. Korzenie naszej rodziny utkwione w Cielczy

Ja zamieszkiwałem w Cielczy jedynie przez okres około jednego roku. Pozatym tylko odwiedzałem tę wioskę kilkakrotnie. Jednak dla moich starszych braci Cielcza jest rodziną wioską, w której się urodzili i wychowali. Dlatego mieli oni dużo wspomnień z owej wsi. Przykładem tych wspomnień jest spotkanie mojego zmarłego już brata Czesława z niezwykle rzadkim polskim wężem zwanym **"gniewosz"**. Niezwykłością owego węża jest, że zgodnie z moimi analizami zaprezentowanymi w "części #F" totalizycznej strony internetowej o nazwie **"stawczyk.htm"**, wąż ten opanował umiejętność zwalniania szybkości upływu czasu. Innymi słowy, podobnie jak polski "zaskroniec" wąż **"gniewosz" jest zdolny do dokonywania "nadprzyrodzonych" działań**, które wykorzystują też możliwości przeciw-świata, a nie jedynie możliwości naszego świata fizycznego. Oto jak w 2009 roku mój brat opisał mi swoje spotkanie z owym wężem "gniewoszem":

"Wąż którego widziałem koło Cielczy to był „gniewosz” - bardzo rzadki gatunek i prawie już nie spotykany. Nigdy przedtem, ani nigdy potem, nie spotkałem już takiego węża. Było to w czasie okupacji około 1944 roku (dokładnej daty nie pamiętam). Miałem wówczas około 6, a może 8 lat. Poszedłem na grzyby z babcią, matką lub z którymś ze starszych braci. Ciekawe, że szczegółów nie pamiętam, ale doskonale pamiętam jak wyglądał ów wąż (być może, że przeraziłem się bardzo i to spowodowało, że scena ta tak mocno utkwiała mi w pamięci, że dziś po jakichś 66 latach widzę to w pamięci - tak jak by to stało się właśnie przed chwilą). Nie pamiętam też, czy nazbieraliśmy wtedy dużo grzybów, ale przypuszczalnie – tak, w tym zagajniku złożonym z młodych sosen i brzoźek zawsze były grzyby: kozaki, kowale, kurki, maślaki i inne. Ten zagajnik miał może około 1 km kwadratowego, a wokoło niego były lasy większe sosnowe, brzożowe i mieszane. I wtedy chodząc po tym zagajniku, na którym były też małe polanki – nagle zobaczyłem węża, który skądś wyskoczył, był może przerażony równie mocno jak ja. Wąż ten był koloru ciemno-brązowego, może z odcieniem brązu lekko wpadającym w czerwień – i mknąc szybkimi zygzakami poszedł w jakieś trawy i krzaki. Ja stałem osłupiony przez moment i nawet nie pamiętam, czy osoba towarzysząca mi widziała go. Co mnie uderzyło to szybkość z jaką się on poruszał i jego kolor. Ja, będąc chłopcem mieszkającym w pobliżu lasów w Cielczy doskonale wiedziałem jak wyglądają żyjące tam węże: zaskronce, żmije, czy podobne do węży padalce. Zaskronce można było spotkać w ogródku - niedaleko naszego domu. Żmij też nie brakowało w lesie. Jednak to nie był żaden z tych węży. Przez całe życie potem myślałem, co to był za wąż i kiedy zacząłem studiować literaturę - doszedłem do wniosku, że to musiał być „gniewosz” (rzadki, prawie nie spotykany gatunek węża). Był on trochę podobny do padalca, ale dłuższy i cięższy. Jego długość oceniam na jakieś 40 do 60 cm. Natomiast padalce mają około 30, może 40 cm. Od padalca różnił się też szybkością z jaką się poruszał. Poruszał się on bardzo szybko. Natomiast padalce sprawiają wrażenie bardzo leniwych i poruszają się wolno. Ten wypadek zainspirował mnie w późniejszym wieku do studiowania literatury i dzięki temu znam dość dobrze te gady. Widziałem też węża eskulapa, ale nie w naszym kraju, tylko w Jugosławii w 1966 roku w pobliżu miasta Dubrovnik. Ten wąż jest duży i gruby i można się go też mocno przerazić. Na szczęście jest on nie groźny i niejadowity.

Las w którym widziałem owego węża znajdował się przy wsi Cielcza w odległości około 1 – 1,5 km na południe od Cząszczewa oraz ok. 1 km na zachód od kolei poznańskiej. Dziś po 66 latach miejsca te mogą wyglądać całkiem inaczej. Tam gdzie był zagajnik może być duży las, a gdzie był duży las - może być zagajnik. Faktem jest jednak, że przed 66 laty żył tam jakiś wąż, który może być ciekawostką przyrodniczą i ciekawą wskazówką dla naukowców."

Rozdział E:

Wieś STAWIEC koło MILICZA (1958-1960) **(SZKOŁA PODSTAWOWA w STAWCU - 6 i 7 klasa)**

W dniu rozpoczęcia roku szkolnego 1 września 1958 roku, mój brat Czesław zabrał mnie do nowo-otwartej szkoły nr 3 w Miliczu (szkoła nr 1 nie miała już wówczas wolnych miejsc). Niestety, chodziłem do owej szkoły jedynie przez kilka dni. Nauczyciele szybko odnotowali bowiem moją poznańską gwarę jakiej nabyłem w Cielczy, oraz moje opóźnienia w nauce. Nie chcieli więc abym zaniżał poziom nauczania w klasie jaką nauczali. Spowodowali więc, że oficjalnie odesłano mnie do szkoły podstawowej w Stawcu, do której chodziło też kilku co słabszych akademicko dzieci z Wszewilek (m.in. mój ówczesny przyjaciel Zdychu (ten, który w podrozdziale B4 powyżej "wybierał miód" z gniazda os), który był 2 lata starszy odemnie, jednak powtarzał 7-mą klasę dwa razy, tak że ukończył szkołę w Stawcu razem ze mną). Podczas pisania niniejszej autobiografii w marcu 2019 roku NIE znalazłem w internecie adresu strony tamtej szkoły w Stawcu, jednak ustaliłem, iż jej szczątkowe opisy i ilustracje dają się wyszukiwać w internecie poprzez adres: <https://www.google.pl/search?q=wie%C5%9B+stawiec+ko%C5%82o+milicza+szko%C5%82a+podstawowa&tbm=isch> .

Szkoła w Stawcu pod względem akademickim wcale nie była lepsza od szkoły w Cielczy. Przykładowo w roku akademickim 1958/1959, nasza szósta klasa miała lekcje w tym samym pomieszczeniu co tamtejsza 7-ma klasa. Dwie lekcje były więc tam prowadzone równocześnie przez tego samego nauczyciela i w tym samym pomieszczeniu klasowym. Ponadto do szkoły w Stawcu chodziły "wyrzutki" z innych szkół, czyli dzieci których owe inne szkoły się pozbywały ponieważ swoim nieuctwem zaniżały one poziom nauczania.

Pani Florkowska - moja nauczycielka języka polskiego ze Stawca, słysząc moją poznańską gwarę stwierdziła kiedyś: "**Pająk - z taką polszczyzną nic z Ciebie nigdy nie wyrośnie**". Wierzę, że miała rację tylko częściowo - wprawdzie zawsze miałem kłopoty z ortografią i gramatyką, co wyjaśniam szerzej w podrozdziale F1 poniżej, jednak ciągle w swym dorosłym życiu pokonywałem je nieustającą pracą i nauką, pisząc potem sporo. Wniosek: "**w życiu nigdy nie staraj się osądzać innych, bowiem zapewne popełnisz błąd - raczej akceptuj ludzi takimi jacy są**". Używaj więc "akceptację i motowowanie zamiast osądzania".

Do szkoły w Stawcu musiałem chodzić przez las. Moim problemem stało się więc wagarowanie. Wszakże przysłowie informuje, iż "**okazja czyni złodzieja**". W rezultacie na koniec 6-tej klasy miałem 60 dni wagarów (tj. 2 miesiące) w 10 miesiącach nauki. Prawdziwy cud że zdołałem ukończyć tę szkołę. Ciekawa była "lojalność mojej matki". Mianowicie na wywiadówce dowiedziała się z zaskoczeniem, że mam tak duże nieobecności, podczas gdy ja codziennie wychodziłem do szkoły. W szkole więc moja matka nic nie powiedziała, odbyła jednak potem bardzo poważną "**rozmowę**" ze mną w domu. W rezultacie owej rozmowy, moje wagarowanie uległo powstrzymaniu.

Droga do szkoły w Stawcu przebiegała koło odkrywkowej kopalni gliny dla miejscowej cegielni ze Stawca. Glinę tą wysadzali często w powietrze jacyś pirotechnicy. W takich przypadkach skrzynki pełne "**Amonitu**" (tj. materiału wybuchowego podobnego do "dynamitu") poniewierały się przy drodze. Ja "pożyczyłem" więc sobie jedną paczkę (10 lasek) tego "amonitu", bowiem w owych czasach lubowałem się w strzelaniu i w generowaniu głośnego huk. Niestety (albo raczej "na szczęście"), moi szkolni koledzy odnotowali ową "pożyczkę" i naskarżyli w Cegielni. Musiałem więc paczkę tą zwrócić zanim zdołałem

E-2

wytestować jej przydatność do generowania głośnego huk. Wysłuchałem też wówczas kilka długich kazań na temat niebezpieczeństw materiałów wybuchowych. Przekonałem się także, że w typowych przypadkach "lojalność koleżeńska działa tylko kiedy nikt nie dobiera nam się za skórę".

W Miliczu istniała "**sekcja żeglarska**" prowadzona przez Tadeusza Podgórskiego (starszego odemnie o około 5 lat, chociaż wówczas nadal uczęszczającego do milickiego ogólniaka). Organizowała ona kurs żeglarski i ja na niego się zapisałem. W ramach kursu i członkostwa w owej "sekcji żeglarskiej" często razem żeglaliśmy po przed-tamowej części szerokiej i głębokiej tam rzeki Barycz. Dzięki tamtym doświadczeniom zdobyłem sporo wiedzy teoretycznej oraz praktycznych doświadczeń o tajnikach żeglarstwa i łodzi żaglowych. Z czasem zbudowałem też na swym podwórku rodzaj sporej żaglówki. Niestety jacyś chuligani podziurawili ją i zatopili niemal natychmiast po tym jak zawiozłem ją i zostawiłem na noc na rzece Barycz. Wraz z prowadzącymi ową "sekcję żaglarską" i kurs żeglarski mieliśmy podczas następnych wakacji odbyć żeglarskie wakacje na Mazurach. Niestety, kiedy nadszedł czas owych wakacji okazało się, iż było aż tylu chętnych do ich odbycia, że dla mnie zabrakło na nich już miejsca.

Mój ojciec zawsze chciał mieć "konia górskiego" - czyli konia ogromnie wytrzymałej i inteligentnej, chociaż niewielkiej rasy "**tarpan**", która w czasach jego młodości używana była w rodzinie ojca. Kiedy byłem w szóstej klasie mój ojciec sprowadził sobie takiego konia z gór z pomocą swego brata Władysława i jego syna Janka. W ten sposób przybył nam "**Siwek**", czyli nasz rodzinny koń. Siwka tego używaliśmy do wszelkich możliwych zadań, włączając w to jeżdżenie na nim wierzchem. Szczególnie lubiła na nim jeździć moja siostra Irena, która bardzo kochała tego konia i doskonale umiała na nim jeździć wierzchem.

Istotnym i smutnym wydarzeniem owych czasów była śmierć mojej babci, Katarzyny Dzieciątko w dniu 3 października 1959 roku około godziny 11 w nocy. Po tym jak babcia zachorowała w Cielczy i ktoś dał znać mojej mamie, mama pojechała do Cielczy aby babci pomóc. Nie mogła jednak zostać tam długo bo na Wszewilkach (Stawczyku) zostawiła dwoje dzieci (tj. mnie i moją siostrę Irenę), a także męża i zwierzęta domowe do zadbania. Przywiozła więc babcię do Stawczyka. Babcia była jednak bardzo chora i wkrótce po przybyciu do nas umarła. Jej śmierć miała miejsce w dniu 3 października 1959 roku - babcia miała wówczas 72 lata. (Dla porównania, kiedy ja publikowałem niniejszą autobiografię w 2019 roku, miałem wtedy około 73 lata.) Byliśmy jednak zbyt biedni aby babcię pochować w Cielczy - gdzie pochowany jest jej mąż. Jest więc pochowana na cmentarzu miejskim w Miliczu. Tak więc babcia prowadziła życie z dziadkiem razem lecz oddzielnie, w śmierci jest więc też z nim razem lecz oddzielnie.

W tamtych czasach moje rany normalnie nie chciały się goić. Z tego powodu byłem nawet posądzany o cukrzycę. Ale był jeden wyjątek - mianowicie kiedy smarowałem swe rany jedną "**magiczną maścią**" o tajemniczym pochodzeniu, jaką po prostu kiedyś znaleźliśmy leżącą w naszej domowej apteczce (nikt z rodziny NIE miał wówczas pojęcia jak tubka owej maści nagle się tam znalazła, ani co właściwie miała ona leczyć). Po posmarowaniu rany tą maścią, **rana zawsze mi się cudownie goiła** z wprost błyskawiczną szybkością - znaczy niemal na moich oczach (tj. już następnego dnia po takiej ranie nie pozostawał żaden ślad). Kiedy maść ta się wyczerpała poszedłem z pustą tubką do apteki w Miliczu aby kupić drugą tubkę tej samej cudownej maści. Spytałem też do czego maść ta służy. Wówczas owa "magiczna maść" na moje rany okazała się być "maścią na reumatyzm" rozgrzewającą bolące kości. Jednak niemal na moich oczach moje rany leczyła tylko owa pierwsza jej tubka pochodząca z nieznanych nam źródeł. Natomiast po zakupie drugiej tubki i po dowiedzeniu się prawdziwego zastosowania tej maści, nagle zupełnie przestała mnie ona leczyć. Rany posmarowane maścią z drugiej tubki już nie chciały mi się leczyć - tak jakbym wogóle ich niczym nie posmarował. Ateistyczni lekarze zapewne tłumaczyliby tamte zdarzenia jako klasyczny przykład tzw. "efektu **placebo**" oraz zapominania jakie lekarstwa ma się w

E-3

apteczce. Ja jednak osobiście doświadczyłem tamtych zdarzeń i wiem, że żadne "placebo" NIE jest w stanie dokonywać aż tak szybkiego leczenia ran, a także pamiętam, że w tamtych czasach moja rodzina miała zbyt mało pieniędzy aby zakupić jakieś lekarstwo i zapomnieć o jego istnieniu po umieszczeniu go w apteczce. Wierzę więc, że zapewne całe zdarzenie miało być dla mnie lekcją od Boga, iż "**faktycznie leczy nas wiara i siła woli, nie zaś użyte lekarstwo**". Potem potwierdziłem naukowo prawdę owej lekcji, zaś potwierdzenie to opisałem w punkcie #A2.2 ze strony o nazwie "[totalizm.pl.htm](#)".

E1. Związek Napoleonistów - czyli użyteczność prostoty i symetryczności liter "N" i "Z"

Prostota i wzajemne podobieństwo liter N i Z może dostarczyć doskonały system oznaczania. Wszakże zwykłą żyletką łatwo można sobie wyciąć literę N np. w kawałku gumki, otrzymując w ten sposób "pieczętkę" jaką potem można sobie wszystko opieczętować na co najmniej 2 sposoby – zależnie od tego jak się trzyma tą gumkę podczas przybijania. Wszakże odmienne trzymanie tej samej gumkowej pieczętki własnego wyrobu pozwala przybijać dwie odmienne litery, tj. albo Z albo też N. Jeśli zaś np. dolną poziomą kreskę litery "Z" wytnie się nierozpoznawalnie dla innych ludzi inaczej niż jej górną poziomą kreskę (np. jako nieco grubszą, krótszą, lekko stożkową, lub rozdwojoną na końcu), wówczas otrzymuje się aż 4 odmienne oznaczenia. Te cztery zaś oznaczenia mogą z kolei odpowiadać np. ocenom 2, 3, 4 i 5 - jakimi w czasach mojej młodości nauczyciele oceniali prace i wyniki uczni (tj. ocenom oznaczającym: 2-niedostateczne, 3-dostateczne, 4-dobre i 5-bardzo dobre). Stąd jeśli coś oceniamy, przybijając na tym nasz znak Z reprezentujący 2 (tj. odpowiadający szkolnej ocenie "dwójki" – tj. oznaczającej: niedostateczne, złe, wrogie, wymagające zmiany lub poprawy, itp.), sekretnie możemy tym też oznaczać sobie, iż jest to dla nas złe, szkodliwe, niebezpieczne, wymagające odrzucania czy trzymania się od tego z daleka, itp. Jeśli zaś czemuś przybijamy nasz znak reprezentujący 5, wówczas możemy tym oznaczać sobie, iż jest to bardzo dobre, pomocne, przyjazne, warte zabiegania lub bycia w tego pobliżu, itp. Jeśli zaś owe N i Z przyjmie się za zabawowy "podpis", czy oznakę, wówczas nawet jeśli ktoś niepowołany odbierze, lub znajdzie, taką listę z ocenami, ciągle NIE będzie miał pojęcia na co patrzy lub co trzyma w swym ręku.

Niezależnie od wyglądającego jak dziecięca zabawa przybijania oznaczeń N lub Z taką chałupniczo wykonaną pieczętką, ten sam system oznaczeń można też na czymś pisać, wyskrobywać scyzorykiem, czy łatwo wycinać nożem. Każdy uboczny widz sądzi też wówczas, że jest to zabawa, podczas gdy może to być sekretne oznaczanie i klasyfikowanie dla późniejszego natychmiastowego rozpoznania, wiedzy i użytku.

Kiedy w 1958 roku z rocznego pobytu w Cielczy powróciłem do Wszewilek, wówczas na podobieństwo odrębnych grup dziecięcych jakie istniały i działały w Cielczy, z chaotycznego rozgardziaszu wszewilkowskich indywidualistów wybrałem i zorganizowałem sobie własną grupę. Włączyłem do niej kilku cichych i pokojowo nastawionych kolegów - o cechach osobowych podobnych do tych jacy w Cielczy sprawdzali się w działaniu jako tamtejsi moi najlepsi przyjaciele i zbiorowi obrońcy. Ponieważ do oznaczania bazy, przynależności i działań owej wszewilkowskiej grupy używaliśmy tej samej litery Z, oznaczającej też N (jakiej ja używałem w Cielczy jako swój własny symbol) grupę tę nazywaliśmy "**Związkiem Napoleonistów**" - chociaż równie dobrze mogliśmy się nazwać np. "Nową Zelandią", czy dowolną inną nazwą jakiej pierwszymi literami były N i Z albo Z i N. Moją intencją było uformowanie wówczas rodzaju jakby chłopięcej organizacji wzajemnej współpracy, pomocy i samoobrony. Wszyscy bowiem uczestnicy owej grupy byli tymi, którzy w razie chęci jeszcze innego chłopca, aby kogoś pobić, łądowni zostaniem właśnie ofiarami pobicia. Założyliśmy swoją bazę w lesie na polance gęstego zagajnika. Zbudowaliśmy tam szłas będący naszą "kwatery główną". Próbowaliśmy też tam się uczyć walki i obrony grupowej - tak jak czyniła to młodzież w Cielczy. Organizacja tej grupy dodawała też wigoru do naszych ówczesnych zabaw. Niestety, ponieważ cechy osobowe NIE wszystkich chłopców z Wszewilek kwalifikowały ich na uczestników owej grupy, ci co NIE zostali w nią włączeni zaczęli skrycie działać na jej szkodę. Przykładowo zburzyli nam szłas "kwatery głównej", przeszkadzali w naszych zabawach, a w końcu jako przywódca grupy, dostałem "lanie" od uprzednio dobrego mojego przyjaciela - który sam uważał siebie za przywódcę ówczesnej młodzieży Wszewilek. Z powodu więc braku osiągnięć w nauczaniu się zbiorowej obrony (i braku nawyku grupowego

E-5

działania oraz braku grupowej odwagi), tak jak broniły się grupy młodzieżowe w Cielczy, po zaledwie paru miesiącach działania, nasza grupa się rozpadła.

W około pół **wieku** później zaczęło mnie zastanawiać czy owe litery N i Z jakie we Wszewilkach były symbolem naszej grupy (zaś w Cielczy - oznaką mojej osoby) NIE posiadały też jeszcze jednej, "przeznaczeniowej" symboliki i wymowy. Wszakże reprezentują one też symbol "NZ" powszechnie używany do oznaczania kraju "Nowa Zelandia" - wyemigrowanie do którego najwyraźniej znajdowało się w moim przeznaczeniu już od chwili kiedy się urodziłem.

E-6

E2. Moja fascynacja tajemniczą magią słowa brzmiącego jak "Dajana" czy "Pajana"

Od czasów, początku jakich NIE pamiętam - chociaż w głowie najbardziej utkwily mi w związku z tą sprawą czasy uczęszczania do Szkoły Podstawowej w Stawcu, dziwnie fascynował mnie dźwięk jednego słowa, brzmienie którego NIE bardzo potrafiłem wtedy zdefiniować. (Obecnie wiem już, że słowo to zapewne znałem tylko w "języku myśli" zwanym "**Ulot**" lub "**ULT**", a NIE w języku mówionym - ten "**uniwersalny język myśli**" zwany "Ulot" lub "ULT" opisałem nieco dokładniej w punkcie #E4 swej strony o nazwie "[przepowiednie.htm](#)", oraz w podrozdziale I5.4.2 z tomu 5 swej "[monografii 1 5.htm](#)".) Po raz pierwszy słowo bardzo podobne do tego, które mnie tak fascynowało, usłyszałem w głośnikach dopiero kiedy do Polski dotarła nagrana parę lat wcześniej, bo w maju 1957 roku, piosenka-przebój niejakiego **Paul'a Anka** o tytule "**Diana**" - czytelnik może jej posłuchać uruchamiając np. następujący link do jej nagrania z YouTube: "<https://www.youtube.com/watch?v=ar-zZ21iW9w>" albo "<https://www.youtu.be/TDDqYDQjtEs>". Wpradzie mój ojciec od lat posiadał wiatrówkę niemieckiej firmy "Diana", jednak my wymawialiśmy jej nazwę po polsku - NIE brzmiała więc ona tak jak owo magiczne słowo jakie mnie fascynowało. O tym zaś, że imię "Diana" w języku angielskim wymiawiają w zupełnie innym brzmieniu, jakie polskimi literami można zapisać jako "**Dajana**", ja po raz pierwszy usłyszałem dopiero właśnie z owej piosenki Paul'a Anka. Tymczasem owa angielska wymowa słowa "Diana" brzmi bardzo podobnie do tajemniczego słowa, które mnie tak fascynowało. Ponieważ zaś, aby np. szybko powiedzieć, że coś należy do **Pajaka Jana**, łatwiej jest to skrócić do jednego wyrazu "**Pajana**" - które też brzmi podobnie do owego magicznego słowa jakie mnie tak fascynowało, w czasach swej nauki w szkole ze Stawca, czyli w 1959 roku, słowo "Pajana" przyjąłem za swój **pseudonim na całą resztę swego życia**. Oczywiście, wówczas używałem je tylko w zabawach z kolegami. Za to znacznie później, bo dnia 4 marca, 2005 roku, tj. wkrótce po tym jak dowiedziałem się, że Google ustanowił zdumiewająco dobre adresy emailowe "Gmail" o uprzednio niewyobrażalnie dużej pamięci, wyrobiłem sobie też adres pajana@gmail.com – jaki używa tamten właśnie mój niemal całożyciowy pseudonim. Ów adres używałem dla osobistej i wysoce prywatnej korespondencji emailowej nawet i w czasach dokańczania tej autobiografii, czyli już przez okres około 15 lat.

Dopiero w 2018 roku przypadkowo się dowiedziałem, jak brzmi owo tajemnicze słowo, które znałem jedynie w języku "**Ulot**", a mimo tego tak nim się fascynowałem przez większość swego życia. Owo słowo, to "**Pahana**" - znaczenie jakiego ujawniają strony <https://www.google.com/search?q=Pahana+White+Brother+Indian+Hopi>. Szczęśliwie dla mnie, poznałem je dopiero w wieku 72 lat - tj. kiedy z uwagi na swój podeszły wiek i stan zdrowia NIE mogłem już podjąć żadnego bazującego na nim działania. Wszakże gdybym był nieco młodszy i fizycznie sprawniejszy, zapewne uczyniłbym podobnie jak po dowiedzeniu się o istnieniu urządzenia zwanego "Zhang Heng Seismograf" do wczesnego telepatycznego wykrywania nadchodzących trzęsień ziemi - po usłyszeniu o którym jeszcze w 1993 roku podczas swej profesury w Malezji NIE zaprzestałem jego poszukiwań, aż w marcu 2003 roku zdołałem je odnaleźć, dokładnie poznać, przeanalizować, wykryć tajemnice jego zasady działania, oraz opisać szeroko na mojej stronie o nazwie "[seismograph.pl.htm](#)" udostępniając w ten sposób reszcie świata informacje o jego istnieniu, budowie i zasadzie działania. Problem polega bowiem na tym, że owo słowo "Pahana" miało potencjał aby znacząco wpłynąć na moje wierzenia. Wierzenia zaś, jeśli zdołają urosnąć do wystarczająco silnej wartości, mogą z kolei zacząć kształtować nasze działania (a stąd i nasze losy) - tak jak wyjaśniłem to szczegółowiej w punkcie #A2.2 swej strony internetowej o nazwie "[totalizm.pl.htm](#)". To zaś powoduje, że gdybym wcześniej poznał to słowo i uległ pokusie

E-7

podążania za jego symbolicznym znaczeniem i kierunkiem myślenia, moje życie zapewne mogłoby potoczyć się w zupełnie odmiennym, bardziej konserwatywnym, zaś naukowo mniej twórczym i produktywnym kierunku.

Fascynacje podobne do opisywanego tutaj słowa, z upływem czasu rozpoznałem i odnotowałem też we wielu obszarach zarówno własnego indywidualnego życia, jak i życia całych tzw. "intelektów grupowych". Z czasem wypracowałem w sobie bazujące na moim Konceptcie Dipolarnej Grawitacji wyjaśnienie dla ich powstawania (wyjaśnienie to stwierdza, że są one rodzajem "**deja vu**" z innego przechodzenia przez powtarzalny "czas ludzki"). Ich przykładami jakie zaistniały **w moim własnym życiu** indywidualnym mogą być:

(1) Fascynacja cudownym lekarstwem, jakie błyskawicznie leczyło moje rany, a jakie opisałem na końcu wstępnej części tego "rozdziału E" o szkole w Stawcu.

(2) Fascynacja, jaką podczas trwania mojej szkoły średniej budziły we mnie rysy twarzy córki wice-dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu. Opisałem ją w podrozdziale F3 poniżej.

(3) Fascynacja, jaką budził we mnie wygląd zwłok młodej, pięknej kobiety jaką widziałem w podziemiach kościoła w Trzebicku - po więcej szczegółów patrz opisy tej kobiety z Trzebicka w punkcie #J2 mojej strony o nazwie "[malbork.htm](#)". Natomiast krótkie streszczenie całego fascynującego mnie zdarzenia opisałem przy początku podrozdziału #F2 poniżej.

Z kolei do przykładów podobnych fascynacji, jakim poddawane są **całe "intelektury grupowe"**, można zaliczyć:

(I) Fascynacja, jaką w czasach od mojego dzieciństwa, aż do lat 1980-tych wykazywała niemal cała ludzkość w stosunku do zapachu benzyny i paliw, a także do samochodów – tak jak opisałem to już w (3) z powyższego "Wprowadzenia" do tej autobiografii.

(II) Fascynacja, jaką aż do roku 2001 niemal cała ludzkość darzyła Amerykę.

(III) Fascynacja plastykiem, jaka opanowała całą ludzkość począwszy od około roku 1970 i jaka trwała aż do około 2010 roku. Obecnie owa fascynacja zamieniła już się w "**antyfascynację**" – czyli w odmianę dezaprobaty, a czasami nawet nienawiści.

(IV) Fascynacja, jaką w chwili obecnej cała ludzkość wykazuje w sprawie "**dinozaurów**".

Oczywiście, powyższe to tylko przykłady. W rzeczywistości na wybranych ludzi, lub na całą ludzkość, równocześnie działa niemal niezliczona liczba tego typu "fascynacji". Tyle że NIE mając pojęcia o istnieniu tego rodzaju "manipulacji ludzkimi wierzeniami", ludzie bezwolnie, bez oporów, oraz bez osobistej kontroli czy aprobaty, dają się nimi dowolnie zarządzać i manipulować.

Warto tutaj też dodać, że empirycznie już się przekonaliśmy, iż masowe "fascynacje" z upływem czasu typowo spychają ludzkość do krawędzi zagłady, zaś po pojawieniu się świadomości co one uczyniły, z czasem przekształcają się w równie masowe "antyfascynacje".

Rozdział F:

Miasteczko MILICZ (1960-1964) (SZKOŁA ŚREDNIA: LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE W MILICZU)

Po ukończeniu szkoły podstawowej stanąłem przed problemem co czynić dalej. Przykłady i rady moich starszych i bardziej doświadczonych braci, szczególnie Stefana, perswadowały mi abym starał się podjąć naukę w szkole średniej aby zdobyć jakiś zawód. Niestety, w Miliczu NIE było wówczas żadnej szkoły średniej pozwalającej na zdobycie zawodu jaki by mi odpowiadał. Istniała wprawdzie już tam szkoła zawodowa kształcąca tokarzy i ślusarzy - którą ukończył mój starszy brat Stefan, jednak z tego co mi opowiadał o problemach swej pracy jako tokarz w fabryce autobusów Jelcz, mi odbierało chęci aby iść w jego ślady. Zdecydowałem więc, że spróbuję edukacji w jakimś technikum oferującym akceptowalny dla mnie zawód i położonym w najbliższej do Milicza miejscowości. Wychodziło, że warunki te spełnia Technikum Nauczycielskie w Krotoszynie. Krotoszyn miał wówczas dobre połączenia kolejowe z Miliczem. W przypadku więc gdybym do technikum tego się dostał, wówczas próbowałbym do niego dojeżdżać koleją, nadal mieszkając z rodzicami.

Posłuchałem więc podszeptów swego przeznaczenia i złożyłem podanie do owego Technikum Nauczycielskiego w Krotoszynie. Niestety, wylano tam na mnie kubeł zimnej wody – bowiem „**oblałem**” tam haniebnie egzamin wstępny. Pytania egzaminacyjne jakimi tam mnie potraktowano, ilustratywnie uświadomiły mi to co moi bracia powtarzali już od wielu lat - mianowicie że w ostatnich trzech latach swej podstawówki niemal niczego NIE zdołałem się nauczyć. Na szczęście, ów kubeł zimnego realizmu jakim w Krotoszynie oblało mi głowę, dokonał tego co powinien i od owej chwili zacząłem brać obowiązek uczenia się mniej lekkomyślnie. W rezultacie, tamten egzamin potem okazał się być jedynym egzaminem jakiego NIE zdałem w całym swoim życiu. Obecnie rozumiem też, dlaczego na przekór iż zawód nauczyciela leżał w moim przeznaczeniu, tamten mój wybór szkoły średniej NIE był na tyle właściwy i dobry aby Bóg pozwolił mi go urzeczywistnić. Wszakże patrząc realistycznie, to nawet gdybym zdał ów egzamin wstępny i dostał się do tamtego technikum odległego o kilkadziesiąt kilometrów od mojego domu rodzinnego we Wszewilkach, **ciągle zapewne NIE byłbym w stanie go ukończyć**. Moi rodzice byli przecież zbyt biedni aby finansowo zabezpieczyć synowi kontynuowanie nauki wymagającej albo zamieszkania w internacie, albo kosztownych i wielogodzinnych codziennych dojazdów koleją. Ponadto, gdybym jakimś cudem ukończył owo technikum, wówczas już po szkole średniej miałbym zawód. Jest więc niemal pewnym, że zamiast zostać naukowcem - co okazało się leżeć w moim przeznaczeniu, podjąłbym pracę zawodową aby zarabiać na chleb i życie, odciążając tym finansowo moich biednych rodziców.

Po NIE zdaniu egzaminów wstępnych do owego technikum, zanosilo się, że moje wykształcenie zakończy się w podstawówce. Wówczas do akcji niespodziewanie wkroczył mój najstarszy brat - któremu dzięki temu zawdzięczam większość tego co w swym życiu osiągnąłem. Sam będąc nauczycielem w szkole średniej, poprzez stosunki jakie miał wśród swoich kolegów zawodowych jakoś spowodował, że otrzymałem jeszcze jedną szansę zdawania egzaminu wstępnego i ewentualnego kontynuowania edukacji podczas dodatkowych egzaminów wstępnych do Liceum Ogólnokształcącego w Miliczu. W owym czasie Milicz miał tylko jedno Liceum - tj. obecne Liceum Ogólnokształcące Nr 1. Podczas pisania niniejszej autobiografii w marcu 2019 roku znalazłem w internecie zarówno adres strony tamtego liceum w Miliczu (tj. adres <http://lo1milicz.pl/cms/index.php>), a

F-2

ponadto ustaliłem, iż szerokie jego opisy i liczne ilustracje dają się wyszukiwać w internecie poprzez adres: <https://www.google.pl/search?q=1+lo+w+miliczu&tbn=isch> .

Ja osobiście miałem spore opory przed podjęciem nauki w Liceum Ogólnoszkolnym, bowiem NIE oferowało ono zawodu. Jednak bracia mnie przekonali, że **jakikolwiek wykształcenie jest lepsze niż brak wykształcenia**. Wszakże nawet NIE mając zawodu, ciągle po liceum mogę znaleźć jakąś pracę „**gryziopiórka**”, lub nawet starać się iść na studia.

Jak udowodniły mi to potem następstwa powyższych rad i pomocy czworga moich braci, dobrze jest mieć bardziej doświadczonych starszych braci, którzy swą wiedzą, doświadczeniem, radami i faktyczną pomocą wspomagają młodszego brata. W wyniku ich rad i wyjaśnień zdecydowałem więc iż uczynię wszystko co w mej mocy aby zdać ten drugi egzamin wstępny. Pamiętając zaś poziom trudności i rodzaj pytań w technikum, zacząłem nawet próbować się uczyć. Niestety, zaległości z trzech ostatnich lat nauki NIE dało się nadrobić w parę tygodni jakie pozostawały do daty tego drugiego egzaminu.

Pisząc o posiadaniu czterech starszych braci, muszę tu przyznać, że miałem wyjątkowe szczęście iż Bóg przydzielił ich do mojej rodziny. Młodemu, niedoświadczonemu i lubującemu się w głupotach chłopcu, jakim kiedyś byłem, ich mądre rady wynikające z życiowego doświadczenia jakie zdobyli wcześniej niż ja, wspierane „bratnimi” metodami ich wdrażania w moje życie, z czasem okazały się nieocenione. Faktycznie to dzięki mądrym radom i emocjonalnemu wsparciu otrzymywanym od moich braci osiągnąłem w swym życiu aż cały szereg „niemożliwości” - stając się tym kim obecnie jestem. W pewnym więc sensie ich rady i pomoc obecnie odwzajemniam swym bliźnim, sam stając się rodzajem „**Pahana**” dla wielu czytających moje publikacje (słowo „Pahana” oznacza „Biały Brat” w języku Indian Hopi). Niestety, kiedy publikowałem niniejszą autobiografię w 2019 roku, wszyscy czworo moi bracia już NIE żyli. Tylko w okresie niecałych trzech miesięcy tego samego 1915 roku cała nasza rodzina straciła aż trzech moich braci. Najpierw zmarł na śmierć drugi w kolejności urodzin mój brat Ludwik (zmarł w sobotę, dnia 10 stycznia 2015 roku, po przeżyciu 82 lat). Potem umarł mój najstarszy brat (zmarł w środę dnia 25 lutego 2015 roku, w wieku 85 lat). Trzeci zaś w kolejności urodzin mój brat umarł w wielkanocny poniedziałek, dnia 6 kwietnia 2015 roku, w wieku 79 lat. Po tym fatalnym roku 2015 pozostał mi tylko jeden najbliższy mnie kolejnością urodzin brat Stefan - ale i on umarł cztery lata później, tj. w czwartek, dnia 31 stycznia 2019 roku, w wieku 80 lat i 7 miesięcy. Wiele lat wcześniej straciliśmy też naszego ojca (zmarłego 1981/10/26 w wieku 78 i pół roku) oraz matkę (zmarłą 1989/12/16 w wieku 82 lat i niemal 11 miesięcy). Muszę się więc tu przyznać, że po spędzeniu niemal całego życia mając świadomość, iż w razie jakiegokolwiek kryzysu życiowego zawsze otrzymam od braci potrzebną mi pomoc i wymagane wsparcie moralne, ich nagłe odejście pozostawia rodzaj poczucia pustki i osamotnienia w konfrontowaniu wszelkich trudności jakich dzisiaj rzeczywistość nam NIE szczędzi.

F-3

F1. Moja nauka w Liceum Ogólnokształcącym w Miliczu

Dodatkowy egzamin wstępny do liceum w Miliczu odbywał się już po wakacjach. Jednak patrząc teraz na niego realistycznie, moja wiedza wyniesiona z dwóch ostatnich szkół w jakich kończyłem klasy piątą, a potem szóstą i siódmą swej podstawówki, była zbyt niska abym miał realne szanse zdania tego egzaminu. Z kilku pytań egzaminu ustnego jakie wyciągnąłem na owym egzaminie wstępnym, odpowiedzieć byłem w stanie częściowo tylko na jedno. Cała też moja wiedza na temat tego pytania mieściła się zresztą w około dwóch zdaniach wypowiedzi. Kiedy jednak zacząłem swą odpowiedź od powtórzenia pytań, **stał się cud jaki trudno wytłumaczyć inaczej niż bezpośrednią interwencją Boga**. Mianowicie, jakby z powodu przemęczenia niekończącym się egzaminowaniem, egzaminujący mnie osobiście ówczesny Dyrektor Liceum niespodziewanie zasnął na swoim krześle twardym jak kamień snem. Ja grzecznie więc odczekałem aż Pan Dyrektor się zbudzi, zaś kiedy się zbudził - kontynuowałem swoje odpowiadanie recytując bez zająknięcia całe owe dwa zdania jakie wiedziałem na temat jednego z pytań egzaminacyjnych. Po wyrecytowaniu tych zdań Dyrektor zapytał "**skończyłeś**" - "tak" odpowiedziałem energicznym i pewnym siebie głosem. Bardzo dobrze, bardzo dobrze, wymamrotał Pan Dyrektor zmieszany i zakłopotany, że przez swoje zapadnięcie w nagły i niespodziewany dla siebie twardy sen nie zdołał usłyszeć całej długiej odpowiedzi jakiej posądzał iż w międzyczasie mu udzieliłem. I tak nawet ku własnemu szokowi - zdałem ten egzamin wstępny.

W liceum początkowo wszystko szło mi okropnie "**jak krew z kamienia**". Wszakże moja ówczesna wiedza ciągle była na poziomie akademickim szkół w Stawcu i w Cielczy. Na dodatek dostałem się do najgorszej klasy, do której przydzielane były "**czarne owce**", tj. dzieci jakie liceum owo z jakichś powodów musiało przyjąć (bo np. były one synkami czy córeczkami jakichś ważnych lub bogatych rodziców, albo ponieważ władze nakazały aby liceum przyjęło dodatkową liczbę dzieci). Owe "czarne owce" pod względem akademickim nie potrafiły się jednak zdobyć na niemal żaden wysiłek. Wychowawczynią naszej klasy początkowo też była raczej niedołączna Pani pedagog, jaka nie potrafiła utrzymać żadnej dyscypliny wśród rozwydrzonych nastolatków, ani zamotywować nikogo do pracy. W rezultacie, po ósmej klasie (tj. ówczesnej pierwszej klasie licealnej) miałem jedną poprawkę (z języka rosyjskiego) która popsukała mi całe letnie wakacje, bo zamiast odpoczywać musiałem się uczyć rosyjskiego. Niemal też wszystkie moje oceny na świadectwie były trójkami (t.j. ówczesnymi najniższymi ocenami jakie ciągle oznaczały zdanie danego przedmiotu).

Moim pierwszym przyjacielem z grona tamtej 8-tej (czyli początkowej) klasy Ogólniaka był niejaki **Wiński** (NIE pamiętam jego imienia). Nasza jednak przyjaźń polegała wówczas na nieustającym żartobliwym biciu się i wzajemnym kopaniu. W jednej z takich bitek kopnął mnie niezwykle boleśnie w przyrodzenie, tak że niemal zemdlałem z bólu. Od tego czasu moje lewe jądro zawsze było większe niż prawe. Wiński odpadł jednak z naszego Ogólniaka już po 8-mej kasie. (Najwyraźnie poza trafnym kopaniem NIE bardzo potrafił opanować jakąkolwiek inną umiejętność.)

W początkowej (tj. ósmej) klasie Liceum Ogólnokształcącego, codzienną drogę do domu musiałem odbywać razem z **Bolkiem** - tj. kilka lat starszym i roślejszym sąsiadem ze **Stawczyka**, który upodobał sobie aby mnie codziennie masakrować. (Po angielsku takie systematyczne serwowanie lania czy innej formy prześladowania, komuś słabszemu przez kogoś roślejszego i silniejszego, nazywane jest "**bullying**" co znaczy "**bykowanie**". Nowa Zelandia zajmuje jedno z czołowych miejsc w świecie co do poziomu i powszechności tego rodzaju postępowania. To między innymi z powodu takiego nieustającego "bullying" praca w NZ dla mnie okazywała się jedną z najtrudniejszych w życiu - w wielu bowiem miejscach pracy, np. w Timaru, byłem "bykowany" nawet przez aż kilku swoich przełożonych naraz. Wszakże będąc emigrantem z lekceważonego Bloku Wschodniego, przez wielu owych "bullies"

F-4

uważany byłem za "pod-człowieka" pozbawionego wszelkich praw - stąd nad którym mogli oni wyżywać się do woli. Typowi bowiem "bullies" NIE wiedzą o **działaniu karmy** - NIE zdają sobie więc sprawy z faktu, iż tak jak kogoś potraktują dzisiaj, po upływie "**czasu zwrotu**", czyli typowo NIE później niż za jakieś 7 do 10 lat, oni sami będą potraktowani przez kogoś innego.) Za owo regularne sprawianie mi bicia Bolek faktycznie sam też dostawał łomot od chłopców, którzy byli od niego silniejsi i się go nie bali, a jednocześnie było im mnie żal za owo nieustające obrywanie lania - np. od **Zbyszka**. Jednak Bolka wcale to nie powstrzymywało przed zbiciem mnie za każdym razem kiedy tylko mógł mnie dopaść. Ponieważ on był wiele razy silniejszy odemnie, ja się przed nim wcale nie broniłem, zaś on po prostu mnie masakrował bez oporu. Mój zaprawiony w walkach starszy brat Stefan, wyjaśnił mi wówczas, że jedyny sposób aby wyperswadować Bolkowi zaprzestanie dalszego masakrowania mojej osoby wymaga abym to ja sam jego pobił. Jednego dnia zdobyłem się więc na odwagę i w myśl starannie przygotowanego uprzednio planu walki, poprzez niespodziewane i dobrze wybrane zaatakowanie faktycznie samemu skuteczne go pobiłem. Owego dnia Bolek stał z grupką koleżków koło bramy do swego domu. Podjechałem do niego na rowerze typu "**damka**", który ma wygięcie ramy umożliwiające celne kopnięcie. Rower ustawiłem tak aby owo wygięcie w ramie było na wprost mojej nogi gotowej do kopniaka. Jak zwykle kiedy znalazłem się w jego pobliżu, Bolek natychmiast podszedł wprost do mnie i zamachnął się aby mnie uderzyć w twarz. Wtedy ja go kopnąłem z całą siłą na jaką było mnie stać - celnie w najczulsze męskie miejsce. Wszakże pamiętałem z czasów bitek z Wińskim w Ogólniaku, jak takie kopnięcie się czuje. Mój silny kopniak zwalił go z nóg jak uderzenie pioruna. Padł bez tchu. Ja zaś wsiałem statecznie i dumnie na swój rower i tryumfalnie odjechałem ku zaskoczeniu reszty jego kumpli. Po owym kopniaku Bolek nigdy już więcej nie odważył się podejść do mnie na odległość bliższą od długości mojej nogi. W ten sposób moje dalsze masakry natychmiast po tym ustały. Lekcja z tamtego zdarzenia: "**siłę i prześladowania swych agresorów powstrzymuj siłą i mądrością własnej obrony**" - żaden inny sposób w praktyce bowiem NIE działa.

W ósmej klasie zetknąłem się też z metodą działania ówczesnych komunistycznych gazet i władz, jakiej to metody w owych czasach jeszcze NIE rozumiałem o co w niej chodziło. Dopiero w wiele lat później zrozumiałem, że **chodziło tam o likwidowanie ludzkich skarg u samego źródła**. Mianowicie w 8-mej klasie zaprzyjaźniłem się też z chłopcem o nazwisku **Bąk** (jego imię zapewne było **Marian** - jednak NIE jestem już tego absolutnie pewien). Ja zaprzyjaźniłem się z nim ponieważ obu nas łączyło marzenie aby zostać pilotami samolotów. Ponieważ zaś mój starszy brat, Ludwik Pająk, był już pilotem sportowego lotnictwa, na moją prośbę zarejestrował nas obu w swoim lotnisku na kandydatów do przeszkolenia w pilotowaniu szybowców - co opisuję też w podrozdziale X3 tej autobiografii. Jednak na badaniach zdrowotnych, mój przyjaciel, podobnie jak ja, też odpadł z powodu jakiejś niedoskonałości ciała. (Moją kandydaturę odrzucili tam w ostatnim z długiego ciągu badań medycznych, wszystkie z jakich wykazały, że byłem przysłowiowo "zdrowy jak koń". To ostatnie badanie było jednak prowadzone przez wojskowego laryngologa. Od razu też się dopatrzył, że miałem skrzywioną chrząstkę w przegrodzie nosowej. Jakiś czas wcześniej podczas szybkiej jazdy rowerem krętą ścieżką przez las, "pocałowałem się" bowiem z dużym twardym drzewem - był to więc jeszcze jeden przypadek bezpośredniej interwencji Boga abym NIE zboczył z drogi do swojego przeznaczenia naukowca i późniejszego twórcy **Konceptu Dipolarnej Grawitacji** oraz filozofii **totalizmu**. Za co zaś kandydatura mojego przyjaciela została wówczas odrzucona, tego już NIE pamiętam.) Pewnego jednak dnia do naszej szkoły przybyła dziennikarka z jakiejś ważnej wrocławskiej gazety rządowej, zaś cała nasza szkoła została postawiona na baczność. Każdego z uczniów owa dziennikarka brała pojedynczo do pustej klasy i wypytywała o wszelkie możliwe sprawy dotyczące mojego przyjaciela. Potem się okazało, że władze czyniły coś wysoce niesprawiedliwego w jego wiosce, zaś będąc najwyższym edukowanym uczniem liceum z owej wioski, mój przyjaciel został

F-5

wytypowany do napisania skargi do gazety o dziejącą się tam niesprawiedliwość. Wkrótce po tamtym wywróceniu naszej szkoły do góry nogami przez ową dziennikarkę, mój przyjaciel został nagle i w tajemniczy sposób usunięty z liceum i odesłany do domu, tak że nawet NIE zdążyłem się z nim pożegnać. Ponieważ mieszkał on we wiosce położonej gdzieś z dala od Milicza w odwrotnym niż nasz Stawczyk kierunku ku Żmigrodowi, nigdy więcej już go NIE widziałem w całym swym życiu.

Po minięciu tamtej początkowej (tj. 8-mej) klasy "ogólniaka" ponownie wówczas zdarzył się cud. Nasza klasa "czarnych owiec" zwyczajnie się rozsypała. Większość dzieci przestała uczęszczać do liceum - część uznała naukę za zbyt nudną, część oblała, zaś co najmniej jedna dziewczyna (na którą zwróciłem wówczas szczególną uwagę, bo była naszą piękną klasową) zaszła w ciążę (NIE z mojej przyczyny - ja pozostawałem "męską dziewczicą" niemal do czasu ukończenia studiów na Politechnice Wrocławskiej) i została wycofana ze szkoły przez jej rodziców.

Po rozsypaniu się klasy "czarnych owiec", wraz z kilkoma niedobitkami tej klasy zostałem przydzielony do innej klasy. Jakimś kolejnym cudem dostałem się do klasy Pani **Heleny Hass** - mojej późniejszej ulubionej nauczycielki historii i geografii, zmarłej około 1999 roku w wieku 93 lat. Pani Hass była bardzo doświadczonym i utalentowanym pedagogiem - jednym z najlepszych pod nadzorem jakich miałem honor uczyć się w swoim życiu. (Wiele lat później badając metody działania Boga, odkryłem że w celu edukowania osób jakim Bóg stara się pomagać oraz uczenia ich jak deceniać i cieszyć się tym co posiadają, najpierw wystawia je na to co najgorsze, a dopiero znacznie później - na to co najlepsze. Z kolei dla karania osób jakie nabroili, najpierw wystawia je na to co najlepsze, a w jakiś czas potem na to co najgorsze.) To właśnie ponieważ zawdzięczam wiele talentowi i edukacyjnym wysiłkom Pani Hass, dla upamiętnienia jej klasy i działalności dydaktycznej dnia 5 czerwca 2004 roku przygotowałem i opublikowałem specjalną ilustrowaną stronę internetową o nazwie "[klasa.htm](#)". Trzymała ona naszą klasę z żelazną dyscypliną, a co najważniejsze potrafiła motywować nastolatków do nauki. W rezultacie jej klasa, do której zostałem przydzielony, wytworzyła w sobie atmosferę pracy i współzawodnictwa o oceny. Wszyscy się starali być dobrzy w nauce, zaś ja pociągnięty zostałem przykładem innych. W sposób niezamierzony dodatkowo motywowała mnie w tym zresztą niejaka **Milka**, jedna z lepszych uczennic naszej klasy, do której sekretnie wzdychałem przez okres całego liceum (Anglicy takie przedmioty czyjegoś wzdychania nazywają "sweetheart" albo "heart-throb" - co możnaby tłumaczyć jako "przyspieszacz bicia serca".) Pechowo dla mnie, jej "heart-throb" stanowili chłopcy, którzy byli najprzystojniejszymi kuzynkami naszej klasy. Niemniej aby jej zaimponować zawsze starałem się wypadać jak najlepiej podczas odpowiedzi. W rezultacie złożenia się razem obu tych źródeł motywacji do nauki, z jednego z najgorszych uczniów, w liceum stopniowo wywindowałem się do poziomu jednego z najlepszych, zaś moja wiedza nabrała prawdziwej głębi i trwałości.

Milka stanowiła pierwowzór dla moich dam serca. Cała była jednym wielkim uczuciem (nie używała logiki w swoich działaniach). Wiele lat później odkryłem, że wygląd i postępowania Milki z czasów liceum były bardzo podobne do wyglądu i postępowania brytyjskiej piosenkarki pokazanej na wideo o adresie: <https://www.youtube.be/5kQXeO9PVaw> . Jako, że "przeciwstawne przyciąga", nie wiedząc o tym, byłem niezwykle zafascynowany jej działaniem wyłącznie na podstawie uczuć i bez konsultacji z logiką (w moim przypadku, cokolwiek czyniłem logika zawsze zdawała się dominować moje uczucia). To zresztą napytało jej biedy kiedy w ostatnich miesiącach klasy maturalnej nagle poczuła się romantyczna w stosunku do naszego żonatego nauczyciela prac ręcznych, będącego jednocześnie wychowawcą w jej internacie. W rezultacie zaszła z nim w ciążę. Wkrótce po zdaniu matury urodziła córeczkę. W owych zaś czasach "panna z dzieckiem" nie miała zbyt wielu szans na znalezienie dobrego (a czasami nawet jakiegokolwiek) męża. W sumie tamten jej romans z nauczycielem w pewnym sensie zmarnował jej życie. Ja najbardziej Milkę pamiętam za

F-6

ostrzyżenie nożyczkami moich włosów. W czasach liceum moi rodzice NIE dysponowali bowiem pieniędzmi na fryzjera. Z przystrzyganiem włosów zawsze musiałem więc odczekać aż mój ojciec miał czas i chęci aby tym się zająć. Często więc miałem zbyt długie włosy i to wcale NIE z powodu próby upodobniania się do Bitlesów - indukując swymi włosami komentarze postronnych osób (w tamtych czasach bowiem bujne włosy wyrastały mi nawet ponad czołem). Jednego dnia Milka sekretnie przyniosła więc nożyczki do liceum, jej klasowi wielbiciele przytrzymali mnie aby mogła wykonać "ostrzyżyny", zaś ona ostrzygła mnie jak baranka. Niestety, jej brak wprawy spowodował iż wcale to NIE wyręczyło mojego ojca od dodatkowego obowiązku, a w domu mój ojciec ciągle musiał poprawiać i wyrównywać jej fryzjerskie dzieło. Cała ta zabawna i żartobliwa przygoda moich "ostrzyżyn klasowych" spowodowała jednak, że staliśmy się wtedy rodzajem bliższych niż uprzednio przyjaciół opisywanych powiedzeniem **"jak pies z jeżem"**. Po ukończeniu liceum aż kilkakrotnie widywałem Millkę przy różnych okazjach, po raz ostatni przygotowując stronę internetową **"[sakalus.wieslaw.htm](#)"**.

Moim ulubionym przedmiotem z Liceum Ogólnokształcącego była Fizyka. Na jednej z eksperymentalnych lekcji fizyki prowadzonych w gabinecie fizycznym, odnotowałem że wiatrak z promieniami katodowymi kręci się w przeciwną stronę niż opisy eksperymentu wskazywały iż powinien. Wszyscy mieliśmy potem nieco uciechy kiedy nauczyciel usiłował znaleźć logiczne wytłumaczenie dlaczego tak się dzieje.

Moim nauczycielem fizyki był Tomasz Tomaszewski. Wiedział on że interesuję się zasadą działania telewizora i że uczęszczam do "klubu radiowego" ówczesnej organizacji LPŻ (tj. **"Ligi Przyjaciół Żołnierza"**). Zaprosił mnie więc abym przygotował dla swej klasy mój pierwszy wykład w życiu - o telewizji mechanicznej. Wykład był ogromnym sukcesem - nawet Milka potem się chwaliła, iż w końcu zrozumiała wówczas jaka jest zasada działania telewizorów. (A jak trudna do zrozumienia jest ta wiedza, świadczy fakt, że większość innych kobiet jakie znam, ma spore trudności nawet z tak prostą sprawą jak prawidłowe użycie dzisiejszych wielofunkcyjnych "pilotów" do tzw. "smart" telewizorów, tj. telewizorów programowalnych o cechach prostych komputerów.) Dodatkowa wiedza i elektroniczna praktyka, jakie wówczas zdobyłem w "klubie radiowym" przydały mi się w późniejszym życiu. Przykładowo, kiedy już pracowałem na Politechnice Wrocławskiej, kupiliśmy sobie czarno-biały telewizor z jakim w komunistycznej Polsce standardowo wówczas załączano schemat połączeń elektronicznych z parametrami elementów składowych. (W kapitalistycznych krajach takich schematów nigdzie NIE daje się zdobyć.) Posiadając zaś ów schemat, oraz mając za sobą doświadczenia osobistego budowania radiodbiornika w "klubie radiowym", byłem w stanie sam naprawiać nasz telewizor za każdym razem kiedy się popsuł - a ówczesne telewizory lampowe psuły się relatywnie często. Z kolei już po wyemigrowaniu z Polski, tamta wiedza i praktyka pozwalała mi wielokrotnie wyklądać elektronikę i elektrotechnikę na uczelniach wyższych w jakich pracowałem.

Wiele spraw, jakie podczas lat nauki uważamy za niepotrzebne, z upływem czasu okazuje się ogromnie przydatne w życiu. Dla mnie jedną z nich okazał się być język polski, a ściślej ortografia i gramatyka. W liceum byłem ogromnie kiepski z ortografii. Stąd nasz nauczyciel polskiego (Nalewajko), który praktykował motywowanie poprzez publiczne ujawnianie braków w wiedzy, często wzywał mnie do tablicy i kazał mi pisać zdania pełne ortograficznych pułapek i zagadek. To motywowało mnie do usilnej pracy, jednak moim obecnym zdaniem nadal niezbyt efektywnej. Szczerze bowiem mówiąc, do dzisiaj podczas pisania często zmuszany jestem używać słownika ortograficznego. Moją ówczesną zmorą było też uczenie się wierszy na pamięć. NIE wiem czy obecnie w liceach trzeba się uczyć wierszy na pamięć, jednak podczas mojego liceum nowy wiersz przychodziło recytować z pamięci przed frontem całej klasy co najmniej raz każdego miesiąca. Mi takie recytowanie przychodziło szczególnie trudno, bowiem z natury byłem wówczas wysoce nieśmiałym chłopcem, stąd stanięcie przed całą klasą i recytowanie wiersza wymagało NIE tylko

F-7

doskonałego jego pamięciowego opanowania, ale dodatkowo także pokonania tremy publicznego występu. W rezultacie, kiedy nadchodził termin recytowania kolejnego wiersza, z reguły to oznaczało nieprzespanie całej poprzedzającej to nocy połączone z usilnym wkuwaniem aż do rana aby znać ów wiersz bez najmniejszych zająknięć. (Wkuwać musiałem wówczas w nocy, bowiem podczas dni miałem liczne inne obowiązki i zajęcia jedynego chłopca z ubogiej rodziny.) Szokująco jednak, wiersze jakich pamięciowe opanowanie przychodziło mi wówczas z taką trudnością, pamiętałem potem przez całe życie. Nawet obecnie, w wieku około 73 lat, nadal potrafię je wyrecytować niemal bez zająknięcia się. Co jednak najciekawsze, dobrze pamiętana **treść tych wierszy wiele dopomogła mi potem w dorosłym życiu**. Przykładowo, żyjąc na emigracji nic tak trafnie NIE uświadamiało mi uczuć jakie wszyscy emigranci bez przerwy doznają, zaś jakie Adam Mickiewicz (w 1834 roku) wyraził pięknymi słowami:

Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Z kolei nic tak dobrze NIE uświadamia potrzeby ostrożności w sprawach wyrabiania sobie niechcianej karmy, jak "Paweł i Gaweł" pióra Aleksandra Fredro (z 1880 roku):

Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole,
Paweł spokojny, nie wadził nikomu,
Gaweł najdziksze wymyślał swawole.

...

A Paweł na to: Wolność Tomku
W swoim domku.

Z tej to powiastki morał w tym sposobie:

Jak ty komu, tak on tobie.

Warto tu też wspomnieć balladę Adama Mickiewicza (z 1822 roku) o tytule "Pani Twardowska", która doskonale opisywała wygląd nadprzyrodzonych istot, obecnie znanych ludziom pod nazwą "UFOnauci-Szaraki" - badaniom fizykalnie wykrywalnej i możliwej do udokumentowania działalności jakich na Ziemi poświęciłem spory fragment swego życia:

Jedzą, piją, lulki pałą,
Tańce, hulanka, swawola;

...

Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie.

"A! Twardowski; witam, bracie!"

To mówiąc bieży obcesem:

"Cóż to, czyliż mię nie znacie?"

Jestem Mefistofeilesem.

Kolejny wiersz, zgodnie z zaleceniem którego całe swe życie staram się postępować, to "Romantyczność" Adama Mickiewicza (1822 roku):

...

Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce.
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!"

F-8

W jakiż to cudowny sposób doświadczenia dorosłego życia potrafią zmienić to czego NIE lubiliśmy w młodości, w to co potem w życiu dodaje nam siły i drogowskazów do działania.

Do Liceum dojeżdżałem na rowerze i to nawet w deszczowe dni. Aby mieć coś do zjedzenia po szkole, przez większość czasów dowoziłem także mleko w bańce do Milicza dla jednej znajomej mojej mamy. Otrzymane za mleko pieniądze wystarczały jedynie abym kupił sobie jedną bułkę i 100 gram najtańszej **końskiej** kiełbasy. (W czasach mojego liceum w Miliczu istniał prywatny rzeźnik specjalizujący się w końskiej kiełbasie - która była około połowy tańsza od najtańszych innych kiełbas.) Dla mnie te 100 gram i jedna bułka stawały się głównym posiłkiem całego dnia - nic dziwnego że byłem wówczas szczupły.

W Liceum miałem swoją pierwszą styczność z, jak to odczuwałem, "wielką niesprawiedliwością". Mianowicie, mój kolega z klasy, Wiesiek, jako syn jedego z najbogatszych ludzi w Miliczu, ciągle otrzymywał stypendium uczniowskie pomimo jego nieodpowiedniego zachowania (zachowywał się jak zepsuty "brat", a mimo to jego wybryki były "przełykane" przez wychowawczynię naszej klasy). Natomiast kiedy ja, syn biedaka, złożyłem podanie o stypendium, wtedy pod jakimś błachym pozorem obniżono mi sprawowanie ponieważ uczniom z obniżonym sprawowaniem stypendium się nie należało - bez względu na to z jak biednej rodziny by nie pochodzili. Należy przy tym pamiętać, że całe życie włączając w to Ogólniak, byłem cichym, nieśmiałym, szanującym prawo chłopczykiem, który byłby jednym z ostatnich kandydatów w klasie do obniżonego sprawowania. Obecnie jednak patrzę inaczej na bycie biednym i zmagającym się. Potem odkryłem bowiem, że wielu ludziom właśnie bieda jest w stanie nadawać wymagane przez Boga moralne nastawienia i pożądane cechy charakteru. NIE bez powodu Biblia zawiera werset 19:24 z "Ew. Św. Mateusza" stwierdzający, cytuję: "**Łatwiej jest wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego**".

Posądzam, że projektując i doskonale znając moje przyszłe losy, do nauki wspólnie ze mną Bóg celowo skierował aż kilku **niemoralnie** zachowujących się uczni, abym miał możliwość odnotowania jakie są metody boskiego postępowania z ludźmi, którzy nauczyli się **zagłuszać głos swego sumienia**. Przykładowo, jeden z owych uczni opróżnił cały atrament ze swego wiecznego pióra do kieszeni nowej, eleganckiej, śnieżno białej marynarki (żakietu) naszej biednej nauczycielki łaciny. Swoje obserwacje w tym zakresie opisałem w punkcie #G1 ze strony internetowej o nazwie "[will_pl.htm](#)". Późniejsze moje badania metod Boga ujawniły to co opisałem w punkcie #D3 swej strony o nazwie "[god_istnieje.htm](#)" oraz punktach #G1 i #G3 innej strony o nazwie "[will_pl.htm](#)", mianowicie że "**dzieci, które nauczyły się wyłączać wsłuchiwanie się w podszepty swego organu sumienia, umierają w młodym wieku**".

Czasy owego liceum to moje mozolne skrobanie się do szczytu "**najlepszych uczni**" naszej klasy zaczynane od samego dołu. W taki sam sposób później skrobałem się w prawie wszystkich sytuacjach życiowych i we wszystkich pracach.

W 1964 roku zdawaliśmy maturę. Osiągnąłem w niej doskonałe wyniki. Nauczyciel matematyki potem mi powiedział, że ogromnie mu zaimponował końcowy wzór jaki wyprowadziłem jako odpowiedź na pytanie z matematyki. Patrząc teraz do tyłu mogę stwierdzić że "**zaczyłem od samego dołu aby wspiąć się do samej góry**", znaczy zacząłem liceum jako jednym z najgorszych uczni, ukończyłem zaś je jako jeden z najlepszych.

F2. Życie moje i naszej rodziny w czasach chodzenia do Liceum

W czasach uczęszczania do liceum, w życiu moim i rodziny miało miejsce kilka istotnych wydarzeń. Opiszę tutaj najważniejsze z nich.

Na krótko przed maturą (tj. około 1963 roku) z grupą znajomej lokalnej młodzieży zwiedzałem podziemia kociółka w Trzebicku. W jednej z otwartych trumien z tych podziemi zobaczyłem wówczas coś, co do dzisiaj mnie porusza i fascynuje. W otwartej trumnie leżała tam młoda i bardzo piękna kobieta w wieku dwudziestu-kilku lat ubrana w obszerną, czerwoną suknię pluszową. Mimo, że umarła ona podczas zarazy jaka nastąpiła w Trzebicku około 1700 roku, w trumnie wyglądała ona jakby umarła tylko dzień wcześniej. Nawet jej czerwona suknia uszyta jakby z pluszu też ciągle zachowywała swój żywy kolor. Kiedy tak patrzyłem na nią zafascynowany jej wyglądem, pozostali w kościele ponad podziemiami moi znajomi dla żartu zatrzasnęli klapę do podziemia. Otoczyła mnie ciemność, zaś kiedy rzuciłem się z powrotem ku wyjściu uderzyłem głową w tę klapę i straciłem przytomność. Wtedy znajomi otworzyli klapę i mnie otrzęźwili. Tamto jednak spotkanie z umarłą nienajomą z jakichś powodów ogromnie mnie zafascynowało i utkwilo mi w pamięci.

Zarobki mojego ojca były raczej symboliczne. Nie wystarczały nam nawet na podstawowe potrzeby. Dlatego około 1961 roku moi rodzice zdecydowali się wziąć sublokatorów. Była nimi bezdzietna rodzina - ona wcale nie pracowała, on zaś był zatrudniony w milickich koszarach. Sublokatorzy płacili rodzicom też symbolicznie, jednak wówczas każdy grosz się liczył. Pasją sublokatora było myśliwstwo i broń palna. Posiadał niemiecki motocykl MZ, 250 cm³. Jeździł też na polowania. Ja czasami jeździłem z nim aby sobie zarobić kilka złotych jako jego "**naganiacz**". Podczas jednego takiego wyjazdu niemal że mnie zastrzelił podczas naszego prywatnego polowania na zające - w którym ja byłem jego naganiaczem (zdarzenie to opisałem w podrozdziale D1 powyżej).

W owym czasie ja ciągle fascynowałem się hałasem i hukiem. Mój ojciec miał trochę chlorku sodu i czerwonego fosforu, które podczas zmieszania razem wybuchają z hukiem. Produkowałem więc rodzaj wybuchających papierków w których mała torebka posiadała oba te składniki oddzielone cieniutkim papierkiem. Kiedy więc na taką torebkę się nadrepnęło, ta eksplodowała z wielkim hukiem. Raz miałem przypadek gdy nasza wychowawczyni, Pani Hass, niemalże nadrepnęła na jedną z nich, gdy sprawdzała co mam (bawiąc się tym z kolegą) pod ławką. (Dzięki za to Bogu!)

W Miliczu działała wówczas LPŻ - tj. "**Liga Przyjaciół Żołnierza**" (potem zwana LOP - tj. "Liga Ochrony Przyrody"). Prowadziła ona różne kursy paramilitarne. Ja zapisałem się na kurs w klubie łączności. Tam poznałem Pana Paplińskiego. Był on ogromnie entuzjastycznym i energicznym człowiekiem. Zaszokowała więc mnie jego raptowna zmiana (załamanie się) w kilka lat później - po utonięciu jego 11-letniej córki we wannie podczas kąpieli. Stąd rozumiem dlaczego wymiar sprawidliwości bodajże na wyspach Kanaryjskich był taki skuteczny - morderców karało się tam bowiem przez zabicie osoby którą kochali oni najbardziej.

W wakacje poprzedzające rok maturalny zostałem zwerbowany przez Powiatowy Zarząd ZMW - tj. "**Związku Młodzieży Wiejskiej**". Stałem się dla nich **zawodowym organizator zabaw wiejskich**. Miałem z tym wiele uciechy. Na każdej zabawie o północy strzelałem bowiem "**ogień sztuczny**" z raketnicy jaką byłem w stanie wypożyczyć właśnie dzięki swej aktywności w LPŻ.

Podczas organizowania jednej z zabaw koło Cieszkowa zobaczyłem **Gryfa** - wyglądał jak nadprzyrodzony jakby pies "rockweler" ze skrzydłami (w okolicach Milicza w owym czasie ta rasa psów była prawie że nieznaną). Miejscowi opisywali go jako "diabeł", zaś potem ja go rozpoznałem jako "gryf" - patrz [monografia \[1/4\]](#), podrozdział R4.2.

Jako dziecko i młodzieniec zawsze byłem ogromnie poważny i odpowiedzialny. Nie potrafiłem być beztroski i pusty jak inne dzieci. Pamiętam instruktorkę z Komitetu

F-10

Wojewódzkiego ZMW z Wrocławia (jakiś dwa lub trzy lata starszą odemnie) jak komentowała moje poważne zachowanie się podczas obozu XX-lecia PRL w Lendyczku koło Warszawy. Wspominała coś, że jestem zbyt poważny dla przebywania wśród młodzieży, że powinienem zacząć się śmiać i wygłupiać jak to czynią inni moi rówieśnicy.

W owych czasach zacząłem pisać swój pamiętnik. Jego pisanie kontynuowałem potem nawet już po rozpoczęciu studiów. Był on zapewne ciekawie napisany bowiem jednych wakacji mój najstarszy brat znalazł ten pamiętnik i całą noc czytał jego zawartość. Kiedy rano poszedłem sprawdzić dlaczego NIE schodzi on do nas aby zjeść śniadanie, powietrze mojego pokoju oddanego mu w gościnę było gęste od papierosowego dymu, zaś on nadal siedział przy stole pochylony nad moim pamiętnikiem i czytał go z zapalem. Zaraz potem wyciągnąłem wnioski z tego zdarzenia i aż **"tak dobrze schowałem ów pamiętnik, że nawet ja sam nigdy już nie mogłem go znaleźć"**. Pamiętnik ten leży więc zapewne do dzisiaj ukryty gdzieś w jakimś zakamarku byłego domu moich rodziców we Wszewilkach.

F-11

F3: Tajemnicza fascynacja rysami twarzy córki wice-dyrektora naszego liceum

Niezależnie od adorowania mojej "sweetheart" Milki, w czasie trwania nauki w milickim liceum silnie fascynowało mnie coś w innej pięknej dziewczynie - w przybliżeniu też naszego wieku. Była to córka ówczesnego wice-dyrektora naszego liceum i nauczyciela wychowania fizycznego chłopców, Pana Antoniego Kaczmarek – zmarłego na Alzheimera około 1998 roku. (Obecnie NIE pamiętam już imienia owej córki naszego wice-dyrektora, jednak chodzi mi po głowie, że prawdopodobnie nosiła bardzo stosowne imię **Marzena**.) Typowo podczas każdego naszego licealnego apelu stała ona przed nami u boku swego ojca, który apele te zawsze prowadził. Miałem więc wiele doskonałych okazji aby studiować rysy jej twarzy. Jednak moja fascynacja tą piękną dziewczyną miała zupełnie odmienny charakter. Mianowicie NIE miała charakteru np. sekretnego "podkochiwania się" w niej, czy uwielbiania jej (zresztą jako córka wice-dyrektora liceum do którego uczęszczałem znajdowała się ona poza zasięgiem nawet próby jakiegokolwiek zbliżenia się do niej czy choćby tylko rozmawiania z nią), a fascynacja ta miała charakter jakiegoś wówczas NIE rozumiałem, a o jakim później się dowiedziałem, że fachowcy nazywają ją "**deja vu**". Mianowicie patrząc na tę piękną dziewczynę zawsze miałem wrażenie, że ją skądś doskonale i długo już znam. Aż do mojego podjęcia w 1993 roku profesury na uniwersytecie w Kuala Lumpur, Malezja, NIE wiedziałem skąd owa fascynacja się bierze. Jednak w Kuala Lumpur sekretarką mojego "deana" (tj. naukowego dyrektora całego naszego fakultetu) była Sue, moja obecna żona. Kiedy poznałem Sue wówczas zrozumiałem, że to ją pamiętałem w swym milickim "**deja vu**", zaś córka naszego wice-dyrektora miała tylko niemal identyczne co Sue rysy twarzy. (Patrz też opisy moich dziwnych "fascynacji" w poprzednim podrozdziale E2.)

Rozdział G:

Miasto WROCŁAW (1964-1970) **(6-letnie MAGISTERSKIE STUDIA na POLITECHNICIE WROCŁAWSKIEJ)**

Po ukończeniu liceum w Miliczu i zdaniu matury, zdecydowałem się złożyć podanie na Politechnikę Wrocławską. Studia na Politechnice Wrocławskiej w owym czasie trwały 6 lat. Po ich ukończeniu otrzymywało się dyplom "**magistra inżyniera**", który w owych czasach był rodzajem gwarancji prowadzenia zasobnego i spełnionego życia. Niestety, ilości miejsc na uczelniach były wówczas ograniczane. Jednocześnie niemal wszyscy absolwenci szkół średnich chcieli studiować. Stąd uczelnie broniły się przed zalewem kandydatów na studia m.in. poprzez ustanowianie ogromnie trudnych egzaminów wstępnych. Tylko osoby które zdały owe egzaminy na najwyższą ocenę dostawały się na studia. W owym czasie na każde miejsca na Politechnice Wrocławskiej przypadało około 12 kandydatów. Celem egzaminów wstępnych było więc m.in. oblanie owych 11 zbędnych kandydatów na każde wolne miejsce i przepuszczenie tylko jednego kandydata - tj. tego który teoretycznie rzecz biorąc był akademicko najlepszym na owo miejsce. Oczywiście, ponieważ egzaminy te typowo prowadzili niedoświadczeni asystenci (zamiast bardziej doświadczonych profesorów), nierzadko się też zdarzało że owi asystenci oblewali najlepszych, zaś przepuszczali całkiem miernych kandydatów. Moim pierwszym krokiem w kierunku dostania się na studia było więc zdanie owych egzaminów wstępnych.

Podczas pisania niniejszej autobiografii w marcu 2019 roku znalazłem w internecie zarówno adres strony Politechniki Wrocławskiej (tj. adres <https://pwr.edu.pl/>), a ponadto ustaliłem, iż szerokie jego opisy i liczne ilustracje tej uczelni wyszukuje w internecie adres: <https://www.google.pl/search?q=politechnika+wroclawska&tbm=isch>.

G-2

G1. Moje egzaminy wstępne na Politechnikę Wrocławską

Tak się jakoś stało że ZMW (tj. Związek Młodzieży Wiejskiej) w którym energicznie wówczas działałem od czasów ostatniej klasy w liceum, organizowało kurs przygotowujący do egzaminów wstępnych właśnie na ową politechnikę. Miejsce na tym kursie kosztowało kupę pieniędzy - których ja oczywiście nie miałem. Pochodząc z ubogiej rodziny normalnie nie byłbym więc w stanie na niego się dostać. Jednak jako zasłużony działacz ZMW poprzez swoją organizację miałem dostęp do organizatorów tego kursu. Ci obiecali mi dać wstęp na ów kurs zupełnie za darmo. Z kolei starszy brat Stefan mieszkający wówczas we Wrocławiu zobowiązał się dostarczyć mi bezpłatnego zakwaterowania podczas trwania kursu i potem egzaminów wstępnych. Kiedy więc kurs się rozpoczął, przybyłem do Wrocławia i zamieszkałem na podłodze w miniaturowym pokoiku mojego brata położonym w Hotelu Robotniczym fabryki Archimedes. Każdego dnia jeździłem tramwajem od brata na ów kurs. Kurs ten prowadzili ci sami wykładowcy politechniki, którzy potem organizowali egzaminy. Doskonale wiedzieli więc jakie rodzaje pytań będą na egzaminach wstępnych i nas dobrze przygotowali do odpowiedzenia takich właśnie rodzajów pytań. Kurs trwał dwa tygodnie, podczas których codziennie mieliśmy wykłady przygotowujące nas od rana do wieczora. Ponadto, jeszcze przed egzaminami wstępnymi, na ochotnika przerobiłem sobie dla praktyki wszystkie pytania jakie były tam używane na egzaminach wstępnych podczas ostatnich 10 lat. W rezultacie, na krótko przed egzaminem byłem "obkuty" na wszystkie cztery kopyta i miałem wysoka szansę aby jednak zdać egzamin wstępny. Jedyne co mogło spowodować moje oblanie był NIE brak wiedzy, a pech - który czasami potrafi się ujawnić podczas egzaminów.

Wszystkie egzaminy wstępne na uczelnie w całej ówczesnej Polsce organizowane były dokładnie w tym samym czasie. To zapobiegało składaniu papierów do więcej niż jednej uczelni, oraz dawało kandydatom na uczelnie tylko jedną szansę na zdanie egzaminów. Jeśli bowiem ktoś oblał egzaminy w jednym roku, wówczas musiał czekać aż cały rok na następne egzaminy. Na Politechnikę Wrocławską przypadało wówczas około 12 kandydatów na każde miejsce. Na dodatek, jakaś szatańska moc przygotowywała się aby w tym punkcie zastopować moją edukację. Moc ta spowodowała, że na przekór doskonałych wyników z egzaminu pisemnego, ustna część egzaminu wstępnego na Politechnikę Wrocławską zaczęła się od asystenta czy wykładowcy, który wyglądał jakby miał kaca, co najmniej całomiesięczną niestrawność, oraz jakby chwilę wcześniej został pobity przez własną żonę. W sposób systematyczny ów asystent czy też wykładowca podcinał i wypaczał wszystkie odpowiedzi jakich ustnie udzielałem. Stawało się pomału dla mnie jasne, że zamierza on wzięść zemstę za swój godny pożalowania stan i zwyczajnie mnie oblać. Kiedy więc wykładowca ten zabierał się aby ostatecznie mnie dobić, nagle wydarzył się jeszcze jeden **cud** - ów asystent czy wykładowca (nigdy więcej już go NIE widziałem, NIE wiem więc na jakim stanowisku był zatrudniony) został odwołany do jakiegoś pilnego telefonu, zaś ja zostałem przejęty przez przewodniczącego komisji egzaminacyjnej, który miał dokończyć wypytywania. Przewodniczący jednak był już obiektywnym i normalnym człowiekiem. Moja wiedza i czytanie szybko mu więc zaimponowała. Zdumienie przewodniczącego było aż tak duże, że ów profesor zwrócił uwagę innych egzaminatorów na niezwykłość mojej wiedzy, poczym dla eksperymentu, w sposób publiczny - tj. w obecności wszystkich pozostałych egzaminatorów, zadał mi jakiś problem typu trygonometrycznego-geometrycznego co do którego twierdził, że jest jednym z najtrudniejszych problemów jakie zna i że nie spotkał jeszcze studenta który problem ten by rozwiązał na poczekaniu. Ze wszystkimi egzaminującymi skupionymi jako kibice, ja przez jakiś zdumiewający napływ natchnienia natychmiast rozwiązałem ten problem, wzbudzając powszechny szok i zdumienie. Przewodniczącemu komisji egzaminacyjnej tak to zaimponowało, że osobiście wyprowadził mnie z sali egzaminacyjnej, natychmiast pogratulował mi głośno zdania egzaminu wstępnego i to w obecności oczekujących

G-3

kandydatów (w owych czasach na wyniki egzaminu wstępnego czekało się kilka tygodni aż zostaną one wywieszane na oficjalnych listach), oraz zapowiedział, że zarekomenduje mnie do specjalnego programu SPPT (tj. Studium Podstawowych Problemów Techniki) jaki zarezerwowany był dla najzdolniejszych studentów (ja później zrezygnowałem jednak z wzięcia udziału w tym programie, ponieważ chciałem mieć konkretny zawód, a NIE być jakimś tam teoretykiem). Tak się zaczął mój start do wyższej edukacji. Następne sześć lat studiów również były jednym pasmem zmagania, zaś niemal każdy egzamin na uczelni był batalią w której nie zdając sobie z tego sprawy, zmagalem się z osobami zmanipulowanymi przez jakąś mroczną moc. Na przekór jednak tych nieustannych trudności, wcale mnie one nie złamały, a uczyniły wręcz coś przeciwnego - dały mi głęboką wiedzę i upór w osiągnięciu tego co zamierzałem. W rezultacie, podczas całości trwania moich studiów na Politechnice Wrocławskiej NIE oblałem ani jednego egzaminu ani zaliczenia.

Po zdaniu egzaminów skontaktowałem się z mieszkającym w sąsiedztwie Andrzejem Krzyżosiakiem, ponieważ on właśnie wrócił do Stawczyka po oblaniu pierwszego roku studiów na tej Politechnice. Poszukiwałem od niego rad jak się przygotować do studenckiego życia. Ten jednak tylko mnie solidnie nastraszył jak trudne jest życie studentów, oraz jak potworni są asystenci i wykładowcy.

Tak oto zaczęło się moje życie jako studenta Politechniki Wrocławskiej.

G2. Moje życie jako student Politechniki Wrocławskiej

Ponieważ pochodziłem z ubogiej rodziny, wkrótce po zdaniu egzaminów wstępnych uczelnia przysłała mi list informujący, że już od samego początku studiów przyznano mi miejsce w akademiku o nazwie **"Nad Fosą"** - zlokalizowanego we Wrocławiu przy ul. Podwale 27 (tj. na wprost dworca kolejowego **"Wrocław-Świebodzice"**). Nie tylko więc, że zostałem studentem, ale także zamieszkałem w Domu Studenckim. To zaś oznacza jakby bycie studentem podwójnie. Wszakże życie w akademiku, to swoisty dostarczyciel dodatkowych doświadczeń studenckich. Życie w tym akademiku oznaczało też długie dojeżdżanie tramwajem na wykłady. Wszakże ulica Podwale znajduje się po przeciwstawnej stronie Wrocławia niż budynki Politechniki Wrocławskiej.

W wyznaczonym piśmie uczelni dniu zjawiłem się więc w owym akademiku aby się tam zakwaterować. Na pierwszy rok studiów przydzielono mi miejsce na 3-cim piętrze w 8-osobowym pokoju. Zgodnie z radą bardziej doświadczonych braci wybrałem dla siebie górne łóżko tuż przy oknie. Całe umeblowanie tego niewielkiego pokoju stanowiły bowiem tylko cztery łóżka piętrowe, duża szafa na ubranie, duży stół na środku pokoju, wieszak na czapki, oraz kosz na śmieci. Pierwszej nocy niewiele spaliśmy, zaś na drugi dzień wszyscy razem pojechaliliśmy tramwajem na nasze pierwsze wykłady. Potem zaś zaczęły się moje doświadczenia akademickie. Jak też się okazało, życie w akademiku wcale NIE jest wypełnione nauką. Faktycznie to większość moich kolegów czyniła wszystko oprócz uczenia się. Ja zaś doskonale wiedziałem, że egzaminy po pierwszym roku zadecydują kto zostanie na uczelni, a kto wróci do domu. Politechnika Wrocławska miała bowiem wówczas zwyczaj przyjmowania na pierwszy rok studiów dwa razy więcej studentów, niż ilość miejsc jakie rząd faktycznie jej przyznał. Na końcu zaś pierwszego roku akademickiego podczas egzaminów asystenci i wykładowcy brutalnie wycinali w pień co drugiego studenta. O wszystkim tym byłem z góry ostrzeżony. Kiedy więc chciałem się uczyć, a czyniłem to ponieważ zależało mi aby wytrwać na studiach poza pierwszy rok, musiałem tego dokonywać albo leżąc na swoim łóżku i wyłączając swe uszy z hałasu jaki czyniło 7 pozostałych moich kolegów, albo też późno w nocy, kiedy pozostali koledzy poszli już spać. Oczywiście, aby ktokolwiek w pokoju mógł cokolwiek czynić, musiało palić się światło. W rezultacie światło paliło się niemal przez całą noc. Zmuszony więc byłem nauczyć się spać nawet kiedy żarówka paliła się tylko około metra od moich oczu. Na dodatek do tego wszystkiego, mieszkańcy naszego pokoju bez przerwy płatali sobie nawzajem figle. Przykładowo, jednej nocy zbudził mnie ból w stopie, ponieważ dowcipni koledzy włożyli mi w nocy palący się papierek pomiędzy palce mojej stopy. Z kolei spanie przy oknie nie tylko dawało mi dostęp do świeżego powietrza w przepełnionym ludźmi pokoju, ale także czasami aż zbyt wiele świeżości. Przykładowo, jednej zimowej nocy zbudziłem się kiedy cała moja poduszka zawiana była śniegiem.

W ówczesnej Polsce studia były za darmo. Znaczący, za honor bycia studentem danej uczelni NIE płaciło się tam nawet jednej złotówki - tak jak za studiowanie trzeba słono płacić w wielu dzisiejszych krajach Zachodnich, np. w Nowej Zelandii. Jednak na przekór tego, ówczesni studiujący ciągle mieli spore wydatki na pokrycie kosztów swojego zakwaterowania w innym mieście, na jedzenie, ubranie, podręczniki, notatniki, przybory kreślarskie, materiały pomocnicze, itp. Owe koszty mojego pierwszego roku studiów finansowałem praktycznie z oszczędności jakie sobie poczyniłem w ostatniej klasie liceum - kiedy to pracowałem w okolicach Milicza jako niemal zawodowy organizator zabaw ludowych. Faktycznie więc moje studia NIE stanowiły żadnego finansowego obciążenia dla moich rodziców, bowiem finansowo byłem samowystarczalny. Było to ogromnie istotne, bowiem gdybym musiał studiować na koszt moich rodziców, wówczas ich sytuacja życiowa NIE pozwalałaby ponieść finansowego ciężaru mego studiowania.

G-5

Pod względem nastawienia do nauki i do życia, na studia ze mną trafiły trzy zasadnicze typy ludzi. Pierwszym (1) z nich był **"wyrzafinowany światowiec"**, czyli osoba z tzw. **"dobrego domu"**, rodzice którego zadbali o dobrą edukację dla swych dzieci i dali im staranne wychowanie. Byli oni dobrze wspierani finansowo przez rodziców, doskonale ubrani, zaawansowani kulturalnie, obeznani z tajnikami świata, itp. Typowo studia traktowali oni jako okazję do zaznania tych przyjemności, których rodzice im zabraniali zaznać w rodzinnym domu. Akademicko trzymali się zawsze w środku, znaczy uczyli się aby zdawać, jednak byli zbyt leniwi i zbyt zajęci cieszeniem się życiem aby osiągać szczytowe wyniki. Drugim (2) zasadniczym typem byli **"wydźwigający się z nędzy"** do których i ja należałem. Ci pochodzili z biednych domów. Aby mieć fundusze na cokolwiek, najpierw musieli je zarobić, początkowo nie mieli smaku w ubieraniu się, zaś kultury i tajników świata dopiero się uczyli. Ci, typowo traktowali studia jako szansę aby wydostać się z biedy i sytuacji swoich rodziców, oraz aby podnieść swoją kulturę osobistą i poznać życie. Dlatego uczyli się wszystkiego i od wszystkich. Akademicko na początku studiów byli blisko końca z powodu braków i niedostatków jakie wynieśli z poprzedniej edukacji. Przy końcu jednak studiów byli systematycznie u czoła, ponieważ podczas studiów ponadrabiali uprzednie braki i zaległości. Trzecim typem byli **"tu-mi-wisiści"**, czyli ludzie, którzy żyli z dnia na dzień. Zwykle studiowali ponieważ bali się rodziców lub rodziny. Byli zmienni i chaotyczni we wszystkim. Zdawali i zdobywali oceny na różne niemoralne sposoby. Oszukiwali i kradli. Jednej chwili zachowywali się kulturalnie, innej zaś jak chamidła. Często powtarzali rok i odchodzili na tzw. **"urlop dziekański"**. Jeśli udawało im się kończyć studia, nawet z dyplomem w kieszeni ciągle pozostawali równie prymitywami jak na początku.

Z jakiegoś powodu w naszym ośmio-osobowym pokoju mieszkał też z nami jeden bardzo "wyrzafinowany światowiec" (już zapomniałem jego nazwiska). Był on synem bogatego młynarza i pochodził ze wsi nazywającej się **"Kozie Dołki"**. Dostawał kupę pieniędzy od rodziców i nieustannie otrzymywał od nich paczki ze smaczną żywnością. Widać też było, że jego rodzice wiedli wysoce "światowe" życie i że już dawno poznał on wszelkie tajniki wyższej warstwy społecznej. Zawsze więc się ubierał elegancko i ze smakiem, nosił ładne krawaty i najmodniejsze ubrania, doskonale się golił, używał też pachnące mydła i drogą wodę kolońską. Ja go uważnie obserwowałem i kopiowałem, bowiem mogłem wiele od niego się nauczyć. Wszakże kiedy przybyłem do akademika, nie byłem nawykły nawet do używania pasty i szczoteczki do zębów - swe obycie życiowe, smak w ubieraniu się, oraz kulturę osobistą musiałem więc wówczas budować od samych podstaw. Zabawne było obserwowanie go podczas towarzyskich okazji, bowiem kiedy poznawał nowych ludzi zawsze się przedstawiał "jestem takim to a takim z Kozich Dołków". Widząc zaś jego wyrzafinowanie każdy sądził iż owe Kozie Dołki są tylko żartem, a faktycznie to on naprawdę pochodzi z Warszawy. Ów światowy chłopak nieustannie dostawał z domu paczki ze smaczną żywnością, tj. ze szynką, wędzoną polędwiczką, suszoną kiełbasą, kabanosami, itp. W pokoju nie mieliśmy lodówki, więc swoją żywność wystawiał on za okno, tak że mróz na dworze utrzymywał ją w świeżym stanie. Jednego dnia sąsiedzi z innego pokoju byli głodni. Wzięli więc długą tyczkę i strącili jego paczkę z naszego okna w dół. Po przyniesieniu jej do swego pokoju stwierdzili jednak, że jest w niej szynka i smacznik kiełbasy, ale nie ma chleba. Oni też nie mieli chleba. Zapukali więc do naszego pokoju z prośbą czy nie mogą pożyczyć bochenka chleba. Ów **"światowy"** chłopak miał właśnie bochenek, więc im pożyczył. Potem się wydało, że zjadali wówczas jego szynkę i kabanosy z jego własnym chlebem, który im pożyczył.

W tym samym czasie i w tym samym akademiku zaszedł też inny śmieszny przypadek. Ja sam go wprawdzie nie widziałem, jednak opowiedzieli mi o nim Wojciechowscy. Mianowicie, ich kolega się upił i wypadł z okna trzeciego piętra owego akademika. Gdy jego koledzy zbiegali w dół po schodach, spodziewając się znaleźć go na bruku spłaszczony jak naleśnik i w kałuży krwi, spotkali kogoś wchodzącego po schodach na górę akademika. Ktoś ten spytał zbiegających po schodach i niewidzących go kolegów „co się stało”, „co się stało”.

G-6

Któryś z nich odkrzyknął mu „ktoś wypadł z okna”! Chociaż więc był pijany ciągle pobiegł za nimi aby zobaczyć tego kto wypadł. Jak potem się okazało, to on wypadł z okna trzeciego piętra. Nic mu jednak się nie stało, więc sam się pozbierał i właśnie wchodził po schodach z powrotem do swego pokoju.

Na koniec pierwszego semestru mieliśmy swoje pierwsze egzaminy z matematyki. To było przerażające doświadczenie. Posadzono nas w ogromnej sali wykładowej, każdego przy oddzielnym stoliku, zaś chmara asystentów krążyła wśród nas jak sępy i wypatrywała który z nas ociąga się z rozwiązaniem pisemnych zadań jakie nam dano na ten egzamin. Jeśli zaś któryś student zaczął się rozglądać po kolegach i nie wyglądał zajęty pisaniem rozwiązania, asystenci podrywali go od stolika i prowadzili do wykładowcy siedzącego na katedrze. Z kolei wykładowca wpisywał mu dwójkę (tj. oblanie egzaminu) do indeksu bez żadnego wypytywania czy dodatkowej szansy. Na pierwszym zaś roku nie było poprawek. Stąd oblanie tego egzaminu oznaczało koniec studiów. Ja siedziałem więc przy swoim stoliku jak mysz pod miotłą i bałem się nawet podnieść głowę ponad arkusza egzaminacyjnego. Jedynie kątem oka obserwowałem jak jeden po drugim moi koledzy byli oblewani i jak sala egzaminacyjna szybko się opróżniała. Po jakimś czasie rozwiązałem zadane nam na tym egzaminie zadania i zgodnie z instrukcją zgłosiłem to rozwiązanie najbliższemu asystentowi. Ten zaprowadził mnie do stołu z wykładowcą, który rzucił okiem na moje rozwiązania, oraz bez wypowiedzenia nawet jednego słowa wpisał mi 3, tj. "dst", do mojego indeksu. To zaś oznaczało że zdałem ten mój pierwszy i najtrudniejszy egzamin.

Krótko po rozpoczęciu roku akademickiego do naszego wydziału mechanicznego dołączony został rządowy stypendysta z Sudanu o imieniu **Mohamed Khallahara**. Ja szybko się z nim zaprzyjaźniłem. Chciałem bowiem dowiedzieć się jak najwięcej o odległym świecie, zaś on ze świata tego pochodził. Potem dodatkowo się okazało, że uczelnia miała wówczas zasadę, iż zagranicznym studentom przydzielano polskiego współlokatora, tak aby mogli oni się szybciej zasymilować do polskiej kultury. Kiedy więc na początku drugiego semestru pierwszego roku Mohameda zapytali kogo chce na swego współlokatora, on wybrał mnie. Dla mnie jego wybór jakby „spadł z nieba”, bowiem mieszkanie i uczenie się w maleńkim pokoju współzamieszkałym przez 8 niezdyscyplinowanych kolegów okazało się raczej trudne. W rezultacie już na drugim semestrze pierwszego roku mogłem się przenieść w akademiku z ośmio-osobowego pokoju, do dwuosobowego. Mieszkanie z Mohamedem w dwuosobowym pokoju okazało się luksusem. Były w nim bowiem właściwe warunki aby móc się uczyć i spać jak normalny człowiek.

W swoim rodzimym Sudanie Mohamed był kształcony w języku angielskim. Wkrótce więc do naszego pokoju zaczął przychodzić ambitny student ze znacznie starszego roku, o nazwisku **Arkadiusz Rachwalski**. Arkadiusz (Arek) uczył się energicznie angielskiego, ponieważ po studiach zamierzał uciec z Polski do USA. Z Mohamedem mogli więc konwersować po angielsku, co doskonalilo jego znajomość języka angielskiego. Arek zaprzyjaźnił się także ze mną. Ponieważ był on wysoce doświadczonym i zaradnym chłopakiem, już wkrótce zaczął mi udzielać opiekuńczych rad jak sobie dorobić jako student i jak przeżyć na studiach. Dzięki jego pomocy i poparciu, już na drugim roku studiów dostałem się do tzw. **Komitetu Stołówkowego** - co oznaczało że zacząłem otrzymywać za darmo całodzienne wyżywienie (wszystkie trzy posiłki). Ponadto Arek zarekomendował mnie do studenckiej kasy zapomogowo-pożyczkowej. Kasę tę administrowałem całkiem ochotniczo i całkiem za darmo aż przez kilka następnych lat studiów. Pod koniec jej administrowania odkryłem, że w Polsce istnieją jakieś przepisy iż osoba która administruje sumę kilkuset tysięcy złotych (jaką ja wówczas administrowałem) musi za to otrzymywać jakieś wynagrodzenie. Przez kilka więc ostatnich miesięcy mojego administrowania tej kasy zacząłem za to otrzymywać niewielkie wynagrodzenie (było tego kilkadziesiąt złotych na miesiąc). Jednak już wkrótce po tym moja sytuacja wymagała abym przekazał ową kasę zapomogowo-pożyczkową jednemu z kilku studentów młodszych lat, którzy wówczas mi pomagali w jej

G-7

administrowaniu i w pełnieniu regularnych dyżurów w kwaterze głównej studenckiej organizacji ZSP (tj. "Związku Studentów Polskich"). Kiedy kończyłem studia okazało się, że ów student w międzyczasie został przewodniczącym całej organizacji ZSP - z ramienia pełnionego wówczas urzędu to on mi gratulował otrzymania końcowego dyplomu.

Owa moja praca w studenckim Komitecie Stołówkowym, a także najróżniejsze metody dorabiania sobie jako student korepetycjami i podejmowaniem najróżniejszych prac dorywczych, spowodowały że chociaż moje wcześniejsze oszczędności praktycznie szybko niemal się wyczerpały podczas pierwszego roku studiów, to co zacząłem sobie dorabiać jako student, a także prace zarobkowe jakie zacząłem wykonywać podczas każdych wakacji, pozwoliły mi całkowicie sfinansować całe swoje studia. W rezultacie moje studia nie kosztowały moich rodziców ani grosza - ja sam je sobie sfinansowałem.

Począwszy od drugiego roku studiów wszyscy męscy i nadający się do wojskowej służby studenci naszego wydziału, przez jeden dzień w tygodniu zamiast cywilnych wykładów odbywali obowiązkowe przeszkolenie wojskowe (w wojskowym umudowaniu). Pobór zaś do tego wojska, obejmujący badania lekarskie i wymagane formalności, odbył się pod koniec drugiego semestru pierwszego roku. Pechowo zaś tak się złożyło, że data i godzina tego poboru pokrywała się z najważniejszym wykładem z fizyki, podczas egzaminu z którego miała być „odsiana” i usunięta z uczelni następna spora porcja studentów. Z doświadczeń zaś pierwszego semestru już się dowiedziałem, że udział w każdym wykładzie był wstępem i niepisany wymogiem do zdania egzaminu – wszakże uczestnicząc w wykładzie poznawało się jaka wiedza mogła być sprawdzana na egzaminie i czyniło odpowiednie notatki. Zdecydowałem więc, że mając do wyboru albo udział w wykładzie fizyki, albo też uczestniczenie w poborze do wojska, wybiorę wykład fizyki. W rezultacie spóźniłem się na pobór całych parę godzin. Jak zaś oficer poborowy mi to wyjaśnił: „**abym wiedział, że wojsko to NIE straż pożarna**”, skierowali moje spóźnienie się do kolegiom orzekającego, jakie zignorowało moje usprawiedliwienia i przysądziło mi zapłacenie sporej kary kilkuset ówczesnych złotych (jakie przy normalnym ich zużywaniu wystrczyłyby mi na około pół roku pokrywania kosztów swego studiowania). Tak więc moje pierwsze kontakty z wojskiem już na samym początku ustawiły nas na wzajemnej „stopie wojennej”.

Z wykładów na drugim roku studiów mieliśmy przedmiot "**Mechanika Toeoretyczna**" z Profesorem Jackiem Zakrzewskim. Wykładanie tego przedmiotu sprowadzało się do wyprowadzania na tablicy wężowo-długich wzorów z mechaniki, które były aż tak długie, że nie dawało się ich zapisać w jednym wierszu notatnika. Wszystkich nas dziwiło i imponowało, że tak zawile wzory wyprowadza on z pamięci - bez zaglądania w notatki. Podczas wyprowadzania tych wzorów co jakiś czas przerywał on pisanie na tablicy, rzucał kredę na katedrę tak aby upadała ona koło jego otwartych notatek, oraz opowiadał nam kolejny dowcip. Potem się dowiedzieliśmy, że czynił to zawsze kiedy zapomniał wzór lub przekształcenie prowadzące do następnego kroku. Faktycznie więc wyprowadzał swe wzory z notatek leżących na katedrze, tyle że zaglądał do tych notatek w sposób niedostrzegalny przez studentów w chwili kiedy opowiadał nam dowcip. To więc co z zewnątrz wyglądało jako bezwysiłkowe, lekkie, łatwe i spontaniczne jego działanie, faktycznie było efektem doświadczenia, długich przemyśleń, ciężkiej pracy, żmudnych treningów i długotrwałego praktykowania.

Na egzamin z owej mechaniki poszedłem w tej samej grupie czterech osób co nasz "**beniaminek**" z Sudanu, Modamed Khallahara. Professor Zakrzewski zadał nam jakieś łatwe pytanie i zaraz po pierwszych zdaniach naszej odpowiedzi zawyrokował, że zdaliśmy egzamin i zaczął wpisywać nam oceny do indeksu. Tak jednak się stało, że jego przedmiot był na tej samej stronie co kilka innych wysoce trudnych przedmiotów - za jakie już wcześniej dostałem 4 (tj. "db"). Kiedy więc zobaczyłem że wpisał mi tam 3 (tj. "dst") i że w ten sposób popsuł mi stronę indeksu z dobrymi ocenami, zapytałem czy może mi dać jeszcze jedno trudniejsze pytanie, bo sądzę że będę w stanie na nie odpowiedzieć. Zadał mi więc jeszcze jedno pytanie,

G-8

poczym poprawił uprzednio wpisaną "trójczynę" na "db". Tamto doświadczenie pozwoliło mi odkryć, że **"jeśli studenci dostają wysokie oceny za nic, wówczas na pewno nic się nie nauczą"** (to samo ustalenie działa też i w kierunku odwrotnym, mianowicie **"każ studentom ciężko pracować na każdą ocenę a wtedy napewno wyniosą coś z twoich nauk"**). Potem też odkryłem, że to samo moje odkrycie wyrażone jest już teorią edukacyjną która stwierdza że "ten kto wykonuje całą pracę uzyskuje też całą wiedzę" (po angielsku **"he who does all the work also does all the learning"**). Niestety, w niektórych krajach, np. w Nowej Zelandii, nie jest możliwym nakłonienie studentów do wykonania jakiegokolwiek pracy, bowiem tamtejsze uczelnie ustanowiły tradycje, że wykładowcę który zmusza studentów do pracy i stąd nie jest lubiany przez studentów, jest tam usuwany z uczelni.

W domu studenckim "Nad Fosą" istniał studencki radiowęzeł który prowadzony był przez "wiecznego studenta" o imieniu "Ludwik". Przez wiele lat miał on dziewczynę, jednak podkochiwała się w nim także koleżanka jego dziewczyny. Owa koleżanka powiedziała więc swojej przyjaciółce i rywalce, że **on się z nią przespał**. Oczywiście, rywalka natychmiast zerwała z tym niewiernym chłopakiem, tak że jej koleżanka mogła go już mieć wyłącznie dla siebie.

Moim najlepszym przyjacielem z okresu studiów był **Staszek Przeworek**. Staszek był jednym z tych prawych ludzi, którzy wszystko w życiu czynią zgodnie z naukami chrześcijaństwa, którzy są życzliwi, pokojowo nastawieni i pomocni dla innych. Niestety, we wszystkim co czynił miał on okropnego **pecha** życiowego i zawsze przyjmowało to najgorszy obrót z możliwych do zaistnienia. W rezultacie jego losy życiowe potwierdzają przysłowie że **"ludzie strzelają ale diabeł kule nosi"** - czyli bez względu na to jakby ktoś się starał, końcowy wynik i tak nie jest od niego zależny.

Staszek Przeworek miał największe problemy ze zdawaniem przedmiotów wojskowych - w których ja byłem dosyć dobry. Bał się on bowiem wojska panicznie. Kiedy więc nadszedł czas zdawania egzaminu wojskowego z trudnych **"mostów wysokowodnych"**, zgodziłem się zdać go za niego (w zamian za deskę kreślarską, którą ja potrzebowałem a on mógł zdobyć dla mnie za darmo bowiem jego ojciec pracował w fabryce takich desek). Przed egzaminem musieliśmy jednak raportować się egzaminującemu oficerowi. Raportowanie to weszło nam w krew i było już niemal automatyczne. Gdy więc przysłała moja kolej, ja wyrecytowałem automatycznie jak robot "szeregowy-podchorąży Pająk raportuje się do egzaminu". Kiedy się zgodziłem zdawać egzamin za Staszka uważałem, że oficerowie nie znają naszych nazwisk. Moje i Staszka nazwiska widac jednak utkwilo w pamięci tego oficera, bo ten wówczas mnie poprawił "Ty chciałeś powiedzieć **'szeregowy-podchorąży Przeworek raportuje się do egzaminu'**". Egzamin ten zdałem dla Staszka Przeworka na ocenę "bardzo dobry", podczas gdy dla siebie samego uprzednio zdałem tylko na "dobry".

Podczas wakacji pomiędzy drugim i trzecim rokiem mieliśmy szkoleniowy obóz wojskowy w Gorzowie. Byliśmy tam praktycznie szkoleni na saperów. Na obozie tym zaszła cała masa ogromnie zabawnych zdarzeń. Ich przykładem było popełnienie przez naszego oficera pomyłki w obliczeniach ilości potrzebnego materiału wybuchowego i wysadzenie gigantycznego leja w ziemi, co spowodowało zostanie niemal wyzbabijanymi przez opadające kamienie - od których zdołaliśmy jednak uciec do transporterów opancerzonych. Innym było wpadnięcie Staszka do dołu polowej toalety, itd., itp.

W 1969 roku miały miejsce na Politechnice Wrocławskiej polityczne rozruchy studenckie. Podczas owych rozruchów przeżyłem tzw. **"nirwanę rezonansową"** w Auli Politechniki Wrocławskiej. Opisałem ją później w aż kilku publikacjach o totalizmie i o **totalizycznej nirwanie**. Doświadczyłem również działania kolejnego **cudu** "przeznaczenia" kiedy moja dziewczyna Elżbieta Portka wyciągnęła mnie z pochodu pierwszomajowego jakiego uczestnicy NIE wiedzieli wówczas, iż pochód ten był opanowany i kierowany przez prowokatorów, tak aby zawiódł swoich uczestników na zatracenie i na usunięcie z uczelni - co

G-9

opisałem dokładniej w podrozdziale H3 niniejszej autobiografii. W rezultacie tamtych rozruchów politycznych poznałem gorzką prawdę, że "nie istnieje taka idea polityczna za której obstawanie byłoby warte zatracenia swego życia" oraz, że **"jeśli zmarnujesz swe życie obstając za jakąś ideą polityczną, wówczas z pewnością będziesz tego później żałował"**. Niemniej świadomość owej prawdy wcale mnie potem NIE powstrzymała przed "zmarnowaniem" swojego własnego życia obstając za przyszłościową ideą budowy mojego **"magnokraftu"**, **"komory oscylacyjnej"**, **"wehikułu czasu"**, oraz popularyzując mój **"Koncept Dipolarnej Grawitacji"** i własną filozofię nazywaną **"totalizm"**.

G3. Życie prywatne w okresie moich studiów

Na piątym roku studiów kupiłem sobie samochód. Był on polskiej produkcji (Fabryki w Mielcu). Nazywał się "**Mikrus**" i był nieco podobny do angielskiego „Morrisa Mini”. Zapłaciłem za niego dosyć sporo, bo około 12 tysięcy ówczesnych złotych. Był on już stary i sfatygowany. Miał też narowisty charakter - jak pstrokaty koń. Często więc mi nawalał i to w najbardziej niespodziewanych chwilach. Jednak ciągle byłem jedynym studentem w owym czasie który miał własny samochód.

Kiedyś do mojego Mikrusa wsiadła jakaś piękność - studentka którą znałem z mojej pracy w Komitecie Stołówkowym. Gdy przejeżdżaliśmy przez środek skrzyżowania na ówczesnym Placu 1-go Maja we Wrocławiu (tj. jednego z największych skrzyżowań Wrocławia), mój Mikrus ponownie mi nawalił. Rozkraczył się na skrzyżowaniu torów tramwajowych, w wyniku czego długie tramwaje zablokowały sobą cały ruch przez to skrzyżowanie. Była właśnie godzina szczytu i piękna pogoda. Na skrzyżowaniu i w tramwajach jakie zatrzymaliśmy moim rozkraczonym Mikrusem były więc setki ludzi, którzy z zainteresowaniem kibicowali co się dzieje. Nie było innego wyjścia - musiałem Mikrusa zepchnąć ręcznie ze skrzyżowania. Poprosiłem więc moją pasażerkę aby pomogła mi pchać Mikrusa na oczach owych setek ubawionych tym zdarzeniem ludzi, których awaria mojego Mikrusa zatrzymała na owym skrzyżowaniu. Owa piękność wprawdzie pomogła mi zepchnąć Mikrusa na boczną uliczkę, jednak zaraz potem zniknęła bez słowa i nigdy więcej jej już nie widziałem. Najwyraźniej z daleka schodziła mi z drogi. Wygląda na to, że jeśli chce się zrazić do siebie piękną kobietę, wystarczy kazać jej popchać zepsuty samochód. Mikrus zaś jakby ubawiony psikusiem jaki zdołał mi wywinąć, po zepchnięciu ze skrzyżowania zapalił rechetliwie i pozwolił mi odjechać do akademika bez żadnego problemu. Być może iż z jego pomocą Bog dał mi wówczas do zrozumienia, że ta dziewczyna NIE jest dla mnie odpowiednia.

Mikrus był też dla mnie źródłem zarobku. A zarobek był mi wówczas potrzebny aby pokrywać swe wydatki jako student. Mianowicie, wynajmowałem się wraz z nim Cyganom na cały dzień, wożąc Cyganów do ich rozlicznych krewnych w odległych miejscowościach, tak jakbym był ich prywatnym taksówkarzem (normalni taksówkarze NIE chcieli zabierać Cyganów, bo się ich bali). Cyganie zaś mi płacili całkiem przyzwoitą stawkę dzienną. W owych czasach musiałem twórczo wynajdować sposoby zarabiania pieniędzy aby jakoś przetrwać do końca swych studiów.

Podczas jednej z takich wypraw zarobkowych Mikrusem, około 1970 roku, miałem raczej niezwykły "wypadek" samochodowy koło Karpacza. Mianowicie, po mojej stronie stromej szosy w dół, duży walec drogowy ubijał właśnie naprawianą jezdnię. Zjechałem więc na drugą stronę szosy aby go objechać naokoło. Wówczas jakby spod ziemi wyrósł przedemną duży autobus, który wolno wdrapywał się pod górę w przeciwnym niż ja kierunku. Droga w tym miejscu przebiegała w głębokim wykopie, zaraz więc przy jezdni zaczynała się skarpa i nie było pobocza. Aby uniknąć czołowego zderzenia z autobusem, nie miałem innego wyjścia i musiałem rzucić Mikrysa łukiem na ową skarpe. Mój **Mikrus wdrapał się wysoko na ową skarpe jak jakiś cyrkowiec**. Był tak mocno pochylony na bok, że pod swoim bocznym oknem zobaczyłem dach autobusu jaki właśnie objeżdżałem łukiem po owej skarpie. Po przejechaniu ponad dachem autobusu mój Mikrus z powrotem zjechał na szosę i kontynuował jazdę. Mnie zaś ogarnął wówczas rodzaj jakby paraliżu. Spowodował on, że nawet nie miałem siły zatrzymać Mikrusa, a jedynie kierowałem go wzdłuż drogi. W swoim wstecznym lusterku odnotowałem, że autobus i walec drogowy się zatrzymali, zaś ludzie z autobusu wybiegli z na szosę i popatrzyli za mną jak stamtąd odjeżdżałem. Moje wyjście bez szwanku z owej niezwykłej sytuacji było niemal, czy faktycznym, **cudem**.

G4. Koniec moich studiów na Politechnice Wrocławskiej

Dzięki zaradności, uporze, wrodzonej inteligencji, oraz sporej dozie szczęścia, tak jakoś dotarłem do końca studiów. Na **rozdanie dyplomów "magistra inżyniera"** zebraliśmy się w sali wykładowej budynku o nazwie "Nowy Mechaniczny" - w którym znajdował się nasz dziekanat. Z około 360 studentów których uczelnia przyjęła z nami na studia pierwszego roku, na owym rozdaniu dyplomów było nas już tylko 106 absolwentów rocznika 1970 - z której to liczby kilka osób dołączyło do nas "poślizgiem" ze starszych lat. Były przemówienia. Jednym z przemawiających był ówczesny Prezydent ZSP, którym okazał się ów mój podwładny jakiemu dwa lata wcześniej przekazałem administrowanie studenckiej kasy zapomogowo-pożyczkowej. (Z owej kasy uczynił on swoją karierę, najpierw zostając szefem finansów ZSP, potem zaś uczelnianym prezydentem tej organizacji - zgodnie z zasadą **"kto zarządza pieniędzmi, ten dysponuje także faktyczną władzą"**.)

Wiele lat wcześniej, to jest zaraz po moim pierwszym przybyciu do Wrocławia w 1960 roku, wyszedłem sobie na spacer koło Hali Ludowej. Zobaczyłem wówczas słynną wrocławską **"iglicę"** - czyli wysoką wieżę ozdobną w kształcie szpikulca. Będąc świadomym ogromnej trudności zdania egzaminów wstępnych kiedy na jedno miejsce przypada około 12 kandydatów, ślubowałem sobie wtedy iż **"jeśli zdam ten egzamin i ukończę studia, wówczas powieszę bukiet kwiatów na czubku owej iglicy"**. Kiedy więc tak też się stało, znaczy kiedy faktycznie zdałem egzamin wstępny a po sześciu dalszych latach skończyłem studia, przewidywałem sporte kłopoty z wypełnieniem tego ślubowania. Wszakże wspięcie się na czubek owej iglicy z bukietem kwiatów niesionym w zębach wymagałoby nie lada wyczynu. W owym zaś czasie nie można było wynająć sobie helikoptera. Na szczęście Bóg ponownie przyszedł mi z pomocą. Kiedy tak się głowiłem jak zawiesić kwiaty na czubku owej "iglicy" aby wypełnić swoje śluby, niespodziewanie "iglica" została położona na Ziemi aby robotnicy mogli ją pomalować. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, bez trudu więc zdołałem przyczepić kwiaty do samego jej czubka. Na temat owych kwiatów któregoś z następnych dni był potem jakieś spekulujący artykuł opublikowany w lokalnej gazecie.

H-1

Rozdział H:

Miasto WROCŁAW (1970-1982)

(WYKŁADANIE na pozycjach od Asystent Stażysta aż do Adiunkt w ITBM (I-24) na POLITECHNICE WROCŁAWSKIEJ)

Swoje dorosłe **życie w socjalistycznej Polsce** rozpocząłem w 1970 roku po otrzymaniu od Politechniki Wrocławskiej dyplomu "**magistra inżyniera**". Zostałem wówczas zatrudniony przez tą politechnikę najpierw jako asystent stażysta, potem jako asystent, dalej jako starszy asystent, zaś po obronie pracy doktorskiej w 1974 roku - jako adiunkt ("adiunkt" w Polsce jest odpowiednikiem dla tzw. "**Reader**" z angielskich uniwersytetów). Gdyby spróbować jakoś nazwać tamten okres w moim życiu, możnaby go tytułować "sukcesy zawodowe nie poparte poczuciem spełnienia". Szybko wspinałem się w hierarchii akademickiej. Studenci uwielbiali moje dobrze przygotowane i nowoczesne wykłady - w 1981 roku wybierając mnie nawet "wykładowcą roku". Z kolei przełożeni doceniali moją biegłość w najnowszej technice i wielodyscyplinarną ekspertyzę. W kraju szybko wyrobiłem sobie opinię jednego z najlepszych ekspertów w zakresie sterowania numerycznego, oprogramowania inżynierskiego, oraz komputeryzacji. Byłem autorem jedyne go wówczas w całym kraju komputerowego języka do programowania obrabiarek sterowanych numerycznie nazywanego JAP (tj. "**Język Automatycznego Programowania**"). Moja wysoka ekspertyza w aż dwóch dyscyplinach (tj. w inżynierii mechanicznej i w informatyce) spowodowała, że stałem się poszukiwanym specjalistą i wiele zakładów pracy ubiegało się o moje usługi. W sumie pracowałem więc na uczelni na pełnym etacie i równocześnie w przemyśle na pół etatu jako doradca naukowy. Materialnie powodziło mi się też relatywnie dobrze jak na ówczesne warunki. Był to jedyny okres w moim życiu kiedy w końcu dane mi było mieszkać w dużym, wygodnym i nowoczesnym mieszkaniu z ładnym umeblowaniem, oraz z własnym gabinetem do pracy. Z czasem kupiłem też sobie nowy samochód "**Fiata 126p**". Każde wakacje spędzałem z żoną i dziećmi na przyjemnych wczasach.

H-2

H1. Moje zdrowie

Moje zdrowie w owych czasach NIE należało do najlepszych. Faktycznie też przez całą resztę życia **pozostałem chorobliwym** "molem książkowym" i "nerdem komputerowym". Ciężka praca oraz niedożywienie w czasach dzieciństwa wywarły swój niszczący wpływ na mój organizm. Jednego dnia, w mieszkaniu na ulicy Wiśniowej zasłabnąłem w wannie podczas kąpieli i niemal w niej utonąłem. Na szczęście jakoś zdołałem zawołać, że mi się słabo robi i mnie odratowali. Pamiętam też przypadek jak innym razem, już w mieszkaniu na Jedności Narodowej, wątroba (czy woreczek żółciowy) zaczęła mnie boleć aż tak silnie, że musiałem się położyć i zwijałem się z bólu. Co gorsza właśnie wówczas odwiedzała nas moja mama z Wszewilek - stąd widząc moje bóle biedna być może zaczęła się martwić, lub sobie coś błędnego pomyślała. Owe napady bóli wątroby potem trapiły mnie przez wiele następnych lat - z czasem odnotowałem, że pojawiają się one kiedy zjadam żywność, która zawiera zbyt wiele chemikalii, np. zjadam mięso, które zawiera sporą dawkę tzw. "saletry do mięsa", albo zjadam owoce wysuszone ze skórkami (np. rodzynki), które spryskane zostały jakimiś środkami owadobójczymi, zaś ja NIE byłem w stanie poobierać ich z pokrytej trującymi chemikaliami skórki.

W owych czasach, a dokładniej w dniu 7 czerwca 1981 roku, zacząłem spisywanie historii swojej rodziny oraz drzewa genealogicznego spokrewnionych ze mną przodków. Niniejsza autobiografia, jakiej dokańczenie podjąłem 7 marca 2019 roku, stanowi wynik końcowy zaczętego wówczas spisywania.

H2. Moje życie zawodowe

Na ostatnim roku studiów zacząłem otrzymywać od Politechniki Wrocławskiej tzw. "stypendium naukowe". Było ono ogromnym wyróżnieniem zarezerwowanym tylko dla kilku najlepszych studentów. Wynosiło ono dokładnie 1000 złotych na miesiąc - co w owym czasie było relatywnie dużo. (Dla porównania, w tym samym czasie mój ojciec otrzymywał tzw. „rentę inwalidzką” w wysokości około 300 złotych na miesiąc – zaś on przecież był tzw. „bread winner” – czyli „żywiciel” całej rodziny na jaką wówczas składały się trzy mieszkające z nim i nigdzie NIE zatrudnione osoby, tj. on, moja mama, oraz moja siostra, a teoretycznie rzecz biorąc również i ja - chociaż w owym czasie to ja zacząłem pomagać rodzicom, a nie rodzice mi.) Stypendium naukowe stanowiło też rodzaj "rezerwacji", którą uczelnia dokonywała wobec swych najlepszych studentów. Oznaczało ono, że uczelnia rezerwuje dla siebie prawo zatrudnienia danego studenta po zakończeniu przez niego studiów. Z uwagi na owo stypendium, natychmiast po zakończeniu studiów, od 1-go kwietnia 1970 roku, zostałem zatrudniony przez Politechnikę Wrocławską na naukowo-dydaktycznym stanowisku tzw. "**Asystenta Stażysty**". Do moich obowiązków zawodowych zaczęło więc należeć: dokonywanie badań naukowych, prowadzenie wykładów dla studentów, oraz publikowanie opracowań naukowych.

Moje pierwsze wykłady i laboratoria były interesujące. Sporo z nich pokrywało zupełnie nowy dla mnie materiał nauczania, musiałem więc je przygotowywać od zera. Te wychodziły mi doskonale. Kilku z nich początkowo przysłuchiwał się mój ówczesny wysoce uzdolniony, zaradny, pracowity i prawy przełożony (wówczas na stanowisku docenta - awansowany na profesora dopiero po mojej emigracji do NZ), o nazwisku **Jerzy Jędrzejewski**. Jednak jedno laboratorium praktyczne znałem moim zdaniem dobrze jeszcze z czasów swoich studiów. Było to "laboratorium z pomiarów warsztatowych". Do tego się więc zbytnio nie przygotowywałem, poprzestając na zgrubnym przeczuciu podręcznika. Wszakże było ono zajęciem praktycznym, zaś ja wierzyłem że ciągle dobrze pamiętam co na nim studenci powinni uczynić. Jednak w tym przypadku czekała mnie długo potem pamiętana nauczka. Najwyraźniej "**los lubi traktywać nas problemami tam gdzie ich się nie spodziewamy**". Ponieważ laboratorim to dobrze znałem jeszcze z okresu swoich studiów, więc pierwszego dnia poszedłem na nie niemal zupełnie nieprzygotowany. Tymczasem się okazało, że w pierwszy dzień studenci mieli tyle pytań i to tak dociekliwych, że nie byłem w stanie na nie wszystkie odpowiedzieć. W rezultacie, w pewnym momencie aż podjąłem błędną decyzję bo zdecydowałem się dosłownie „uciec” w trakcie trwania tego laboratorium przed natarczywymi pytaniami studentów, aby jakoś uniknąć ambarasującego ujawnienia studentom, że nie znam wszystkich odpowiedzi na ich pytania. Oczywiście, na następną sesję tego samego laboratorium już się obkułem na wszystkie kopyta - i studenci nie byli już w stanie zapędzić mnie w przysłowiowy "**kozi róg**" swoimi pytaniami. Niemniej moi koledzy (owe laboratorium zawsze prowadziło równocześnie aż kilku asystentów) nie chcieli mi już zapomnieć mojej pierwszej ucieczki i się ze mnie naśmiewali przez spory okres czasu po tym zdarzeniu. Miałem więc z jego powodu dobrą nauczkę na przyszłość - jaka nakazywała „**do każdych zajęć ze studentami przygotuj się najlepiej jak potrafisz**". Nauczka ta w przyszłości kosztowała mnie wiele pracy i „pozarywanych” nocy, bowiem na emigracji praktycznie każdego semestru wykładałem nowy i uprzednio jeszcze NIE wykładany przez siebie przedmiot. Stąd czasami, szczególnie w początkowych 10 latach – kiedy równocześnie uczyłem się naukowego i technicznego języka w jakim wykładałem, aby zdołać się przygotować do zajęć jakie miałem następnego dnia, powtarzalnie zmuszony byłem pozostawać po pracy i kontynuować swe przygotowywanie się czasami nawet do około godziny 5 rano.

H-4

Moim uczelnianym przełożonym był docent Jerzy Jędrzejewski. Chociaż sam sobie nie wybierałem przełożonego ani zespołu kolegów z którymi pracowałem (zostałem tam bowiem przydzielony "odgórnie"), miałem w tym dosyć duże szczęście. Docent Jędrzejewski okazał się bowiem porządnym i prawym przełożonym, który dbał o swoich podwładnych i nie sprawiał im żadnych problemów. Koledzy z pracy też się okazali wspaniałymi ludźmi pod każdym możliwym względem. Jedyne problemy w pracy polegały na tym, że - jak wówczas wierzyliśmy, nasz przełożony miał rodzaj "**życiowego pecha**". (Obecnie raczej bym stwierdził, że jego działalność wprowadzała faktyczny postęp, zaś z tego powodu prześladowało go tzw. "**przekleństwo wynalazców**" utrudniające życie wszystkim ludzi wprowadzających postęp a opisane, między innymi, tutaj w rozdziale P, a także np. w punktach #B4.4 i #H1 z mojej strony internetowej o nazwie "[mozajski.htm](#)".) Przykładowo, swoją pracę doktorską mój przełożony napisał równocześnie ze swoim rówieśnikiem, kolegą i późniejszym głównym konkurentem, niejakim docentem Janem Kochem. Gdyby więc ją także obronił w tym samym czasie, wówczas jego kariera byłaby równoległa do kariery docenta Kocha. Jednak naszemu docentowi ktoś wykradł z samochodu jedyny egzemplarz już gotowej pracy doktorskiej. To spowodowało, że jego doktorat musiał być napisany ponownie od samego początku - co opóźniło go o kilka lat. W rezultacie, od owego czasu kariera naszego docenta podążała daleko z tyłu za karierą docenta Kocha. Wniosek z tego, "gdy masz coś bardzo cennego, nie spuszczaaj z tego swych oczu".

Nasz zakład badawczy obejmował wielu naukowców. Prym wśród nich wiedli dr Joachim Potrykus - bardzo sumienny naukowiec o dociekliwym umyśle, szerokiej wiedzy i doskonałej znajomości języka niemieckiego, oraz dwaj bracia bliźniaki o nazwisku Wojciechowski - których wszyscy studenci znali i pamiętali ponieważ na uczelni nie było wówczas wielu niemal identycznie wyglądających braci bliźniaków.

Jako naukowiec często wówczas uczestniczyłem w konferencjach które były rodzajem "**otwieraczy oczu na akademię**". Jedną z nich, konferencja w IOS (Instytut Obróbki Skrawaniem) z Krakowa, miała sporo artykułów starających się wyjaśnić rozkład naprężeń w piaście z łożyskami. Uderzyło mnie wówczas, że dostojni luminarze nauki zaciekle dyskutowali pierwsze z owych referatów, które teoretycznie rozkład ten przewidywały. Potem jednak ktoś wygłosił referat praktyczny, który z pomocą zdjęć ukazał dokładnie jak ów rozkład naprawdę wygląda. Po jego wygłoszeniu zapadła cisza i konsternacja. Nikt nie zabrał głosu ani nie zadał żadnego pytania. Naukowcy wyraźnie dali wówczas znać swoim zachowaniem, że nie życzą sobie aby znalazły się rozwiązania dla zaciekle deliberowanych przez nich problemów. Wolą oni aby problemy te ciągle istniały, bowiem wtedy mogą się nad nimi wymądrzać i pokazywać innym jacy to są biegli w danym przedmiocie.

Na konferencje wyjeżdżaliśmy nie tylko na obszarze Polski. Kilka razy uczestniczyliśmy także w konferencjach zagranicznych w Bułgarii. Pierwszy wyjazd na taką konferencję z Warna w Bułgarii miał miejsce z naszymi przełożonymi, docentami Kochem i Jędrzejewskim. My byliśmy ciągle niedoświadczeni w podróżach, jednak nasi przełożeni chwalili się swoimi uprzednimi podróżami. Na przekór tego, ciągle o mało że zagubiliśmy nasze bagaże na lotnisku w Berlinie, ponieważ nasi przełożeni uważali, że nie warto sprawdzać czy nasz bagaż przypadkiem nie został wystawiony do zabrania. Ja jednak niezbyt ufałem ich znajomości świata i poszedłem sam sprawdzić tamtejszą bagażową "karuzelę" czy przypadkiem nie ma tam naszego bagażu. Ku swemu zaskoczeniu tam też go znalazłem. Po wejściu do hotelu „Park-Hotel” w Sofii, Bułgaria, jakiś robotnik hotelowy zaczął się siłować z moim bossem, poczym odebrał mu bagaż i pobiegł z nim gdzieś wzdłuż długiego korytarza. Po chwilowej konsternacji mój boss pobiegł za nim, zniknął na chwilę za zakrętem korytarza, po pewnym zaś czasie wyłonił się z tryumfem na twarzy niosąc w ręku swój bagaż. Na konferencji do naszej grupy dołączyła się spontaniczna Bułgarka o nazwisku Valeria Treneva.

W 1972 roku zachrowałem na gripę, a prowadziłem wówczas wykłady o "wybranych aspektach urządzeń napędowych". Mój następny wykład wypadał zaraz po zakończeniu się

H-5

zwolnienia lekarskiego. Nie mając w domu podręczników aby wykład ten przygotować, kiedy leżałem w łóżku i kurowałem się z grypy postanowiłem przygotować sobie wykład "z głowy" (tj. bez użycia podręczników). Wyszedłem z ideą opracowania systematyki urządzeń napędowych która byłaby podobna do tzw. "Tablicy Mendelejewa". Tyle że zamiast pierwiastków chemicznych moja systematyka organizowałaaby urządzenia napędowe w logiczną tabelę. W ten sposób powstała tzw. "**Tablica Cykliczności**" od której potem wywiodły się wszelkie moje późniejsze wynalazki i odkrycia (np. "magnokraftu", "wehikułu czasu", "Konceptu Dipolarnej Grawitacji", "totalizmu", itp.). W kilka lat później moja "Tablica Cykliczności" stała się fundamentem artykułu „Teoria rozwoju napędów”, Astronautyka, nr 5/1976, strony 16 to 21. - który to artykuł odmienił potem całe moje życie. Obecnie moje rewolucyjne **Tablice Cykliczności** najlepiej są opisane w punktach #J4 do #J4.6 ze strony internetowej o nazwie "propulsion.pl.htm".

W swoich badaniach naukowych dokonywałem modelowania i symulacji rozptyłu ciepła oraz rozkładu temperatur w obrabiarkach skrawających. Stawałem się więc coraz bieglejszy w komputerach. Ta moje wzrastająca biegłość w komputeryzacji, połączona z inżyniersko wytrenowanym umysłem, później stała się źródłem mojej drugiej specjalizacji życiowej w naukach komputerowych. Stwarzała ona także w moim umyśle fundamenty pojęciowe niezbędne dla przyszłego wypracowania tzw. "**Konceptu Dipolarnej Grawitacji**" oraz filozofii "totalizm".

W owym czasie programowanie obrabiarek skrawających z numerycznym i komputerowym sterowaniem odbywało się wyłącznie ręcznie. Dlatego jako rodzaj zabawy czy przekorności stworzyłem swój własny język programowania owych obrabiarek zwany JAP (od "**Język Automatycznego Programowania**"). Opracowałem go zupełnie „za darmo”. W ten sposób w pojedynkę i społecznie pobiłem cały zespół rozwojowy z Politechniki Warszawskiej i z Pruszkowa którzy nad takim językiem pracowali od wielu lat i otrzymywali za to milionowe dotacje od rządu. Moja wydajność po raz pierwszy okazała się więc kilkadziesiąt razy większa od wydajności innych osób. Później wielokrotnie w życiu zaobserwowałem, że jakkolwiek pracę intelektualną ja wykonuję, jestem w niej zawsze od około 3 do kilkunastu razy bardziej efektywny i wydajny od innych osób. Niestety, mojej efektywności i wydajności nigdy nikt ani nie chciał zauważyć, ani docenić, a we wielu przypadkach napytywała mi tylko biedy, bowiem zwykli ludzie, którzy w jej obliczu wypadli jako zawodowe miernoty, zawsze się z tego powodu obrażali i „podkładali mi świnie”.

W owym czasie pod względem służby wojskowej byłem rezerwistą w stopniu bodajże sierżanta podchorążego. Wysłano mnie więc do Olsztyna na kilkumiesięczne oficerskie szkolenie. Poznałem team mojego serdecznego przyjaciela o nazwisku Zbyszek Ostas. Po ukończeniu tego szkolenia awansowano mnie do stopnia podporucznika w specjalizacji uzbrojenie.

Kiedy służyłem w Olsztynie, fascynował mnie tamtejszy zamek - wtedy już w ruinach. Odwiedzałem go więc aż kilka razy gdy byłem na przepustkach. Kiedyś bowiem, jeszcze w studenckich czasach, całą grupą wywoływaliśmy duchy wraz z siostrą mojej ówczesnej sympatii Elżbiety (siostra ta miała imię Lodka – potem po mężu Rafalska). Zwrócił się wówczas do mnie jeden z przybyłych wówczas na seans duchów i prosił mnie abym zmówił pacierz za pokój jego duszy. Kiedy spytałem go dlaczego, on mi opowiedział łzawą historyjkę, która brzmiała wysoce nieprawdopodobnie. Mianowicie stwierdził, że ja kiedyś byłem komendantem grupy rycerzy którzy oblegali zamek w Olsztynie, zaś on był dowódcą sił Krzyżackich, które broniły się w tym zamku. Wówczas on miał podobno wywołać mnie na pojedynek, na który ja przystałem. Jednak podczas tego pojedynku on mnie zabił z zaskoczenia, w sposób wysoce niehonorowy i niezgodny z ówczesną etyką rycerską. Za karę po śmierci został skazany na pokutę aż do czasu kiedy ja odmówię pacierz za jego duszę. Gdy wysłuchiwałem owej historyjki, posądzałem że ktoś z biorących udział w owym seansie wywoływania duchów płał mi figla. Wszystko wyglądało bowiem wysoce

H-6

nieprawdopodobnie. Ponadto wierzyłem wtedy, że Olsztyn nigdy NIE był w rękach Krzyżackich. Nic o krzyżackim Olsztynie nie słyszałem przecież na lekcjach historii. Aby więc nie wyglądać na durnia, zacząłem się wykręcać od obiecania owemu duchowi, że zmówię za niego pacierz, o jaki mnie prosił. Jako wymówkę podałem, że jestem ateistą i nie znam żadnych paciery, które byłyby odpowiednie na taką okazję. On jednak mnie zapewnił, że wcale NIE muszę znać paciery, bowiem on wskaże mi niewielką broszurkę, którą jeśli przeczytam z uwagą, wówczas będzie to równoważne z odmówieniem przeze mnie wymaganego paciery. Gdy spytałem gdzie jest ta broszurka, on powiedział, że we Wrocławiu, w Bibliotece Uniwersyteckiej przy ulicy Szajnochy - z której relatywnie często wtedy korzystałem. Podał mi też numer katalogowy (sygnaturę) owej broszurki, który miałem wpisać na zamówieniu aby mi ją przyniesiono z magazynu. Już sam numer wyglądał podejrzanie, był bowiem jakis krótki, o formacie niepodobnym do numerów które pamiętałem z tamtej biblioteki. Obiecałem mu więc, że zamówię i przeczytam tą broszurkę. W jakiś czas potem poszedłem do owej biblioteki, bardziej z ciekawości niż z przekonania. Spodziewałem się że kiedy zamówię coś o sygnaturze podanej mi przez owego ducha, najprawdopodobniej się okaże, że wcale nie ma książki o tej sygnaturze w całej bibliotece, a w najlepszym przypadku się okaże że książką tą jest np. jakiś podręcznik botaniki albo np. encyklopedia rolnictwa. Ku mojemu jednak zdziwieniu, po złożeniu zamówienie przyniesiono mi broszurkę o wielkości typowego zeszytu 16-kartkowego. Kiedy ją otworzyłem, o mało aż spadłem z krzesła. Broszurka okazała się rodzajem opowiadania (czy podsumowania życia i wykazu zalet), które grupa przyjaciół napisała o swoim właśnie zmarłym przyjacielu z osiemnastowiecznego Krakowa. Cała jej treść zawierała najpierw jakiś krótki paragraf omawiający coś kolejnego i dobrego co ów zmarły człowiek uczynił, poczym przytoczony był kolejny pacierz za spójność jego duszy. Potem był następny taki mały paragraf i następny pacierz. Itd. Dla pewności przeczytałem z uwagą ową broszurkę aż kilka razy. Wyszedłem z tej biblioteki z zamętami w głowie. W kilka lat później, podczas służby wojskowej w Olsztynie odwiedziłem na przepustce ruiny tamtejszego zamku. Ku swojemu następnemu szokowi, przy ruinach tego zamku stała tablica informacyjna na której pisało, że w jakichś tam podanych latach ów zamek był w rękach Krzyżaków. Wyglądało więc na to, że cała tamta historia opowiedziana mi przez krzyżackiego ducha mogła być prawdą. Powyższe zdarzenie opisałem też dokładniej w punktach #J1 do #J3 z mojej strony internetowej o nazwie "[malbork.htm](#)". Powinienem tu też dodać, że ja mam wrodzone uczulenie na widok krwi, oraz na opowiadania o krwi. Kiedy widzę krew, lub słyszę o czyimś zranieniu, robi mi się słabo i czuję, iż mogę zemdleć.

W dniu 6 lipca 1974 roku odbyła się publiczna obrona mojej rozprawy doktorskiej. Nosiła ona tytuł „**Analityczne badanie rozkładu temperatur we wrzecionach obrabiarek skrawających ze szczególnym uwzględnieniem wrzeciona tokarki**”. Jej promotorem był Doc. Dr inż. Jerzy Jędrzejewski. Jej głównym recenzentem był Prof. Kaczmarek z Politechniki Warszawskiej. Po obronie, przez kilka miesięcy byłem najmłodszym doktorem na Politechnice Wrocławskiej.

Po obronieniu pracy doktorskiej i otrzymaniu tytułu Doktora Nauk Technicznych, rozpocząłem starania o po-doktorskie stypendium naukowe w jakimś kraju zachodnim. Ponieważ oficjalnym kanałem NIE miałem szansy na rządowe zarekomendowania na takie stypendium, podania te zacząłem składać prywatnym kanałem - poprzez ich wysyłanie wprost do uczelni jakie ogłaszały miejsca dla po-doktorskich stypendystów. Niestety, na przekór składania dziesiątków podań, stypendium takiego nikt nie chciał mi przyznać.

W owym czasie Politechnika Wroclawska zaczęła organizować dla swych wykładowców wakacyjne kursy z języka angielskiego. Ja zapisałem się na te kursy. Poznałem też wówczas podstawy języka angielskiego. Niestety, były one ogromnie mizerne i faktycznie to NIE byłem w stanie efektywnie się porozumiewać po angielsku.

Moja rosnąca eksperyza w komputeryzacji, połączona ze sławą jaką przyniosło mi stworzenie własnego języka programowania (tj. JAPu), spowodowało że ówczesna fabryka

H-7

komputerów o nazwie Mera-Elwro zaproponowała mi półetatową pracę w charakterze „doradcy naukowego”. Pracowałem tam od 1 czerwca 1975 aż do 31 grudnia 1977 roku. Byłem odpowiedzialny za rozwój oprogramowania inżynierskiego dla komputerów Odra. Jednym z moich osiągnięć było wówczas adoptowanie do polskich komputerów Odra serii 1300 angielskiego języka NEL-APT. Niestety, w ostatnim roku tamter pracy przydzielony mi został do pomocy jakiś emigrant z Rosji, który okazał się praktykować działania typowego „**bully**” zwanego także „**korporacyjnym psychopata**” - jakich opisuje, między innymi, np. artykuł „**Workers' health in danger from corporate psychopats**” (tj. „Zdrowie robotników zagrożone przez korporacyjnych psychopatów”) ze strony A2 gazety „The New Zealand Herald” wydanie ze środy (Wednesday), September 23, 2009 rok. Miał on jakiś „**kompleks władzy**” oraz doskonale wiedział „jak wygrywać na papierku”. Zaczął mi on tak tam uprzykszać życie, że na końcu 1977 roku zdecydowałem się z pracy tam zrezygnować.

Kiedy moje doradztwo naukowe w Elwro zostało zakończone, **fabryka autobusów w Jelczu** zaproponowała mi półetatowe zatrudnienie w charakterze „konsultanta naukowego” na Wydziale Głównego Technologa. Pracowałem tam od 1 maja 1978 roku, do 31 grudnia 1981 roku. W Jelczu miałem okazję poznać kilku faktycznych „geniuszy w niebieskich fartuchach” (np. kolegę o nazwiku **Karaś**, oraz programistę obrabiarek sterowanych numerycznie (OSN) o nazwisku **Kwiatkowski**). Zawodowe współdziałanie z owymi życiowo doświadczonymi ludźmi pozwoliły mi poznać, że mądrość życiowa zwykłych ludzi, przy ich całej skromności, przewyższa wiedzę luminarzy nauki. Przykładowo Kwiatkowski zwykł mawiać: „**nie czuję się dobrze dopóki coś się nie popsuje**” - co okazało się potem być doskonałym wyrażeniem sytuacji życiowych, które są formowane przez tzw. „**pole moralne**”.

Owa „**Tablica Cykliczności**” którą opracowałem już w 1972 roku zapowiadała że wkrótce (tj. około 2036 roku) na Ziemi mogą zostać zbudowane dyskoidalne statki kosmiczne o napędzie magnetycznym. Zasada działania, wygląd i cechy tych statków stopniowo krystalizowały się w mojej głowie, jednak się wcale NIE spieszyłem z ich publikowaniem. Dopiero w 1980 roku opublikowałem pierwszy artykuł „Budowa i działanie statków kosmicznych z napędem magnetycznym”, Przegląd Techniczny Innowacje, nr 16/1980, strony 21 do 23. Była to pierwsza publikacja opisująca moje „**magnokrafty**”. Po jej opublikowaniu wszystko się zaczęło. Pojawiły się programy w telewizji o moim magnokrafcie, publiczne dyskusje na jego temat, odczyty, zainteresowanie ze strony armii (Sztabu Generalnego), itp. W Polsce stałem się wówczas sławnym człowiekiem.

Około 1980 roku, tj. wkrótce po wydaniu pierwszego artykułu o magnokrafcie i po wystąpieniu w telewizji, ktoś mnie filmował ogromną (profesjonalną) kamerą telewizyjną przez okno w ITBM. Gdy wyskoczyłem na zewnątrz aby go spytać co robi, nikogo tam nie było - a trudno z tamtego miejsca było się ulotnić bez śladu. Był to pierwszy przejaw wysoce tajemniczych zdarzeń, jakim później zostałem nagminnie poddawany.

W okresie dyskusji nad magnokraftem odwiedziłem niejakiego Zbigniewa Błanię z Łodzi. Był on badaczem UFO znanym na całą Polskę. Wówczas właśnie badał wprowadzenie do UFO niejakiego Jana Wolskiego z Emilcina. Zbigniew Błania zwrócił moją uwagę na tzw. „diabelskie kamienie”. Relacjonował mi o jego badaniach w Emilcinie i o tym, że znalazł tam taki kamień z odciskami dłoni. Ja doszukałem się związku jego opowiadania z opowiadaniem mojej matki o „diabelskim kamieniu” (tzw. „teufel stone”) ze Zemanowa pod Miliczem. Od matki wiedziałem, że kamień z Zemanowa był opisany w gazecie, znalazłem więc tamtą oryginalną publikację w „**Heimatt & Blatter**” w bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu. Przy badaniu kamienia z Zemanowa odkryłem, że w ich pobliżu szczególnie często mają miejsca obserwacje UFO i UFOautów - w dawnych czasach uważanych za „diabłów”. Swoje ostatnie wakacje z rodziną spędziłem w Polsce właśnie w poszukiwaniu „diabelskich kamieni” na pomorzu.

W lipcu 1980 roku wysłany zostałem ze studentami do Bułgarii dla nadzorowania tam ich praktyki przemysłowej. Byłem już wówczas sławny jako twórca magnokrafu. Podczas

H-8

dlugiej jazdy pociągiem jeden ze studentów żartobliwie złapał mnie za kolano twierdząc, że chce potem móc powiedzieć swoim wnukom „**ja kiedyś trzymałem Jana Pajaka za kolano**”. Reszta studentów poszła za jego przykładem. Ja z tego się uśmieiałem bo była to taka zabawna sytuacja.

Przez kilka lat korespondowałem z niejaką Gledą Keenan z Nowej Zelandii. Dla mnie była to okazja aby praktykować swój język angielski. Kiedyś poskarżyłem się jej, że od wielu lat staram się o „Post-Doctoral Fellowship” (tj. o naukowe stypendium po-doktorskie), jednak jakoś nigdy nie mam z tym sukcesu. Glenda mi odpisała, że Uniwersytet Canterbury w Christchurch, Nowa Zelandia, właśnie ogłasza wolne miejsce na swoim podoktorskim stypendium, oraz że powinienem złożyć o nie podanie. Za jej radą złożyłem to podanie – i ku swemu szokowi otrzymałem to stypendium. Jak widać „**najmniej istotny znajomy z 'tamtej' strony jest w stanie pomóc nam więcej niż najważniejszy dygnitarz z 'naszej' strony**”. Stypendium miałem podjąć już w lutym 1982 roku.

H-9

H3. Działalność w ruchu "Solidarność" i moja ucieczka z Polski

W owych czasach żyliśmy w Polsce w systemie politycznym, który nie na darmo nazywany był „socjalizmem”. W miarę swoich możliwości państwo zaspokajało w nim bowiem najważniejsze potrzeby narodu. Przykładowo, każdy miał gwarancję pracy i źródła utrzymania. Cała edukacja i służba zdrowia były za darmo otwarte dla każdego. Ich jakość ciągle była wówczas relatywnie wysoka. Państwo przyjmowało też na siebie odpowiedzialność za dostarczenie każdemu mieszkania, transportu publicznego, opieki nad dziećmi, oraz wypoczynku wakacyjnego. W rezultacie tego wszystkiego nie wiedziałem wówczas co to poczucie bycia niechcianym, własnej bezwartości i bezsilności, perspektywy bezrobocia w nieskończoność, czy braku pieniędzy na podstawowe potrzeby. Ani też mi, ani innym rodakom, nie były wówczas znane narkotyki, bezdomność, desperacka przestępczość, itp. Jednak system polityczny w którym żyłem stwarzał niepokoje innego rodzaju. Wynikały one głównie z dyktatorstwa i „**rządów pięści**”, które ówczesny rząd praktykował wobec rządzonego przez siebie narodu. Przykładowo z okna mojej sypialni widać było brzegi ogromnego poligonu na którym stacjonowały wyrzutnie SSki z głowicami atomowymi. (W dzisiejszych czasach też stoją tam nuklearne wyrzutnie, tyle że poustawiane dla odmiany przez państwo, w które tamte SSki były wycelowane.) Wszystkim w okolicy było więc wiadomym, że mieszkamy „na nuklearnej tarczy”. Wszakże w przypadku jakiegokolwiek konfliktu, te wyrzutnie będą najpierw niszczone bombami atomowymi strony porzecznej. Mogło więc się zdarzyć, że po czymś „zaswędzeniu palca” nasz dom zwyczajnie by został odparowany. Inne czynniki, które też psuły ówczesne poczucie spełnienia życiowego, była tzw. „propaganda sukcesu”, brak sprawiedliwości (szczególnie ustawianie rządzących „ponad prawem”), brak wolności prasy i wolności wypowiedzi, głuchota rządzących na petycje narodu oraz wynikająca z tej głuchoty postępująca demoralizacja polityczna. Najtrudniejsze do przełknięcia były jednak pogłębiające się pustki w sklepach. Z braku doświadczenia życiowego i z nieznamość innych ustrojów, w tamtych czasach wszyscy wierzyliśmy, że te problemy i napięcia wynikają z wad samego ustroju. Nie wiedzieliśmy wówczas jeszcze, że dokładnie takie same problemy mogą dawać się ludziom we znaki w praktycznie każdym ustroju - tyle tylko że wyzwalane tam będą nieco odmiennymi mechanizmami. Ponieważ każda akcja wyzwała odpowiadającą jej reakcję, w rezultacie owych „rządów pięści” i usterek ustroju jaki nas otaczał, w prawie całym narodzie, którego byłem częścią, zaczęło narastać życzenie transformacji z socjalizmu do innego, "lepszego ustroju". Jednym zaś innym ustrojem, który wówczas istniał, był kapitalizm.

Oto skrócone streszczenie opisanego w punkcie #F2 mojej strony o nazwie "[wroclaw.htm](#)" przykładu, jak ówczesne władze Polski manipulowały losami zwykłych ludzi. Mianowicie, w 1969 roku postanowiłem uczestniczyć w marszu pierwszomajowym. W czasie marszu do naszego pochodu stopniowo dołączało się coraz więcej nieznanym nam rosnących młodzieńców - którzy później okazali się być "**prowokatorami**". Kiedy domaszerowaliśmy już w pobliże głównej trybuny, na chodniku zobaczyłem moją sympatię Elżbietę. Ta mnie odwołała z maszerującej kolumny ponieważ nie chciała czekać aż parada się skończy. Potem się okazało, że po dojściu do trybuny w maszerujących wstąpiło jakby szaleństwo zaindukowane przez owych prowokatorów. Zaczęli oni rozruchy antyrządowe i demonstrację. Milicja, która dobrze przygotowała się na to z góry zaplanowane zdarzenie, dokładnie ich pofilmowała i pofotografowała, zaś wkrótce wszyscy studenci maszerujący w tym pochodzie zostali usunięci z uczelni i wcieleni do wojska. Owo czysto przypadkowe (a faktycznie kierowane **cudem**) odwołanie mnie przez Elżbietę z maszerującej kolumny, uratowało moje studia i spowodowało, że wogóle ukończyłem Politechnikę Wrocławską.

W 1981 roku moje życie doszło do przełomowego momentu. Najpierw, dzięki radzie mojej "pen-pal" o imieniu Glenda złożyłem prywatne podanie o 1-rocze stypendium po-

H-10

doktorskie w Nowej Zelandii i stypendium to mi zostało przyznane. Uzgodniłem wtedy z Politechniką Wrocławską, że podejmę to stypendium na własny koszt i na zasadzie że uczelnia udzieli mi jednoroczny urlop bezpłatny. Wkrótce miałem już wszystko pozałatwiane, włącznie ze zgodą uczelni na udzielenie mi rocznego urlopu bezpłatnego, z wyrobieniem sobie prywatnego paszportu i wizy do Nowej Zelandii, oraz z zakupem okropnie dla mnie kosztownych wówczas biletów lotniczych - dla których nabycia zadłużyłem się po uszy u brata Czesława, który otrzymywał „napiwki” w dolarach od turystów dla jakich pracował jako angielsko-języczny przewodnik. (Bilety te kosztowały bowiem 1300 \$USA, zaś gdybym zaczął wówczas kupować dolary na „czarnym rynku” za złotówki, to całomiesięczne moje ówczesne zarobki pozwalałyby mi kupić 26 \$USA.) Niestety, kiedy miałem już wszystko to gotowe, w Polsce nagle ogłoszono stan wojenny. Władze unieważniły wszystkie paszporty, w tym i mój, nakazując ich natychmiastowy zwrot do urzędu paszportowego oraz czyniąc je nielegalne. Ja jednak zdecydowałem się NIE zwracać swego paszportu - licząc że może zdołam jakoś wyjechać z kraju i podjąć swe stypendium, którego uzyskanie kosztowało mnie aż tak wiele wysiłku i ryzyka. (W owych czasach, aby dostać paszport musiałem najpierw oddać w urzędzie swój dowód osobisty.) W ten sposób, w środku stanu wojennego NIE miałem dowodu tożsamości którym mógłbym się wylegitymować, bowiem nie posiadałem dowodu osobistego, zaś paszport jaki miałem, dla naszych władz był nielegalny i nieważny.

Kolejnym przełomowym zdarzeniem owego 1981 roku było, że **tornado zmian politycznych** zaczęło omiatać wówczas Polskę. Najpierw powstała „Solidarność”. Potem niemal każdy patriotyczny Polak stał się jej członkiem. Ja oczywiście byłem jednym z pierwszych jej członków. Wraz z kilkoma innymi młodymi patriotami zostałem nawet doradcą naukowym wrocławskiej komórki owej pierwszej, spontanicznej Solidarności. Kiedy więc nastął „stan wojenny” i wyniszczanie Solidarności, nie miałem wątpliwości, że jako działacz i doradca Solidarności, a jednocześnie NIE mając ważnego dowodu tożsamości, skończę conajmniej w więzieniu jeśli zostanę przyłapany. Aby uniknąć aresztu jednego dnia musiałem nawet umykać przed policją, byłem ścigany i niemal postrzelony - co porządnie mnie wówczas nastraszyło. W owym czasie wszystkich dziwiło, że po każdym spotkaniu z Lechem Wałęsą, wszyscy aktywiści Solidarności uczestniczący w spotkaniu z nim zawsze zostawali aresztowani. Sprawa wyjaśniła się dopiero w 2008 roku, kiedy to dwaj polscy badacze historii, S. Cenckiewicz i P. Gontarczyk, opublikowali książkę „The Secret Police and Lech Wałęsa”, 780 stron, w której ujawnili dokumentację, iż przywódca Solidarności, zaś późniejszy Prezydent Polski i laureat Nagrody Nobla, faktycznie był kolaborantem tajnej policji i że to właśnie owa tajna komunistyczna policja awansowała go do wszystkich tych honorów. (Książka ta i jej konsekwencje omawiane były m.in. w artykule „Walesa fingered as a communist spy”, tj. „Wałęsa wytknięty jako szpieg komunistów”, ze strony A20 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z czwartku (Thursday), June 26, 2008.) Czyżby więc owa oryginalna Solidarność szybko została utopiona w zdradzie i politycznych intrygach? Kiedy zaś Solidarność utonęła, ja utonąłem wraz z nią. „Polowanie na czarownice” zostało rozpoczęte w Polsce. Jak to stało się z każdym byłym działaczem Solidarności, moje życie znalazło się wówczas w niebezpieczeństwie.

Tymczasem w Nowej Zelandii czekała na mnie praca - tj. owo po-doktorskie stypendium naukowe które właśnie mi przyznano. Nie mogłem jednak tam polecieć, ponieważ po ogłoszeniu stanu wojennego ważność mojego paszportu została skasowana. O swoich kłopotach opowiedziałem więc mojej ówczesnej znajomej, Pani **Kai Szymańskiej**, o której wtedy szeptano we Wrocławiu, że uprawia ona „czary”. Ona mi wyjaśniła, że użyje swoich „wpływów” abym jednak mógł wyjechać. Nie wiem jakie „czary” w tym celu zrealizowała. Faktem jednak było, że kiedy zupełnie już straciłem nadzieję iż uda mi się wyjechać, nagle sytuacja zaczęła się zmieniać w jakiś tajemniczy sposób. Przykładowo, uczelnia mi zaproponowała że zamiast unieważnionego przez władze paszportu prywatnego, dadzą mi ważny na owe czasy ich paszport służbowy. Mój znajomy skontaktował mnie ze sklepem w

H-11

którym mogłem kupić sobie doskonały aparat fotograficzny **"Practica" Electric z doskonałym obiektywem "Zeissa"** wyprodukowany przez wschodnio-niemiecką fabrykę "Pentacon" z Drezna. Aparat ten umożliwił mi przez następnych 10 lat wykonywanie relatywnie dobrych fotografii podczas swego pobytu w Nowej Zelandii. W ten sposób, mimo stanu wojennego i pozamykanych granic, w kwietniu 1982 roku (czyli z 2-miesięcznym opóźnieniem) zdołałem jednak jakoś opuścić Polskę i odlecieć do Nowej Zelandii na owo jednoroczne stypendium po-doktorskie w Nowej Zelandii.

Lot do Nowej Zelandii odbywał się w prawie pustym samolocie. Miałem przesiadkę w Amsterdamie, Holandia, z aż dwudniowym oczekiwaniem na następny samolot. Jednak tamtejsze władze nie chciały mnie wypuścić na miasto. Wszakże przyleciałem zza **"żelaznej kurtyny"** i to w czasach kiedy stamtąd nie wypuszczano niemal nikogo. Kiedy jednak się okazało, że NIE ma samolotu jaki by mnie zabrał z powrotem do Polski, pozwolono mi czekać na mój samolot. Po wyjściu z lotniska miałem dziwne uczucie patrząc na zapalone neony i śmiejących się, sytych ludzi - po tym jak w Polsce doświadczyłem ciemności, chłodu i głodu "stanu wojennego". Miałem jedynie 100 dolarów na całą podróż, z tego musiałem zapłacić \$50 za jedną noc w hotelu w Amsterdamie (jedna/pierwsza noc była na koszt linii lotniczych). Podczas dalszego lotu tajemniczo zaginął mi bagaż - prawdopodobnie czyjś wywiad go przechwycił aby sprawdzić co wiozę. Odnalazł się bowiem po kilku tygodniach, chociaż wszystko w nim było rozpatroszone, nawet drewniane pamiątki i zabawki. W Nowej Zelandii wylądowałem w dniu 9 kwietnia 1982 roku - czyli w około dwa miesiące po tym jak moje stypendium faktycznie miało się rozpocząć. Niemniej ciągle pozwolono mi je podjąć i rozpocząć. W rok później byłem już tam tzw. "permanent resident", czyli osoba uprawniona tam do pracy zarobkowej. W 1985 roku zostałem obywatelem Nowej Zelandii.

Rozdział I:**Cześć 2: ŻYCIE NA EMIGRACJI (tj. lata 1982 do dziś)****Miasto CHRISTCHURCH, NOWA ZELANDIA (1982-1983)
(POST-DOCTORAL FELLOWSHIP na UNIVERSITY OF CANTERBURY)**

W czasie mojego tam przybycia, Nowa Zelandia cieszyła się trwającym od dawna okresem dobrobytu. **Życie zaś na emigracji w epoce dobrobytu** oczywiście było nieporównanie łatwiejsze i przyjemniejsze niż życie w komunistycznej Polsce. W czasach mojego wyemigrowania z Polski, Nowa Zelandia była rządzona przez doskonałego przywódcę. Nazywał się on Sir Robert Muldoon (1921-1992) i był on Prime-Ministrem Nowej Zelandii od 1975 do 1984 roku. Nowa Zelandia przechodziła wówczas przez okres jednej z najlepszych sytuacji ekonomicznych i socjalnych w całej swojej historii. Początkowo więc bez trudu znajdowałem tam pracę. Przez pierwszy rok (tj. 1982) pobytu na emigracji zatrudniony byłem na **Canterbury University** ze słonecznego i pięknego miasta Christchurch. W marcu 2019 roku uczelnia ta miała stronę internetową pod adresem: <https://www.canterbury.ac.nz/>. Miałem spore szczęście aby tam pracować, bowiem Christchurch moim zdaniem jest najpiękniejszym, klimatycznie najprzyjemniejszym, oraz najlepiej zlokalizowanym miastem w całej Nowej Zelandii. (Niestety, tamten Christchurch, który ja pamiętam, został dokumentnie zniszczony podczas silnego trzęsienia ziemi jakie nastąpiło we wtorek, **dnia 22 lutego 2011 roku**, a jakie opisałem dokładniej w punkcie #P6 z poświęconej mu strony internetowej o nazwie "[quake.pl.htm](#)", oraz w punkcie #G2 z innej mojej strony internetowej o nazwie "[przepowiednie.htm](#)".)

Z kolei przez następne cztery lata (tj. 1983 do 1987) pracowałem na **Southland Community College** w Invercargill (później przemianowanym na "Southland Polytechnic", zaś obecnie nazywanym się "Southland Institute of Technology") - tj. w najbardziej na południe wysuniętym dużym mieście świata. W owym czasie Nowa Zelandia była niemal rajem na Ziemi. Doskonale rządy jej wyjątkowo moralnie rządzącego przywódcy Sir Robert'a Muldoon powodowały, że praca była praktycznie dla każdego, w kraju rozwijał się przemysł, oraz istniało tam duże zapotrzebowanie na wysokich specjalistów z moim poziomem ekspertyzy. Rząd Muldoon'a budował tak dużo nowych fabryk, elektrowni, dróg, budynków publicznych, itp. - że później nawet po ponad ćwierć wieku rozsprzedawania, zamykania, zaniechania, biurokratyzowania, oraz zaduszania przez następne rządy, ciągle nie wszystkie z nich dały się zniszczyć, zbankrutować, lub wygonić z kraju. Ulice pełne były tam roześmianych, zadowolonych z życia, oraz szczęśliwych ludzi. Do Nowej Zelandii emigrowali ludzie z Europy, USA, Australii i z innych bogatych krajów świata, zaś emigracja odpływowa niemal tam nie istniała (przykładowo, Sir Robert Muldoon cytowany był w wielu publikacjach za swoje słynne wówczas powiedzenie, że „**Nowozelandczycy którzy emigrują do Australii podnoszą poziom IQ w obu tych krajach**”). Nowozelandzki dolar był wtedy równy dolarowi USA. Sklepy były pełne wszelkich nowoczesnych dóbr, większość których była wytwarzana na miejscu, zaś ludzie mieli pieniądze aby je kupować. Przystępność niemal tam nie istniała - np. większość Nowozelandczyków wyjeżdżających na miasto zostawiała drzwi niemal wszystkich domów zapraszająco otwarte. Edukacja i opieka zdrowotna była za darmo dla każdego. Praktykowana też tam była prawdziwa wolność prasy oraz szczerą, rzeczową, bezbłędna i pozbawiona propagandy informacja rządowa.

W czasach kiedy jako uczestnik Solidarności narażałem swoje życie dla urzeczywistnienia systemu społecznego który byłby „lepszy” od socjalizmu, miałem dosyć klarowne wyobrażenie jak taki lepszy system powinien wyglądać. Po przybyciu do Nowej

I-2

Zelandii z miłym dla siebie zaskoczeniem odkryłem, że rządy **Sir Robert'a Muldoon** faktycznie urzeczywistniały taki „idealny” moim własnym zdaniem system. Dlatego ja osobiście należę do niewielkiej liczebnie grupy tych co admirują wielkość i genialność owego wspaniałego męża stanu. Moim zdaniem, gdyby zamiast niewielką Nową Zelandią ten ogromnie zdolny przywódca rządził np. Stanami Zjednoczonymi lub Rosją, swoimi osiągnięciami przyćmiłby tam wszystkich największych przywódców świata, włączając w to Kennedy'ego i Piotra Wielkiego. Kiedyś zupełnie też nie mogło mi pomieścić się w głowie „dlaczego?” przywódca za którego rządów Nowa Zelandia była szczytem dobrobytu i rajem na Ziemi, w czasach swych rządów miał aż tak silną opozycję, zaś do dzisiaj ma aż tak niską opinię w oczach swoich własnych ziomków. W 2009 roku wypracowałem jednak odpowiedź na owo pytanie „dlaczego?”, oraz wyjaśniłem tą odpowiedź w „części #G” strony internetowej "eco_cars_pl.htm" - o wynalazkach bezzanieczyszczeniowych samochodów. (Mianowicie, przeszkody i prześladowania dotyczące każdą twórczą osobę wprowadzającą postęp na Ziemi, wynikają z „prawa moralnego” które stwierdza że **„każde moralne działanie ludzkie musi przełamywać się wzdłuż tzw. 'linii największego oporu', tj. oporu który jest najsilniejszy ze wszystkich możliwych rodzajów oporu jakie oponenci owej formy postępu są w stanie przeciwstawić danemu twórcy postępu”**.) Cokolwiek jednak sami urodzeniu na miejscu Nowozelandczycy by nie twierdzili o moim zdaniem najlepszym przywódcy jakiego kiedykolwiek mieli, ja osobiście dziękuje Bogu, że chociaż tylko przez okres 2 lat, ciągle dana mi jednak była szansa aby doświadczyć życia w kraju pod jego rządami.

I1. Fellowship na Uniwersytecie Kanterbury

Zaraz po przylocie, przez około tydzień zatrzymałem się w domu Golendy Keenan - na której osobiste wstawiennictwo uzyskałem ten post-doctoral fellowship. Potem Uniwersytet Canterbury przydzielił mi jedno-osobowy pokój w ichnim domu studenckim. Ciągłe pamiętam moje pierwsze w Nowej Zelandii gotowanie w owym domu studenckim swej „**narodowej potrawy**”. Byłem wówczas głodny, miałem jednak tylko jeden garnek pożyczony od Glendy. Postanowiłem więc ugotować rosółu i zjeść go z ziemniakami. Kupiłem kości wołowe i ziemniaki. Po wstępnym podgotowaniu kości, wrzuciłem ziemniaki do rosółu, ponieważ miałem tylko jeden garnek. Jednak owe ziemniaki szybko wytworzyły w garnku jakąś gęstą pianę, która zaczęła buchać z garnka na podłogę. Otoczyła mnie grupka studentów z zainteresowaniem przyglądająca się jakich to czarów ja dokonuję w studenckiej kuchni. Jeden z nich zapytał grzecznie - **czy jest to polska "narodowa potrawa"?** Aby więc zakończyć sensację jaką moje gotowanie wywoływało, zdjąłem garnek z kuchenki udając, że potrawa jest gotowa i zabrałem go do swego pokoju aby tam bez świadków móc zjeść. Jak się okazało, wszystko nie tylko było w połowie surowe, ale także niedosolone – w atmosferze sensacji jaka otoczyła moje gotowanie zupełnie zapomniałem bowiem o soli.

Odlatując z Polski sądziłem, że znam język angielski. Potem jednak się okazało, że kompletnie nie potrafię się porozumiewać. Musiałem uczyć się nowego języka jakby zupełnie od nowa. W owym też „czasie przejściowym” uświadomiłem sobie że mam w głowie jeszcze jakiś inny język, który nie jest ani językiem polskim, ani też językiem angielskim. W ten sposób poznałem istnienie "Ulot" albo "ULT" - tj. "**Universal Language of Thoughts**" (czyli "uniwersalnego języka myśli"). Język ten opisany jest szerzej, między innymi, w punkcie #E4 swej strony internetowej o nazwie "[przepowiednie.htm](#)".

Tuż przed opuszczeniem Polski prowadziłem szeroką dyskusję na temat swojego [magnokraftu](#) oraz na temat jego podobieństwa do [UFO](#). Po przylocie do Nowej Zelandii zacząłem więc kontynuować swoje wykłady o magnokrafcie i UFO. W organizacji tych wykładów pomagał mi nowozelandzki badacz UFO. Bardzo też mi one pomagały w szybkim uczeniu się języka angielskiego.

Mniej więcej w środku swego po-doktorskiego stypendium w Nowej Zelandii przyszło do mnie pismo z oficjalnym nakazem władz ówczesnej Politechniki Wrocławskiej, który to nakaz **odwoływał mnie ze stypendium i wzywał mnie do natychmiastowego powrotu do Polski**. Ów nakaz przerwania stypendium w połowie i powrotu do kraju był ogromnie niemoralny i całkowicie pozbawiony sensu. Wszakże moi nowozelandzcy gospodarze zainwestowali w to stypendium i spodziewali się, że zrealizuję dla nich określony program badań. Moje przerwanie tych badań i pozostawienie ich "na lodzie" byłoby bardzo "nie fair". Mój odlot do Polski przed zakończeniem stypendium i zrealizowaniem badań narażałby ich bowiem na wydatki bez dostarczenia im wyników jakie chcieli tym stypendium osiągnąć. Zdecydowałem więc się aby listownie wyjaśnić to wszystko moim przełożonym z Politechniki Wrocławskiej i prosić aby pozwolili mi dokończyć to stypendium. W odpowiedzi dostałem oficjalny list z Politechniki Wrocławskiej podpisany przez ówczesnego Rektora Profesora Hajmana, **informujący mnie iż zostałem dyscyplinarnie zwolniony z pracy za zignorowanie odwołania ze stypendium**. W ten sposób przestało już być po co wracać do Polski. Wszakże byłem tam niechciany i praktycznie zostałem z Polski wyrzucony. Złożyłem więc podanie do władz Nowej Zelandii o tzw. "permanent residency" i ta została mi przyznana. Znalazłem też dla siebie następną pracę, którą była Southland Community College w mieście Invercargill.

Niestety, kiedy ówczesne władze Politechniki Wrocławskiej dyscyplinarnie usunęły mnie z pracy (zaocznie), nie istniały żadne możliwości odwoływania się, czy szukania sprawiedliwości – w owych czasach decyzje uczelni były ostateczne i niepodważalne (bez

I-4

względu na to jak były krzywdzące i jednostronne). Tak więc jakoś się stało, że wszystko wówczas starało się mi wyperswadować abym nie ważył się wracać do własnego kraju. Ironią losu też było, że w czasach kiedy innych siłą zatrzymywano w Polsce, mnie z Polski „wykopano” na przekór iż jedyne co wtedy chciałem, to **zarobić trochę dewiz, zapakować je w onuce, przywieść do kraju, oraz pozamieniać na dobra konsumpcyjne jakich wówczas w Polsce nam brakowało**. Tak więc zostałem emigrantem.

W noc tuż przed zakończeniem swego stypendium po-doktorskiego i oficjalnym przekazaniem do użytku programu komputerowego (który obliczał parametry zasilania w olej dynamicznych łożysk ślizgowych), jaki im przygotowałem w ramach swego stypendium, chciałem nanieść ostateczną poprawkę i udoskonalenia do tego programu. Było już późno, niepotrzebnie się spieszyłem oraz byłem już zmęczony. Ze zmęczenia przypadkowo więc wydeletowałem ów program. A komputer jaki wówczas tamta uczelnia używała, był przestarzały i jeszcze NIE posiadał oprogramowania automatycznie wykonującego "back-up'y" (tj. zapasowe kopie). Następnego dnia rano niemal nic NIE miałem im więc do przekazania. W kilka następnych godzin naprędce odtworzyłem najważniejsze fragmenty tego programu. Jednak były one dalekie od doskonałości oryginalnego programu jaki przypadkowo wydeletowałem poprzedniej nocy. Na przekór więc że w ramach owego stypendium po-doktorskiego opracowałem doskonały system obliczeniowy, który mógł być moją dumą i perłą wielu jego przyszłych użytkowników, do użytku przekazałem swoim mocodawcom bardzo mierny program, z jakości którego dzisiaj wcale nie jestem dumny. Jediną nauką którą wyniosłem z tamtego przykrego doświadczenia, było że kiedy się wykonuje coś cennego na komputerze, zawsze trzeba sobie przygotować z tego zapasową kopię.

W ostatni dzień mojego jednorocznego stypendium odbyło się zebranie wszystkich moich kolegów z Uniwersytetu Kanterbury w Christchurch. Głos mi się załamywał kiedy wygłosiłem pożegnalne przemówienie i podziękowałem im za gościnę. Wieczorem tego samego dnia byłem już w autobusie w swej drodze do Invercargill.

Rozdział J:

Miasto INVERCARGILL, NOWA ZELANDIA (1983-1987) **(TUTOROWANIE (Tutor level T3) w SOUTHLAND COMMUNITY COLLEGE)**

Miejscem mojej drugiej pracy w Nowej Zelandii była mała uczelnia zwana "**Southland Community College**" - położona w najbardziej na południe wysuniętym mieście świata zwanym "**Invercargill**". Później, już po moim odejściu z niej, zmieniła ona nazwę na "**Southland Polytechnic**", zaś w kilka lat jeszcze później na "**Southern Institute of Technology**" (**SIT**) – patrz strona internetowa owej uczelni w marcu 2019 roku dostępna pod adresem <http://www.sit.ac.nz>. W mojej prywatnej opinii, SIT jest najbardziej postępową uczelnią w całej Nowej Zelandii. Przykładowo, prawdziwą plagą praktycznie wszystkich nowozelandzkich uczelni jest adoptowanie systemu finansowania zwanego "**user paid**" (tj. "finansowanie przez użytkownika" - czyli w przypadku uczelni, finansowania przez jej studentów) – jaki to niewypowiedzianie niszczycielski dla poziomu nauczania system opisałem szerzej w punkcie #E1 swej strony internetowej o nazwie "[rok.htm](#)". System ten wprowadził nowozelandzkie uczelnie i całą jej wyższą edukację w sytuację, jaką chińskie powiedzenie nazywa "**ujeżdżaniem tygrysa**". Nazwa ta wywodzi się z faktu, że **na dzikim tygrysie ani NIE daje się ani ujechać, ani też NIE daje się z niego zsiąść - wszakże po zsiądnięciu tygrys pożarłby swego jeźdźca** (ja w dniu 2017/9/9 wykonałem sobie zdjęcie ilustrujące tą właśnie symbolicznie wymowną sytuację - zdjęcie to czytelnik może oglądnąć na "**Fot. #A1**" z mojej strony o nazwie "[woda.htm](#)"). W rezultacie wprowadzenia tego systemu "user paid", obecnie edukacja NZ nie może z niego już wyjść, bowiem rząd musiałby pozwracać koszty wykształcenia całym generacjom studentów. NIE może też go dalej kontynuować, bowiem aż tak znacząco obniżył on poziom edukacji oraz trudności utrzymania dyscypliny, że kiedyś słyszałem iż Chiny zalecały aby z jego powodu NIE studiować w NZ. Przykładowo, wykładając na uczelniach NZ często spotykałem studentów, którzy NIE nabyli nawet wiedzy jaką w Polsce nabywalіśmy już w podstawowej szkole – stąd NIE byli w stanie poprawnie rozwiązać nawet bardzo podstawowych problemów. Wyjątkiem zaś uczelni, która jako jedyna w całej Nowej Zelandii NIE zaadoptowała u siebie stosowania owego wysoce niszczycielskiego systemu "user paid", jest właśnie obecny "**SIT**" z Invercargill. To między innymi właśnie dlatego poziom nauczania jest tam obecnie jednym z najwyższych w całym kraju, a ponadto kształci ona najzdolniejszych (zamiast najbogatszych) młodych ludzi Nowej Zelandii – którzy po studiach pozostają już w mieście Invercargill, swą wiedzą i zdolnościami budując zasobność i lepszą przyszłość owego wyjątkowego miasta.

Jak przed podjęciem każdej nowej pracy, także po złożeniu mojego podania o zatrudnienie w Southland Polytechnic przeszedłem przed-zatrudnieniowe wywiady-rozmowy z moimi pracodawcami. Najpierw odbyłem rozmowę z Mr Ives, tj. odpowiednikiem rektora dla tej uczelni, który przybył do Christchurch w jakiejś oficjalnej sprawie, skorzystał więc z tej sposobności aby lepiej przyglądnąć się temu przybyszowi z Bloku Wschodniego, który właśnie złożył podanie o zatrudnienie na jego uczelni. W rozmowie Mr Ives okazał się bardzo miły i sądzę że ja na nim też wywarłem pozytywne wrażenie. W rezultacie zaproszony zostałem do Invercargill na formalny wywiad przed-zatrudnieniowy, w jakim sprawdzali moją przydatność do wykonywania zawodu moi przyszli tamtejsi przełożeni – w tym David Willims, mój późniejszy komputerowy przełożony (tj. kierownik tamtejszego centrum komputerowego). Ten formalny wywiad też dał pozytywne wyniki – w rezultacie otrzymałem ofertę zatrudnienia na owej uczelni. Potem się okazało, że dzięki mojemu przykładowi, kierownictwo tamtej uczelni nabrało takiego smaku na zatrudnianie zagranicznych naukowców z doktoratami, że

J-2

niezależnie odemnie zatrudnili też innego doktora z tropikalnej wyspy-kraju Sri Lanka – to z nim początkowo dzieliłem nawet swe biuro. Ten jednak NIE wytrwał tam długo i powrócił do Sri Lanka już po niecałym roku pracy. Po podjęciu tam pracy okazało się, że byliśmy jedynymi dwoma pracownikami z obronionymi doktoratami na całej owej uczelni. Wprawdzie pracował tam także jeszcze ktoś nazywany „doktor” - tyle, że tylko tak go tradycyjnie nazywano, ponieważ był „lekarzem”, a w NZ lekarzy typowo nazywa się „doktorzy”. Jednak NIE miał on doktoratu a jedynie ukończone studia lekarskie. Potem odkryłem, że w NZ istnieje wiele uczelni, w których wogóle NIE ma pracowników z obronionym doktoratem, a są jedynie po studiach. Mój przełożony na Otago University był jednym z nich - pomimo tego zatrudniono go tam na pozycji profesora.

Początkowo życie w mieście Invercargill było bardzo przyjemne. Wszakże Nową Zelandią ciągle wówczas rządził Sir Robert Muldoon - tj. według mojego rozeznania i oceny najlepszy i najmoralniejszy przywódca jakiego owo państwo kiedykolwiek miało, a także jeden z dwóch najzdolniejszych i najmądrzejszych przywódców pod rządami jakich miałem honor żyć. Pod jego rządami ludzie byli szczęśliwi i zadowoleni z pracy oraz życia. Sklepy były pełne NIE tylko towarów wytwarzanych w Nowej Zelandii, ale także i ludzi kupujących te towary. Na chodnikach przy kawiarniach stały stoliki przy których wieczorami siedziało mnóstwo klientów. Ludzie dużo podróżowali, ponieważ najróżniejsze miejscowości organizowały wiele atrakcji dla gości wizytujących je z innych miejscowości. Ja w owym czasie też wiele podróżowałem z koleżanką wykładowczynią z naszej uczelni, Anne Christie – patrz "Fot. J". Miała ona fajny samochód i lubiła nim podróżować po kraju, zaś jak każdy wie podróżowanie jest znacznie przyjemniejsze jeśli ktoś dotrzymuje w nim towarzystwa. W weekendy odwiedzaliśmy razem pobliskie turystyczne atrakcyjne miejscowości o nazwach Queenstown, Arrowtown, Te Anu i kilka jeszcze innych.

Niestety, w 1984 roku partia Sir Robert'a Muldoon (tj. owego doskonałego przewodcy Nowej Zelandii) została pokonana w wyborach. Jego wygłodzona opozycja dorwała się do władzy. Na kraj ten nadeszła więc era upadku ekonomicznego i bezrobocia. Z kolei **życie w kraju który właśnie upada ekonomicznie** przestaje być uciechą. W grudniu 1987 roku, czyli w ostatnim dniu przed zamknięciem uczelni i rozejściem się wykładowców na letnie wakacje, zaś nadal w początkowym okresie władzy nowych rządzących NZ, kiedy ekonomiczna sytuacja w kraju nie stała się jeszcze krytyczna, zrezygnowałem z dalszej pracy w Southland Community College. Był to jedyny przypadek w całym moim życiu, kiedy zwolniłem się z pracy ochotniczo i na własne życzenie, wierząc iż czynię to dla awansu i dla własnej „lepszego przyszłości”. Ponownie głoś mi się załamał, kiedy na zebraniu wszystkich wykładowców owej uczelni wygłaszałem swe pożegnalne przemówienie i podziękowanie za cztery lata współpracy i zawodowego koleżeństwa.

Rok wcześniej przed swoim odejściem z owej uczelni, tj. w dniu 1986/12/3, wykonaliśmy sobie grupowe zdjęcie, na którym utrwaleni zostali wszyscy pracownicy tej uczelni - czyli także wszyscy moi ówcześni koledzy zawodowi z Southland Community College. Zdjęcie to pokazuję poniżej na "**Fot. J**". Ponieważ jego zapotrzebowanie na pamięć jest relatywnie duże, zaś ja NIE chcę znaczną objętością owych zdjęć poszerzać i tak już dużej objętości niniejszej autobiografii, aby je oglądać trzeba kliknąć na wywołujący jego pokazanie poniższy link, oryginalnie w zielonym kolorze.

Z tamtej uczelni w Invercargill, w lutym 1988 roku przenieśliśmy się do pobliskiego miasta Dunedin, na znajdujące się tam **Otago University**, gdzie zostałem zatrudniony jako Senior Lecturer na Wydziale Ilościowych i Komputerowych Studiów (tj. „Quantitative and Computer Studies”) specjalizujący się w Inżynierii Softwarowej (tj. w „Software Engineering”).

J-3

Fot. J: (kliknij na niniejszy zielony link aby sobie je oglądać). Pokazuje ono wszystkich pracowników (a moich kolegów zawodowych) z Southland Community College. Kopia tego zdjęcia ma adres: [17_ilustracje/1986_12_03_staff_kto_jest_kto_150dpi.jpg](#) . Aby móc mnie odszukać na tym zdjęciu (jestem widoczny w 6-tym rzędzie, mniej więcej w środku tego zdjęcia), trzeba wiedzieć jak na nim wyglądałem – wygląd ten ujawni fragment powyższego zdjęcia jaki się ukáže po kliknięciu na niniejszy [link z podobizną dra inż. Jana Pajak](#) . (Link ten ma adres: [17_ilustracje/1986_12_03_Dr_Jan_Pajak_Southland_Community_College.jpg](#)) Z kolei wyglądy moich najserdeczniejszych przyjaciół z tamtej uczelni ujawnią: [link do podobizny David'a Williams](#) (o adresie: [17_ilustracje/1986_12_03_Mr_David_Williams_Southland_Polytechnic.jpg](#)) oraz link [do podobizny Anny Christie](#) (o adresie: [17_ilustracje/1986_12_03_Ms_Anne_Christie_Southland_Polytechnic.jpg](#)). Odnotuj, że podane powyżej linki posiadają tzw. "względne" adresy, tj. adresy zaczynające się od adresu na jaki załadowana jest kopia niniejszej autobiografii. Aby adresy te działały po uruchomieniu z czyjegoś komputera, trzeba je zamienić na adresy "absolutne", tj. na ich początku trzeba dodać adres miejsca załadowania tej autobiografii - przykładowo w dniu 2019/3/7 jeden z "absolutnych" adresów takiego miejsca załadowania niniejszej autobiografii [17] brzmiał: <http://pajak.org.nz/> (to dlatego, gdyby ktoś zechciał z tego właśnie adresu załadować do własnego komputera np. zdjęcie o "względnym" adresie [17_ilustracje/1986_12_3_staff_scc.jpg](#), wówczas musiałby użyć pisanego w jednej linii i bez użycia spacji adresu: http://pajak.org.nz/17_ilustracje/1986_12_3_staff_scc.jpg).

J1. Moja praca na Southland Community College w Invercargill

Community College (później Politechnika) w Invercargill **miała najprzyjemniejszą atmosferę**, bo niemal rodzinną, ze wszystkich miejsc w których kiedykolwiek pracowałem. Jej ówczesnym "Principal" (tj. NZ odpowiednikiem jakby "rektora" z polskich uczelni) był niejaki **Mr Ives** - czyli mężczyzna o doskonałej moralności i wspaniałych zdolnościach przywódczych. Moi koledzy – niemal wszyscy inni wykładowcy, też okazali się ogromnie mili. Wszystko to na przekór iż w samej Nowej Zelandii panuje opinia iż jakoby **"im bardziej na południe kraju, tym bardziej konserwatywni są miejscowi mieszkańcy"**. Moje natomiast doświadczenie empiryczne ujawniło, że w praktyce jest zupełnie odwrotnie - mianowicie im bardziej na południe, tym większa proporcja ludzi jest miłsza i bardziej wobec wszystkich przyjacielscy, bowiem tym więcej tradycyjnych wartości ludzie tam wyznają i tym silniejsza jest tam ludzka moralność. Natomiast to właśnie Nowozelandczycy z północnej części kraju są tymi, którzy zaprzędali swoje dusze dla pieniądza i dla seksu.

Oczywiście, w każdej większej grupie ludzi zawsze znajdzie się ktoś, lub nawet kilku, którzy z jakichś tam osobistych powodów NIE będą nas lubili. Jeśli zaś należą oni też do kategorii nieprzyjemnych w obcowaniu, wówczas mniej lub bardziej otwarcie będą przysłowiowo „podkładali nam świnię”. Jak w każdym miejscu pracy, na uczelni w Invercargill też było kilku takich, dwaj z których znacząco uprzykszali mi życie – chociaż NIE aż tak mocno, aby zmienić moje osobiste odczucie, iż owa uczelnia miała najprzyjemniejszą atmosferę pracy ze wszystkich NZ uczelni w jakich kiedykolwiek byłem zatrudniony. Jeden z nich wyraźnie NIE lubił Bloku Wschodniego, oraz ludzi którzy z bloku tego się wywodzili - w tym mnie. Przy każdej więc sposobności dawał mi odczuć moją podrzędność, zaś jeśli miał okazję nigdy jej NIE przepuścił aby jakoś mi dokuczyć lub mnie pomniejszyć w oczach innych – chociaż czynił to dużo grzeczniej niż Bolek opisany w podrozdziale F1. Drugim był mój bezpośredni tam przełożony – którego dyskretne „podkładanie mi świni” usprawiedliwiałem sam sobie wytłumaczeniem, że samemu NIE mając wykształcenia wyższego, zaś mając u siebie podwładnego z doktoratem, nieco zapewne obawiał się o swoją pozycję.

Zaraz po przybyciu do Invercargill zostałem przydzielony do Wydziału Studiów Businessu (tj. do **"Business Studies Department"**). Moim początkowym bossem stał się wówczas HOD (tj. "Head of Department") owego wydziału. Jego zasadą życiową było **"nie wysyłaj się dla kogokolwiek innego"**. W rezultacie, kiedykolwiek wyniknął jakkolwiek problem, on zamiast bronić i pomagać swemu podwładnemu – tak jak przystało na przełożonego, zawsze przyłączał się do owej przeciwstawnej strony i problem ten jedynie powiększał oraz rozdmuchiwał go do coraz większych rozmiarów.

Na pierwsze problemy nie musiałem też długo czekać. Kiedy przybyłem do owej Politechniki, mój poprzednik - tj. wykładowca komputeryzacji, którego pozycję ja przejąłem, ostrzegał mnie że w ówczesnej Nowej Zelandii wykładowca może utracić pracę jedynie za dwie rzeczy, mianowicie za (1) przespanie się z własną studentką, oraz za (2) sfałszowanie jakichś oficjalnych dokumentów, np. wyników egzaminów. Dlatego ja zacząłem zwracać szczególną uwagę aby w tych dwóch sprawach mieć nienagannie czystą opinię. Jednak pechowo dla mnie, moją studentką stała się jakaś samotna właścicielka farmy spod Invercargill. Ubzduriała ona też sobie, że skoro ja pochodzę ze Wschodniej Europy, wówczas **muszę być rodzajem "Razputina"** i mieć chętkę na romans właśnie z nią. A była brzydka jak noc, miała męską figurę i na dodatek jej twarz była wierną kopią twarzy owego **Bolka** z rodzinnego Stwoczyka - który to Bolek kiedyś sprawiał mi regularne lanie za każdym razem kiedy tylko mógł mnie dopaść. Aby więc jakoś opędzać się przed ową rozochoczoną studentką, która zachowywała się jak nachalna "australijska mucha", musiałem użyć całej swojej inteligencji. Znaczący musiałem wynajdować najróżniejsze sposoby aby przypadkiem NIE znaleźć się samemu z nią w zamkniętym pomieszczeniu, musiałem dziesiątki razy wynajdować

J-5

ogromnie istotne powody aby grzecznie móc NIE zgadzać się na odwiedzenie jej farmy - do którego to odwiedzenia nieustająco mnie zapraszała, musiałem wszystko czynić doskonale przejrzyście aby unikać jej prób zaszantażowania, itd., itp. W końcu jakoś dotarło do jej ograniczonej głowy, że nie ma co liczyć na romans ze mną. Jednak o nowozelandzkich kobietach krąży powiedzenie, że "hell does not know greater fury than the woman scorn" (tj. **"piekło nie zna większej zawziętości niż odrzucona kobieta"**). Po zrozumieniu więc, że nie ma co liczyć na romans ze mną, owa studentka zaczęła chodzić na skargę do wszystkich moich przełożonych. Oskarżała mnie o wszelkie możliwe przestępstwa, począwszy od nieznamośności angielskiego oraz zasad wykładania, poprzez zadawanie zbyt trudnych egzaminów, a skończywszy na rasiźmie (choć ona sama też była Europejką – tak jak ja) i seksizmie. Tymczasem mój pierwszy przełożony zamiast mnie bronić, natychmiast przyłączył się do oskarżeń owej studentki i jedynie eskalował problem. Wówczas do działania wkroczył moralnie poprawny Mr Ives (tj. ówczesny "Principal" tej uczelni). Ponieważ oskarżenia twierdziły, iż jakoby mam braki w umiejętnościach wykładowcy, on wysłał mnie na specjalny kurs dydaktyczny dla wykładowców Politechnik odbywający się w SITTC (tj. w **"South Island Tutors Training Centre"**) zlokalizowanym na Politechnice w Christchurch. Na kursie owym odkryli, że wiem na temat metod wykładania znacznie więcej niż inni wykładowcy jakich tam szkolili, zraportowali więc do Mr Ives, że owe oskarżenia muszą być wysane z palca. Jednocześnie owa studentka właśnie ukończyła swoją naukę, **problem z nią więc jakby "sam się rozwiązał"**. Lekcję moralną jaką wyciągnąłem z tamtych kłopotów, to że **"na pochyłe drzewo każda koza skacze"**. Ponieważ w Nowej Zelandii byłem jedynie ubogim emigrantem przybyłym z Polski (czyli wówczas nadal z kraju Wschodniego Bloku), każdy kto czuł, że powinien na kimś się wyżyć, tam wyżywał się właśnie na mojej osobie.

Po powrocie z kursu Mr Ives doszedł do wniosku iż mój przełożony HOD wcale nie jest najwłaściwszą osobą aby być moim przełożonym. Podczas pierwszych moich wakacji na owej Politechnice zreorganizował więc wydziały przydzielając nauki komputerowe, które ja wykładałem, do odmiennego wydziału "Studiów Generalnych" (tj. do "General Studies Department"). HOD (tj. jakby "dziekanem") owego nowego wydziału był niejaki **Mr Gary Drayton**. O nim mam przyjemność powtórzyć to co powszechnie tam twierdzono, mianowicie że był on **"prawdziwym Gentelman"** - znaczy był on jednym z dwóch najlepszych bossów jakich kiedykolwiek miałem w całym swoim życiu. Praca pod jego kierownictwem była przyjemnością. Był on bardzo obiektywny i dbał o swoich pracowników. Stąd w jego czasach sytuacja w rodzaju uprzedniej z "romantyczną" studentką o figurze maltretującego mnie Bolka ze Stawczyka nie miała prawa się zdarzyć.

Oczywiście, **"ciemne moce"** wcale tak szybko NIE rezygnują z wywoływania kłopotów. Aby więc jakoś pownownie napytać mi biedy spowodowały, że w środku nocy ktoś na owej Politechnice zadzwonił z windy do Polski i poprowadził kilkugodzinną rozmowę. Koszt tej rozmowy wynosił aż kilka tysięcy dolarów. Ja oczywiście wówczas NIE miałem nawet pojęcia, że każda winda w Nowej Zelandii posiada w sobie telefon, jaki NIE był widoczny bowiem zawsze znajdował się w specjalnym schowku windy. Na dodatek, o tym jak daje się zadzwonić z Nowej Zelandii do Polski, nauczyłem się dopiero w kilka lat później. Niemniej sam fakt, że ów ktoś rozmawiał z Polską, zaś na całej tamtej Community College ja byłem jedyną osobą która pochodziła z Polski, spowodował wówczas zdrowe popsucie atmosfery mojej pracy i nerwów.

Na owej Politechnice dosyć mocno zaprzyjaźniłem się z moim komputerowym przełożonym, kierownikiem tamtejszego centrum komputerowego, starszym wykładowcą o nazwisku **Dawid Williams** - powiększenie jego zdjęcia pokazałem powyżej na **"Fot. J"**. David był bardzo religijnym człowiekiem, Prezbiterianinem, o wysokiej moralności. Tak zaczęła się nasza długoletnia znajomość i przyjaźń. Kiedy później wielokrotnie szukałem pracy, David zawsze i chętnie i uczynnie był moim „referentem”.

J-6

Na uczelni w Invercargill panowała najlepsza atmosfera intelektualna ze wszystkich miejsc w których kiedykolwiek pracowałem. Gdyby nie inspirujące i otwarte rozmowy z moimi ówczesnymi kolegami-wykładowcami tamtej uczelni, wiele ustaleń i odkryć jakie wówczas dokonałem nie byłoby wogóle możliwe.

W ostatnim roku swego wykładania na Politechnice w Invercargill mój HOD zgodził się abym poprowadził wieczorowy "**Kurs UFO**" dla ciekawskich tego tematu. Kurs ten był jedynym przypadkiem w moim życiu, kiedy mogłem otwarcie i oficjalnie wyklądać tamaty które hobbystycznie badałem, tj. tematy magnokraftu, UFO, Konceptu Dipolarnej Grawitacji, działania czasu i podróży w czasie, itp.

W 1987 roku, czyli po czterech latach od podjęcia pracy w Invercargill, natknąłem się na ogłoszenie pozycji Senior Lecturer w Studiach Komputerowych na Uniwersytecie w Otago. Wówczas ja dobrze już znałem tamten uniwersytet, bowiem przy Southland Community College w Invercargill istniała jego niewielka filia, zaś ja w niej wykładałem komputerację i programowanie m.in. i jej studentom. Złożyłem więc podanie i uzyskałem tę pozycję. Tak więc w grudniu 1987 roku zakończyła się moja praca na Southland Community College w Invercargill, zaś po minięciu letnich wakacji w NZ, w lutym 1988 roku podjąłem swoją następną pracę na Otago University. Był to właściwy czas na odejście, bowiem mój wspaniący HOD, Gary Drayton, również odchodził z owej Community College w dokładnie tym samym co ja czasie, zaś Mr Ives (tj. "Principal") już rok wcześniej odszedł z niej na emeryturę. Dla owej uczelni nadchodziły więc raczej ciężkie czasy i zapewne było to z korzyścią dla mnie, że się przenieśliem gdzie indziej wynosząc z niej głównie bardzo dobre wspomnienia.

Moją obserwacją jaką wyniosłem z Southland Community College w Invercargill było, że jakość naszego życia w określonym miejscu pracy, oraz rodzaj wspomnień jakie z miejsca tego wynosimy, zależą głównie od kalibru i jakości naszego przełożonego jakiego tam mamy. Jeśli ów przełożony ma wysokie standardy moralne i jest porządnym człowiekiem, wówczas nasze wspomnienia z tego miejsca są wysoce pozytywne. Jeśli jednak przełożony jest "śliski" jak węgorz, zmienny jak wiatr, zaś jego "szkielet moralny" praktycznie nie istnieje, nasze wspomnienia z takiego miejsca należą do kategorii nieprzyjemnych.

J2. Moje życie w Invercargill

Moje prywatne życie w Invercargill było zapoczątkowane ciepłym przyjęciem ze strony niejakiej Janiny, córki polskiego emigranta - który zaraz po drugiej wojnie światowej osiedlił się w Invercargill. Kiedy owa Janina dowiedziała się, że emigrant z Polski został wykładowcą na miejscowej uczelni, przyszła do uczelni aby mnie odnaleźć, zaś po skontaktowaniu się ze mną zaczęła się mną opiekować i mi pomagać. (Była mężatką, ja w swej naiwności i nieznanomości kobiet wierzyłem więc wówczas, że pomagała mi z patriotyzmu i sentymentu do Polski, a NIE dla jakichś tam romantycznych powodów.) Doradzała mi więc co, gdzie i jak kupić, wychodziła ze mną na spacer i zakupy, zapraszała mnie do swego domu na obiady, itp. Ja byłem święcie przekonany, że czyni to wszystko z prostej sympatii do kraju pochodzenia swej rodziny i z chęci pomocy rodakowi w nowym kraju i miejscu pracy. Z rozmów z nią dowiedziałem się bowiem, że podobnie pomagała jakiemuś poprzedniemu emigrantowi z Polski, który jednak do czasu mojego przybycia do Invercargill, wyprowadził się już z tamtego miasta. Narzekała nawet na owego poprzedniego emigranta, że kiedy wyszła na lotnisko aby go przywitać, ubrana w polski strój narodowy, on wyraźnie był zaambarasowany jej powitaniem i wstydził się jej staropolskiego ludowego wyglądu. Dopiero w kilka miesięcy później okazało się jednak, że jej małżeństwo zapewne przechodziło wówczas przez kryzys, a stąd prawdopodobnie rozglądała się za następnym kandydatem na swego męża. Nagle bowiem Janina całkowicie zapomniała o naszej przyjaźni i zaczęła w podobny sposób się przyjaźnić z jakimś miejscowym, który z powodu kalectwa potrzebował kogoś do popychania jego wózka inwalidzkiego. W zaś rok później odseparowała się od własnego męża i przeprowadziła się do owego nowego przyjaciela.

Mniej więcej około czasu kiedy Janina zaprzestała swej pomocy i doradztwa, los (Bóg) przydzielił mi inną NZ doradczynię i pomocnicę - dzięki której to pomocy było mi znacznie łatwiej pokonywać swój tzw. "**szok kulturalny**" i jakoś zwolna adaptować i przyzwyczajać się do trudnego życia na emigracji. Była nią wykładowczyni języków na Southland Community College. Wykładowczyni ta nazywała się **Anna Christie**. Była Nowozelandką, która ukończyła filologię na Uniwersytecie w Auckland, zaś po studiach odbyła podyplomowe stypendium naukowe w Szwajcarii. Stąd dobrze знаła Europę i Europejczyków. Jej niezwykłością było, że była bardzo piękna (patrz jej podobizna pokazana powyżej na "**Fot. J**"), a jednocześnie ogromnie inteligentna - czyli posiadała dwie cechy, które typowo razem nie występują w tej samej kobiecie. Pechowo jednak dla niej była też ogromnie nieśmiała, oraz miała tzw. "**pamięć słonia**" - co czyniło, że nie była w stanie znaleźć sobie męskiego przyjaciela jakiego tolerowałyby przez dłuższy czas. Jej długotrwała "pamięć słonia" powodowała bowiem, że o każdym kogo znała gromadziła w swej pamięci wykaz jej zdaniem niewybaczalnych uchybień, jakie po przekroczeniu określonej długości czy liczby powodowały, iż dłużej NIE była już w stanie tolerować danej przyjaźni. Już też w pierwszym dniu kiedy przybyłem na Southland Community College los (Bóg) jakoś złączył nas razem. Mój przełożony (HOD) przedstawiał mnie wówczas wszystkim wykładowcom owej uczelni zgromadzonym w tzw. "staff room" (czyli jakby "pokoju nauczycielskim"). Jednak z jakichś powodów pominął przedstawienie mnie owej Annie. Kiedy więc zakończył przedstawianie, Anna zaczęła głośno protestować, upominając się o przedstawienie mnie również i jej. Tak więc już od samego początku zaczęła się dosyć zabawna znajomość z Anną. Wszakże owo zabawne przedstawienie się nawzajem sobie spowodowało, że po każdym wejściu do "pokoju nauczycielskiego" aby tam zjeść swoje kanapki czy napić się herbaty, zawsze miałem Annę i jej uczelniane przyjaciółki aby przy niej (lub przy nich) usiąść i prowadzić konwersacje na najróżniejsze tematy. W tamtejszym "pokoju nauczycielskim" panował bowiem zwyczaj, iż wszyscy mężczyźni siedzieli w jednym jego końcu - z reguły rozmawiając o ostatnim meczu "rugby" lub o ostatnim swym wyjściu na piwo do "pub'u" jakie to tematy zupełnie mnie NIE interesowały, zaś wszystkie kobiety

J-8

siedziały w drugim końcu rozmawiając o całej gamie tematów - wszystkie z których to tematów dla mnie były bardzo interesujące. Z czasem więc początkowa znajomość z Anną przetransformowała się w przyjaźń. Z kolei owa przyjaźń pozwalała abyśmy NIE tylko spędzali razem czas na zakupach, spacerach i wycieczkach za miasto, ale także aby ona pomagała mi w sprawach jakości mojej angielszczyzny. Pomimo jednak naszej przyjaźni, Anna potrafiła mieć zbyt doskonałą pamięć (dziwne, że aż tak doskonałą pamięć przysłowie nazywa "**pamięcią słonia**"). Jej doskonała pamięć powodowała, że kiedy z jakiegoś powodu po kobiecemu traciła humor, wówczas prosto z pamięci potrafiła powycliczać wszystkie uchybienia jakich ktoś się dopuścił od samego początku znajomości. Po kilku więc latach przyjaźni, uchybień takich potrafiła już nawycliczać całe setki. Prawdę życiową jaką nasza przyjaźń mi więc ujawniła, to że "**dla utrzymania dobrych przyjaciół potrzebna jest krótka pamięć i umiejętność szybkiego zapominania**".

Razem z Anną wiele podróżowaliśmy dotrzymując sobie wzajemnie towarzystwa. Invercargill ma zimną i deszczową pogodę. Brak też w nim niemal jakichkolwiek rozrywek. Dlatego w sporo weekendów wyjeżdżaliśmy jej wygodnym samochodem poza owo miasto. Odwiedzaliśmy wiele miejsc - w weekendy np. Queenstown, Te Anau, oraz pobliskie plaże, miejsca widokowe, obszary piknikowe, parki przyrody, itp. W wakacje zaś praktycznie całą Wyspę Południową Nowej Zelandii. Podczas jednego z takich wyjazdów jej niemal nowy samochód doznał zjawisk które typowo opisywane są w literaturze UFOlogicznej podczas bliskich spotkań z UFO - aczkolwiek widoku żadnego UFO w pobliżu NIE odnotowaliśmy. Znacząco zatrzymał się i całkowicie zgasł na bezludnym i dzikim odcinku drogi z Owaka do Balclutha. Zawiodły też wszelkie próby jego ponownego zapalenia. A w owym czasie NIE byliśmy w posiadaniu "telefonu komórkowego" jakim moglibyśmy zadzwonić po pomoc (wprawdzie telefony takie wówczas już istniały gdzieś w dalekim świecie, jednak do Invercargill wówczas one jeszcze NIE dotarły). Znaleźliśmy się więc na odludziu i w samochodzie który odmawiał zapalenia. Dopiero po zakiejs godzinie czy dwóch (zagarki też nam wówczas powariowały) samochód jakby ożył, zapalił ponownie bez problemu i kontynuował normalną jazdę. Już wtedy zaczynały się więc dziać wokół mnie niewytłumaczone zjawiska - tak jakby UFOanci znali przyszłość, wiedzieli że już wkrótce poświęcę się ich badaniom, a stąd jakbym już wówczas był uważnie obserwowany przez niewidzialne gwiazdoloty UFO.

Innym razem jadąc z Anną w jej samochodzie z Hamner Springs do Christchurch, na szczycie pobliskiego wzgórza bardzo blisko naszej szosy zobaczyłem stojące wysokie srebrzyste cygaro połyskujące jak pofałdowana poziomo i nowo pocynowana puszka po konserwach. Na tylnym siedzeniu samochodu leżał mój aparat fotograficzny gotowy do pstryknięcia zdjęcia - jednak zamiast sfotografować to UFO, ja zasięgałem opinii Anny co takiego to może być. W rezultacie, zanim uzgodniliśmy czy to jest silos na zboże, czy też UFO, nasz samochód odjechał już zbyt daleko aby wykonać zdjęcie. Później się okazało, że było to jednak cygaro-kształtne UFO, bo podczas następnych przejazdów koło tego samego wzgórza, nic już NIE istniało na jego szczycie.

W sierpniu 1985 roku, w trakcie samotnego spaceru po buchającym wówczas pięknymi kwiatami parku w Invercargill podczas wiosennych wakacji na tamtejszej uczelni, przyszedł mi do głowy nowy koncept budowy wszechświata, który później sformułowałem w postaci teorii nazwanej "**Konceptem Dipolarnej Grawitacji**". Sformułowanie tej teorii stanowiło jeden z najbardziej przełomowych wydarzeń w moim naukowym i prywatnym życiu.

Wielu ateistów w jakiś unikalny dla siebie sposób znajduje własną drogę do Boga. Moja droga zaczęła się właśnie kiedy rozpracowałem Koncept Dipolarnej Grawitacji. Przedtem byłem zwykłym ateistą - w jaki to ateistyczny światopogląd wprowadziła mnie ateistyczna edukacja jaką przeszedłem. Jednak ów Koncept Dipolarnej Grawitacji (w skrócie **Kodig**) ujawnił mi, że niezależnie od naszego świata fizycznego który my zamieszkujemy, istnieje też "przeciw-świat" zapełniony substancją będącą odpowiednikiem "płynnego komputera", w

J-9

pamięci której to substancji mieści się jeszcze jeden (trzeci) świat, zwany "światem wirtualnym" zamieszkiwanym przez Boga. Bóg jakiego wówczas odkryłem czy odnalazłem, okazał się więc być ogromnym naturalnym programem, który sam się wyewoluował w owym "płynnym komputerze" zwanym "przeciw-materia".

Po wypracowaniu Konceptu Dipolarnej Grawitacji i odnalezieniu Boga, odkryłem również, że nasz los jest z góry przesądzony, bowiem opisany przez "program naszego życia i losu". Pierwszym krokiem w kierunku tego przełomowego odkrycia, było napotkanie **topiącego się jeża** i przeprowadzanie późniejszych przemyśleń jakie to uczuciowo brzemiennie zdarzenie u mnie zindukowało, poczym poznanie kolejnych empirycznych materiałów dowodowych jakie potwierdziły mi wyniki owych przemyśleń. Mianowicie, któregoś weekendu spacerowałem przez mały park jaki w Invercargill mieścił się przed głównym wejściem do najważniejszego budynku naszej uczelni. Wzdłuż owego parku przepływał strumień o stromych, głębokich, wycementowanych brzegach, zwany "Oreti Stream". Idąc wzdłuż brzegów owego strumienia odnotowałem topiącego się w nim jeża. Miał on dosyć charakterystyczną konfigurację i kolor igieł - jakie zdecydowanie odróżniały go od innych jeży. Zlitowałem się nad nim i ze sporym trudem oraz dopiero po znalezieniu odpowiednich narzędzi, wyratowałem go z owego strumienia. Odniosłem go dosyć daleko od strumienia i pozostawiłem pod krzakiem aby ochłonał z szoku tonięcia. W jakieś dwie godziny później szedłem z powotem ze spaceru tą samą ścieżką wzdłuż strumienia. Ku swemu szokowi zobaczyłem, że w strumieniu leżał ten sam jeż. Tym razem był już nieżywy. W międzyczasie zdołał się już utopić na dobre. Nie miałem wątpliwości, że jest to ten sam jeż, bowiem rozpoznałem go definitywnie po jego unikalnej konfiguracji i kolorze igieł. Jeż ten mi uświadomił, że nasz los jest z góry zaprogramowany i wcale nie daje się go już zmienić. Jedyne więc pytanie na jakie musiałem jeszcze znaleźć poprawną odpowiedź, brzmiało "**dłaczego**"?

Właściciel pierwszego mieszkania jakie wynająłem w Invercargill zaprosił mnie kiedyś na obiad do swego domu. Tam poznałem jego szfagra (brata jego żony) o nazwisku **Alan Plank**. Był on różdżkarzem żyjącym z poszukiwań wody i złota. Z pomocą swojej różdżki wynalazł on niezwykle wydajną pompę napędzaną sprężonym powietrzem, którą używał do poszukiwań i wydobywania złota. Jego niezwykłą pompę opisałem dokładniej m.in. w podrozdziale I8.2 z tomu 5 swej [monografii \[1/4\]](#).

Alan Plank opisał mi swoje badania świeżych lądowisk UFO jakie pewnego ranka w 1983 roku rano pojawiły się na farmie niejakiego **Bary Badman**. Owe lądowiska UFO były pierwszymi z jakimi zetknąłem się w swoim życiu i badaniach.

W letnie wakacje z końca 1985 roku, czyli w następne wakacje po poznaniu lądowisk UFO na farmie Bary Barman'a, wybrałem się z Anną w podróż po Wyspie Południowej Nowej Zelandii. W podróży tej specyficznie poszukiwaliśmy lądowisk UFO oraz ludzi zdolnych do telekinezy. Jak też się okazało, w czasie tylko tej jednej podróży odkryłem aż cały szereg dalszych lądowisk UFO, a także cały szereg ludzi zdolnych do generowania ruchów telekinetycznych.

W 1986 roku postanowiłem zostać myśliwym i zacząć polowanie na miejscową zwierzynę. Nowa Zelandia roiała się wówczas od królików i innej zwierzyny. Poszedłem na kurs użycia broni palnej i po zdaniu egzaminu otrzymałem oficjalną "**licencję**" (pozwolenie) na posiadanie broni myśliwskiej. (Licencję tę zachowałem do dzisiaj jako rodzaj pamiątki – chociaż zapewne w międzyczasie straciła swoją ważność.) Najpierw kupiłem sobie fuzję (dwururkę, 12-tkę) w sklepie z Invercargill. Potem zacząłem polowania na dzikie króliki (które w owych czasach stanowiły istną plagę w NZ), a także na dzikie gęsi i gołębie. Na duże zwierzęta, np. na dziki, NIE miałem odwagi polować, bowiem po zranieniu stają się one niebezpieczne oraz przy braku psa do ich osaczenia zranione mają także zwyczaj aby uciekać myśliwemu i potem długo zdychać w mękach i bólu gdzieś w gęstym lesie (spowodowanie czego jest rodzajem okrucieństwa), a ponadto aby na NIE zapolować trzeba wybrać się do

J-10

bezludnej dziczy, w której łatwo zabłądzić poczym nawet umrzeć z zimna i wyczerpania. (W owych czasach NIE były dostępne GPSy, zaś zabłądzenie w NZ dziczy jest ogromnie łatwe - patrz opisy niemal zakończonego tragedią wieczornego zabłądzenia całej naszej grupy przy kraterze Tapanui opisane w 19 z podrozdziału T3 tej autobiografii.) Szybko też się przekonałem, że posiadanie broni palnej i polowanie wcale NIE jest aż takim przyjemnym hobby, jak bez jego praktycznego spróbowania młodym ludziom może się wydawać. Przykładowo, ja miałem zasadę, że jeśli już odbiorę życie jakiemuś stworzonku, wówczas musi być ku temu powód i uzasadnienie - czyli muszę je zjeść. Tymczasem się okazało, że dzikie króliki, jakich sporo wówczas ustrzeliłem, przy jedzeniu smakują okropnie (niemal niejadalnie) ponieważ ich mięso jest przesycone potężnym zapachem i smakiem trawy, których żadna metoda przyrządzania NIE pozwoliła mi wyeliminować. Z kolei dzikie gęsi i gołębie wprawdzie smakują fajnie po upieczeniu, jednak trzeba je obierać z pierza, a ponadto przy ich jedzeniu łatwo połamać sobie zęby na śrutach ze strzelby jakimi po ustrzeleniu są nafaszerowane. Z samą strzelbą też są kłopoty, bowiem NIE tylko trzeba ją systematycznie czyścić, ale także trzeba nieustannie ją zabezpieczać przed kradzieżą i wpadnięciem w ręce jakichś kryminalistów, którzy mogliby ją potem użyć do popełnienia zbrodni. Swą strzelbę posiadałem więc i używałem tylko do 1992 roku - kiedy to ją sprzedałem ponieważ przygotowywałem się do podjęcia swej profesury na Cyprze. Wszakże byłoby bardzo nierozsądnie pozostawiać w NZ swą broń palną bez osobistego nadzoru i opieki, a ponadto polowanie zilustrowało mi naocznie jak niebezpieczne jest posiadanie i używanie broni palnej. Od owego czasu zaniechałem też wszelkich dalszych prób polowania czy "bawienia" się w myśliwego.

K-1

Rozdział K:

Miasto DUNEDIN, NOWA ZELANDIA (1988-1989 i 1990-1992) **(STARSZY WYKŁADOWCA (Senior Lecturer) na UNIWERSITY OTAGO,** **potem BEZROBOCIE)**

Zaraz po ostatnim wykładzie na Politechnice w Invercargill, oraz zaraz po oficjalnym zakończeniu tam akademickiego roku 1987 na uroczystym spotkaniu całego personelu w największej sali amfiteatralnej owej uczelni, wsiadłem do autobusu i pojechałem do Dunedin. W Dunedin najpierw tymczasowo zamieszkałem u mojej najstarszej nowozelandzkiej znajomej, tj. u **Glendy Heenan**. Moim pierwszym krokiem po przybyciu do Dunedin było kupienie sobie samochodu "**Ford Laser**" **1300**. W jego zakupie dopomogła mi Glenda. Zapłaciłem za niego 22000 dolarów nowozelandzkich. Wkrótce po jego zakupie znalazłem też i wynająłem sobie mieszkanie w Dunedin.

K-2

K1. Moje wrażenia z Dunedin

Zanim przeniosłem się do Dunedin, często przejeżdżałem przez owo miasto. Wszakże przez Dunedin wiedzie jedyna droga prowadząca z Invercargill do szeregu miast gęsto zamieszkałej wschodniej części Nowej Zelandii. Muszę tutaj też się przyznać, że w owych przejazdach przez Dunedin zawsze odczuwałem jakiś rodzaj niechęci do tego miasta. Miasto to przypominało mi bowiem jakieś stare, rozkładające się ciało. Widząc też jego stare zaszczurzone domy, brudne ulice, oraz zawsze pochmurną pogodę, współczułem tylko jego mieszkańcom. Nie wiedziałem wówczas jeszcze, że Bóg lubi nas rzucać w miejsca jakich początkowo najbardziej nielubimy.

Po moim przybyciu do Dunedin, na własnej skórze ponownie sobie potwierdziłem jak niewielkie, chronicznie zimne, bez przerwy zachmurzone, oraz ciągle deszczowe jest to miasto. Co ciekawsze, charaktery i osobowości jego mieszkańców okazały się być bardzo podobne do jego pogody. Na dodatek, nowy rząd jaki niedługo wcześniej przejął właśnie władzę w Nowej Zelandii (tj. przejął władzę po Sir Robercie Muldoon), okazał się niesamowicie niekompetentny i okropnie chytry na pieniądze. Pod jego rządami z pięknego i zasobnego kraju, Nowa Zelandia szybko stawała się krajem upadku, biedy i bezrobocia. Ponadto, w Dunedin się przekonałem, że jak zwykle to bywa z emigrantami w ekonomicznie upadającym kraju, miejscowi zatrudniali mnie tylko kiedy NIE mieli nikogo własnego pod ręką, kto mógłby wykonywać dany zawód – i to jedynie na najniższych posiadanych przez siebie posadach uczelnianych. Oczywiście, natychmiast się mnie potem pozbywali jak tylko znaleźli dla danej posady kogoś ze „swoich”. W taki więc sposób, też tuż przed tym kiedy objawiły się pierwsze poważne następstwa depresji ekonomicznej sprowadzonej na Nową Zelandię przez niekompetencję i chciwość nowego rządu, w 1990 roku straciłem i tą nową pracę na Uniwersytecie Otago. Przez następne 2 lata byłem bezrobotnym.

Owe dwa lata okazały się być najbardziej przygnębiające i przepełnione niepewnością jutra w całym moim dotychczasowym życiu. Proszę sobie wyobrazić jak ja wówczas się czułem. Żyłem wtedy samotnie w ciągle jeszcze dosyć obcym mi kraju. Miasto Dunedin udowodniło się być wiecznie zimną, zachmurzoną i deszczową miejsciną, którą Anglicy opisują zwrotem „one horse city” (tj. **„miasto jednego konia”**), w której nie ma żadnych rozrywek pod dachem, zaś pogoda jest zbyt przygnębiająca aby czynić cokolwiek na wolnym powietrzu. Nie miałem tam ani pracy ani źródła dochodu. Przez niemal dwa lata nie otrzymywałem zasiłku dla bezrobotnych. W owym czasie praktycznie wszystko stało się też tam „user paid” (tj. **„opłacane przez użytkownika”**) - znaczy nawet wizyta u lekarza czy w szpitalu wymagała znaczących funduszy. Moje oszczędności szybko topniały. Najbliższe życzliwe mi dusze, które mogły by mi pomóc gdybym wpadł w jakieś kłopoty, znajdowały się na odwrotnej półkuli, czyli w Polsce. A na domiar złego wokoło siebie obserwowałem zawzięte rozmontowywanie systemu społecznego dla którego zupełnie niedawno narażałem swe życie jako aktywista Solidarności. Nowa Zelandia przechodziła bowiem wówczas bardzo brutalną zmianę panującej tam poprzednio **dbałości o człowieka** praktykowanej przez rządy Sir Roberta Muldoon, na istniejącą tam potem **dbałość wyłącznie o dochód i o kapitał**. Rozmontowywanie gospodarki tego kraju zaczęło się od sprzedaży asetów, czyli sprzedaży wszystkiego co poprzednio należało do rządu. Rozprzedane więc zostały fabryki, budynki, koleje państwowe, itp. Z tego co nie dało się sprzedać, np. elektrowni, sieci elektrycznej, czy telefonów, formowano przedsiębiorstwa na własnym rozrachunku. Za wszystko też zaczęto domagać się opłat, włączając w to nawet sprawy, które stanowią tradycyjną odpowiedzialność rządu, takie jak opieka zdrowotna czy edukacja. Oczywiście, bez opieki państwa, większość fabryk szybko zbankrutowała. Te zaś co przetrwały, z upływem czasu tak były trapiące podatkami, biurokracją i tzw. „red tape” (tj. nieprzyjaznymi prawami), że zaczęły przenosić się za granicę. Zaczęło się więc galopujące bezrobocie. Brak pieniędzy u ludzi spowodował, że

K-3

opustoszały i poupadały sklepy. Upadek sklepów w połączeniu z brakiem pieniędzy u ludzi spowodował upadek drobnego rzemiosła, wytwórczości, oraz usług. To z kolei zabiło wszelką kompetycję i współzawodnictwo. Niemal wszystko stało się czymś monopolem. Z kolei monopole mają ten brzydki zwyczaj że podnoszą one ceny bezzasadnie. Z kolei nieuzasadniony wzrost cen spowodował galopującą inflację. Wartość dolara nowozelandzkiego spadła z poziomu około 1 dolara USA, do około 40 centów USA. Desperacja zakradła się wśród ludzi. Zaczął się lawinowy wzrost przestępczości. Co zdolniejsi i młodszy ludzie zaczęli też raptownie uciekać za granicę tego kraju. Ulice miast opustoszały. W wielu miejscach gdzie zaledwie kilka lat wcześniej wieczorami chodniki były przepełnione światłami, stolikami kawiarni, oraz spacerującymi, szczęśliwymi i zadowolonymi z życia ludźmi, straszyc wówczas zaczynały ciemne oczodoły zabitych deskami okien wystawowych. Wobec beznadziejności sytuacji wielu zaczęło szukać ucieczki w alkoholu i narkotykach. Aby rząd nadal mógł chwalić się sukcesem, wolność publikatorów została zerodowana, zaś rzetelna informacja została zastąpiona „propagandą sukcesu” w stylu, który znałem tak dobrze z czasów komunizmu. Przykładowo, zamiast za liczbę bezrobotnych podawać ilość ludzi, którzy chcą pracować jednak brak dla nich pracy, propaganda ta zaczęła podawać ilość ludzi, którym przyznano zasiłek dla bezrobotnych. Z kolei dostęp do owego zasiłku dla bezrobotnych dawał się już manipulować na papierze bez zmniejszenia liczby faktycznych bezrobotnych – przykładowo ja byłem bezrobotnym, ale znalazły się jakieś prawa, które spowodowały że NIE otrzymywałem zasiłku dla bezrobotnych (czyli mnie NIE wliczano w oficjalnie podawaną liczbę bezrobotnych). Zaczęła też się masowa ucieczka (emigracja) ludności z Nowej Zelandii np. do Australii. Wszystko to zaś ja obserwowałem z narastającym przerażeniem będąc bezrobotnym, nie otrzymującym zasiłku dla bezrobotnych, oraz mieszkając w owym zawsze deszczowym, zimnym, rozpadającym się i pozbawionym rozrywek Dunedin.

Wzmiankowania tutaj jest też warty tzw. **szok kulturalny jaki wówczas nadal przeżywałem**. Wszakże ów szok kulturalny jest jak "jet-leg" - tyle że oddziałuje on na nasze zwyczaje, nawyki, postawy i filozofie, zamiast na zegary biologiczne. Praktycznie też każdy emigrant przez niego przechodzi. Ponadto, podobnie do „jet-leg”, im dalej od kraju urodzenia się emigruje, tym silniejszy ów szok kulturalny się staje. Z kolei niemal nie istnieją dwa kraje bardziej od siebie oddalone niż Polska i Nowa Zelandia. Na szczęście, szok kulturalny zmniejsza się z upływem czasu. Obecnie mogę być dumny, że niemal go pokonałem. Jednak zawsze pozostają jakieś obszary, szczególnie w zakresie jedzenia, smaku, domów, oraz postaw życiowych, które nie chcą zaniknąć. Dla przykładu, praktycznie do teraz mam smak na owe dziesiątki odmiennych rodzajów polskich kiełbas, które nie tylko są nazywane odmiennie, ale także i smakują drastycznie inaczej. Ciągle mi też brakuje polskich suchych budynków, które mają dobre ogrzewanie, które wcale nie są śmierdzące i zagrzybione, w których ludzie nie czują się mokrzy i zmarznięci, które są dobrze zaizolowane termicznie aby utrzymywać tanio temperaturę 23 stopni, oraz które są budowane z cegieł i cementu, a nie z mokrej i gnijącej dykty. Ponadto jakoś nie mogę nawyknąć do ogromnej ilości sportu w telewizji i w codziennym życiu nowozelandczyków, do ich pustych chodników po 5 wieczorem, do uwypuklania ciała i mięśni i braku szacunku do osiągnięć intelektu, ani do tych ogłoszeń w TV które **wmawiają oglądającym że jakoby najlepszy styl życia polega na NIE czynieniu niczego**.

K2. Uniwersytet Otago w Dunedin (<https://www.otago.ac.nz/>)

Kiedy miałem wywiad z moim przyszłym bossem w sprawie zatrudnienia na Otago University, mój boss mówił bez przerwy o sobie. Taki też zajęty wyłącznie sobą okazał się on potem w czasie pracy pod jego przewodnictwem.

Po zatrudnieniu się na University Otago, okazało się że atmosfera jaka tam panuje jest zupełnie odmienna od atmosfery na Southland Community College z Invercargill. Atmosferę z Otago dałoby się opisać jako zimną i nieprzyjazną. Każdy naukowiec był tam jakby zajęty wyłącznie sobą i swoją karierą.

Jedyną przyjazną duszę jaką tam znalazłem był mój kolega wydziałowy - wykładowca o nazwisku **Hank Wolfe**. Powodem dla którego był on nieco odmienny od innych, było zapewne iż był on Amerykaninem, a nie Nowozelandczykiem. Moja przyjaźń z Henkiem trwała potem długo poza czas mojego pobytu w Dunedin.

Jedną z moralnie wysoce interesujących i uczących osobowości z grona moich kolegów zawodowych był młody wykładowca z Anglii, który przybył do naszego wydziału natychmiast po ukończeniu słynnego Uniwersytetu w Cambridge. Pochodził on z bogatej rodziny i posądzam że jego dyplom ukończenia Cambridge był bardziej "zakupiony" niż "zapracowany". W każdej bowiem sprawie zawodowej z jaką został on skonfrontowany, szybko okazywał się on kompletnym ignorantem. Z tego też powodu pracował z nami tylko jeden rok, poczym szybko zrezygnował i uciekł z powrotem do Anglii. W trakcie owego roku, w którym wykładał informatykę na Otago University, był on ogromnie „kochany” przez tamtejszych studentów. Miał on bowiem zwyczaj, że swe wykłady ograniczał do opowiadania studentom dowcipów, do chodzenia na rękach po katedrze, oraz do pokazowego stawania na głowie. Nigdy też nie gonił on studentów do roboty. Za to obficie rozdzielał najwyższe oceny praktycznie każdemu studentowi. Kiedy jednak zakończył swoje wykłady i odleciał do Anglii, nagle wszyscy jego byli studenci zaczęli się na niego wściekać że „**nic ich nie nauczył**” - chociaż w czasach kiedy ich zabawiał swoimi wyczynami siedzieli cichutko i cieszyli się iż NIE goni ich do pracy. Stąd moralny wniosek jaki wówczas wyciągnąłem z jego zachowania, stwierdzał że „**wszystko co lubimy gdy nam się przydarza ponieważ jest to łatwe i przyjemne, zwykle po jakimś czasie będziemy albo żalowali albo też wspominali raczej niemile**” (wniosek ten działa też i w kierunku odwrotnym, mianowicie: „**to co jest bardzo trudne i bolesne kiedy się nam przytrafia, na długą metę posiada dla nas pozytywny wpływ**”). Znajomość następstw zachowania tego młodego wykładowcy z Cambridge była jedną z wielu obserwacji jaka potem prowadziła mnie do sformułowania prawa moralnego stwierdzającego że: „suma pozytywnych i negatywnych następstw każdego zdarzenia musi być równa zero” (t.j. „jeśli coś posiada pozytywne następstwa krótkoterminowe, musi też posiadać równą ilość negatywnych następstw działających na długą metę - i vice versa”).

K3. Moje życie w Dunedin

Miasto Dunedin było tak zimnym, brzydkim, brudnym, oraz nudnym miejscem, zaś jego mieszkańcy tak zimni, obojętni i zajęci swoim własnym pępkiem, że aby tam nie zwariować, musiałem znaleźć sobie jakieś zajęcie, a także musiałem znaleźć życzliwych sobie przyjaciół o podobnych co ja zainteresowaniach. Przypomniałem więc sobie ów wieczorowy "kurs UFO" jaki w ostatnich latach swej pracy pozwolono mi prowadzić na Politechnice w Invercargill. Oczywiście, nie było mowy aby Uniwersytet Otago pozwolił mi prowadzić wieczorowe i darmowe wykłady o UFO dla miejscowej ludności. Nikt jednak NIE mógł mi zabronić prywatnego poprowadzenia takich wykładów na mój własny koszt oraz poza obrębem tego uniwersytetu. Rozglądałem się więc wśród miejscowych organizacji za odpowiednią i tanią salą wykładową i takową znalazłem. Sala taka była dostępna w miejscowej organizacji kobiecej. Była ona wieczorami pusta. Owa kobieca organizacja pozwoliła mi ją więc używać za iście symboliczną opłatą. Umieściłem więc w miejscowej gazecie "Otago Daily Times" opłacone ze swej kieszeni ogłoszenie, że w owej sali odbywał się będzie **nieodpłatny** kurs UFOlogiczny dla wszystkich chętnych, oraz rozpocząłem wykładanie. Kurs ten powtarzałem aż kilka razy, za każdym razem mając po około 20 słuchaczy. Już wkrótce po tym miałem tam wystarczającą liczbę przyjaciół z grona absolwentów tego kursu, że mogliśmy wspólnie zainicjować lokalną bezdochodową organizację badaczy UFO. Nazwaliśmy tą organizację "UPERS" - co jest skrótem od "Unexplained Phenomena Research Society". Zarejestrowaliśmy ją oficjalnie w Nowozelandzkim Rejestrze Bezdochodowych Organizacji. Owa organizacja ciągle potem działała nawet w 2009 roku - tj. kiedy pisałem niniejsze słowa.

Osoby które stały się członkami UPERS miały podobne do mnie zainteresowania i cechy osobowościowe. Dzięki nim zacząłem więc mieć krąg znajomych i przyjaciół z którymi mogłem podjąć energiczne badania UFO. Począszy więc od wtedy, jako duża grupa zaczęliśmy prowadzić szeroko zakrojone terenowe badania UFO. Organizowaliśmy więc wiele wyjazdów badawczych do **krateru Tapanui** (gdzie eksplodował wehikuł UFO). Wyszukiwaliśmy też i badaliśmy liczne lądowiska UFO z okolicy Dunedin. Badaliśmy też wszystkie miejscowe przypadki obserwacji UFO oraz uprowadzeń ludzi do UFO. Wszystko to stworzyło mi solidne fundamenty praktycznej wiedzy o UFO.

Oczywiście, kiedy ja zająłem się takimi energicznymi badaniami UFO, UFOnauci zajęli się również energicznymi badaniami mojej osoby. W owym też czasie zaczęły się dziać wokół mnie ogromnie dziwne zdarzenia i zjawiska. Wiele z nich miało niemal nadprzyrodzony charakter. Przykładowo, ktoś nocą sfotografował cugarokształtny wehikuł UFO jak ten najpierw zawisał, potem obniżył się do lądowania koło okien domu w jakim wówczas mieszkałem. Innym razem kiedy siedziałem cicho nocą w toalecie, za oknem toalety usłyszałem czyjeś ciężkie kroki i świszczący oddech jakby z użyciem maski gazowej. Jednak za oknem nikogo nie dało się zobaczyć. Często rano budziłem się z ciężkim fotelem odsuniętym daleko od mojego łóżka - chociaż każdego wieczora fotel ten przysuwałem do łóżka aby powstrzymać nim uparte spadanie nocami na podłogę pościeli jaką się przykrywałem - notabene poza Dunedin w żadnym innym miejscu moja pościel sama NIE spadała (czy też ktoś jej ze mnie NIE rzucił) na podłogę kiedy spałem. W końcu wehikuły UFO stały się tak bezczelne, że wylądowały na trawniku jaki znajdował się w środku kampusu Uniwersytetu Otago, wypalając w owym trawniku wyraźnie widoczne lądowisko. Oczywiście, wszyscy którzy je odnotowali twierdzili, że jest to "krąg grzybowy", a nie lądowisko UFO. Kilka podobnych lądowisk UFO pojawiło się też wówczas tuż przy Uniwersytecie Otago na dużym trawniku jaki znajdował się przed wejściem do starego muzeum w Dunedin. Jeden z lądujących wehikułów UFO lądując zgniótł także lampę na boisku sportowym należącym do miejscowych „Pirates Football Field”. Owa zgnieciona lampa zindukowała z kolei rozwój innych niezwykłych wydarzeń, takich jak

K-6

publikacje na ich temat, rozgłos poza granicami Nowej Zelandii, oraz ktoś zdejmujący ową lampę oraz dewastujący inne lampy z okolicznych boisk sportowych dla zatarcia śladów.

Publiczne zainteresowanie jakie zaczęły wówczas wzbudzać nasze badania i wykłady zaowocowały w końcu programem telewizyjnym o ekslozji UFO koło Tapanui. Po owym programie, moi przełożeni z uczelni zaczęli okazywać swoją wrogość wobec wszystkiego co czyniłem. To wówczas na Uniwersytecie Otago zaczął się rodzaj lokalnej hysterii anty-UFOlogicznej, która z upływem czasu prowadziła do rozwoju wypadków jaki zmusił mnie do zwolnienia się z pracy (w przeciwnym przypadku grożono mi, że zostanę oficjalnie wyrzucony z pracy na tym uniwersytecie, ponieważ jakoby przynosiłem mu hańbę). Przykładowo, mój przełożony HOD widział kiedyś jak coś piszę, zamruczał więc na głos „**Znowu produkujesz swoją makulaturę**”. (Właśnie to co pisałem na Otago University uczyniło ze mnie „**WorldCat Identity**” jakie w 2019 roku przyporządkowano do mojego nazwiska w [google.com](https://www.google.com).)

Z reakcji na wyniki swych badań pomału więc zrozumiałem że „**ludzi nie można uszczęśliwiać 'na siłę'**”. Stąd dotarło do mojej świadomości, że wcale nie ma sensu abym usiłował sam budować urzędnictwa, które wynalazłem. Znacznie lepiej będzie jeśli się skupię na wskazaniu innym drogi i na pozwoleniu im aby sami doszli do celu jaki ich uszczęśliwi.

W 1989 roku wybrałem się na swoją pierwszą po emigracji wizytę w Polsce. Po przybyciu do Polski ogarnęła mnie rozpacz. Kraj był w chaosie.

Podczas pobytu w Polsce oszołomił mnie „dotyk nadprzyrodzonego”. Był nim dziwny „wypadek” redaktorów telewizyjnego programu „Sonda” jaki pamiętałem z moich czasów. Redaktorzy ci umarli bowiem we wypadku samochodowym prawie dokładnie w rok po tym jak w TV publicznie skrytykowali moje badania i moją „teorię magnokraftu”.

Po powrocie z Polski aż kilkakrotnie zmuszony byłem zmienić miejsce swego zamieszkania w Dunedin. W końcu przypadkowo koło swego uniwersytetu natknąłem się na Miss **Lynlee Heenan** - tj. na dziewczynę piękną jak gwiazda filmowa i jednocześnie właścicielkę dużego domu, którą poznałem w pierwszych dniach zaraz po swoim przybyciu do Dunedin. Kiedy bowiem przybyłem do Dunedin, Miss Lynlee ogłaszała w gazecie mieszkanie do wynajęcia - ja więc pojechałem do jej domu aby mieszkanie to oglądnąć. Kiedy jednak wszedłem do jej domu, jakaś dziewczyna okazała się szybsza odemnie i wynajęła owo mieszkanie w mojej tam obecności. Kiedy więc po paru latach spotkałem Miss Lynlee koło uniwersytetu, ta wspomniała, że jej mieszkanie jest ponownie do wynajęcia. Poprosiłem więc o jej telefon, oraz wkrótce później uzgodniłem z nią, że wynajmę jej mieszkanie. Tak w 1990 roku ja zostałem jej sublokatozem, zaś ona moją „**landlady**” (tj. właścicielką mieszkania w jakim się mieszka).

Po zamieszkaniu w jej domu, okazało się że jest ona młodą kobietą o relatywnie dobrych zasadach moralnych. Tyle tylko, że urodziła się na wsi (tak jak ja) i miała z tego powodu rodzaj kompleksu niższości. Ponadto była bardzo nieśmiałą i wysoce niewierzącą w siebie dziewczyną, która pomału dorabiała się w mieście Dunedin pracując tam w szpitalu jako pielęgniarka. Szokująco jak niewiara w siebie samą potrafi zdemobilizować i obezwładnić kobietę.

Po zamieszkaniu u Miss Lynlee, sam będąc naukowcem i wykładowcą na lokalnej uczelni podjąłem próby aby wyeliminować jej nieśmiałość i niewiarę we własne możliwości. Najpierw ją namówiłem aby wieczorowo zaczęła studiować (obiecując, że jej akademicko będę dopomagał jeśli jakieś wymagania będą przerastały jej możliwości – co też potem czyniłem). Wybrała dla siebie pedagogikę docelowo zamierzając zmienić swoją trudną pracę pielęgniarki, na nauczycielkę pielęgniarstwa. Po ukończeniu jednak miejscowego Studium Pedagogicznego odkryła, że jej faktycznym powołaniem życiowym jest położnictwo. Zapisła się więc na wieczorowy kurs położnictwa na Politechnice w Dunedin, zaś po jego ukończeniu z wyróżnieniem została położną w szpitalu w Dunedin. Nieustająca pomoc i rady jakie jej udzielałem spowodowały, że z upływem czasu nasza znajomość przekształciła się w

K-7

szczególny rodzaj wzajemnego zaufania i przyjaźni. W rezultacie, kiedy podjąłem swą profesurę na Cyprze, ona pozwoliła mi pozostawić większość swych rzeczy w piwnicy swego domu, zaś mój samochód zaparkować na ulicy przed jej domem. Na końcu mojej profesury na Cyprze dołączyła też do mnie abyśmy razem mogli pozwiedzać ciekawostki tej interesującej śródziemnomorskiej wyspy, razem podróżując też z powrotem do NZ. Podczas następującej wkrótce po Cyprze profesury w Kuala Lumpur, Malezja, także opiekowała się moimi rzeczami i odwiedziła mnie przez miesiąc dla wspólnego zwiedzenia atrakcji tego tropikalnego miasta. Nasze kontakty się urwały dopiero kiedy ja w 1999 roku zacząłem pracować na NZ Politechnice w Timaru, a ona sprzedała swój uprzedni dom i zakupiła inny, zupełnie nowy.

W czasie kiedy już mieszkałem u Miss Lynlee, miałem następny dotyk nadprzyrodzonego. Przyjął on formę tzw. **"tragedii z Aramoana"** z dnia 13 listopada (November) 1990 roku - patrz opisy z: <https://www.google.co.nz/search?q=Aramoana+shooting> . Wybrałem się wówczas w zaplanowane na długo wcześniej spotkanie badawcze ze swoim przyjacielem i członkiem naszego UPERS, który mieszkał w maleńkiej osadzie pod Dunedin zwanej Aramoana. Nazywał się on **Garry HOLDEN** (zamieszkiwał pod adresem 29 Mura Str., Ara Moana near Dunedin, Nowa Zelandia). Z jakichś powodów, których obecnie nie potrafię zdefiniować, nie dotarłem jednak do domu Garry'ego, a zawróciłem ze swej drogi. Kiedy zaś wieczorem owego dnia zacząłem oglądać dziennik telewizyjny, ze szokiem się dowiedziałem, że około godziny kiedy ja miałem już być w domu Garry'ego, wpadł do niego oszalały sąsiad uzbrojony w sztucer i zastrzelił Gary'ego wraz z wszystkimi, którzy wówczas byli obecni w jego domu. Razem zginęło wówczas od owego szaleńca aż 13 ludzi. Ja najwyraźniej miałem być jednym z nich. Jednak coś, lub ktoś, mnie uratowało. Naszym życiem faktycznie więc rządzi przeznaczenie.

W 1991 roku wybrałem się na drugą wizytę w Polsce. Tam czekało mnie jeszcze więcej kłopotów, zaś kraj był w jeszcze większym chaosie. Wszakże był tam nowy system społeczny, ale stare myślenie.

Escalacja hysterii anty-UFOlogicznej na uniwersytecie w którym pracowałem w końcu doprowadziła do tego, że w 1990 roku praktycznie wylali mnie z pracy na Uniwersytecie Otago (a ściślej zmusili mnie groźbami następstw oficjalnego wyrzucenia z pracy, abym sam złożył rezygnację). Jak mi to wówczas powiedzieli **„tematyka moich badań przynosi hańbę ich uczelni"**. W taki oto sposób przekonałem się na własnej skórze, że Nowa Zelandia - szczególnie zaś Otago University, posiada naukowców o najciaśniejszych umysłach jakich zdołałem spotkać w całym swoim życiu. Nic dziwnego, że działa tam aktywnie tzw. **„Sceptic Society"** czyli organizacja lubująca się w prześladowaniu osób o nowoczesnych poglądach (taka nowoczesna odmiana „Inkwizycji"). Nie rozumiem jak ludzie mogą posyłać swe dzieci aby studiowały na Uniwersytecie Otago. Wszakże ciasnota umysłów wykładowców z tej uczelni przelewa się potem do umysłów osób które tam studiowały, tak że osoby te także lądują z równie ciasnymi umysłami.

Powinienem tu też dodać, że wcale nie byłem jedyną osobą, która wyrzucona została z pracy z uwagi na popieranie przez nią prawdy o UFO. Jako inne przykłady patrz losy profesora John'a Mack M.D., oraz policjanta Geenhaw usuniętego za sfotografowanie UFO-nauty (patrz podpis pod rysunkiem N3 w mojej monografii [1/4]).

Po zostaniu wyrzuconym z Uniwersytetu Otago, aż do 1992 roku nadal przebywałem w Dunedin. Żyłem wówczas z oszczędności, wynajmując pokój u Miss Lynlee Heenan. Wszakże nie otrzymywałem wówczas zasiłku dla bezrobotnych.

Już jako bezrobotny, często wybierałem się z Miss Lynlee na zbieranie małży. Miss Lynlee lubiła bowiem naleśniki z małżami. Podczas jednej w takich wypraw miałem skurcz mięśnia łydki podczas wskakiwania na wystającą z morza skałę pod Dunedin. Skurcz ten niemal kosztował mnie życie.

K-8

Innym razem spacerowałem samotnie tuż przy szybko się zagłębiającym w dół brzegu morza niedaleko Dunedin. Wówczas jakiś gigantyczny, pomarszczony, cały czarny potwór morski o długości około 20 metrów bezszelestnie podpłynął do mnie - zapewne w celu sprawdzenia czy jestem jadalny. Opisuję go w punkcie #C4 swojej strony internetowej o nazwie "[newzealand pl.htm](#)". Naukowiec od lat badający ośmiornice, w dniu 2014/6/4 poinformował mnie potem emailowo, że prawdopodobnie widziałem wówczas gigantyczną wersję czarnej ośmiornicy zwanej „**finned cirrate octopus**” – narazie istnienie jakej to wersji NIE jest oficjalnie znane nauce.

K4. Doświadczenia wyniesione z bezzasilkowego bezrobocia w Dunedin (1990-1992)

Bezrobocie doświadczone w Dunedin, połączone z brakiem zasiłku dla bezrobotnych na jaki uprzednio liczyłem, miało ogromnie depresyjny wpływ na moje samopoczucie. Było ono wszakże ilustracją, że w kapitalistycznym systemie społecznym jaki tam zaczął wówczas panować, inni ludzie mają w nosie co nam się przytrafia.

Dodatkowo doświadczyłem też wówczas, że duchowo zaawansowane osoby muszą czuć się potrzebne innym, w przeciwnym wypadku ich życie traci sens.

Oczywiście, żyjąc z oszczędności i nie pobierając zasiłku dla bezrobotnych, usilnie szukałem wówczas pracy. W samej Nowej Zelandii nie było już jednak pracy. Szukałem jej więc poza granicami tego kraju. Znalazłem ją w dwóch miejscach naraz, tj. na Cyprze i w Malezji. Malezja jednak zwlekała z ostatecznym załatwieniem wymaganych formalności. Poleciałem więc na Cypr.

Aby mieć mniej trudności z odlotem na Cypr, poprosiłem „dwudziestu wspierających” z grona UPERS aby codziennie myślowo wspierali mój wyjazd. Ich wsparcie też faktycznie wywarło „nadprzyrodzony” wpływ na przebieg mojego odlotu na Cypr.

Kiedy miałem już zakupione bilety lotnicze do Cypru, w końcu w Dunedin zaczęto wypłacać mi zasiłek dla bezrobotnych (tj. „**dole**”). Zostałem więc postawiony w sytuacji, że po paru tygodniach brania tego iluzorycznego zasiłku („doli”) musiałem z niego sam dobrowolnie zrezygnować. Zdecydowałem się bowiem, że już nie zmienię swoich planów tułaczki w poszukiwaniu chleba. (Gdybym zasiłek ten otrzymywał od samego początku, nigdy nie zdecydowałbym się na tę tułaczkę za chlebem.)

Jako emigrant ze Wschodniej Europy, w samej Nowej Zelandii mogłem jedynie liczyć na najniższe pozycje i na najniższe zarobki. Jednak poza granicami Nowej Zelandii oferowano mi już pozycje i zarobki, które były odpowiednie dla poziomu mojej edukacji i doświadczenia zawodowego. W ten sposób poza Nową Zelandią zawsze zatrudniany już byłem na najwyższych pozycjach uniwersyteckich, tj. aż trzykrotnie na pozycji profesora nadzwyczajnego (tj. „Associate Professor”), a za czwartym i ostatnim razem nawet na pozycji profesora zwyczajnego (tj. „**Full Professor**”). W rezultacie, z powodu konieczności tego powtarzalnego szukania pracy poza granicami NZ, niemal tyle samo czasu spędziłem na wykładaniu poza Nową Zelandią na zagranicznych Uniwersytetach, co wykładałem na uczelniach w samej Nowej Zelandii. I tak w latach 1992 do 1993 wykładałem na „Eastern Mediterranean University” z północnego Cypru, w latach 1993 do 1996 na najbardziej renomowanym w Malezji „University Malaya” z Kuala Lumpur, potem w latach 1998 i 1999 na „University Malaysia Sarawak” z Kuching w tropikalnej wyspie Borneo, zaś w 2007 roku na „Ajou University” w Suwon z Południowej Korei. Niestety, od 2005 roku (z małym wyjątkiem owego 2007 roku) ponownie stałem się całkowicie bezrobotnym. Wszakże sytuacja Nowej Zelandii stała się wówczas już podobnie rozpaczliwa jak w latach 1980-ch była sytuacja Polski. Z kolei na pracę poza granicami NZ stałem się wówczas już za stary (większość krajów świata odsyła bowiem swych wykładowców na emeryturę w wieku 60 lat, zaś ich prawa zabraniają zatrudniania obcokrajowców o wieku ponad 60 lat). Na dodatek, nowozelandzkie prawa okazały się tak celowo zaprojektowane, że według nich NIE należał mi się zasiłek dla bezrobotnych. Podczas praktycznie więc całego mojego drugiego w życiu bezrobocia zapoczątkowanego w 2005 roku i trwającego aż do 2011 roku zmuszony byłem więc żyć z dawnych oszczędności i odczekując na swą emeryturę - którą w Nowej Zelandii narazie nadal zaczynają wypłacać dopiero po osiągnięciu wieku 65 lat (chciaż w 2008 rozpoczęto tam energiczną kampanię aby przesunąć tam prawo do emerytury na jeszcze starsze lata, prawdopodobnie do wieku 70 lat - jaka to kampania jedynie dodawała stresu do mojej ówczesnej sytuacji).

K-10

Rozdział L:

Miasto FAMAGUSTA, Północny CYPR (1992-1993) **(PROFESURA (Associate Professor) na EASTERN MEDITERRANEAN UNIVERSITY)**

Po dwóch latach bezrobocia w Dunedin praktycznie bez otrzymywania „doli” - a stąd z konieczności życia tylko z poprzednich oszczędności, w 1992 roku opuściłem Nową Zelandię aby szukać zarobku poza jej granicami. Tak zaczęła się moja **tułaczka po świecie w poszukiwaniu chleba**. Po opuszczeniu Nowej Zelandii podpisywałem aż trzy kolejne kontrakty na profesury uniwersyteckie. Pierwszym z nich był kontraktem z roku akademickiego 1992/3 na stanowisko Associate Professora w **Eastern Mediterranean University** z miasta Famagusta na Północnym Cyprze. (W marcu 2019 roku uczelnia ta miała stronę internetową o adresie: <https://www.emu.edu.tr/en> .) Kontrakt ten dał mi okazję dla osobistego poznania i doświadczenia na sobie śródziemnomorskiej kultury, przyrody i chwalebnej historii. Mieszkałem bowiem przy brzegu pięknego morza, zaledwie kilka kilometrów od starożytnego miasta Salamis i historycznego miasta Famagusta (oba te miasta nadal otoczone są starymi murami).

Mój przelot z Nowej Zelandii do Cypru okazał się rodzajem “cierniowej drogi”. Podróż była bowiem długa i męcząca. Ponadto miałem przesiadkę w Istambule, jaka wiązała się z dosyć nieprzyjemnymi doświadczeniami. W końcu jednak dotarłem do Cypru. Po przylocie zaskoczyło mnie niezwykle serdeczne tam powitanie.

L1. Moje życie na Cyprze

Zaraz po przylocie na Cypr zostałem zakwaterowany w hotelu z Famagusta położonym niedaleko od Eastern Mediterranean University (EMU) - tj. uniwersytetu w którym miałem pracę. Właściciel tego hotelu okazał się interesującą osobą. Znał wiele historii i lubiał je opowiadać. Jednym z przypadków, który mi opowiedział, było spowodowanie upadku ulewnego deszczu we Famagusta poprzez modły muzułmanów.

Po kilku jednak dniach zamieszkania w tym hotelu, przekwaterowano mnie do innego mieszkania. Położone ono było na trzecim piętrze w nowiułtkim budynku tuż za ogrodzeniem uniwersytetu. To z tamtego domu zaczynałem dokonywać ciekawych obserwacji życia na Cyprze.

Z okna mojego nowego mieszkania widać było ruiny starożytnego miasta zwanego "Salamis", znanego w całym świecie z dekadentnego stylu życia jego mieszkańców - tj. tego samego miasta w którym kiedyś **wynaleziono kielbasy** (jakie w niektórych językach do dzisiaj nazywane są właśnie "salami"). Ruiny te odwiedzałem bardzo często. Miały one bowiem jakąś magnetyczną moc nade mną (przeszłość czasami zdaje się być zdefiniowana i przyciąga nas do siebie). Potem się okazało, że owo miasto zostało zmiecione z powierzchni ziemi przez trzy potężne fale morskiego "tsunami" wywołanego ruchami ziemi spowodowanymi eksplozją UFO koło Tapanui w Nowej Zelandii.

Wyniki swoich ustaleń na temat związku losów miasta Salamis z eksplozją UFO koło Tapanui opisałem w artykule o eksplozji Tapanui jaki ukazał się w cypryjskiej gazecie. Atrykuł ten miał następujące dane wydawnicze: „Salamis'in yıkımı Yeni Zelanda'dan mı?" (tj. „**Salamis: czy zniszczenie przyszło z Nowej Zelandii**"), Kibris (Dr. Fazıl Küçük Bulvarı, Yeni Sanayi Bölgesi, Veteriner Dairesi Yanı, Lefkoşa, North Cyprus, via Mersin 10, Turkey), nr 1404, 29/06/1993, strona 18 i nr 1405, 30/06/1993, strona 18.

Częste spacerory po owych ruinach starożytnego miasta "Salamis" - w połączeniu z faktem, że dowiedziałem się również iż miasto to zostało zrujnowane eksplozją UFO koło Tapanui w Nowej Zelandii, spowodowały że z upływem czasu sformułowalem sobie teorię na temat "**wpływu zaburzeń pola magnetycznego na nadejście na Ziemię okresu średniowiecza**". Zgodnie z tą teorią, średniowiecze zostało wywołane eksplozją wehikułu UFO koło Tapanui w Nowej Zelandii, a ściślej negatywnym wpływem jaki telepatyczne rezonacje eksplozji Tapanui wywarły na zdrowie i samopoczucie średniowiecznych ludzi. To właśnie z moich badań losów Salamis zrodziło się też ustalenie, że próbne eksplozje nuklearne na Ziemi spowodowały obecne nadejście dla ludzkość nowego okresu "**neo-średniowiecza**".

Podczas jednego ze swoich wieczornych spacerów po kampusie i jego okolicach dostrzegłem coś co posądzałem że jest to ptak "koliber". Potem się okazało że jest to duża unikalna cypryjska ćma „**tiger moth**”, która lata jak koliber.

Podczas wędrówek po Cyprze często też zaglądałem do licznych tam byłych kościołów greckich zamienionych w muzea. Z treści ich wspaniałych ikon oraz zawartych tam objaśnień wynikało, że Cypr miał wiele cudów i że jest to miejsce raczej „**bliskie do nieba**”.

Cyprioci wyznawali dosyć ciekawą mądrość życiową. Jej przykładem jest przysłowie Cypriotów „**gdy nie możesz zbić sąsiada zbij jego ośła**”. Ich przysłowia wyrażają esencję ich ludowej mądrości.

Ciekawe było też obserwowanie wyrzucania śmieci metodą cypryjską. Polegało ono na ich wyrzucaniu przez płot „na działkę sąsiada”. W podobny sposób raz widziałem jak ktoś wyrzucał tam zdechłego kota na działkę sąsiada - złapał go za ogon, zakręcił w powietrzu i wykatapultował na ogród swego sąsiada.

Moją uwagę zwróciły też przejawy seksualizmu Cypriotów. Przykładowo ich encyklopedia jaką oglądałem w bibliotece publicznej z Famagusta pokazywała prawie wszystkie zwierzęta sfotografowane w chwili kiedy zwierzęta te uprawiały stosunek seksualny.

L-3

Kobiety cypryjskie też okazały się mieć wysoce romantyczną naturę.

To właśnie podczas pobytu na Cyprze otrzymałem list od Daniela Giordano z opisem jej niezwykłej piramidy telepatycznej. Potem, tj. po podjęciu mojej następnej profesury w Kuala Lumpur, Malezja, napisałem razem z Danielą cały traktat [7] opisujący tę piramidę. Jest ona też opisana w punktach #E1 i #E1.1 z mojej strony internetowej o nazwie „[telepathy.pl.htm](#)”.

Na Cyprze miałem szczęście mieć wspianiałych studentów, kolegów i przełożonych. Panowała tam też jedna z przyjemniejszych i serdeczniejszych atmosfer pracy z jaką spotkałem się w życiu. Kiedy mój kontrakt profesorski zbliżał się do terminu swego wygaśnięcia, mój cypryjski przełożony zaproponował, że go przedłużą na następny rok. Ja jednak miałem już załatwiony następny kontrakt profesorski w Kuala Lumpur z Malezji, jaki mi przyznano równocześnie z tym na Cyprze. Postanowiłem więc, że kolejną swą pracę raczej podejmę w Malezji.

Pod koniec mojego pobytu na Cyprze odwiedziła mnie Miss Lynlee Heenan - moja ówczesna "landlady" z Dunedin w Nowej Zelandii. Chociaż jednocześnie nadal pracowałem, jej przybycie zaczęło u mnie rodzaj wakacji. Wspólnie bowiem kąpaliśmy się w ciepłym Morzu Śródziemnym, zwiedzaliśmy pobliskie prastare miasta Famagusta i Salamis, a także pobliskie turystyczne atrakcje - w rodzaju grobu Barnaby (tj. jednego z 12 Apostołów Jezusa) zaś podczas weekendów wyjeżdżaliśmy autobusami do dalej od mojego uniwersytetu położonych miast Cypru - w tym jednego dłuższego weekendu wynajęliśmy samochód i objechaliśmy naokoło obrzeże całego północnego Cypru, zwiedzając wszystkie jego atrakcje turystyczne. Dotarliśmy nawet na sam czubek długiego i cienkiego półwyspu w północno-wschodniej części Cypru. Mieściło się tam bowiem prastare "Monastery" z prawosławnymi zakonnicami, o którym słyszałem legendy, iż posiada ono cudowne źródło wody pitnej, która sika z nagiej skały co najmniej jakieś dwa metry ponad poziomem morza. Kiedy jednak (za pozwoleniem naczelnej zakonnicy tego Monastery) szczegółowo zbadałem pochodzenie wody sikającej z tego legendarnego źródła, odkryłem że woda ta jest wyciekami gromadzącej się w położonej nieco ponad poziomem tego źródła wody ze studni ukrytej przed widokiem turystów, bowiem znajdującej się we wnętrzu budynku Monastery. Skąd natomiast bierze się woda gromadząca się w owej studni z Monastery położonej jedynie około 30 metrów od brzegu morza, tego już tam NIE badałem - wówczas zakładałem bowiem, iż jest ona wodą gruntową. Dopiero wiele lat później moją uwagę zwrócił fakt, że tak blisko brzegu morza poziom pitnej wody gruntowej z reguły NIE przewyższa poziomu wody morskiej. (Jedyne więc wytłumaczenie zjawiska, że pomimo bliskości do morza woda gruntowa była tam położona kilka metrów ponad poziomem wody morskiej, byłoby że pod budynkami tego Monastery skała rodzima formowała rodzaj jakiejś nieprzepuszczającej wodę "misy" w której woda gruntowa się gromadziła wysoko ponad poziomem wody morskiej.)

Rozdział M:

Miasto KUALA LUMPUR, MALEZJA (1993-1996) **(PROFESURA (Associate Professor) na UNIVERSITI MALAYA - UM)**

Następny trzeletni kontrakt podpisałem w 1993 roku na stanowisko Associate Professora w **University Malaya** w Kuala Lumpur, Malezja. (W marcu 2019 roku uczelnia ta miała stronę internetową o adresie: <https://www.um.edu.my/> .) Ten dał mi okazję do posmakowania wielkomiejskiego życia w ogromnej i nowoczesnej metropolii tropikalnej, w której samej mieszka około tyle samo ludzi, co w całej Nowej Zelandii. Metropolia ta buszuje życiem, nigdy nie śpi, ma nieopisaną liczbę rozrywek i atrakcji do oglądania, zaś jej poziom techniki i nowoczesności należy do najwyższych w świecie. Ponadto Malezja jest wielorasowym krajem – pracując w niej uzyskałem więc unikalną możliwość przyglądnięcia się od środka jak wygląda życie w takich wielorasowych krajach. Wszakże w Malezji współistnieją ze sobą relatywnie pokojowo aż cztery główne rasy, mianowicie: (1) miejscowi Aborygeni zwani „Orang Asli”, którzy zamieszkują dżungle Malezji od nieustalonych pradawnych czasów, (2) miejscowi "Bumiputra" z lokalnej rasy Malejów, którzy podobnie jak Nowozelandzcy Maorysi oryginalnie pochodzą ze starożytnego Tajwanu, a potem w Malezji kulturalnie i genetycznie wymieszali się z Arabami, (3) Chińczycy jacy do Malezji przybyli z Chin kilkaset, a może nawet ponad tysiąc, lat temu (do dzisiaj trwają tam dyskusje i kontrowersje kiedy ów napływ kolejnych fal ludności pochodzenia chińskiego tam następował), oraz (4) Indyjczycy, których do Malezji do pracy sprowadzali Brytyjczycy w czasach ustanowienia z Malezji Brytyjskiej kolonii. Oczywiście, w Malezji żyją też niewielkie liczby jeszcze kilku innych mniejszościowych ras, w tym Europejczycy.

Tą swoją drugą w życiu profesurę otrzymałem jeszcze przed udaniem się na Cypr. Jednak potem się okazało, że mój przyszły "Head of Department" (HOD) z Malezji wcale nie chciał Europejczyka w swoim zespole i dlatego utrudniał jak mógł załatwienie formalności związanych z moim przylotem i podjęciem u niego pracy. Kiedy więc sprawy zaczęły się zbyt mocno odwlekać, postanowiłem najpierw polecieć na Cypr, a dopiero potem do Malezji. Do Malezji poleciałem więc dopiero w październiku 1993 roku - tj. dopiero kiedy zakończył się mój jednoroczny kontrakt profesorski na Cyprze.

To właśnie w Malezji **zapoczątkowałem spisywanie samej treści niniejszej autobiografii**. Nie powstała ona bowiem w wyniku ciągłej pracy, a jakby w rezerwie aż kilku "doskoków". Mianowicie, pierwszym i najważniejszym z tych doskoków było kiedy w 1981 roku pospisywałem dzieje swojej rodziny - które obecnie wchodzi w treść rozdziału X tej autobiografii. Potem odłożyłem dalszą pracę na wiele lat. Następnie w Malezji w 1996 roku wróciłem do jej pisania i zacząłem projektować oraz naszkicowywać całą obecną jej treść. Także w Malezji na bieżąco spisywałem niniejszy rozdział - to właśnie z tego powodu jest on taki szczegółowy i kompletny. Jednak po wstępnym naszkicowaniu tam treści tej autobiografii, ponownie odłożyłem jej dalsze dopracowanie na późniejsze czasy. Minęło potem sporo lat zanim na krótko powróciłem do jej ponownego dopracowywania dopiero w listopadzie 2009 roku. Kolejna po tamtej przerwa trwała aż do 2019/3/7 - kiedy to zdecydowałem, iż będą pracował tak długo jak tylko okaże się to konieczne, aby autobiografię tę wykończyć, bowiem jeśli nadal będę zwlekał z jej opublikowaniem, wówczas jeśli sam „odejdę” zanim zdołam ją opublikować, zapewne nikt inny nigdy jej NIE opublikuje. W KL poznałem bowiem przypadek przyjaciółki mojej żony, ojciec której napisał wielotomowe dzieło z botaniki, jednak NIE zdołał go opublikować – stąd na łożu śmierci zobowiązał swą jedyną córkę aby je opublikowała. Jak jednak potem się okazało, dzieło to było niedokończone, zaś córka NIE czuła się kompetentna

M-2

aby je pouzupełnić i dokończyć, a pozatym opublikowanie go kosztowałoby fortunę jakiej córka ta NIE posiada - dzieło życiowe tego ojca NIE zostało więc opublikowane i zapewne cała jego praca życiowa będzie zupełnie zmarnowana. W moim przypadku, kiedy podjąłem wysiłki końcowego wygładzenia niniejszej autobiografii i jej publikowania, wówczas się okazało, że wiele szczegółów jakie uprzednio pracowicie opisałem i wyjaśniłem zakładając znacznie późniejszą datę jej opublikowania, NIE nadaje się do publicznego udostępnienia już obecnie. Stąd to moje końcowe wygładzanie, zamiast jej pisania - jak czyniłem to uprzednio, głównie polegało na usuwaniu z niej tych szczegółów które dotyczyły osób jakie nadal żyją i działają, stąd opublikowanie prawdy o jakich już obecnie z wielu względów byłoby niewskazane. Na dodatek, już po opublikowaniu w marcu 2019 roku zubożonej tym usuwaniem treści niniejszej autobiografii, okazało się iż córka mojego najstarszego brata (zmarłego w lutym 2015 roku) ma wiele zastrzeżeń. Najpierw usiłowałem jakoś uwzględnić jej zastrzeżenia i korygować opisy które mi wypunktowywała, kiedy jednak się okazało, że moje poprawki NIE są w stanie jej zadowolić, począwszy od dnia 2019/5/17 całkowicie zawiesiłem udostępnianie tej autobiografii - licząc iż z upływem czasu zdołam jakoś rozwiązać problem zastrzeżeń swej bratanicy. Kiedy jednak się to okazało niemożliwe, z wielkim żalem podjąłem decyzję aby kompletnie wyeliminować z tej autobiografii wszelkie opisy jakie dotyczą życia mojego najstarszego brata i stąd jakie indukują sobą zastrzeżenia owej bratanicy, po zaś tym ich wyeliminowaniu począwszy od dnia 17 października 2019 roku ponownie udostępniłem w internecie tak dodatkowo zubożone niniejsze opracowanie [17].

Wracając jednak do opisów Malezji, to okazała się ona krajem „ekstremów” - wszystko w niej działało na granicach swoich możliwości. Akumulowała ona w sobie w jednym miejscu praktycznie wszystkie zalety, perspektywy, wady i przywary innych dzisiejszych „krajów”. Stąd przez ich spisanie tutaj być może nakłonię czytelników aby uważnie rozglądnęli się dookoła siebie i poszukali podobnych spraw ukrywających się w zakątkach ich własnych krajów i narodów.

Kultura Malezji jest pełna zakazów. Nie czyni tego, nie wolno ci tamtego, itp. Najgorsze jednak, że ludzie u władzy demonstracyjnie łamią tam te same zakazy, wymagając jednak aby inni ich przestrzegali.

W czasach kiedy tam pracowałem Malezja pełna była też najróżniejszych niebezpieczeństw. Wyliczmy tu kilka najbardziej poważnych z nich:

- Niebezpieczeństwa zdrowotne. W Malezji panoszą się wszelkiego rodzaju choróbstwa, wiele też z nich jest nieuleczalnych.

- Niebezpieczne zwierzęta. Przykładowo patrz wąż pyton zjadający zbieracza kauczuku, którego zdjęcie ukazało się w gazecie „The Sun” (Fikiran Abadi Sdn Bhd, Lot 8, Lorong 51A/227B, Section 51A, 46100 Petaling Jaya, Malaysia), w wydaniu z dnia 6 September 1995, strona 7 (zdjęcie to opublikowałem jako „Fot. #C1” ze swej strony o nazwie „[newzealand pl.htm](#)”); czy też patrz tygrys zjadający innego zbieracza kauczuku – patrz ta sama gazeta „The Sun”, 20 September 1995, str. 14. Nie trzeba tu wspominać o agresywnych małpach przenoszących AIDS, czy jadowitych węzach które wczołgują się do mieszkań i biur.

- Niebezpieczne owady. Oprócz takich powszechnie znanych owadów jak skorpiony czy jadowite pająki, Malezja posiada też komary - które roznoszą kilka rodzajów śmiertelnych chorób (np. roznoszą tzw. "dengue" oraz nieuleczalną malarię), pijawki czychające w lesie i we wodzie, oraz kilka innych podobnych paskudów.

- Niebezpieczna natura. Przykładowo pioruny są tam pierwszym powodem nagłej śmierci od czynników naturalnych. Nie wspominając już o nieustannych nagłych powodziach w dolinach, czy lawinach błotnych w górach.

- Niebezpieczna żywność i środowisko. Środowisko zatrwane jest tam nieustannie na wszelkie możliwe sposoby, od śmierzącego dymu zwanego „haze” ze śmieci tradycyjnie spalanych w lokalnych ogrodach oraz z wypalania tropikalnej dżungli w pobliskiej Indonezji, poprzez gazy wydechowe niezliczonych motocykli dwusuwowych, a kończąc na wszelkiego

M-3

rodzaju chemikaliach nieustannie wylewanych gdzie tylko się daje. Z kolei żywność zatrutowana jest tam wszelkimi możliwymi truciznami, począwszy od „formaliny” (tej używanej dla powstrzymywania psucia się nieboszczyków) wstrzykiwanej do ryb, poprzez saletrę dodawaną bez umiaru do mięsa, środków owadobójczych zmieniających nawet smak owoców, itp.

- Niebezpieczne, nieprzemyślane budownictwo. Zawalające się domy (tylko w 1993 roku w Kuala Lumpur zawaliły się dwa nowe budynki), wszystko budowane w sposób nieprzemyślany, skomplikowany i niebezpieczny. Jako przykłady wymieńmy: ostrą płytę w „air condition” jaka wisiała na wysokości ludzkiej twarzy przy wejściu do mojego biurowca, uchwyt drzwi z moim biurowcu, który wyrwał palce, ukształtowane w zygzak chodniki w parku miejskim z których nikt nie korzystał bo musiałyby pokonywać kilka razy dłuższą drogę, ostre krawędzie jajek dinozaurów w placyku zabaw dziecięcych w parku miejskim, czy skomplikowany labirynt parkingu przy „Blue Mosk” w Shah Alam.

- Niebezpieczne drogi. Kierowcy jeżdżą po Malezji jakby im płacono za zabijanie piechurów.

- Niebezpieczne samoloty. Co jakiś czas przydają się katastrofy lotnicze w Malezji (szczególnie jeśli danym samolotem ma lecieć jakiś polityk znany z opozycji przeciw działaniom rządu).

M1. Moje przybycie do Malezji

W sprawie mojej profesury w Malezji wszystko się zaczęło od dwóch lat przybijania wymaganej pieczętki. Potem się okazało, że powodem dla którego zwykle przybicie pieczętki i napisanie zgody "tak" zajęło aż tak dużo czasu, było iż jako Europejczyk byłem niechciany w swoim wydziale przez ówczesnego HOD (tj. "Head of Department"). Wniosek z tego opóźnienia był, że **„każde opóźnienie jest oznaką iż coś nie jest w porządku”** („Every delay is a sign or manifestation of some kind of serious problems”). Inne przykłady na to samo: (1) Siostra Sue (Anna) zwlekała z przedstawieniem nam swego narzeczonego - później się okazało iż powodem było iż nie była z niego dumna; (2) Po obiedzie Rotary na którym Regina występowała jako jedna z „Ants”, tradycyjne spotkania pomiędzy nami i Reginaldą zaczęły się opóźniać - i dopiero podczas naszego wspólnego wyjazdu do Thailandii w dniach 26-28 January 1996 okazało się, że istniał ku temu (oraz co nim jest) powód tego opóźniania.

W trakcie przygotowywania swego wyjazdu do Malezji otrzymałem wsparcie duchowe od członków UPERs. Jedną z członkiń tej organizacji (tj. Mrs. Grace Meddings) ostrzegała mnie jednak, że **„ta praca nie jest dobra dla Ciebie”**. Po przylocie odkryłem, że na miejscu istnieją niewidzialne układy międzyludzkie, w jakie wpadłem jak przysłowiowa "śliwka w kompot". Przykładowo okazało się że mój boss w Malezji (tj. mój HOD od czasu przylotu aż do dnia 1 października 1994 roku), Mohd Zaki Bin Abdul Muin, który potem dawał mi solidnie w kość, chciał zatrudnić kogoś ze swych znajomych na mojej pozycji. W rezultacie zostałem wstawiony jak „mięso na kanapkę” pomiędzy decydentów z Wydziału Kadr (Registry) na Universiti Malaya - którzy mnie wmuszali na siłę mojemu bosowi, a mojego bossa - który mnie odrzucał. Następnym tego wmuszenia mojej obecności na przekór oporów owego HOD było, że dla mnie nadeszły ciężkie czasy walki o przetrwanie - wszakże usunięcie z pracy oznaczałoby załamanie się kariery. Na dodatek się okazało, że w Malezji lokalni studenci "Bumiputra" są rozpuszczeni podobnie jak studenci w Nowej Zelandii - czyli są przyzwyczajeni do otrzymywania dyplomu niemal za sam fakt że „zapisali” się na uczelni. Szybko też dowiedziałem się tam o istnieniu tradycji usuwania z pracy wykładowców, którzy „oblewają” owych Bumiputra. Głośna wówczas bowiem ciągle była sprawa indyjskiego wykładowcy z Oxfordu, który zgodnie z oficjalną wersją jakoby **„nie umiał uczyć, jednak dla zamaskowania braku własnych umiejętności twierdził iż studenci Bumiputra nie chcą się uczyć”** – za co usunięto go z owej uczelni. W rezultacie takiej polityki "karania" wykładowców za posiadanie wymagań w stosunku do studentów Bumiputras, studenci ci uciekali się do terroryzowania swoich wykładowców, tak aby ci bali się zadawać cokolwiek studentom. Na przekór tego wszystkiego, Universiti Malaya była dumna, że była ona "najlepszą Uczelnią w swym kraju" – co zresztą w owych czasach było prawdą.

Moim pierwszym „rozbiciem sobie głowy” po przylocie do Malezji były przeboje jakie miałem ze swoim samochodem. Do Malezji zabrałem bowiem swój nowozelandzki samochód FORDA. Jednak nie wpuścili mi go do kraju i musiałem go odesłać z powrotem do Nowej Zelandii. Potem żartowałem, że mam najdroższy samochód mojego miasta, bowiem jego przewózka z NZ do Kuala Lumpur i z powrotem kosztowała blisko tyle samo, co jego cena, a także żartowałem, że swemu samochodowi zafundowałem turystyczną wycieczkę do Malezji.

Inną ciekawostką tego uniwersytetu w Kuala Lumpur były tajemnicze powody noszenia okularów u studentów. Ponad bowiem połowa tamtejszych (młodych i zdrowych) studentów nosiła okulary - plus inni nosili nieodnotowalne z zewnątrz „soczewki kontaktowe”. A w ich wieku ludzie powinni mieć wzrok ostry jak orły. Odnotowałem też wówczas, że i moje własne oczy wyraźnie tam się pogorszyły już po około 4 miesiącach pobytu w owym kraju. Coś więc jest albo w otoczeniu (mówią, że woda - pełna chemikaliów i pestycydów) albo w świetle Malezji. Jednak rząd tym wcale się NIE przejmował. Do dzisiaj też NIE słyszałem aby ktoś głośno mówił o, lub czynił, coś w tej sprawie. Już po ukończeniu tam swej profesury, systematycznie też odnotowywałem, że nawet podczas krótkich, bo zaledwie około

M-5

miesięcznych lub sześćo-tygodniowych, wakacji w Kuala Lumpur, jakie corocznie z moją żoną tam odbywaliśmy, mój wzrok ulegał znaczącemu pogorszeniu, tak że np. po 6 tygodniach tam pobytu czytane gołym okiem drobne teksty zupełnie mi się rozmywały i NIE byłem w stanie ich odcyfrować. Jednak po powrocie do NZ, moje oczy zawsze wracały do normalnego widzenia. Co ciekawsze, podczas mojej profesury na pobliskiej tropikalnej wyspie Borneo, mój wzrok NIE tracił ostrości.

M2. Moje spostrzeżenia na temat Malezji

Instytucją, która w czasach mojej profesury dominowała w Malezji, był tzw. "**Pajak Gadai**" - czyli sklepy "pod zastaw" założone tam przez kogoś o nazwisku Pająk. W naszej rodzinie krążyły zaś mity na temat Franciszka Pająk (ur. 1906, zm. ok. 1990) - brata mojego ojca i wagabundy, który zdobył fortunę koło Lwowa jako właściciel mechanicznej młockarni i napędzającej ją „lokomobile” na pręż wodną. Fortunę tę potem wydał na wędrówki po świecie, aby w końcu wylądować i umrzeć w Argentynie. Wszystkie fakty zdawały się sugerować, że to właśnie on mógł być założycielem i pierwszym właścicielem owych "Pajak Gadai". W latach 1993 do 1996 sklepów tych było w Malezji całe mnóstwo – można je było spotkać niemal na każdej ulicy. Kiedy jednak odbywałem kolejne wakacje w 2019 roku, oraz chciałem wykonać sobie pamiątkowe zdjęcie jednego z tych sklepów, okazało się że ich liczba raptownie zmalała. Faktycznie to w miejscach w jakich wówczas się znalazłem NIE było już żadnego z nich. Najwyraźniej ich istnienie obecnie jest tam zagrożone jakimś kryzysem lub prawami.

Odwrotnie w Malezji działa się z aptekami. Kiedy tam pracowałem, tj. w latach 1993 do 1996, w KL niemal NIE było aptek. Aby więc kupić sobie jakikolwiek lekarstwa trzeba było tam odbywać daleką jazdę autobusem lub taksówką. Począwszy jednak od jakiegoś roku 2000, tj. od czasów kiedy w KL systematycznie co roku zaczął pojawiać się tzw. „haze” - czyli gęsty, duszny i śmierdzący dym powstały przez wypalanie tropikalnej puszczy, liczba aptek nagle zaczęła tam rosnać. W chwili obecnej co najmniej jedną aptekę można tam znaleźć na niemal każdej ulicy.

M3. Moja wizyta w Polsce i Włoszech

W dniach od 1 maja do 8 czerwca 1995 roku wyjechałem wraz z Sue do Polski. Leciałem poprzez Rzym i Sycylię we Włoszech. Oto najważniejsze elementy tej wizyty:

- Pobyt na Sycylii i osobiste spotkanie z Danielą Giordano (obdarowaną „piramidą telepatyczną” przez jakąś niezmierną istotę).

- Spotkanie z moimi zwolennikami w Polsce. Miałem wówczas duże spotkanie we Wrocławiu - z którego do dzisiaj w YouTube dostępne są utrwalające je widea (czytelnik może je sobie przeglądać z mojej strony o nazwie "[djp.htm](#)").

- Uruchomienie produkcji prototypów „piramid telepatycznych” przez Joannę i jej męża Michała. Niestety, w sumie tylko jedna piramida została przez nich wykonana.

- Cudowne jakby „uzdrowienie” w dniu moich urodzin (t.j. 25 maja 1995 roku) z kaszlu przed figurą Matki Boskiej przy kościele zamku w Malborku - opisane w punkcie #E2 z mojej strony o nazwie "[malbork.htm](#)". Poznanie echa różnych cudów jakie zdarzały się z tą figurą – opisane w punkcie #D1 na mojej stronie o nazwie "[przepowiednie.htm](#)". Faktyczne jednak cudowne uzdrowienie tego kaszlu nastąpiło w nieistniejącym w Warszawie kościele – co szczegółowiej opisałem w punkcie #D6.1 ze swej strony o nazwie "[timevehicle_pl.htm](#)". Z kolei uzdrowienie narostu/wypukłości na nadgarstku mojej ręki, o jakie poprosiłem w owym iluzyjnym (nieistniejącym) kościele z Warszawy, nastąpiło jednak dopiero w środę, dnia 15 maja 1996 roku, około 9 wieczorem. Właśnie wizytowałem wtedy z Sue jej znajomego, niejakiego Eryka (landlorda Sue), z którym prowadzę czasami zaciekle dyskusje na temat w jego rozumieniu mojej religii (tj. totalizmu). Właśnie wówczas dyskutowałem z nim cuda, kiedy spojrzałem na swoją rękę. Garb/narost na jej nadgarstku zniknął jakby go tam nigdy nie było. Oczywiście Eryk nie uwierzył, że garb ten zniknął sam, w cudowny sposób. Na oczekaniu wymyślił więc teorię, że musiałem nieświadomie uderzyć ręką w ścianę (oczywiście ja jestem pewien, że nie uderzyłem wtedy żadnej ściany, oraz że garb na moim nadgarstku po prostu sam wówczas zniknął). Do chwili pisania niniejszej notatki, t.j. 19 czerwca 1996 roku, garb ten nie objawił się ponownie na moim nadgarstku.

- Podczas wizyty w Polsce podarowałem swój komputer IBM PS/2 synowi swego najstarszego brata. W tym celu dokupiłem mu działający monitor SVGA oraz drukarkę 24-igłową. Dzięki posiadaniu owego komputera już w młodym wieku, ów syn nabył umiejętności które pozwoliły mu zostać zawodowym informatykiem – z tego też zawodu obecnie wywodzi się jego chleb powszedni.

- Zaobserwowałem też ogrom zniszczenia na polach pod Wszewilkami, gdzie czarna gleba była usuwana zaś stawy są formowane na gołym piasku. Podobne niszczenie czarnej gleby na ogromną skalę występuje też w niemal całej Malezji (np. patrz wzgórze przy Faculty of Engineering które zostało całkowicie przemieszane), gdzie ogromne buldożery poprzeczają grunt zasypując czarną, żyzną glebę i pozostawiając na powierzchni jałowy piasek. Ogromnie mnie martwią takie działania, bowiem życiodajna warstewka czarnej gleby potrzebuje coś w rodzaju 300 milionów [lat atomów] aby mogła stać się żyzna i rodząca plony, zaś ludzie potrafią zniszczyć ją dosłownie w czasie kilku godzin. Pokazuje to jak nieodpowiedzialne są umysły ludzkie, które nie rozumieją doniosłości szkody jaką wokół siebie wyczyniają. **Nasze maszyny już obecnie przerosły nasze mózgi.** Jest niebezpiecznie, kiedy nieodpowiedzialnym ludziom daje się do ręki zbyt potężną technikę jaka przerasta ich wiedzę i moralność. Czynią oni bowiem wtedy zbyt wiele spustoszenia wokół siebie.

M-8

M4. W Malezji posunąłem do przodu następujące sprawy:

Publikację traktatu [7] o "piramidzie telepatycznej". Miałem jednak spore kłopoty z jej upowszechnianiem.

Publikacje wielu polskojęzycznych monografii.

Badania UFO.

Badania telepatii.

M5. Moje próby postowania:

Moje pierwsze posty („fasting”) i odchudzanie się („dieting”) odbyły się w lipcu 1995 roku. Zrozumiałe dzięki nim, że przeżycie przez daną osobę głodówki od czasu do czasu jest bardzo korzystnym doświadczeniem, bowiem:

- Głodówka i post zwiększają naszą „wdzięczność” za jedzoną później żywność i za pełen żołądek;
- Umożliwia ona zapanowanie nad własnymi emocjami;
- Wyrównuje bogatego z biednym (uczy bogatych skromności);
- Zezwala zrozumieć mękę ludzi biednych i głodujących;
- Pomaga osiągnąć balans dietetyczny organizmu.

Teraz zrozumiałem więc dlaczego prawie każda religia przykłada takie duże znaczenie do głodowania i do poszczenia - np. patrz muzułmańskie „raya” czy chrześcijańskie piątki i okresy postu. Niestety, poza tamtym jednym okresem, jakoś NIE potrafiłem ponownie się zmobilizować do podjęcia postowania dłuższego niż kilku-godzinowy.

M6. Sue

"Sue" to zdrobnienie od imienia "Subaidah", a także imię jakim ja i inni bliscy zwracamy się do mojej obecnej żony.

Po przybyciu do Malezji ja przelotnie widywałem Sue w miejscu swej pracy. Sue pracowała bowiem jako sekretarka Dean'a w School of Engineering, w którym ja byłem zatrudniony jako associate professor. Na poziomie prywatnym poznałem Sue w wyniku bardzo dziwnego, bo aż kilkukrotnego, jej spotkania tego samego dnia w szeregu kolejnych sklepów na Sylwestra w dniu 31 grudnia 1993 roku. Przez jakiś dziwny zbieg okoliczności, w swoich drogach po zakupach owego dnia, zarówno ja, jak i Sue, odwiedzaliśmy równocześnie aż kilka kolejnych supermarketów. Tyle że ja podróżowałem do nich autobusami, zaś Sue swoim samochodem Voltzwagon bittle. Jako pracownicy tej samej instytucji znający się z widzenia, w każdym z tych supermarketów pozdrawialiśmy się nawzajem po kolejnym spotkaniu poczym zajmowaliśmy się swoimi zakupami. W końcu, po którymś tam z kolei spotkaniu, w ostatnim z nich zaczęliśmy rozmawiać. Podczas tej rozmowy odkryliśmy, że pomimo Sylwestra i nadchodzenia Nowego Roku, żaden z nas nie ma nic w planie na ów wieczór. Dlatego postanowiliśmy, że powinniśmy pojechać razem aby oglądnąć o północy pokaz ogni sztucznych jaki tradycyjnie odbywał się na powitanie Nowego Roku na placu centralnym Kuala Lumpur. Tak też się zaczęła nasza znajomość.

Nasza znajomość z Sue była bardzo burzliwa, jednak zdumiewająco trwała. Wynikło to zapewne z mojej fascynacji charakterem Sue, który według mnie był klasycznym przykładem "totaliztycznego" nastawienia do życia. Kiedy więc znajomość ta przetrwała zarówno przez cały mój kontrakt w Kuala Lumpur i potem przez kontrakt w Borneo, oraz kiedy po osiągnięciu w Malezji wieku emerytalnego w 1999 roku Sue dołączyła do mnie w Timaru w Nowej Zelandii, zdecydowaliśmy że weźmiemy ślub. Ślub wzięliśmy w piątek, dnia 23 lipca 1999 roku, w The Registrar's Office, 48 Peterborough Street, Christchurch, New Zealand (numer naszego aktu ślubu: National Number 1999/14192). Ówo biuro obecnie już NIE istnieje, bowiem zostało zniszczone podczas trzęsienia ziemi z 2011 roku, o którym napisałem w punkcie #P6 swej strony o nazwie „[quake pl.htm](#)”.

Sue wywodziła się z części Chin który zamieszkuje mniejszość narodowościowa znana ludem "**Hakka**". Hakka mają swój własny i odmienny język, oraz swoją odmienną kulturę. Żyją bowiem w górzystym obszarze, rzadko zamieszkałym i trudno dostępnym, w którym życie jest twarde i wysoce wymagające. Stąd ów lud Hakka znany jest w Chinach z twardości i zaradności życiowej. Z kolei kobiety Hakka są wręcz legendarne w Chinach. Kiedyś podczas obiadu w Kuala Lumpur siedząca przy mnie Chinka (też będąca Hakka) zapytała mnie czy wiem, że kobiety Hakka są wysoce "**fearsome**" (tj. budzące strach) i że typowo Chińczycy się ich boją. Od owego czasu odnotowałem, że kobiety Hakka (tj. z owego chińskiego szczepu do którego należała też moja żona Sue) wzbudzały przerażenie, były hałaśliwe ale pracowite, itp. Kiedykolwiek szedłem potem z Sue na jakiś chiński targ w Kuala Lumpur, zawsze już z daleka mogłem rozpoznać które ze sprzedawczyń są kobietami Hakka i dla zabawy wskazywałem je potem Sue. Wyróżniały się one bowiem w tłumie swoją głośną mową, władczością, "ustawianiem" wszystkich wokół siebie, itp. - czyli cechami które miała też Sue. Sue potem sprawdzała i zawsze się okazywało, że miałem rację. Filozofia życiowa kobiet Hakka stwierdza mniej więcej: "whatever is important for you is also important for me", "be prepared", "think/do big".

Cechy charakteru mojej Sue były zgodne ze stereotypowymi cechami charakteru kobiet Hakka, takimi jak: kłótność, agresywność (fierceness), władczość, mściwość (branie odwetu w jakiś czas po zajściu), itp. Jednak wszystko to jest kompensowane przez jej lojalność, dobre serce, hojność, serdeczność, myślenie o innych, zaradność, pracowitość, itp. Gdybym był młodszy w czasach kiedy poznałem Sue, zapewne nasza znajomość nie zdołałaby przetrwać

M-11

owych licznych kryzysów spowodowanych zupełną odmiennością naszych charakterów. Jednak Sue zjawiała się w moim życiu w chwili kiedy miałem już wystarczająco dużo doświadczenia życiowego aby wiedzieć, że **każdy człowiek ma swoje wady i zalety**, w życiu trzeba więc się koncentrować na cieszeniu się zaletami innych ludzi oraz na nauczaniu się jak tolerować ich wady.

Sue zupełnie się NIE interesuje tym, co ja tak pracowicie badam. Stąd po kilku latach prób aby ją zainteresować, zupełnie zaprzestałem rozmawiania z nią o tym co badam i do czego w tych badaniach doszedłem. Szczerze mówiąc, to NIE była nawet zainteresowana w przeglądnięciu któregokolwiek z wideów jakie udostępniam na swej stronie "djp.htm" – chociaż jedno z nich było aż tak interesujące, że 16 lutego 2019 roku przekroczył pierwszy **milion** oglądających je ochotniczo osób, oraz chociaż podczas przeglądania ich ze mną ja mógłbym jej wyjaśniać znaczenie każdej z udokumentowanych na nich scen.

M7. Moje najciekawsze wrażenia z Malezji

Bar zakładowy „The Tavern” prowadzony w obrębie browaru „F&N - Anker Brewery” w Kuala Lumpur odwiedziłem tylko dwa razy w życiu z całoroczną przerwą pomiędzy moimi wizytami. Podczas drugiej z tych wizyt rozpoznałem barmana jakiego pamiętałem z poprzedniego roku i pochwaliłem go, że pracuje przez dwa lata w tym samym miejscu. „Ja Pana też pamiętam”, on odpowiedział. „Kiedy zamówił Pan **shandy**, natychmiast sobie przypomniałem, że był Pan już w tym barze rok temu.” W ten sposób uświadomił mi, że barmani rozpoznają swoich klientów po rodzaju napoju jaki klienci ci zamawiają. Z kolei uprzednio już słyszałem, że dentyści rozpoznają po użębieniu, zaś szewcy po kształcie nogi. Wszystko to więc oznacza, że ludzie patrzą na innych ludzi i rozpoznają ich z własnej perspektywy, która jest definiowana ich zjęciem, wykształceniem, zawodem, itp.

Węże w Malezji (cienkie i jadowite) oraz natura tego kraju. Pyton zjadł dorosłego człowieka o nazwisku Ee Heng Chuan, dnia 5 September 1995 (patrz „The Sun”, 6 September 1995, str. 7) – oraz link z początku tego „rozdziału M” do zdjęcia owego pytona zjadającego człowieka.

Nasze przysłowie mówi iż **„nie ma takiego złego co by na dobre się nie obróciło”**. Patrząc z tej perspektywy na moje perypetie w Malezji, sądzę iż fakt że życie dało mi tak wyjątkowo w kość, chyba jest dla mnie dobry - jeśli oczywiście nie skończy się tragicznie. Zauważyłem bowiem iż odkrywam obecnie prawdy i poznaję ludzi ze strony, o jakich wcześniej nie miałem zielonego pojęcia. Przykładowo, nigdy nie wiedziałem iż środowisko kształtuje ludzi (zawsze myślałem iż to ludzie zmieniają środowisko kształtując je do własnych upodobań i stylu życia) i że tzw. „duch narodu” jest dokładnym odzwierciedleniem środowiska w którym naród ten żyje. Na Cyprze natura jest typu „leż do góry brzuchem i czekaj aż co potrzebujesz przyjdzie samo do ciebie” - tacy też są i tamtejsi ludzie. W Malezji natura jest **„ugryź wszystko co słabsze od ciebie i uciekaj przed wszystkim co może ciebie ugryźć”** - dokładnie też tacy okazali się być i tamtejsi ludzie. Inną dobrą stroną faktu, że życie dało mi w Malezji okropnie w kość, to iż poznaję inne kraje w sposób w jaki nie mógłbym ich poznać w innych okolicznościach. Przykładowo odwiedzając Malezję jako turysta zobaczyłbym iż „tu jest proszę państwa duży nowy budynek, tam zaś jest mniejszy stary budynek, a tak oto proszę państwa wygląda dzika małpa”. Nigdy jednak bym wtedy nie zauważył iż architektura tego kraju odzwierciedla „ducha narodu” i każdy jej szczegół został zaprojektowany aby mówić „patrz jaki ja jestem duży i mocny zaś ty małutki i bezradny”. Prawdopodobnie też nie dowiedziałbym się iż niewinne małpeczki to groźni awanturnicy, którzy tylko szukają okazji do awantury. Wszakże ponieważ koło mojego mieszkania żyło kilka dużych małpich gramad, kilkakrotnie widziałem bijatki jednej gromady małp z innymi i wiercie mi - nie jest to dla żartów. Gdy raz szedłem z pracy, jakiemuś małpiemu samcowi widać nie spodobał się mój wygląd (byłem tam o głowę większy od lokalnych ludzi - pewno myślał iż jestem naczelnym samcem gromady maszerującej po chodniku), próbował więc mnie zaatakować ze wściekłym ujadaniem złego psa. Najgorsze było to, iż wśród małp panuje rodzaj instynktu grupowego (jaki wśród ludzi zaobserwowałem jedynie we wsi Cielcza – patrz uprzednie opisy Cielczy lub strona „[cielcza.htm](#)”). Gdy więc jeden małpi samiec na mnie naskoczył, natychmiast z trzaskaniem gałęzi zaczęły zbiegać się w naszym kierunku dziesiątki innych samców. Przez chwilę myślałem, iż to się źle dla mnie skończy. Jedynym szczęściem było, iż pomiędzy mną i tym samcem stanął płot i głęboki kanał spływowy, przez jakie nie mógł się on tak szybko przegramolić. Zdołałem więc mu umknąć. Do dzisiaj się zastanawiam co też strzeliło mu do tej małpiej łepety, że zaczął na mnie tak naskakiwać.

W piątek dnia 26 stycznia 1996 roku, wraz z Sue, jej przyjaciółką Reginą, oraz kilkoma innymi przyjaciółmi, wybraliśmy się na 3 dni do Hat-Yai w Thailandii (jedną noc spaliśmy w

M-13

tamtejszym hotelu). Wróciliśmy z powrotem wieczorem w niedzielę dnia 28 stycznia 1996 roku. Na miejscu uderzyła mnie bieda Thailandczyków, uczynienie przemyślu ze seksu i narkotyków, oraz spłylenie tradycyjnych umiejętności (np. tradycyjny 2 godzinny masarz był serwowany podczas kiedy masarzystki oglądały TV i plotkowały ze sobą).

W Malezji miałem też przygodę o której chciałbym tu poinformować. Dosłownie bowiem niemal że wziąłem śmierć w swoje ręce. Gdyby nie histeryczna reakcja Sue zapewne dzisiaj już bym nie żył. Oto cała historia. Na trzy dni, t.j. sobotę, niedzielę i poniedziałek 27-29 kwietnia 1996 roku, wybraliśmy się z Sue do Langkawi - znanej wyspy wypoczynkowej w północno-zachodniej części Malezji. Po pełnym emocji przelocie samolotem (strasznie w czasie lotu rzucało, zaś w ostatniej chwili samolot przerwał lądowanie i zarócił do Penang gdzie spędziliśmy czekając ponad godzinę aż w Langkawi poprawią się warunki pogodowe), dotarliśmy do naszego hotelu „Holiday Villa Beach Resort” zlokalizowanego tuż przy pięknej plaży na południowo-zachodnim wybrzeżu tej wyspy. Wkrótce też zaczęliśmy spacerować po złotych piaskach otaczającej hotel plaży, która jest najlepszą plażą w całym Langkawi. Na taki sam spacer wyszliśmy też i w niedzielę, 28 kwietnia. Brodząc po niemal gorącej wodzie morskiej, spostrzegłem wtedy ogromną meduzę w przybliżeniu wielkości cynowego wiadra do studni na Wszewilkach. Była cała czerwona jak galaretka pożeczkowa - kolor bardzo dziwny jak na meduzę (zwykle meduzy są przezroczyste jak galareta z zimnych nówek wieprzowych). Wyglądała jakby chora lub umierająca. Fale zwolna zmywały ją ku piaskowi plaży. Zrobiło mi się jej żal, że wkrótce zginie wyrzucona falami na piasek, pochyliłem się więc nad nią i powiedziałem do Sue, że wezmę ją na ręce i wyholuję na głębszą wodę. Reakcja Sue nieco mnie zaszokowała, bowiem zaczęła się drzeć abym uciekał bo meduzy są niebezpieczne. Odeszłem więc od niej na kilka kroków, jednak przez dłuższą chwilę patrzyłem czy zdoła uniknąć wyrzucenia na piasek. Potem, wobec histerycznego zachowania Sue, która panicznie tupiała w miejscu przy skraju wody i przynaglała mnie krzykami do ucieczki, kontynuowaliśmy spacer - ja brodząc po wodzie, Sue idąc po piasku. O całej sprawie zapomniałem aż do powrotu do Kuala Lumpur, kiedy to z gazet się doczytałem, że identyczna meduza, niemal dokładnie w tym samym miejscu gdzie ja ją spotkałem, uśmierciła w ten sam dzień (niedzielę) aż dwoje ludzi. Gdybym więc uległ pokusie i wziął na ręce owo stworzenie aby wynieść je na głębszą wodę, z uwagi na krótką drogę jadu z rąk do serca (paralizowanego przez jad tej meduzy) zapewne dzisiaj już bym nie żył. Malezja ma wiele bardzo niebezpiecznych stworzeń i wielu równie niebezpiecznych ludzi!

W niedzielę, dnia 19 maja 1996 roku, pojechałem zobaczyć słynne jaskinie w północnej części Malezji. Zaatakowała mnie wtedy pijawka, zaś moja dłoń pokryła się proszkiem złota - szkoda że NIE odnotowałem w którym dokładnie miejscu jaskini jaką eksplorowałem owo złoto dostało się na moją rękę - być bowiem może, że złota tego było tam znacznie więcej.

Ludzie jeśli są już razem wtedy oddzielają się płotami, jeśli zaś są oddzieleni, wtedy budują mosty aby się połączyć.

M8. Folklor malezyjski

W Malezji relatywnie często brałem udział w wydarzeniach związanych z folklorem owego kraju. Wymieńmy więc teraz kilka przykładów takich wydarzeń. Jednym z nich był „Emperess Dinner” - czyli rodzaj uczyty w stylu "chińskich władców", w którym wziąłem udział w 1996 roku. Kosztował on \$M100 od każdej z 10 biesiadujących osób.

Innym przykładem było wesele Mr. Victor Poh Hong i Ms. Julia Noh-Jin (córka Reginy Low) w niedzielę dnia 4 grudnia 1994 roku (koszt samego przyjęcia dla 400 osób wynosił około 20,000 M\$, 9 dań).

Reprezentacyjne dla folkloru są też ciekawe przysłowia ludowe powszechnie powtarzane w Malezji, np.: „**fences eat your paddy**”, „**a good horse never returns again to its old pastures**”, itp.

M9. Przeżycia religijne

Natura Malezji jest ekstremalna. Wszystko tam działa na "pełną moc", np.: pioruny, deszcze, roślinność, owady, zwierzęta. Wygląda też na to, że owa ekstremalizacja natury powoduje ekstremalizację cech ludzi oraz pojawienie się bardziej zdecydowanych niż gdziekolwiek indziej zjawisk paranormalnych, supernaturalnych i religijnych. Ja albo sam byłem świadkiem, albo też słyszałem od innych ludzi, wielu przypadków takich niezwykłych zjawisk. Opiszę więc teraz kilka ich przykładów. Oto one:

Folklor ludowy Malezji wykazuje respekt i poszanowanie dla duchów wszystkich istniejących obiektów, takich jak drzewa, kamienie, meteoryty, itp. Stąd Malezyjczycy stosują w swych działaniach wiele zakazów i nakazów służących okazywaniu tego respektu. Ich przykładami są zakazy typu „nie siusiaj w lesie”, „w dżungli nie wołaj nikogo po imieniu” (bowiem "duchy dżungli" podchwycą to imię i będą wywoływały tę osobę aby zginęła w głuszy), itp. Moja żona Sue miała przykry przypadek z takimi duchami. Jako mała dziewczyna bawiła się pod drzewem, które używane było dla "czarnej magii". Natychmiast po tym zachorowała i w majaczeniach widziała jakieś „duże kurczaki” które ją prześladowały. Potrzebny był specjalny rytuał aby przywrócić ją do zdrowia.

W piątek, dnia 31 maja 1996 roku, uczestniczyłem wraz z przyjaciółmi w „religijnej procesji” z okazji uroczystości „Wesak Day” - czyli w urodzinach Buddy. (Ów dzień "commemorates the birth, enlightenment, and death of Lord Buddha more than 2,540 years ago".) Na rydwanach (chariot'ach) z posążkami Buddy zaznaczony był wtedy kolejny rok buddyjski, t.j. rok 2540. Wieczorem tego piątku, przy pełnym księżycu świecącym na nas z nieba, maszerowaliśmy ogromną kolumną przez Kuala Lumpur, poczynając od Buddhist Temple na Brickfields aż poza Selangor Royal Club do Sogo, oraz z powrotem. Każdy z nas trzymał płonąca świecę w ręku. Było nas czterech razem, t.j. ja, Sue, Regina i Esther Ling. Oprócz mnie w pochodzie uczestniczyło też i kilku innych „kłailoś” („kłailoś” to chińskie słowo oznaczające "białego człowieka" czyli Europejczyka – dosłownie znaczy ono "biały diabeł"). Zaczęliśmy jako ostatni w pochodzie, a tuż przed zatrzymaniem się na „drink” w KFC, dogoniłem pierwszy z chariotów, ciągnięty przez kilku chłopaków. Maszerowaliśmy bardzo szybko, tak że po drodze wyprzedziliśmy około 10 chariot'ów.

To mniej-więcej też w owym czasie sobie uświadomiłem, że w swoim życiu zawsze byłem „guided” (tj. "nadzorowany i prowadzony") przez Uniwersalny Intelkt (Boga). Miałem okazję doświadczyć wiele dowodów na istnienie owego „guiding” - niektóre z nich są jak następuje:

- Cokolwiek wynalazłem lub odkryłem zawsze na krótko po tym pojawiało się w moim zasięgu jakieś osobiste i skierowane wyłącznie do mnie potwierdzenie, że to co odkryłem jest prawdą. Niesytety, owe potwierdzenia zawsze ograniczały swój zasięg do poziomu na jakim dokonałem danego odkrycia. Jeśli więc dane odkrycie miało jeszcze jeden (następny i jeszcze wyższy) poziom, wówczas potwierdzenie nic NIE sugerowało o istnieniu owego wyższego poziomu. (Na odkrycie tego następnego poziomu sam musiałem sobie zabracować zupełnie od początku.) Ilustratywnym przykładem jest tutaj symulacja "okupacji Ziemi przez szatańskich UFOonautów", którą to symulację okupacji odkryłem jeszcze w czasach swoich badań UFO w Dunedin. W czasach mojej profesury w Malezji otrzymałem wiele osobistych potwierdzeń, że owa okupacja Ziemi jest faktem (przykładowo, moje mieszkanie bez przerwy było tam nachodzone przez UFOonautów, pod moim oknem pojawiły się dziesiątki trwałych lądowisk UFO jakie fotografowałem i pokazywałem znajomym, ktoś niewidzialny głośno wmaszerował do mojego biura na University Malaya, itp). Jednak żadne z owym osobistych potwierdzeń nie dało mi do zrozumienia, że ową okupację Ziemi przez szatańskich UFOonautów "symuluje" sam Bóg – ten następny poziom w moim odkrywaniu kompleksowej sytuacji w sprawie owej okupacji musiałem dopiero sam odkryć w Korei w 2007 roku.

M-16

Oczywiście, po jego odkryciu ponownie potem otrzymałem osobiste potwierdzenia, że jest on prawdą.

- Całe życie mieszkałem w zasięgu krótkiego pieszego przejścia do miejsca pracy, tak że nie musiałem tracić czasu na dojazdy i na podróże do pracy, a mogłem się koncentrować na samej pracy i na badaniach.

- Gdziekolwiek życie mnie rzuciło, zawsze był w tym jakiś ukryty i istotny cel na dodatek do mojej pracy zawodowej (tj. cel aby czegoś ważnego i wpływającego na wyniki moich badań dać mi doświadczyć, nauczyć i zobaczyć).

- Wszyscy moi znajomi byli mi „dawani” (ja nie miałem dużo wpływu na ich wybór) i zawsze coś ważnego wnosili oni do mojej wiedzy i do mojego życia. Dotyczy to też wszystkich moich przyjaciółek jakie (w kilku przypadkach za pomocą raczej negatywnego przykładu) zawsze pomagały mi odkryć jakąś istotną prawdę życiową.

- Znajomi i przyjaciele jacy byli mi podsuwani przez nadrzędną moc, zawsze okazywali się niezwykłymi ludźmi, którzy dodawali znaczący wkład po poziomie mojego ucywilizowania i świadomości. Przykładowo, jednym z moich bliskich przyjaciół stał się faktyczny pełny generał i „commander in chief” (czyli przywódca), na dodatek obrzucany rozlicznymi honorami, tytułami i odznaczeniami. Dzięki temu rozmowy z nim zawsze okazywały się fascynujące i otwierające oczy.

Owo prowadzenie mnie za rękę, czy też „pokierowanie moim życiem” staje się dosyć jasne i pewne właśnie po przeglądnięciu moich losów życiowych opisywanych w tej autobiografii.

M10. Spotkania z nadprzyrodzonym

Malezja przepelniona jest paranormalnymi zjawiskami. Najbardziej wstrząsające z nich po raz pierwszy w życiu doświadczyłem w czwartek, dnia 27 stycznia 1994 roku (w następnych latach też wziąłem w nim udział ponownie i to aż kilka razy). Było to największe doświadczenie mistyczne przez jakie przeszedłem w swoim dotychczasowym życiu. Każdego roku o owej porze indyjscy wyznawcy religii Hindu posiadają w Kuala Lumpur swój doroczny rytuał zwany „**Thaipusam**”. Odbywa się on w systemie świętych jaskiń położonych na przedmieściu Kuala Lumpur i zwanych „Batu Caves”. Rytuał poświęcony jest Bogu Muruga (jest to ów Bóg czasami pokazywany z sześcioma twarzami i sześcioma parami rąk) – jego zdjęcie u wejścia do Batu Caves pokazałem na „Fot. #1” ze swej strony o nazwie „[parasitism pl.htm](#)”. Podczas jego obchodzenia kapłani Hindu przebijają ciała wyznawców ostrymi obiektami (nazywanymi „**vel**”) - patrz przykłady jakie pokazałem na zdjęciach z „Fot. #E4ab” swej strony o nazwie „[soul proof pl.htm](#)”. Obiekty te przechodzą przez ich skórę, mięśnie, języki, policzki, jednakże ku zaskoczeniu wszystkich obecnych krew wcale nie płynie. Potem ludzie z tkwiącymi w ich ciałach owymi ostrymi przedmiotami, pozostając w jakimś rodzaju głębokiego transu religijnego czy euforii, cały czas tańcząc po indyjsku, przemierzają długą drogę po 272 stopniach wiodących w górę do wnętrza świętych jaskiń „Batu Caves”. Wewnątrz Batu Caves inni kapłani usuwają z nich ostre obiekty i wszystkie rany natychmiast znikają. Nie pozostaje nawet najmniejszy znak na skórze, że był w tym miejscu jakiś ostry obiekt przenikający daną osobę. Poprzez przejście przez ofiarę przebijania swoich ciał owymi ostrymi obiektami wyznawcy Hindu poświęcają się Bogu Muruga w zamian za jakiś cudowną przysługę jaką poprzednio otrzymali oni od tego Boga (np. uleczył on ich z jakiejś poważnej choroby, dał im długo oczekiwane dziecko, uratował życie, itp.).

Po przylocie do Malezji słyszałem wiele niezwykłych opowiadań o owym szokującym rytuale Hindusów. Moja ciekawość wzrosła jeszcze bardziej kiedy dowiedziałem się, że obecnie Malezja jest jedynym krajem w świecie gdzie ciągle można zobaczyć ciała zwykłych ludzi przekłuwane bezkruwawo przy pomocy takich ostrych obiektów, ponieważ w samych Indiach rząd podobno zabronił tego typu praktyk religijnych. Można więc sobie wyobrazić moje głębokie zaciekawienie, gdy wczesnym rankiem 27 stycznia 1994 roku, osiągnąłem „Batu Caves” aby być jednym z prawie miliona widzów przybyłych tam dla zaobserwowania tego dorocznego rytuału.

Pierwszą rzeczą jaką zobaczyłem po dotarciu na miejsce była lokalna rzeczułka szerokości mojej rodzinnej Baryczy, pełna rytualnie obmywających się ludzi. Byli to wyznawcy Hinduizmu biorący właśnie rytualną kąpiel zanim poddadzą się przebiciu swych ciał ostrymi obiektami zwanymi przez nich „**vel**”. Powinienem tu dodać, że większość tych ludzi stanowiły młode i bardzo piękne indyjskie kobiety ubrane w swoje żółte, cienkie, przewiewne stroje religijne, odpowiednie dla tej szczególnej okazji. Kiedy owe kobiety zanurzały się w rzece dla pobrania swej rytualnej kąpeli, ich cienkie ubiory stawały się całkowicie przezroczyste i szczelnie przylegające do ich kształtnych ciał (w Malezji większość żyjących tu kobiet Indyjskich posiada bardzo piękny i kształtny wygląd). Większość więc ich kobiecych szczegółów zaczęła być doskonale widoczna. Muszę więc tu wyznać że podczas obserwowania tej rytualnej kąpeli byłem raczej daleki od religijnych myśli i miałem dosyć ziemskie pomysły i życzenia. Po zakończeniu obmywania, wszyscy wyznawcy Hindu przechodzili do swoich kapłanów, którzy na brzegu rzeki dokonywali przygotowania ich do drogi. Ja także przemieściłem się bliżej aby zobaczyć co się dzieje. Jednakże zdążyłem oglądnać tylko dwóch ludzi przechodzących „przygotowanie” do drogi, bowiem gdy kapłan wziął ogromny nóż i zaczął kroić język drugiego wiernego na trzy paski, prawie że zemdlałem. Aby więc nie zawstydząć się publicznym omdleniem musiałem szybko odsunąć się od tego miejsca i patrzeć na inne rzeczy.

M-18

Pierwszą kobietą przechodzącą „przygotowanie” do swej drogi, jaką obserwowałem, była piękna dziewczyna Indyjska w wieku około dwudziestki. Wyglądała bardzo nieśmiała i pokorna. Kiedy kapłan Hinduski podszedł do niej, zamknęła oczy, złożyła ręce i zaczęła modlić się w milczeniu. Grupa jej wspieraczy i pomocników (około sześciu jej bliskich krewnych i przyjaciół) jaka przyszła z nią razem aby udzielać jej pomocy w tej niezwyklej ofiarze religijnej, stanęła cicho za nią gotowa do pomocy w tym co miało nastąpić za chwilę. Młody kapłan Hinduski zaczął szeptać swoje modlitwy trzymając usta blisko twarzy dziewczyny (ona potakiwała i odpowiadała sylabami jakby potwierdzając jego słowa), potem zaś dotknął jej czoła dokładnie pomiędzy brwiami. Owo dotknięcie miało szokujący efekt i dziewczyna wyglądała jakby uderzona piorunem. Upadła na swój grzbiet rzucona do tyłu jakimś rodzajem siły, i jedynie grupa jej pomocników oczekująca z tyłu w gotowości do działania pochwyciła ją w locie zabezpieczając w ten sposób przed upadkiem na ziemię. Po chwili czegoś, co wyglądało mi jakby zemdlecie, osłupienie, lub wpadnięcie w głęboki szok, rodzaj nowej energii nagle wstąpił w ciało tej cichej dziewczyny. Jej twarz wykrzywiła się w jakimś niezwykle grymasie i zaczęła wyglądać jak twarz pokazywana na rysunkach owego Boga Hinduskiego (t.j. bardzo dzika i przerażająca swym wyglądem). Jej normalnie czarne i proporcjonalne oczy nagle wyszły prawie całe na wierzch i wyglądały jak dwie ogromne białe kule wystające z twarzy. Jej całe ciało zaczęło się napinać i wyginać jak wąż i dziewczyna zaczęła wyczyniać niezwykle i bardzo gwałtowne gesty jakie przypominały mi poskręcane pozy przyjmowane na obrazach przedstawiających Bogów Hinduskich podczas ich religijnego tańca. Podczas gdy ja stałem zatkany i patrzyłem w osłupieniu, moja lokalna przewodniczka wyjaśniła mi, że Bóg Muruga właśnie wszedł w ciało dziewczyny. W tym momencie pomocnicy dziewczyny zaczęli bić szybko i gwałtownie w swe bębny. Brzmiało to trochę jakby bicie naszych serc wzmocnione przez silny megafon. Bębny dudniły szybciej i szybciej „**tam-przerwa-tam-tam-przerwa-tam-przerwa-tam-tam-przerwa...**”. Ja sam zacząłem czuć się niezwykle dziwnie niemal jakby też wpadając w trans. Jeden z pomocników dziewczyny podał kapłanowi talerz na którym leżała igła do robienia na drutach. Kapłan przywołał gestem dziwnie tańczącą dziewczynę aby podeszła do niego bliżej. Ona posłuszenie wykonała polecenie i pokazała mu swój język. Kapłan uchwycił jej wystawiony język w swoje palce i z wolna zaczął przebijać go tą długą szpilką do robienia na drutach. Ja byłem zajęty fotografowaniem całego zdarzenia, niemniej ciągle zacząłem czuć się raczej miękki w kolanach. Dziewczyna nie pokazała żadnego znaku bólu, ani też najmniejszy ślad krwi nie popłynął z jej okrutnie przebijanego języka. Potem kapłan wziął od innego jej pomocnika gorący garnek gliniany z wieloma małymi otworkami na wszystkich bokach, w którym palił się ogień. Ponieważ garnek ten był rozpalony z gorąca, ów pomocnik dziewczyny niósł go na stosie liści aby nie popalić sobie ręk. Dziewczyna wyciągnęła swoją rękę i kapłan położył palący garnek na jej dłoni. Żaden dym nie wleciał z jej skóry, ani też dziewczyna nie pokazała nawet najmniejszego znaku bólu. Potem kapłan odprawił dziewczynę w jej drogę do świętych jaskiń rodzajem gestu błogosławieństwa. Dziewczyna znowóż zaczęła tańczyć w jakiś niezwykle nienaturalny sposób pokazywany na rysunkach Bogów Hinduskich. Potem zaczęła ona swoją podróż w religijnym transie do wnętrza świętych jaskiń, akompaniowana przez wszystkich jej pomocników i wspierające ją osoby, bijących raptownie w bębny i wykrzykujących zgodnie „vel”, „vel”. Ja pozostałem z tym samym kapłanem, aby zobaczyć jak przygotowuje on do drogi kolejną osobę.

Następną osobą jakiej przygotowywanie obserwowałem był młody chłopak w wieku około dwudziestki. Zauważyłem, że podszedł on do kapłana z widocznym strachem - i gdyby nie duża grupa jego popleczników i członków rodziny popychająca go do przodu prawdopodobnie uciekłyby z powrotem do domu zamiast poddać się temu niezwyklej rytuałowi. Na początku wszystko wyglądało podobnie jak z poprzednią dziewczyną. Gdy kapłan dotknął jego czoła, także z ogromną siłą coś rzuciło go do tyłu, zaś przed upadkiem na ziemię powstrzymali go tylko jego pomocnicy czekający w tym celu z tyłu. Po chwili on też

M-19

przeszedł szokującą transformację, zmieniając swój wygląd i kształt aby upodobnić się do Boga Muruga, poczem zaczął on swój niezwykły taniec w pełnym transie. Kapłan gestem przywołał go bliżej, jednakże zamiast od razu przebić jego ciało ostrymi „vel”, najpierw wyciągnął ogromny, ostry, połyskujący nóż z pochwy (właściwie to był to rodzaj szabli, tyle że z rękojeścią zwykłego noża kuchennego) i podniósł go w powietrze w rodzaju gestu pokazu a jednocześnie błogosławieństwa. Otaczający widzowie zawyli z entuzjazmu, zaś pomocnicy chłopaka zaczęli bić w bębny. Mnie zamurowało i nie znalazłem nawet siły aby podnieść swój aparat do oka. Kapłan uchwycił język chłopaka w swoje palce i trzema powolnymi cięciami zaciął go poprzecznie poczym ułożył na brodzie chłopaka w rodzaj trzech schodzących w dół schodków. Chociaż nie popłynęła przy tym żadna krew i chłopak nie pokazał żadnego znaku bólu, sam fakt sieczkowania czyjegoś języka ogromnym błyszczącym nożem był dla mnie takim szokiem, że zrobiło mi się niedobrze. Aby więc nie zemdleć musiałem gwałtownie się oddalić i zająć swój umysł czymś innym. Zacząłem więc iść w kierunku jaskini razem z innymi, już przygotowanymi wyznawcami Hindu, akompaniując im w drodze i obserwując ich niezwykle zachowanie.

Droga w górę do jaskiń tych wszystkich wyznawców wyglądała niezwykle i szokująco. Ich ciała przebite były różnymi ostrymi „vel”. Niektórzy mieli policzki przebite ogromnymi (t.j. około metrowej długości i grubości koło 5 mm) jakby igłami lub widelcami z rożen, w niektórych przypadkach niosąc dwa a nawet trzy takie obiekty wbite w swoje twarze. Inni mieli wiele ogromnych, ostrych jakby haków stalowych zaczepionych za fałdy skóry na swoim grzbiecie, ciągnąc ciężkie łańcuchy doczepione do tych haków. Jeszcze inni mieli jedynie swoje języki przebite przez długie szpilki do robótek na drutach. Nikt jednak nie krwawił ani nie pokazywał najmniejszego znaku bólu. Wprost przeciwnie, jakby dla zaprzeczenia swojego bolesnego wyglądu, wszyscy oni znajdowali się jakby w stanie absolutnej szczęśliwości czy euforii religijnej, tańcząc cały czas podczas tej drogi w górę po 272 stopniach wiodących do Batu Caves. Taniec ten był jakiś niezwykle, nienaturalny, polegający na wyginaniu się na boki jak węże i podrygiwaniu w prawie spazmatycznych skurczach z charakterystycznymi gestami przypominającymi powykręcane postawy ukazywane na obrazach bogów Hinduskich. Pomocnicy towarzyszący każdemu z wyznawców produkowali głośną muzykę, jakiej rytm powtarzał odgłos bicia naszych serc. Wszyscy wykrzykiwali chórem „vel”, „vel” w takt tej muzyki. Powietrze pełne było dymu kadzideł, jakich silny zapach przyprawiał mnie o mdłości. Niektórzy z wyznawców, zwykle kobiety, co jakiś czas omdlewały z wyczerpania i duszności, jednakże ich pomocnicy podtrzymywali je przed upadkiem i podnosili z powrotem. Po kótkim masarzu i odpoczynku na rękach swych pomocników znowu zaczynały one zwijać się jak węże i podrygiwać w swym niezwykłym tańcu, ruszając w dalszą drogę. Cała droga dosłownie upakowana była setkami tysięcy wyznawców i widzów jak ja. Stąd pokonanie odległości zaledwie kilkuset metrów zajmowało dobrze ponad godzinę zanim wyznawcy i towarzyszące im osoby dostawały się do wnętrza świątych „Batu Caves”.

Kiedy ja też tam dotarłem, obraz jaki zobaczyłem przypominał mi trochę stare wyobrażenia piekła. Ogromne ogniska ofiarne paliły się dookoła zaś gęsty dym kadzideł gryzł oczy i prawie uniemożliwiał oddychanie. Wszędzie piętrzyły się stosy ofiarnych orzechów kokosowych (przez Hindusów uważanych za święte owoce ofiarne). Wzdłuż ścian zalegały setki upośledzonych, kalekich i brudnych żebraków wyciągających swoje puszkę po daninę. Wnętrze jaskiń dosłownie upakowane było ciałami poprzebijanymi najróżniejszymi ostrymi obiektami. Było ich tak dużo, że kapłani nie nadążali z usuwaniem wszystkich obiektów od nowoprzybyłych wyznawców. Stąd wielu wiernych musiało wyczekiwać godzinami zanim przyszła ich kolej na usunięcie „vel”. Po cierpliwym wyczekiwaniu wyznawcy przechodzili teraz odwrotny proces. Kapłani najpierw usuwali ostre przedmioty z ich ciał. Po wyciągnięciu tych przedmiotów rozdarło ciało natychmiast schodziło się spowrotem zaś wszelki ślad po rozdarciu zniknął tak szybko iż nie potrafiłem nawet zauważyć procesu jego zanikania. Aby zaznaczyć miejsca uprzednich otworów w ciele, kapłani przykładali na owe miejsca święty biały proszek,

M-20

tzw. „**vibudhi**” (który w rzeczywistości jest miłkim popiołem po spalonym krowim gównie dokładnie wysuszonym przed spaleniem). Potem kapłani kładli kawałek palącej się kamfory na języki wiernych. Kamfora ta powodowała iż Bóg Muruga gwałtownie opuszczał ich ciała. W chwili jego odejścia znowu upadali oni gwałtownie na swoje grzbiety, pochwytywani w locie przez ich pomocników którzy oczekiwali z tyłu w gotowości do akcji. Po upadku budzili się z transu, żaden z nich jednak nie pamiętał co właściwie się stało. Także nie było nawet najmniejszego znaku na skórze w miejscach gdzie poprzednio ostre „vel” przenikały ich ciała (ja sprawdziłem osobiście kilku wiernych, czy taki znak na nich pozostał). Wyznawcy spędzali jeszcze chwilę we wnętrzu „Batu Caves” dla odbycia swoich modlitw, poczym odchodzili do domu. Ich niezwykła ofiara dla Boga Muruga była skończona.

W tym miejscu muszę przyznać że całe to widowisko pozostawiło na mnie niezatarte wrażenie. Było ono dla mnie jednym z uczuciowo najsilniejszych religijnych doznań przez jakie przeszedłem w swoim życiu. Faktycznie to nawet powinienem się tu przyznać, że gdybym już poprzednio nie wierzył w Boga zanim zobaczyłem to wszystko, napewno bym zaczął wierzyć po tej obserwacji (z powodu niezwykle przekonywującego charakteru tego co tam ujrzałem). Nigdy przedtem bowiem nie widziałem na własne oczy ostrych obiektów będących wbijanych w ciała najzwyczajszych ludzi bez czynienia im szkody a nawet bez pozostawienia najmniejszego znaku. Najważniejszą informację jaką zdołałem uzyskać przez to przeżycie, to że nie jest ważne pod jaką nazwą ktoś wierzy w Boga oraz jaką religię wyznaje. Jeśli tylko wiara ta jest silna i szczerą, Bóg zawsze zdaje się wysłuchiwać swoich wyznawców i podtrzymywać ich wiarę odpowiednimi przysługami oraz symbolami.

W następnych latach po owym pierwszym moim uczestnictwie w indyjskim święcie „**Thaipusam**”, ponownie uczestniczyłem w nim aż kilka razy. Przykładowo, następnym bo drugim razem obserwowałem to święto we wtorek dnia 17 stycznia 1995 roku (zawsze odbywało się ono bowiem w czasie pełni księżyca).

* * *

Kolejnym niezwykłym zdarzeniem w jakim też brałem udział jako postronny obserwator było chodzenie po ogniu, czyli „firewalking”. Po raz pierwszy widziałem je w chińskiej świątyni wyznawców religii „**Taoizm**” w dniu 13 listopada 1994 roku (tj. w czasie ichniego święta 9 bogów). Owi chodzący po ogniu też byli najpierw wprowadzani w rodzaj hipnotycznego transu. Potem przechodzili gołymi stopami przez długi na jakieś 10 metrów „chodnik” wykonany z rozżarzonych do czerwoności węgli drewnych, w końcu przechodzili jeszcze jeden proces budzenia ich z transu. Kiedy przechodzili gołymi stopami po owym „chodniku” z gorejących węgli, biło od niego aż takie gorąco, że ja stojąc w odległości około 5 metrów od chodnika aby pstryknąć zdjęcia, musiałem zakrywać twarz bo żar bijący od niego palił moją skórę. Owi zaś ludzie w transie chodzili po tym żarze gołymi stopami i wielu z nich nie miało na sobie nawet koszuli. Zdjęcia z tego chodzenia po ognistych węglach pokazałem na „Fot. #E3ab” ze swej strony internetowej o nazwie „[soul proof pl.htm](#)”.

* * *

Inne zjawiska paranormalne jakie poznałem w Malezji, to: malezyjscy „bomoh” (po angielsku zwani też „voodoo” albo „witch doctors”) i uprawiana przez nich magia - np. powstrzymywanie deszczu podczas każdej co bardziej istotnej uroczystości, magiczne zabijanie, upiększanie ciał zanikającymi „złotymi igłami”, itp. Przykładem ich magicznych działań była śmierć pięknej kuzynki Sue, na którą nałożył śmiercionośną magię jej odrzucony kawaler. W owych czasach w Malezji umierała też znana aktorka ze złotymi igłami w twarzy – nie była jednak w stanie umrzeć aż owe igły zostały z niej usunięte. W Malezji istniały też „nawiedzone” (tj. „possessed”) domy, śpiący w których ludzie budzili się poza sypialniami – jeden z takich właśnie domów istniał niedaleko od mojego mieszkania. Kompas University Malaya posiadał również duchy ponieważ podczas okupacji Japończycy mieli rodzaj cmentarza na rozdrożu pod naszym fakultetem (o cmentarzu tym opowiadał ojciec technika, Indyjczyka o nazwisku Sanavara – byli tam pogrzebani ci którym Japończycy odcinali szablami głowy).

M-21

W krzakach przy biurowcu w którym znajdował się mój gabinet, umarła para samobójców. Mianowicie około 1970 roku znaleziono tam pracownika naszego Fakultetu. Był już nieżywy od dwóch dni po zażyciu „przedozowanych” tabletek nasennych. Umarł on w gęstych krzakach w towarzystwie swojej bratanicy – ta jednak ciągle przeżyła, tyle że w międzyczasie poroniła swe dziecko kiedy tak leżeli w buszu. Przyczyną ich śmierci był strach przed skandalem z powodu ich **'incestu'** (tj. stosunku seksualnego pomiędzy bliskimi krewnymi). Od tego czasu zaczęły występować nieustanne kłopoty w naszym biurowcu - przykładowo eksplozowanie szybko-wirującego koła zamachowego w dniu 28/7/94 (tj. w czwartek) o godzinie 14:08, które ja sam widziałem, powtarzalne pożary; dziwne kroki i cień w oknach szafek jakie ja sam słyszałem wkrótce po objęciu swego biura, itp.

Na dodatek do powyższego, wysoce niezwykle rzeczy działy się w moim mieszkaniu w Malezji – np. owo wolne pulsowanie wyłączanego w kontakcie światła - które kiedyś zamurowało Sue, powtarzalne zerowanie moich budzików z LED, palenie się urządzeń elektrycznych – w tym komputera i zegara, znikanie aż kilku łyżek z kuchni, raptowne odłączenie przez „coś” od prądu (tj. wyrwanie z kontaktu) wtyczki kabla pracującej właśnie pralki, itp.

Rozdział N:

Miasto KUCHING, BORNEO, SARAWAK (1996-1998) (PROFESURA (Associate Professor) na UNIVERSITI MALAYSIA SARAWAK - UNIMAS)

Niemal przez cały okres swego pobytu na kontrakcie profesorskim w Kuala Lumpur prowadziłem poszukiwania swojej następnej pracy. W tym celu napisałem i wysłałem listownie (wówczas nie było bowiem jeszcze emailowego składania podań o pracę) ponad 200 podań o pracę. Wszystkie one okazały się bezowocne. W końcu mój znajomy Niemiec też wykładający w Kuala Lumpur w Instytucie Niemiecko-Malazyjskim skontaktował mnie z dziekanem Wydziału Mechanicznego na UNIMAS z Kuching na Borneo (tj. na Uniwersiti Malaysia Sarawak), który właśnie wynajmował wykładowców. Po odbyciu spotkania, dziekan ten przyznał mi stanowisko Associate Professor na swoim wydziale. (W marcu 2019 roku uczelnia ta miała stronę internetową o adresie: <http://www.unimas.my/> .) Miałem zacząć od dnia 1 November 1996 roku, przy czym obiecał mi, że zaprosi mnie jeden miesiąc wcześniej w charakterze tzw. "Visiting Professor".

Po zakończeniu kontraktu profesorskiego w Kuala Lumpur, na czas owej przerwy przed podjęciem następnej profesury na Borneo poleciałem na krótko do Nowej Zelandii (tj. na okres od 22 lipca do 23 sierpnia 1996 roku). Swój lot powrotny dokonałem poprzez Auckland, bowiem w tamtejszym konsulacie USA chciałem uzyskać wizę do USA. Zatrzymałem się w hotelu w centrum Auckland. Jak się jednak potem okazało, wizy tej nie wbijali od razu, a musiałem pozostawić mój paszport w konsulacie USA. W Dunedin zatrzymałem się ponownie w domu Miss Lynlee. Swój pobyt zacząłem od zarejestrowania samochodu - który pozostawał wówczas wyrejestrowany od czasów jego wysłania do Malezji i z powrotem. Potem wspólnie z przyjacielem A.J. Huddy zbudowaliśmy metalową szopę na jego działce budowlanej, w którą to szopę zeszkładowałem potem całą swoją własność jaką uprzednio trzymałem w domu Miss Lynlee. W końcu, po powrocie mojego paszportu z konsulatu USA, poleciałem z powrotem do Kuala Lumpur, bowiem w Dunedin NIE miałem nic interesującego do roboty i okropnie się tam nudziłem. Podczas wejścia do Malezji wbili mi 2 miesiące pozwolenia na pobyt turystyczny. Przed udaniem się do Sarawak wyjechaliśmy z Sue do Singapore na 3 dniowe wakacje – które zresztą okazały się być bardzo przyjemne. Od owego czasu, kiedykolwiek miałem kilka dni wolnych, a byłem w pobliżu Singapore, wówczas wybierałem się tam ponownie – w tym także na 3 dniowy weekend w sierpniu 2019 roku – tj. w czasie kiedy zawiesiłem swe prace nad niniejszą autobiografią.

N-2

N1. Moje życie w Kuching (zaraz po profesurze w Kuala Lumpur)

W dniu 1 października (October) 1996 roku poleciałem więc do Kuching aby objąć swoją nową pozycję. Po przylocie do Sarawak na lotnisku spotkał mnie kierowca, który zawiózł mnie do hotelu Hilton położonego na słynnym "waterfront" z Kuching. W owym hotelu mieszkałem luksusowo przez 5 pierwszych dni. Każdego z owych pierwszych pięciu dni kierowca zabierał mnie samochodem Mercedes na Uniwersytet, zaś po pracy odwoził mnie z powrotem. W dniu 6 października 1996 roku przygotowano mi mieszkanie na samym kampusie, w którym mieszkałem przez następny miesiąc. Przygotowywałem wtedy głównie sylabus dla studiów na wydziale mechanicznym. Niestety, ów sylabus wcale NIE został potem ani zaakceptowany ani wdrożony.

Po zakończeniu jednomiesięcznej "wizyty", od 1 listopada 1996 roku zacząłem swój dwuletni kontrakt w UNIMAS na stanowisku **Associate Professor**. Ponieważ przepisy zakwaterowania były wówczas już inne, najpierw zamieszkałem przez około miesiąc w domku za lotniskiem w Kuching, potem zaś wynająłem sobie mieszkanie w przedmieściu Kuching zwanym 10 Miles.

Ten mój dwuletni kontrakt na stanowisko Associate Professora, który podpisałem w 1996 roku z **University of Malaysia Sarawak** z pięknego miasta Kuching w malezyjskiej prowincji Sarawak na tropikalnej wyspie Borneo, był moim ostatnim kontraktem z pierwszej fazy mojej tułaczki poza granicami Nowej Zelandii "za chlebem". Ten kontrakt dał mi poznać jak wspaniała jest natura w tropiku, oraz jak serdeczni i przyjacielscy są ludzie żyjący blisko tej natury. Ludzie na Borneo byli aż tak przyjaźni i aż tak mili, oraz czynili moje życie aż tak przyjemnym, że gdybym mógł chętnie zostałbym tam przez resztę swego życia. To tam też doświadczyłem wspaniałego zjawiska wielomiesięcznej nieustannej nirwany, które opisałem na swej stronie "[nirvana.pl.htm](#)" - o totaliztycznej nirwanie.

Mój pobyt w Kuching na Borneo był bardzo interesujący. Ludzie na Borneo są bardzo mili i uczynni. Jako tacy drastycznie różnią się oni od zabieganej ludności Kuala Lumpur. W Kuching mieszka też wielu ludzi zwanych **Dayak** – czyli członków dwóch dosyć niezwykłych szczepów miejscowej ludności. Owi Dayak dzielą się na dwa zasadnicze szczepy, mianowicie na "**Morskich Dayak**" - zwanych także "**Iban**", oraz na "**Lądowych Dayak**" - zwanych także "**Bidayuh**". Tylko jednak ludzie ze szczepu "Bidayuh" przedstawiają się innym jako Dayak, owi bowiem drudzy wolą siebie nazywać Iban. Lud Dayak słynie z mądrości, zaś ich kobiety uważane są za najpiękniejsze w świecie. Faktycznie też owe miniaturowe i kształtne kobietki ze szczepu Bidayuh wszystkie wyglądają jak niezwykle piękne siostry bliźniaczki – wszystkie bowiem z nich są bardzo do siebie podobne.

Niezależnie od ludzi, również przyroda tropikalnej wyspy Borneo jest wysoce interesująca. Przykładowo żyją tam małpy **orangutany** - kiedyś z Sue odwiedziłem ich sanktuarium. W rzekach żyją ogromne krokodyle-ludojady. Kiedyś odwiedziłem farmę krokodyli położoną pod Kuching. Pod Kuching jest też kilka parków narodowych, do których wybraliśmy się z Sue aby pooglądać sobie m.in. rośliny żywiące się owadami, oraz oglądnać dziko rosnący, największy "kwiat" świata, czyli słynną **Raflezję** o niemal metrowej średnicy.

Do atrakcji samego miasta Kuching wartych odwiedzenia należą między innymi (1) cała "wioska etniczna" z odbudowanymi domami miejscowych szczepów ludności, (2) muzeum kotów, oraz (3) aż kilka muzeów o wolnym wstępie z ciekawymi eksponatami miejscowego folkloru. (Odnotuj że słowo "Kuching" w języku Malejów oznacza "kot" - stąd miasto Kuching jest "miastem kotów", czyli ma rzeźby kotów na sporej liczbie skrzyżowań, a ponadto ma własne muzeum kotów.)

Interesującą atrakcją położoną na samej wyspie Borneo jest system jaskiń koło miasta Miri (niedaleko od granicy z krajem Brunai Darrusalam). Jedną z owych jaskiń jest ogromna i słynna "**Deer Cave**", która nosi wszelkie cechy tunelu wytopionego w skale przez wehikuł

N-3

UFO typu K8. Jest ona ogromna – ponad 80 metrów wysoka. Odwiedziliśmy ją razem z Sue. Jej zdjęcia pokazują, między innymi, na „Fot. #G4” i „Fot. #G5ab” ze swej strony internetowej o nazwie "[magnocraft.pl.htm](#)".

Najbardziej dziwnym i interesującym zdarzeniem jakie mnie spotkało w końcowych czasach mojej profesury na Borneo, było owo przeżycie **"totalizycznej nirwany"** – czyli odczucia niezwykle intensywnego szczęścia. W odczuciu tym trwałem bez przerwy przez okres około 10 miesięcy – uzyskując dzięki temu NIE tylko wiele uciechy, ale także przełomowy temat badawczy na temat tego uprzednio naukowo NIE badanego i niemal nieznanego ludziom zjawiska będącego też cudownym „darem Boga”. Zabawnym aspektem tej nirwany było, że kiedy nagle pojawiło się u mnie owo nieopisane uczucie szczęśliwości jaką ona wzbudza, zaś nigdzie w literaturze NIE mogłem znaleźć opisu skąd ono się wzięło, zacząłem wpadać w panikę. Wiedziałem bowiem iż w Afryce istnieje mucha zwana „**Tse-Tse**” - ugryzienie jakiej powoduje chorobę o symptomach niepokonalnej śpiączki. Ponieważ na Borneo istnieje zatrzesienie owadów, sporo z których przenosi najróżniejsze nieznanne jeszcze ludziom choróbska, zacząłem się obawiać, że ugryzienie któregoś z owych owadów mogło zarazić mnie nieznaną jeszcze chorobą – której symptomami (objawami) jest właśnie owo nieopisane poczucie bycia szczęśliwym. (Mikroby takiej choroby zapewne warte byłyby fortunę na czarnym rynku.) Po jakimś czasie usilnych poszukiwań odkryłem jednak wywodzące się z religii hinduskiej opisy hinduistycznej nirwany. Rozpoznałem też w nich te same cechy poczucia szczęśliwości jakie ja wówczas odczuwałem – tyle że zgodnie z hinduizmem ichnią nirwanę jakoby można doświadczyć tylko po śmierci. Ponieważ zaś ja doświadczyłem swojej nirwany jeszcze podczas trwania obecnego życia fizycznego, a także ponieważ moje szczegółowe jej badania wykazały iż powstaje ona jako rezultat przelewania się nadmiaru poznanej wcześniej przez Filozofię Totalizmu tzw. „**energii moralnej**” poprzez nasze czakramy, tą swą nirwanę nazwałem wówczas „totalizyczną nirwaną”. Jak też potem ustaliłem, **każda osoba jest w stanie wypracować dla siebie totalizyczną nirwanę poprzez umiejętne generowanie wymaganej ilości „energii moralnej”** – tak jak opisałem to na owej stronie o nazwie "[nirvana.pl.htm](#)". Dzięki temu, a także dzięki jej cesze, iż aby ją wypracować w sobie konieczne jest wykonywanie ciężkiej pracy fizycznej cechy jakiej pozwalają tę pracę nazywać „harówką”, stąd jeśli rozwój ludzkości potoczy się w korzystnym dla ludzi kierunku wypełniania przykazań i wymogów Boga, wówczas **„totalizyczna nirwana” w przyszłości zapewne stanie się jedynym sposobem wynagradzania za wykonaną pracę – jaki zastąpi dzisiejsze pieniądze.**

N2. Tzw. "Kryzys Azjatycki" i mój powrót do Nowej Zelandii

W drugiej połowie mojej profesury na Borneo rozpoczął się intensywny "Kryzys Azjatycki" - czyli bardzo poważny kryzys ekonomiczny, który ogarnął większość krajów południowo-wschodniej Azji. W jego wyniku końcowa wartość miejscowych pieniędzy spadła do jedynie około 30% ich początkowej wartości. Jednak były czasy, kiedy ze strachu przez spowodowaną owym kryzysem utratą całych swych oszczędności płaciłem blisko 20 miejscowych MR za jeden amerykański \$ (przed owym kryzysem jeden MR był bliski jednemu US \$). Stąd około dwie-trzecie moich zarobków z obu kontraktów w Malezji po prostu zniknęło wówczas jakby wyparowało. Na dodatek, kraje obezwładnione tym kryzysem nie mogły już sobie pozwolić na wynajmowanie zagranicznych profesorów. Stąd kiedy mój kontrakt na Borneo się zakończył, nie było już szans na podpisanie następnego. Po moim zakończeniu kontraktu profesorskiego na Borneo w październiku 1998 roku, nie miałem więc innego wyjścia niż powrócić do Nowej Zelandii.

O-1

Rozdział O:

Miasteczko TIMARU, NOWA ZELANDIA (1999-2000) **(TUTORING (Tutor) na AORAKI POLYTECHNIC w Timaru)**

Po powrocie do Nowej Zelandii i ponownym zatrzymaniu się w domu Miss Lynlee z Dunedin, w listopadzie 1998 roku udałem się w podróż po Nowej Zelandii w poszukiwaniu pracy. Pierwszym miejscem w jakim się zatrzymałem podczas owej podróży była maleńka Politechnika Aoraki w miasteczku Timaru. Spytałem tam o wolne posady i okazało się że mają jedną na stanowisku "tutor of computing". Natychmiast złożyłem o nią podanie. Inną pozycją o jaką też się starałem była podobna "tutor in computing" na Politechnice w Christchurch. Wywiad (egzamin) zatrudnieniowy jaki nastąpił po złożeniu tych podań "zdałem" tylko na Politechnice w Timaru. Otrzymałem więc tę pozycję, z datą rozpoczęcia wykładów od lutego 1999 roku. (Uczelnia ta obecnie już NIE istnieje – w marcu 2019 roku szczątkowe o niej informacje dawało się wyszukać poprzez adres: <https://www.google.co.nz/search?q=Aoraki+Polytechnic>)

O1. Moje zatrudnienie w Timaru

Kiedy więc w końcu 1998 roku powróciłem do Nowej Zelandii, zaczął się wówczas dla mnie nowy okres życia, który jest doskonale opisany przez angielskie przysłowie "**żebrakowi nie wolno być grymaśnym**" (tj. „a beggar cannot be choosy”). Poczynając od lutego 1999 roku ponownie zacząłem wykładać studentom z Nowej Zelandii. Niestety nastąpiło to za słoną cenę. Wszakże rolniczo nastawiona Nowa Zelandia z wówczas niemal zupełnie już zniszczonym przemysłem nie potrzebowała ludzi z moją ekspertyzą techniczną. Stąd oddawała mi wielką przysługę, że wogóle miała jakieś zatrudnienie dla mnie. Wylądowałem więc na najniższej pozycji akademickiej jaka była dostępna na miniaturowej **Aoraki Politechnice** z małej miejsciny nowozelandzkiej zwanej Timaru. Politechnika ta była najmniejszą uczelnią w jakiej kiedykolwiek pracowałem. Niemniej praca na niej okazała się budzącą u mnie najwyższy poziom stresu. Uczelnia ta była aż tak mała, że ja sam w swojej uprzedniej karierze zawodowej wykładałem w sumie więcej odmiennych przedmiotów niż ich oferowano wszystkim studentom owej politechniki. Niestety, pod koniec 2000 roku zostałem zwolniony z nawet owej najniższej pozycji. Powodem zwolnienia jaki wówczas mi zakomunikowano, był raptowny i niespodziewany spadek liczby studentów na owej politechnice. Ja miałem jednak intuicyjne wrażenie, że dodatkowym powodem tego zwolnienia było odkrycie moich przełożonych iż poziom mojej ekspertyzy i kwalifikacji niepomiarowo przekracza wymogi pozycji którą zajmowałem, a to z kolei napełniło ich obawą o ich własne pozycje. Odczucie to zdawał się potwierdzać fakt, że w krótki czas po moim odejściu, owa Politechnika ogłaszała w gazetach, że ma wolną pozycję (tą jaką ja zajmowałem) i zapraszała chętnych do składania podań. Ja odszedłem stamtąd z rodzajem ulgi, bowiem atmosfera pracy była tam najgorsza ze wszystkich miejsc w jakich pracowałem w całym swoim życiu. Z żadnej też innej uczelni, w krótkim przedziale tylko paru lat nie odeszło aż tylu co tam wykładowców.

Po utracie pracy w Timaru, mój kolega wykładowca skontaktował mnie z uczelnią w której on wcześniej pracował, a którą była ówczesna Hutt-Valley Polytechnic w **Petone** koło Wellington. W styczniu 2001 roku złożyłem tam podanie o pracę i zostałem przyjęty.

O2. Moje życie w Timaru

W kilka miesięcy po moim zadomowieniu się w Timaru, dołączyła do mnie Sue z Malezji. Sue właśnie wówczas przeszła na emeryturę, mogła więc dołączyć do mnie w Nowej Zelandii. Przez pierwszy rok zamieszkaliśmy w jednym pokoju jaki wynajmowałem u niejakiej Mrs Pamela Waite. W tamtym też mieszkaniu poznaliśmy naszego przyszłego kota o imieniu **"Teecee"** który w owym czasie był kotem mieszkańców sąsiedniego domu. Kiedy jednak właściciele Teecee wyemigrowali do Australii, Sue otrzymała owego kota jakby "w spadku". W drugim roku wynajęliśmy sobie odrębne mieszkanie przy ulicy 13 Prices Street od niejakiego Johna. Kot Teecee przeprowadził się tam z nami.

Po dołączeniu do mnie w Timaru, Sue i ja wzięliśmy ślub cywilny. Z kolei ów ślub umożliwił Sue staranie się o nowozelandzką tzw. "Permenent Residency" - którą jej przyznali. („Permanent Residency" jest to prawo do stałego zamieszkania i do pracy w tym kraju.)

Niestety, po niecałych dwóch latach pracy zostałem tam zwolniony z pracy.

Po kolejnych paru latach od czasu gdy mnie zwolniono z pracy, Politechnika Aoraki w Timaru zbankrutowała i została zlikwidowana.

P-1

Rozdział P:

Miasteczko PETONE, NOWA ZELANIDA (2001-2005 i 2005-2007)
(AKADEMIK (Academic staff member) w WELLINGTON INSTITUTE OF
TECHNOLOGY
(WELTEC), poczym drugie bezzasiłkowe BEZROBOCIE)

Od dnia 12 lutego 2001 roku zacząłem pracować jako akademik (po angielsku: „academic staff member”) na „Hutt Valley Polytechnik” z Petone koło Wellington. W rok później owa politechnika została przeorganizowana i zmieniła nazwę na **Wellington Institute of Technology**, w skrócie zwany WELTEC. (Uczelnia ta w marcu 2019 roku prowadziła stronę internetową o adresie: <https://www.weltec.ac.nz/> .) Część jej administratorów straciła wówczas pracę (m.in. mój HOD), za to dołączyli do niej wszyscy wykładowcy i studenci z uprzedniego „Central Institute of Technology” w Heretaunga koło Upper Hutt. Lokalizacja Weltec pozostała jednak taka sama - czyli przedmieście stolicy Nowej Zelandii zwane Petone pod Wellington. W Weltec także byłem zatrudniony na najniższej pozycji akademickiej jaka była tam dostępna. Już w pierwszym roku pracy otrzymałem od kierownictwa uczelni zaszczytne wyróżnienie „team member of the year” (tj. jakby „najbardziej koleżeński pracownik roku”). W Wellington pracowałem aż do 23 września 2005 roku, kiedy to ponownie zwolniono mnie z pracy - z wyjaśnieniem że powodem tego zwolnienia (wylania) z pracy jest raptowny spadek liczby studentów tej uczelni. Faktycznie też ów spadek był wówczas aż tak znaczny, że stał się łatwym do odnotowania nawet gołym okiem - od początku 2005 roku uczelnia ta stała się niemal zupełnie pusta. Z opowiadań innych kolegów dowiedziałem się także, że wyraźnie odludniły się też wówczas niemal wszystkie uczelnie Nowej Zelandii. Prawdopodobnie powody dla tego pustoszenia nowozelandzkich uczelni były kompleksowe i obejmowały szereg czynników, m.in. wysokie opłaty pobierane przez uczelnie od studentów, brak pracy dla ludzi z wysokim wykształceniem, niski poziom akademicki miejscowych uczelni, który spowodował że niektóre kraje (np. Chiny) zaprzestały wysyłanie swoich stypendystów do Nowej Zelandii, itd., itp. Ja osobiście jednak wierzę, że najważniejszym z powodów tego opustoszenia uczelni stała się masowa emigracja odpływowa (tj. ucieczka ludności). Wszakże od czasów kiedy w Nowej Zelandii wprowadzono podatek GST będący odpowiednikiem polskiego VAT, zaczął się tam upadek ekonomiczny. Wszakże podatek typu GST i VAT można porównywać do wsypywania zwiększającego tarcie piasku z tryby pracującej maszyny. Każdy więc z krajów jaki go zwiększał ponad 10% zaczynał spiralować w depresję. Co też gorsza, w dzisiejszym wypaczonym świecie politycy zwiększone wpływy z tego podatku typowo wykorzystują dla własnych celów korupcyjnych, tak że kraj jaki go wprowadza NIE uzyskuje dzięki niemu żadnych korzyści. W wyniku wprowadzenia owego podatku GST ekonomia NZ zwolna ześlizgiwała się w „czarne lata” trwającej aż do około 2010 roku coraz szybszej ucieczki za granicę młodych i ambitnych Nowozelandczyków. Ucieczka ta była masowa, zaś jej uczestnicy to najbardziej ambitni, zdolni i zaradni młodzi ludzie, czyli praktycznie „sól narodu”. Przykładowo, w latach 2005 do 2008 każdego roku uciekało do Australii blisko jednego procenta całej populacji około cztero-milionowej Nowej Zealandii - po szczegóły patrz artykuł „28,000 a year leave for Aust.” - tj. „28000 ludzi na rok ucieka do Australii”, ze strony A1 nowozelandzkiej gazety **The Press**, wydanie z wtorku (Tuesday), February 5, 2008. Ta emigracyjna ucieczka trwała aż do czasu kiedy Australię zaczęła ogarniać podobna ekonomiczna depresja nastąpiła z podobnych jak w NZ powodów.

P-2

Ja po tej ostatniej utracie pracy w 2005 roku, nadal nie traciłem nadziei, że coś jednak znajdę. Stąd niemal cały czas poświęcałem na szukanie swojej następnej stałej pracy. Niestety, los nie bardzo sprzyjał moim zamiarom.

Większość historii życiowych zawiera w sobie tzw. **morał**. Jeśli dobrze się przyglądnąć moim własnym losom, wyraźnie „morał” taki i z nich się wyłania. Widać go w uporze i w konsekwencji z jakimi „coś” powoduje, że gdziekolwiek bym się nie udał, cokolwiek bym nie zaczął czynić, jakieś postronne i niezależne ode mnie „mroczne moce” sprawiają że zawsze kończy się to przegraną i odebraniem mi wszelkich szans na zrealizowanie tego co w swoim życiu chciałbym osiągnąć. Taki koniec „przegranej bitwy” dla niemal wszystkich przedsięwzięć mojego życia był wysoce wymowny. Szczególnie jeśli się zakłada tak jak ja uczyniłem, że celem i misją mojego życia mogło być zrealizowanie i wdrożenie przynajmniej kilku z owych przełomowych wynalazków i intelektualnych osiągnięć które opisałem w kolejnych ze swoich monografii. Wszakże cokolwiek nas w życiu dotyka, zawsze ma to jakieś przyczyny. Przyczynami zaś owego pasma powtarzalnych upadków, które mnie bez przerwy prześladują, może przecież być fakt, że gdybym w życiu natknął się na właściwy klimat intelektualny i na właściwe warunki badawcze, wówczas zapewne bym jednak zrealizował i urzeczywistnił sporą część z wynalazków i odkryć które dokonałem. Tymczasem realizacja tych wynalazków byłaby wysoce nie na rękę owym „mrocznym mocom”. Dlatego nikogo nie powinno dziwić, że faktycznym morałem wynikającym z przebiegu mojego życia są wnioski które opisałem na stronie "[eco cars pl.htm](http://eco.cars.pl.htm)" - o "**przekleństwie wynalazców**" jakie prześladuje twórczych ludzi na Ziemi.

P1. "Seismograf Zhang Henga"

Kiedy pracowałem na Universiti Malaya w Kuala Lumpur, jeden mój ówczesny kolega z pracy (potem, aż do 2019 roku, był on Rektorem prywatnego uniwersytetu w Malezji) opowiedział mi o niezwykłym chińskim wynalazku sprzed niemal 2000 lat. Wynalazek ten był fontanną, która zdalnie wykrywała nadchodzące trzęsienia Ziemi i dzwonieniem ostrzegała o ich zbliżaniu się. Potem przez wiele lat ja usiłowałem dowiedzieć się więcej na temat tego cudownego urządzenia. Rozważałem nawet wybranie się do Chin, gdzie podobno w jakimś buddyjskim klasztorze miała istnieć kopia tego urządzenia – która niestety już NIE działała. Ponieważ jednak NIE wiedziałem gdzie szukać owego klasztoru, moja wyprawa poznawcza nigdy NIE doszła do skutku. Kiedy jednak w 2003 roku wybrałem się do muzeum zwanego "**Te Papa**", a mieszczącego się w nowozelandzkim mieście Wellington odległym jedynie o około pół godziny jazdy miejskim autobusem od mojego mieszkania, przeżyłem prawdziwy szok. W muzeum tym wystawiona bowiem była do oglądania kopia owego starożytnego urządzenia. Stało się więc coś, co doskonale opisuje staropolskie przysłowie "skoro Mohamed NIE mógł się wybrać do góry, góra przysłała do Mohameda". Na tablicy widniejącej przy owym urządzeniu widniała jego angielskojęzyczna nazwa "**Seismograph Zhang Henga**". Dzięki owej nazwie mogłem poznać co na temat owego urządzenia obecnie nam wiadomo. Dowiedziałem się wówczas, iż zostało ono zbudowane w Chinach około 132 roku AD przez dziwnego filozofa, Zhang Henga, który między innymi opisywał jak wygląda Ziemia jeśli się ją ogląda z kosmosu. Ponadto dowiedziałem się też jak dokładnie owo urządzenie wyglądało po swej zewnętrznej stronie – co bowiem miało ono w swym wnętrzu tego nadal z całą pewnością NIE wiadomo. Potem na bazie swej wiedzy o telepatii zdołałem wypracować (tj. odkryć ponownie po upływie niemal 2000 lat) faktyczną zasadę jego działania. Zasadę tę opublikowałem później w internecie na swej stronie internetowej o nazwie "[seismograph.pl.htm](#)", a także (już po odejściu z WELTEC) w 2005 roku wygłosiłem na jej temat referat na naukowej konferencji w Palmerston North, Nowa Zelandia – tekst tego referatu w 2019 roku nadal dostępny był w internecie.

Na WELTEC w Petone byłem wówczas jedynym naukowcem, który dokonywał faktycznych badań i cokolwiek naukowego publikował. Wszakże prowadzenie badań wymaga wysiłku jaki trzeba wkładać nieustannie i czasami nawet w nocy, zaś większość miejscowych nawykła tam już do wygodnej pracy od 9 rano do 5 wieczorem – minus godziny lunchu, a stąd NIE zawracała sobie głowy jakimiś tam badaniami. Jedynymi pracownikami uczelni co do jakich odnotowałem iż w NZ dokonują faktycznych badań byli emigranci z innych krajów. Jednocześnie od chwili wprowadzenia w NZ „user paid” (tj. opłacanej przez studentów) edukacji uczelnianej, nastawione na zysk i wyłącznie na szkolenie za opłatą władze takich „user-paid” uczelni typowo zupełnie NIE dbały czy ktoś dokonuje faktycznych badań i je publikuje, czy też jedynie udaje naukowca zaś pióro przysłowiowo „wypada mu z ręki w godzinach lunchu i dokładnie o 5 wieczorem”.

Q-1

Rozdział Q:

Miasto SUWON, Południowa KOREA (2007) **(PROFESURA (Full Professor) na AJOU UNIVERSITY)**

Po utracie w dniu 23 września 2005 roku swej kolejnej tzw. "stałej" pracy na WELTEC (tj. na Wellington Institute of Technology – uprzedniej Hutt Polytechnic), następnej "stałej" pracy nie udało mi się już znaleźć. Jedyne co przerwało moje nieustające bezrobocie pozbawione jakiegokolwiek źródła dochodu (bo ponownie znalazły się przepisy jakie stwierdzały iż „zasiłek dla bezrobotnych” mi się wówczas NIE należał), a trwające aż do odejścia na emeryturę w 25 maja 2011 roku, to krótkie, bo tylko 10 miesięczne, dokonane w imieniu koreańskiego rządu zaproszenie mnie na pozycję pełnego profesora uniwersytetu Ajou w dużym mieście Suwon z Korei Południowej. (Uczelnia ta w marcu 2019 roku miała stronę internetową o adresie: <https://www.ajou.ac.kr/en/> .) Koreańczycy okazali się być najmiłym narodem jaki dotychczas poznałem w swoim życiu, zaś poziom ich technologii - najwyższym z jakim dotychczas praktycznie się zetknąłem. Równie fascynująca i warta poznania była też kultura i historia Korei. Dlatego ową krótką profesurę w Korei wspominam z taką samą przyjemnością i sentymentem jak pracę na przemyślim Borneo i w Invercargill z NZ. Profesura w Korei początkowo miała potencjał aby zostać przedłużoną. Jednak wkrótce po jej rozpoczęciu rząd Korei nagle uchwalił prawo, że wizytujący ten kraj zagraniczni profesorowie mogą być tam zatrudniani tylko jeśli ich wiek nie przekracza 60 lat. Ja zaś miałem wówczas już 61 lat. Na szczęście, owo wcześniejsze zaproszenie mnie na profesurę jeszcze przed uchwaleniem tego prawa zostało uhonorowane i pozwolono mi tam pracować przez pełną długość 10 miesięcy.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały wówczas, że wobec coraz silniejszej depresji ekonomicznej, która nieustannie panuje i nasila się w Nowej Zelandii, moje **bezzasiłkowe bezrobocie** rozpoczęte w dniu 23 września 2005 roku zapewne będzie trwało aż do czasu kiedy stanę się uprawniony do otrzymywania emerytury. Tak też się stało (z wyjątkiem owej 10-miesięcznej profesury w Korei). Na szczęście dla mnie, moją moralną podporą była świadomość, że na przekór powtarzalnie trapiącego mnie bezrobocia, na przekór konieczności życia z dawnych oszczędności, oraz na przekór marnowania przez społeczeństwo mojej wiedzy, ekspertyzy, wynalazków, oraz wszechstronnej edukacji, ciągle raz w swoim życiu osiągnąłem poziom pełnego profesora na renomowanym uniwersytecie Ajou w Korei. Z kolei z zostaniem profesorem jest jak z zostaniem generałem - znaczy **raz profesor, zawsze już profesor**. Jedno jest więc teraz pewne, mianowicie że bez względu na to co przyszłość przyniesie, ciągle mogę teraz mieć moralną satysfakcję, że chociaż długoterminowo byłem bezrobotnym, ciągle mogę się pochwalić, że jestem byłym pełnym profesorem z renomowanego uniwersytetu.

Q-2

Q1. Moje życie w Korei

Korea okazała się ogromnie interesującym i fascynującym krajem. Jest ona pełna egzotycznej zabudowy, muzeów, intrygujących miejsc i zagadek natury.

Przez okres koreańskiego lata dołączyła do mnie Sue. Razem spędziliśmy 2 miesiące na odwiedzaniu niemal wszystkich muzeów i pałaców z Seoul'u. Odwiedziliśmy też ogromny ogród botaniczny o nazwie „Hantaek Botanical Garden”, z prawdopodobnie największą na świecie kolekcją lokalnych roślin ozdobnych zwanych „**Hosta**” – zdjęcia jakich opublikowałem potem na swej stronie internetowej o nazwie „[hosta.pl.htm](#)”. Zwiedzaliśmy też rozliczne świątynie buddyjskie. Jedyne czego nie udało mi się osobiście zobaczyć, to słynne „**Saris**” czyli podobne do ziarenek ryżu niepalne narosty kostne pośmiertnie znajdowane w popiołach co bardziej świętobliwych buddystów. (Ja osobiście wierzę, że owe „Saris” to po prostu „implanty UFO”.) Tamte wakacje w Korei odbywane razem z żoną Sue, były prawdopodobnie najprzyjemniejszymi „wakacjami” w całym naszym życiu.

W Korei dokonałem moim zdaniem przełomowego odkrycia. Mianowicie ustaliłem wówczas, że to co na Ziemi znamy pod nazwą UFO-nauci oraz wehikuły UFO, faktycznie jest tymczasowymi „symulacjami” formowanymi przez samego Boga.

Korea była też miejscem w którym rozpocząłem przeredagowywanie swojej monografii [1/4] na filozoficznie odmiennie ukierunkowaną monografię [1/5]. W owej monografii [1/5] starałem się bowiem ująć ów właśnie odkryty fakt, że UFO-nauci i wehikuły UFO są tymczasowymi symulacjami Boga. Podczas mojej profesury w Korei zdołałem opublikować aż trzy tomy owej nowej monografii [1/5], mianowicie tomy 4, 5 oraz 11.

Po zakończeniu w grudniu 2007 roku swej profesury w Korei, w Nowej Zelandii powróciłem do stanu uprzednio odbywanego bezrobocia, kiedy to istniejące wówczas przepisy odbierały mi prawo do pobierania zasiłku dla bezrobotnych (tj. do pobierania „doli”).

R-1

Rozdział R:

Miasteczko PETONE, NOWA ZELANDIA (2008-teraz) (BEZZASIŁKOWE BEZROBIOCIE (2008-2011 i 2011 do dziś) oraz EMERYTURA)

Kiedy na początku 2008 roku powróciłem do Nowej Zelandii ze swojej jednorocznej profesury w Korei Południowej, sytuacja tego kraju była już godna pożałowania. Wszakże to właśnie w 2008 roku cały świat kapitalistyczny, w tym również Nowa Zelandia, ześlignął się w głęboki kryzys ekonomiczny. Zaczęło się więc galopujące zamykanie fabryk i businessów, oraz galopujące bezrobocie. Po powrocie do kraju, ja oczywiście nadal nie miałem pracy ani nie otrzymywałem zasiłku dla bezrobotnych – całe szczęście że miałem oszczędności, nie przychodziło mi więc umierać z głodu. Tak więc w raczej opłakanych warunkach rozpocząłem swój, jak posądzam, ostatni etap życia.

R-2

R1. Stan Nowej Zelandii jaki zastałem po powrocie z Korei

W 2008 roku zastałem Nową Zelandię w stanie godnym pożałowania. Bezdomni, bezrobotni ludzie, raptowna inflacja i wzrost cen, NIE liczenie się rządu z życzeniami narodu, itd., itp. Będąc kiedyś jednym z najzasobniejszych krajów świata, NZ zamieniła się wówczas w kopię Polski jaką pamiętałem z 1980 roku – patrz podrozdział R4 poniżej. Jedyne powody dla którego NIE pojawił się tam wówczas jakiś odpowiednik polskiego ruchu „Solidarność”, była nawykła do wygod natura znacznej większości Nowozelandczyków. Całe więc szczęście, że Nowozelandczycy są tacy jacy są. Będąc bowiem krajem wielorasowym, sporą proporcję którego stanowią wojowniczy Maorysi, gdyby na Europejską populację NZ składali się buntowniczy i skorzy do rozruchów Polacy, wówczas NZ dosiadczyłaby zapewne losów jakie w 2019 roku obserwowaliśmy w Syrii i jej okolicach.

R2. Wrażenia po powrocie do Nowej Zelandii na bezrobocie i to bez prawa do zasiłku dla bezrobotnych

Po powrocie do Nowej Zelandii na początku 2008 roku, powróciły do mnie czarne lata życia z życiowych oszczędności, braku perspektyw na znalezienie następnej pracy, braku zarobku, oraz niemożności otrzymania tzw „doli” (tj. „zasiłku dla bezrobotnych”). Podobnie bowiem jak podczas poprzedniego długiego okresu mojego bezrobocia z lat 1990 do 1992, obecnie także znalazły się jakieś tam przepisy (tym razem inne) według których zasiłek dla bezrobotnych też mi się nie należał. Z artykułu [3#B1] o tytule "Ease rules on dole for couples say economists", tj. "ulżyj prawa do doli dla par zaleca ekonomista" opublikowanego w gazecie **"The New Zealand Herald"** wówczas prowadzącego stronę z jego artykułami o adresie <http://www.nzherald.co.nz> (wydanie z Monday, June 29, 2009, str. A1) wynikało, że owe przepisy stworzyły sytuację, iż **w Nowej Zelandii tylko około 32% faktycznych bezrobotnych otrzymuje zasiłek-dolę** (dla porównania w Australii dolę otrzymywało wówczas 99% bezrobotnych). Aczkolwiek po przejściu na emeryturę w 2011 roku przestałem się interesować sprawami związanymi z „dolą”, z tego co widzę dookoła siebie domyślam się również iż tamta sytuacja trwała nieprzerwanie także w 2019 roku.

Omawiane powyżej przepisy blokujące większość ludzi od dostępu do „doli” miały (a prawdopodobnie i mają do dzisiaj) to następstwo, że pozostałe 68% ludności Nowej Zelandii miało jedynie obowiązek płacenia wysokich podatków kiedy ciągle mają pracę, zaś kiedy stracą tą pracę państwo zwyczajnie wypina się do nich tyłem i pozostawia ich na lodzie. Jak wrogie jest nastawienie nowozelandzkich polityków do idei aby wypłacać dolę każdemu kto poprzednio opłacał podatki jednak potem stracił pracę, ilustruje przypadek kiedy jeden z opozycyjnych polityków wyszedł z niemal taką właśnie sugestią - po szczegóły patrz artykuł „Goff's recession plea: Pay dole even if partner still working” (tj. „Recesyjna sugestia Goff'a: wypłacajmy dolę nawet jeśli partner ciągle pracuje”), ze stron A1 i A2 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z poniedziałku (Monday), July 20, 2009. Inni politycy tak wówczas naskoczyli na owego odważnego, wymachując przed nim obrazami „milionerów” którzy otrzymują dolę, że biedny zdecydował się wycofać swoją sugestię. A szkoda, bo sugestia ta jest racjonalna, wysoce sprawiedliwa, używana w niektórych krajach gdzie działa bez zarzutu, a stąd możliwa do politycznego wybronięcia - jeśli ktoś dobrze zna fakty z rzeczywistego życia. Wszakże jeśli „każdy jest równy” kiedy przychodzi do płacenia podatków, zwykła sprawiedliwość nakazuje aby „każdy był też równy” w sprawie otrzymywania doli kiedy utraci pracę. Czy zaś faktycznie w takim przypadku dolę otrzymywałyby zbyt duża proporcja milionerów Nowej Zelandii zamiast bezrobotnych biedaków, w to należy raczej wątpić. Wszakże w całej Nowej Zelandii przypadał wówczas tylko około 1 milioner (i to każdy z których ciągle pracował) na około tysiąc bezrobotnych którzy wcale NIE otrzymywali doli. Byłoby więc bardziej sprawiedliwe przyznać dolę owemu jednemu milionerowi i tysiącu innych bezrobotnych, niż z powodu istnienia owego milionera odmawiać doli owemu około tysiącu bezrobotnych (szczególnie, że ów milioner też musi płacić podatki, i to raczej słone, kiedy generuje i rozmnaża swoje miliony, a także szczególnie że gdyby milionerzy tak chętnie i łatwo stawali się bezrobotnymi, wówczas nie byłiby milionerami). Jeszcze inny argument w obronie wypłacania doli dla wszystkich bezrobotnych, polega na w podejrzeniu, że istnieje tendencja u nowozelandzkich odbiorców zasiłków aby „dość system” jak tylko się da - np. patrz artykuł „Hundreds get \$1000 a week in benefits” (tj. „Setki otrzymują \$1000 na tydzień w zasiłkach”), ze strony A1 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z poniedziałku (Monday), August 17, 2009. Wygląda na to, że owa niesprawiedliwość istniejącego w Nowej Zelandii systemu zasiłkowego pobudza potrzebę aby podnosić swą szansę na przeżycie poprzez pobieranie najróżniejszych zasiłków i zapomóg bez faktycznego zasługiwania na nie. Wszakże jeśli ludziom uniemożliwi się legalne zdobywanie środków na życie, wówczas

R-4

zmuszeni są działać nielegalnie. Owo wypłacanie doli tylko dla mniej niż co trzeciego bezrobotnego (tj. tylko około 32% bezrobotnych), powoduje bowiem z jednej strony, że ponad dwie-trzecie populacji Nowej Zelandii musi się liczyć z sytuacją iż jeśli stracą pracę wówczas zasiłek dla bezrobotnych jakby wogóle dla nich NIE istniał. Z drugiej zaś strony to oznacza również, że aż kilka dotychczasowych rządów Nowej Zelandii, które „bezrobotnych” definiowały jako „ludzi którzy otrzymują zasiłek dla bezrobotnych”, oficjalnie chwaliło się „niskim” poziomem bezrobocia w tym kraju, kiedy faktycznie cytowało liczby które nie reprezentowały nawet jednej trzeciej faktycznego bezrobocia tego kraju. Nic też dziwnego że sytuacja zwykłych Nowozelandczyków pobudza refleksy w rodzaju tych wyrażonych w artykule „MPs cut everything in public service except own spending” (tj. „Posłowie na sejm powycinali wszystko z pomocy dla społeczeństwa oprócz wydatków na siebie”) ze strony A1 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z piątku (Friday), June 26, 2009. Tak więc oto po powrocie z Korei ponownie zmuszony byłem żyć z poprzednich oszczędności i to nie mając już nadziei na znalezienie jakiegokolwiek pracy.

R3. Eksploatacja nowozelandzkich staruszków i ich psychologiczne torturowanie zapowiedziami podwyższania wieku nabycia prawa do otrzymywania emerytury

Jeśli z powodu narzucanej przez rząd „propagandy sukcesu” czegoś NIE wyjaśniają w gazetach ani NIE pokazują w telewizji, wówczas o istnieniu tego typowo dowiadujemy się dopiero kiedy dotknie to nas samych. W moim własnym przypadku od dawna wiedziałem, że w niektórych krajach ma miejsce tzw. „eksploatacja dzieci” których zmusza się tam do pracy - na przekór że ich ciała ani umysły NIE są jeszcze gotowe do podjęcia pracy. Jednak NIE miałem pojęcia że w niektórych relatywnie nawet bogatych krajach świata ma też miejsce „eksploatacja staruszków”. Eksploatacja ta polega m.in. na zmuszaniu starszych osób w wieku ponad 60 lat do poszukiwania lub do kontynuowania pracy, poprzez nieustanne podwyższanie wieku w którym staruszkowie uprawnieni są do otrzymywania emerytury, podczas gdy fundusze jakie uprzednio były zużywane na wypłacanie emerytur są przez polityków tracone na coraz większą korupcję. Przykładowo w Nowej Zelandii pomiędzy 1991 a 2002 rokiem rząd zdecydował, że podejmuje drastyczny sposób zaoszczędzenia na wydatkach, poprzez wydłużenie wieku przechodzenia na emeryturę z poprzednio tam obowiązujących 60 lat, aż do 65 lat obowiązujących w latach od 2006 roku aż do czasu pisania niniejszego tekstu. Ponadto politycy podnoszą tam coraz większy hałas, że wiek ten należy jeszcze bardziej podwyższyć. Kiedy zaś w końcu ktoś nabywał prawa do otrzymania emerytury, prawo to miał tylko jeśli przebywał na stałe w Nowej Zelandii i je tracił jeśli wyjechał poza granice tego kraju na dłużej niż pozwalały na to uchwalone przez polityków przepisy – po szczegóły patrz artykuł „Super for travelling oldies” ze strony A2 gazety The Dominion Post, wydanie z czwartku (Thursday), October 22, 2009; lub artykuł „Eldery will get full pension while globetrotting” ze strony A2 gazety The New Zealand Herald, wydanie z czwartku (Thursday), October 22, 2009. Niestety, w 2008 roku oraz w kilku następnych latach, pracodawcy nowozelandzcy nagle odkryli, że nie mają kogo zatrudniać. Wszakże tamtejsza młodzież jest tak zdemoralizowana i rozwydrzona (patrz punkt #B5.1 ze strony o nazwie "[will pl.htm](#)"), że większość z niej NIE nadaje się już do zatrudnienia. Z kolei starsi wiekiem wykwalifikowani robotnicy fizyczni masowo puciekali z Nowej Zelandii, pogłębiając w ten sposób braki tamtejszej siły roboczej. Dlatego lobbyści z federacji pracodawców rozpętali hałaśliwą kampanię propagandową w Nowej Zelandii, aby ponownie podnieść wiek odchodzenia na emeryturę jeszcze wyżej niż 65 lat, najlepiej do wieku 70 lat - np. patrz artykuł: „Older workers vital for economy” (tj. „Starsi wiekiem pracownicy niezbędni dla ekonomii”) - opublikowany na stronie C2 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post**, wydanie z poniedziałku (Monday), October 6, 2008; artykuł „Senior, not youth, hold key to ending skill shortage” (tj. „Staruszkowie, a nie młodzież, są kluczem do zakończenia braku wykwalifikowanych robotników”), ze strony A5 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z czwartku (Thursday), November 27, 2008; artykuł „Super at age 65? Don't bet on it” (tj. „Emerytura w wieku 65 lat? Nie licz na nią”), ze strony B2 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z czwartku (Thursday), June 4, 2009; czy artykuł „Big savings if 'NZ Super' age lifted to 67” (tj. „Wielkie oszczędności jeśli wiek 'nowozelandzkich emerytur' podniesiony do 67 lat”) ze strony A1 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z poniedziałku (Monday), July 27, 2009; albo artykuł „NZ sitting on superannuation timebomb: Treasury”, ze strony A4 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z piątku (Friday), October 30, 2009 (który to ostatni artykuł hałaśliwie obwieszcza że z 4% GDP w 2009 roku, koszt emerytur ma wzrosnąć do 8% w 2050 roku – jednak nie podaje jak w owym okresie czasu wzrosną np. koszty więzień, policji, utrzymywania nadmiernie liczebnego parlamentu, biurokracji, czy zagranicznych wydatków, darowizn, udziałów w międzynarodowych organizacjach i tzw. „pomocy” dla innych krajów).

Oczywiście, ludzie którzy rozpętali ową kampanię propagandową, a także politycy którzy podejmują decyzje o wieku odchodzenia na emeryturę, żyją na „**wieżach z kości**

R-6

słoniowej” i całkowicie utracili kontakt z rzeczywistością. Przykładowo NIE widzą oni, że podwyższanie wieku emerytalnego tylko zwiększa wydatki państwa, zamiast przynosić oszczędności. Wszakże z powodu chronicznego braku miejsc pracy w Nowej Zelandii, każdy staruszek który przedłuża okres swego zatrudnienia, zmusza jakiegoś młodego Nowozelandczyka do pozostawania bezrobotnym. Takiemu zaś młodemu bezrobotnemu państwo musi, lub powinno, wypłacać dołą (tj. zasiłek dla bezrobotnych). Na dodatek, przedłużanie czasu bezrobocia u młodzieży powoduje u nich nienaprawialne zmiany psychologiczne. Z czasem albo więc popełniają oni samobójstwo (Nowa Zelandia ma obecnie jeden z najwyższych w świecie poziomów samobójstwa u młodzieży - patrz artykuł „Suicide toll surpasses road deaths” (tj. „Liczba samobójstw przekracza liczbę wypadków drogowych”) ze strony A1 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post Weekend**, wydanie z soboty-niedzieli (Saturday-Sunday), October 25-26, 2008, czy artykuł „Manual tells schools how to handle suicide” (tj. „Podręcznik naucza szkoły jak postępować w przypadku samobójstwa”), ze strony A6 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post**, wydanie z poniedziałku (Monday), June 15, 2009), albo zapadają oni na choroby umysłowe i państwo musi ich leczyć oraz utrzymywać (np. patrz artykuł „Depression symptom of a sick society” (tj. „Depresja oznaką chorego społeczeństwa”), ze strony A19 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z czwartku (Thursday) March 6, 2008), albo też stają się tak zdemoralizowani i rozwydrzeni, że wogóle przestają być zdolni do podjęcia jakiegokolwiek pracy - państwo więc musi ich utrzymywać i wypłacać im najróżniejsze zasiłki aż do końca życia. Podnoszenie wieku emerytalnego ma też najróżniejsze niszczące następstwa dla staruszków którzy w ten sposób zmuszani są siłą i głodem do podejmowania pracy. Wszakże ciała ludzi o wieku ponad 60 lat NIE są stworzone do wytrwania podobnie ciężkiej pracy jak ciała młodych ludzi. Doskonale wyraża to humorystyczne polskie powiedzenie że **„jeśli masz już ponad 60 lat, a obudzisz się rano bez odczuwania żadnego bólu, wówczas powinienes się uszczypnąć aby sprawdzić czy ciągle żyjesz”**. Kiedy więc owi staruszkowie wiedzą, że normalnie mogliby już odejść na emeryturę, jednak rząd i państwo zmusza ich do kontynuowania lub do poszukiwania pracy swymi niezyciowymi prawami, wówczas budzi się w nich frustracja i niechęć. Wszakże tak naprawdę to pracodawcy z Nowej Zelandii dobrowolnie NIE chcą zatrudniać staruszków po 60-tce. Zatrudniają ich tylko jeśli już NIE mają nikogo innego do wyboru. Chcą jedynie aby staruszkowie ci desperacko poszukiwali pracy - powiększając w ten sposób psychozę bezradności na rynku pracy, tak że ludzie poszukujący zarobku zgadzają się na nawet najniższe płace i najgorsze warunki. Z kolei poza granicami Nowej Zelandii wogóle NIE zatrudniają ludzi po 60-tce. Większość bowiem krajów które zatrudniają zagranicznych ekspertów respektuje wielowiekowe doświadczenia naszej cywilizacji, iż ciała ludzi po 60-siątce NIE są stworzone do znoszenia wymogów pełnogatynowej pracy. Stąd niektóre kraje poza granicami Nowej Zelandii nawet zaznaczają w ogłoszeniach pracy, że wymogiem zatrudnienia jest wiek poniżej 60 lat. W takich okolicznościach aby więc móc znaleźć jakąkolwiek pracę w dzisiejszej rolniczej Nowej Zelandii, wówczas na przekór mojego wieku znacznie przekraczającego już 60 lat, ciągle musiałbym najpierw się przekwalifikować z naukowca na jakiś inny zawód fizyczny który jest użyteczny w kraju żyjącym z rolnictwa - np. na zawód rzeźnika, pasterza, kucharza, piekarza, itp. - patrz artykuł „Immigration hacks skills-shortage list” ze strony A7 nowozelandzkiej gazety **Weekend Herald**, wydanie z soboty (Saturday), June 13, 2009. Potem zaś musiałbym być w stanie nauczyć swe nienawykłe do ciężkiej pracy fizycznej ciało jak znosić wymagania wymuszanej fizycznej harówki w takim nowym zawodzie. Kiedy zaś osiągnąłbym już to wszystko, ciągle prawdopodobnie NIE znalazłbym pracy.

Taka zaś sytuacja wywołuje też najróżniejsze nieporządane następstwa. Przykładowo, owi pracujący staruszkowie coraz częściej zapadają na najróżniejsze choroby wywoływane ciężkimi warunkami pracy oraz stresem. W rezultacie jedno z ogłoszeń nadawanych w telewizji Nowej Zelandii w 2009 roku, stwierdzało że już obecnie co siódmy Nowozelandczyk

R-7

NIE dożywa do wieku emerytalnego. W społeczeństwie narasta więc odczucie, że starzy ludzie padają w Nowej Zelandii ofiarami „**eksploatacji staruszków**”. Wszakże zmuszanie prawami ponad 60-letnie starowiny aby ciągle pracowały na chleb jest tak samo niemoralne jak zmuszanie dzieci aby pracowały na chleb. W Nowej Zelandii nie mają przecież opcji „**wcześniejszego odejścia na emeryturę**”, która to opcja istnieje w wielu innych krajach, np. w Malezji.

Równie negatywny wpływ jak na staruszków, owo wydłużanie wieku emerytalnego ma na wszystkich **rodziców**. Wszakże rodzice ci widzą, że w kraju marnuje się potencjał bezrobotnej młodzieży i chęć młodych ludzi do pracy, tylko po to aby zamęczać pracą staruszków. Nic dziwnego że coraz więcej całych rodzin ucieka z Nowej Zelandii. (Np. według artykułu „Record numbers leaving for Australia” (tj. „Rekordowe liczby emigrują do Australii”), ze strony A1 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z czwartku (Thursday) October 23, 2008, w przeciągu jednego roku kończącego się we wrześniu (September) 2008, do Australii wyemigrowało 47200 Nowozelandczyków, czyli tylko jednego roku uciekło z kraju już ponad jeden procent całej populacji Nowej Zelandii.) Jeśli ogarnie się wszystko to zło i krzywdy, które spowodowało na ludzi przedłużenie wieku emerytowalnego z 60 do 65 lat, wówczas oczywistą refleksją jest, że ów wiek powinien być natychmiast cofnięty z powrotem do 60 lat. Z drugiej jednak strony z góry wiadomo, że w sytuacji takiej jak ta z Nowej Zelandii, kiedy „**dobro kilku wpływowych lub możliwych przekłada się nad dobrem wielu zwykłych lub biednych**” takie cofnięcie jest niemożliwe. (Doskonałą ilustracją podobnej niemożliwości jest punkt #B5.1 z totalizycznej strony o nazwie „[will_pl.htm](#)”. Opisano tam niemal niepokonalne problemy jakie wystąpiły przy próbach wycofania prawa jakie w Nowej Zelandii zamienia w kryminalistę każdego rodzica, który usiłuje dyscyplinować swe dzieci.) Wszakże zawsze znajdzie się kilku możliwych i wpływowych ludzi, którym będzie to NIE na rękę. Wszystko powyższe wskazuje więc powody, dla jakich z uprzednich oszczędności, czyli bez otrzymywania doli ani emerytury, przyszło mi żyć aż przez około 6 lat, czyli od 2005 aż do 2011 roku.

R4. Przeróżające odkrycie, że począwszy od 2009 roku Nowa Zelandia stała się podobna do sytuacji Polski z 1980 roku

W 2008 roku sytuacja Nowej Zelandii zaczęła się ześlizgiwać w dół do aż tak godna pożałowania, że jeśli pominąć wpływ jaki na życie w Nowej Zelandii wywierała odmienna od polskiej tradycja owego kraju, wówczas można stwierdzić, iż w 2009 roku Nowa Zelandia osiągnęła sytuację, która w komunistycznej Polsce panowała około 1980 roku. Przykładowo, klasa robotników z Nowej Zelandii w 2009 roku była równie sfrustrowana jak polscy robotnicy około 1980 roku, rządowa propaganda Nowej Zelandii rozsiewała podobną "**propagandę sukcesu**" jak około 1980 roku rozsiewała rządowa propaganda komunistycznej Polski, podejmowane tam były podobne wysiłki aby poucinać wszelkie swobody obywatelskie i nałożyć ścisłą cenzurę na wolność słowa, państwo i rząd Nowej Zelandii podobnie jak w Polsce dyktowało obywatelom co uważało za stosowne bez zważania na głosy opinii publicznej, rząd wybrał kurs w kierunku państwa policyjnego, itd., itp. Moim więc zdaniem jedynym powodem dla którego nie wybuchł wówczas nowozelandzki odpowiednik dla polskich rozruchów Solidarności, to fakt że Nowozelandczycy są bardziej pasywni i politycznie mniej świadomi niż Polacy. Gdyby bowiem Nowa Zelandia była zamieszkała przez świadomych, odważnych i buntowniczych Polaków, moim zdaniem miałyby tam miejsce rewolucja nie później niż w 2009 roku. Nie można jednak wykluczyć że z biegiem czasu nawet pasywność i niedojrzałość polityczna Nowozelandczyków zostrzenie poruszona jakimś coraz bardziej bezdusznym posunięciem tamtejszego rządu - w takim zaś niefortunnym przypadku poleje się tam raczej sporo niewinnej krwi.

Zasadność powyższego twierdzenia, że Nowa Zelandia od 2009 roku stała się niebezpiecznie podobna do Polski z 1980 roku, daje się udowodnić. Wystarczy w tym celu przypomnieć sobie cechy jakie odzwierciedlały esencję komunistycznego reżymu który panował w Polsce z 1980 roku (takie jak dyktatura rządu, cenzura wolnego słowa, formowanie państwa policyjnego, podział społeczeństwa na uprzywilejowanych i eksploatowanych, niepochamowane łakomstwo uprzywilejowanych, itp.), potem zaś sprawdzić czy każda z owych cech faktycznie była obecna w Nowej Zelandii począwszy od 2009 roku.

R-9

R5. Wysiłki aby stopniowo zamienić Nową Zelandię w państwo typu "nany" (niania)

Wszystkie upadające ekonomicznie kraje wykazują obecność podobnych cech. Przykładowo, wszystkie one bazują na sponsorowanym przez rząd szpiegowaniu swych obywateli, wszystkie nakładają ostrą cenzurę i zamykają usta swoich obywateli, wszystkie mają zagmatwane prawa które w każdej chwili pozwalają oskarżyć i uwięzić każdego obywatela który podpadnie władzom, wszystkie stwarzają najróżniejsze teatralne przedsięwzięcia jakich celem jest udowadnianie ich populacji iż sytuacja jest zupełnie odmienna niż naprawdę tam panuje, itd., itp. Rządy Nowej Zelandii stopniowo wprowadzały tego typu ograniczenia swobód obywatelskich już od czasów kiedy władzę w owym kraju utracił Sir Robert Muldoon, a zyskała jego łakoma ówczesna opozycja. Wcześniejsze rządy czyniły to jednak w sposób zakamuflowany, pod pretekstem jakoby przekształcania kraju w tzw. "nanny state" - tj. jakoby w państwo które tylko usilnie "opiekuje się" swymi obywatelami (słowo "nany" oznacza "niania"). Dopiero więc kiedy powróciłem z Korei do życia Nowej Zelandii w 2008 roku, uderzyło mnie w oczy, że pojawiły się tam dosyć drastyczne przejawy wszystkich takich cech państwa filmującego własnych obywateli licznymi kamerami telewizyjnymi w stylu wschodnioniemieckiej STASI, oraz raptownie ograniczającego wolność słowa. Przykładowo, nawet w 2019 roku niemal nikt NIE miał odwagi aby stwierdzić oficjalnie i publicznie, że w NZ istnieje znacząca korupcja – aczkolwiek wiadomo, że populacja kraju nadal jest niemal taka sama jak była za rządów Sir Roberta Muldoon, jednak sumaryczne podatki i najróżniejsze inne opłaty jakie w czasach Sir Muldoon jeszcze NIE istniały, w 2019 wzrosły do co najmniej dwukrotnie wyższej wartości, zaś stan infrastruktury kraju i stopa życiowa jego ludności spadły aż do wielokrotnie niższych poziomów (tj. NZ jako całość stała się już wielokrotnie biedniejsza).

R6. Nowozelandzkie tzw. "prawo przeciw-klapsowe" jako przykład zupełnego nieliczenia się rządu z opinią obywateli

Anglicy mają powiedzenie „**pożałuj różgi a popsujesz dzieciaka**” (po angielsku: „spare the rod and spoil the child”). Powiedzenie to jest przetłumaczonym na dzisiejszy język zapisem metody działania Boga którą w autoryzowanej przez siebie Biblii sam Bóg wyraził słowami w tzw. Księdze Przysłów 13:24 - cytuję: „**Nie kocha syna, kto różgi żałuje, kto kocha go - w porę go skarci.**” Dlatego obecna faza powiększania wiedzy przez Boga z użyciem "**zasady odwrotności**" czyli m.in. za pośrednictwem „eksperymentowania z szatańskością i z jej następstwami” ma też jeszcze inny, równie istotny cel. Mianowicie, Bóg używa jej także jako metody „wychowywania” sobie ludzi na prawych, zahartowanych w ogniu, oraz niezawodnych współtowarzyszy, poprzez wykształtowanie w nich pożądanym cech charakteru na drodze celowego i powtarzalnego poddawania każdego z ludzi najróżniejszym przykrym i bolesnym doświadczeniom. Ilustracyjne wyjaśnienie dlaczego konieczne jest poddawanie ludzi takiemu „hartowaniu charakteru”, podane zostało w punkcie #A3 totalizycznej strony internetowej "[god proof pl.htm](#)".

Odnotuj, że używana przez Boga metoda „hartowania charakteru ludzi” poprzez celowe poddawanie ich cierpieniom i nieprzyjemnym doświadczeniom, opisana jest także w punkcie #K2 totalizycznej strony "[soul proof pl.htm](#)" - o naukowych dowodach potwierdzających istnienie duszy.

Biblia kładzie ogromny nacisk na ową podstawową zasadę wychowawczą aby „charakter ludzi utwardzać tak jak hartuje się stal”. Zasada ta jest bowiem powtarzana w Biblii w wielu miejscach. Przykładowo, oprócz wersetu cytowanego poprzednio, w biblijnej Księdze Przysłów powtarzają ją również np. werset 22:15 (cytuję „W sercu chłopięcym głupota się mieści, różga karności wypędzi ją stamtąd”), 23:13 (cytuję „Karcenia chłopcu nie żałuj, gdy różgą uderzysz - nie umrze”), czy 29:17 (cytuję „Karc syna: kłopotów ci to zaoszczędzi i pociechą twej duszy się stanie”). Powtarza ją też Mądrość Syracha czyli Eklezjastyk (uwaga - nie mylić jej z biblijną Księgą Kohleta czyli Eklezjastesą), werset 30:1 (cytuję: „Kto miłuje swego syna, często używa na niego różgi, aby na końcu mógł się nim cieszyć”). Zasada ta udowodniła już swoją poprawność w przeciągu całych tysiącleci jej stosowania. Niestety, jakieś mroczne moce ostatnio sprytnie podważają kompentencję Boga w zakresie omawianej tutaj zasady wychowawczej, którą Bóg rekomenduje w Biblii do stosowania przez rodziców. Co dziwniejsze, niektórzy ludzie, a nawet niektórzy rodzice, w swoim zaślepieniu też zaczęli ostatnio zasadę tą otwarcie prześladować i czynić ją nielegalną w świetle prawa ludzkiego. W ten sposób celowo stwarzają oni sytuację, że prawa ludzkie występują dokładnie przeciwko prawom boskim i że ci ludzie którzy postępują zgodnie z prawami boskimi są surowo karani przez prawo ludzkie. Przykładowo, w Nowej Zelandii tamtejszy sejm wydał tzw. „**prawo przeciw-klapsowe**” (po angielsku „anti-smacking law”) które zamienia w przestępcę i naraża na karę więzienia każdego rodzica który da klapsa swemu dziecku. Co dziwniejsze, tamtejsze pouczanie rodziców przez państwo jak ci mają wychowywać swoje dzieci, nabiera bardzo dziwnego posmaku w świetle programu telewizyjnego o tytule „60 minutes” nadawanego na kanale 3 telewizji nowozelandzkiej w poniedziałek, dnia 20 lipca 2009 roku, w godzinach 19:30 do 20:30. Zgodnie z owym programem, rządowe instytucje Nowej Zelandii opiekujące się sierotami i dziećmi odebranych rodzicom przez państwo, zostały oskarżone o największe w dziejach owego kraju przestępstwo bicia, maltretowania, oraz nieludzkiego potraktowania dzieci. Program ten informował, że już w chwili obecnej około 5000 byłych dzieci z owych państwowych sierocińców zabiega o wystąpienie do sądu w tej sprawie, jednak całkowitą liczbę dzieci brutalnie krzywdzonych w tamtejszych państwowych domach opieki szacuje się na mogącą sięgać nawet liczby 50000. Powinno więc co najmniej dziwić, że nie zapobiegając biciu i brutalnemu krzywdzeniu dzieci w nadzorowanych przez państwo

R-11

sierocińcach, to samo państwo instruuje prawami i chce karać rodziców, którzy starają się dyscyplinować własne dzieci w swoich domach. W rezultacie wdrożenia w życie tego „**prawa przeciw-klapsowego**”, Nowa Zelandia zaczęła nagle doświadczać problemy wychowawcze oraz wzrost przestępczości o niemal kosmicznej skali. Doszło do tego, że aby zmusić rząd do zmiany tego prawa, zatroskani obywatele rozpisali ogólnokrajowe referendum na dni 1 do 20 sierpnia 2009 roku, zapytujące każdego obywatela „**czy klaps dany dziecku jako wyraz dobrego rodzicielskiego korygowania powinien być przestępstwem kryminalnym w Nowej Zelandii?**” (w oryginale angielskojęzycznym: “Should a smack as part of good parental correction be a criminal offence in New Zealand?”). Chociaż koszt tego referendum wznosi się do około 9 milionów dolarów, rząd z góry zapowiedział że NIE weźmie pod uwagę jego wyników i nie zmieni tego prawa. Niemniej jednocześnie niemal w każdej gazecie jaką wziąłem do ręki w okresie przygotowań do tego referendum znajdowałem co najmniej jeden artykuł który bezpośrednio lub pośrednio namawiał aby w referendum tym głosować TAK (tj. głosować za utrzymaniem owego prawa narzuconego społeczeństwu przez sejm i czyniącego przestępcę z każdego rodzica który da klapsa swemu dziecku), lub który co najmniej starał się przekonać czytelników aby wogóle NIE brali udziału w głosowaniu. Jednocześnie NIE natrafiłem w gazetach nawet na jeden artykuł który nakłaniałby czytających aby głosowali NIE - czyli głosowali przeciwko utrzymaniu ważności tego prawa. Przykładem artykułu nakłaniającego aby głosować TAK, jest artykuł o tytule „The Bible has harsh views on rearing a child” (tj. „Biblia ma represyjne metody wychowania dziecka”), ze strony B5 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post**, wydanie z soboty (Saturday), July 11, 2009. Artykuł ten okrzykuje biblijnymi fundamentalistami wszystkich tych rodziców, którzy dyscyplinują klapsami swoje dzieci. (Aby lepiej zrozumieć jakie mentalne powiązania można w czytelnikach zaindukować przez przyrównywanie kogoś do fundamentalistów biblijnych, wystarczy tutaj wspomnieć, że ci którym przypisuje się terrorystyczne ataki po świecie i zbombardowanie WTC typowo nazywani są „religijnymi fundamentalistami”.) Artykuł ten sugeruje także pośrednio, że okrzykiwanie kryminalistami każdego rodzica, który usiłuje klapsami dyscyplinować swoje dzieci, byłoby „bardziej oświeconą drogą do przodu” (tj. „a more enlightened way forward”). Nieco więcej danych na temat tego intrygującego referendum i prawa przeciw-klapsowego, które stara się ono obalić, zawierają m.in. artykuły „**Get cracking on referendum act**” ze strony A4 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post**, wydanie z piątku (Friday), June 19, 2009, oraz „Three out of four think poll waste of money” ze strony A4 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z poniedziałku (Monday), June 29, 2009. Referendum skończyło się w czwartek, dnia 20 sierpnia (August) 2009 roku. Jego wyniki były publikowane, m.in. w artykule „You say Change the law, PM says No I want” (tj. **„Ty mówisz Zmień prawo, rządzący (PM) mówi Nie ja nie zmienię”**) ze strony A1 gazety **Weekend - The Dominion Post**, wydanie z soboty (Saturday-Sunday), August 22-23, 2009. Przeważająca większość ludzi, bo 87.60%, głosowała NIE (znaczy domagała się zmiany prawa). Tylko 11.81% ludzi głosowało TAK (znaczy utrzymaj istniejące prawo anty-klapsowe). W wyborach uczestniczyło 54.64% (tj. głosowało 1,622,000 Nowozelandczyków) - znaczy przeciwko temu prawu głosowało więcej obywateli niż liczba ludzi którzy wybrali rząd w najostatniejszych wyborach poprzedzających owo referendum. Referendum kosztowało 8.9 milionów dolarów nowozelandzkich - a ciągle rząd go zignorował i odmówił obalenia powszechnie niechcianego prawa. Faktycznie to artykuł o tytule “Mother jailed for beating son with hose” (tj. „Matka wtrącona do więzienia za przyłożenie synowi gumowym wężem”) ze strony A1 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z piątku (Friday) November 20, 2009 rok, opisuje szokującą surowość z jaką w owym podobno demokratycznym kraju już po referendum nadal karano rodziców usiłujących dyscyplinować swoje dzieci. Artykuł ów opisuje przypadek matki która przyłożyła synowi w tyłek 15 razy gumowym wężem ponieważ chronicznie wagarował on szkołę. Za to matka ta została wsadzona do więzienia na 15 miesięcy (czyli nowozelandzka „sprawiedliwość” zasądziła tej matce miesiąc więzienia za każde

R-12

kolejne przyłożenie jej synowi wężem w tyłek). Kilka kolejnych przypadków kiedy wychowujący rodzice zostali sędawnie ukarani za przyłożenie swoim rozwodzonym dzieciakom, opisanych zostało w artykule „Latta gives OK to anti-smacking law” ze strony A1 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post**, wydanie z wtorku (Tuesday), December 8, 2009. Według mojej znajomości życia, w innym miejscu i czasie niemal każdy z owych przypadków zakończyłby się postawieniem przed sądem owych rozwodzonych dzieciaków, a nie ich rodziców. Jednak w Nowej Zelandii specjalnie powołana w tym celu komisja rządowa orzekła na podstawie tychże przykładów, że tamtejsze prawo zakazujące klapsów jest pożądane i że działa ono jak powinno. W innym artykule „It’s okay to give light smacks, says PM” ze strony A1 gazety **The New Zealand Herald**, wydanie z wtorku (Tuesday), December 8, 2009, owo orzeczenie tejże komisji zostało określone przez osoby zwalczające prawo przeciw-klapsowe jako „government-funded sales pitch” (co można tłumaczyć jako „opłacony przez rząd pisk reklamowy”). Potrzebę wprowadzenia prawa anty-klapsowego politycy Nowej Zelandii najczęściej uzasadniają chęcią uchronienia dzieci przed agresją dorosłych. Jak jednak wykazały to wyniki badań opublikowanych w artykule „Outcry fails to reduce child abuse deaths” ze strony A7 nowozelandzkiej gazety **The Dominion Post**, wydanie z czwartku (Thursday), December 10, 2009, statystyki liczb zgonów dzieci spowodowanych agresją dorosłych są po wprowadzeniu owego prawa anty-klapsowego takie same jak przed jego wprowadzeniem. Owe statystyki więc wykazują, że prawo to wcale NIE chroni dzieci przed śmiercią z rąk dorosłych.

Więcej informacji na temat wyrabiania w ludziach pożądanych cech charakteru „twardymi metodami” zawarty jest w podrozdziałach D2 i D1 z tomu 2 monografii [8/2] o tytule „Totalizm”.

R-13

R7. Uprzywilejowywanie niektórych, czyli wychowywanie sobie klasy "równiejszych wśród równych"

Kolejnym zjawiskiem które dobrze było znane w komunistycznej Polsce, zaś ostatnio pojawia się w Nowej Zelandii, to że w społeczeństwie pojawia się klasa ludzi, którzy są **"ponad prawem"**. Do grupy owych ludzi w Nowej Zelandii należą wszyscy słynni i bogaci. Najlepszym przykładem wyklarowywania się owej klasy, była sytuacja kiedy jakiś znany nowozelandzki artysta, seksualnie sponiewierał nieletnia dziewczynę, zaś sąd go niemal uniwinnił i zakazał prasie publikowania jego nazwiska. Przypadek ten opublikowany został m.in. w artykule "Govt blocks naming of sex act star" (tj. "Rząd zablokował nazwanie artysty seksualnego aktu"), ze strony A3 nowozelandzkiej gazety Weekend Herald, wydanie z soboty (Saturday), November 28, 2009. Oczywiście, ów przypadek wcale nie jest jedynym, a jeden z wielu coraz częściej mających miejsce tego typu zdarzeń. Podobne przypadki wcześniej miały też powtarzalnie miejsce ze słynnymi sportowcami nowozelandzkimi. Ponadto wszyscy nowozelandzcy rodzimi mieszkańcy, jacy są oficjalnie zarejestrowani jako pochodzący od oryginalnej populacji istniejącej przed odkryciem NZ przez Europejczyków, otrzymują szczególne potraktowanie i muszą popełnić coś naprawdę paskudnego aby za to zostać pociągnięci do odpowiedzialności.

R8. Eskalowanie biurokracji

Wszystkie rządy które nastąpiły w Nowej Zelandii po Sir Robercie Muldoon, niemal wszelkie swoje działania sprowadzały do eskalowania biurokracji przy jednoczesnym minimalizowaniu faktycznego działania. Najlepiej owo eskalowanie biurokracji zostało zilustrowane w interesującym artykule "The complicated science of money distribution" (ze strony B5 gazety The Dominion Post, wydanie z poniedziałku (Monday) December 14, 2009) na przykładzie mającej miejsce w 1992 roku zmiany zasad finansowania uczelni i naukowców w Nowej Zelandii.

R9. Czy był to już koniec mojego zawodowo aktywnego życia?

Kiedy w 2009 roku pisałem niniejszy rozdział tej autobiografii, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że wobec coraz silniejszej depresji ekonomicznej, która nadal panowała wówczas i nasilała się w Nowej Zelandii, moje **bezzasiłkowe bezrobocie** rozpoczęte w dniu 23 września 2005 roku zapewne będzie musiało trwać aż do czasu kiedy w 2011 roku stanę się uprawniony do otrzymywania emerytury. Tak też faktycznie się stało. Pechowo bowiem dla mnie, rzekomo aby oszczędzać, rząd Nowej Zelandii kilka lat wcześniej wydłużył przechodzenie na emeryturę aż do wieku 65 lat. W Nowej Zelandii też nie mieli, oraz nadal NIE mają, opcji „**wcześniejszego odejścia na emeryturę**”, która to opcja istnieje w wielu innych krajach, np. w Malezji. W rezultacie, z uprzednich oszczędności przyszło mi żyć aż przez około 6 lat, czyli od 2005 roku aż do 2011 roku. Podobnie bowiem jak podczas poprzedniego długiego okresu mojego bezrobocia z lat 1990 do 1992, w 2005 roku także znalazły się jakieś przepisy (tym razem inne) według których zasiłek dla bezrobotnych też mi się nie należał.

W 2009 roku, w chwili pisania między innymi i niniejszego rozdziału tej autobiografii, mieszkałem z żoną na przedmieściu Wellington (tj. stolicy Nowej Zelandii). Przedmieście to nazywało się „Petone” i było oddalone o jakieś 8 kilometrów od centrum Wellington. Wynajmowaliśmy w owym Petone raczej miniaturowe mieszkanko wielkości nieco większej windy towarowej. Ceny wówczas były tam takie, że chociaż mieszkanie to było naprawdę małe i znajdowało się w starej oraz zagrzybionej ruderze, ciągle komorne za nie przekraczało znacząco nasze wydatki na wyżywienie.

R-16

R10. Moja emerytura

Począwszy od daty moich urodzin w 2011 roku, tj. kiedy osiągnąłem owe magiczne 65 lat, zacząłem otrzymywać nowozelandzką emeryturę. Początkowo emerytura ta wynosiła trochę ponad \$NZ 500 wpłacanych na moje konto co drugi tydzień. Kiedy zacząłem ją otrzymywać nadal mieszkałem jeszcze w owym maleńkim, zagrzybionym, wynajmowanym mieszkaniu na ulicy Tennyson Street w Petone.

R-17

R11. Zakup mieszkania "spółdzielczego" w Petone, NZ

Przez cały czas zamieszkiwania w Petone planowałem, że po przejściu na emeryturę przeniosę się do jakiejś innej miejscowości, która bardziej by mi się podobała niż Petone. Dlatego od czasu przybycia do Petone w dniu 2001/2/12, aż do marca 2012 roku, zamieszkiwałem w wynajmowanym mieszkaniu - płacąc za tą "przyjemność" bardzo wysokie nowozelandzkie "komorne". Pod uwagę brałem dwie takie docelowe miejscowości, mianowicie Tauranga na Wyspie Północnej, oraz Christchurch na Wyspie Południowej NZ. Obie te miejscowości mi się podobają, mają dużo słońca, oraz są zlokalizowane w pobliżu środków swoich wysp - tak że łatwo z nich podróżować do reszty tego malowniczego kraju. Jednak kiedy zacząłem się już zabierać za zrealizowanie tego zamiaru, najpierw trzęsienie ziemi zniszczyło Christchurch – co zniechęciło mnie aby tam się przenieść i zamieszkać. Potem zaś się okazało, że Tauranga jest w szponach aż kilku maoryskich gangów motocyklowych, które mają brzydki zwyczaj aby mordować, bić i wandalizować europejskich mieszkańców owego miasta – co mi wyperswadowało aby i tam się NIE przenosić. Po rozważeniu więc sytuacji, zdecydowaliśmy z Sue, że zostaniemy w Petone. Wszakże mieliśmy tu już sporo znajomych, a ponadto wiedzieliśmy gdzie co można kupić i jak się poruszać po okolicy. W lutym 2012 roku zakupiłem więc w Petone małe mieszkanko "**spółdzielcze**" (2 pokoje - w tym jeden zawierający "kącik kuchenny", plus także łazienka, oraz mały korytarzyk – w sumie 49 metrów kwadratowych), do którego się przeprowadziliśmy w marcu 2012 roku. (Słowo "spółdzielcze" napisałem w cudzysłowie, ponieważ w NZ nazywa ono się inaczej, mianowicie nazywa się "**company share**" – aczkolwiek cechą tego typu mieszkań jest, że są one odpowiednikiem polskich mieszkań z tzw. "spółdzielni mieszkaniowych".) Kosztowało ono mnie 173000 dolarów nowozelandzkich, plus koszta prawne i zakupu – na szczęście sumę tę miałem wcześniej zaoszczędzoną. Gdybym jednak mieszkanie owo zdecydował się sprzedać w czasach gdy w październiku 2016 roku pisałem niniejszy punkt, zapewne bym za nie wówczas dostał już około 250000 dolarów NZ. Zaletą owego mieszkanka było, że miało ono mały ogródek – o powierzchni około 6 razy 12 metrów, w którym mogłem sadzić i pielęgnować drzewka owocowe i winogrona – co przez większość pracowitego życia chciałem czynić kiedy przejdę na emeryturę. Wadą zaś tego mieszkania było, że wraz z trzema innymi przylegającymi do niego mieszkankami, pozostawało ono własnością firmy (tj. NZ odpowiednika polskiej „spółdzielni mieszkaniowej”), zaś za owe 173000 dolarów ja jedynie nabyłem prawo aby w nim zamieszkiwać. Gdybym w owym 2012 roku kupował sobie takie samo mieszkanko NIE na zasadach „spółdzielni” (tj. jak to tutaj je nazywają - na zasadach „company share”), a na swoją własność, wówczas kosztowałoby mnie ono około 300000 NZ dolarów – co byłoby odpowiednikiem sumy „brutto” wszystkich moich zarobków z okresu około 15 lat, bowiem ceny mieszkań w rządzącej się zachłannością i wyzyskiem Nowej Zelandii raptownie wówczas rosły. (Dla uświadomienia sobie jak szybko ceny domów i mieszkań rosły w NZ, podam tutaj, że jeszcze w 1999 roku, moja była landlady z Dunedin, u której uprzednio mieszkałem, podobno sprzedała cały swój piękny 5-pokojowy ceglany dom z dużym ogrodem za jedynie około 20000 dolarów NZ – co wtedy było odpowiednikiem moich „brutto” zarobków z okresu zaledwie jednego roku. Potem nieco żałowałem, że go wówczas od niej NIE usiłowałem kupić, aczkolwiek mi osobiście NIE podoba się miasto Dunedin, NIE odpowiada zawsze deszczowa oraz zachmurzona pogoda owego miasta, a ponadto mam przykre stamtąd wspomnienia będąc tam wyrzuconym z pracy na Otago University.)

Nowozelandzkie przedsiębiorstwa mieszkaniowe zwane "company share" są odpowiednikiem polskich "spółdzielni mieszkaniowych" z czasów kiedy ja mieszkałem w Polsce. Mianowicie, każda taka instytucja jest zakładana jako przedsiębiorstwo (po angielsku "company"), buduje kilka mieszkań (moja posiada 4 mieszkania) dla jakich potem owo przedsiębiorstwo jest właścicielem i zarządcą, poczym sprzedaje zainteresowanym osobom

R-18

prawo do zamieszkiwania w jednym z takich mieszkań w formie "shares" owej kompanii. Instytucja of jakiej ja zakupiłem swoje mieszkanie nazywa się [Arawa Flats Limited, Petone](#). (patrz adres:

<https://www.google.co.nz/search?q=Arawa+Flats+Limited+Petone+Jan+Pajak>

). Zarządzana ona jest na zasadzie NIE pobierającego zarobków samorządu, czyli całość opłat jakie pobiera ona od zasiedlających jej mieszkania rodzin jest przeznaczana za zewnątrz opłaty, tj. na opłaty pobierane przez rząd, zarząd miasta, oraz ubezpieczalnię. Jej NIE pobierającymi od niej żadnych zarobków ani dividend dyrektorami są reprezentanci każdego z mieszkań (ja jestem jednym z czterech bezpłatnie zarządzających nią dyrektorów w naszej cztero-mieszkaniowej "Arawa Flats Limited, Petone").

W 2012 roku, tj. w czasie kiedy zakupiłem to swe mieszkanie, całoroczne opłaty jakie rząd, zarząd miasta, oraz ubezpieczalnia, w sumie pobierały odemnie tylko za prawo używania mojego mieszkania, wynosiły 1200 NZ dolarów. W 2019 roku, kiedy to przygotowywałem niniejsze opracowanie do opublikowania, wynosiły one już 3200 dolarów na rok. Nie słyszałem jednak jeszcze, aby ktoś oficjalnie stwierdzał, że w NZ istnieje korupcja. Jeśli zaś NIE jest to korupcja, to co „zjada” lub się dzieje z owymi 2000 dolarów o jakie w międzyczasie wzrosły roczne opłaty za jedynie prawo zamieszkania w tym samym co uprzednio budynku.

Jak wygląda to moje mieszkanie, czytający może zobaczyć na jego zdjęciach pokazanych na stronie o nazwie "[solar pl.htm](#)", a także może zorientować się z rysunków tego mieszkania wykonanych w widokach zarówno z boku, jak i z góry, a pokazanych na "**Rys. #A3(K6)**" z mojej strony o nazwie "[magnocraft pl.htm](#)".

R12. Życie we własnym mieszkaniu spółdzielczym ("company share")

Szczerze mówiąc, życie we własnym małym mieszkanku z równie małym ogródkiem, jest znacznie przyjemniejsze niż nieustanna tułaczka i życie "na walizkach" jakie prowadziłem po wyemigrowaniu do NZ. Zaraz po zakupie mieszkania w ogródku posadziłem sobie winogrona i drzewa owocowe, o posiadaniu jakich od dawna marzyłem. Ów mój miniaturowy sad, o wielkości typowego miejskiego "ogródka działkowego" z czasów mojego zamieszkiwania w komunistycznej Polsce, już zaczął rodzić owoce. Przykładowo kiedy od dnia 2019/3/7 (tj. na końcu nowozelandzkiego lata) pracowałem nad dokonaniem niniejszej autobiografii, moje drzewko orzechów włoskich jakie osobiście posadziłem, właśnie zaczęło upuszczać na ziemię pierwsze dojrzałe orzechy – jakże lepszy i bardziej aromatny jest ich smak od wysuszonych orzechów jakie kupuje się w sklepie. Także właśnie już dojrzałe moje stołowe winogrona "**Niagara**" pachną aromatycznie i mają doskonały słodki smak, jakiego NIE daje się odczuć z winogron zakupionych w sklepie. Dojrzewa też już kilka gruszek na moich drzewkach gruszkowych "**DDC**" (tj. "Doyene Du Comice") i "**Winter Nelis**".

Jedynie kilkaset metrów od mojego mieszkania jest plaża Petone. Na plaży tej, jak wierzę, znajduje się cudowne miejsce, oznakowane dużym, cementowym "krzyżem celtyckim". Wszakże dnia 2017/4/25 ujrzałem tam "**gorejący krzew**" - którą to religijną manifestację "płonącego krzewu", zademonstrowaną mi na owej plaży, opisałem i zilustrowałem dokładniej w punkcie #J3 z mojej strony o nazwie "[petone.pl.htm](#)". Na bazie więc wersetów 3:1-5 z biblijnej "Księgi Wyjścia" osobiście wierzę, że ów fragment petońskiej plaży, na jakiej ukazał mi się tamten telepatycznie sprzeczący się ze mną "**płonący krzew**", faktycznie posiada nadany mu przez Boga status "świętego miejsca". Najróżniejsze też inne manifestacje jakie obserwuję w owym miejscu, zdają się konsystentnie potwierdzać prawdę tego mojego wierzenia. Aby więc NIE "przegapić" okazji kiedy kolejna z takich niezwykłych manifestacji tam się pojawi, jeśli tylko pogoda i moja sytuacja mi na to pozwalają, staram się przespacerować po tej plaży i koło owego świętego miejsca niemal codziennie.

W internecie najróżniejsze osoby wypisywały na mój temat niestworzone rzeczy - zwykle negatywne i bardzo dla mnie bolesne. Gro z nich sprowadzała się do wyzwisk, pozbawionego uzasadnień krytykowania, nazywania mnie wariatem i obrzucania obelgami – w tej branży szczególnie celował szydrczy blog jaki istniał jeszcze w marcu 2019 roku (czyli do wówczas zatruwał on opinie czytających, zniechęcając do poznawania wyników moich badań przez już około 13 lat) o adresie <http://doktorjanpajak.blox.pl/2006/04/I-Odkrycia-i-idee-prof-Jana-Pajaka-Totalizm.html#ListaKomentarzy>. Ja oczywiście zmuszony byłem (i nadal jestem) tolerować te nieobiektywne i bardzo krzywdzące napaści, bowiem zawsze wierzyłem w istotne uprawnienie dane nam Przez Boga razem z "**wolną wolą**", a stwierdzające "**choć NIE zawsze zgadzam się z Waszymi poglądami, jestem gotów walczyć do upadłego abyście mieli prawo i możliwości ich formowania i wyrażania**" - co przy każdej okazji podkreślam w swoich publikacjach (np. patrz owo hasło na stronie "[skorowidz.htm](#)" lub we wpisie #308 z "tomu T" mojego [opracowania \[13\]](#)). Wszakże to między innymi z powodu ostrej cenzury i "zamykania ludzkich ust" przez władze komunistycznej Polski, ja ryzykowałem swoją karierę i wolność jako uczestnik ruchu "Solidarność", zaś w efekcie końcowym podjęcia tego ryzyka zmuszony byłem uciekać do Nowej Zelandii. Na szczęście, wśród takich typowych i tuzinkowych wypowiedzi "chronicznych krytykantów", czasami zdarzały się też istnie "**perły** internetowej twórczości", np. pełne żartów lub humoru. Na jedną z takich pereł natknąłem się dnia 2019/3/28 - tj. w trakcie doskonalenia treści niniejszej autobiografii. Zawarta jest ona na stronie o adresie: <https://pl.misc.paranauki.narkive.com/OSSnw2yb/pajak-doktor-w-dziadach-mickiewicza-dlugie> . Aczkolwiek owa strona istniała już przez 13 lat, ja nigdy wcześniej na

R-20

nią NIE natrafiłem. Jej autor przygotował tam żartobliwą publikację, w której znane mu fakty na temat mojego życia porównywał z treścią opublikowanej w Dreźnie w 1832 roku III-ciej części "Dziadów" (widzenie księdza Piotra) pióra polskiego wieszcz naradowego, Adama Mickiewicza. Pełną treść owej 3-ciej części czytelnikowi pomoże poznać wyszukiwarka: <https://www.google.pl/search?q=tekst+Dziady+Adam+Mickiewicz+cz%C4%99%C5%9B%C4%87+III+widzenie+ks+Piotra> . Ku mojemu początkowemu ubawieniu, dla sporej proporcji stwierdzeń owej części "Dziadów", autor tamtej strony zdołał na siłę uzasadnić iż jakoby pokrywają się one z przebiegiem mojego życia. Oczywiście, do owych pokrywających się faktów, jakie są podane na tamtej stronie, gdybym NIE traktował owych opisów jako zabawnego żartu, sam też mógłbym dodać jeszcze dziesiątki innych. Nawet owo słynne stwierdzenie "A imię jego czterdzieści i cztery", przy odrobinie dobrych chęci dałoby się siłą jakoś uzasadnić. Przykładowo dla "**czterdzieści**": w wieku właśnie czterdziestu lat opublikowałem pierwsze swe monografie naukowe zawierające już włączone w ich treść opisy mojego rewolucyjnego "Konceptu Dipolarnej Grawitacji", to jako 40-latek przestawiłem też całe swoje naukowe myślenie na zasady ujawniane owym niedawno osobiście odkrytym "Konceptem Dipolarnej Grawitacji" (tj. na zasady jakie uformowały fundamenty filozoficzne zupełnie nowej "**totaliztycznej nauki**"), w owym wieku opublikowałem też po raz pierwszy swoją "filozofię totalizmu", itp. – po więcej szczegółów o owym przełomowym dla mojego życia roku 1986 patrz podrozdział W4 z tomu 18 mojej monografii [1/5]. Z kolei dla "**cztery**": swój doktorat obroniłem już po 4 latach, w czterech uniwersytetach świata byłem profesorem, itd., itp. Jednak ja jestem pewien, że owo powierzchownie wymuszane pokrywanie się z "Dziadami", wynika NIE z przebiegu czyjegokolwiek życia, a z kunsztu i poziomu doskonałości twórczości Adama Mickiewicza - jakiego ja darzę ogromną admiracją i szacunkiem. Nasz wieszcz naradowy jest bowiem aż tak doskonały w tym co napisał, że ma to wysoce generalną formę "zasad" i "przebiegów" pasującą do wielu odmiennych sytuacji życiowych (tj. formę bardzo podobną do zdarzeń i sytuacji opisywanych w Biblii). Stąd przykładowo ja wierzę, że gdyby ową III-cią część "Dziadów" porównać do życia jakiegokolwiek emigranta, który przysłowiowo "z niejednego pieca chleb już jadł", wówczas prawdopodobnie i w jego życiu też dałoby się odnaleźć podobną liczbę faktów na siłę dających się opisać słowami użytymi przez Mickiewicza w "Dziadach" - podobnie jak życie każdego z nas ludzi daje się porównać do wielu sytuacji opisywanych np. w biblijnych tzw. "przypowieściach".

Rozdział S:

Część 3: PODSUMOWANIE, UOGÓLNIENIE I WNIOSKI MOJEGO ŻYCIA

PODSUMOWANIE, UOGÓLNIENIE I WNIOSKI MOJEGO ŻYCIA, oraz EWOLUCJA MOICH POGLĄDÓW I

Czytelnik tej autobiografii zapewne wie, iż jestem autorem **filozofii zwanej totalizm**. Gdyby ktoś zapytał jak ja obiektywnie zdefiniowałbym ową filozofię, wówczas aby jej definicją wyróżnić najważniejszą cechę totalizmu i wskazać czym się ona różni od innych istniejących filozofii oraz innych pojęć opisujących angielskim słowem "totalism" – zdefiniowałbym ją w następujący sposób: **"Filozofia totalizmu dra inż. Jana Pająk, jest to najmoralniejsza filozofia świata wypracowana przez niedoskonałego i omylnego człowieka (tj. przez jej ludzkiego autora)"**. W definicji tej podkreślam, iż totalizm wypracował "człowiek", ponieważ np. to co Biblia opisuje spełnia definicję NIE tylko religii, ale także i filozofii życiowej. Jednak autorem Biblii jest sam wszechwiedzący i nieomylny Bóg – stąd to co Biblia stwierdza jest absolutną prawdą i tylko prawdą. Natomiast autorem totalizmu jest jedynie niedoskonały i omylny człowiek, czyli ja. Ja zaś mogę się mylić. Stąd aczkolwiek totalizm w naukowy i nowoczesny sposób wyjaśnia wiele spraw jakie w Biblii są podane bez dodatkowych wyjaśnień, ciągle aby uchronić się od ewentualnych pomyłek jakie mogą kryć się w totalizmie, podjęcie wdrażania w swym życiu jakiegokolwiek stwierdzenia tejże filozofii dobrze jest dodatkowo potwierdzić poprzez studiowanie Biblii.

Najważniejszym pojęciem w totalizmie jest **"moralność"**. Pojęcie to w punkcie #B5 swej strony o nazwie **"morals.pl.htm"** definiuję w następujący sposób: **'faktyczna moralność jest to "poziom posłuszeństwa" z jakim dany "intelekt" ochotniczo (tj. z powodów wynikających wyłącznie z głębokiego przekonania wewnętrznego) spełnia przykazania i wymogi które Bóg nakłada na ludzkie życie, które to przykazania i wymogi są jednoznacznie wyrażone przez Boga z pomocą najróżniejszych "wzorców moralności" (takich jak np. Biblia czy jak ludzki organ zwany "sumieniem") oraz z pomocą licznych "totaliztycznych wskaźników moralnie poprawnego postępowania" (takich jak "pole moralne", "energia moralna", "prawa moralne", "karma" itp. - patrz punkty #C4.2 do #C4.7 strony [morals.pl.htm](#)), zaś których faktycznie wypełnianie przez ludzi Bóg osądza i "nagradza" lub "karze" z iście żelazną konsekwencją z pomocą mechanizmów opisywanych w punkcie #J5 strony o nazwie [petone.pl.htm](#) - zaś sposoby spełniania których to wymagań i nakazów są nam ujawniane przez dwie nowoczesne filozofie zwane **filozofia totalizmu** oraz **filozofia pasożytnictwa** jakie razem wzięte nauczają ludzi faktycznie "moralnych" zasad prowadzenia swego życia'**. Totalizm stwierdza, że taka **"faktyczna moralność jest kluczem do wszystkiego"**.

"Faktyczną moralność" zdefiniowaną powyżej przez filozofię totalizmu, z przestrzegania której surowo rozlicza nas Bóg, należy wyraźnie odróżniać od **"naukowej moralności"** opisywanej w punktach #B2 i #B3 powyższej strony [morals.pl.htm](#), która to naukowa moralność NIE bazuje na "wzorcach moralności" wyrażonych boskimi przykazaniami i wymogami zawartymi w Biblii, ani NIE bazuje na nakazach ludzkiego organu "sumienia", a jedynie została spekulatywnie wymyślona przez ludzi, a stąd która co najwyżej może być uznana za definicję wysoce omylnych i podanych na wypaczenia "zasad ludzkiej etyki".

S-2

W podrozdziałach i rozdziałach niniejszej autobiografii jakie teraz nastąpią, dokonam podsumowania mojego życia, szczególną uwagę zwracając właśnie na jego moralną wymowę i postępującą w jej kierunku ewolucję moich poglądów.

S1. Moralna esencja mojego życia - czyli ustalenie że "każde moralnie poprawne działanie musi wspinać się pod górę pola moralnego czyli iść wzdłuż linii największego oporu intelektualnego"

Nasza fizyka doskonale nam wytłumaczyła dlaczego wchodzenie w górę po schodach przychodzi każdemu z nas aż tak ciężko i wymaga wyłożenia z siebie aż tylu wysiłku. Wszakże zgodnie z prawami opisanymi przez fizykę, każdego razu kiedy wspinamy się po schodach, musimy też poruszać się pod górę niewidzialnego dla oczu pola nazywanego grawitacją. Jednakże fizyka dotychczas nam nie wyjaśniła dokładnie dlaczego czynienie rzeczy moralnych też zawsze przychodzi nam z taką trudnością, a także dlaczego również spożywa ono tyle ludzkiej energii? (Jako przykład rozważ dlaczego **mówienie zawsze prawdy** jest takie trudne. Wszakże **mówienie prawdy jest esencją moralnego zachowania się**.) Odpowiedź na to pytanie dostarcza dopiero nowa filozofia zwana "**totalizm**" - dla której ja miałem przyjemność stać się twórcą i autorem. Zgodnie z totalizmem, powód dla którego czynienie rzeczy moralnych jest zawsze takie trudne i wymaga wkładania w to nieustannego wysiłku, jest dokładnie taki sam jak w przypadku wchodzenia po schodach - mianowicie obecność niewidzialnego dla oczu pola. Totalizm stwierdza bowiem, że niezależnie od niewidzialnego dla ludzi **pola grawitacyjnego**, we wszechświecie istnieje i działa jeszcze jeden rodzaj niewidzialnego pola bardzo podobnego do grawitacji. To inne pole totalizm nazywa "**polem moralnym**". W przeciwieństwie jednak do pola grawitacyjnego, które oddziałuje na nasze ciała fizyczne, pole moralne oddziałuje na nasze umysły i intelekty. Owo niewidzialne dla oczu "pole moralne" powoduje, że każde działanie jakie podejmujemy w swym życiu, wymaga od nas albo wspinania się pod górę owego pola (i wówczas owo działanie jest „moralne”), albo też ześlizgiwania się w dół owego pola (i wówczas działanie to jest „niemoralne”). Dlatego fakt istnienia moralnego odpowiednika dla pola grawitacyjnego, przez totalizm nazywanego "pole moralne", powoduje że wszystko co w życiu czynimy posiada zdecydowaną polarność moralną. Znaczący wysiłek i trud w życiu czynimy jest albo "moralne" - ponieważ naszym wysiłkiem i trudem wynosi to nas pod górę pola moralnego, albo też "niemoralne" - ponieważ bezwysiłkowo, przyjemnie i z łatwością spycha to nas w dół tego pola. Ponieważ więc czynienie rzeczy moralnych (np. mówienie prawdy) zawsze wynosi nas pod górę owego niewidzialnego dla oczu pola moralnego, stąd musi ono przychodzić nam równie ciężko jak każde inne wspinanie się pod górę jakiegokolwiek niewidzialnego dla oczu pola. To dlatego czynienie rzeczy moralnych jest zawsze trudne i wymaga wkładania z siebie znaczącego wysiłku.

Relatywnie łatwo jest wydedukować dlaczego Bóg ustanowił istnienie owego "pola moralnego" i dlaczego nieustannie podtrzymuje On jego działanie. Wszakże bez takiego pola, przykładowo "**leżenie niektórych ludzi do góry brzuchem i nieczynienie przez nich niczego**" mogłoby się okazywać w życiu bardziej moralne niż celowe czynienie dobra przez innych ludzi. To zaś byłoby niesprawiedliwością oraz powodowałoby, że ludzie przestaliby wkładać swój wysiłek w czynienie świata wokół siebie lepszym. Dlatego Bóg wprowadził pole moralne. To pole zaś powoduje, że moralne są tylko te działania w które ktoś włoży wysiłek, trud i mądrość wspinania się pod górę owego pola moralnego. Wszystko zaś co nie wymaga włożenia wysiłku i mądrości, w tym więc również "nieczynienie niczego", staje się niemoralne. Pole moralne formuje więc bardzo jednoznaczną polaryzację moralną w naszym świecie fizycznym, oraz pozwala na jednoznaczne odróżnianie tego co jest moralne od tego co jest niemoralne.

Jak też stwierdziłem w swoim życiu, prawo moralne stwierdzające, że "**każde moralnie poprawne działanie musi wspinać się pod górę pola moralnego - czyli iść wzdłuż tzw. 'linii największego oporu intelektualnego'**" reprezentuje esencję zasady moralnego postępowania. To owo prawo powoduje bowiem że życie ludzi jest takie jak je

S-4

obecnie widzimy - znaczy pełne wysiłku i cierpienia. Wszakże aby dokonać czegokolwiek moralnego i dobrego konieczne jest włożenie w to fizycznego wysiłku i intelektualnej mądrości wspinania się pod górę pola moralnego, czyli wzdłuż linii największego oporu intelektualnego. (Odnotuj że niezależnie od owej 'linii największego oporu **intelektualnego**' istnieją także dwie inne linie, mianowicie 'linia największego oporu **fizycznego**' - po której nigdy nie porusza się ani woda, ani prąd elektryczny, ani ludzie leniwi, a także 'linia największego oporu **emocjonalnego**' - po której nigdy nie poruszają się ludzie impulsowi.) To także owo prawo powoduje, iż NIE czynienie niczego wcale NIE jest postępowaniem moralnym i jako takie nigdy nie prowadzi do niczego dobrego.

Na przekór że pole grawitacyjne i pole moralne oba są niewidzialne dla oczu, istnieją znaczne różnice pomiędzy nimi. Przykładowo, pole grawitacyjne oddziałuje tylko na obiekty fizyczne, zaś wspinanie się w nim pod górę wymaga włożenia wysiłku fizycznego. Tymczasem pole moralne oddziałuje także na obiekty pozafizyczne, np. na myśli, zamiary, uczucia, itp. Stąd wspinanie się pod górę pola moralnego wymaga włożenia również i wysiłku intelektualnego (umysłowego), a ponadto wymaga zebrania w sobie właściwej motywacji, nastawienia psychicznego, odwagi, adoptowania właściwej postawy, itp. Ponadto oba te pola mogą przebiegać zupełnie inaczej. Stąd w niektórych sytuacjach życiowych np. droga pod górę w polu grawitacyjnym może być jednocześnie drogą w dół w polu moralnym, oraz wice versa.

Oczywiście, z fizyki już wiemy, że gdziekolwiek istnieje jakieś pole, istnieć tam również muszą określone prawa jakie rządzą poruszaniem się w owym polu. Dlatego totalizm odkrył także, że owo istnienie niewidzialnego „pola moralnego” jest powodem dla jakiego w naszym wszechświecie panuje też nieznanym nam wcześniej rodzaj praw. Owe nowe prawa pozostawały ludziom nieznanym aż do powstania filozofii totalizmu (czyli dopiero ja faktycznie stałem się ich odkrywcą i popularyzatorem). Ponieważ ich działanie polega na definiowaniu zasad jakie rządzą przemieszczaniem się naszych czynów w odniesieniu do pola moralnego, totalizm nazywa je z użyciem terminu „**prawa moralne**”. Prawa moralne są tak zaprojektowane, że czynienie w życiu wszystkiego co „moralne” powoduje wypełnianie przez nas owych praw, natomiast czynienie czegokolwiek co jest „niemoralne” powoduje łamanie przez nas owych praw. To zaś ogromnie ułatwia praktykowanie totalizmu. Wszystko bowiem co konieczne aby z powodzeniem uprawiać totalizm oraz zbierać obfite nagrody jakie owa filozofia otwiera dla ludzi, po prostu **polega na pedantycznym wypełnianiu praw moralnych** - czyli na nieustannym wspinaniu się pod górę pola moralnego. Aby uczynić uprawianie totalizmu nawet łatwiejszym, każda osoba posiada „wbudowany” w siebie naturalny organ, który faktycznie jest encyklopedią praw moralnych. Organ ten popularnie nazywany jest „**sumienie**”. Został on wprowadzony do przeciw-ciał ludzi dopiero w czasach misji Jezusa na Ziemi, kiedy to Bóg zawarł z ludźmi tzw. "**Nowe Przymierze**" opisywane w Biblii – co wyjaśniam szczegółowiej w punkcie #E4 swej strony internetowej o nazwie "**przepowiednie.htm**". Dlatego wielu tzw. „intuicyjnych totalistów” faktycznie praktykuje totalizm w swoim życiu nie zdając z tego sobie nawet sprawy, po prostu **ponieważ słuchają oni podszeptów swojego przeciw-organu sumienia**. Być może nawet i ty, czytelniku, też należysz do grupy owych „**intuicyjnych totalistów**”, po prostu ponieważ czynisz w swoim życiu wszystko co sumienie ci podpowiada aby uczynić, znaczy ponieważ praktykujesz moralność i pokój, zawsze starasz się wypowiadać prawdę, być szczerym, uczynnym, wartym zaufania, itp. (tj. NIE kłamać, kraść, bic się, krzywdzić, zabijać, itp.).

Najbardziej jednak istotnym atrybutem praw moralnych jest, że posiadają one nagrody oraz kary wbudowane w swoje działanie. Dlatego za każdym razem kiedy w swoim postępowaniu wypełniamy prawa moralne, zostajemy przez nie hojnie **wynagrodzeni**. Z kolei za każdym razem kiedy łamiemy owe prawa moralne, zostajemy przez nie surowo **ukarani**. Tyle tylko, że aby wypełnić tzw. "kanon nieokreśloności", owe nagrody (a także kary) wynikające z działania praw moralnych niemal nigdy NIE przyjmują formy dóbr

S-5

materialnych (np. napływu pieniędzy). Zawsze są one pozamaterialne, tj. mają formę przykładowo poczucia szczęścia, poczucia samospełnienia, spokoju sumienia, braku stresu, znalezienia ukochanego partnera, kochających i grzecznych dzieci, przyjemnych sąsiadów, braku kłopotów w pracy lub życiu, uniknięcia powikłań legalnych czy uczuciowych, itd., itp. Dlatego większość ludzi NIE odnotowuje istnienia tych nagród (i kar). Wszakże w dzisiejszych czasach ludzie za „nagrody” niemal wyłącznie uważają napływ pieniędzy, dostęp do fizycznych przyjemności, lub uzyskanie władzy nad innymi. Te jednak zostały celowo wykluczone z grupy nagród nadawanych automatycznie w zamian za czyjeś wypełnianie praw moralnych. Oczywiście, pieniądze i władza pozostają ciągle do zdobycia poprzez nastawione na nie moralne działania. Właśnie ponieważ ostatnio ludzie zaczęli coraz powszechniej łamać prawa moralne, życie na Ziemi staje się coraz trudniejsze i coraz pełniejsze męczarni. Oczywiście, aby zacząć wypełniać prawa moralne, wysoce pomocna jest wiedza, że one istnieją, oraz na czym polega ich działanie. Właśnie dlatego filozofia totalizmu informuje ludzi o istnieniu praw moralnych oraz uczy sposobów na jakie prawa te można wypełniać w metodyczny sposób. Do opisu ludzi, którzy w rozumowy sposób poznali działanie praw moralnych i starają się wypełniać je w swoim życiu, należą do grupy "**formalnych totalistów**". W przeciwieństwie do "intuicyjnych totalistów", tacy "formalni totaliści" poznali już metodycznie co i dlaczego czynią, stąd nie postępują oni moralnie tylko z powodu swojej intuicji i sumienia, a poprzez metodyczne działania. Są więc na nieco wyższym poziomie świadomości od "intuicyjnych totalistów". To z kolei pozwala im na zbieranie jeszcze bardziej zaawansowane duchowo rodzaje owych nieskończonych korzyści jakie w moralnie spolaryzowanym wszechświecie stanowią nagrody za prowadzenie moralnego, pokojowego i produktywnego trybu życia. A sporo z tych nagród wyższego rzędu wykazuje cechy, jakie leżą poza zakresem wiedzy dzisiejszej oficjalnej nauki ateistycznej, stąd są wprost NIE do pomyślenia przez większość dzisiejszych ludzi.

Pojawienie się dowolnego pola zawsze oznacza, że we wszechświecie stworzone zostały jakieś algorytmy praw które formują działania objawiające się właśnie w postaci danego pola. Innymi słowy, fakt że istnieje takie coś jak "pole moralne" oznacza, że ktoś (tj. Bóg) celowo tak zaprogramował otaczającą nas rzeczywistość, oraz tak nią nieustannie zarządza, aby każde moralnie poprawne działanie musiało przebiegać pod górę owego pola moralnego (tj. przebiegać wzdłuż owej "linii największego oporu intelektualnego"). Z kolei takie właśnie a nie inne zaprogramowanie otaczającej nas rzeczywistości posiada cały szereg następstw. Jednym z najważniejszych z owych następstw jest, że im coś jest moralniejsze i im więcej dobra ma to przynieść ludzkości, tym musi to być trudniejsze do zrealizowania i tym więcej przeszkód będzie trzeba pokonać aby to urzeczywistnić. To dlatego właśnie na drodze każdego odkrywcy i wynalazcy zawsze piętrzą się niezliczone przeszkody i trudności które formują nawet coś, co w działaniu na indywidualnych ludzi ja nazywam "**przekleństwem wynalazców**", zaś w działaniu na całe kraje i narody ja nazywam "**wynalazczą impotencją**" - ponieważ przez całe swe życie musiałem z tym walczyć i dlatego opisałem to na całym szeregu swoich stron internetowych i publikacji (np. patrz totalistyczne strony internetowe o nazwach "[eco_cars_pl.htm](#)", "[newzealand_visit_pl.htm](#)", czy "[fe_cell_pl.htm](#)"). Oczywiście, istnieje też cały szereg innych następstw zaprogramowania "pola moralnego" w otaczającą nas rzeczywistość - przykładowo faktyczne istnienie i działanie tego pola stanowi jeden z dowodów na istnienie Boga (wszakże tylko inteligentnie postępujący Bóg był w stanie wprogramować "pole moralne" w otaczającą nas rzeczywistość).

Jednym z najbardziej ciekawych następstw działania tak zaprogramowanego "pola moralnego" jest wymóg, że aby wychować kogoś na wartościowego człowieka koniecznym jest stosowanie ogromnie "twardych" i "wymagających" metod wychowawczych. Faktycznie to wychowanie wartościowych ludzi musi być dokonywane z użyciem takich samych zasad jakimi "**hartuje się stal**", albo jak szkoli się najlepszych żołnierzy. Na przekór też że (jak to wskaże trochę poniżej) Biblia aż cały szereg razy uwypukla potrzebę owej "twardej i wymagającej"

S-6

zasady wychowywania, ludzie mają tendencję do jej eliminowania z życia. Większość bowiem ludzi chce być **"dobra"** dla swych dzieci, czyli czynić tylko to co owym dzieciom sprawia przyjemność i się im podoba, a więc za pomocą czego owi rodzice jakby "kupują sobie miłość swoich dzieci". Rezultatem jest, że nasza planeta jest coraz gęściej wypełniona rozpieszczonymi, niedołącznymi i rozwydrzonymi samolubami i egoistami, którzy po osiągnięciu dorosłości nie są w stanie radzić sobie z życiem - po szczegóły patrz opis **"pokolenia Midasów na odwyrtek"** z totalizycznej strony ["tapanui.pl.htm"](http://tapanui.pl.htm).

Moją uwagę na konieczność wychowywania dzieci "tak jak hartuje się stal" najpierw zwrócił artykuł na jaki natknąłem się przypadkowo w Kuala Lumpur w sierpniu 2008 roku. Czekałem tam wówczas na swoją kolejkę do dentysty i z nudów (a także aby odwrócić swą uwagę od nieprzyjemnych dźwięków które dobiegały z gabinetu dentystycznego) wziąłem do ręki jeden z owych kolorowych magazynów które typowo oferowane są w poczekalniach dentystycznych. W magazynie tym zacząłem czytać raczej ciekawy artykuł o losie i wychowaniu dzieci bogatych rodziców. Artykuł ten logicznie argumentował i dokumentował, że **typowo dzieci bogatych rodziców które w dzieciństwie otrzymują bez wysiłku i zabiegania wszystko co zechcą i co najlepsze, wyrastają na nastawione wyłącznie konsumpcyjnie społeczne snobki, kaleki, niedołęgi, narzekacze, itp., które mają potem kłopoty z życiem w prawdziwym społeczeństwie, które szybko marnotrawią oddziedziczoną fortunę, oraz które nie tak rzadko umierają jako nałogowcy lub bezdomni żebracy**. Dlatego badania totalizmu ujawniły, że do wychowywania sobie ludzi na zaprawionych w pokonywaniu trudności **"żołnierzy Boga"**, Bóg używa metody wychowawczej jaką można nazwać **"zasadą odwrotności"**, a jaką opisałem bardziej szczegółowo między innymi w punkcie #B1.1 z mojej strony o nazwie ["antichrist.pl.htm"](http://antichrist.pl.htm). Ponadto dlatego też jednym z zadań zamożnych rodziców powinno być zamierzone wprowadzenie do życia i do wychowania swoich dzieci takich „utwardzających charakter doświadczeń” jak: dyscyplina, struktury, wzorce, wysiłek, obowiązki, odpowiedzialność, cele do osiągnięcia, nagrody i kary, itp. Tylko bowiem w efekcie takiego „twardego wychowywania”, dzieci zamożnych rodziców są w stanie nabyć owych pożądanых cech charakteru, które automatycznie nabywają dzieci ubogich rodziców. To właśnie dla nabycia takich pożądanых cech charakteru w byłej kulturze angielskiej leżała (dzisiaj już upadła) tradycja aby dzieci bogatych rodziców wysyłać do tzw. **„boarding schools"**. W owych bowiem szkołach żelazna dyscyplina, ciężka praca, oraz rozliczne obowiązki, wyrabiały w nich pożądanе cechy charakteru oraz zasady moralnego postępowania.

Moje doświadczenia życiowe w pełni zgadzały się z autorem tamtego artykułu przeczytanego w Kuala Lumpur, że tylko „twarde wychowywanie” jest naprawdę korzystne dla ludzi którzy jeszcze nie wykształtowali w sobie trwałych zasad moralnego postępowania. Wszakże w swoim własnym życiu znałem osobiście aż kilka przypadków dzieci bogatych rodziców, które „zeszły na psy” właśnie ponieważ nawykły były, że wszystko co najlepsze zawsze było podawane im na tacy bez żadnego wysiłku z ich strony. W rezultacie, kiedy w końcu dopadły ich realia prawdziwego życia, nie były one w stanie realiom tym podołać. Stąd znam nawet liczne przypadki, że w dorosłym życiu popełniały oni samobójstwa. Oczywiście, artykuł ten traktowałem tylko jako chwilową rozrywkę i nawet NIE odnotowałem jego tytułu ani danych edytorskich.

Dopiero w jakiś czas po przeczytaniu tego artykułu dotarło do mojej świadomości, że my - znaczy wszyscy ludzie, jesteśmy właśnie jak owe dzieci bogatych rodziców. Wszakże nasz „rodzic”, czyli Bóg, jest bardzo bogaty - posiada przecież cały nasz świat fizyczny na własność. Gdyby zechciał mógłby więc nas „rozpieszczać” do woli zasypując nas za darmo i bez wysiłku wszystkim co tylko zechcielibyśmy mieć. Jednak wówczas stalibyśmy się społecznymi kalekami i niedołącznymi - tak jak typowe dzieci bogatych rodziców. Ponieważ więc nasz rodzic, czyli Bóg, jest nieskończenie mądry i przezorny, celowo wprowadza On do naszego życia cele do osiągnięcia, nagrody i kary, wysiłek, obowiązki, itp. W ten sposób Bóg

S-7

wykształtowuje w nas pożądane cechy charakteru i trwałe zasady moralnego postępowania, tak abyśmy stali się wytrwałymi poszukiwaczami prawdy, abyśmy byli zdolni do włożenia wysiłku i pracy w to co zdobywamy, abyśmy NIE dawali za wygraną w swoich dążeniach, itd., itp. (Więcej informacji na temat „wychowywania” ludzi przez Boga tą samą metodą którą „hartuje się stal”, zawarte zostało w punkcie #B5.1 z totalizycznej strony "[will_pl.htm](#)". Z kolei dodatkowe opisy owej metody wychowywania używanej przez Boga i nazywanej "zasadą odwrotności" przytoczyłem także w punkcie #F3 swej strony o nazwie "[wszewilki.htm](#)".)

Uświadomienie mi powyższego spowodowało, że zacząłem w końcu **rozumieć wiele zagadek** i aspektów codziennego życia zarówno własnego jak i innych ludzi. Przykładowo, wyjaśniło mi dlaczego ja sam w młodości miałem ciężkie życie, które ukształtowało mój charakter "tak jak hartuje się stal" oraz ujawniło mi też dlaczego, na przekór napotykania niezliczonych przeszkód i prześladowań, ja sam zostałem nagrodzony zaszczytem wpracowania aż tylu osiągnięć w swoim skromnym i zawzięcie prześladowanym życiu. Wyjaśniło mi też np. że Bóg wcale NIE może nam po prostu podarować czy udostępnić czegoś, np. nowych odkryć, wynalazków, czy dowodów na istnienie Boga, bez uprzedniego zmuszenia nas do zdobywania sobie tego własnym wysiłkiem i determinacją. Wszakże otrzymując wszystko bez wysiłku stalibyśmy się nieudolni, bezradni, eratyczni, marnotrawni, itp. - tak jak owe typowe dzieci "bogaty rodziców". Dlatego Bóg NIE ma innego wyjścia niż zmusić nas we włożenie dużego wysiłku we wszystko co wartościowego pragniemy w życiu osiągnąć. Znaczący Bóg zmuszony był stworzyć "pole moralne" i ustanowić takie prawa, że **"wszystko co moralne musi wspinać się pod górę pola moralnego czyli musi podążać wzdłuż owej 'linii największego oporu intelektualnego' "**.

Dobroczyne efekty zasady wychowywania, stwierdzającej że aby wychować wartościowych ludzi, konieczne jest zmuszenie ich aby zasmakowali ubóstwa i „twardej szkoły życia” która ukształtuje ich charakter „tak jak hartuje się stal”, są potwierdzone przez wszystkie istniejące przykłady. Jednym z takich przykładów jest właśnie opisana w poprzednim paragrafie reguła, że dzieci bogaty rodziców po skonfrontowaniu trudności życiowych „schodzą na psy”. Innym przykładem jest sytuacja wychowawcza w Anglii. W dawnych czasach, przez aż tak długo jak długo co bogatsze rodziny z Anglii wysyłały swoje dzieci do tzw. "boarding schools" wspomnianych już wcześniej, aby w ten sposób pozwolić im zaznać "twardego życia" które wykształtuje w nich pożądane cechy charakteru, Anglia pozostawała mocarstwem światowym. Natomiast w moich czasach, kiedy tradycja owego "twardego wychowania" przyszłych przywódców owego kraju tam zaniknęła, Anglia stopniowo zeszła do roli nic nieznaczącego w świecie tuzinowego kraiku. Kolejnym przykładem że ubóstwo i „twarda szkoła życia” uczą ludzi pożądanych cech charakteru i czynią ich szczęśliwszych, była sytuacja na tropikalnej wyspie Borneo w moich czasach. Ze wszystkich krajów w jakich pracowałem i mieszkałem w swym życiu, mieszkańcy Sarawak na Borneo okazali się najmiłsi, najprzyjemniejszych charakterów, najbardziej gościnni, oraz najbardziej szczęśliwi - chociaż równocześnie najbardziej ubodzy. Ich chroniczne ubóstwo dało im bowiem "twardą szkołę życia", która wykształtowała w nich owe przyjemne cechy charakteru. Jeszcze innym przykładem jest tu mądrość ludowa wyrażona przez Chińskie przysłowie, że **„dobrzy mężowie zawsze mają złe żony, zaś dobre żony zawsze mają złych mężów”**. Każdy łatwo może sam odnotować, że przysłowie to zawsze sprawdza się w rzeczywistym życiu. Oczywiście, wielu błędnie posądza, iż los tak jakoś sprzęga ludzi, że ktoś o dobrym charakterze zawsze łączy się w parę z kimś o złym charakterze. Tymczasem w rzeczywistości w działaniu jest tutaj zasada że „wychowywanie jest jak hartowanie stali” - stąd faktycznym powodem dla którego prawda z tego chińskiego przysłowia zawsze się wypełnia jest, że zły partner faktycznie „wychowuje” daną osobę i szybko czyni jej charakter niemal doskonałym.

Bóg doskonale zdaje sobie sprawę, że ubóstwo i spowodowana nim „twarda szkoła życia” nadają ludziom wymaganych cech. To właśnie dlatego Bóg informuje w biblijnej **Ewangelii Św. Marka, werset 10:25**, że - cytując: „łatwiej jest wielbłądowi przejść przez

S-8

ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego". To też dlatego Bóg powtarzalnie traktuje ludzi takim czymś jak owo „**przekleństwo wynalazców**”, które opisałem w „części #H” strony internetowej „eco_cars.pl.htm”. Bóg chce bowiem aby z owych powtarzalnie serwowanych ludzkości fal ubóstwa i „twardej szkoły życia” ludzie wreszcie zrozumieli iż „charakter ludzi musi być kształtowany tak jak hartuje się stal”. Wszakże kiedy ludzie wreszcie to rozumieją, wówczas zaczną akceptować Boga i Jego metody działania. Ponadto na ochotnika i dobrowolnie zaczną wówczas wdrażać w swoim wychowaniu takie właśnie „twarde zasady”. Kiedy zaś to nastąpi, Bóg będzie mógł zaprzestać obecnego trapienia ludzkości „**zasadą odwrotności**” z jej nieodzownym cierpieniem i złem, oraz pozwolić aby ludzkość zaczęła właściwie wychowywać się sama. Oczywiście, owa zasada „wychowywania poprzez celowe formowanie dla ludzi twardej szkoły życia” NIE zostanie zarzucona przez Boga przez aż tak długo, aż ludzie sami nauczą się wychowywać siebie w taki sposób, aby moralność i pożądane cechy charakteru ciągle były w nich samo-wypracowywane nawet jeśli ludzie ci NIE są już poddawani przez Boga owej twardej szkole życia. Innymi słowy, **przez aż tak długo aż ludzkość NIE wypracuje trwałych i efektywnych metod wychowywania ludzi na moralnych, pokojowych, sprawiedliwych, uczynnych, życzliwych, itp., członków społeczeństwa i "żołnierzy Boga", Bóg będzie nas na takich „wychowywał” swoimi twardymi metodami**. Czas więc abyśmy to zrozumieli. Pozwoli to nam bowiem zrozumieć i lepiej zaakceptować Boga.

Aby dać możliwość ludziom wychowania się i sprawdzenia „tak jak hartuje się stal”, Bóg nieustannie wystawia nas na najróżniejsze pokusy oraz nieustannie poddaje najróżniejszym próbom. Oczywiście, Bogu chodzi o to aby ludzie nauczyli się opierać owym pokusom oraz aby zdawali egzamin owych prób moralnych. W ostatnich jednak czasach, zamiast respektować zalecenie Boga iż należy opierać się owym pokusom, pozbawieni szkieletu moralnego ludzie zaincjuowali modę, że pokusom trzeba ulegać. Zamiast więc potępiać zło, nakazali swoim politykom aby prawami albo je ukrywali (np. rozważ obecne „**prawa prywatności**” przyspieszające wypaczanie moralności), albo też legalizowali (np. patrz prawa o „**cywilnych uniach homoseksualistów**”). W ten sposób jeśli ktoś ma pokusę na żonę sąsiada, wówczas zwyczajnie ulega tej pokusie. Jeśli ma ciągoty do homoseksualizmu, wówczas zawiera „cywilną unię z innym homoseksualistą”. Jeśli czyni zło, „prawo prywatności” chroni go przed zostaniem potępionym przez zacnych ludzi. Itd., itp. Pozbawieni szkieletu moralnego ludzie zaczęli więc zapraszać zło do swego życia, zamiast je zwalczać.

Anglicy mają powiedzenie „pożałuj różgi a popsujesz dzieciaka” (po angielsku: „spare the rod and spoil the child”). Powiedzenie to faktycznie jest przetłumaczonym na dzisiejszy język zapisem metody działania Boga którą w autoryzowanej przez siebie Biblii sam Bóg w bibilijnej **Księdze Przysłów 13:24** - wyraził słowami, cytując: „**Nie kocha syna, kto różgi żałuje, kto kocha go - w porę go skarci.**” Dlatego Bóg używa tej samej metody dla „wychowywania” sobie ludzi na prawych, zahartowanych w ogniu, oraz niezawodnych współtowarzyszy i „żołnierzy Boga”, poprzez wykształtowanie w nich pożądanych cech charakteru na drodze celowego i powtarzalnego poddawania każdego z ludzi najróżniejszym przykrym i bolesnym doświadczeniom.

Biblia kładzie ogromny nacisk na ową podstawową zasadę wychowawczą aby „charakter ludzi utwardzać tak jak hartuje się stal”. Zasada ta jest bowiem powtarzana w Biblii w wielu miejscach. Przykłady wersetów jakie ją powtarzają w Biblii już podałem w podrozdziale R6 niniejszej autobiografii. Zasada ta udowodniła już swoją poprawność w przeciągu całych tysiącleci jej stosowania. Niestety, ostatnio niektórzy rodzice i rządy niektórych krajów podważają kompetencję Boga w zakresie omawianej tutaj zasady wychowawczej którą Bóg rekomenduje w Biblii do stosowania przez rodziców. W swoim zaślepieniu zaczęli oni zasadę tą otwarcie prześladować i czynić ją nielegalną w świetle prawa ludzkiego (np. rozważ opisane uprzednio w porozdziale R6 nowozelandzkie „**prawo przeciw-klapsowe**”). W ten sposób celowo stwarzają oni sytuację, że prawa ludzkie występują

S-9

dokładnie przeciwko boskim "prawom moralnym" i że ci ludzie którzy postępują zgodnie z boskimi "prawami moralnymi" są surowo karani przez prawo ludzkie.

Nowa Zelandia jest więc prawdopodobnie najdoskonalszym przykładem kraju który w moich czasach został całkowicie zrujnowany właśnie poprzez pozbawienie jego młodzieży dostępu do dyscypliny i do twardego wychowania. Jest ona bowiem krajem w którym zawsze rządziły kobiety. Tyle, że w dawniejszych czasach rządziły one poprzez swoich mężów. Jednak począwszy od około 1996 roku zaczęły one swoje otwarte rządzenie. Począwszy też od wówczas, w Nowej Zelandii wszelkie decyzje zarówno w prywatnych domach, jak i w życiu publicznym, podejmowane były już niemal wyłącznie albo przez kobiety, albo też w interesie kobiet. Jednocześnie tamtejsze kobiety wyznawały zasadę, że dzieci trzeba owijać w bawełnę, utrzymywać w cieplarnianej atmosferze i osłaniać przed prawdziwym życiem. Jeśli więc ktoś usiłował owe dzieci np. czegoś nauczyć, dzieci owe skarżyły się matkom, zaś matki podnosiły krzyk. W rezultacie, jeśli np. nauczyciel czy wykładowca podczas lekcji przeszkadzał swoimi próbami nauczania rozmawiającym czy bawiącym się dzieciom, to ów nauczyciel a nie dzieci, w Nowej Zelandii lądował poza klasą a czasami nawet na bruku. W rezultacie, po wyemigrowaniu do tego kraju, byłem zaszokowany odkryciem, iż studenci tamtejszych uniwersytetów nie są w stanie radzić sobie np. z zadaniami matematycznymi które ja w Polsce musiałem rozwiązywać już w szkole podstawowej. Jeszcze bardziej byłem zaszokowany kiedy w 2009 roku się dowiedziałem, że nowozelandzkie szkoły podstawowe wogóle nie mają ogólnokrajowych standartów, oraz że ostro krytykowana próba wprowadzenie takich standartów stanowi największą reformę szkolnictwa tego kraju w ostatnich 20 latach - po szczegóły patrz artykuł "Reports to become part of school life" ze strony A5 nowozelandzkiej gazety "Weekend Herald" wydanie z soboty (Saturday), October 24, 2009. Stąd jeśli dzieci np. nie chciały uczyć się matematyki, wówczas aby im się przypodobać nauczyciel mógł zabrać je do muzeum albo na boisko do pogrania w piłkę - wszakże nie miał żadnego wymogu aby nauczyć je określonej porcji materiału. W rezultacie takich cieplarnianych zasad wychowania, młodzież w Nowej Zelandii przekształciła się w rodzaj rozwydrzonych potworów nie znających dyscypliny, których wszyscy się bali, włączając w to ich własnych rodziców. Z kolei zawód nauczyciela czy wykładowcy stał się tam najtrudniejszym ze wszystkich zawodów. W żadnym z krajów w jakich wykładałem w swoim życiu, wykładanie NIE było aż tak trudne i aż tak stresujące jak właśnie w Nowej Zelandii. W żadnym też z innych krajów, poza Nową Zelandią, nie brakowało nauczycieli. Tylko w Nowej Zelandii nie było chętnych do zawodu nauczyciela na przekór, że w kraju szalało bezrobocie i że wielu ludzi nie miało środków na życie. Faktycznie to w 2019 roku, zaczął się bardzo poważny kryzys edukacyjny w NZ, właśnie z powodu coraz drastyczniejszego braku nauczycieli.

W świetle tego co wyjaśniłem w niniejszym podrozdziale czytelnik zapewne zrozumie dlaczego ja faktycznie jestem dumny z faktu, że urodziłem się na wsi **Stawczyk (Wszewilki)** i u biednych rodziców, oraz że **w całym swoim życiu zmuszony byłem iść do przodu kiedy wiatr wiał mi nieustannie w oczy zaś moja droga życiowa zawsze przebiegała pod górę**. Wszakże to właśnie dzięki takiej nieustannej szkole twardego życia (jak wierzę) to co dałem z siebie innym reprezentuje soba prawdziwe wartości moralne.

Rozdział T:

TRWAŁE TENDY W MOIM ŻYCIU

"Panta rhei" - "**wszystko płynie**" (powiedzenie przypisywane Heraklitowi), oraz "vita mutatur non politur" - tj. "życie się zmienia ale nie kończy" (powtarzane w moich czasach na niemal każdej mszy świętej). Takimi wyrażeniami starożytni określali esencję życia. Wszystko w nim bowiem nieustannie się zmienia. Dlatego też większość ludzi NIE jest w stanie dopatrzeć się jakiegoś sensu i reguły w tym co się im w życiu przytrafia. Ja jednak jestem "naukowcem" z zawodu i powołania (i to nawet w czasach kiedy nikt NIE chciał abym dokonywał jakichkolwiek badań). W owych nieustannych zmianach z mojego życia dopatrzyłem się więc kilku zjawisk które u mnie pozostawały stałe przez czasokres całego życia. Te niezmiennie składowe mojego życia to tzw. "**trendy**". Owe "trendy" to po prostu generalny kierunek, obrót, oraz końcowy wynik jaki przyjmowało to co mnie w życiu spotykało. Jak też wykazała analiza owych trendów, są one najlepszym dowodem generalnych praw które rządzą ludzkim życiem. Przykładowo, sporo "trendów" jakie pojawiły się w moim życiu i jakie opiszę w tym rozdziale są bezpośrednim następstwem zadziałania w moim życiu poprzednio wyjaśnionego "prawa moralnego", stwierdzającego że "wszystko co moralne musi wspinać się pod górę pola moralnego wzdłuż 'linii największego oporu intelektualnego' ". Poniżej zaprezentuję najważniejsze z owych moich "trendów" oraz wyjaśnię z czego wyniknęło ich zaistnienie. Może wszakże się zdarzyć że podobne trendy wystąpią również i u czytelnika. W takim wypadku poznanie moich trendów i ich wyjaśnienia byłoby pomocne w uświadomieniu sobie, zidentyfikowaniu i zdefiniowaniu trendów czytelnika.

T-2

T1. Życie na walizkach - ciągle utraty pracy i częste zmiany miejsca pobytu

Nie potrzeba długich analiz aby odkryć, że nieustannie trapiące mnie utraty pracy faktycznie napędzane były właśnie zadziałaniem owego prawa moralnego, że "każde moralnie poprawne działanie musi wspinać się pod górę pola moralnego wzdłuż owej 'linii największego oporu intelektualnego' ". Wszakże miejscami mojej pracy były uczelnie, zaś moim moralnie poprawnym działaniem, które musiało być kierowane wzdłuż owej 'linii największego oporu intelektualnego' były moje wynalazki techniczne i odkrycia naukowe. Gdyby więc moja praca na kolejnych uczelniach nie była przerywana już po kilku latach, wówczas znalazłbym sposób aby na uczelniach owych skompletować przynajmniej niektóre z moich wynalazków i upowszechnić przynajmniej niektóre z moich odkryć naukowych. Ponieważ jednak średnio co około dwa lata musiałem szukać sobie następnej pracy, zawsze byłem zbyt zajęty poszukiwaniem kolejnego miejsca gdzie potem będę kontynuował zarabianie na chleb, abym ciągle miał czas, głowę i energię na wdrażanie w danym miejscu pracy któregoś ze swoich wynalazków lub odkryć. Co też najciekawsze, moje utraty pracy zawsze zbiegały się czasowo z sytuacją kiedy zaczynałem szukać w danym miejscu pracy jakiegoś sposobu na wdrożenie któregoś ze swych wynalazków lub odkryć. Jedynym też miejscem w którym nie utraciłem pracy przez wiele lat była Politechnika Wrocławska. Powodem tego było, że kiedy tam pracowałem NIE posiadałem jeszcze dopracowanego żadnego istotnego wynalazku czy odkrycia, które mógłbym zacząć tam wdrażać. Dopiero kiedy w 1980 roku skończyłem dopracowywanie swego "magnokraftu", w jedynie około rok później pojawiła się oferta pracy w Nowej Zelandii, która uniemożliwiła mi ewentualne podjęcie rozwoju "magnokraftu" w ramach zawodu naukowca.

Dokonajmy więc teraz przeglądu kolejnych miejsc w których pracowałem zawodowo w swoim życiu. Oto one:

1 (od 1/4/1970 do 28/3/1982): Politechnika Wrocławska, Polska - <http://www.pwr.wroc.pl>. Najdłużej na jednym i tym samym stanowisku byłem tam zatrudniony jako **adiunkt** w Instytucie Technologii Budowy Maszyn (tj. w I-24).

Równocześnie z pełnoetatową pracą na Politechnice Wrocławskiej, przez sporą część mojego tam zatrudnienia pracowałem również półetatowo w dwóch zakładach przemysłowych, mianowicie:

2 (od 1/6/1975 do 31/12/1977): Zakładach komputerowych MERA-ELWRO. Byłem tam zatrudniony w OBR jako doradca naukowy do spraw oprogramowania inżynierskiego.

3 (od 1/5/1978 do 31/12/1981): Fabryce Autobusów i Ciężarówek POLMO-JELCZ - <http://www.jelcz.com.pl>. Byłem tam konsultantem naukowym na Wydziale Głównego Technologa.

4 (od 9/4/1982 do 28/2/1983): The Canterbury University, Christchurch, New Zealand - <http://www.canterbury.ac.nz>. Miałem tam jednoroczne stypendium po-doktorskie (tzw. "Post-Doctoral Fellowship") na Wydziale Mechanicznym.

5 (od 7/3/1983 do 26/1/1988): The Southland Community College, Invercargill, New Zealand - <http://www.sit.ac.nz>. Byłem tam tzw. "senior tutor of computing" poziomu T3 (tj. Senior Tutor level T3) na Wydziale Studiów Generalnych (tj. w General Studies Department).

6 (od 1/2/1988 do 31/12/1990): The Otago University, Dunedin, New Zealand - <http://www.otago.ac.nz>. Byłem tam Starszym Wykładowcą Inżynierii Softwarowej na Wydziale Studiów Numerycznych i Komputerowych (tj. in the Department of Quantitative and Computer Studies).

7 (od 1/9/1992 do 31/8/1993): The Eastern Mediterranean University, Famagusta, Northern Cyprus - <http://www.emu.edu.tr>. Byłem tam Profesorem

T-3

Nadzwyczajnym w specjalizacji Inżynieria Softwarowa na Wydziale Matematyki i Studiów Komputerowych (tj. Associate Professor in Computer Sciences, with specialisation in Software Engineering).

8 (od 2/9/1993 do 1/9/1996): The **University Malaya**, Kuala Lumpur, Malaysia - <http://www.um.edu.my> . Pracowałem tam jako Profesor Nadzwyczajny na Wydziale Mechanicznym (tj. Associate Professor in the Department of Mechanical Engineering).

9 (od 1/11/1996 do 31/10/1998): The **University of Malaysia Sarawak**, Kuching, Borneo - <http://www.unimas.my> . Pracowałem tam jako Profesor Nadzwyczajny na Wydziale Mechanicznym (tj. Associate Professor in the Department of Mechanical Engineering).

10 (od 25/1/199 do 11/2/2001): The **Aoraki Polytechnic**, Timaru, New Zealand - <http://www.aoraki.ac.nz> . Byłem tam "wychowawcą" w komputeryzacji (tj. computing tutor).

11 (od 12/2/1001 do 23/9/2005): The **Wellington Institute of Technology**, Wellington, New Zealand - <http://www.weltec.ac.nz> . Byłem tam "pracownikiem akademickim" w technologii informatycznej (tj. „Academic Staff Member” in Information Technology).

12 (od 1/3/2007 do 31/12/2007): The **Ajou University, Suwon, South Korea** - <http://www.ajou.ac.kr/> . Byłem tam "wizytującym (pełnym) profesorem zwyczajnym" w Inżynierii Softwarowej (tj. Visiting (Full) Professor in Software Engineering).

Odnotuj z powyższego wykazu, że sporo czasu NIE miałem żadnego zatrudnienia. Byłem wówczas nie tylko bezrobotnym, ale również - zgodnie z ówczesnym nowozelandzkim prawem NIE przysługiwał mi tam zasiłek dla bezrobotnych. Warto też odnotować, że Nowa Zelandia - na przekór iż stała się moją drugą ojczyzną i na przekór że należałem w niej do grupy najlepiej wykształconych i najbardziej twórczych naukowców owego kraju, faktycznie NIE miała dla mnie żadnej pracy przez okres czasu dłuższy niż czas w jakim dawała mi jakiegokolwiek zatrudnienie. Jeśli zaś dawała mi już jakąś pracę, wówczas - jak w Nowej Zelandii i w innych anglosaskich krajach mieli to w zwyczaju czynić wobec emigrantów, oferowana mi pozycja zawsze była najniższą jaka ciągle pozwalała jej na wymaganie ode mnie wykonywania danego zakresu obowiązków zawodowych. Tylko więc poza Nową Zelandią miałem szansę na rozpatrywanie swej kandydatury do pracy na poziomie równym z innymi kandydatami. To właśnie z powodu owego chronicznego braku dla mnie pracy w samej Nowej Zelandii, tak często i na tak długie okresy czasu zmuszony byłem opuszczać ów kraj w poszukiwaniu chleba poza jego granicami.

T2. Nieustające zmiany miejsca zamieszkania

Moje nieustanne zmiany miejsca zamieszkania też wynikają z działania pola moralnego, czyli z generalnej zasady aby kierować mnie pod górę owego pola poprzez utrudnianie jak tylko możliwe rozwoju moich moralnie poprawnych wynalazków i odkryć. Wszakże gdybym przez całe życie mieszkał tylko w jednym (własnym) domu, wówczas z czasem dobudowałbym tam sobie jakiś warsztat w którym mógłbym podjąć budowę swoich wynalazków. Skoro jednak bez przerwy "mieszkałem na walizkach", a więc co parę lat zmuszony byłem zmieniać miejsce swego zamieszkania i przeprowadzać się w dalekie strony, unikałem NIE tylko organizowania warsztatu i zakupu narzędzi, ale wręcz posiadania czegokolwiek co ciężkie i trudne do transportu. Częste zmiany miejsca zamieszkania także bez przerwy rozpraszały moją dokumentację i poprzedni dorobek - co również utrudniało mi pracę. (Wszakże chińskie przysłowie stwierdza, że **"dwie przeprowadzki równają się jednemu pożarowi"**.) Stąd kiedy było mi potrzebne coś, co opracowałem już uprzednio, zwykle się okazywało, że to coś zmuszony byłem przedtem zostawić gdzieś w innym kraju lub w odległym mieście i stąd już zaginęło.

Nie wiem ile razy przeciętny dzisiejszy mieszkaniec Ziemi drastycznie zmienia miejsce zamieszkania. Wiem jednak, że ja zmieniałem je wiele razy. Przynotuję więc tutaj wykaz adresów pod którymi przed zakupem obecnego trałego mieszkania w Petone, ja zamieszkiwałem z niespełnioną intencją trwałości, zwykle przez okres wystarczająco długi aby w jakiś odnotowalny sposób wpłynąć na przebieg mojego życia:

- (25/5/1946 - 9/1964) Wszewilki-Stawczyk 1, 50-44 Milicz, woj. Wrocław, Poland
- (9/1957 - 6/1958) ul. Leśna 17, 63-200 Cielcza koło Jarocina, woj. kaliskie, Poland
- (8/1964 - 3/1970) Dom Studencki „Nad Fosą”, ul. Podwale 27, 50-042 Wrocław, Poland
- (4/1970 - 5/1972) Al. Wiśniowa 4/6 m. 2, 53-137 Wrocław, Poland
- (1972 - 1975) ul. Jedności Narodowej 155 m. 3, 50-303 Wrocław, Poland
- (9/4/1982 - 18/4/1982) 68 Mayfield Avenue, Christchurch 1, New Zealand
- (4/1982 - 3/1983) "Ilam Flats", Ilam Road, Christchurch, New Zealand
- (7/3/1983 - 11/1983) Flat 1, 81 Conon Street, Invercargill, New Zealand
- (2/1984 - 6/1987) Flat 2, 83 Dee Street, Invercargill, New Zealand
- (6/1987 - 11/1987) 540 Queens Drive, Invercargill, New Zealand
- (12/1987 - 2/1988) 9 Leo Street, Christchurch, New Zealand
- (30/4/1988 - 19/2/1989) 248 Taieri Road, Waikari, Dunedin, NZ, Tel: (03) 4764443
- (19/2/1989 - 16/4/1989) 40 Cannigton Road, Maori Hill, Dunedin, NZ, Tel: 4771339
- (16/4/1989 - 8/5/1989) 11 Kennedy Street, Dunedin, New Zealand, NZ (1989)
- (8/5/1989 - 20/7/1989) 654 George, Dunedin. NZ, Tel: (03) 4779187 (1989)
- (4/9/1989-10/9/1989) 248 Taieri Road, Waikari, Dunedin, NZ, Tel: (03) 47-64443
- (10/9/1989 - 24/9/1989) Fl. 3, 748 Highgate, Dunedin, NZ, Tel: 790039 (1989)
- (25/9/1989 - 26/8/1992) 116 Rolla Street, North-East Valley, Dunedin, NZ, 4739308
- (30/8/1992 - 3/7/1993) Bahriyeli Sok, Sallakoglu AP DAÜkarsisi, Flat no 31, Salamis Yolu, Gazi Magusa, North Cyprus, TURKEY, Home telephone in Cyprus: -90 (536) 61546
- (6/7/1993 - 31/8/1993) 116 Rolla Street, North-East Valley, Dunedin, NZ, 47-39-308
- (4/9/1993 - 21/7/1996) No. 36D, Lorong Universiti, 59100 Kuala Lumpur, Malaysia; Home Tel: (03) 758-77-31 (6/4/1995)
- (22/7/1996 - 22/8/1996) 116 Rolla Street, North-East Valley, Dunedin, T: (03) 47-39-308
- (25/8/1996 - 1/10/1996) Apt. 2-2-1, Block 2, Jalan 1/116 C, Kuchai Entrepreneurs Park, Off Old Kuchai Road, 58200 Kuala Lumpur, Malaysia
- (1/11/1996 - 26/9/1998) No. 28 Olive Gardens, Batu 7 (7th Mile), Jalan Penrissen, 93250 Kuching, Sarawak (Borneo), Malaysia

T-5

- (26/9/1998 - 26/10/1998) 55 Jalan Beluntas, Medan Damansara, Kuala Lumpur, Malaysia (flat located behind "Victoria Station" near Bangsar (Medan Damansara))
- (29/10/1998 - 24/12/1998) 116 Rolla Street, North-East Valley, Dunedin, New Zealand; Tel: (03) 47-39-308
- (25/12/1998 - 24/1/1999) Bangsar, Kuala Lumpur, Malaysia
- (1/2/1999 - 8/12/1999): 154 Le Cren Street, Timaru 8601, NZ, tel. +64 (3) 684-48-93
- (9/12/1999 - 29/1/2000): Apt. 78-12-3 (A125), Block A, Faber Heights, Jalan Desa Utama, Taman Desa, Off Old Klang Road, 58200 Kuala Lumpur, Malaysia
- (31/1/2000 - 21/2/2000) 150 Otipua Road, Watlington, Timaru 8601, T. 64 (3) 684-62-65
- (21/2/2000 - 25/02/2001) 13 Princess Street, Timaru, New Zealand
- (19/02/2001 – 25/2/2007): Flat 6, 31 Tennyson St., Petone, New Zealand
- (27/02/2007- 30/12/2007): Flat 202, No. 19, Woncheonyeokmal-gill, Suwon 443-380; South Korea - Korea Południowa
- (31/12/2007 – 3/2012) Flat 6, 31 Tennyson St., Petone, New Zealand

Oczywiście, na dodatek do powyższych niemal 40-tu miejsc trwałego zamieszkiwania, zamieszkałem też w swym życiu w jeszcze większej liczbie lokacji, o jakich wiedziałem z góry, iż są one "tymczasowe", tj. że będę tam przebywał tylko przez krótkie okresy np. paru dni, tygodni, czy miesięcy (np. z okazji poszukiwania dopiero miejsca zamieszkania, gościny, wczasów, wakacji, itp.). Przykładowo, na Borneo moja uczelnia UNIMAS zakwaterowała mnie najpierw w hotelu Hilton, a potem w aż trzech kolejnych mieszkaniach - jednak powyżej pod numerem 26 umieściłem tylko jedno tamtejsze mieszkanie, które było moim trwałym zakwaterowaniem i stąd w którym zamieszkiwałem najdłużej. Podobnie było w Invercargill, Nowa Zelandia, na Cyprze, oraz w Kuala Lumpur, Malezja. Czyli wszystkie miejsca tymczasowego zatrzymywania się hotelach, wczasowiskach, pokojach gościnnych, itp., - tj. miejsca które w/g mojej wiedzy czy zamiarów były przelotnymi lub tylko semi-stalymi, powyżej NIE są wyszczególnione. To zaś oznacza, że na dodatek do powyższych, prawdopodobnie co najmniej równą liczbę razy (jeśli nie wielokrotnie więcej razy) przeprowadzałem siebie i cały swój dobytek, pomiędzy najróżniejszymi hotelami, pokojami gościnnymi, domami wypoczynkowymi, prywatnymi mieszkaniami, itp. - kiedy np. przybywałem do nowej miejscowości dla podjęcia tam pracy, lub kiedy przelotnie przebywałem u jakichś indywidualnych znajomych czy członków rodziny.

T-6

T3. Moje liczne przypadki "ocierania się o śmierć"

Oto zestaw wszystkich pamiętanych momentów w moim życiu kiedy albo z powodu mojej głupoty, albo też jakichś niebezpiecznych rozwój zdarzeń, byłem w poważnym niebezpieczeństwie, dosłownie „**ocierając się o śmierć**”, zaś moje życie, zdrowie, albo wolność osobista, ocalone zostało przez „przypadek” czy w sposób graniczący z cudem:

0. Wiele lat przed moim urodzeniem. Mój ojciec po wzięciu do niewoli przez Niemców skierowany był do Peenemunde (t.j. koło Wyspy Świnoujście), czyli do obszaru który z uwagi na produkowanie tam rakiet V1 był szczególnie intensywnie bombardowany przez siły alianckie.

-Wszewilki, gdy mój brat Stefan omal że nie wyrócił wanny na której pływalismy w czasie powodzi, podczas gdy na NIE umiałem pływać.

-Wszewilki, gdy brat Czesław chciał mnie udusić, na szczęście mój najstarszy brat, razem z bratem Ludwikiem mnie odratowali.

-Wszewilki (w pierwszej lub drugiej klasie szkoły podstawowej). Stefan oduczał mnie palenia papierosów, omal przy tym nie wykańczając mnie na śmierć (byłem wówczas tak zatruty nikotyną, że nie mogłem się ruszyć z łóżka).

-Milicz (w okresie szkoły podstawowej - około 1954) - upadający ogromny ciężki, ostro zakończony sopel lodu spadając z wysokiego dachu omal mnie nie przebił - czułem podmuch jego przelotu z tyłu mojego karku.

-Wszewilki – (wiosną w 1955 roku) nasz stawek na łące zalanej głęboką wodą, zaś ja przeskakiwałem z jednej tonącej pod moim ciężarem kry na inną, podczas gdy nadal NIE umiałem pływać, zaś kry tonęły i rozpadały się pod moimi nogami (szokująco i bezmyślnie była to moja ulubiona zabawa "iceberg jumping").

-Wszewilki (Boże Narodzenie 1956 rok), o mało że się utopiłem w rowie koło domu do którego wpadłem z nartami przypiętymi do nóg podczas wypróbowywania wynalazku Ludwika "nart do chodzenia po wodzie" - patrz opis z podrozdziału X3 (przy Ludwik Pająk).

-Cielcza (wiosna 1958 roku), przypadkowe wypalenie fuzji myśliwego, jakie miało miejsce na głównej szosie przecinającej Cielczę, w wiodącej z Jarocina do Mieszkowa, a jakie nastąpiło kiedy myśliwi i naganiacze zebrali się razem na tej szosie aby omówić szczegóły kolejnej nagonki. Jeden z myśliwych miał przewieszoną przez ramię naładowaną fuzję. Niespodziewanie fuzja ta „ześlizgnęła” się z jego ramienia i wypaliła z obu luf. Odpalone naboje przestrzeliły kolano mojego kolegi szkolnego, oraz przestrzeliły i zrzuciły z mojej głowy czapkę jaką właśnie na głowie tej posiadałem. Kolano tego kolegi faktycznie ocaliło mi życie, bowiem przejęło ładunek ołowiu jaki przeznaczony był dla mojej głowy. Długo potem tą przestrzeloną czapkę pokazywałem moim kolegom „chwaląc” się im że o włos uniknąłem wówczas zostania zastrzelonym. Tak nawiasem mówiąc to trochę mi się wówczas oberwało, bowiem kawałki tektury jakie oderwały się z łuski naboju tej fuzji, widać leciały po liniach krzywych bowiem kilka z nich uderzyło moją głowę raniąc mnie do krwi. Nie oberwałem jednak ołowiem, a ponadto w porównaniu do mojego kolegi, którego całe kolano zostało zmiecione, były to jedynie zadraśnięcia - w owych czasach ludzie nie skarżyli się do władz z byle powodu.

-Wszewilki, koło pierwszego mostku kolejowego na drodze od domu do stacji: szedłem po torach i od tyłu po cichu nadjechał pociąg. Gdyby maszynista nie zagwizdał to by mnie rozjechał. Uskoczyłem z torów dopiero kiedy pociąg był odemnie jakieś 30 metrów. Byłem wtedy chyba w Liceum.

-Stawy koło Grabownicy, lato 1962 roku. Założyłem się z dwoma kolegami szkolnymi (Bułą i Ostrowskim) że przepłynę największy staw w poprzek. Obaj ci koledzy po chwili jednak unieważnili ten zakład i nie chcieli abym go zrealizował - w przeciwnym wypadku zapewne bym zaczął płynąć - i w efekcie utonął.

T-7

-Legnica (wakacje 1962 rok). Jako członek Klubu Łączności ówczesnej milickiej LPŻ, brałem udział w zawodach łącznościowych w Legnicy (obejmowały one marsze w/g mapy, strzelanie, oraz nawiązywanie łączności alfabetem Morse'a na najróżniejszych wojskowych radiostacjach). Na czas zawodów zakwaterowani byliśmy w bardzo starym hotelisku, który przylegał do gruzów jakiegoś domu. Kiedy stałem na chodniku przed wejściem do naszego hotelu dwie dziewczyny wyszły z owych gruzów i zaprosiły mnie abym z nimi coś oglądnął. Okazało się, że w ich głębi znajdował się duży jakby pokój czy komnata, w jakim zgodmadzona była liczna banda młodzieży. W środku tego pokoju, na starym łożu wyścielonym słomą, leżał ogromny i silny ich dorosły przywódca. Przywódca ten oprzyglądnął mi się uważnie i powiedział do dziewczyn, że ja się nie nadaję. Dziewczyny szybko więc odprowadziły mnie z powrotem na chodnik przed wejściem do naszego hotelu. Przez analogię do kolejnego bardzo podobnego zdarzenia jakie zaszło w czeskiej Pradze latem 1980 roku (opisanego poniżej) wnioskuję, że owa banda zabawiała się torturowaniem, a zapewne i mordowaniem, przypadkowo zwabionych do niej młodych i naiwnych chłopaków, takich jak ja wówczas.

-Bezludna droga w bok (ku Zachodowi) od głównej drogi do Cieszkowa, czas około lipca 1963 roku: gdy zostałem zaatakowany przez gryfa ("czupakabra").

-Koło Krotoszyna - nasz sublokator strzelający do zająca gdy ja byłem na linii strzału.

-Janek Defratyka. Niemalże zestrzelenie linii wysokiego napięcia moją raketnicą.

-Góry (Szkłarska - 1971) - jazda mikrusem po skarpie.

-Moje zasłabnięcie i niemal utonięcie we wannie na Wiśniowej.

-Praga (Czechy – lato 1980 roku). Będąc na delegacji w Pradze z kolegami z ITBM Politechniki Wrocławskiej, zostałem na mieście „poderwany” przez bardzo ładną i młodą Czeszkę, która zaprosiła mnie na spotkanie z grupą jej kolegów i koleżanek. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że owi jej przyjaciele są jakimś kultem uprawiającym jakieś szatańskie rytuały w gruzach starego domostwa. Ich przywódca przyglądnął mi się uważnie, poczym powiedział coś po czesku do tej dziewczyny i wykonał ręką gest stwierdzający coś w rodzaju „on się nie nadaje”, poczym nakazał jej aby mnie odprowadziła do autobusu. Dopiero w wiele lat później, już w NZ dowiedziałem się, że w Pradze operowała wówczas banda kultu Szatana, jaka w trakcie swych rytuałów dla uciechy i makabrycznej rozrywki torturowała i mordowała turystów „poderwanych” właśnie w sposób jakiego ja doświadczyłem.

-Franz Joseph Glacier (N.Z. - luty 1983 roku) - próba podążania za nierozważną NZ znajomą Prudence po ścieżce-półce biegnącej wzdłuż stromego zbocza lodowcowego gruzu kamiennego kilkadziesiąt metrów ponad powierzchnią lodowca. Po zorientowaniu się jak niebezpieczna była tamta półka, ja zawróciłem z próby podążania po owej ścieżce, zaś zniechęcona moim zawróceniem Prudence też z niej wróciła. W chwilę później owa ścieżka-półka na naszych oczach zapadła się i z hukiem runęła kilkadziesiąt metrów w dół.

-Krater Tapanui, około lipca 1987 roku. Bardzo lekko ubrani odwiedziliśmy wieczorem krater Tapanui. Było nas czterech, t.j. ja, Jock Mueller, Dr Snow, oraz jakiś Maorys - przyjaciel Dra Snow. Jednak po przybyciu do krateru i oglądnięciu jak krater ten wygląda, nagle otoczyła nas gęsta jak mleko mgła w której zabłądziliśmy. Po kilku godzinach błędzenia po pustkowiu w narastających ciemnościach i coraz gęstrzej mgłę, kiedy już kostnieliśmy z zimna i byliśmy bliscy zamarznięcia na śmierć, ów Maorys wiedziony jakimś instynktem wyprowadził nas do pobliskiej farmy jaka niespodziewanie wyrosła z ciemności i mgły tuż przed naszymi nosami. W chwilę po tym jak dotarliśmy do tej farmy, mgła nagle znikła równie szybko jak się pojawiła.

-Hokitika (N.Z. - grudzień 1989 roku) - zabicie moich okularów przez kamień wpadający przez okno w samochodzie (jechałem wtedy ze znajomą Prudence).

-Aramoana (N.Z. - 13 listopada 1990 roku) - coś nakazało mi aby zawrócić w drodze do domu Gary'ego HOLDEN; 29 Mura Str., Aramoana (died: 13 November 1990), na jakąś godzinę przed rozpoczęciem strzelaniny w jego domu z której nikt nie wyszedł żywy.

T-8

-Skalna wysepka koło Dunedin pokryta małżami oraz omiatana zalewającymi ją falami (około 1991 roku) - skurcz mięśnia mojej łydki uniemożliwił mi przeskoczenie z owej wysepki na pobliską skałę brzegu morza i ucieczkę przed kolejną zalewającą ją falą, co spowodowało iż fala ta mnie załapała, jednak wyrzuciła mnie na ląd zamiast spowodować moje wessanie w kotłujące się poniżej morze i utonięcie.

-Waikouaiti koło Dunedin (około 1991 roku) - ogromny czarny stwór bezszelestnie do mnie podpłynął zapewne aby sprawdzić czy jestem jadalny kiedy spacerowałem sobie tuż przy brzegu morza na plaży niedaleko Dunedin (tj. patrz strona "newzealand_pl.htm").

-Okolice Rakaia w Nowej Zelandii (chyba 1992 rok) - czołowe zderzenie z samochodem prowadzonym przez jakichś nastolatków będących albo pod wpływem narkotyków, albo też zahipnotyzowanych. Gdyby ich samochód uderzył w mój kilka centymetrów bardziej ku mojej stronie, wówczas mógł zamienić mnie w mięsną papkę.

-Kuala Lumpur, Universiti Malaya (1994 rok) – coś niewidzialnego wepchnęło mnie siłą pod nadjeżdżający samochód. Na szczęście kierowca zdołał zahamować. Miejscowi wytłumaczyli zdarzenie jako działanie jednego z duchów ofiar Japończyków, które to ofiary podczas 2-giej Wojny Światowej pozbawiane były głów japońskimi szablami i wyrzucane były na śmietnik w tamtym właśnie miejscu.

-Wyspa Lankawi, Malaysia (28 kwietnia 1996 roku) - omal że złapałem w rękę silnie trującą meduzę „Portugise Man of War” jaka w tym samym dniu zabiła dwóch turystów. Owo zdarzenie opisałem w podrozdziale #M7 niniejszej autobiografii.

-Coromandel Peninsula, New Zealand, near Coromandel township (niedziela, 29/11/98) - przejeżdżałem swoim samochodem przez drogę po której płynęła poprzecznie relatywnie głęboka rzeka powodziowa. Mój samochód o mało nie został zmieciony prądem jej wody do morza. Towarzyszyła mi w nim Mrs Enid Tata, która pośrednio wywarła na mnie nacisk abym przejechał przez tą rzekę na drugą stronę, wierzyła bowiem, że na drugiej stronie owej rzeki powodziowej znajduje się „Sleeping Giant” którego wówczas poszukiwaliśmy. Jak potem dowiedziałem się z TV w dniu owym utonęło dwoje dzieci zmiecionych do morza prądem powodziowym - być może nawet, że w dokładnie tym samym miejscu, ponieważ przejeżdżając przez ową rzekę faktycznie widzieliśmy siedzącą na jej brzegu dwójke dzieci.

-Kuala Lumpur (styczeń 1999 roku) - zacięcie się świateł w Kula Lumpur na skrzyżowaniu przez Uniwersity Malaya. Spowodowane tym zacięciem przejeżdżanie skrzyżowania przy czerwonym świetle i niemal zderzenie czołowe z innym samochodem, który miał zielone światło.

-Timaru, 2000 rok. Kiedy wydawałem traktat [7/2] o mało nie zostałem zaduszony podczas niespodziewanego i silnego ataku wymiotowania.

-Koło Timaru na drodze z Dunedin do Timaru (6 lutego 2001 roku, około 18 wieczorem) - coś sparaliżowało moje ruchy i skierowało samochód jaki prowadziłem na czołowe zderzenie z szybko nadjeżdżającym samochodem. Na szczęście tuż przed zdarzeniem zdołałem się wyrwać z paraliżu.

-Suwon, Kurea Południowa (lipiec 2007 roku) - zostałem zarażony jakąś duszącą chorobą, która całkowicie zaczopowała flegmą moje płuca, tak że jednego rana kiedy się obudziłem zupełnie nie byłem w stanie oddychać. Sue była świadkiem jak się wówczas dusiłem i omal nie umarłem.

Było więcej takich zdarzeń i momentów, jednak o wielu z nich już zapomniałem.

T4. Przypadki kiedy w życiu stykałem się z interwencjami nadprzyrodzonego

Szokująco, moje życie było pełne zdarzeń które obecnie są dla mnie wyraźnymi oznakami jawnej interwencji "nadprzyrodzonego" (tj. Boga). Interwencje te bardzo wyraźnie wskazywały, iż zostały celowo podjęte aby uniemożliwić zboczenie mojego życia z drogi dla której byłem przeznaczony. Poniżej wymieniam najważniejsze z nich (ich dokładniejsze opisy zawarłem w innych częściach treści tej autobiografii). Oto one:

1. Śmierć dziadka Edwarda Dzieciątka w dniu 9 sierpnia 1955 roku i moje nagłe zbudzenie się - pierwsze spotkanie z paranormalnym (opisane też w podrozdziale X5 poniżej).

2. „Zmora”, 1955 rok - jaką wyraźnie widziałem jak wleciała przez okno do mojego pokoiku i mnie dusiła w dzieciństwie (w wieku około 9 lat). Cały przebieg tego niezwykłego zdarzenia doskonale pamiętam do dzisiaj. Zmorę tę opisałem w punktach #F3 i #H3 swej strony o nazwie "[wszewilki.htm](#)".

3. Cielcza, 1957 rok - kilkakrotne udawanie się z kolegami do zakrystii aby ksiądz przyjął mnie na "ministranta", oraz szokujące odkrywanie, że zawsze wówczas ksiądz był nieobecny (na przekór że kiedy się kontaktowało księdza w jakimkolwiek innym celu, zawsze był pod ręką i nie było żadnych trudności w jego odnalezieniu). Zdarzenia te opisałem szerzej na swej stronie o nazwie "[cielcza.htm](#)".

4. Milicz, 1960 rok - nadprzyrodzone nagłe twarde zaśnięcie dyrektora liceum podczas egzaminu wstępnego jakie pozwoliło mi zdać ów egzamin na przekór niskiego poziomu akademickiego jaki wówczas reprezentowałem (po szczegóły patrz początek podrozdziału F1).

5. Milicz, 1961 rok, oficjalne zdyskwalifikowanie mnie z szansy na zostanie pilotem samolotów z powodu skrzywienia chrząstki w mojej przegrodzie nosowej – opisane w podrozdziale F1 tej autobiografii.

6. Milicz, 1964 rok - upadek członka mojego zespołu muzycznego na bęben i zniszczenie owego bębna, w wyniku czego nie zostałem muzykiem, a wykładowcą i badaczem – zdarzenie to najszerzej opisałem w podrozdziale A18 (patrz tam "**Fiasko zostania muzykantem**") i w podpisie pod "**Fot. A4**" z tomu 1 mojej [monografii \[1/5\]](#).

7. Wrocław, 1964 rok - odwołanie do telefonu asystenta, który złośliwie usiłował mnie oblać na egzaminie wstępnym na politechnikę (po szczegóły patrz podrozdział G1 niniejszej [17]).

8. Wrocław, 1968 rok – zostanie odwołanym przez ówczesną dziewczynę z pochodzącego pierwszo-majowego, kiedy reszta moich kolegów uczelnianych szła na zatracenie (usunięcie z uczelni) prowadzona przez dobrze wytrenowanych prowokatorów (patrz opisy z punktu #F2 mojej strony o nazwie "[wroclaw.htm](#)").

9. Malbork (dnia 25 maja 1995 roku - moje urodziny) cudowne uleczenie kaszlu, uzupełnione potem wejściem w Warszawie do kościoła, który najprawdopodobniej istnieje w Świętej Lipce oddalonej setki kilometrów od Warszawy (patrz opisy ze strony "[malbork.htm](#)").

10. Petone, 2018/4/25 – zmanifestowanie się mi "**gorejącego krzewu**", opisane w punkcie #J3 z mojej strony o nazwie "[petone.pl.htm](#)". Zgodnie z wersetami 3:1-5 z biblijnej "Księgi Wyjścia", obszar w którym nastąpiło zmanifestowanie się takiego "płonącego krzewu" oznacza miejsce, któremu Bóg nadał status "miejsca świętego".

T5. Cuda zachodzące w moim otoczeniu

Cuda są najbardziej wiarogodnymi dowodami na istnienie Boga. Wszakże zgodnie z ustaleniami mojej **teorii wszystkiego** zwanej "Konceptem Dipolarnej Grawitacji", **cuda są to zdarzenia których zaistnienie NIE może być spowodowane ani naturalnymi zjawiskami ani też urządzeniami technicznymi jakimi dysponują ludzie, a stąd których zaimplementowanie wymaga bezpośredniej ingerencji Boga**. Tak się też składa, że w moim otoczeniu co jakiś czas cuda mają miejsce. Dlatego aż do dzisiaj na własne oczy zaobserwowałem ich dosyć sporo. Jako naukowiec, który bada niewyjaśnione, ja dokładnie sprawdzałem każdy z widzianych przez siebie cudów, czy nie został on sfabrykowany przez ludzi, albo czy NIE był on jakimś wybrykiem natury. Każdy też z cudów, które widziałem, wykazywał zadziałanie jakiejś nadrzędnej inteligencji i/lub techniki której zaawansowanie ogromnie przewyższało poziom dzisiejszej wiedzy i techniki ludzkiej - czyli każdy spełniał definicję faktycznego cudu. Poniżej wyliczę więc najbardziej spektakularne z cudów jakich zaistnienie osobiście widziałem i ciągle pamiętam, oraz wskażę gdzie cuda te są opisane. Oto one - zestawione w porządku chronologicznym (niezależnie od tego podrozdziału, poniższe cuda opisane są także w punkcie #F3 na stronie "[wszewilki.htm](#)" oraz w punkcie #H2 na stronie "[god proof pl.htm](#)").

- **(1954 rok) Deszcz żywych rybek w Stawczyku**. Był to pierwszy cud jaki widziałem i zapamiętałem w swoim życiu. Miał on miejsce w mojej rodzinnej wiosce zwanej Stawczyk. Dokładniejszy opis tego cudu przytoczyłem w podrozdziale I3.5 z tomu 5 mojej monografii [1/4].

- **(1964 rok) Atak i zostanie poranionym przez gryfa**. Gryf jest nieistniejącym trwale zwierzęciem, które wygląda jak skrzyżowanie lwa z orłem. Ja jednak widziałem gryfa, a nawet zostałem przez niego zaatakowany i poraniony. Tamten atak gryfa dokładnie opisałem w podrozdziale R4.2 z tomu 14 monografii [1/4]. Wzmiankuję go także w punkcie #E8 strony "[newzealand_pl.htm](#)", oraz w punkcie #H1 strony "[wszewilki.htm](#)".

- **(1988 do 2008 rok) Wielokrotne odnotowanie zmian położenia wieży w Oamaru z Nowej Zelandii**. Wieża ta czasami przylegała do kaplicy, innymi zaś razami stała około dwóch metrów od owej kaplicy. Jej ostatnie zdjęcie pokazałem w punkcie #D2 strony "[newzealand_pl.htm](#)".

- **(1990 rok) Cudowne ocalenie ze strzelaniny w "Aramoana"**. Dokładnie opisane jest ono w punkcie #77 z podrozdziału A4 w tomie 1 monografii [1/4], zaś krótko wzmiankowane w punkcie #K3 strony "[fe cell pl.htm](#)".

- **(1991 rok) Przeglądnięcie w bibliotece książki której tam NIE było**. Ten cud opisałem w punkcie 3 z podrozdziału V5.1 w monografii [1/4].

- **(1995 rok) Moje cudowne uzdrowienie w Malborku**. Opisałem je dokładniej w punkcie #B3 ze strony "[malbork.htm](#)".

- **(1995 rok) Moje uzdrowienie w warszawskim kościele, o którym potem się okazało że wcale w Warszawie NIE istnieje**. Było ono jakby dalszym ciągiem cudownego uzdrowienia z Malborka, opisanego w poprzednim paragrafie. Owo cudowne uzdrowienie z Warszawy opisałem dokładniej w punkcie #B4 ze strony "[malbork.htm](#)", a także w punkcie #D6.1 totalizacyjnej strony "[timevehicle pl.htm](#)".

- **(1997 rok) Wizyta w świątyni Sai Baby w której pokazano mi i wyjaśniono samorzutne narastanie proszku „vibudhi” na portretach Sai Baby**. W czasach kiedy pokazano mi ów narastający proszek „vibudhi” (oraz dano mi jego próbkę - którą mam gdzieś do dzisiaj), posądzałem że proszek ten był syntezowany przez wysoce zaawansowaną technikę niewidzialnych dla oczu UFOautów. Jednak w 2007 roku ustaliłem na obszernym materiale dowodowym, że w rzeczywistości to UFOauty są celowo „symulowani” przez Boga - po szczegóły patrz punkt #G7 na stronie "[eco cars pl.htm](#)". To więc co widziałem było

T-11

cudem celowo symulowanym jako fabrykacja. Sceptycznie cud ten dyskutuję w podrozdziale VB5.3.3 z tomu 17 oraz w podrozdziale I3.5 z tomu 5 monografii [1/4].

- **(1998 rok) Zetknięcie się z najbardziej przekonującym przypadkiem kiedy śmierć mojego znajomego została anulowana poprzez cofnięcie do tyłu jego czasu.** W swoim życiu poznałem osobiście aż 4 osoby które były świadome, iż prawdopodobnie umarły jednak ich śmierć została anulowana poprzez cofnięcie ich czasu do tyłu. Pierwszą z tych osób była kobieta którą w 1989 roku spotkałem u zaprzyjaźnionego farmera, Gerrard'a Eckhoff z Coal Creek koło Roxburgh w Nowej Zelandii. W owym czasie kontynuowałem badania lądowisk UFO powypalanych na jego posiadłości (lądowiska te opisałem m.in. na „Rys. O2” z tomu 12 monografii [1/4]). W okresie kilku lat badań tych lądowisk UFO zaprzyjaźniłem się już z Panem Eckhoff. Korzystając więc z mojego pobytu w Roxburgh zaprosił mnie na obiad do swojej farmy. W obiedzie tym brała też udział rodzina jego znajomych. Słyszając, iż badam niewyjaśnione zjawiska kobieta z owej rodziny opowiedziała mi przypadek jaki jej i mężowi właśnie się wydarzył. Mianowicie, wyjeżdżając samochodem spoza zakrętu ujrzeli, że inny samochód jedzie po tej samej co oni stronie szosy. Nie było już czasu na zmianę pasa jezdni - mieli więc czołowe zderzenie z tym innym samochodem. Wówczas ich czas jakby się zatrzymał, wszystko uległo na chwilę zawieszeniu, zaś kiedy czas ponownie zaczął biec normalnie, stwierdzili iż jadą już po innej stronie szosy, zaś w pobliżu NIE ma żadnego innego samochodu. Ja NIE przyłożyłem zbytniej uwagi do opowiadań tej Pani, bowiem właśnie ją poznałem, pozatym NIE była mi w stanie dokładnie wytłumaczyć co się stało w momencie ich zderzenia. Jednak w 1998 roku mój przyjaciel, którego doskonale znałem i którego rzetelności bezgranicznie ufałem (tj. Dr Jan (Bob) Valkenburg) opowiedział mi szczegółowo niemal identyczny przypadek jaki on przeżył osobiście. Jego przypadek opisałem dokładniej w #4D z podrozdziale I4.1.1 z tomu 5 monografii [1/4]. Potem spotkałem jeszcze dwie inne osoby, które też były świadome iż zostały przywrócone ze śmierci w niemal identyczny sposób (tj. poprzez cofnięcie ich czasu do tyłu - tak jak to opisane jest w punkcie #D5 z totalizycznej strony "[immortality pl.htm](#)".) Na dodatek do powyższego posądzam, iż również w podobny sposób przywrócony został do życia Pan Peter Daysh Davey opisany poniżej - chociaż on sam NIE był świadomy iż kiedyś umarł a potem został przywrócony do życia. Wszystkie te osoby ja znałem osobiście, ich cudowne przeżycia znam więc z tzw. „pierwszej ręki” i dla mnie mają one tą samą wartość jakbym widział je na własne oczy. Każdy też z owych przypadków podpira dowodowo mój „softwarowy koncept czasu” jaki opisałem m.in. na stronach "[immortality pl.htm](#)" i "[timevehicle pl.htm](#)".

- **(1999 rok) Zjedzenie lodów w lodziarni która NIE istniała.** Opisałem je w punkcie #D6 totalizycznej strony "[timevehicle pl.htm](#)".

- **(2006 rok) Podziwianie i próba fotografowania obrazu kościelnego który nigdy w owym kościele NIE istniał.** W punkcie #D6 totalizycznej strony "[timevehicle pl.htm](#)" opisałem przypadek kiedy w kościele widziałem obraz anioła stojącego pod krzyżem z Chrystusem. Kiedy jednak powróciłem do owego kościoła aby obraz ten sfotografować, okazało się że nigdy on tam nie istniał.

- **(2008 rok) Pobyt w budynku którego wyburzenie prześledziłem w 1998 roku.** Był to dom nowozelandzkiego wynalazcy o nazwisku Peter Daysh Davey (senior). Opisałem go w punktach #A2, #C2 i #D2 strony "[boiler pl.htm](#)", w punkcie #E5 strony "[free energy pl.htm](#)", a także w (4) z punktu #D6 strony "[timevehicle pl.htm](#)".

- **(2009 rok) Zabranie mnie do Stawczyka dalekiej przyszłości.** W punkcie #C4 strony "[stawczyk.htm](#)", a także w punkcie #J3 strony "[wszewilki jutra.htm](#)", opisałem zdarzenie kiedy zostałem zabrany na wycieczkę do rodzinnej wsi w dalekiej przyszłości – posądzam, że około 2222 roku.

- **(2018 rok) Zamanifestowanie dla mnie dnia 2018/4/25 cudownego "gorejącego krzewu" wodorostu.** Ów "płonący krzew" został mi ukazany na żwirowej

T-12

plaży w Petone demonstrując zachowania "błędnego ognika" oraz telepatycznie ze mną się sprzecząc. Całe to zdarzenie, wraz z wnioskami jakie dają się z niego wyciągnąć, opisałem i zilustrowałem w punkcie #J3 z mojej strony o nazwie "[petone.pl.htm](#)" oraz we wpisie numer #296 z blogów totalizmu - tj. wpisie dostępnym do poczytania, między innymi, w "tomie U" mojego opracowania [13] upowszechnianego ze strony "[tekst_13.htm](#)".

* * *

Niezależnie od powyższych, wysoce spektakularnych cudów, w swoim życiu byłem też świadkiem dużej liczby raczej „skromnych cudów”, czyli ich odmiany, która NIE sprawiła na mnie aż tak wstrząsającego wrażenia jak powyższe cuda. Najczęściej przydarzającym mi się przypadkiem takich „skromnych cudów”, jest zjawisko które w punkcie #C6 strony "[timevehicle.pl.htm](#)" (a także w podrozdziale N4.1 z tomu 11 monografii [1/5]) opisuję pod nazwą „**efekt zdublowania czasu**”. Do 2007 roku uważałem, że efekt ten jest wywoływany zastartowaniem w mojej bliskości wehikułu UFO który działa właśnie jak „wehikuł czasu”. Jednak około połowy 2007 roku ustaliłem, że i ten efekt jest celowo tak „symulowany” przez Boga aby wyglądał jak zastartowanie wehikułu czasu. Typowo polega on na dwukrotnym powtarzaniu się sekwencji zdarzeń zajmujących poprzednie około 30 sekund. Ten rodzaj skromnego cudu typowo widuję około raz na rok. Innym rodzajem „skromnych cudów” były cudowne uratowania mojego życia w sytuacjach kiedy dosłownie „ocierałem się o śmierć” i kiedy śmierć ta wydawała się niemal nieunikniona. W swoim dotychczasowym życiu naliczyłem około 30 takich sytuacji (do 2007 roku uważałem je nawet za czyjeś celowe, chociaż skryte, „zamachy na moje życie”). Często owe „ocieranie się o śmierć” było dosyć dramatyczne - tak jak przypadek ze wsi Cielcza z 1957 roku opisany także w punkcie #B1 strony "[pajak.jan.htm](#)" - kiedy to fuzja wycelowana w moją głowę wypaliła z odległości około 2 metrów, jednak niemal cały ładunek uwiązł w moim koledze, który w owym momencie wszedł pomiędzy mnie i ową fuzję (tak że tylko jeden śrut przestrzelił mi na wylot czapkę na głowie), czy też przypadek z 1992 roku opisany w podrozdziale VB4.5.1 monografii [1/4] - kiedy to podczas zbierania małży ogromna fala oceaniczna zmyła mnie z półki skalnej, jednak zamiast pograżyć mnie w gotujących się odmętach, fala ta wyrzuciła mnie na brzeg. Jeszcze inne częste cuda jakie zachodziły w moim otoczeniu, to zmiany kształtów twardych skał które doskonale znałem. Przykładowo, w latach 1988 do 1999, podczas pobytów w Dunedin, Nowa Zelandia, lubiłem wspinać się na język z lawy (skałę) zwany „**Lawyers Head**”, która formowała maleńki półwysep wystający w morze. Filozofowanie i odpoczynek na czubku tej szczególnej skały było bezpieczne (tj. fale nigdy nie buchały aż do jej czubka), przyjemne (zawsze była ona osłonięta przed wiatrem przez pobliskie zbocze i dobrze wystawiona ku słońcu), oraz napełniająca enegią. Jednak na przekór iż skała ta była twardą lawą i jej górnej półki wcale NIE omywało morze, co jakiś czas wygląd jej wierzchołka, a stąd i konfiguracja mojego ulubionego miejsca do siadania, ulegała drastycznej zmianie. Podobnie częstym zmianom ulegały skały po morskiej (lewej) stronie ścieżki wiodącej wzdłuż gniazd pingwinów w Oamaru (czasami skały te całkowicie znikwały, innymi razami górowały ponad tą ścieżką). Oczywiście, w swym życiu doświadczałem też liczne dalsze rodzaje „skromnych cudów”, których jednak NIE będę tutaj już opisywał.

Do powyższego powinienem dodać, że ja osobiście wierzę, iż każdy człowiek na Ziemi doświadcza w swoim życiu licznych cudów, podobnych do tych jakie ja widziałem i opisałem powyżej. Tyle tylko, że nasza edukacja i obecny system poglądów nakazuje nam owe cuda przeaczać i ignorować, zaś jeśli nawet ktoś je odnotuje, wówczas traktować je jako „przywidzenia” i szybko o nich zapominać. Dlatego jeśli po przeczytaniu niniejszej strony czytelnik zacznie zwracać uwagę na to co jemu samemu się przytrafia, wówczas zapewne zidentyfikuje również swoje osobiste cuda które dowiodą mu faktyczności istnienia i działań Boga.

U-1

Rozdział U:

TEMATY O ROZCIĄGŁOŚCI ŻYCIA

Istnieje kilka tematów jakie powinienem omówić w niniejszej autobiografii, jednak jakie nie bardzo należą do jednego okresu mojego życia. Rozciągały się one bowiem na cały szereg okresów. Omówię je więc w niniejszym rozdziale. Oto one:

U-2

U1. Tabela Cykliczności

"Tablice Cykliczności" są moim najstraszniejszym odkryciem, opublikowanym w artykule „**Teoria rozwoju napędów**”, Astronautyka, nr 5/1976, strony 16 to 21. od którego zaczęły się wszystkie następne wynalazki i odkrycia naukowe. Jej najlepsze opisy zawarte są w punktach #J1 do #J4 z mojej strony internetowej o nazwie "[propulsion.pl.htm](#)".

U-3

U2. Wynalazki przyszłościowych urządzeń napędowych i łączności

Moje "Tablice Cykliczności" umożliwiły mi rozpracowanie całego szeregu urządzeń naszej przyszłości. Najlepsze opisy tych urządzeń zaprezentowane zostały w punkcie #E4 strony o nazwie "[przepowiednie.htm](#)", a także w punkcie #J4 strony o nazwie "[propulsion_pl.htm](#)".

U3. UFO

Po najabrdziej kluczową informację o UFO patrz 3 z punktu #A2 na mojej stronie internetowej o nazwie "[2030.htm](#)" i patrz werset 12:23 z bibilijnej "Księgi Wyjścia".

UFO prześladowało mnie praktycznie przez całe życie. Jednak dopiero w Kuala Lumpur odnotowałem, że manifestacje ich "odwiedzin" wyglądają tak jakby UFOnauci wizytowali mnie systematycznie co najmniej raz każdego miesiąca, patrzyli mi przez ramię i sprawdzali wszystko co piszę, przeszkadzali mi jak mogą w moich badaniach, a także czynili wszystko co w ich mocy aby moje publikacje nie zdołały ukazać się z druku.

W marcu 1996 roku zauważyłem przykładowo, że na obszarze kampusu Uniwersytetu Malaya i dokładnie przed oknem mojego mieszkania położonego na obrzeżu owego kampusu (tj. pod adresem: 36D, Lorong Universiti, 59100 Kuala Lumpur) wyraźnie daje się zauważyć około 22 lądowisk UFO. Lądowiska te sfotografowałem dnia 3 kwietnia 1996 roku. Ich pomiary wykazują: średnica zewnętrzna „d_o” waha się w granicach od d_o = 1.3 [m] do d_o = 1.5 [m]; zaś grubość wypalonego kręgu wynosi g = 0.3 [m]. Kręgów tych nie odnotowałem przed marcem 1996 roku, aczkolwiek nie oznacza to wcale iż tam ich nie było (po prostu nie patrzyłem uważnie na tą część kampusu Uniwersytetu Malaya). Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że występują one jedynie naprzeciw mojego okna, natomiast nie ma ich w żadnej innej części kampusu.

UFOnauci prześladowali mnie również potem, zarówno w czasie mojej profesuru na Borneo, jak w Timaru i w Petone. Ich obecność była powtarzalnie manifestowana zarówno w moim mieszkaniu, jak wypalana w formie lądowisk UFO na trawniokach w pobliżu moich mieszkań. Obecnie wiem już, że tymi swoimi nieustannymi manifestacjami owi UFOnauci i wehikły UFO wzmacniali we mnie przekonanie, że "Ziemia znajduje się pod niewidzialną okupacją i eksploatacją ze strony szatańskich UFOonautów".

W 2007 roku podczas swojej profesury w Korei odkryłem jednak, że UFOnauci i UFO są jedynie tymczasowymi "symulacjami" realizowanymi przez Boga w celu pozwolenia ludziom doświadczyć jeszcze przed zbudowaniem pierwszych Magnokraftów i założeniem ludzkich kolonii na innych planetach, jak odczuwa się nieszczęścia i prześladowania które sami krewniacy ludzi serwują jakiejś kolonii założonej przez ludzkość.

U4. Metody działania Boga

Po odkryciu, że UFOnauci faktycznie są symulacjami Boga realizowanymi w celach wychowawczych, zacząłem się interesować metodami jakie Bóg używa na nas w celach wykonawczych. Z czasem metod tych odkryłem dosyć sporo i poopisywałem je w swoich stronach internetowych i monografiach.

U-6

U5. Inne wieloletnie tematy i przedmioty mojego zainteresowania

Oto wykaz najważniejszych z tych wieloletnich tematów i przedmiotów mojego zainteresowania:

Temat 1: Problem złożoności wybaczenia krzywdzących nas czyichś działań

W Biblii znajduje się nakaz, aby innym (w tym naszym wrogom) wybaczać winy za nieczne czyny jakie na nas popełniają, a ponadto aby kochać swoich wrogów. Owo wybaczenie i powrót do normalnych stosunków z wrogami jest dla nas bowiem ogromnie istotne z psychologicznego punktu gojenia swego poczucia krzywdy jakie czyny tych innych ludzi indukują w naszym umyśle i pamięci, a także z punktu widzenia harmonijnego życia w dzisiejszym społeczeństwie. Jednak w dzisiejszych czasach, oprócz gojenia własnych ran oraz potrzeb harmonijnego współżycia z innymi ludźmi, trzeba też pamiętać o bronienu się przed dalszymi atakami ze strony owych złych ludzi, którym powinniśmy wybaczać. Wszakże w dzisiejszych czasach wszelcy niecni ludzie mają brzydki zwyczaj, iż jeśli raz coś im ujdzie bez kary i następstw, wówczas rozwydrzy ich to jeszcze bardziej i stąd powtarzają swe coraz bardziej nieczne działania. Dlatego filozofia totalizmu rekomenduje, aby wybaczać winy dla przyspieszenia własnego procesu gojenia swych ran i bezzgrzytowego współżycia z bliźnimi, jednak aby równocześnie podejmować działania zapobiegające ponownemu powtórzeniu się zła, jakie właśnie doświadczyliśmy i musieliśmy wybaczyć.

Temat 2: Totaliztyczny nakaz obrony, a religijny nakaz "nastaw drugi policzek"

Filozofia totalizmu może sobie pozwolić, aby otwarcie pisać o obowiązku bronienu się nakładnym przez Boga na każdego człowieka. Rekomenduje więc ona, że **"w każdym przypadku kiedy jesteś agresywnie przez kogoś lub coś zaatakowany, masz obowiązek aby przed nim lub przed tym równie aktywnie, aczkolwiek mądrze i przewidująco, się bronić"**. Wszakże totalizm jest jedynie filozofią opracowaną przez niedoskonałego i omylnego człowieka (tj. mnie – czyli przez autora tej autobiografii). Stąd o tym co ja wyjaśniam i piszę inni ludzie mają **"wolną wolę"** aby wierzyć lub niewierzyć. Broniąc się więc jedynie na bazie rekomendacji totalizmu, każdy uważnie rozważa sytuację i dobiera metody obrony jakie są najmniej dla niego niebezpieczne z punktu widzenia ludzkiego prawa. Tymczasem gdyby w Biblii było napisane to co rekomenduje totalizm, wówczas wielu ludzi podejmowałoby ślełą obronę bez starannego rozważenia sytuacji i wyboru właściwej metody obrony. To dlatego w Biblii obowiązek obrony został zakodowany w sposób symboliczny i zaszyfrowany. Jednak jest on tam zawarty – przykładowo patrz werset 4:7 z bibilijnego "Listu św. Jakuba Apostoła" - stwierdzającego, cytuję z Biblii Tysiąclecia: **"Bądźcie więc poddani Bogu, przeciwstawiajcie się natomiast diabłu, a ucieknie od was."** – każdy wie przecież, że diabeł NIE pokazuje się jako ktoś atakujący ludzi, a atakuje on rękami innych ludzi. (W innych wersjach Biblii ten nakaz obrony przed wszelkim agresywnym złem jest tłumaczony nawet jeszcze bardziej dosadnie.) Biblia opisuje też kilka najmniej szkodliwych dla broniącego się metod obrony. Przykładowo, jeśli agresywnie atakuje nas ktoś, komu możemy podołać z obroną, wówczas aktualna jest metoda "oko za oko". Jeśli zaś jesteśmy agresywnie atakowani przez kogoś przytłaczająco silnego, o kim wiemy, że NIE mamy szans obronienia się przed nim, albo kiedy zaatakują nas władze agresywnego reżymu jaki rządzi naszym krajem, wówczas najlepszą metodą obrony jest "nastawienie drugiego policzka". Najlepszą metodą zaś gojenia swoich ran, jest wybaczenie swym wrogom.

Temat 3: Jak zamykać "karmatyczne łańcuchy" z rodzajami zwrotów, których nikt NIE chce przyjmować

U-7

Na mojej stronie o nazwie "[karma.pl.htm](#)" wyjaśniłem, że moralne "Prawo Bumerangu" powoduje, iż jeśli ktoś uczyni coś, co wywoła w kimś innym ponadprogowo silne uczucia, wówczas owo działanie staje się jednym z "ogniw" tzw. "karmatycznego łańcucha" - dla algorytmu karma rozumianego w totalizycznej jego definicji. Znaczący po upływie określonego "czasu zwrotu", to jemu zupełnie ktoś inny też uczyni coś, co wzbudzi podobny rodzaj równie silnych uczuć, potem zaś temu komuś innemu ktoś jeszcze inny uczyni coś podobnego - i tak dalej, praktycznie aż w nieskończoność. Takie jednak łańcuchy karmatyczne są formowane NIE tylko z przyjemnymi zwrotami, ale także ze zwrotami jakich nikt NIE chce otrzymać z powrotem. Ich przykładem mogą być powtarzane jak w odbijaniu piłki w grze pingpongowej działania tzw. "terorystów" w czasach kiedy w marcu 2019 roku pisałem niniejszy fragment autobiografii. Stąd aby taki łańcuch o nieprzyjemnym zwrocie zakończyć, konieczna jest jakaś specjalna metoda postępowania. Jedną z takich metod, ubrana w rodzaj religijnej ceremonii, została symbolicznie zaszyfrowana (jednak bez podania tam dokładnego wyjaśnienia przerwaniu czego ona służy), w wersetych 16:20-22 z biblijnej "Księgi Kapłańskiej". Ponieważ jednak od czasów Jezusa NIE dokonuje się już ofiar ze zwierząt, opisanemu w tych wersetych wyliczenia grzechów i "wypędzenia" obecnie trzeba dokonywać na osobach, na których zemierza się zakończyć dany łańcuch karmatyczny. Oczywiście, istnieją też inne metody zakańczania łańcuchów karmatycznych, kolejny z których starają się wyjaśnić opisy "[filozofii totalizmu](#)".

Rozdział V:**EWOLUCJA MOICH POGLĄDÓW I PODSUMOWANIE ŻYCIA**

Stara mądrość życiowa często powtarzana przez mojego ojca stwierdza, że: **"całe życie się uczymy i umierami głupimi"**. Owa zaś nasza nieustanna nauka u ludzi otwartych na prawdę zwykle manifestuje się ewolucją poglądów, które wyznajemy. Czas więc teraz na podsumowanie dotychczasowej ewolucji moich poglądów oraz osiągnięć życia.

Gdybym spróbował opisać moją ewolucję poglądów, wówczas prawdopodobnie musiałbym napisać jeszcze jedno opracowanie o objętości niniejszego. Jednocześnie ewolucja ta jest widoczna w opisie moich losów zaprezentowanych na niniejszej autobiografii, oraz zaprezentowanych w publikacjach do jakich niniejsze opracowanie odsyła czytelnika. Dlatego zostawiam czytelnikowi aby we własnym zakresie prześledził tę ewolucję np. na spisie treści, poczym interesujące go jej etapy przeanalizował z materiałów opisowych jakie tam są wskazywane i polecane.

Podsumowanie mojego życia wygląda dosyć interesująco. I tak najwyższą pozycją akademicką jaką zajmowałem w Polsce była pozycja "adiunkta". Zajmowałem ją w latach 1976 do 1982. Najwyższą pozycją akademicką jaką zajmowałem w Nowej Zelandii była pozycja „starszego asystenta” (tj. „Senior Lecturer”) na Uniwersytecie Otago w latach 1988 do 1990. Z kolei moją najwyższą pozycją zajmowaną poza Nową Zelandią i Polską - będącą zarazem moją najwyższą pozycją życiową, była pełna profesura na Uniwersytecie Ajou w Korei. Na tą pełną profesurę zostałem zaproszony w 2007 roku (wykaz przedmiotów jakie m.in. tam wykładałem publikowany był kiedyś na stronie pajak.fateback.com - powtórzonej również pod adresem pajak.6te.net). Za swoje największe osiągnięcia życiowe uważam (1) opracowanie teorii wszyckiego zwanej Konceptem Dipolarnej Grawitacji (KDG), oraz (2) filozofii zwanej totalizm, a także (3) wynalezienie rodziny dyskoidalnych statków międzygwiazdnych zwanych magnokraftami - szczególnie zaś wynalezienie (4) zasady działania „magnokraftu trzeciej generacji” który po zbudowaniu będzie działał jako wehikuł czasu (w ten sposób pozwalając ludziom na osiąganie nieśmiertelności poprzez powtarzalne cofanie ich do lat młodości za każdym razem kiedy dożyją oni do wieku starczego). Za istotne swe osiągnięcie uważam również (5) wynalezienie i rozpracowanie zasady działania tzw. komory oscylacyjnej (która po zbudowaniu będzie urządzeniem napędowym dla „magnokraftów” i dla „wehikułów czasu”), oraz (6) wynalezienie i rozpracowanie tzw. ogniwa telekinetycznego (które po zbudowaniu będzie generowało elektryczność na zasadzie będącej odwrotnością zjawiska tarcia - znaczy tak jak tarcie spontanicznie konsumuje ruch i generuje ciepło, owa odwrotność tarcia spontanicznie konsumuje ciepło otoczenia a generuje ruch). (W sprawie badań rozwojowych nad „magnokraftem” i nad „komorą oscylacyjną” kiedyś zwróciłem się nawet oficjalnie do Instytutu Technologii Budowy Maszyn Politechniki Wrocławskiej (tj. do I-24 gdzie kiedyś pracowałem) aby pozwolili mi napisać rozprawę habilitacyjną na ten temat. Niestety, Rada Naukowa tego instytutu NIE zgodziła się na otwarcie mi takiego przewodu habilitacyjnego - a szkoda bo tradycji naukowej na Politechnice Wrocławskiej desperacko brakuje takich właśnie awangardowych rozpraw i badań które w przyszłości miałyby szansę trafienia do historii nauki i techniki.) Z kolei zdarzeniem które najbardziej mnie cieszy, było ustalenie że poprawność zasady działania mojego „wehikułu czasu” została potwierdzona w Biblii (patrz tam wersety 20:1-11 z Drugiej Księgi Królewskiej - naukowo zinterpretowane w punkcie #D5 ze strony "[immortality.pl.htm](#)"). Moje raczej burzliwe losy życiowe podsumowane zostały na stronie internetowej z notką biograficzną o nazwie "[pajak_jan.htm](#)".

W-1

Rozdział W.

MOJE OBSERWACJE I UWAGI FILOZOFICZNE

Niezależnie od bycia naukowcem, jestem także filozofem. Poniżej podzielę się więc z czytelnikiem kilkoma uwagami natury filozoficznej.

W-2

W1. Rozważania o prawdzie

Złoto i diamenty są symbolem materialnej czystości, doskonałości i odporności na niszczycielskie działanie czasu. Podobne symbole istnieją też dla intelektualnych atrybutów. Jednym z najważniejszych z nich jest „**prawda**”. Podobnie jak ze złotem czy diamentami, każdy chce osiąść jak najwięcej prawdy, oraz nikt nie chce się z nią rozstawać.

Definicja prawdy: **„absolutnie dokładne odzwierciedlenie zaistniałej lub istniejącej rzeczywistości”**.

Jeśli dobrze się zastanowić, to życie polega na nieustannym zbliżaniu się do prawdy.

Szerszemu omówieniu tematu "**prawda**" poświęcona jest odrębna z moich stron internetowych o nazwie "**[prawda.htm](#)**".

W2. Rozważania o naturze ludzkiej

Istnieje jakaś zdumiewająca sprawiedliwość w rozkładzie talentów i braków u indywidualnych ludzi. Wygląda to tak jakby każda osoba otrzymała od Boga taką samą ilość („pulę”) cech, a jedynie ich rozkład się różni dla poszczególnych ludzi. Można więc powiedzieć że „przydział talentów i braków jest taki sam dla każdej osoby”. Tyle tylko, że jedni ludzie czynią dobry użytek z posiadanych możliwości inni zaś nie.

Marnowanie "talentów" jakimi Bóg kogoś obdarzył jest karalne. Dość jednoznacznie daje nam to do zrozumienia "Przypowieść o talentach" (Biblia, Św. Mateusz, 25:14–30) zinterpretowana szerzej w punkcie #11 z mojej strony o nazwie "[pajak jan.htm](#)".

Większość tzw. „ofiar” wykazuje zachowanie jakie sprowadza na nich nieszczęście. (Most of the victims almost "ask" to become victims - or "Ask for troubles".)

Przez pierwsze dwa tysiące lat pisanej historii, t.j. od narodzenia Chrystusa aż do dzisiejszych czasów, ludzie zmieniali wszystko wokół siebie, jednak nie zmieniali swojej natury. W chwili więc pisania tej autobiografii, pod nowoczesnymi ubraniami dzisiejszych ludzi ciągle kryła się natura jaskiniowców. To jest powodem że wiedza o naturze ludzkiej jest aż tak ponadczasowa, oraz że stwierdzenia starożytnych w tym zakresie ciągle są aktualne po 2000 latach.

Wiedza o naturze ludzkiej jest ponadczasowa. Mimo tego prawie nikt jej nie stara się zgłębić. Ciągle i teraz ludzie starają się ulepszyć wszystko wokół siebie, jednak nie zauważają, iż czas już aby także zacząć ulepszać i samych siebie. Ulepszanie to musi zostać rozpoczęte od siebie samego - nie zaś od innych ludzi (wtedy bowiem będzie ono ulepszaniem wokół nas - nie zaś nas samych).

Jako odkrywca swoich urządzeń, doskonale zdaję sobie sprawę jaką potęgę oddaję w ręce ludzi podczas gdy jeszcze nie dojrżeli oni emocjonalnie do jej posiadania. Aby więc ludzie nie zmiotli siebie z powierzchni Ziemi, kolejne 2000 lat powinni oni teraz spędzić na zmienianiu siebie samych i swej natury.

Zgodnie z moimi obserwacjami w życiu każdego człowieka następują niewytłumaczone okresy fascynacji jakimiś poglądami lub stylem życia. W mojej opinii może to być rekolekcją poprzednich przeżyć przez życie, tak że określone okresy danego życia jakby odtwarzają poprzednie nasze życia (taki reinkarnacyjny „fitogeneza jest podsumowanie filogenezy” z teorii ewolucji). Przykłady potwierdzające tą tezę:

W życiu dzieci zawsze występują okresy w jakim fascynowane są one prochem strzelniczym („gunpowder”). Być może odpowiada to okresowi ich cyklu reinkarnacyjnego kiedy „gunpowder” pojawił się na Ziemi. Sue twierdzi, iż fascynacja ta wynika z faktu, że proch reprezentuje „power & action”.

Prawdziwa natura danej osoby wychodzi na wierzch kiedy osoba ta się upije. Np. Gdy ktoś posiada „suppressed violence” wtedy po upiciu staje się violent.

Jeśli chesz poznać czyjąś naturę wybierz się z tą osobą w długą podróż.

Odnoszenie się każdej osoby do innych ludzi jest zawsze odwzajemniane. Stąd ludzie z pozytywnym nastawieniem są powszechnie lubiani. Oto zasady takiego „PRO-postępowania” wzbudzającego pozytywny oddźwięk:

- Zawsze uczynić, jeśli możesz coś uczynić (dla kogoś),
- Zawsze pomagaj, jeśli tylko możesz komuś dopomóc,
- Zawsze daj, jeśli tylko możesz komuś dać,
- Zawsze się uśmiechaj, jeśli masz okazję do kogoś się uśmiechnąć,
- Zawsze zamień kilka słów jeśli tylko istnieje okazja ku temu,
- Zawsze pamiętaj, jeśli tylko możesz o czymś pamiętać,
- Zawsze pokaż swoją troskę, jeśli jest ku temu sposobność,
- Zawsze broń tych, którzy są pokrzywdzeni, nie tych co krzywdzą,

W-4

- Zawsze postępuj sprawiedliwie,
- Zawsze staraj się mówić innym prawdę.

W3. Wpływ otoczenia na ludzi

Otoczenie danego człowieka, włączając w to zarówno naturę jak i innych ludzi dookoła, posiada ogromny wpływ na daną osobę.

W-6

W4. Szef a nasze życie zawodowe

Nasz bezpośredni szef (bos) pełni w życiu zawodowym tą samą funkcję co nasza żona (mąż) w życiu prywatnym. Niewłaściwy szef potrafi popsuć całą karierę czy nawet całe życie.

Niestety zgodnie z działaniem tzw. "pola moralnego" (a ściślej działaniem wymogu że "wszystko co moralne musi poruszać się pod górę pola moralnego i wzdłuż tzw. linii największego oporu") szefami zostają zawsze osoby które najmniej się kwalifikują na tą pozycję. Sa oni zwykle bezpardonowi, bez żadnej moralności, bez ludzkich uczuć, zazdrośni, łakomi, intelektualnie niedorozwinięci, itp. Porządni ludzie jakoś stronią od zostania szefem.

Obecnie stosowane procedury wyboru szefa są jak najbardziej nieodpowiednie. Szefem zwykle zostaje bowiem ktoś kto odpowiada najbardziej wyższemu kierownictwu. Nieststey kierownictwo to zwykle nie ma pojęcia jak to jest być podwładnym danej osoby. Stąd dla wygody kilku nielicznych osób z kierownictwa, zwykle większość ludzi na tej planecie musi przechodzić codzienne tortury obcowania z danym szefem.

W-7

W5. Ludzkie poglądy i filozofia codziennego życia

W przeciwieństwie do starożytności, poglądy dzisiejszych ludzi kształtowane są głównie na podstawie wypaczonego obrazu rzeczywistości dostarczanego przez: TV, filmy, literaturę, sztukę (np. teatr, opery), podręczniki szkolne, komputery, telefony, itp. Stąd poglądy wyrobione na podstawie tego wypaczonego obrazu są nieprawdziwe i nie dostrzegające działania „praw moralnych”. Aby wyrobić sobie poprawne poglądy konieczne jest analizowanie prawdziwej rzeczywistości, nie zaś jej wypaczonego obrazu.

Przyczyny wypaczeń obrazu rzeczywistości w TV, filmy, literaturę, sztukę (np. teatr, opery), podręczniki szkolne, itp. są jak następuje:

- Twórcy tego obrazu (pisarze, filmowcy) zainteresowani są głównie w tym aby ich produkty „sprzedawały”, nie zaś aby „uczyły”. Stąd formują oni zdarzenia w swych obrazach zgodnie z tym co inni chcieliby aby się stało, nie zaś co faktycznie by się stało w danej sytuacji.

- Obrazy zawsze muszą być uproszczone, stąd pomijają one wiele istotnych zachowań.

- Nawet gdy są bazujące na rzeczywistych zdarzeniach, obrazy te pomijają wiele istotnych dla tych zdarzeń szczegółów z prostej przyczyny, że twórcy nie są ich świadomi (np. świadkowie zatajają je dla „zachowania twarzy”).

Nie można więc traktować poważnie obrazów rozsiewanych przez te publikatory.

W6. Upadające kraje

Wszyscy ludzie na całym świecie są mniej więcej tacy sami. Wszyscy wykazują podobne przywary, pracują mniej więcej tak samo wydajnie i ciężko, mają dosyć podobne cele i życzenia, itp. Jedyna różnica jaka powoduje iż jedne kraje prosperują, inne zaś upadają, sprowadza się do filozofii aktualnie panującej w danym kraju. Filozofia ta sprawia iż poszczególne kraje wypracowują lepsze lub gorsze mechanizmy działania, które w długoterminowej akcji prowadzą je do prosperowania lub do upadku.

W swym życiu obserwowałem kilka krajów w trakcie upadku, przykładowo Polskę w czasie rodzenia się "Solidarności" i potem stanu wojennego czy Nową Zelandię w czasie lat następujących po upadku rządów Sir Mouldoon'a.

Naród w swej drodze do upadku wykazuje wiele charakterystycznych cech, najważniejsze z których są jak następuje:

- Dominacja formy nad treścią. Przykładami mogą tu być: ogromnie wyróżniane egzaminy, podczas gdy ich znaczenie jest zerowe (t.j. w czasach gdy ja pracowałem natykałem się na sytuacje, że po takich egzaminach nie wolno/warto tam było nikogo oblać), pompa przy każdej nawet najmniejszej okazji (np. zaproszenia ministrów na zwykły koncert, w którym poza przemówieniami i wstępną pompą prawie nic się nie działo - muzyka była kiepska, zaś występy muzyków niezwykle krótkie),

- Legalizowanie podwójnych standardów. Np. inne prawa dla biednych ludzi lub dla robotników, inne zaś dla uczestników klasy rządzącej, albo inne dla miejscowych i inne dla emigrantów.

- Podział społeczeństwa na dwie grupy: lepszych i gorszych, oraz wyraźne preferencje dla grupy „lepszych”.

- Rozbieżność pomiędzy słowami a działaniem, np. użycie wielkich słów o równości, dobru poszczególnych obywateli, dobru kraju, itp., zaś działanie codzienne zupełnie odwrotne do tego wypowiedzanego.

- Propaganda sukcesu. Przykładowo propagandowe prezentowanie upadków jako sukcesy.

- Nieefektywność biurokracji. W upadających krajach biurokracja staje się nie do przebrnięcia. Generalna zasada biurokratów staje się: „gdy tylko masz jakąś wymówkę aby nie pomóc, wtedy natychmiast powiedz NIE”. Dla porównania w krajach jakie prosperują naczelną zasadą biurokracji brzmi: „Jeśli tylko istnieje możliwość dopomożenia w danej sytuacji, uczynić wszystko w twojej mocy aby dopomóc”.

- Demoralizacja robotników. Ludzie nie chcą pracować, narzekają, domagają się wyższych zarobków,

Na krótko przed upadkiem danego kraju pojawiają się następujące znaki:

- Szybko postępująca inflacja.

- Zamrażanie płac przez rząd. Jest ono rozpaczliwym środkiem do powstrzymania narastającej inflacji.

- Narastająca separacja pomiędzy klasą lepszych i gorszych.

W7. Stan dobrobytu poszczególnych krajów

Jest to moją obserwacją, że w krajach o zwiększonym dobrobycie ludzie pracują znacznie mniej niż w krajach ubogich. Jednakże z uwagi na ich lepszą organizację, mechanizację, dobre przemyślenie przed wykonaniem, efekty pracy oraz jej wydajność są znacznie większe (w mojej ocenie nawet do około 80 razy). Ludzie w biednych krajach są więc jak pracowite mrówki ciągnące ten sam liść we wszystkich możliwych kierunkach. Chociaż więc dają one ze siebie wszystko, liść ciągle pozostaje w tym samym miejscu bowiem ich wysiłki nawzajem się kasują.

Problemem krajów ubogich jest, iż ich efektywność (efficiency) pracy jest niezwykle niska. Stąd też chociaż niektórzy ludzie niekiedy pracują w nich dosyć ciężko, ich praca nie przynosi efektów. Z uwagi właśnie na ten generalny „marazm” kraje te pozostaną biednymi, bowiem wysiłki kilku pojedynczych osób zostają w nich zagłuszone przez „drętwa” większość.

W8. Nauka, technika, itp., a edukacja i naukowcy

Istnieje bezpośrednia współzależność pomiędzy stanem w jakimś kraju danej dyscypliny naukowej, technicznej, itp., a poziomem nauczania tej dyscypliny w tym samym kraju. Przykładowo Francuzi mają wspaniałe szkoły kucharskie, Nowozelandczycy mają dosyć postępową edukację rolniczą, Anglicy są dobrzy w filmach i medycynie, Japończycy w edukacji elektronicznej, itp. Z tego wynika więc wniosek o działaniu tej zasady w odwrotnym kierunku: niedogodności i niedołożności edukacji ziemskiej posiadają bezpośrednie następstwo w obecnych kłopotach Ziemi.

Istniejący obecnie system rekrutacji wykładowców i naukowców na uczelnie, nie dobiera ludzi według posiadanej przez nich wiedzy lub potencjału twórczego, a jedynie według zgodności tytułów ich publikacji z danym kierunkiem naukowym. Stąd aby osiągnąć wysoką karierę naukową wystarczy publikować dużo "szmelcu", którego tytuły jednak muszą dokładnie odpowiadać specjalizacji jakiej ktoś się poświęca.

Naukowcy wymyślili specjalizacje aby nimi zamaskować własny brak kompetencji. Ludzie naprawdę zdolni są dobrzy za cokolwiek się wezmą.

Dzisiejsze uczelnie wychodzą z całkowicie błędnego założenia, że wykładowcy akademicy powinni dokonywać badania w dziedzinie w której wykładają. Poprzez to założenie, ogranicza się rozwój badań w nowych kierunkach, jakie nie są dotychczas reprezentowane w odpowiadających im wykładach, pozbawia naukowców wszechstronności poprzez popróbowanie także badań w kierunkach jakich nie wykładają.

„Nasza nauka osiągnęła już punkt upadku”, jeśli nasze społeczeństwo szybko NIE stworzy jej konkurencji w rodzaju **„totalizycznej nauki”** jaką ja stworzyłem i propaguję, albo NIE zastąpi jej przez inną instytucję, nasz dalszy rozwój naukowy i techniczny zaniknie prawie całkowicie.

“In my times being a scientist was like walking along the surface of a swamp. It looks solid, but when you put your leg on it it does not support you but sinks.”

„Gdy przesunięcie fazowe pomiędzy misją (celem istnienia) jakiejś instytucji a jej faktycznym działaniem osiąga 180 stopni (tj. kiedy **„poziom korupcji”** osiąga 100%), wtedy instytucja ta praktycznie jest już martwa zaś jej faktyczne działanie jest dokładnie przeciwstawne do celów dla jakich oryginalnie została stworzona - konieczność jej usunięcia pozostaje wtedy już jedynie kwestią czasu”. Historyczne przykłady: Cesarzy Rzymscy i ich rządy (i spowodowany przez to rozpad Cesarstwa), Kościół z jego inkwizycją (i wywołana przez to konieczność „reformacji”), niektóre Monarchie Europejskie (i spowodowane przez nich rewolucje oraz zastąpienie monarchii przez inne formy rządów), Komitet Energii Atomowej w Polsce oraz jego antyludzkie działania w chwili eksplozji w Czernobylu (oraz spowodowany tym upadek znaczenia tej instytucji), itp. Nauka ziemską właśnie osiągnęła taki punkt. Stąd już w niedalekiej przyszłości musi ona zostać zastąpiona przez jakieś alternatywne instytucje. Już obecnie rozmontowywanie nauki jest wysoko zaawansowane, aczkolwiek nikt nie mówi o tym otwarciu. Przykładowo „Prywatne Uczelnie” przejmują stopniowo funkcje edukacyjne naukowców, degradując swoich wykładowców z symbolicznej roli „kapłanów nauki” do roli zwykłych nauczycieli akademickich. Instytuty przemysłowe przejęły od naukowców prawie wszystkie funkcje Badawczo-Rozwojowe - **„jeśli coś nowego ma być wykonane, nie dawaj przypadkiem tego naukowcom”** - głosi nieoficjalne stanowisko ludzi przemysłu. Prywatni wynalazcy przejęli od naukowców funkcje wprowadzania postępu wiedzy i techniki, stąd obecnie rozwój zupełnie nowych idei odbywa się całkowicie z pominięciem naukowców - przykład Komora Oscylacyjna, Magnokraft, Siłownie Telekinetyczne, oraz Piramida Telapatyczna. Jeśli wynalazcy potrzebują pomocy zwracają się do tzw. „Domów Kultury Technicznej” (t.j. specjalnych instytucji typu „majstertkowiczów” powołanych do udzielania pomocy technicznej i wykonawczej

W-11

wynalazcom pracującym nad nowymi ideami) upowszechnianych szeroko we wszystkich wysoko-rozwiniętych krajach, nie zaś do naukowców. Praktycznie więc jedyne co jeszcze pozostało naukowcom do czynienia to krytykowanie i narzekanie, ale nawet i w tym względzie ludzie coraz mniej ich słuchają.

W nauce oraz w życiu, „believing is seeing”, t.j. najpierw trzeba coś samemu ustalić lub odkryć mentalnie a dopiero potem się to zauważa. Przykładowo najpierw trzeba poznać objawy zaistnienia reinkarnacji, a dopiero potem dowody na ten fakt zaczynają się nam ukazywać. Albo też najpierw trzeba wynaleźć **komorę oscylacyjną**, a dopiero potem zaczyna się zauważać jej obecność w UFO oraz w biblijnych opisach.

Jeśli przeglądnąć literaturę, to w czasach w jakich pracowałem, praktycznie pozostawałem jedynym profesorem na świecie będącym nadal aktywnym w służbie czynnej, a jednocześnie prowadzącym konstrukcyjne badania UFO (t.j. badania nakierowane NIE na zanegowanie i zdyskredytowanie istnienia UFO, a na potwierdzenie realności tych obiektów oraz wyjaśnienie ich działania i atrybutów). Inni profesorowie albo zajmowali się badaniami UFO po przejściu na emeryturę i zaprzestaniu służby czynnej, albo też szybko eliminowani byli z uczelni wkrótce po zajęciu się tym tematem. W moim przypadku kontynuowanie badań UFO było jedynie możliwe ponieważ tematykę moich badań utrzymywałem w utajeniu. Jednakże jeśli prowadzi się tajne badania, wtedy zaprzeczają one duchowi nauki, zgodnie z którym badania mają służyć dobru ludzkości a stąd muszą być jawne. To więc wskazuje w jakim paradoksie dzisiejsza nauka się znajduje.

„Dzisiejsi naukowcy panicznie boją się nowych kierunków”. Stąd przyznanie się w podaniu o posadę do podążania w jakimkolwiek nowym kierunku, jest równoznacznie z dyskwalifikacją do danej posady.

„Najczęściej uzasadnienie dla odmowy przyjęcia mnie do pracy było iż „moje zainteresowania naukowe leżą poza uznanymi granicami danej dyscypliny” (przykładowo to było zawarte w raporcie "selection committee" z dnia 5 September 1995, z Odense Universitet in Denmark). Uzasadnienie to wynikało z faktu iż ja interesowałem się budową magnokraftu, konceptem dipolarnej grawitacji, i podobnymi kierunkami które były całkowicie nowe i stąd oczywiście nie miały jeszcze czasu aby wejść w granice już uznanych dyscyplin naukowych. Powyższe ujawnia ogromny paradoks dzisiejszej nauki - jak nauka ta może zajmować się nowymi kierunkami kiedy nie przyjmuje ona do swego łona wczystkiego co NIE jest starą i już od dawna uznana tematyką. Ktoś, kto jak ja bada nowe kierunki, ma więc ogromne trudności ze znalezieniem pracy jako naukowiec. Przykładowo aby znaleźć pracę na Cyprze musiałem wysłać aż około 300 podań o pracę – co praktycznie oznacza, że wraz z licznymi papierowymi załącznikami jakich wówczas uczelnie wymagały, podania potrzebne dla uzyskania zaledwie jednej pracy wymagały rozesłania stosu papierów formatu A4 o około metrowej wysokości – czyli ścięcia i zamienienia w papier co najmniej jednego dużego drzewa. Z kolei pracując na UM w Malezji, po wysłaniu 90 podań ciągle NIE miałem jeszcze pracy – tak nawiasem mówiąc to wykonałem wówczas nawet sobie zdjęcie z wysokim stosem papieru jaki formowały tylko kopie owych podań zachowywane dla przyszłych referencji.

„Gęsi nigdy nie będą w stanie docenić lotów orła”.

Wykształceni ludzie, szczególnie zaś naukowcy, nie znoszą zdolniejszych od siebie w swojej bezpośredniej bliskości. W obecności takiej zdolniejszej od siebie osoby czują się nieswojo, nerwowo i zagrożeni. Korzystają więc z każdej nadarzającej się okazji, aby takiej zdolniejszej od siebie osoby się pozbyć. Najbardziej ostro ich reakcje dały się zauważyć w Nowej Zelandii i Malezji gdzie ludzie są bardzo impulsywni i nie potrafią trzymać na wodzy swoich uczuć. Tak szybko jak tylko wykapowali, iż jestem od nich zdolniejszy, posiadam szerszy zakres ekspertyzy, itp., natychmiast zaczęli traktować mnie jako osobistego wroga, starając się usunąć mnie z „ich” uczelni pod jakimkolwiek pozorem i tak szybko jak to tylko było możliwe (szczególnie w tym celowali moi bezpośredni przełożeni). Jedyne więc sposób nieco dłuższego przeżywania w pracy przez takich zdolniejszych, w moich czasach okazał się

W-12

polegać na ukrywaniu przed przełożonymi i kolegami swojej prawdziwej ekspertyzy i szerokości swych umiejętności - ja jednak wpadłem na niego dopiero po zostaniu wyrzuconym z Otago University w Dunedin. Niestety, z biegiem czasu moi przełożeni zawsze jakoś się dowiadywali o tym co przed nimi ukrywałem, poczym w NZ natychmiast na wydziale w jakim pracowałem zaczynana była reorganizacja, lub działo się coś innego, w wyniku czego ja traciłem pracę. Ponieważ po jej utracie szukałem następnego zatrudnienia uważnie przeglądając ogłoszenia, w parę miesięcy później w NZ zawsze odkrywałem, że ponownie jest ogłaszany nabór na moją uprzednią pozycję z jakiej właśnie mnie zwolniono (tak stało się nawet na WELTEC - z pozycji w którym mnie zwolniono jakoby z braku studentów). (Działo się tak jedynie w NZ, ponieważ moje prace poza jej granicami zawsze były na stanowiskach profesorskich – na te zaś podpisywało się obustronnie wiążącą umowę określającą długości jej trwania, stąd te zawsze trwały do określonego w umowie terminu.)

Problem z wieloma naukowcami, podobnie jak z wieloma pracownikami wszystkich innych dziedzin, polega na tym, że sytuacja ich zmusza aby pracowali w dyscyplinie jaka zupełnie ich NIE interesuje. Stąd pracują dla chleba i awansu, niemal wcale NIE będąc zainteresowani w tym z czego żyją (poza tzw. "podkładaniem świnii" tym z grona swych kolegów i podwładnych, których posądzają, że mogą zastąpić ich w zajmowanej pozycji). Jedynie dla niewielkiego procenta naukowców (być może mniej niż 1%) badania naukowe są także osobistą pasją. Dla większości naukowców nauka to po prostu zawód i sposób zarabiania na utrzymanie, uprawiana pomiędzy 9 rano i 5 wieczorem tak aby potem można się było oddać czemuś ich zdaniem znacznie przyjemniejszego. Ich rzeczywiste zainteresowania leżą jednak w czymś innym. Właściwie to niemal każdy z moich przełożonych posiadał pozanaukowe zainteresowania w obszarze zupełnie niezwiązanym z nauką, którym poświęcał wielokrotnie więcej uwagi niż swej pracy naukowej. Przykładowo, mój HOD z Dunedin był zapalonym śpiewakiem, spędzając większość swego czasu na praktykach w chórze lub samemu. Pozatym lubował się w winach – organizował więc grupowe zgromadzenia w celu "poznawania smaku nowych win".

Jest podwójnie trudno zostać naukowcem jeśli urodziło się w Polsce. Z jednej strony charakter narodowy Polaków jest taki, że jak tylko mogą tak przeszkadzają oni swoim współziomkom w dokonaniu czegoś naprawdę przełomowego. W mojej opinii jedną z najbardziej dających się we znaki wad narodowych Polaków (t.j. wadą ujawniającą się za pośrednictwem całego narodu - bowiem jak to zawsze ma miejsce z regułami - istnieją też indywidualne wyjątki czyli osoby nie posiadające tej wady) jest bowiem, że w znanych sobie osobach doszukują się oni i koncentrują głównie na aspektach negatywnych, całkowicie pomijając aspekty pozytywne (jest to odwrotnością do tendencji większej części innych narodów, które w znanych im osobach zwykle koncentrują się na aspektach pozytywnych, pomijając lub ignorując aspekty negatywne). W rezultacie więc osoby znane Polakom (np. aktualnie żyjące w Polsce) degradowane są w ich oczach posiadanymi przez siebie niedoskonałościami - które przecież każdy człowiek ma. Jedynym więc sposobem uniknięcia takiego zdegradowania jest nie dać się dokładnie poznać - np. poprzez mieszkanie poza granicami kraju, albo też poprzez przeniesienie się na drugi świat. Efektem tych zachowań jest więc, że Polska kultura uczy aby szanować, doceniać i dopomagać jedynie obcokrajowcom (w oparciu o zasadę gościnności) albo też osobom już nieżyjącym (w oparciu o zasadę poszanowania dla umarłych). Aby więc znaleźć uznanie w samej Polsce konieczne jest albo pracowanie poza granicami kraju i uzyskać status „obcokrajowca” (jak Curie-Skłodowska), albo też wydać swoje prace już po śmierci (jak Kopernik). Istnieje anegdota o kimś wizytującym piekło i obserwującym zwyczaję przedstawicieli różnych narodowości gotowanych w smole. Inne narodowości grupowały się razem po czym wyrzucały z kotła któregoś ze swoich współziomków. Diabły pilnujące ich kotły miały więc sporo roboty ze spychaniem ich z powrotem do gotującej ich smoły. Jednak przy kotle z naszymi ziomkami nie stał żaden diabeł, bowiem gdy któryś z Polaków chciał się wydostać, inni łapali go za nogi i

W-13

wciągali z powrotem do gotującej się smoły. Nie było więc konieczne użycie diabłów do pilnowania w celu spychania Polaków z powrotem do smoły. Niestety, jeśli ktoś opuści Polskę i pracuje wśród obcych poza jej granicami, wówczas zwowu trudno mu znaleźć uznanie, tym razem wśród owych obcych, bowiem inne narodowości posiadają odwrotną do Polaków naturę – tj. pomagają one jedynie swoim własnym w zrobieniu kariery, zaś jak tylko mogą tak przeszkadzają wszystkim obcokrajowcom którzy wyemigrowali do "ich" kraju.

„Szukanie pracy zajmowało mi tak wiele czasu, że praktycznie nie pozostawało mi go wiele na cokolwiek innego”. Przy składaniu podań o pracę wymagane jest bowiem aż tak wiele dokumentów, załączników, propozycji, raportów, oświadczeń, itp. (szczególnie przez Amerykanów), że zajmuje okropną ilość czasu ich przygotowanie. Potem zaś zatrudnienie jest co najwyżej na trzy lata. Ponadto wysłać trzeba conajmniej kilkaset podań aby otrzymać jedną pozycję. Zajmuje to więc praktycznie około 3 lat. Prawdopodobnie więc biurokracja będzie powodem upadku nauki.

Owe trudności ze znalezieniem pracy faktycznie oznaczają, iż naukowcy z 21 wieku roku panicznie się boją nowości oraz osób z nowymi poglądami.

Histeria w odniesieniu do badań UFO. Naukowcy końcowych lat 20 wieku rozpętali taki klimat terroru i zastraszania w stosunku do osób zajmujących się badaniami UFO, że od czasu wyrzucenia mnie w 1990 roku z Otago University w Dunedin, nieustannie towarzyszy mi strach. Badając UFO bez przerwy czułem się jak przestępca działający wbrew życzeniom innych ludzi. Aczkolwiek więc wszelkie moje badania przede wszystkim ukierunkowane są na dobro ludzkości, praktycznie z powodu ich prowadzenia traktowany byłem (i nadal jestem) jak przestępca, czułem się jak przestępca, a także zmuszany byłem do nieustannego konspirowania, ukrywania przed przełożonymi i kolegami, oraz zatajania wszelkich swoich poczynań i osiągnięć w tych badaniach. Nic dziwnego, że gdyby inne cywilizacje obserwowały nasze zachowania zapewne już dawno doszłyby do wniosku, że rasa ludzka nie jest zdolna do postępowania zgodnego z prawami moralnymi i z dobrem innych istot jako pierwszym celem swego działania. Być więc może, że z tych powodów ludzie mogą kiedyś zostać odizolowani i pozostawieni na pastwie swoich instynktów samozagłady.

„Instytucje nigdy nie zmieniają poglądów - aby poglądy się zmieniły trzeba wiec wymienić instytucje”. Reformacja nauki musi więc polegać na zastąpieniu przez inne nowe instytucje jej kolejnych funkcji (wykładania, prowadzenia badań, wynalazczości, itp.).

W9. Różnice międzyludzkie i inne kontrowersje

Kiedyś w czasach kolonialnych wyznawany był pogląd, że atrybuty określonych ludzi w głównej mierze zależą od rasy z której ludzie ci się wywodzą. W rezultacie wielu złożonych czynników (takich przykładowo jak okrycieństwa hitleryzmu i konieczność eliminowania ich następstw, walka z kolonializmem, ruchy wyzwolicielskie w byłych krajach kolonialnych) w końcowych latach XX wieku pogląd ten stał się bardzo „niemodny”. Stąd ludzie go wyznający poddawani zostawali wielu różnorodnym naciskom na zaniechanie jego upowzechniania. W rezultacie wyciszenia osób wygłaszających ten pogląd a jednocześnie dawania posłuchu ludziom twierdzącym, że wszyscy ludzie są tacy sami, większość ludzi zaczęło uważać, że wszyscy są jednakowi i że atrybuty danej osoby zależą od wielu czynników jednak wcale nie zależą od rasy z której osoba ta się wywodzi. Oczywiście ten absurdalny pogląd o równości wszystkich ras udowodnił już swoją błędność w praktyce. Wszakże każdy z ludzi jest inny i każda z ras ludzkich ma odmienne cechy - jednocześnie jednak Bóg tak obdzielił każdego i każdą rasę, że sprawiedliwość jest utrzymana - np. mieszkańcy Afryki są doskonali w sportach, Amerykańscy Indianie w duchowości i poszanowaniu natury, zaś nowozelandzcy Maorysi mają ogromny talent w śpiewie, muzyce i rzeźbie. Czas więc aby ktoś miał odwagę głośno stwierdzić jego niepoprawność. Oczywiście w obecnym klimacie, trudno znaleźć kogoś na tyle odważnego aby to stwierdzić, prawdopodobnie więc ów trudny obowiązek spada również na niniejsze strony mojej autobiografii. Przy przeglądaniu poniższych rozważań chciałbym jednak podkreślić, że **przez słowo „różny” ja nie rozumiem „gorszy”, a jedynie ktoś „charakteryzujący się zespołem atrybutów, które są odmienne ilościowo lub jakościowo”**.

Aby zacząć od samego początku, można łatwo wydedukować, że ludzie rodzący się jako członkowie różnych ras muszą faktycznie posiadać różne atrybuty. Łańcuch logiczny który prowadzi do takiego wniosku jest jak następuje:

1. Różne rasy oznaczają odmienne geny, czyli odmienne naturalne talenty.
2. Różne rasy oznaczają odmienne warunki wychowania, czyli odmienne nabyte umiejętności.

Istnieje wiele dowodów dla różnice pomiędzy osobami należącymi do odmiennych ras. Wymieńmy niektóre z nich.

1. Przedstawiciele różnych narodowości znani są z odmiennych wzorców zachowań, jakie to wzorce są znamienne dla danej rasy. I tak przykładowo Polacy są znani w świecie jako chaotyczni (stąd zapewne biorą się stare powiedzenia w rodzaju **„Polska nierządem stoi”**). Indyjczycy są okropnymi kierowcami i w każdym kraju gdzie żyje licząca się liczba Indyjczyków krążą różne niewybredne powiedzenia na temat ich nawyków jazdy. Arabowie są znani z lenistwa. Murzyni (przynajmniej ci pokazywani w telewizji) zdają się mieć jedynie seks na myśli.

2. Każdy kraj rządzony przez określoną narodowość charakteryzuje się odmienną zdolnością do efektywnego rządzenia, a także do rodzaj ustroju jaki odpowiada jego mieszkańcom. Przykładowo, Polacy muszą być „trzymani za mordę” w przeciwnym wypadku „Polska nierządem stoi”.

W końcowych latach XX wieku wyrobiła się też opinia, że NIE istnieją zasadnicze różnice pomiędzy seksami i że „kobiety to naprawdę są mężczyznami, tyle że bez penisa”. Pogląd ten jest rezultatem wieloletniej walki feministek oraz następstwem „wahadła przechylającego się w odwrotną stronę”. Nie trzeba być jednak naukowcem aby stwierdzić że „koniety zasadniczo różnią się jednak od mężczyzn” i to na wielu płaszczyznach – co wcale NIE czyni ich gorszymi ani podrzędnymi, a jedynie innymi. Wszakże stwarzając je zasadniczo różne, Bóg obdzielił je talentami jakich mężczyźni typowo NIE posiadają. To przykładowo z powodu owych talentów, niemal każda osoba miło wspomina swą matkę.

W-15

W10. Inne filozoficzne ustalenia

"**Każda droga wiedzie do naszego przeznaczenia**". Co na początku powinniśmy uczynić, to zacząć zgłębiać jakąś sprawę, zaś ta jak przysłowiowa "nitka Adriany" zaprowadzi nas do tego co jest naszym prawdziwym przeznaczeniem.

Rozdział X:

MOJE DRZEWO GENEALOGICZNE

Motto: "Rodzina jest jak światło: oddala uczucie samotności, dodaje ciepła, może wskazywać drogę, czasami też stwarza miraż. Dobrze więc być świadomym jej istnienia."

Kiedy po długiej pracy zgromadziłem materiał opisany w niniejszym rozdziale X, z szokiem stwierdziłem, że spokrewniona ze mną może być niemal połowa mieszkańców Polski, oraz spora proporcja mieszkańców innych krajów Europy – tyle, że aby to udokumentować, trzeba w swoich badaniach rozważyć wystarczającą liczbę poziomów swoich przodków. Jest więc wysoce prawdopodobne, że także ty czytelniku, jesteś moim krewnym. **Witaj więc krewniaku, w niniejszych opisach powiązań naszego prawdopodobnego pokrewieństwa.**

Tak pechowo się składa, że Polska leży na skrzyżowaniu najważniejszych dróg świata. Bez przerwy więc trawili jej obszar najróżniejsi przejezdni, nie zawsze o przyjemnej i przyjaznej naturze oraz postępowaniu. W rezultacie wiedza na temat przodków indywidualnych ludzi w Polsce niemal jest niemożliwa do zgromadzenia. Cokolwiek bowiem zostaje gdzieś odnotowane w tej sprawie, zaraz zjawia się jakiś kolejny najeźdźca, który bez litości pali i niszczy wszelkie zapisy i dokumenty. W rezultacie Polacy nawykli aby zbytnio się NIE przejmować swymi dalekimi przodkami. Są zadowoleni jeśli wiedzą kim są ich rodzice i dziadkowie. Jednak w reszcie świata jest inaczej. Przykładowo, typowy nowozelandzki Maorys potrafi wyrecytować wszystkich swoich przodków aż do czasu przybycia z Hawaiki do Nowej Zelandii jego rodzinnego "waka" (tj "canoe") jakieś 1000 lat temu. Obecnie formowane są tam nawet komputerowe drzewa genealogiczne i bazy danych, które zawierają informacje o wszystkich mieszkańcach tego kraju od początku jego zaludnienia. Podobnie dokładne dane genealogiczne są trzymane w Anglii i niektórych innych krajach.

Szczerze mówiąc, to dla wielu istotnych powodów praktycznych też **dobrze jest znać swój rodowód**, przodków i drzewo genealogiczne. Przykładowo, ze względów zdrowotnych dobrze jest wiedzieć jakie choroby, cechy charakteru, osobowości, nawyki, pasje, upodobania i jakie przebiegi życia od nich się odziedziczyło. Jeśli więc ma się określoną figurę lub włosy, albo niezwykle upodobania, talenty, lub skłonności, wówczas poznanie swoich przodków zwykle wyjaśnia skąd one w nas się wzięły i jak dla nas się skończą. Psychologicznie też jest wysoce upewniającym jeśli zna się swoje pochodzenie, korzenie, identyczność, oraz przynależność. Niektórzy z naszych przodków mieli też chwalebne lub zasłużone życie, stąd ich poznanie może stać się powodem do naszej dumy i zrozumienia kim my sami jesteśmy. Dobrze jest też wiedzieć ze swego drzewa genealogicznego gdzie ma się krewnych i jak ich odszukać. Obecnie rozwijają się nauki genetyczne, stąd wiedza o przodkach i o naszym drzewie genealogicznym może też nam otworzyć wiele nowych możliwości, które owe nauki właśnie rozpracowują. Ponadto za jakiś czas ludzie rozpoczną **podróże przez czas** moimi "**wehikulami czasu**" - dla których genealogia też stanie się istotna. Ze wszystkich tych powodów poniżej opisuję dokładnie swoją własną genealogię. Być może, że poznając opis moich przodków i rodziny, skorzysta na tym jakoś również i czytający właśnie te słowa.

Cały niniejszy rozdział został napisany pod kątem genetyki i powiązań genetycznych. Znacząco, wskazałem i opisałem tutaj wszystkie te osoby, z którymi dzielę jakąś część swoich genów, włącznie do trzech generacji przed moją własną generacją, oraz z uwzględnieniem też

X-2

osób z generacji do jakiej sam należę. Wszystko też co tu podane służy głównie utrwaleniu wiedzy o rodzaju informacji genetycznej jaka przekazana została następnym generacjom mojej rodziny. Wszakże jeśli wie się np. na jakie choroby cierpieli nasi przodkowie, ma się też sporą szansę przewidzenia na jakie choroby będzie się cierpiało samemu. Podobnie jest też z wieloma innymi cechami, takimi jak przykładowo wygląd, charakter, upodobania, smak, łysienie, otyłość, długowieczność, itp.

Warto tu dodać, że owe najdłuższe i najpełniejsze z życiorysów jakie tutaj umieszczam spisałem już w dniach 7 do 28 czerwca 1981 roku - często językiem jakim mi je przekazała moja mama [XM]. W niniejszym rozdziale nie zmieniam też tego oryginalnego zapisu.

X1. Mój prywatny system oznaczania pokrewieństwa (jaki ja sam opracowałem dla potrzeb niniejszej genealogii), oraz symbole jakie używam w opisach tego rozdziału

Abym mógł łatwo wskazywać poziom pokrewieństwa ze mną, za każdym razem kiedy w tym rozdziale po raz pierwszy wspominam jakąś osobę, w tekstach jakie teraz nastąpią **używał będę bardzo prostego systemu oznaczania pokrewieństwa**. System ten bazuje na formowaniu "łańcucha przekazu genów", czyli bardzo prostego zapisu literowego w rodzaju [XOOC] - oznaczającego "ja" (X), "ojciec" (O), "ojciec" (O), "córka" (C) - znaczy oznaczającego którąś z moich ciotek, czyli córki ojca mojego ojca. System ten definiuje więc sobą jak następowały przekazy genów pomiędzy poszczególnymi generacjami i osobami uwidocznionymi w danym łańcuchu. W powyższym łańcuchu każda kolejna literka oznacza jakąś żyjącą osobę, która otrzymała połowę swych genów od ojca (O) lub od matki (M) wskazanej tuż za nią, zaś jeśli osoba ta jest synem (S) lub córką (C) - wówczas od osoby wymienionej tuż przed nią w owym łańcuchu. Symbole te czyta się jak teksty pisane, tj. od lewej ku prawej. Ostatnia literka w takim łańcuchu oznacza osobę którą dany symbol opisuje (tj. przy której jest on podany). Pierwszą zaś literką tego łańcucha zawsze jest [X] - która to literka oznacza mnie, czyli autora tej autobiografii (dra inż. Jana Pająk). Ponieważ w każdym łańcuchu literką [X] zaznaczam swoje własne położenie, dlatego każdy z przytoczonych w tym rozdziale łańcuchów ujawnia również jak dany ktoś jest do mnie pokrewny. Literki [O] = ojciec, oraz [M] = matka, używane są kiedy kolejne literki danego łańcucha cofają nas w czasie do tyłu. Natomiast literki [S] = syn, oraz [C] = córka oznaczają przemieszczenie do przodu w czasie począwszy od osoby jaka literki te poprzedza. (przykładowo, moja siostra mogłaby być opisana łańcuchem [XOC] lub [XMC], jednak jeśli jest ona moją pełną siostrą, z tej samej matki i ojca, wówczas trzeba opisać ją łańcuchem [X(OM)C] bowiem ten ostatni łańcuch oznacza, że jest ona moją pełną siostrą) W zapisie tego "łańcucha przekazu genów" używane są następujące symbole:

[X] = "ja", czyli dr inż. Jan Pająk - względem którego wszystkie podane w tym rozdziale łańcuchy są mierzone. Ponieważ byłem piątym z kolei dzieckiem swoich rodziców, czasami używam też dla siebie oznaczenie [X₅]. Indeks bowiem oznacza numer kolejny dziecka danej pary rodziców.

[M] = "matka" poprzedniej osoby w danym łańcuchu (jeśli [M] jest użyte, to oznacza że w danym łańcuchu właśnie cofamy się w czasie do przeszłości).

[O] = "ojciec" poprzedniej osoby w danym łańcuchu (jeśli [O] jest użyte, to oznacza że kiedy przechodzimy do czytania następnej literki w owym łańcuchu, wówczas właśnie cofamy się w czasie do przeszłości). Przykładowo mój dziadek "po mieczu" będzie oznaczany łańcuchem [XOO] - co znaczy: "ja - czyli Jan Pająk" [X] "mój ojciec" [O], "jego ojciec - czyli ojciec mojego ojca" [O].

[Ż] = "żona" (znaczy osoba która do podanego przed nią męża doda połowę swych genów do następnej generacji); jeśli dany małżonek miał kilka żon, wówczas te są oznaczane kolejnymi indeksami, np. (XŻ₁), (XŻ₂), itp.

[H] = "husband" co po angielsku znaczy "mąż" (czyli osoba która do podanej przed nią osoby też doda swe geny do danej linii późniejszego potomstwa). Kolejni mężowie danej kobiety oznaczeni są indeksami jak kolejne żony.

[C] = "córka" poprzedniej osoby w danym łańcuchu (jeśli [C] jest użyte, to oznacza że właśnie przemieszczamy się w czasie do przyszłości). Niekiedy w opisach dzieci użyte są indeksy w celu opisanie którym z kolei dzieckiem danej pary rodziców było dane dziecko, np. [XC₁], [XC₂].

X-4

[S] = "syn" poprzedniej osoby w danym łańcuchu (jeśli [S] jest użyte, to oznacza że właśnie przemieszczamy się w czasie do przyszłości). Użycie indeksów oznacza numer kolejny danego dziecka u danego rodzica.

(), { } = Jeśli konieczne jest podkreślenie że dana para ludzi była małżeństwem a stąd pod względem genealogicznym powinna być traktowana jako jedna osoba-generacja, wówczas ich symbole objęte są w nawiasy, np. okrągłe (jak te). Stąd wszystko co zawarte w okrągłych nawiasach, np. jak te z symbolu [XMO(OŻ₁)], albo w klamrowych nawiasach {jak te}, oznacza parę ludzi tej samej generacji związanych ze sobą np. małżeństwem.

uww = oznacza iż dany ktoś „umarł w wieku”, lub „umarła w wieku” ? lat.

Jak widzimy z powyższego, dzięki wprowadzeniu powyższej symboliki zapisy pokrewieństwa są raczej proste. Przykładowo poprzednio podany symbol "X₅OOC₄" oznacza "czwarta siostra mojego ojca, czyli moja ciotka Anna". Zapis zaczyna się jedynie komplikować, kiedy trzeba wyrazić powiązania genetyczne wynikające z drugiego małżeństwa. Przykładowo oba zapisy [XMO((OŻ₁)Ż₂)S₁] albo [XMO(OŻ₂)S₁] oznaczają niejakiego Franka Dzieciątka (ur. 1915, zginął w powstaniu warszawskim w 1944), który był pierwszym synem z drugiego małżeństwa mojego pra-pradziadka Franciszka Dzieciątka [XMOO] (podczas gdy mój dziadek Edward Dzieciątka [XMO] był pierwszym synem [XMO(OŻ₁)S₁] z pierwszego małżeństwa mojego pra-pradziadka [XMOO]).

Inne symbole użyte w tym rozdziale i autobiografii obejmują m.in. daty które nadal zapisuję albo w starym formacie DD/MM/RRRR albo też w nowym RRRR/MM/DD (kiedy nie znałem dat, lub określonych danych, wówczas wpisywałem tam znak zapytania ?).

X-5

X1.1. Przeliczanie zapisu pokrewieństwa

Symboliczny zapis pokrewieństwa wyjaśniony w poprzednim podrozdziale X1 ma tę zaletę, że łatwo daje się go przeliczyć na dowolną inną osobę, która też jest ze mną spokrewniona. Aby dokonać takiego przeliczenia trzeba zrealizować następujące kroki:

-1. Wybrać sobie jakiś inny symbol jakim będziemy potem oznaczali ową inną osobę, jaki to symbol będzie odmienny od symboli wyszczególnionych w podrozdziale X1. Przyjmijmy, że symbolem tym dla pokazanych tutaj przykładów będzie [Y].

-2. Wyliczyć jak ja [X] jestem spokrewniony z daną osobą [Y] dla której chciałoby się dokonać przeliczenia. Przykładowo, jeśli ową osobą jest syn Piotr [XMS₄S₁] mojego brata Stefana [XMS₄], wówczas ów stopień mojego z nim spokrewnienia dałoby się opisać łańcuchem [XMSSY].

-3. Wypisać łańcuch osoby której pokrewieństwo do [Y] chce się wyrazić przeliczonym łańcuchem. Załóżmy że osobą tą jest np. Franek Dzieciątko [XMO((OŻ₁)Ż₂)S₁] (urodzony w 1915 roku, ten który zginął w powstaniu warszawskim w 1944 roku).

-4. Zredukować oba łańcuchy pokrewieństwa poprzez wyeliminowanie tej wstępnej ich części która się powtarza w obu z nich. W omawianym tu przykładzie częścią wspólną jest [XM]. W ten sposób otrzymuje się dwa łańcuchy, np. [O((OŻ₁)Ż₂)S₁] oraz [SSY].

-5. Odwrócić łańcuch zawierający [Y] tak aby [S] lub [C] stał się [M] lub [O], oraz vice versa (przy owym odwracaniu zwrócić uwagę na płeć odwracanych symboli pokrewieństwa). W ten sposób przykładowy łańcuch [SSY] po odwróceniu staje się [YOM].

-6. Dodać odwrócony łańcuch z [Y] do początku zredukowanego łańcucha z docelową osobą. W naszym przykładzie dodać [YOM] do przodu [O((OŻ₁)Ż₂)S₁], otrzymując [YOMO((OŻ₁)Ż₂)S₁].

-7 Otrzymany końcowy łańcuch [YOMO((OŻ₁)Ż₂)S₁] jest nowym łańcuchem pokrewieństwa przeliczonym automatycznie dla [Y]. W opisanym tu przykładzie łańcuch [YOMO((OŻ₁)Ż₂)S₁] wyraża pokrewieństwo Piotra Pajaka do Franka Dzieciątka.

Odnotuj że opisany tutaj algorytm jest na tyle automatyczny, że nawet daje się opracować komputerowy program który będzie automatycznie dokonywał zadanych mu przeliczeń pokrewieństwa.

Fakt, że było możliwe wypracowanie powyższego algorytmu przeliczania łańcuchów pokrewieństwa, oznacza także, iż prawdopodobnie istnieje więcej niż jeden taki algorytm. Wszelkie algorytmy mają bowiem to do siebie, że jeśli da się opracować jeden z nich jakąś metodą, wówczas typowo to oznacza, że daje się też opracować aż kilka następnych z nich zupełnie odmiennymi metodami. To z kolei oznacza, że prawdopodobnie da się też opracować nawet znacznie prostrzy od powyższego, a stąd efektywniejszy, algorytm takiego przeliczania pokrewieństwa ze mnie [X] na kogokolwiek innego [Y] kto jest ze mną spokrewniony jakimkolwiek znanym i możliwym do zapisania łańcuchem, albo przeliczania pokrewieństwa pomiędzy mną [X] oraz owym kimkolwiek innym [Y] kto jest ze mną spokrewniony. Jednak z braku czasu ja NIE próbuję nawet poszukiwać takiego prostrzego czy pokrewnego algorytmu, a jego poszukanie (i np. zaprogramowanie w formę programu komputerowego) pozostawiam jako rodzaj **"intelektualnego wyzwania"** dla tego z czytających opisywane w tym rozdziale drzewo genealogiczne, którego ta sprawa głębiej zainteresuje.

X2. Moi przodkowie "po mieczu" (tj. z męskiej linii Pająk)

Motto: "Aby wiedzieć dokąd się zmierza trzeba wiedzieć skąd się pochodzi."

Doskonałą ilustracją i symbolem „motto” tego podrozdziału jest sytuacja, kiedy podróżujemy przez puszcę lub dżunglę, zaś na skrzyżowaniu wielu dróg natykamy się na stary przegniły drogowskaz jaki już leży na ziemi wywrócony, a stąd o jakim NIE wiadomo, które jego ramiona oryginalnie wskazywały jakie drogi i kierunki. Wszakże jeśli wiemy skąd przybywamy, wówczas wystarczy, że tak ustawimy ów drogowskaz iż właściwe jego ramię wskazywało będzie drogę jaką właśnie przybyliśmy, a wówczas wszystkie inne jego ramiona też będą już poprawnie wskazywały właściwe drogi. To dlatego wiedza „**skąd przybywamy**” jest ogromnie istotna zarówno dosłownie jak i symbolicznie w naszym ustalaniu „dokąd zmierzamy”.

Wracając jednak do drzewa genealogicznego, to przodkami "po mieczu" w badaniach genealogicznych nazywa się męską linię drzewa genealogicznego. W moim przypadku główny przebieg tej linii obejmuje głównie mojego ojca, ojca mojego ojca czyli mojego dziadka, ojca mojego dziadka czyli mojego pradziadka, itp., itd., mojego najstarszego brata i jego syna, zaś dopiero dodatkowo także mnie, innych moich braci, oraz moją siostrę Irenę. Oto więc wykaz członków linii "po mieczu" w mojej rodzinie, na jakich temat posiadam informacje i tu je opisuję. (Proszę odnotować, że z wielu powodów narazie NIE opisuję tu już generacji jaka reprezentuje potomków mojej generacji, tj. m.in. potmków moich braci, mnie i mojej siostry, chociaż też dysponuję danymi na ich temat.)

??? Pająk [X000] (ur. około 1840 roku, gdzieś w Czechach).

Józef Pająk [X00] (ur. 14/3/1873, zm 17/4/1936) – patrz "**Fot. X2**" poniżej.

Wincenty Pająk [X0] (ur. 18/3/1903, zm. 26/10/1981).

Mój najstarszy brat [XOS₁] (ur. 4/10/1930, zm. 25/2/2015), a także ja, [X₅] (ur. 25/5/1946) oraz wszyscy moi bracia i najmłodsza z nas moja siostra.

Cała ta linia jest częściowo opisana poniżej w podrozdziale X3, zaś jej reszta w podrozdziale X6.1.

Zasada podziału majątku w rodzinie Pająk była dokładnie taka sama jak zasada ich życia, tj. "każdy sobie rzepekę skrobie". Znaczący, po śmierci danego właściciela ziemi wszyscy członkowie jego rodziny typowo otrzymywali przynależną im w spadku część ziemi. W rezultacie ogromny obszar ziemski posiadany przez Józefa Pająk i przez jego żonę, do dzisiaj uległ całkowitemu rozczłonkowaniu na maleńkie działeczki. Z jednego dużego majątku ziemskiego do dzisiaj pozostała już tylko ogromna zbieranina maleńkich działek budowlanych. Podobno (jak słyszałem), w miejscu gdzie kiedyś stał jedynie dom Józefa Pająk, obecnie znajduje się już cała wioska, sporo mieszkańców której nadal nosi nazwisko Pająk.

X-7



Fot. X2: Zdjęcie Józefa Pająk (1873/3/14 do 1936/4/17) - tj. mojego (czyli dra inż. Jana Pająk) dziadka "po mieczu": ([kliknij tu aby je oglądać w powiększeniu](#)). W czasie wykonywania tego zdjęcia mój dziadek miał około 20 lat i właśnie był poborowym w austriackim wojsku (mieszkał bowiem w części Polski wówczas pod zaborem austriackim - tj. w tzw. "Galicji").

X3. Życiorysy mojej linii genealogicznej "po mieczu"

Motto: "Śledząc losy naszych przodków mamy doskonały przegląd tego co najprawdopodobniej i nas spotka."

Oto krótkie życiorysy moich przodków "po mieczu". W każdym z życiorysów starałem się podać przynajmniej najbardziej istotne informacje genealogiczne które mają znaczenie z punktu widzenia genetyki. Oto owe życiorysy:

"???" Pająk [X000] (ur. Około 1840 roku, gdzieś w Czechach).

Jego życiorys, losy i data śmierci NIE są mi znane. Ponieważ imienia tego ojca mojego dziadka [X000] ja niestety nie zdołałem ustalić, dla potrzeb tej autobiografii przyporządkowałem mu abstrakcyjne imię "???". Jednak jakie faktycznie jego imię było, tego nie wiemy. Mój dziadek, Józef Pająk [X00] był środkowym z trzech synów swego ojca **"???" Pająk [X000]**. Dzieci tamtego nieznanego przodka "???" Pająk [X000] (o nieznanym imieniu) obejmowały bowiem: najstarszym synem był Jan Pająk [X000S₁], środkowy Józef Pająk [X00] - jednocześnie [X000S₂], oraz najmłodszy Antek Pająk [X000S₃].

Józef Pająk [X00] (ur. 14/3/1873 – zm. 17/4/1936 uww 63 lat).

Mój dziadek "po mieczu". Urodzony był 14 marca 1873 roku w Koszarawie koło Żywca, jako syn owego "???" Pająk. Zamieszkiwał w Koszarawa 440. Zmarł 17 kwietnia 1936 roku w Koszarawie (akt zgonu nr 15/1936, USC w Koszarawie).

Niewiele mi wiadomo o Józefie Pająk, poza faktem że był nałogowym alkoholikiem (co wyjaśnia "skłonność do kieliszka" mojego brata Czesława) i że zmarł na długo przed moim urodzeniem się. Gdy jechał do miasta to podobno tak zawsze się spił, że koń sam musiał go potem przywozić z powrotem do domu. Ponieważ był nieprzytomny, złodzieje często mu odcinali lejce, odkręcali koło u wozu, itp. W domu mieli kilka krów i jednego konia. Ów koń musiał być ogromnie mądrym zwierzęciem, bowiem zawsze bezbłędnie potrafił znaleźć drogę do domu, podczas gdy jego właściciel leżał na wozie nieprzytomny z upicia. Krowy zwykle wypasał najstarszy syn Wincenty [X0] - czyli mój ojciec. Podczas jednego z takich wypasów odnotował on incydent z "gwiazdą która zeszła na ziemię do toalety" (tj. z tzw. "anielskimi włosami" z UFO). Incydent ten opisałem w podrzdziale O5.4 z tomu 12 mojej monografii [1/4]. Józef Pająk był z zawodu kołodziejem (stelmachem). Robił koła i barany do wozu. Pochodził z Czechosłowacji. Swojej ziemi nigdy nie połączył z ziemią swej żony [X0M], bowiem podobno była ona strasznym leniwcem i nierobem. Potrafiła cały dzień przesiedzieć w oknie, podwijając nogi w kucki. (W dzisiejszych czasach zapewne by się okazało, że padła ona ofiarą **chronicznej depresji psychicznej** - wszakże jej mąż był nałogowym pijakiem, zamieszkiwała w kompletnej dżicy, miała kupę głodnych i odartych dzieciaków, nie widziała żadnych perspektyw na przyszłość, itp.) Dlatego każde z dzieci tego małżeństwa musiało w domu dbać samo o siebie – co w moim ojcu wyrobiło niezwykłą zaradność, umiejętności techniczne i wiedzę praktyczną. Każde też z dzieci gotowało dla siebie i szyło dla siebie. Jedyne co rodzina robiła jako całość, to całodzienne wyjazdy na pole do grupowej pracy przy uprawach i zbiorach - wszakże od owej pracy zależał ich dostęp do żywności.

Józef Pająk zapewne przejął od swoich przodków i przekazał dalej jakiś **"gen podróżnika"**. Wszyscy bowiem jego potomkowie lubowali (i lubują) się w podróżowaniu. Przykładowo mój ojciec, Wincenty Pająk, w młodości zarabiał na życie jako wędrowny sprzedawca drobnych kuchennych wyrobów drewniach (które to wyroby produkowali w górach członkowie jego rodziny). W swych (pieszych) wędrowkach dotarł z rodzimych gór aż do Cielczy w poznańskim, gdzie poznał moją mamę. Z kolei mój brat, Stefan Pająk, aż wielokrotnie podróżował do Ameryki, aby w końcu tam się osiedlić na stałe. Inny brat,

X-9

Czesław Pajak, postawił sobie za cel swego życia odwiedzenie wszystkich krajów świata i faktycznie był już bliski osiągnięcia tego celu. Ja sam (Jan Pajak [X]) też spędziłem życie na podróżowaniu "za chlebem" i na profesurach w różnych krajach świata.

Maria Pajak z domu Sternal [XOM] (ur. 7/12/1876 – zm. 12/10/1947 uww 71 lat)

Była to moja babcia z linii "po mieczu" - czyli matka mojego ojca. W 1902 roku Józef Pajak [XOO] (urodzony 14/3/1873 w Koszarawie, zmarły 17/4/1936 roku w Koszarawie - akt zgonu 15/1936) poślubił Marię Pajak z domu Sternal [XOM] (urodzoną 7 grudnia 1876 roku w Koszarawie nr 460, a zmarłą 12 października 1947 roku - akt zgonu 136/1947, USC w Strzysławie) córkę Szczepana Sternal i Katarzyny Sternal (rodziców 3 córek), zaś siostrę młodszą od niej ??? z domu Sternal (zam. Grodzisko Dolne koło Lwowa - której mąż został zabity przy młockarni około 1926 roku), oraz siostrę najmłodszą ??? Kotula z domu Sternal. Zamieszkiwali w Koszarawa pod numerem 460. Mieli ze sobą w sumie aż 11 dzieci o kolejności i imionach: Karolina Pajak [XOOC₁] (zmarła po 1 roku), Rozalia Pajak [XOOC₂] po mężu Ryszka (?), Wincenty Pajak [XO] a jednocześnie [XOOS₃] (ur. 18/3/1903, zm. 26/10/1981 o godzinie 17:10), Anna Pajak [XOOC₄] (ur. 1905), Władysław Pajak [XOOC₅] (zm. ?), Weronika Pajak [XOOC₆] po mężu Kamińska (?), Jeromin Pajak [XOOC₇] (zm. 1968), Aniela Pajak [XOOC₈] (?), Antola Pajak [XOOC₉] (zmarła w młodym wieku), Franciszek Pajak [XOOC₁₀] (ur. 1906 – zm. ?), Janek Pajak [XOOC₁₁] (?).

Warto tutaj dodać, że potomstwo owych moich dziadków po mieczu, tj. Józefa Pajak [XOO] oraz Marii Pajak z domu Sternal [XOM], ogromnie się rozmnożyło. Praktycznie obecnie w Polsce i w kilku innych krajach żyje ich całe mnóstwo porzrzucanych po całym szeregu miejscowości. Z kolei owa wioska Koszarawa koło Żywca podobno aż roi się od Pajaków - znaczy niemal cała wioska to teraz moje dalekie krewniaki, Pajaki. Więcej na temat drzewa genealogicznego i losów całej owej rodziny Pajaków przytaczam w podrozdziale X6.1 poniżej.

Wincenty Pajak [XO] (ur. 18/3/1903 – zm. 26/10/1981 uww 78 lat).

Był to mój ojciec. Urodzony 18 marca 1903 roku w Koszarawie koło Żywca. Trzecie z kolei dziecko (syn) Józefa Pajak i Marii Pajak z domu Sternal. Zmarł 26 października 1981 roku we Wszewilkach o godzinie 5:10 po południu (akt zgonu 150/81, USC Milicz). Pochowany został (wraz ze swoją żoną [XM]) w dniu 29 października 1981 roku na cmentarzu komunalnym w Miliczu.

Wincenty urodził się jako najstarszy ślubny syn w rodzinie chłopskiej. Jego ojciec Józef [XOO] miał sporo ziemi. Był jednak nałogowym pijakiem. Ich ziemia była na tyle duża że w obecnych czasach podobno wyrosła i utrzymuje się na niej cała wioska.

Jako dziecko i nastolatek Wincenty pasał krowy swoich rodziców, sam sobie szył i latał ubrania, oraz jadł co mu pod rękę się nawinęło. Czasami nam opowiadał, że najlepiej mu smakowały podrosłe pisklęta wron (przez niego nazywane "glapy"), wyjmowane z gniazd na krótko przed tym zanim nauczyły się latać. Podobno smakowały one jak pieczone gołębie. W domu każdy z nich sam musiał sobie gotować posiłek, bowiem ich ojciec typowo był pijany, zaś matka ich ignorowała.

W wieku kawalerskim Wincenty Pajak [XO] utrzymywał się jako "wędrowny sprzedawca". Chodził po domach i sprzedawał najróżniejsze góralskie wyroby drewniane produkowane chałupniczo przez jego braci, takie jak łyżki, chochelki, wieszaki, haki, itp. W jednej ze swych wypraw sprzedawczych do wsi Cielcza koło Jarocina poznał moją matkę, Anastazję Kubiak [XM]. Ślub wzięli w 1929 roku w owej Cielczy koło Jarocina.

Po ożenieniu się, aż do 1939 roku mieszkał we wsi Cielcza wraz z rodzicami swojej żony (a moimi dziadkami). Na czas wojny został zabrany na roboty do Niemiec. Początkowo wylądował w obozie w Penemunde - tym słynnym z wyrzutni V2. Po zbombardowaniu Penemunde przez Aliantów, gdy obóz i jego ogrodzenia zostały całkowicie zniszczone, zaś strażnicy obozowi pozabijani, poszedł sobie na piechotę do domu. Jednak został złapany na

X-10

moście przez Odrę. Po dokumentnym z biciu (o którym potem się skarżył że dwóch Niemców w czarnych mundurach nie tylko okładało go pałkami na zmiany, ale na dodatek kazali mu liczyć na głos po niemiecku ilość uderzeń jakie otrzymał) został odesłany na roboty do właścicielki jakiejś fabryczki. Kiedy po wojnie w 1945 roku piechotą powrócił do domu z robót w Niemczech, dołączył do swojej żony [XM] która do owego czasu objęła już na Wszewilkach własny dom w posiadanie o późniejszym adresie (aktualnym w 2004 roku): "Wszewilki-Stawczyk 4, 56-300 Milicz, Polska". W domu tym mieszkał wraz z żoną Anastazją [XM] i córką Ireną [X₅MC₆] aż do swej śmierci.

Ze swoją żoną, Anastazją Pająk z domu Kubiak [XM] mieli 6 dzieci (5 synów i potem najmłodszą córkę Irenę [X₅MC₆]). Byli to: mój najstarszy brat [X₅MS₁] (ur. 4/10/1930), Ludwik Pająk [X₅MS₂] (ur. 25/2/1933), Czesław Pająk [X₅MS₃] (ur. 18/3/1936), Stafan Pająk [X₅MS₄] (ur. 24/8/1938), Jan Pająk - czyli ja [X₅] (urodzony 25/5/1946), Irena Pająk [X₅MC₆] (ur. 30/6/1951) po mężu Hajdun.

Wygląd Wincentego w sile wieku: blondyn, rudy wąs. Oczy szare. Tęgi. Ważył około 85 kilo. Silny. Raptownego charakteru. Skory do bitki. Nałogowy palacz, wypalający około 20 papierosów silnej marki "sport" na dzień. Miał dobrą pamięć, jednak zaczął ją tracić w 1971 roku. Całkiem stracił pamięć około 1978 roku (około 75 roku życia). W 1981 roku nie wiedział już ani jak się sam nazywa, ani nazwisk innych osób. Nie potrafił także się wysłowić. Zapomniał już mowę. Siwieć zaczął około 1975 roku. W 1981 roku (tj. kiedy ten życiorys był spisywany) był już całkiem siwy. Zęby stracił około 1947 roku. Potem już miał tylko protezy. Od 1980 roku robił pod siebie i siusiał pod siebie. Ciągle odczuwał potrzebę palenia papierosów, jednak zapominał, że je pali i w ten sposób wypalał sobie odzież i pościel.

Zmarł w swoim własnym domu na Wszewilkach, w poniedziałek, dnia 26 października 1981 roku około godziny 17:10. W chwili śmierci była przy nim jego żona [XM], oraz córka Irena [X₅OC₆]. Krótko przed śmiercią, tj. w piątek wieczorem, zaniemówił. Stan jego zdrowia był jednak kiepski już od sierpnia. Jadł coraz gorzej, zaś na krótko przed śmiercią zupełnie nie przyjmował jedzenia. Coś mu się psuło w żołądku, musiało to bardzo boleć. Cierpiał jednak w milczeniu i nic nie mówił bo obawiał się pójść do szpitala. Około 14:00 w poniedziałek (tj. na jakieś 3 godziny przed śmiercią) odzyskał przytomność i świadomość umysłu. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć głosu. Razem ze swą żoną, Anastazją Pająk, pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Miliczu.

Jest prawdopodobne że też miał wylew krwi do mózgu, bowiem około 3 dni przed śmiercią został całkowicie sparaliżowany. W ostatnich godzinach miał okresy duszenia co około 15 do 30 minut, kiedy brakowało mu oddechu, potem zaś z wysiłkiem łapał go z powrotem.

Mój najstarszy brat [X₅OS₁] (ur. 4/10/1930 – zmarły w wieku 85 lat).

Ludwik Pająk [X₅OS₂] (ur. 25/2/1933 – zm. 12/1/2015 uww 82 lat).

Ludwik Pająk to mój [X] drugi brat oraz drugie z kolei dziecko Wincentego i Anastazji Pająk. (Odnotuj powszechnie panujące wierzenie, że drugie z kolei dziecko w każdej rodzinie typowo wyrasta na odmieńca i na czarną owcę rodziny - co m.in. dyskutowałem w podrozdziale JC13.1 z tomu 7 monografii [1/4].) Ludwik urodził się 25 lutego 1933 roku (25/2/33) w Cielczy koło Jarocina. Imieniny obchodził 25 sierpnia.

Jak niemal wszyscy z moich braci urodzonych przed wojną, Ludwik swe dzieciństwo oraz młodość spędził w Cielczy koło Jarocina. Zaraz po wojnie opuścił dom rodzinny i przeniósł się do Gliwic, gdzie pracował jako chemik najpierw w Polskich Odczynnikach Chemicznych aż do 1961 roku, potem zaś w Energopomiarze aż do końca 1981 roku. Z dniem 31 grudnia 1981 roku (tj. w wieku 48 lat) przeszedł na rentę inwalidzką.

Kiedy byłem na drugim roku studiów, czyli w 1965 roku, Ludwik poślubił mieszkającą wówczas w Bardo Śląskim koło Kłodzka niejaką Marię Pająk z domu Brzdęk urodzoną

X-11

29/08/1939 w Tursko Małe. Ja byłem zaproszony na ów ślub, jednak przez dziwny zbieg okoliczności NIE zdążyłem zebrać się z moimi braćmi przed czasem ich grupowego odjazdu. Posiadałem bowiem już wówczas swój własny motocykl "Jawa 175", jakim dzień wcześniej wybrałem się do rodziców we Wszewilkach. Planując jednak swój powrót precyzyjnie na czas kiedy pozostali moi bracia mieli grupowo pojechać na ów ślub Ludwika, NIE przewidziałem iż daleko jeszcze od najbliższej stacji benzynowej zabraknie mi w motocyklu paliwa. Zanim więc swój motocykl "dopchałem" piechotą do najbliższej stacji benzynowej na Psim Polu we Wrocławiu, moi bracia zdecydowali iż NIE mogą już dłużej na mnie oczekiwać i pojechali na ślub bezemnie.

Jako swe aktywne hobby Ludwik uprawiał pilotowanie samolotów. Kiedy byłem w szkole średniej przyleciał nawet na dwupłatowcu ponad nasz dom we Wszewilkach, zatoczył kilka kręgów ponad domem i odleciał. Ja go wówczas bardzo wyraźnie widziałem na siedzeniu pilota, bo leciał bardzo nisko ponad ziemią. To on włączył mnie w skład młodzieżowej grupy opisywanej w podrozdziale F1 tej autobiografii, którą polskie władze sprawdziły potem czy będzie się nadawała zdrowotnie na przyszłych pilotów lotnictwa.

Ludwik miał inklinacje wynalazcy. Bez przerwy coś wynajdował i budował. Niestety, żadnego ze swych wynalazków nie dopracował do końca. Ja czasami padałem ofiarą jego wynalazków, bowiem na święta przywoził je do Wszewilek zaś ja musiałem je wypróbować. Tak m.in. było około 1962 roku z jego wynalazkiem "**nart do chodzenia po wodzie**". Zgodnie z jego teoriami, sekret chodzenia po wodzie sprowadzał się do szybkiego tupania. Podczas świąt Bożego Narodzenia przywiózł na Wszewilki narty i z resztą rodziny poszliśmy na łąki do rowu pełnego wody, aby narty te wypróbować w działaniu. Nakazał mi zawisnąć na gałęzi olchy rosnącej nad głębokim rowem, obniżyć owe narty na powierzchnię wody i szybko nimi tupać o wodę. Kiedy jednak to uczyniłem, narty jego wynalazku zwyczajnie zanurzyły się pod wodę, zaś próba szybkiego nimi tupania o wodę wywarła dodatkową siłę na kruchą gałąź z której zwiisałem. Gałąź więc się ułamała. Ja oczywiście wpadłem do głębokiego rowu z nartami przypiętymi do moich nóg. Woda była tam głębsza ode mnie zaś narty nie pozwalały mi wypłynąć. O mało więc się tam nie utopiłem. Na szczęście oprócz Ludwika (który wierzył w doskonałość swego wynalazku i stąd nie zamierzał mi pomagać), byli tam też inni z moich braci. Któryś z nich więc się zorientował, że zapewne się topię i wyciągnął mnie z lodowatej wody. Wiele lat później doczytałem się w artykule "Walking on water, holiday fun on a roll" (tj. "Chodzenie po wodzie, toczenie się wakacyjnej zabawy") ze strony A3 nowozelandzkiej gazety The Dominion Post (wydanie z czwartku – Thursday, January 14, 2010), że ktoś faktycznie wynalazł przyrząd rekreacyjny do chodzenia po wodzie - po angielsku zwany "Water Walker". Przyrząd ten ma kształt hermetycznej kuli o średnicy około 2 metrów, wykonanej z przezroczystego plastyku. Ludzie zamykają się w owej kuli, poczym chodzą po jej podłodze, zaś w wyniku ich chodzenia kula ta toczy się po wodzie.

Do innych co bardziej interesujących wynalazków Ludwika należał "silnik rotujący" (którego zasada działania bazowała na zasadzie rotującej pompy wodnej), oraz "mięśniolot" (o zasadzie działania bazującej na tzw. "Efekcie Magnusa").

Pod względem charakteru Ludwik był rodzajem wszystkowiedzącego malkontenta. Miał zwyczaj aby wszystko krytykować i z niczym się nie zgadzać. To też z czasem napytało mu biedy, bowiem kiedy zaczął się niezgadzać ze spółdzielnią mieszkaniową od której zakupił sobie mieszkanie, ta odebrała mu mieszkanie i wylądował śpiąc w swoim garażu.

Ludwik był mojego wzrostu. Włosy jasny blondyn. Wyłysiał już we wczesnym wieku, zaś począwszy od około 1964 roku miał tylko koronę z włosów naokoło obwodu głowy. Palił około 20 papierosów dziennie, aczkolwiek nie tak intensywnie jak mój najstarszy brat. Około 1980 roku doznał silnego zatrucia w fabryce chemicznej w której pracował, wkrótce więc po owym wypadku przeszedł na rentę inwalidzką.

Ludwik Pajak zmarł pomiędzy sobotą a poniedziałkiem, tj. gdzieś pomiędzy 10 a 12 stycznia 2015 roku, w swym garażu w którym mieszkał przez ostatnie kilka lat swego życia -

X-12

po tym jak władze Gliwic odebrały mu jego spółdzielcze mieszkanie. W piątek, 2015/1/9 był bowiem odwiedzony i OK, zaś oficjalnie znaleziono go martwego i stwierdzono jego zgon dnia 12 stycznia 2015 roku. (To w owym garażu mieszkał już kiedy odwiedziłem go w dniu 18 lipca 2004 roku, wykonując nawet sobie z nim aż szereg naszych ostatnich zdjęć razem.) Prawdopodobną przyczyną jego śmierci było zamarznięcie, ponieważ było wówczas bardzo zimno, zaś jego garaż był nieogrzewany.

Czesław Pająk [X₅OS₃] (ur. 18/3/1936 – zm. 6/4/2015 uww 79 lat).

Czesław to mój trzeci brat i trzeci z kolei syn Wincentego i Anastazji Pająk. Czesław Pająk urodził się w dniu 18 marca 1936 roku (18/3/36) w Cielczy koło Jarocina. Imieniny obchodził w dniu 20 lipca.

Młodość Czesław spędził w Cielczy. Zaraz zaś po wojnie opuścił dom rodzinny i podjął pracę technika zakładającego telefony. W ten sposób bez przerwy wędrował po Polsce. Kiedy naprawiał telefony w okolicach Lendyczka (tj. na byłym tzw. Wale Pomorskim), po wejściu do krzaków za potrzebą znalazł tam nieżywego żołnierza niemieckiego. To nim wstrząsnęło na resztę życia. Podczas swoich wędrówek zabłądził do Malborka i tam się osiedlił na stałe. Związał się z zamkiem pokrzyżackim w Malborku i nawet w pewnym okresie czasu był dyrektorem owego zamku. Ponieważ jednak odmówił wstąpienia do partii, wylali go z tego dyrektorowania. Wówczas otworzył sobie studio fotograficzne i zarabiał na życie jako fotograf oraz jako angielskojęzyczny przewodnik po zamku malborskim.

Jednym z hobby Czesława było gromadzenie dokumentacji historycznej o Malborku i okolicy. Lubilem wysłuchiwać jego opowieści na temat czego nowego się dokopał ze starych dokumentów. To dzięki jego opowieściom stworzyłem naszą wspólną stronę internetową o nazwie "[malbork.htm](#)". Niestety, ponieważ dorabiał na pokrzyżackim zamku w Malborku jako angielskojęzyczny przewodnik, poskarżył mi się, że są na niego wywierane naciski aby wycofał swój udział w owej stronie. Po jakimś więc czasie stronę tę zamieniłem na stronę wyłącznie mojego autorstwa. To dzięki jego opowieściom dowiedziałem się o cudach z jakich w dawnych czasach słynął pokrzyżacki posąg Madonny ze zamku w Malborku. Aby sprawdzić cudowne moce tego posągu, ja go poprosiłem uleczyć mój kaszel - co ten "antypolski" posąg faktycznie spektakularnie uczynił (patrz opisy tego uzdrowienia na w/w stronie "malbork.htm").

Ożenił się w młodym wieku 16 lat. Żoną Czesława była Janina Pająk z domu Pierzyńska, urodzona 4 stycznia 1931 roku (4/1/31) w Zelów, córka Ludwika i Anieli Pierzyńskich, zmarła 9 listopada 2016 roku w Malborku (pochowana 2016/11/11 na cmentarzu w Malborku).

Czesław większość swego życia miał bardzo łagodny i wysoce etyczny charakter, porównywalny do swego dziadka Edwarda Dzieciątka [XMO]. Jednak w przeciwieństwie do swego dziadka, Czesław był zatwardziałym ateistą - tj. zupełnie NIE wierzył w Boga. Mimo to był bardzo grzeczny i zrównoważony, oraz umiał wyrażać się wysoce „dyplomatycznie”. (Powinien zostać politykiem.) Ponadto kiedy był trzeźwy z całą pewnością wysłuchiwał podszeptów swego sumienia i stąd ja NIE znam przypadku aby w całym swym życiu kogokolwiek faktycznie skrzywdził. Szczerze mówiąc, to on mi, a NIE ja jemu, często wyjaśniał iż jakieś zamierzone, a niekiedy nawet już dokonane, działanie biegnie przeciwko nakazom sumienia, etyce i ludzko poprawnego zachowania się. Nie pamiętam też, abym przed osiągnięciem przez niego starości kiedykolwiek widział go zezłoszczonym i np. przeklinającym. W dawnych czasach bardzo więc lubiłem Czesława i uważałem go za "najbardziej grzecznego i dyplomatycznie wyrażającego się członka swej najbliższej rodziny". Był jednak bardzo zmienny w swoich decyzjach i stanowisku - cecha prawdopodobnie odziedziczona po swojej babci [XMM].

Od tak dawna jak pamiętam Czesław nosił okulary - był on jedynym okularnikiem w naszej generacji rodziny. Czesław nie palił papierosów, aczkolwiek lubił sobie popić, zwłaszcza

X-13

uwielbiał koniaki. Zawsze jednak pił w sposób wysoce "cywilizowany", tj. w domu, w obecności członków swej rodziny, oraz tylko pod "towarzyskim" pretekstem. Nigdy jednak NIE pił poza domem – np. w knajpie. Muszę się tu też przyznać, że prawdopodobnie ja ponoszę trochę odpowiedzialności za tę jego "słabostkę". Jako jeszcze młody nastolatek, nauczyłem się bowiem jak fermentować wino z najróżniejszych owoców, jakie były obficie dostępne w ogrodzie i okolicy naszego domu rodzinnego. Stąd na niemal każdą okazję święta i zjazdu rodzinnego przygotowywałem dużą (co najmniej 20 litrową) butlę wina, jaka zapewniała wysoce towarzyskie i przyjemne spędzanie naszych świąt – wino to produkowałem przez wiele kolejnych lat zamieszkiwania w domu rodzinnym, a później także podczas spędzania wakacji w rodzinnym domu już w czasach swych studiów. Pociąg do alkoholu Czesław miał jakby wrodzony (czy genetyczny -odziedziczony po swoim dziadku-pijaczynie, Józefie Pajak [XOO]). Pamiętam bowiem, że kiedy ciągle jeszcze byłem w wieku przedszkolnym, Czesław już się upił i zaczął mnie wówczas ścigać, zaś kiedy mnie dopadł, usiłował mnie udusić - na szczęście mój najstarszy brat i brat Ludwik przybiegli mi na czas z pomocą. Czesław dużo podróżował (widać odziedziczył też „gen podróżnika”) - właściwie to trudno znaleźć kraj świata którego jeszcze nie odwiedził. Czesław (podobnie jak ja) miał skłonności do tycia. Pamiętam, że już około 1967 roku jego waga przekraczała 100 kilogramów. W 2009 roku ważył około 120 kg. Miał najwyższy wzrost z całej naszej rodziny.

Czesław lubił jeść owoce i zjadał ich sporo. Z tropikalnych owoców wiem, że bardzo lubił "soursop", za to nie lubił ani "duriana" ani też "chempedak". Lubiał też leśne czarne jagody. Lubiał wędliny, zwłaszcza podsuszone i chude. Lubiał też boczek wędzony. Pod względem zasad żywienia stosował się do wytycznych nauki. Zjadał wysoce urozmaicone potrawy.

Czesław miał w swoim życiu kilka niezwykłych wydarzeń. Przykładowo, jako dziecko w czasach okupacji został przysypany ziemią w piaskowni z Cielczy i omal NIE umarł. Uratował go (odkopał) niemiecki żołnierz, który właśnie przejeżdżał rowerem i widział moment kiedy ziemia się oberwała i go przysypała. Potem jeszcze jako nastolatek Czesław napotkał w lasach do Cząszczewa koło Cielczy ogromnie rzadkiego węża "gniewosza". Wąż ten był około 60 cm długi i miał czerwoną skórę wyglądając jak pręt z właśnie wypolerowanej miedzi (po opis tego spotkania patrz podrozdział F2 tej autobiografii). Inne niezwykle zdarzenie w życiu Czesława zaszło w podziemiach piwnic zamkowych Malborka - zaraz po jego osiedleniu się w Malborku. Widział tam w ciemności biały kształt jaki szybko i bezszelestnie przeskoczył przez przestrzeń od sufitu do podłogi piwnicy - Czesław wziął ten kształt za bezgłośny piorun. Kiedyś podczas pracy Czesław natrafił też na skarb starych monet srebrnych i oddał ten skarb swoim przełożonym. Potem odkrył, że skarb ten został przywłaszczony przez któregoś z jego przełożonych. Od tego czasu Czesław zaczął amatorsko poszukiwać innych skarbów, które tym razem zamierzał zatrzymać dla siebie - jednak nigdy już drugiego skarbu nie znalazł.

Czesław Pajak zmarł w dniu 6 kwietnia 2015 roku (tj. w poniedziałek wielkanocny), o godzinie 6 rano. Pochowany został w Malborku. Z tego co nieoficjalnie słyszałem z jednych źródeł, przyczyną jego śmierci była "martwica wątroby" (tj. choroba, jaka zapewne mogła być spowodowana, ponieważ bardzo lubił "zaglądać do kieliszka"). Z innych źródeł słyszałem, iż zmarł (jakoby z pewnością) nie na marskość wątroby, a na raka jelita grubego - który przeszedł również na inne organy. To zaś bardzo ciężka i bolesna i długa śmierć – NIE rozumiem więc dlaczego nigdy mi NIE wspominał na co jest chory, chociaż przez większość ostatnich jego lat utrzymywałem z nim regularny kontakt via internetowy program do obrazowej komunikacji zwany "Skype". Jeśli faktycznie był śmiertelnie chory na raka jelita grubego, jednak to zatajał przed innymi, wówczas to by wyjaśniało dlaczego począwszy jakieś dwa lata przed swą śmiercią jego charakter zaczął ulegać gwałtownej i drastycznej zmianie. W czasie rozmów przez Skypę stał się niecierpliwy, gderliwy, kłótlivy, lubiał obrzucać mnie wyzwiskami, itp. W rezultacie tego, na jakiś rok przed jego śmiercią ja (tj. Jan Pajak [X]) zupełnie zaprzestałem komunikować się z nim – za co niektórzy członkowie mojej rodziny z

X-14

kolei przestali komunikować się ze mną (uprzednio ja i Czesław regularnie do siebie pisaliśmy emaile, oraz często rozmawialiśmy przez ową "Skype"). Czesław Pajak pochowany został w czwartek, 9 kwietnia 2015 roku, o 14, na cmentarzu komunalnym w Malborku.

Kiedy po zaprzestaniu komunikowania się z Czesławem dowiedziałem się o jego śmierci, przypomniał mi się stary chiński folklor, który poznałem od Chińczyków z Malezji (kiedyś badałem bowiem ich kulturę i wierzenia). Folklor ten stwierdza, że **ludzie którzy NIE chcą aby ich bliscy zbyt mocno opłakiwali ich śmierć, na spory czas przed własną śmiercią stają się szczególnie nieprzyjemni dla swego otoczenia i wyjątkowo gburowaci**. Istnienie tego silnego i powszechnie znanego folkloru chińskiego sugeruje więc aż kilka rzeczy. Przykładowo sugeruje, że dla sporej proporcji ludzi stanie się szczególnie gburowatym i nieprzyjemnym dla swego otoczenia może być oznaką bliskiego już nadchodzenia ich śmierci – być może dlatego w angielskojęzycznej kulturze upowszechniło się powiedzenie "**old grumpy man**" - co znaczy "stary gderliwy człowiek". (O tym, że musi to być spora proporcja ludzi świadczy wszakże fakt, że przez Chińczyków wypracowane zostało aż tak silne i powszechnie znane wierzenie.) Pytanie więc jakie natychmiast się tu rodzi, to "**dlaczego to zjawisko istnieje i faktycznie czego jest ono oznaką?**". Mianowicie, czy owi ludzie stają się gburowaci bowiem np. ich podświadomość już wie, że wkrótce umrą, czy też umierają dlatego ponieważ stali się tacy gburowaci i wszyscy zaczynają ich unikać? Albo czy owa gburowatość jest jakby podsumowaniem ich życia poprzednio ukrytego pod pokrywką grzeczności? Oczywiście, w prawdę powodów tej gburowatości jaką wmawia nam ów chiński folklor ja osobiście NIE wierzę - znam wszakże Chińczyków i wiem, że mają od dziecka wpajany głęboki szacunek do rodziców i do starszych wiekiem osób, jaki to szacunek ma być przez nich utrzymywany bez względu na to jak nieznośni owi starsi się stają. Zapewne więc ten swój folklor Chińczycy wymyślili aby utrzymać ów szacunek - nawet jeśli dana starsza osoba staje się gburowata i zupełnie nieznośna do wytrzymania w obcowaniu z nią. Osobiście wierzę, że owo przedśmiertelne stawanie się gburowatym ma jakieś duchowe pochodzenie – podobne do źródeł duchowych owego przywracania się przytomności i zdolności do logicznego rozmawiania tuż przed chwilą śmierci ludzi właśnie umierających, którzy uprzednio byli nieprzytomni przez długi czas. Przykładowo, być może iż Bóg chce tą gburowatością dać nam znać, jak osądza owych ludzi, albo też iż chce dać nam znać, jaki naprawdę charakter krył się pod pokrywką ich uprzedniej grzeczności i dyplomatycznego wyrażania się. Warto byłoby te pytania spóbować zgłębić naukowo – dla dobra przyszłych pokoleń!

Stafan Pajak [X₅OS₄] (ur. 24/8/1938 - zm. 31/1/2019 w Chicago, USA, uww 80 lat i 7 miesięcy).

Stefan Pajak to mój nieco starszy brat oraz czwarty syn Wicentego i Anastazji Pajak. Stefan urodził się 24 sierpnia 1938 roku (24/8/38) w Cielczy koło Jarocina. Urodziny obchodzi 2 września.

Dzieciństwo Stefan spędził w Cielczy. Po wojnie przez spory okres czasu mieszkał ze mną i rodzicami we Wszewilkach. W latach 1953 i 1954 pracował fizycznie w milickich koszarach jako pomocnik magazyniera. Potem poszedł do szkoły zawodowej w Miliczu i ukończył specjalność tokarską. Następnie wyjechał do Jelcza gdzie przez kilka lat pracował jako tokarz, zanim został pobrany do wojska. Po powrocie do cywila, w 1963 roku ożenił się i z żoną przenieśli się do Wrocławia, gdzie pracował jako tokarz w Fabryce Archimedes. Mieszkali wówczas w małym pokoiku w hotelu robotniczym Archimedes. Podjął studia na wieczorowe najpierw w Technikum Samochodowym, potem zaś na Politechnice Wrocławskiej. Studia na Politechnice ukończył w 1968 roku, z tytułem inżyniera. Wkrótce po otrzymaniu mieszkania w 1967 roku i ukończeniu studiów zaczął budowę własnego domu. Dom ten skończył przed wyemigrowaniem do USA. Podczas budowy domu pracował najpierw jako taksówkarz osobowy (około 1976 roku) potem zaś jako taksówkarz ciężarówkowy. Po

X-15

wyemigrowaniu do USA w 1980 roku zamieszkał w Chicago, gdzie nadal pracował jako tokarz. Odszedł na emeryturę w Chicago w 1998 roku.

Stefan poślubił niejaką Wiesławę Pająk z domu Lipka, urodzoną 20 grudnia 1938 roku (20/12/38) w Pilchów koło Tarnobrzegu, o urodzinach obchodzonych 9 grudnia.

W sile wieku Stefan był muskularny i krępej budowy. Najsilniejszy i najlepiej zbudowany z całej naszej rodziny. W młodym wieku uprawiał kolarstwo jako sport wyczynowy. Miał czarne kręcone włosy. Doskonały wzrok. Z charakteru był raczej gwałtowny i o zmiennym humorze. Lubi się chwalić. Łatwo wpadał w gniew. Ze wszystkich braci to on najczęściej sprawiał mi lanie. Miał ogromnie twórczy umysł. Bez przerwy też wymyślał najróżniejsze legendy rodzinne i opowiadania, w które z czasem zaczynał sam wierzyć. Kiedyś miał doskonałą pamięć, jednak po wypadku na swoim skuterze "osa" w 1967 roku (w którym roztrzaskał sobie głowę), jego pamięć stała się raczej krótka. Po wypadku czasami też zaczęły mu się mylić niektóre fakty.

Jak każdy z naszej rodziny Stefan lubił jeść potrawy mięsne. Im bardziej skomplikowana była potrawa, tym bardziej ją lubił. Lubił też owoce - chociaż nie zjadał ich zbyt wiele. Pił alkohol tylko towarzysko. Interesował się techniką. Od czasów kiedy był kolarzem interesowały go rowery i zgromadził nawet sporą ich kolekcję.

Stefan zmarł w dniu 31/1/2019 w Chicago, USA, w wieku 80 lat i 7 miesięcy. Pochowany był dnia 11 lutego 2019 roku w Chicago, USA. Kilka ostatnich lat spędził chory na "dementia" (tj. utratę pamięci).

Jan Pająk [X] (ur. 25/5/1946)

Jan Pająk to jestem ja [X] – autor niniejszej autobiografii. Niniejszy swój życiorys sformułuję oficjalnie, tj. w trzeciej osobie. Jan Pająk urodził się 25 maja 1946 roku o godzinie 17:00 we Wszewilkach koło Milicza, Polska. W Polsce imieniny obchodził 24 czerwca (po wyemigrowaniu do Nowej Zelandii obchodzi tylko urodziny). Ojcem chrzestnym Jana jest jego wujek, Edmund Gosek [XMM(MH₂)(C₆H₁)S₂]. Miejsce urodzenia Jana, czyli Wszewilki, wielokrotnie zmieniały nazwę, przed wojną mając niemiecką nazwę Neu-Steiffitz, zaraz po wojnie będąc nazywane Cegielnia, potem będąc nazywane Stawczyk, potem Wszewilki, potem Wszewilki-Stawczyk a ostatnio ponownie Stawczyk. Jan Pająk był piątym z kolei dzieckiem Wincentego Pajaka [XO] oraz Anastazji Pajak [XM] z domu kubiak.

Jan Pająk rozpoczął swą edukację w Miliczu, gdzie po obowiązkowej szkole podstawowej uczęszczał do 1 Liceum Ogólnokształcącego. Po zdaniu matury w 1964 roku rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej. Studia te ukończył w 1970 roku, otrzymując tytuł „magistra inżyniera”. Po studiach został zatrudniony (1/4/1970 do 30/3/1982) w Instytucie Technologii Budowy Maszyn, ul. Łukasiewicza 3/5, 50-371 Wrocław, Poland; Tel: 22-70-36. W 1974 roku obronił rozprawę doktorską ze wspomaganego komputerowo projektowania maszyn (CAD), otrzymując tytuł „doktora nauk technicznych”. W tym samym roku został też awansowany z pozycji starszego asystenta na pozycję adiunkta. Równoległe z obowiązkami wykładowcy na Politechnice Wrocławskiej, Jan Pająk zatrudniony był w latach 1975-1977 na półetatu jako doradca naukowy do spraw oprogramowania inżynierskiego w Zakładach Komputerowych MERA-ELWRO. Natomiast od 1978 roku aż do opuszczenia Polski pracował jako konsultant naukowy do spraw wspomaganego komputerowo projektowania i produkcji (CAD/CAM) w Jelczańskich Zakładach Samochodowych POLMO-JELCZ.

Pierwsze 36 lat swego życia, czyli aż do 1982 roku, Jan Pająk [X] spędził w Polsce. W 1982 roku opuścił Polskę i przybył do Nowej Zelandii. W tym samym 1982 roku Jan Pająk podjął jednoroczne po-doktorskie stypendium naukowe na Wydziale Mechanicznym Uniwersytetu Canterbury w Christchurch, Nowa Zelandia. Po ukończeniu tego stypendium w 1983 roku rozpoczął on pracę wykładowcy z oprogramowania komputerów na Southland Community College w Invercargill. Od 28 sierpnia 1985 roku posiada on obywatelstwo

X-16

nowozelandzkie (Certificate of Citizenship, Register 584 Page No. 28). Od lutego 1988 roku zrezygnował z tej posady i podjął pozycję starszego wykładowcy (Senior Lecturer) z oprogramowania inżynierskiego i inteligentnych systemów komputerowych (Software Engineering and Artificial Intelligence) na Wydziale Informatyki i Studiów Komputerowych w Otago University, Nowa Zelandia. Z pozycji tej został „wypchnięty”. Dnia 1 września 1992 roku podjął on swoją pierwszą w życiu profesurę, zajmując stanowisko Associate Professora (t.j. odpowiednika profesora nadzwyczajnego w Polsce) w Studiach Komputerowych na Wydziale Matematyki z Eastern Mediterranean University (Famagusta, North Cyprus, Mersin 10, Turkey). Natomiast począwszy od 2 września 1993 roku, aż do 1 września 1996 roku, był on w trakcie swej drugiej w życiu profesury, zatrudniony jako Profesor Madya na Wydziale Mechanicznym Uniwersytetu Malaya (59100 Kuala Lumpur, Malaysia). To tam też był zatrudniony w chwili zaczenia pisania treści niniejszej autobiografii (w lutym 1995 roku) - aczkolwiek wiele zawartych tu danych genealogicznych miał on już pospisywane na wiele lat wcześniej.

Na „sylwestra” 1993 roku, czyli w dniu 31 grudnia, będąc na zakupach w Kuala Lumpur, aż kilkakrotnie natknął się w trzech odmiennych domach towarowych na sekreterkę Dean’a (tj. jakby dziekana) z uniwersytetu w którym był profesorem, znaną mu jako „Sue”. Za trzecim spotkaniem spytał ją jakie ma plany na ów wieczór, zaś kiedy okazało się, że żadne, zaproponował aby razem pójść oglądnąć pokaz ogni sztucznych jaki o północy owego wieczora miał być organizowany na placu centralnym Kuala Lumpur. W taki sposób poznał Sue prywatnie. Poślubił ją w piątek, 23 lipca 1999 roku w Christchurch, NZ. (Odnotuj, że biuro gdzie ślub ów był wzięty już NIE istnieje - zostało kompletnie zniszczone w trzęsieniu ziemi z wtorku, dnia 22 lutego 2011 roku.) Przez szereg pierwszych kilka lat Jan Pająk znał Sue jedynie jako dziewczynę o imieniu „Sue” - dopiero w czasie ślubu dowiedział się, że po ojcu była utytułowaną Wschodnią księżniczką. Sue była bowiem najstarszą córką zubożałego szejka z Indii (wyznania muzułmańskiego), który przybył do Malezji aby zdobyć fortunę. W Malezji ów szejk poznał owdowiałą Chinkę z dwojgiem dzieci (tj. matkę Sue) - córkę plantatora kauczuku o nazwisku Mary Chin Pun Thye (ur. 22/2/1906 – zm. 25/12/1976 uww 70 lat). Urzeczony jej czarem wkrótce ją poślubił. Matka Sue była katoliczką - jednak w owych czasach Malezja była kolonią Brytyjską, stąd nikt NIE zabraniał małżeństw pomiędzy odmiennymi wiarami (obecnie czasy się zmieniły). Pod względem genetycznym Sue była więc w połowie Indyjką w połowie Chinką. Jej ojciec utytułowany Szejk miał z ową Chinką 3 dzieci. Najstarsza o imionach Subbaidah Bebe (tj. Sue - żona Jana Pająk), urodziła się 27 marca 1944 roku w Kuala Lumpur. Miała ona grupę krwi O, RH+(dodatnie). W sile wieku jej wzrost wynosił 166 cm, waga 60 kg, oczy brązowe, włosy czarne. Jako najstarsza córka szejka, Sue odziedziczyła jego tytuł - stąd też była (i nadal jest) „szejkiem” i ma ten tytuł wpisany w swoim paszporcie. (Szejk jest odpowiednikiem europejskiego księcia - Sue była więc zbiedniałą orientálną odpowiedniczką europejskich księżniczek. Faktycznie stała się też jedyną utytułowaną księżniczką jaka na stałe mieszkała w Nowej Zelandii – tyle, że niemal nikt NIE wiedział tam o jej rodowym statusie. Warto też wiedzieć, że żeńskich szejków jest w świecie znacznie mniej niż europejskich księżniczek. Faktycznie to oprócz Sue, mi jest wadomo o istnieniu w całym świecie tylko jeszcze jednego żeńskiego szejka, jakim jest **Sheikh Hasina** - tj. długoletnia przywódczyni kraju Bangladesh. W dwa lata po Sue urodziła się też jej młodsza siostra Saridah. Podobno była ona ogromnie pięknym dzieckiem o białej skórze, trójkątnej twarzyczce i szlachetnych brwiach. Niestety, zmarła ona w wieku 3 lat (przyczyna jej śmierci mi NIE jest znana, posądzam jednak że była nią kolizja RH krwi u jej ojca i matki) - pochowana była na starym cmentarzu katolickim położonym blisko centrum Kuala Lumpur (obecnie już NIE używanym do pochowunków). W trzy lata po Sue urodziła się im kolejna córka, Angela Nurjahan (ur. 1/4/1947), krew grupy O, RH- (ujemne) - późniejsza stara panna która po zostaniu pielęgniarką przeniosła się do Londynu gdzie ciągle mieszkała nawet w czasach pisania tej autobiografii (po przejściu na emeryturę w 2002 roku przeniosła się do

X-17

Szkocji w okolicy miasta Edinburgh). Oczywiście, NIE będąc najstarszym dzieckiem, Angela NIE odziedziczyła tytułu po ojcu. Kiedy Sue miała około 5 lat ich ojciec wyjechał do Indii aby odwiedzić swoją tamtejszą rodzinę. Tam załapał jakieś śmiertelne choróbsko i umarł. Sue i jej ciągle żyjąca siostra Angela stały się więc sierotami i musiały być wychowywane tylko przez ich matkę. Matka ta miała także dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa (z którego też owdowiała). Pierwszym z tych poprzednich jej dzieci była Anna – siostra przyrodnia Sue, urodzona 16/9/1938 roku, nadal zamieszkała w Kuala Lumpur. Sue do dzisiaj utrzymuje z Anną kontakt, chociaż Anna NIE była wychowywana przez swą matkę, tak jak Sue, a przez ich (i Sue) babcię - plantatorkę kauczuku. Drugim dzieckiem z pierwszego małżeństwa matki Sue był chłopiec, Anthony Yap, w rodzinie nazywany Tony (urodzony około 1941 roku) - brat przyrodni Sue. W wieku dwudziestu-kilku lat został on jednak stróżem jakiegoś targowiska i wkrótce tam zginął zamordowany przez bandytów rabujących to targowisko. Jego żonanaadal była żywa w 2018 roku – kiedy to odwiedziłem ją z Sue. Tony jest pochowany na tym samym cmentarzu katolickim z przedmieścia Kuala Lumpur o nazwie "Cheraz" (czytaj "Czeraz") co babcia i matka Sue. Sue pamięta go równie przelotnie jak swoją umarłą młodszą siostrę Saridah.

Po ukończeniu kontraktu profesorskiego w Kuala Lumpur, Jan Pająk (tj. ja) miał jeszcze dwuletni kontrakt profesorski na tropikalnej wyspie Borneo. Potem zaś powrócił do Nowej Zelandii, gdzie w latach 1999 do 2001 był zatrudniony na Politechnice w Timaru, zaś od 2001 do 2005 roku - w Wellington Institute of Technology. Od 2005 roku aż do otrzymania emerytury w 2011 roku był bezrobotnym (jednak nie otrzymywał zasiłku dla bezrobotnych), za wyjątkiem roku 2007 kiedy to przez 10 miesięcy był pełnym profesorem na uniwersytecie Ajou w Korei.

Jan Pająk ma grupę krwi B, RH+ (pozytywne). Ma wzrost 168 cm. Jego waga w latach 2009 do 2016 utrzymywała się na poziomie 95 kg. Bardzo lubi jeść suche kiełbasy, szczególnie zaś polską kiełbasę "myśliwską", "kabanosy", oraz tzw. "krakowską suszoną". Lubi też wędzony, chudy boczek. Z potraw najbardziej lubi "pierogi ruskie", "bigos" (ale tylko ten gotowany z dużym udziałem słodkiej kapusty - tak że wcale NIE jest on kwaśny), oraz "schabowy z duszonymi ziemniakami". Lubi także owoce i zjada ich relatywnie dużo - praktycznie co najmniej dwa owoce przy każdym z trzech posiłków każdego dnia. Z owoców tropikalnych wcale NIE lubi pomarańczy, za to lubi "durian", "chempedak", "mango", "mangosteen", oraz "papaya" (po ich wygląd patrz strona "[fruit pl.htm](#)"). Lubi też pić wodę z młodych kokosów. Nie lubi zjadać niczego co jest kwaśne, tj. kwaśnych owoców jak "soursop" (lubiany przez jego brata Czesława), kwaśnej kapusty kiszzonej, czy kwaśnych ogórków. Jan nie pali papierosów ani nie znosi ich dymu, nie ma też żadnych innych nałogów. Nie lubi wódki ani innych alkoholi. Towarzysko pija (choć ogromnie rzadko) trochę czerwonego słodkiego wina w rodzaju hiszpańskiego "malaga" czy brytyjskiego "port".

W sprawach zdrowia, Jan Pająk NIE lubi chodzić do lekarza. Faktycznie też w okresie od swej emigracji do Nowej Zelandii, aż do 2016 roku, odwiedził lekarza jedynie około 3 razy. Sam więc leczy swoje dolegliwości, z których źródłem najczęstszych kłopotów są: alergiczna podatność gardła na przeziębienia, oraz wyjąłowanie flory bakteryjnej w jego jelitach przez zatrutą chemikaliami przemysłowo przetworzoną żywność. Począwszy od 1994 roku gardło owo leczy chińskim syropem ludowym zwanym "Matka i Syn" (tj. "Mother and Son") – który, jeśli został wzięty zaraz po pojawieniu się pierwszego drapania w gardle, całkowicie eliminuje oznaki przeziębienia. Od 1982 roku Jan ma też kłopoty z kręgosłupem (tj. ma lumbago, korzonki, albo wypadnięcie dysku). Z powodu tych kłopotów nie może dźwigać znacznych ciężarów. Od czasu też do czasu owo "lumbago" mu dokucza niemal uniemożliwiając chodzenie (dwa najcięższe ataki tego lumbaga miały miejsce w 1989 roku oraz w 2009 roku - przez spory czas chodził wówczas tylko z największą trudnością). Począwszy od 1987 roku zaczął też mieć kłopoty z prostatą. Z ich powodów zmuszony był sikać relatywnie często, czasami 3 razy w przeciągu jednej nocy. Początek pogarszania się swego wzroku odnotował

X-18

już około 1994 roku podczas profesury w Kuala Lumpur. W 2000 roku aby zdać okresowy sprawdzian wzroku dla prawa jazdy w NZ zmuszony był nawet użyć okularów. Jednak poza owym sprawdzaniem wzroku na prawo jazdy, nie używał okularów (nawet do czytania i pisania) nawet w czasach pisania tego tekstu pod koniec 2009 roku oraz na początku 2019 roku. Dokładnie począwszy od 60-tego roku jego życia jego zdrowie fizyczne oraz umysłowe zdolności twórcze zaczęły odnotowywalnie zanikać. Przykładowo, przed 60 rokiem życia mógł pracować twórczo po 12 godzin na dzień niemal bez odpoczynku. Natomiast w wieku 63 lat jego organizm był już w stanie pracować twórczo jedynie około 5 godzin na dzień i wymagał odpoczynku już po około 4 godzinach. W 2012 roku, po przeniesieniu się do nowo-zakupionego mieszkania, odnotował także pojawianie się coraz częstszych i silnych zatruc pokarmowych. Początkowo pojawiały się one co około pół roku, potem co około miesiąca, zaś w lipcu 2016 roku zatrucia te stały się codzienne i aż tak silne, że zmuszony był udać się w ich sprawie do lekarza. Lekarz skierował go na tzw. „colonoscopy” (tj. sprawdzenie jelita grubego i odbytnicy kamerą telewizyjną na czubku węzowatego próbnika), którą przeszedł w dniu 21 września 2016 roku - jednak ta NIE wykazała żadnych abnormalności. Po jej przeprowadzeniu zatrucia pokarmowe nadal jednak się kontynuowały, zaś lekarz NIE był w stanie dopomóc w ich wyeliminowaniu. Jan zaprzestał więc odwiedzania lekarza, zaś w ramach poprawy zdrowia włączył pro-biotyki do swej diety, oraz przestawił się z picia wody gruntowej na picie wody deszczowej – patrz strona o nazwie "[woda.htm](#)".

Najnowszy adres pocztowy Jana Pająka (z 2019 roku) to: P.O. Box 33250, Petone 5046, New Zealand.

Irena Pająk, po mężu Hajdun [X₅MC₆] (ur. 30/4/1951).

Jest to moja (i nasza) najmłodsza siostra, szósta z kolei i jednocześnie najstarsza córka Wincentego i Anastazji Pająka. Urodzona była 30 kwietnia 1951 roku (30/4/51) w Miliczu, Polska. Urodziny obchodzi 5 maja. Życiorys Ireny przytoczyłem poniżej w podrozdziale X5 - ponieważ jest on reprezentacyjny dla żeńskiej linii genealogicznej mojej rodziny.

X4. Moja genealogia "po kądzieli"

Przodkami "po kądzieli" w badaniach genealogicznych nazywa się żeńską linię drzewa genealogicznego. W moim przypadku linia ta obejmuje moją matkę, matkę mojej matki (czyli moją babcię), matkę mojej babci (czyli moją prababcię), a także moją siostrę (a częściowo i mnie oraz moich braci). Oto więc wykaz członków linii "po kądzieli" w mojej rodzinie, na których temat posiadam jakiegokolwiek informacje:

Anna Jańczak po mężu Kubiak [XMMM] (ur. 1856, zm. 24/1/1919 w wieku 63 lat).

Katarzyna Kubiak po mężu Dzieciątko [XMM] (ur. 15/11/1887, zm. 3/10/1959 około godz. 23:00, w wieku 72 lat).

Anastazja Kubiak po mężu Pająk [XM] (ur. 27/1/1907, zm. 16/12/1989).

Irena Pająk po mężu Hajdun [XMC] (ur. 30/4/1951) - tj. moja siostra, a częściowo także i ja, tj. Jan Pająk [X] (ur. 25/5/1946), oraz wszyscy moi starsi bracia [XMS].

Rodzina Kubiaków, czyli moich przodków "po kądzieli", miała dosyć interesujące zasady przekazu majątku ziemskiego. Byli bowiem bogatą rodziną chłopską. Zasady te były tak zaprojektowane, aby majątek rodzinny nigdy się nie pomniejszył, zaś rodzina jako całość nigdy nie zbiedniała. Nazywają się one "**ordynacja**". Mianowicie, zgodnie z nimi cała ziemia zawsze jest przekazywana tylko jednemu (najstarszemu) synowi, który stawał się jej właścicielem. Właściciel taki nazywał się "**Ordynat**". Reszta rodziny otrzymywała jedynie prawo do zamieszkiwania w domu rodzinnym aż do śmierci i otrzymywania utrzymania w zamian za pracę na rzecz majątku rodziny. Oczywiście, każdy z członków rodziny mógł w dowolnej chwili opuścić dom rodzinny i rozpocząć niezależne życie - jednak wówczas odchodził z domu z niczym. Z tego co mi wiadomo, podobne zasady praktykowała rodzina Potockich, co zaowocowało m.in. rodziną Portka, powstała w wyniku próby uniezależnienia się jednego z innych niż Ordynant męskich synów Potockich.

W roku 2004 mój brat Stefan [X₅MS₄] odwiedził siedzibę ziemską Ordynanta tej naszej rodziny Kubiak. Znajduje się ona we wsi Wyganów. Opisywał mi potem, że ich gospodarstwo rolne jest tak duże jak były komunistyczny PGR. W ich domu zaś mieszkała cała kupa najróżniejszych naszych ciotek, wszystkie które pracują razem i zgodnie na owym ogromnym gospodarstwie rodzinnym. Stefan rozmawiał nawet z aktualnym wówczas Ordynatem, czyli właścicielem tamtego gospodarstwa rolnego. Gospodarstwo wyglądało imponująco, jednak jego załoga była głównie żeńska. Emerytowany już wówczas ordynat-właściciel był wnukiem Stanisława Kubiak [XMM(OŻ₂)S₁] wspomnianego w następnym podrozdziale X5 - tego samego Stanisława Kubiak, który był bratem Katarzyny Kubiak [XMM], czyli mojej babci. Owo rodzinne gospodarstwo Kubiaków jest położone przy bocznej drodze, kilka kilometrów na zachód od Krotoszyna. Wioska nazywa się Wyganów. Gospodarstwo (duże!) jest przy bocznej drodze, kilkaset metrów od drogi Krotoszyn - Kobylin. Jak jest się już na miejscu - trzeba popytać ludzi aby pokazali, bo podobno trudno je znaleźć. Prowadzi koło niego trasa lokalnego autobusu - jednak Stefan radził aby wynająć sobie samochód na tę okazję by nie musieć się błąkać po nieznannej okolicy.

Kubiaki aktywnie i intensywnie angażują się w najróżniejsze sporty hipiczne, takie jak wszechstronny konkurs konia wierzchowego, tor przeszkod, skoki, powożenie kareta, itp.

X5. Życiorysy mojej linii geologicznej "po kądzieli"

Motto: "Kiedy przeanalizuje się genealogię własnych przodków, wówczas się okazuje, iż jest się spokrewnionym z dużą proporcją ludności całej Europy – jakże tu w takiej sytuacji np. uczestniczyć w wojnie i strzelać do własnych krewniaków."

Oto krótkie życiorysy moich przodków "po kądzieli". Użyte daty i symbole są zgodne z formatami opisanymi w podrozdziale X2.

X5.1. Życiorysy rodziny Kubiak – tj. mojej babci "po kądzieli"

Antoni Kubiak [XMMO] (ur. ok 1840 – zm. 1899).

Antoni Kubiak to mój [X] pradziadek po kądzieli. Dokładnej daty jego urodzenia NIE znam. Urodził się w Starkówcu, pow. Krotoszyn, koło Zdun, zamieszkały Wyganów. Wiem jedynie o nim, że zmarł w 1899 roku.

Rodzina Kubiaków, do której należał ów Antoni Kubiak, wywodziła się z bogatej rodziny chłopskiej. Rodzina ta wyznawała zasadę przekazu majątku opisaną powyżej w podrozdziale X4 pod nazwą "ordynacja". Antoni Kubiak był "Ordunatem" ich rodzinnego gospodarstwa ziemskiego położonego we wsi Wyganów.

Antoni Kubiak [XMMO] miał dwie żony (moja babcia [XMM] była córką jego drugiej żony, tj. była [XMM(OŻ₂)C₂]). Jego pierwszą żoną była Katarzyna Kubiak, z domu ? (ur. ?, zmarła w 1876 roku). Antoni Kubiak miał z nią troje dzieci, mianowicie: Józef Kubiak [XMM(OŻ₁)S₁] – który też przeniósł się do Westfalii (tj. mieszkał niedaleko od Stanisława i Franciszki Kubiak - tych od innej matki, Anny Jańczak), Jadwiga Gębiak [XMM(OŻ₁)C₂] z domu Kubiak (po wojnie zamieszkała w Westwalii, Niemcy), oraz Agnieszka (Jagna) Kubiak [XMM(OŻ₁)C₃] po mężu ? - wyszła za ogrodnika (urodzona około 1877 roku) z którym miała 3 dzieci mianowicie Józefa Kubiak (ur. około 1890), który ożenił się w 1925 roku i zamieszkał w Westfalii, Wacka Kubiak, oraz córkę ? Kubiak.

Drugą żoną Antoniego Kubiak [XMMO] była **Anna Jańczak [XMMM] po mężu Kubiak**, urodzona w 1856 roku w Starkówcu, zaś zmarła 24 stycznia 1919 roku w wieku 63 lat. Została ona pochowana w Cieszkowie przy kościele (tym z dala od głównej drogi) - czyli niedaleko od Wszewilek (ja byłem aż kilkakrotnie na owym przykościelnym cmentarzu, jednak nigdy nie znalazłem grobu Anny Jańczak po mężu Kubiak). Moja mama [XM] zwykła mawiać, że w latach swej młodości mała Anna Jańczak miała ulubione powiedzenie którym radośnie rozmawiała ona całą rodzinę Kubiaków, mianowicie "**jestem panna Anna Jańczak**". Anna Jańczak miała dwoje młodszego rodzeństwa. Młodszym od niej był jedyny brat ? Jańczak [XMM(MH₁)S₁]. O tym bracie mi jedynie wiadomo że w starszym wieku zamieszkiwał gdzieś w Pogorzeli (z pogorzeli pochodził też Waligóra z Wszewilek) i że był nałogowym pijakiem, który przepił całe gospodarstwo rolne odziedziczone w Starkówcu po swych rodzicach. Anna Jańczak miała też znacznie młodszą siostrę ? Jańczak [XMM(MH₁)C₂] – która odkupiła potem owo przepite przez brata gospodarstwo swych rodziców ze Starkówca i dała je w posagu swej córce.

Antoni Kubiak [XMMO] i jego druga żona Anna Jańczak [XMMM] (po mężu Kubiak) mieli razem 6 dzieci. Byli to: najstarszy syn Stanisław Kubiak [XMM(MH₂)S₁] który poślubił niejaką Franciszkę Roszak (jej siostra Plucina mieszkała w Zdunach) oraz zaraz po pierwszej wojnie światowej (około 1920 roku) wyjechał do Westfalii w Niemczech gdzie niedługo potem zmarł (tj. zmarł około 1942 roku); najstarsza córka a moja babcia Katarzyna Dzieciątko [XMM] (a jednocześnie [XMM(MH₂)C₂]) z domu Kubiak (ur. 15/11/1887, zm. 3/10/1959 o godz. 23:00); Antosia Kubiak [XMM(MH₂)C₃] urodzona w 1890 a zmarła w 1893 roku w wieku

X-21

3 lat, Magdalena Skibicka [XMM(MH₂)C₄] z domu Kubiak urodzona w 1885 roku zaś zmarła w 1943 roku w wieku 63 lat (jej drzewo genealogiczne opisałem w odrębnym podrozdziale X6.3), Maria Wojcieszak [XMM(MH₂)C₅] z domu Kubiak urodzona w 5/1891 roku a zmarła w 5/1946 roku w wieku 52 lat (jej drzewo genealogiczne opisałem w odrębnym podrozdziale X6.2), Stanisława Gosek [XMM(MH₂)C₆] z domu Kubiak (urodzona w 16/9/1897 roku, zmarła 6/1/1973 roku w wieku 77 lat) - żona Józefa Gosek (ur. 13/3/1885, zm. 24/3/1971 w wieku 86 lat) zamieszkała we Wrocławiu przy ulicy Grochowej 31 m. 1 - która miała doskonałą pamięć (jej drzewo genealogiczne opisałem w odrębnym podrozdziale X6.4.1).

Warto tutaj dodać, że potomstwo mojego pradziadka po kądzieli, Antoniego Kubiaka [XMMO] ogromnie się rozmnożyło. Praktycznie obecnie żyje ich na świecie całe tysiące porzrzucanych po całym szeregu krajów świata. Przytoczmy tutaj informacje o tych z ich potomstwa, o których zdołałem zgromadzić jakieś informacje.

Stanisław Kubiak [XMM(MH₂)S₁] (ur. ?, zm. 1942) poślubił niejaką Franciszkę Kubiak z domu Roszczak z którą po pierwszej wojnie światowej, około 1920 roku, przeniósł się do Gelzenkirchen z Westfalii w Niemczech - koło granicy francuskiej. Stanisław i Franciszka Kubiak mieli 4 dzieci, mianowicie: Stanisław Kubiak (ur. 1908 r.), Albert (po niemiecku) a Wojciech (po polsku) Kubiak (ur. około 1910 r.), Maria Kubiak (?), Helena Kubiak (ur. 1922).

Żona Franciszka Roszczak pochodziła ze Zdun w których miała aż kilka siostr. Jedna (młodsza) z jej tamtejszych siostr nazywała się Marynia Huta, zaś inna (starsza) nazywała się Józefa Olesiak. Po wojnie Huta mieszkała w w Kuświcach (Pakośławsko). Oni utrzymywali kotankty ze swoją rodziną w RFN. Inna z jej siostr nazywała się Plucina (też już nie żyje) - wraz z mężem zamieszkiwała ona w Guzowicach koło Milicza.

Katarzyna Kubiak [XMM] po mężu Dzieciątko (ur. 15/11/1887 – zm. 3/10/1959 uww 72 lat).

Katarzyna Kubiak [XMM(MH₂)C₂] to moja babcia po kądzieli. Urodzona w dniu 15 listopada 1887 roku w Krzekotowicach powiat Gostyń parafia Pępów. Córka Antoniego Kubiak [XMMO] i Anny Kubiak z domu Jańczak. Matką Katarzyny była Anna Jańczak po mężu Kubiak [XMMM] - najstarsza córka bogatego chłopa w Starkówcu, pow. Krotoszyn. (Jego ojciec miał 40 morgów, tj. około 10 ha dobrej ziemi.) Gospodarstwo to objęła później córka siostry mojej prababci [XMMMMCC], ponieważ brat Anny Jańczak (ten z Pogorzeli) je przepił. Ojcem Katarzyny Kubiak [XMM] był Antoni Kubiak [XMMO], też syn gospodarski. Pochodził z Starkówca, pow. Krotoszyn, koło Zdun, niedaleko od. Wyganów, gdzie jego rodzice mieli gospodarstwo.

Około 1900 roku Katarzyna Kubiak [XMM] przeprowadziła się z rodzicami do Wyganowa a potem do Łagiewnik. Tam poznała Edwarda Dzieciątka [XMO] którego poślubiła 31 października 1909 roku i z którym spędziła resztę życia aż do jego śmierci. W 1939 roku wraz z mężem Edwardem Dzieciątka [XMO] i z zięciem Wincentym Pająk [XO] wybudowali sobie mały domek we wsi Cielcza koło Jarocina. Ostatni adres tego domku (z 2004 roku) był "ul. Leśna 17, Cielcza". W owym domu Katarzyna mieszkała niemal do końca życia. W nim też zmarł jej mąż Edward Dzieciątka [XMO] (tj. mój dziadek).

W sile wieku Katarzyna miała włosy "ciemny błąd" – warkocze aż do łopatek. Oczy szare. Wzrost około 1.6 m. Waga około 75 kg. Tęga, grubej kości. Twarz okrągła. Brzuch miała normalny, chociaż przed operacją około 1930 roku, gdy rozwinęła jej się narośl o wadze 9 funtów (jak dziecko) miała duży brzuch. Biust miała średniej wielkości. Zęby proste, z przodu dwa szerokie. Zgubiła je około lat 1930 do 1935. Ciągle chorowała. Najczęściej na wątrobę (boleści pod żołądkiem i w plecach). Poza tym około 1928 roku zaczęła jej się narośl w brzuchu. W młodych latach była pracowita. Potem chorowała. Pracowała wówczas już tylko w ogrodzie. W domu też nie pracowała. Mama [XM] nie dawała jej dźwigać, prać, oprzątać, itp. Z charakteru Katarzyna była złośliwa (sarkastyczna). Często dogryzała dziadkowi (swemu mężowi [XMO]) i często zwykła marudzić. Lubiła śpiewać. Miała ładny głos. Grać nie umiała.

X-22

W postępowaniu była gwałtowna. Łatwo wpadała w złość. Wiele rzeczy ją denerwowało. Lubiła pożartować. Gdy chorowała nie jadła. Lubiła masło, ser, mięso ale chude. Była doskonałą kucharką i lubiła oraz umiała wypiekać. Często piekła placki oraz chleb. Wypiekała też smakowite pączki, które były jej produktem firmowym (np. ja pamiętam że w jej domu niemal zawsze były pączki dla chętnych). Generalnie jednak nie przepadała za jedzeniem i całe swe życie była relatywnie szczupła. Pić też wódki nie lubiła. Nie paliła. Sąsiadki ją lubiły. Wykształcenie miała podstawowe (4 klasy w Łagiewnikach). Nie lubiła czytać ani rachować. Lubiła i umiała szyć. Robiła na drutach (bardzo to lubiła). Znała wiele wzorów.

Na starość bardzo schudła. Powstały zmarszczki. Nie miała sklerozy aż do śmierci. Wzrok miała dobry – okulary używała tylko do czytania i szycia. Siwieć zaczęła dopiero około 65 roku życia. Włosy wówczas były przeredzone. Nigdy nie chodziła o lasce. Chodziła i pracowała aż do końca życia (w końcu września 1959 roku kopała jeszcze ziemniaki).

Śmierć ją dopadła z powodu jej czynności. Babcia [XMM] była wówczas przeziębiona i leżała w łóżku, ale przyszła Kasprzaczką (sąsiadka) i zawołała ją do pilnowania dziecka. Trzeba było jednak gotować obiad i babcia musiała urąbać sama drew (a był silny wiatr). Doziębiła się i zachorowała na zapalenie płuc. Cały czas była przytomna. Nie jadła przez ostatni tydzień. Trochę przed śmiercią wzięła jajka do ust. Mama [XM] przywiozła ją do Wszewilek w czwartek na wieczór, a Katarzyna umarła w sobotę późnym wieczorem. Tydzień wcześniej przyjechała do Wszewilek kopać ziemniaki i po odjeździe zaraz zachorowała i nie chiało jej się jeść. Po przywiezieniu do Wszewilek w piątek chciała zaraz wstać i pomagać mojej mamie.

Katarzyna umarła w dniu 3 października 1959 roku około godziny 11 w nocy, we Wszewilkach, do której to wioski ją przewiozła moja mama na dwa dni przed jej śmiercią. Przyczyną śmierci było prawdopodobnie "zapalenie płuc". Przed śmiercią mówiła coś w gorączce o mięsie (podobno przed śmiercią człowiek tak majaczy). Mówiła np. "tu wóz stoi, kierzki". Wtedy moja mama [XM] pytała "o jakim wozie mówicie?". Ona odpowiedziała "a mi się zdaje, że tu wóz stał". Pochowana jest na cmentarzu miejskim w Miliczu.

X5.2. Życiorysy rodziny Dzieciątko - tj. mojego dziadka "po kądzieli"

W naszej rodzinnej tradycji mówionej zachowały się informacje o rodzinie Dzieciątko aż do mojego pra-pradziadka „po kądzieli” [XMOOO] o nazwisku Ludwik Dzieciątko (1860 do 1938). W niniejszym punkcie X5.2 spisane jest to co o tej linii swych przodków zdołałem ustalić z naszej rodzinnej tradycji mówionej.

Szczerliwym zbiegiem okoliczności w 2020 roku skontaktował się ze mną Pan Dr – rodzina którego wywodzi się z tych samych okolic co rodzina mojego dziadka po kądzieli, a na dodatek który naukowo badał i spisywał sage swego rodu. Poprosiłem go więc aby dał mi znać jeśli natknie się także na jakies historyczne informacje o Ludwiku Dzieciątko [XMOOO] i jego przodkach. Dzięki jego naukowej pomocy udało się zgromadzić sporo takich dalszych informacji – które spisałem i publikuję **w podrozdziale X5.2.1** poniżej po niniejszych opisach.

Franciszek Dzieciątko [XMOO] (ur. 10 marca 1860 - zm. 1938 uww 78 lat).

Mój pradziadek [XMOO] Franciszek Dzieciątko, syn Ludwika Dzieciątka i Marianny Dzieciątka z domu Wikieł. Franciszek Dzieciątko był ojcem mojego dziadka po kądzieli, czyli moim [X] pradziadkiem [XMOO]. Data jego urodzenia 10 marca 1860 roku we wsi Borzychy, zaś o dacie śmierci wiem tylko, że zmarł w 1938 roku. (Borzychy to wieś w Polsce położona w województwie mazowieckim, w powiecie węgrowskim, w gminie Liw. Wieś posiadał w 1673 roku starosta warszawski i referendarz koronny Jan Dobrogost Krasiński, leżała w ziemi drohickiej województwa podlaskiego w 1795 roku. Miejsowość była przejściowo siedzibą

X-23

gminy Stara Wieś. W latach 1975–1998 miejscowość administracyjnie należała do województwa siedleckiego. Wieś położona nad rzeką Liwiec, w centrum miejscowości znajduje się most na rzece. Jest to popularna miejscowość letniskowa, znajduje się tu kilka osiedli domków letniskowych. Działa tu Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju i Promocji Wsi Borzychy. W miejscowości znajduje się replika wioski indiańskiej oraz ferma strusi afrykańskich.)

Franciszek Dzieciątko miał dwie żony. Pierwszą jego żoną (ślub 2 marca 1886 w Łomży, Akt 3) była Józefa Dzieciątko [XMOM] z domu Niczyporuk (córka Jana Niczyporuka i Petroneli z Twarowskich), urodzona 1864 roku, zaś zmarła w wieku 32 lat dnia 26 września 1896 roku. Z owego pierwszego jego małżeństwa urodziło się 4 dzieci, mianowicie: **mój dziadek [XMO]** Edward Dzieciątko (także pokrewieństwo [XMO(OŻ₁)S₁]) - czyli mój dziadek po kądzieli (ur. 1/10/1887, zm. 9/8/1955), Florian Dzieciątko [XMO(OŻ₁)S₂] (zmarł w wieku 18 lat), Izydor (Zydor) Dzieciątko [XMO(OŻ₁)S₃] (zmarł w wieku 19 lat), oraz córka Wiktoria Dzieciątko [XMO(OŻ₁)C₄] - córka Franciszka Dzieciątko i Józefy z Niczyporuków, urodzona w 1896 roku – Parafia Biała Podlaska – Akt 40 – Korczówka (Korczówka jest to wieś sołecka w Polsce położona w województwie lubelskim, w powiecie bialskim, w gminie Łomazy. Miejscowość jest siedzibą rzymskokatolickiej parafii Parafia św. Jozafata.) Wiktoria Dzieciątko umarła w 1896 roku natychmiast po urodzeniu. Wygląda na to, że w owym pierwszym małżeństwie miała miejsce niezgodność tzw. "RH" w grupach krwi obu współmałżonków. Owa pierwsza żona Franciszka Dzieciątko, tj. Józefa Dzieciątko, zmarła kiedy mój dziadek Edward Dzieciątko [XMO] miał 9 lat.

Drugą żoną Franciszka Dzieciątko [XMOO] była wdowa Apolonia (Polka) Dzieciątko - z domu Kulawiec, urodzona około 1871 roku w Kulach. Ślub odbył się w dniu 23 maja 1905 roku w Białej Podlaskiej. Franciszek był jej drugim mężem. Razem z Franciszką mieli dwoje dzieci, mianowicie: Franek Dzieciątko [XMO((OŻ₁)Ż₂)S₁] (urodzony w 1915 roku, zginął w powstaniu warszawskim w 1944 roku), oraz Milka Dzieciątko [XMO((OŻ₁)Ż₂)C₂] (urodzona 1924 roku), zginęła podczas wojny w 1944 roku w wieku 20 lat, wysadzona w powietrze razem z mostem na Wiśle w Warszawie.

Warto odnotować, że cała owa rodzina Dzieciątków z jakichś powodów była wysoce tragiczna. Wszyscy inni potomkowie Franciszka Dzieciątko albo wymarli, albo też wyginęli podczas drugiej wojny światowej - jedynym zaś potomkiem jaki przeżył z całej tej rodziny była moja matka [XM] (czyli córka Edwarda Dzieciątko [XMO]). Innymi słowy, gdyby owe legendy mojego brata Stefana wspomniane w podrozdziale C1 tej autobiografii (na temat starożytnego pochodzenia i szczególnego przeznaczenia nazwiska "Dzieciątko") zawierały jakieś ziarno prawdy, wówczas jedynymi potomkami - a stąd i ewentualnymi nosicielami przeznaczenia rodziny Dzieciątków, byłibyśmy my (tj. moi bracia, moja siostra i ja) oraz nasi potomkowie.

Edward Dzieciątko [XMO] (ur. 1/9/1887 – zm. 9/8/1955 w wieku 68 lat).

Mój dziadek [XMO], Edward Dzieciątko [XMO(OŻ₁)S₁] był moim dziadkiem „po kądzieli”. Urodzony 1 września 1887 roku w Studziance koło Brześcia, woj. Lubelskie, Parafia Łomazy – Akt 17. (Łomazy jest to dawne miasto, obecnie wieś w Polsce położona w województwie lubelskim, w powiecie bialskim, w gminie Łomazy. Leży na obszarze Zakłęśności Łomaskiej, przy drodze wojewódzkiej nr 812. Duża wieś, na północ od Wisznic, na dawnym trakcie królewskim Kraków-Lublin-Wilno. Dawniej miasto królewskie na prawie magdeburskim z herbem i licznymi przywilejami, centrum klucza gospodarczego. Znana na początku XV w. jako wieś, którą król Kazimierz IV Jagiellończyk w 1447 r. odłączył od starostwa parczewskiego i przyłączył do ziemi brzeskiej. Dwukrotnie miejsce obrad sejmu (w 1451 i 1464). W 1568 król Zygmunt August nadaje przywilej lokacyjny na prawie magdeburskim. Łomazy położone były w drugiej połowie XVI wieku w powiecie brzeskolitevskim województwa brzeskolitevskiego.) Edward Dzieciątko był synem Franciszka Dzieciątko i Józefy Dzieciątko z domu Niczyporuk. Matka mu zmarła w 1896 roku - kiedy miał tylko 9 lat. Około

X-24

1900 roku przeprowadził się z ojcem i macochą do Białej Podlaski, woj. Lubelskie. Mieszkali niedaleko kolei, gdzie kupili dom na 25 lat (potem przedłużyli). Później w miejscu ich domu zbudowano lotnisko. W 1903 roku (mając 16 lat) wyjechał na roboty do Łagiewnik, pow. Krotoszyn, parafia Wiganów (Wyganów) gdzie poznał **moją babcie [XMM] - Katarzynę Kubiak [XMM]** (ur. 15/11/1887 – zm. 3/10/1959 uww 72 lat). Dziedziczka Łagiewnik pochodząca z Kongresówki sprowadzała ludzi z rodzinnych stron i bardzo im była rada. Edwarda Dzieciątko bardzo lubiła. Edward znał się bowiem doskonale na koniach i kochał konie. Katarzyna Kubiak pracowała u niej jako praczka. Ich córka Anastazja Kubiak [XM] urodziła im się 27 stycznia 1907 roku. Odtąd jeździli wszędzie z żoną i córeczką. Zimą w 1909 roku Edward wyjechał z Katarzyną Kubiak [XMM] i jej córką Anastazją [XM] do Białej Podlaskiej, gdzie w listopadzie 1909 roku wzięli ślub - Akt 135. Jego ojciec wtedy go wykupił od wojska (tj. za "łapówkę" spowodował, że mój dziadek NIE musiał zostać powołany do służby wojskowej rosyjskiego Cara, do którego imperium należała wówczas Biała Podlaska). W 1910 roku powrócili do Łagiewnik, lecz na zimę znowu pojechali do Białej Podlaskiej. W 1911 roku pozostał przez zimę w Łagiewnikach (musiał się ukrywać, bo był w zaborze niemieckim a pochodził z zaboru rosyjskiego) i potem już nie wracał na zimę do Białej Podlaskiej. Latem 1912 roku pojechali na roboty do Namysłowa. Latem 1913 roku wyjechali na roboty do Cieszkowa. Mieszkali koło gorzelnii w domu szczytem do drogi, wejście po schodkach, na wysokości 1 piętra. W latach 1914 do 1921 mieli pracę w Kołędach pow. Milicz, parafia Trzebicko. W 1921 roku przeprowadzili się z Kołęd na Stawiec (wówczas po niemiecku zwany Steffitz). Mieszkali w długim domu na górze przy stawie z pompą, w drugim wejściu przed szczytem, od drogi po lewej stronie, okno na pompę. W 1925 roku przeprowadzili się do Cielczy. Powodem tego przeprowadzenia był nacisk Niemców, którzy chcieli aby Edward Dzieciątko przyjął obywatelstwo niemieckie. Początkowo mieszkali w dworskich czworakach. Tam moją matkę poznał wędrowny sprzedawca o nazwisku Wincenty Pajak [XO], który wkrótce ją poślubił. Rodzina Dzieciątko wraz z nową rodziną Pajaków przez spory czas zamieszkiwała razem w jednoizbowym mieszkaniu dworskim Cielczy. Razem też Edward Dzieciątko i Wincenty Pajak pomagali przy budowie, oraz przy wykańczaniu wnętrza, nowego kościoła w Cielczy. Zapewne doświadczenia budowlane jakie przy tym pomaganiu zdobyli spowodowały, że w 1939 roku obie rodziny zbudowały sobie razem mały domek w Cielczy, w jakim wszyscy mieszkali razem przez okres wojny, zaś potem moi dziadkowie zamieszkiwali aż do swych śmierci. W 1940 roku Edward Dzieciątko wywieziony został na roboty w Halle-Ander-Zale w NRF (był tam też Kaziu Kurzawa - chłop Marysi) lecz zaraz go zwolnili po zbadaniu medycznym. Miał bowiem uszkodzoną prawą rękę koło dużego palca bo konie przejechały go kołem po ręce. W 1944 roku wywieziony został do Płocka gdzie kopał okopy przy Wiśle. Stamtąd też wkrótce wrócił. W dzień po wyzwoleniu pobliskiego Jarocina przez Rosjan, Edward Dzieciątko tańczył publicznie na rynku Jarocina wysoce widowiskowy taniec "**kazaczok**" z rosyjską żołnierką, podczas gdy całe miasto to oglądało i przyklaskiwało. Był bowiem doskonałym tańcerzem i wiedział jak tańczyć ów widowiskowy taniec "kozak". W 1945 roku rozpoczął pracę w cukrowni Witaszyce koło Jarocina. Pracował tam aż do wypadku około 1953 roku, kiedy to wpadł do głębokiego zbiornika odbijając sobie płuca. W 1955 roku przestał pracować po tym jak wykryto u niego gróźlicę. Zmarł w sposób cichy i przytomny w dniu 9 sierpnia 1955 roku około 21:00 wieczorem w swym domku w Cielczy koło Jarocina (obecny adres domku - ul. Leśna 17). Akt zgonu nr 5/1955, USC w Jarocinie. W dniu jego śmierci ja, tj. [X], przebywałem w ich domu w Cielczy i właśnie spałem w zachodnim pomieszczeniu. Pamiętam, że w momencie jego śmierci nagle coś mnie raptownie przebudziło ze znu, zaś w chwilę później usłyszałem kroki mojej babci (Katarzyny Dzieciątko [XMM]), która po wejściu do pokoju w jakim spałem oznajmiła mi że "ojciec właśnie umarł" (zawsze referowała do swego męża słowem "ojciec"). Następnego dnia jego żona, Katarzyna Dzieciątko [XMM], wspólnie ze mną, rozesłała telegramy jakich treść ciągle doskonale pamiętam, tj. "Ojciec umarł pogrzeb w piątek". Pochowany był w dwa dni później na

X-25

cmentarzu we wsi Cielcza koło Jarocina. W ostatnią drogę odprowadzały go tłumy ludzi (cała wieś, cała rodzina, współpracownicy z cukrowni). Pamiętam, że idąc za trumną, często oglądałem się za siebie aby zobaczyć koniec węża ludzi jacy go odprowadzali na miejsce ostatniego spoczynku i nigdy końca tego nie byłem w stanie zobaczyć.

Domek jaki Edward i Katarzyna Dzieciątko wybudowali sobie w Cielczy wspólnie z moimi rodzicami w 1939 roku był bardzo maleńki. (Po angielsku takie małe domki nazywają się „cottage“.) Zbudowany był z cementowych pustaków. Cały miał wymiary, które ja obecnie szacuję na wynoszące jedynie około 4x8 metrów, czyli był wielkości jedynie trochę większej niż połowa mieszkania o 49 metrach kwadratowych, jakie ja kupiłem sobie w NZ. Zawierał w sobie tylko dwie izby o wymiarach około 4x3 metry każda, oraz łączący je mały przelotowy krytarzyk o wymiarach około 4x2 metry, z drzwiami po obu stronach domku i dodatkowo przegrodzony trzecimi drzwiami w środku swej długości. Jeden z owych pokoików (wschodni) i połowę korytarzyka zajmowali moi rodzice, drugi zaś (zachodni) zajmowali Edward Dzieciątko z żoną Katarzyną (tj. moi dziadkowie). W dziadkowej połowie korytarzyka wymurowany był piec do wypiekania chleba i do wypiekania ciast, a także stały kamienne żarna do mielenia zboża, kręcone ręcznie poziomą korbą. Piec ten i żarna były używane niemal przez cały czas jaki pamiętam (moi dziadkowie NIE lubili ani NIE jedli kupowanego chleba, a zawsze chleb wypiekali sobie sami z razowej mąki mielonej ręcznie i osobiście – chleb kupowali jedynie dla odwiedzających ich osób, takich jak ja, które NIE bardzo lubiły chleba domowego wypieku). Piec ten i żarna utrzymywały moją rodzinę przy życiu w czasie wojny i okupacji - kiedy to chleba praktycznie NIE dawało się kupić. Domek ten nie był jeszcze wykończony kiedy wybuchła druga wojna światowa. Podłoga w pokoiku moich dziadków została założona dopiero po wojnie, podczas gdy pokój moich rodziców nigdy NIE otrzymał podłogi, a chodziło się w nim po tzw. „klepowisku” (tj. po uklepanej równo glinie). Domek ten nigdy też NIE miał elektryczności, zaś nocami oświetlało się go lampą naftową. Ja mieszkałem w nim z owdowiałą wówczas babcią przez jeden rok szkolny w okresie od października 1957 do czerwca 1958 roku. Po śmierci Katarzyny Dzieciątko w 1959 roku, domek ten wraz z działką na jakiej on stał, moja matka sprzedała otrzymując za nie około 20000 złotych, minus koszt – którą to sumą obdzieliła potem równo każde ze swych 6 dzieci; z tej sumy ja otrzymałem 2100 zł, których praktycznie nigdy NIE wydałem, a trzymałem je na tzw. „czarną godzinę” aż do swej emigracji z Polski.

Domek ten stał na niewielkiej działce budowlanej. Działka miała kształt trójkąta, stąd była raczej niewygodna do ogradzania i do użytkowania. Dlatego dziadkowie i rodzice kupili ją bardzo tanio – jeśli dobrze pamiętam zapłacili za nią 200 przedwojennych złotych polskich, zaś potwierdzenie zapłacenia za jej kupno spisali i podpisali na połowie kartki niedbale wyrwanej ze szkolnego zeszytu. Oprócz domku na działce tej stał maleńki chlewik bez okien, upleciony z wikliny, o ścianach „ogaconych” wyschniętymi paprociami leśnymi (które szybko gniły, stąd które co roku trzeba było zbierać od nowa w lesie i wymieniać - co ja też czyniłem z babcią). Zamiast dachu miał on słomę. W chlewiku tym dziadkowie utrzymywali kozę dla mleka, którą ja pasłem, świnie dla mięsa, oraz kilka kur dla jajek. W paprociowej „ogacinie” tego chlewika schowana była też buda psa dziadków, który był starszy niż ja, a nazywał się „Mrówka”. Pies ten był bardzo „ostry”, znaczy gryzł każdego, nawet dziadków, stąd ja bałem się do niego podchodzić. Był szary, podobny do wilczura, tyle że połowy wielkości typowego wilczura. Oprócz domku, chlewika i płotów, zagroda dziadków posiadała też drewniany „wychodek” jaki NIE był przykładem sztuki cieślarskiej, stąd zawsze stał pochylony na bok, wyglądał jakby sam chciał się zawalić, zaś aby powstrzymać go przed upadkiem, przed wejściem do środka trzeba było się upewniać, że nadal jest właściwie podparty grubą tyczką. Pamiętam, że w środku tego wychodka na deskach od północnej strony widniał ładnie wyrysowany ołówkiem autoportret brata Czesława. Około dwa metry na północny-zachód od wychodka, znajdowała się płytka studnia na wodę, wykopana trochę krzywo, oraz zaopatrzona w skrzypiący kołowrót do wyciągania wody. Woda z niej była nieco zielona i NIE

X-26

smakowała tak doskonale jak woda z naszej studni na Wszewilkach. Cała działka była podzielona drewnianymi płotami tyczkowymi aż na cztery odrębne obszary. Płoty te zaś nieustannie się psuły, bez przerwy więc trzeba je było naprawiać – co m.in. stało się moim udziałem. Każdy z tych obszarów pełnił odmienną funkcję, a więc był tam mały warzywnik przy bramie wejściowej, dwa małe ogródki-sady (po wschodniej i po zachodniej stronie – zgaduję że oryginalnie jeden z nich miał być uprawiany przez dziadków, drugi zaś przez moich rodziców) z kilkoma wiśniami i brzoskwiniami oraz krzakami pożeczek, zaś po wschodniej stronie domku było miniaturowe podwórko z owym wychodkiem, studnią i chlewikiem. W zachodnim ogródku pod ścianą domku rosły owocujące morwy jakie ja bardzo lubiłem zjadać (dlatego w NZ posadziłem sobie 3 morwy w 2014 roku, jednak te jakoś NIE chcą mieć owoców). Z kolei we wschodnim ogródku, niedaleko od chlewika, pomiędzy krzakami pożeczek rósł spory krzak dziwnego zioła, o dużych liściach kształtu zbliżonego do liści pietruszki, jakiego nazwy NIE znam, a jakie skutecznie odpędzało myszy od chlewika i od całej zagrody (podobno myszy i szczury NIE znosiły zapachu tego zioła, chociaż dla mnie zioło to wydawało się być bezzapachowe). Po śmierci babci moja matka przewiozła owo cenne zioło do naszego ogrodu na Wszewilkach, jednak NIE chciało ono rosnąć w nowym miejscu i szybko uschnęło. Kiedy mieszkałem u babci w roku szkolnym 1957/8, zakopałem na jej działce półlitrową kwadratową butelkę po lekarstwach ze szklanym korkiem, w którą włożyłem osobiście napisany list do przyszłego znalazcy, plus najróżniejsze „skarby” jakie wówczas posiadałem. Obecnie wiem, że taki „list do przyszłych generacji” oficjalnie nazywa się „**kapsułą czasu**”. Nadal doskonale pamiętam gdzie owa „kapsuła czasu” jest zakopana, jednak miejsca tego tu NIE wskażę, a jedynie wyjaśnię, że leży ono tam gdzie najprawdopodobniej nikomu NIE przyjdzie do głowy aby kopać.

Wygląd Edwarda Dzieciątka w sile wieku. Wzrost około 1.72 metra. Waga około 80 kg. Oczy niebieskie. Włosy blond (jaśniejsze od [X]) - choć z tendencją do silnego czołowego łysienia. Był grubej kości i tęgi prawie jak Stefan Pająk. Na prawej ręce koło wskazującego palca miał wgłębienie. Rysy twarzy ciosane. Nosił sporego wąsa. Łysiał od czubka głowy. Całkiem nie wyłysiał bo miał trochę włosów nad czołem i koronę włosów nad karkiem. Zaczął siwieć około 1946 roku. Na stare lata nieco schudł. Niemal całe życie nie chorował. Raz, około 1918 roku zachorował na grypę (była wtedy ciężka epidemia „ptasiej grypy”). Był bardzo pracowity i silny. Był bardzo dobrego i prawego charakteru. Wszystkich kochał. Serdeczny, dzielił się ze wszystkim, nigdy się nie kłócił. Był zagorzałym chrześcijaninem. Ja sam [X] pamiętam jak kiedyś widziałem, że upadła mu na podłogę kromka chleba właśnie odkrajana nożem z bochenka. Podniósł ją z ziemi i ucałował przeprasząc ją, że ją upuścił (religijnie wierzył bowiem, że chleb reprezentuje ciało Jezusa Chrystusa), poczym wcale jej NIE wyrzucił, tak jak my uczynilibyśmy to obecnie, a po zdmuchnięciu z niej brudu zjadł ją z szacunkiem. Bardzo rzadko się denerwował. Wnerwiony jedynie wyzywał i kłął. Babcia go denerwowała nie dając mu dużo palić (zwykl palić około 20 papierosów dziennie). W nerwach nic nie tłukł ani nikogo nie bił. Moją mamę [XM] zbił trochę tylko jeden raz w życiu gdy miała 14 lat, bo nie chciała włożyć butów które jej kupił, a potem je wyrzuciła. Aby go zdenerwować trzeba było długo mu dokuczać. W postępowaniu był szybki. Szybko też pracował. Lubił bardzo śpiewać. Miał ładny głos, bardzo melodyjny i miękki. Nie umiał grać na żadnym instrumencie. Do szkoły chodził, ale jej miał bardzo mało (chyba 3 klasy podstawówki). Umiał i lubiał czytać na głos (gazetę „Przewodnik Katolicki” z Cielczy). Książek (oprócz książki do nabożeństwa) nie czytał. Z rachowaniem na dużych liczbach miał kłopoty. W sklepie nie liczył cen ani nie liczył w domu. Nie miał daru rzemieślniczego. Nie umiał ani oprawić, zbudować szopy, itp. Babcia [XMM] mu musiała doradzać. Lubił jeść wędzoną tłustą słoninę. Lubił pić gotującą się kawę zbożową z mlekiem i cukrem (łyżeczkę cukru na kubek kawy). Jak pił taką bardzo gorącą kawę wówczas bił się w piersi z rozkoszy. Lubił placek z kruszynami i pączki. Cukierków ani czekolady nie lubił. Wódkę pijał tylko umiarkowanie. Nigdy

X-27

się nie upił. Nie smakowała mu. Lubił wędzoną szynkę. Lubił kwaśne mleko (słodkiego nie pijał). Całe swe życie pozostawał szczupły.

Na stare lata nie miał sklerozy. Zmarszczki miał na czole poziome. Miał odciski na nogach (pod podeszwą). Słuch miał dobry. Okulary używał tylko do czytania. Część zębów miał do końca życia.

Mi zabrakło czasu i okazji aby poznać swego dziadka na tyle dobrze, żeby wiedzieć o jego podobno doskonałym poczuciu humoru i praktycznej wiedzy życiowej. Jednak moi starsi bracia opowiadali, że Edward Dzieciątko w każdej sytuacji życiowej potrafił powiedzieć coś śmiesznego albo głęboko mądrego. Do dzisiaj pamiętam dwa powiedzenia dziadka, powtórzone mi przez moich starszych braci, mianowicie powiedzenie „**w mojej rodzinie nikt się nie splamił byciem zapraszonym do stołu lub do łóżka aż dwa razy**”, oraz powiedzenie „**trzymaj się z daleka od lekarzy, dziennikarzy i prawników, a będziesz miał długie, szczęśliwe i spokojne życie**” – to ostatnie powiedzenie dziadka ja staram się wdrażać w swoim własnym życiu.

Anastazja Kubiak [XM] po mężu Pająk (ur. 27/1/1907 - zm. 16/12/1989 uww 82 lat).

Moja matka [XM], Anastazja Kubik, urodziła się dnia 27 stycznia 1907 roku w Łągielnikach koło Krotoszyna, parafia Wyganów. Córka Edwarda Dzieciątka i Katarzyny Kubiak. Urodziła się w domu swojej babci, Anny Kubiak z domu Jańczak [XMMM], w pobliżu którego matka Anastazji wówczas pracowała. Rodzice nazywali ją zdrobniale "Nastusia". Pamięta, że w dzieciństwie spała w małym łóżeczku, pozostawiona sama zamknięta. Jej babcia [XMMM] ją zostawiała w domu, ponieważ musiała zanosić śniadanie do dworu do swych córek, czyli m.in. i dla matki mojej matki [XMM]. (Odnotuj że w ówczesnych dworach praca latem trwała od 6 rano do 20 wieczorem - czyli 12 godzin dziennie. W owym okresie były 3 przerwy na posiłki, tj. w godzinach 8 do 8:30 była tam przerwa śniadaniowa, od 12 do 13:30 - przerwa na obiad, od 16 do 16:30 – przerwa na podwieczorek. Pracownicy musieli jednak sami sobie przygotowywać posiłki i zjadać swoją własną żywność.) W młodości Nastusia wystraszyła się psa "Kory" myśliwego ze dworu. Lubiła się bawić, grając w kamyczki lub w piłkę. Jednak nie bardzo jej na zabawę pozwalali bo musiała niańczyć Celkę Wójcieszak (tj. Cecylię Daszyńską z domu Wojcieszak, ur. 14/11/1913). Do szkoły w Łągielnikach poszła w 6-tym roku życia. Skończyła 4 klasy - tj. całą ówczesną podstawówkę. Najbardziej lubiła rachunki. Będąc w najmłodszej klasie zgłosiła się do zadania będącego dla starszej klasy. Szkołę kończyła w Stawcu (tą samą w której ja, tj. [X], też się uczyłem - tej zlokalizowanej przy stawie). Należała tam do 3 najlepszych uczniów. Jakieś zadanie matematyczne rozwiązała najlepiej z nich wszystkich, a nawet lepiej od nauczyciela. Potem przez całe życie lubiła i umiała liczyć. W sklepie liczyła równo z ekspedientką. Rachowała w głowie. Pisać nie lubiła bo robiła dużo błędów. Do szkoły chodziła 8 lat (w owym czasie w szkole były tylko 4 klasy, dlatego najlepsi w najwyższej klasie, czyli w pierwszej, musieli w niej siedzieć aż przez 4 lata). Ukończyła szkołę mając 14 lat. Była tęga - cięższa niż Joanna Pająk, jednak nie była otyła. Po szkole zaraz poszła do pracy. Zarabiała wtedy 1 markę 20 fenigów dziennie (za tydzień zarobku wystarczało na funt cukru). W 1919 roku poszła do 1-wszej komunii w Trzebicku. Rodzice mieszkali wtedy w Kołędach. W roku 1922 "szwajcar" (tj. osoba zawodowo opatrująca bydło) rzucił w kogoś marchwią – mama dostała nią w nos i straciła węch na resztę życia. Węch też straciła Maria Wójcieszak po mężu Kurzawa ur. w 1915 roku (przyczyna nieznaną). Przed tym wypadkiem Anastazja miała doskonały węch. Potrafiła np. wyczuć węchem po czym są puste butelki. Rodzice kupili jej w 1922 roku złoty zegarek. Zapłacili za niego część w naturze, część w pieniądzu. Branzoletka była w nim ze złota z pieczęcią "próby". Wraz ze złotymi pierścionkami Edwarda Dzieciątka, Wincenty Pająk [XO] sprzedał go jednak około 1960 roku zegarmistrzowi z Milicza o nazwisku Żółdak (na przekór że przedmioty te miały dla Anastazji ogromną wartość sentymentalną). Po 4 latach pobytu w Stawcu, w roku 1924 wyprowadziła się z rodzicami do Cielczy. W Cielczy pracowała we dworze przy zbiorach. Praca

X-28

w Cielczy była cięższa niż w Stawcu. (Np. w sobotę kobiety nie chodziły do pracy – jednak mama [XM] chodziła bo chciała dorobić.) W Cielczy poznała Wincentego Pająk [XO]. Chodził on z wyrobami drewnianymi po domach i je sprzedawał. Przyszedł do babci [XMM], która bardzo lubiła gadać. Wziął adres. Babcia dała mu jednak adres Edwarda Dzieciątka [XMO]. On jednak poszedł do sąsiadki i wziął adres mamy [XM]. Pisał do niej, chociaż ona odpisywała głównie dla zabawy. Ale on chciał się żenić. Mama [XM] nie chciała, ale babcia [XMM] ją namówiła, grożąc że umrze. Mama wtedy miała innego kawalera, Józefa Chmielarczyka. Podobał jej się, chociaż wszyscy go przezywali "Ułan" – bo jego ojciec był ułanem. Miał on bardzo dobry charakter, więc potem mama [XM] żałowała. Ślub mama [XM] wzięła 11 listopada (cywilny) zaś 18 listopada (kościelny) w 1929 roku. Wesele było huczne. Była orkiestra pod kościół z muzyką. Było dużo jedzenia i wódki. Piwo było w beczkach. Jedli u Dzieciątków a tańczyli u Wojcieszaków. Po ślubie mama [XM] nie pracowała. Babcia [XMM] miała wtedy operację w Poznaniu. W 1939 roku zbudowali dom w Cielczy. Ziemię pod dom kupili od Kaźmierczaka za 120 złotych. Potem była wojna. Ojca [XMO] i męża [XO] wywieźli do Niemiec (w czerwcu 1940 roku). Zaraz po wojnie Anastazja przeprowadziła się na Wszewilki, gdzie zamieszkiwała aż do śmierci. Ponierwał w owym czasie nie działały jeszcze pociągi, Anastazja wędrowała pieszo z Cielczy do Wszewilek - i to aż kilka razy w obie strony.

W rodzinnym domu Anastazja była trzymana w wielkim reżymie. Woląta mieszkać u swojej babci [XMMM], niż swojej mamy [XMM], bo tam były inne dzieci. W małżeństwie mąż ją zawsze lał, ale się nie dawała. Całe jej pożycie małżeńskie to była jedna walka. Najczęściej chodziło o dzieci. Mąż, Wincenty Pająk [XO], nie chciał im nic dawać, lub na nic nie pozwalać, ale ona temu się przeciwstawiała.

W sile wieku Anastazja miała włosy ciemne, splecione w warkocz, sięgały do końca łopatek. Wzrost około 165 cm. Waga około 70 kilo (w wieku 14 lat – ponad 75 kilo). Oczy niebieskie. Tęga i grubej kości. Chudła po wyjściu za mąż. Znaki szczególne – na lewej piersi i na szyi po lewej stronie miała pieprzyki. Biust średniej wielkości, podobnie jak jej mama [XMM]. Nogi miała grube w kostkach.

Po wyjściu za mąż, aż do 1945 roku mieszkała z rodzicami. Jednak zaraz po wojnie, kiedy się dowiedziała, że na tzw. "ziemiach odzyskanych" rozdają domy, wybrała się piechotą z Cielczy do Wszewilek i objęła tam w posiadanie dom o późniejszym adresie (aktualnym w 2004 roku): "Wszewilki-Stawczyk 4, 56-300 Milicz, Polska". W domu tym mieszkała aż do śmierci.

Ze swoim mężem Wincentym Pająk mieli 6 dzieci (5 synów i potem najmłodszą córkę Irenę [X₅MC₆]). Byli to: mój najstarszy brat [X₅MS₁] (ur. 4/10/1930), Ludwik Pająk [X₅MS₂] (ur. 25/2/1933), Czesław Pająk [X₅MS₃] (ur. 18/3/1936), Stefan Pająk [X₅MS₄] (ur. 24/8/1938), Jan Pająk - czyli ja [X₅] (urodzony 25/5/1946), Irena Pająk po mężu Hajdun [X₅MC₆] (ur. 30/6/1951).

W 1937 roku (była wtedy w ciąży z Czesławem), przekłuła sobie na ściernisku nogę. Po urodzeniu Czesława jej się to zagoiło. Ale potem się odnowiło, choć ponownie zagojone. Około 1958 roku, przesiliła się nosząc żyto, zaś rany na nogach ponownie się otwały. Więcej już się nie zagoiły, lecz ciągle poszerzając. Z nóg ciągle następowały krwotoki. Krew leciała silnym strumieniem. Około roku 1940 bardzo chorowała na wątrobę (aż żółkła jak cytryna i oczy też były żółte). Wszystko w owym czasie było u niej żółte: ręce, piersi. Wyzdrowiała jednak bez lekarza i lekarstw. Bolała ją wtedy bardzo wątroba – przez kilka dni aż jęczała. Nic nie mogła jeść. Nie pamięta aby chorowała na jakieś odry, świnki, itp. Około 1918 chorowała na grypę (była wówczas światowa epidemia tzw. "ptasiej grypy). Poza tym miała tylko przeziębienia. Od 1965 roku miała reumatyzm. Najpierw bolało ją kolano, potem kark (1972) a później prawe biodro (od 1979). Bolało ono aż tak mocno, że nie mogła go wyprostować. Noga przy wstawaniu lub siedzeniu trzeszczała, tak jakby kość była połamana. Bolał ją też krzyż. Rok przed śmiercią utraciła wzrok (mówiła, że to katarakta). Od około 60-tego roku życia narzekała na zawroty głowy. Pomagały jej truskawki i Lecytyna.

X-29

W późnym wieku ciągle miała doskonałą pamięć. Nieco jednak osłabły jej zdolności rachunkowe. W 72-gim roku życia zaczęła siwieć. Po dwóch latach co około 3-ci włos był już siwy. Słuch też się popsuł. Do szycia i czytania potrzebowała okulary, które zaczęła nosić od 1963 roku. Zęby straciła wszystkie. Około 1952 roku (tj. kiedy Irena [X₅MC₆] miała 1 rok) kazała sobie powyrywać całą resztę zębów. Jednak psuły jej się dużo wcześniej. W młodości miała zęby proste, chociaż z przodu dwa szerokie.

Bardzo lubiła jeść słodczyce: cukierki, pieczywo. Mięso przerosnięte z tłustym. Lubiła kluski. Nie lubiła mleka – bo bolał ją po nim brzuch. Lubiła szpinak. Nie lubiła rzadkich ziemniaków. Bała się myszy, szczurów, węży. Nie piła nigdy wódki - którą używała tylko na lekarstwo. Wino lubiła słodkie. Całe swe życie pozostawała szczupłą.

Ostatnie dni Anastazji Pająk [XM]. W piątek, 4 grudnia 1989 roku silny atak miażdżycy. Nie mogła wrócić do domu po wyjściu do toalety na podwórku. Organizm nie przyjmował już pożywienia. Przytomna aż do poniedziałku wieczorem, tj. 7-go grudnia. Wtedy jeszcze rozmawiała i zachowywała się normalnie, ale poruszanie miała utrudnione. We wtorek nad ranem miała wylew krwi do mózgu. Rano była przytomna, ale jej twarz była skrzywiona i mimo wysiłków mówiła w sposób prawie niezrozumiały. Cały lewy bok (włączając w to połowę twarzy) miała sparaliżowany. Około 11 w południe najpierw przyszedł ksiądz, potem pogotowie. Płakała gdy był ksiądz (chyba wiedziała, że umiera). Wzięli ją do szpitala, całe dwa dni była przytomna. W środę była ożywiona, głośno mówiła, ale niestety jakby majaczyła albo trochę niepamiętała. Pytała o Anię i Elę czy przyszli. W czwartek chrapała jakby spała dobrze. Nie budzono jej. Na ręce miała krwiaki - Ela mówiła, że żyły już się rozrywały takie były słabe. W piątek był Czesław [X₅MS₃] - ale ciągle była nieprzytomna. Tuż przed śmiercią chciała coś powiedzieć Irenie - coś ważnego, ale już nie zdążyła. W sobotę, 16 grudnia Irka [X₅MC₆] oraz Ela [X_Z₁] ją odwiedziły. Gdy weszły to już nie żyła - właśnie umarła, jeszcze była ciepła. Gdy Irena [X₅MC₆] patrzyła na umarłą mamę, wtedy nagle odszedł od niej strach przed zmarłymi (przedtem Irena bała się panicznie umarłych, po tym zupełnie przestała się bać).

Jakieś dwa tygodnie przed śmiercią powiedziała **”ja już chyba niedługo umrę”**. Nie pozwoliła jednak Irenie [X₅MC₆] kupić ”Lecytyny”, która uelastyczniała jej żyły i pomagała. Przyczyną śmierci była miażdżyca - zwapnienie naczyń krwionośnych, oraz wylew krwi do mózgu. Nawet po wylewie chciała żyć, chciała by ją coś uratowało, ale nie było już na to szansy. Tydzień przed wylewem mówiła że ma straszne zawroty, tak że ”aż jej trzaska w głowie”.

Moja mama [XM] umarła w szpitalu państwowym w Miliczu w dniu 16 grudnia 1989 roku w wieku 82 lat - akt zgonu nr 234/89 (USC Milicz). Pochowana była (jest) obok swojego męża, Wincentego Pająk, na cmentarzu parafialnym w Miliczu w dniu 20 grudnia 1989 roku.

Irena Pająk [X₅MC₆] po mężu Hajdun (ur. 30/4/1951)

Irena to moja (i nasza) najmłodsza siostra, szósta z kolei córka Wincentego i Anastazji Pająk. Urodzona 30 kwietnia 1951 roku (30/4/51) w Miliczu, Polska. Urodziny obchodzi 5 maja.

Irena całe swoje życie spędziła we Wszewilkach - czyli w rodzinnej wiosce w której zarówno ona oraz ja się wychowaliśmy. Wyjeżdżała jednak za granicę, odwiedzając krewną swego męża mieszkającą w Szwajcarii. Lubiła korespondować i zawsze miała dużo przyjaciółek korespondentek. Jako panna Irena ukończyła Technikum Rolnicze i nabyła uprawnienia posiadania gospodarstwa rolnego. Lubi rolnictwo a szczególnie zwierzęta. W młodości uwielbiała konie i jazdę konną - jakiej się sama nauczyła jeszcze na ”Siwku” (tj. na naszym rodzinnym górskim koniu rasy tarpan). Potem wychowała sobie młodego konia kasztanka na którym też jeździła. Najwyraźniej Irena odziedziczyła w genach po swoich przodkach Kubiakach zamiłowanie do sportów hippicznych - po szczegóły patrz podrozdział X4 poniżej. Jako panna Irena pracowała też w barze mlecznym w Miliczu.

X-30

W młodości Irena bardzo lubiła pić świeże mleko. Każdego dnia rano wypijała wolno jeden kubek mleka. Irena lubi też jeść owoce - chociaż nie zjada ich dużo. Jak każdy z nas lubi też mięso. Jest dobrą kucharką i gotuje smaczne potrawy, chociaż nie bardzo garnie się do gotowania i gotuje tylko jeśli musi.

Wygląd Ireny bardzo przypomina wygląd jej (i mojej) matki. Jest szczupłą blondynką średniego wzrostu. Wcześniej straciła zęby - w 1994 roku niemal ich już nie miała. Długo nie siwiała. Pierwsze siwe włosy pojawiły się u niej dopiero około 2008 roku. Jej charakter jest łagodny. Potrafi jednak wpadać w złość. Ma też długą pamięć i trudności w wybaczeniu innym ich przewinień. Chociaż tego nie okazuje, ma romantyczną naturę. Przykładowo, ma ogromny album w którym zachowuje wszystkie rodzinne zdjęcia.

X5.2.1. Wyniki historycznych badań rodziny Ludwika Dzieciątka (1826 do 1890) - tj. mojego prapradziadka [XM000] "po kądzieli"

Dzięki jakiemuś szczęśliwemu zrządzeniu losu, w dniu 2020/4/17 skontaktowałem się z mną Pan Dr Piotr Derdej z Warszawy. Jeden z obszarów jego historycznych badań obejmował sagę jego własnej rodziny, która wywodziła się z tego samego obszaru co rodzina Franciszka Dzieciątka – tj. mojego pradziadka po kądzieli [XM00]. Poprosiłem go więc aby badając swą rodzinę dał mi znać jeśli natknie się na jakieś informacje o rodzinie i przodkach mojego prapradziadka po kądzieli a nazwisku Ludwik Dzieciątka. Jak potem się okazało, informacji tych udało mu się zgromadzić zadziwiająco dużo. Poniżej więc spisuję dane, które dzięki pomocy Pana Dra Piotra Derdeja udało się ustalić.

Ludwik Dzieciątka , mój prapradziadek [XM000] (ur. 1827 - zm. 1890 uww 64 lat).

Mój prapradziadek [XM000] Ludwik Dzieciątka (syn Wawrzyńca Dzieciątka i Konstancji Matusik) urodził się, jak wynika z wyliczeń, prawdopodobnie w 1827 roku we wsi Drgicz parafia Stoczek Węgrowski? Ludwik Dzieciątka miał dwie żony. Pierwszą jego żoną była **Marianna Gromek** z którą **ożenił się** dnia 2 lutego 1846 roku - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 4 - w wieku zaledwie 19 lat. Jego pierwsza żona nazywała się Marianna Kania (lat 22) z domu Gromek. Była ona wdową po Piotrze Kani, który zmarł dnia 25 lutego 1841 roku we wsi Borzychy. Z wyliczeń wynika, że Marianna **urodziła się** prawdopodobnie w 1824 roku. (Ojciec: Jakub Gromek, Matka: Agnieszka Szostak). Żona Marianna **zmarła** 6 maja 1859 roku we wsi Borzychy, lat 35 lub 38, pozostawiła wdowca: Ludwika Dzieciątka lat około 33. Mieli kilkoro dzieci – (prawdopodobnie **5**) mianowicie: **(1)** Syna Bartłomieja Dzieciątka – który urodził się im dnia 21 sierpnia 1847 roku w Starejwsi - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 93, Ojciec: Ludwik Dzieciątka lat 20, Matka: Marianna Gromek lat 23. **(2)** Córka Katarzyna Dzieciątka - urodziła się dnia 25 listopada 1849 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 162. Ojciec: Ludwik Dzieciątka lat 23, Matka: Marianna Gromek lat 26. **(3)** Córka Rozalia Dzieciątka - urodziła się im dnia 3 września 1852 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 96. Ojciec: Ludwik Dzieciątka lat 25, Matka: Marianna Gromek lat 28. Rozalia Dzieciątka poślubiła niejakiego Józefa Wikieł – ślub wzięli dnia 23 sierpnia 1875 roku w Starejwsi - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) – akt 10; - On: lat 45 - Ona: lat 23. Jej mąż Józef Wikieł był synem Kazimierza Wikieł i Katarzyny Pisarek – urodził się wynika z wyliczeń, że prawdopodobnie w 1830 roku w Majdanie. **(4)** Córka Salomea Dzieciątka - urodziła się dnia 27 listopada 1855 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 92. Ojciec: Ludwik Dzieciątka lat 28, Matka: Marianna Gromek lat 31. **(5)** Córka Antonina Dzieciątka - urodziła się dnia 12 czerwca 1858 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 64. Ojciec: Ludwik Dzieciątka lat 30, Matka: Marianna Gromek lat 34.

X-31

Drugą żoną Ludwika Dzieciątka była **Marianna z Wikłów** (córka Kazimierza Wikieł i Katarzyny Pisarek), urodzona ok. 1840 w Majdanie. Ślub wzięli dnia 6 czerwca 1859 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 64. On: lat 32 - Ona: lat 19. Owdowiała w wieku ok. 50 lat. Mieli kilkoro (prawdopodobnie **8**) dzieci – o imionach: **(1) mój pradziadek [XM00]** Franciszek Dzieciątko (syn Ludwika Dzieciątka i Marianny z Wikłów) urodził się dnia 10 marca 1860 roku we wsi Borzychy, Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 59 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 33, Matka: Marianna Wikieł lat 21. Zmarł w 1938 roku w wieku 78 lat. **(2)** Córka Salomea Dzieciątka, urodzona 18 listopada 1861 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 147 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 33, Matka: Marianna Wikieł lat 24. **(3)** Córka Marcjanna Dzieciątka – urodziła się 7 lutego 1864 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 22 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 35, Matka: Marianna Wikieł lat 26. **(4)** Córka Wiktoria Dzieciątka – urodziła się 16 października 1866 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 143 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 40, Matka: Marianna Wikieł lat 30. Prawdopodobnie ta sama córka, odnotowana jako Wiktoria Wikieł – zmarła 7 maja 1869 roku we wsi Borzychy, lat: 5/2, Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 40, Matka: Marianna Wikieł. **(5)** Córka Anna Dzieciątka – urodziła się 27 lipca 1869 roku we wsi Borzychy - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) – akt 100 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 43, Matka: Marianna Wikieł lat 35. **(6)** Syn Antoni Dzieciątka – urodził się 9 stycznia 1872 roku we wsi Borzychy – Starawieś (pow. Węgrów) – akt 6 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 8, Matka: Marianna Wikieł lat 33. Zmarł 7 października 1872 roku we wsi Borzychy, lat: 8/12, O: Ludwik Dzieciątko lat 40, Matka: Marianna Wikieł. **(7)** Córka Teresa Dzieciątka – urodziła się 12 października 1873 roku we wsi Borzychy – Starawieś (pow. Węgrów) – akt 125 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 50, Matka: Marianna Wikieł lat 35. Zmarła w 1877 roku – Parafia Łomazy – akt 10. **(8)** Córka Franciszka Dzieciątka – urodziła się 9 listopada 1876 roku we wsi Borzychy – Starawieś (pow. Węgrów) – akt 148 - Ojciec: Ludwik Dzieciątko lat 51, Matka: Marianna Wikieł lat 42. Zmarła w 1883 roku - Parafia Łomazy – akt 13; Ojciec: Ludwik Dzieciątka, Matka: Marianna Wikieł. **Z szybkich śmierci** niemal wszystkich ich dzieci zdaje się wynikać, że małżeństwo to najprawdopodobniej miało kolizję (przeciwstawność) RH.

Ludwik Dzieciątka zmarł w 1890 roku – Parafia Biała Podlaska – Akt 28 – Korczówka. .

Wawrzyniec Dzieciątka , mój praprapradziadek [XM0000] (ur. 1788 - zm. 1838/5/19 uww 50 lat).

Żoną mojego praprapradziadka Wawrzyńca Dzieciątka była Katarzyna Wikieł. Wawrzyniec Dzieciątka zmarł 19 maja 1838 roku w Majdanie, lat: 50 - Parafia Starawieś (pow. Węgrów) - akt 30 - rok 1838 pozostawił wdowę: Katarzynę Wikieł, oraz dzieci: Jana, Szymona, Walentego, **mojego prapradziadka [XM000]** Ludwika Dzieciątka, Mariannę, Magdalenę.

Adam Dzieciątka , mój prapraprapradziadek [XM00000] (ur. XVIII wiek - zm. ?).

Życie Adama Dzieciątka przebiegało w drugiej połowie lat 1700-nych, czyli w czasach z jakich do dziś przetrwało ogromnie mało informacji. Żoną mojego prapraprapradziadka Adama Dzieciątka była Ewa Rojek. Jednym z ich dzieci był mój **prapradziadek [XM0000]** **Wawrzyniec Dzieciątka**. Niestety dalszych szczegółów na ich temat NIE udało się ustalić.

X6. Genealogia rodzin będących pochodnymi rodziców moich rodziców (tj. pochodnymi od dziadków Jana Pająk)

Każda dana osoba, w tym autor niniejszej autobiografii, ma dwojkę rodziców, ale już czwórkę dziadków, ósemkę pradziadków, itp. Wszyscy zaś z owych coraz liczniejszych generacji przodków danej osoby są jednocześnie jednymi z przodków całych odmiennych drzew genealogicznych innych rodzin, jakie biologicznie są spokrewnione z rodziną danej osoby. Każdy z potomków tamtych odmiennych drzew genealogicznych jest więc także krewniakiem danej osoby (w tym moim [X] krewniakiem), bowiem dzieli z tą osobą jakieś wspólne dla ich obu geny. Poniżej wyszczególnię więc przykłady takich odmiennych rodzin jakie odziedziczyły geny z generacji moich dziadków.

Z owych czterech pochodnych rodzin linii genealogicznych będących kontynuacjami potomków opisanej poprzednio czwórki moich dziadków, do dzisiaj niektóre rodziny całkowicie wymarły - tak jak przykładowo rodzina Dzieciątków [XMOO]. Inne zaś rodziny upowszechniły swoje geny po świecie. Wszyscy członkowie tych rodzin, które upowszechniły swoje geny, w sensie genetycznym są i pozostają moimi krewnymi. W podrozdziałach niniejszego X6 z czasem zaprezentuję więc przykłady drzew genealogicznych do tych z nich, o których jest cokolwiek mi wiadomo. Każdą taką spokrewnioną rodzinę opiszę w odrębnym podrozdziale oznaczanym np. X6.1, itp.

Odnotuj że w poniższych opisach przez wyrażenie "ostatnio zamieszkały" rozumiem "ostatnie miejsce zamieszkania o jakim mi jest wiadomo".

X6.1. Rodziny pochodne od Józefa Pajak (tj. mojego dziadka po mieczu)

Rodziny pochodne od Józefa Pajak, to rodziny mojego ojca i dziadka, oraz ich potomków. Jako takie, są one dla mnie bardzo istotne, bowiem ich potomkowie noszą to samo co ja nazwisko - chociaż ja praktycznie NIE utrzymywałem, ani NIE utrzymuję, z nimi żadnych kontaktów. Jedyny z moich braci, o którym wiem, że z nimi się kontaktowałem, to mój najstarszy brat (już zmarły). Wszystkie te rodziny odziedziczyły bardzo wysokie zdolności twórcze i umiejętności praktyczne, chociaż typowo poprzestawali na niskim wykształceniu. Ich potomkowie wykazywali skłonności do zachowań indywidualistów postępujących zgodnie z dewizą życiową **"każdy sobie rzepkę skrobie"** - stąd jako rodzina nie trzymali się kupy ani sobie nawzajem nie pomagali. Żyli więc na zasadach odwrotnych np. do rodziny Gosków czy Kubiaków też opisanych w tym "rozdziale X".

Najstarszym patriarchą rodziny Pajaków, o jakiego istnieniu jest mi już wiadomo, był niejaki **???** Pajak [XOOO] którego imienia niestety nie znam. Podobno przybył on do Polski z Czech i był relatywnie bogaty – tak, że posiadał fundusze aby nabyć sporo ziemi. Troje dzieci (synów) tamtego przodka ? Pajak [XOOO] o nieznanym mi imieniu obejmowały: najstarszy syn Jan Pajak [XOOOS₁], środkowy syn Józef Pajak [XOOOS₂] – czyli mój dziadek po mieczu [XOO] (nałogowy pijak), oraz najmłodszy syn Antek Pajak [XOOOS₃]. Oto genealogia rodzin pochodnych od Józefa Pajak:

Józef Pajak [XOO] (ur. 14/3/1873 – zm. 17/4/1936 uww 63 lat).

Mój dziadek po mieczu, czyli **Józef Pajak [XOO]** (urodzony 14/3/1873 w Koszarawie, zmarły 17/4/1936 roku w Koszarawie w wieku 63 lata - akt zgonu 15/1936), w 1902 roku poślubił Marię Pajak z domu Sternal [XOM] (urodzoną 7 grudnia 1876 roku w Koszarawie, a zmarłą 12 października 1947 roku – akt zgonu 136/1947) córkę Szczepana Sternal i Katarzyny Sternal. Józef i Maria Pajak zamieszkiwali w Koszarawa nr 460. Mieli ze sobą w sumie aż 11 dzieci (5 chłopców i 6 dziewcząt - jedna z nich zaraz zmarła) o kolejności i imionach: Karolina Pajak [XOOC₁] (zmarła po 1 roku), Rozalia Pajak [XOOC₂] po mężu Ryszka (?), Wincenty Pajak [XOOS₃] - a jednocześnie mój ojciec [XO] (ur. 18/3/1903, zm. 26/10/1981 o godz 17:10), Anna Pajak [XOOC₄] (ur. 1905, zm. ?), Władysław Pajak [XOOS₅] (ur. ?, zm.?), Weronika Pajak [XOOC₆] po mężu Kamińska (?), Jeromin Pajak [XOOS₇] (?), Aniela Pajak [XOOC₈] (?), Antola Pajak [XOOC₉] (zmarła w młodym wieku), Franciszek Pajak [XOOS₁₀] (1906 do ok. 1990) - wagabunda który wędrował po świecie za chlebem w końcu lądując w Argentynie (zmarł około 1990 roku), Janek Pajak [XOOS₁₁] (?).

Oczywiście, niemal każdy z owych dzieci Józefa Pajaka [XOO] i Marii Sternal założył potem własną rodzinę i miał swoje dzieci. Dokonajmy przeglądu tych z nich na których temat w 1981 roku zdołałem się dowiedzieć cokolwiek.

Karolina Pajak [XOOC₁]. Ta nigdy nie założyła rodziny bo zmarła po 1 roku życia.

Rozalia Pajak [XOOC₂] (?) po mężu Ryszka, potem po mężu Kawka, najpierw poślubiła męża o nazwisku Ryszka. Miała z nim 3 dzieci (chopca, potem dwie dziewczyny) - wszystkie z których wkrótce umarły. Jej mąż też zmarł w młodym wieku. Drugi jej mąż nosił nazwisko Kawka. W 1981 roku była już bezdzietną wdową - której mąż zmarł kilka lat wcześniej. Mieszkała w Koszarawie koło Władysława Pajak. Przed wojną przyjeżdżała do Cielczy w jakichś interesach, stąd była znana mojej mamie.

Wincenty Pajak [XOOS₃] - czyli mój ojciec [XO] (ur. 18/3/1903, zm. 26/10/1981 w wieku 78 lat - akt zgonu 150/81) już opisałem go dokładniej w podrozdziale X3.

Anna Pajak [XOOC₄] (ur. 1905) – stara panna z dzieckiem (matka Bartka Pajak). Około 1950 roku mój ojciec ją sprowadził do siebie do Stawczyka, jednak z powodu jej ciągłego wtrącania się do spraw mojej mamy, po kilku latach moi rodzice zmuszeni byli odesłać ją z powrotem do gór skąd pochodziła. W 1981 roku ciągle mieszkała w Jeleśni koło Żywca. Jej nieślubny syn,

X-34

Bartek Pająk (ur. w 1931 roku), był tzw. "czarną owcą" rodziny. Był pijakiem, kradł, cygańił, kłamał, oraz popełniał niemal wszystkie znane ludziom grzechy. Przykładowo, co jakiś czas zjawiał się u mojego ojca [XO] na Wszewilkach (Stawczyku) aby wycygańić od niego trochę pieniędzy lub jakiś cenny obiekt na sprzedaż (np. nasz rodzinny gramofon). Około 1981 roku mieszkał w Zabrze, zarabiając na życie przez zbieranie węgla na hałdach. Był już wówczas żonaty (jego żona pochodziła z Sosnowca), a nawet miał syna w wieku Piotra Pająk [X₅OS₄S₁]. Mieszkał na ulicy w pobliżu ówczesnego "Mostostalu".

Władysław Pająk [XOOS₅] (zm.?). Był on typowym Baca. Mieszkał w Koszarawie, potem we wsi Bystra, gromada Koszarawa, powiat Żywiec. Ze swoją żoną (też już zmarłą) miał 4 dzieci, mianowicie: Marysia z domu Pająk, zamieszkała w Jeleśni (w 1981 roku słyszałem że ze swym mężem miała ona około 20-letniego syna); Irena z domu Pająk, zamieszkała w Jeleśni (miała 1 dziecko); Emil Pająk - też Baca jak jego ojciec, zamieszkały w Zawoi (też miał 2 dzieci); oraz Stefan Pająk, zamieszkały w Gliwicach i pracujący w Hucie 1 Maja.

Weronika Pająk [XOOC₆] (?) po mężu Kamińska. Mieszkała najpierw w Zbąków koło Bielska, potem w Ustroniu koło Cieszyna. Zamężna. Miała dwoje dzieci, pierwszą dziewczynkę, drugiego chłopca.

Jeromin Pająk [XOOS₇] (zmarł na pylicę w ?), ostatnio zamieszkały w Mikuszowice-Straconka pod Nagórką koło Bielska. Był drugim mężem swojej żony, z którą miał 2 córki, tj.: Irena (zamieszkała w Mikuszowicach – miała około 7 dzieci); oraz Marysia (mieszkała w Bielsku - też miała kilka dzieci). Warto tu dodać, że żona Jeromina miała też 3 dzieci z jej pierwszego małżeństwa: pierwsza jej córka pracowała jako woźna w Staconce do której dojeżdżała autobusem, druga jej córka mieszkała w Mikuszowicach, o ostanim zaś jej synu nic mi nie wiadomo.

Aniela Pająk [XOOC₈] (?). Wyszła za mąż dopiero około 56 roku życia. Lubiła się procesować. Mieszkała ul. Łukowa w Bielsku-Białej. Miała jedną córkę, która też mieszkała w Bielsku.

Antola Pająk [XOOC₉] (?). Ta nie założyła rodziny bo zmarła w młodym wieku.

Franciszek Pająk [XOOS₁₀] (ur. 1906 rok, zm. około 1990 rok). Z rodzinnej tradycji mówionej wynika, że był on wysoce obrotny, zaradny i sprytny w zarabianiu pieniędzy. Jako młodzieniec pomagał swojemu wujkowi (tj. bratowi matki) z Grodziska Dolnego koło Lwowa w obsłudze młockarni – z czego wszyscy mieli dobre zarobki. Potem, ciągle w młodym wieku, wyjechał on za granicę. Jego prawdziwe losy NIE są mi znane. W 1981 roku naszą rodzinę odnalazł za pomocą czerwonego krzyża. Listownie przedstawił się wówczas jako Franciszek Pająk zamieszkały w przytułku dla starców pod adresem: Rua Senador Pompeu 202, Rio de Janeiro, Brazylia. (To właśnie jego skontaktowanie się z naszą rodziną spowodowało, że zacząłem wówczas spisywać niniejsze dane genealogiczne.) Nie jest mi wiadomym czy faktycznie ten brazylijski Franciszek Pająk był bratem mojego ojca, bowiem jego dane stwierdzały, że urodził się w 1906 roku w Grodzisku Dolnym. (Tymczasem całe rodzeństwo mojego ojca podobno urodziło się w Koszarawie - tyle że Franciszek Pająk pomagał zarabiać młocarnią swemu wujkowi zamieszkałemu w Grodzisku Dolnym koło Lwowa.) Oczywiście, jest też możliwe, że z wiekiem niektóre fakty mu się nieco w głowie pokićkały. Szczególnie, że w swoim liście do nas zapytywał co stało się z kopalnią złota jego rodziny, która miała jakoby istnieć koło Lwowa. (Rodzinna tradycja mówiona stwierdzała, że wprawdzie nasz Franciszek Pająk pracował w swej młodości koło Lwowa, jednak był tam jedynie maszynistą parowej maszyny do młócenia, którą zarabiał młóćąc zboże miejscowym rolnikom – chociaż maszyna ta była źródłem sporych zarobków, jednak NIE była "kopalnią złota".) Ów brazylijski Franciszek Pająk zmarł około 1990 roku.

Kiedy w 1993 roku podjąłem swą profesurę w Kuala Lumpur, natknąłem się tam na zagadkę, która mnie zaintrygowała, ponieważ mogła ona mieć związek z „podróżniczym bakcyłem” i z „życiową zaradnością” owego Franciszka Pająk. Mianowicie istnieje tam sieć sklepów lichwiarskich, pierwszy z których założony został przez jakiegoś osobnika o nazwisku

X-35

Pająk właśnie około czasów kiedy omawiany tu Franciszek Pająk podróżował po świecie. Owe sklepy są i były prawdziwą "kopalnią złota" przynoszącą wiele zysku. Żaden więc wagabunda, który wędrował po świecie za zyskiem i za chlebem, nie porzuciłby ich bez istotnego powodu. Sklepy te w całej Malezji nazywane są „Pajak Gadai” (słowo „Gadai” jest malezyjskim słowem znaczącym „sklep lichwiarski”). Z nazwy owych sklepów słowo „pajak” zostało potem przejęte tam też do oficjalnego języka w znaczeniu „podatek”. Zgodnie z zasadami czytania miejscowego języka, nazwa tego sklepu powinna być wymawiana jako „Padzak Gadaj”. Jednak sklepy te nazywane są tam „Pąk” sklepami – co sugeruje iż ich nazywanie „Pąk” utrwala nieco zniekształconą przez czas i bezwładność języka miejscowych ludzi wymowę polskiego nazwiska „Pająk”. W czasach kiedy owe sklepy zaczęły być zakładane w KL niewielu Polaków o nazwisku Pająk podróżowało po świecie - wszakże osoby noszące to nazwisko typowo były bardzo biedne. Ci zaś Pająki co podróżowali, zdążali wprost do Ameryki. To indukuje u mnie pytanie, czy przypadkiem dziwna miejscowa wymowa pisanej nazwy tych sklepów, NIE podróżowanie typowych polskich Pająków do krajów dalekiego Wschodu, a także lichwiarska natura tego sklepu czyniąca z nich prawdziwą „kopalnię złota”, w sumie NIE oznaczają, że założenie owych sklepów w KL było robotą owego obrotnego brata mojego ojca, czyli Franciszka Pająk? Niestety, kiedy w KL natknąłem się na ową zagadkę, było już za późno abym napisał do niego i go zapytał o ową sprawę.

Janek Pająk [XOOS₁₁] (?). Wysoki, silny, nałogowy pijaczyna. Miał żonę, ale ją zostawił. Był bezdzietny. Mieszkał w Mikuszowicach koło Bielska.

X-36

X6.2. Rodziny pochodne od rodziców Marii Pająk z domu Sternal (tj. mojej babci po mieczu)

Tych rodzin jest raczej dużo, porozbieganych po całej Polsce i świecie - niestety, w chwili pisania tej autobiografii miałem bardzo mało informacji na ich temat. Oto co jedynie o nich wiem:

Maria Sternal [XOM] (ur. 7/12/1876 - zm. 12/10/1947 uww 71 lat).

Moja babcia po mieczu, a żona Józefa Pająk, tj. **Maria Sternal** (ur. 7/12/1876, zm. 12/10/1947 w wieku 71 lat) - córka Szczepana Sternal i Katarzyny Sternal, pochodziła z rolniczej rodziny która miała 3 córki. Maria była najstarszą córką owej rodziny. Jej młodsza siostra (imię i nazwisko mi nieznane) mieszkała przed wojną w Grodzisku Dolnym koło Lwowa. Około 1926 roku jej mąż został tam zabity przy młockarni, którą zarabiał na życie. Czasami z doskoku przy owej młockarni dopomagał mu młody Franciszek Pająk – tj. brat mojego ojca. Najmłodsza siostra Marii Sternal po mężu nosiła nazwisko Kotula (z domu była Sternal).

X-37

X6.3. Rodziny pochodne od rodziców Edwarda Dzieciątka (tj. mojego dziadka po kądzieli)

Na przekór (a być może właśnie z powodu) religijnej symboliki i pochodzenia ich nazwiska, wszystkie rodziny nazywające się "Dzieciątka" całkowicie wymarły. Stąd opisywane w innych podrozdziałach niniejszego "rozdziału X" rodziny moja i mojego rodzeństwa reprezentują rodziny ich jedynych potomków.

X-38

X6.4. Rodziny pochodne od rodziców Katarzyny Dzieciątko z domu Kubiak (tj. mojej babci po kądzieli)

Te rodziny są bardzo liczne i upowszechniły się NIE tylko po całej Polsce, ale także po całym świecie. Oto opisy rodzin pochodnych jakie one obejmują:

X6.4.1. Spokrewniona rodzina Gosków

Rodzina Gosek spokrewniła się z naszą rodziną Pająk dzięki małżeństwu siostry mojej babci po kądzieli, czyli niejakiej **Stanisławy Gosek** [XMM(MH₂)C₆] z domu Kubiak. Rodzina Gosków była najbardziej bliska i utrzymująca najżywsze kontakty z całą naszą rodziną Pająków. Faktycznie relatywnie żywe kontakty z naszą rodziną utrzymywała ona ciągle w czasach zapoczątkowania spisywania niniejszej genealogii, czyli w 1981 roku. Jeden z Gosków, o imieniu Edmunt, był także moim ojcem chrzestnym. Przyczyn dla tej bliskości naszych rodzin było aż kilka - niektóre z nich zapewne obejmowały hołdowanie przez Gosków staropolskim tradycjom serdeczności, gościnności i bliskiego współżycia poszerzonej rodziny, ich oddanie wierze w Boga i chrześcijańskim tradycjom. Ponadto obie rodziny zbliżało do siebie podobieństwo wiekowe i składowe obu naszych rodzin, bliskość geograficzna (np. przed wojną Goski mieszkali w Cielczy - tak jak nasza rodzina, zaraz po wojnie Goski mieszkali w Jankowie - czyli oddaleni byli od wsi Stawczyk w której mieszkali moi rodzice tylko o około 10 km, zaś w ostatnich czasach sporo Gosków mieszkało we Wrocławiu - gdzie m.in. i ja studiowałem i potem mieszkałem, a stąd mogłem ich odwiedzić.

Początkiem tej gałęzi rodziny Gosków która zaczęła dzielić część tych samych genów co ja, była niejaka **Stanisława Gosek** [XMM(MH₂)C₆] z domu Kubiak (ur. 16/9/1897, zm. 6/1/1973 w wieku 77 lat, "ostatnio zamieszkała" we Wrocławiu przy ulicy Grochowej 31 m. 1). Poślubiła ona Józefa Gosek [XMMM(C₆H)] (ur. 12/3/1885, zm. 21/3/1971 w wieku 86 lat), syna Franciszka Gosek (zm. 1910 r.) oraz Agnieszki Gosek (zm. 1887 rok i pochowanej w Świętej Annie koło Częstochowy), oryginalnie zamieszkałych w Zielonej Dąbrowie. (Ów Józef Gosek był najmłodszym z 5-ciorga rodzeństwa, bowiem jego rodzice - owi najstarsi Goskowie o jakich istnieniu wiem (tj. Franciszek i Agnieszka) mieli 5 dzieci, o imionach: Teofil Gosek (zm. 1943 rok), Jakub Gosek, potem 2 córki o nieznanym mi danych, w końcu właśnie Józef Gosek.) Opisująca tu Stanisława Gosek [XMMM(C₆H)] też miała 5 dzieci z Józefem Gosek. Ich dzieci były miały następujące nazwiska: Maria Matus [XMMM(C₆H)C₁] z domu Gosek (ur. 11/3/1921) ostatnio zamieszkała ul. Grochowa 31 m. 1, 53-423 Wrocław; Edmund Gosek [XMMM(C₆H)S₂] – tj. mój ojciec chrzestny (ur. 19/10/1922) "ostatnio zamieszkały" ul. Wrocławska 56, 57-100 Strzelin; Marian Gosek [XMMM(C₆H₁)S₃] (ur. 12/8/1923, zm. 19/3/1974) "ostatnio zamieszkały" we Wrocławiu-Leśnicy przy ulicy Kępicka 23; Stanisław Gosek [XMMM(C₆H₁)S₄] (ur. 28/1/1931) "ostatnio zamieszkały" w Jaroszów, 42-310 Żarki, woj. Częstochowa; oraz Janek Gosek [XMMM(C₆H₁)S₅] - ten z jedną drewnianą nogą (ur. 1936) "ostatnio zamieszkały" we Wrocławiu przy ulicy Reja 5/6.

Oczywiście, każde z owych dzieci Stanisławy i Józefa Gosek założył sobie własne rodziny i miał własne dzieci. Wskażmy tutaj ich rodziny. It ak:

Maria Matus [XMMM(C₆H)C₁] z domu Gosek (ur. 11/3/1921) ostatnio zamieszkała ul. Grochowa 31 m. 1, 53-423 Wrocław; w 1946 roku urodziła (nieślubnego) syna księdza-misjonarza w moim wieku, o nazwisku **Józef Zębik** [XMMM(C₆H)C₁S]. (To on został utrwalony na zdjęciu z "Fot. A1" jako ów drugi z widocznych tam jednorocznych chłopców.) W 1981 roku ów Józef zamieszkiwał przy ul. Loretańska 11, 31-114 Kraków. Ja w młodości poznałem go relatywnie dobrze i ciągle pamiętałem w czasach pisania tej autobiografii. Urodził się on 12/2/1946 roku, zaś zmarł na raka w dniu 18 listopada 2009 roku - w wieku 63 lata. Jest pochowany w Sędziszowie Małopolskim. Józef Zębik został misjonarzem w zakonie Kapucynów Braci Mniejszych. Intrygujące, że kiedy był on bliski śmierci i niemal umierał, ja z jakichś powodów zacząłem często go wspominać i o nim myśleć, zaś zapewne z powodu tych wspomnień i myślenia w dniu 5 listopada 2009 roku powróciłem do dokańczania niniejszej autobiografii (niestety wkrótce inne pilne zajęcia oderwały mnie od pełnego jej wykończenia). Z kolei w rezultacie pisania niniejszej części autobiografii traktującej o jego rodzinie i o nim, w styczniu 2010 roku podjąłem próby nawiązania z nim kontaktu. W wyniku tych prób, dnia 22

X-40

stycznia 2010 dowiedziałem się że umarł on dwa miesiące wcześniej, oraz poznałem datę i okoliczności jego śmierci.

Mój ojciec chrzestny, **Edmund Gosek** [XMMM(C₆H)S₂] (ur. 19/10/1922) "ostatnio zamieszkały" ul Wrocławska 56, 57-100 Strzelin; miał 4 następujące dzieci: ? Gosek - zmarła natychmiast po urodzeniu; Ewa Wejman [XMMM(C₆H)S₂C₂] z domu Gosek "ostatnio zamieszkała" Jórkowo 33, 64-010 Krzywin, woj. Leszno (ona sama też miała 4 dzieci, tj. Józefa Wejman, Rysio Wejman, Elwirka Wejman, oraz ?); Grażyna Gosek [XMMM(C₆H)S₂C₃] (ur. 1951) "ostatnio zamieszkała" w Górze; oraz Andrzej Gosek [XMMM(C₆H)S₂S₄] (ur. 1967).

Marian Gosek (ur. 12/8/1923, zm. 19/3/1974) zamieszkały we Wrocławiu-Leśnicy przy ul. Kępickiej 23, poślubił niejaką Helenę Gosek (ur. 1925 r.) wówczas już matkę przedślubnego syna Chenia Gosek. Razem z nią mieli 3 dzieci, mianowicie: Jórek Gosek (ur. 6/1949) ostatnio zamieszkały Wrocław, ul. Reja 5 m. 6 , Renata z domu Gosek, oraz Wiesława Gosek (zm. 1971 rok w wieku 17 lat).

Stanisław Gosek (ur. 28/1/1931) ostatnio zamieszkały w Jaroszowie, 42-310 Żarki, koło Częstochowy, poślubił niejaką Zofię Żepka (ur. 1931 r.). Mieli z nią 4 dzieci, mianowicie: Wiesław Gosek, Krystyna z domu Gosek, Bogdam Gosek, oraz Ewa Wójcik z domu Gosek zamieszkała ul Długa 4 m.25, 42-300 Myszków, woj. Częstochowa.

Janek Gosek (ur. 1936) - ten bez nogi, poślubił niejaką Marię Derucka po mężu Gosek. Razem mieli 2 dzieci, mianowicie: Stanisław Gosek (ur. 9/6/1956), oraz Jacek Gosek (ur. 13/1/1960 r.).

X6.4.2. Spokrewniona rodzina Wojcieszaków

Rodzina Wojcieszaków spokrewniła się z naszą rodziną Pająk z powodu małżeństwa siostry mojej babci po kądzieli, czyli niejakiej **Marii Wojcieszak** [XMMMC₅] z domu Kubiak. Rodzina Wojcieszaków utrzymywała żywe kontakty jedynie z moimi dziadkami, w tym z babcią, Katarzyną Dzieciątko [XMM] - którą wszakże ja ciągle dobrze pamiętam. Na przekór jednak że dzielę z Wojcieszakami sporo genów, ja poznałem ich tylko bardzo przelotnie - głównie ponieważ uczestniczyli w pogrzebie mojego dziadka Edwarda Dzieciątka [XMO]. Oto ich drzewo genealogiczne:

Geny podobne do moich wniosła do pochodnej rodziny Wojcieszaków niejaka **Maria Wojcieszak** [XMMMC₅] z domu Kubiak (ur. 5/1894, zm. 5/1946 w wieku 52 lat), córka mojego pradziadka po kądzieli, Antoniego Kubiak [XMMO] i Anny Jańczak [XMMM] po mężu Kubiak – patrz "**Fot. X6.4.2**" poniżej. Owa Maria Wojcieszak poślubiła kowala mieszkającego w Cielczy o nazwisku Adam Wojcieszak (ur. 12/1894, zm. 5/1956 a pochowanego w Borku). To do nich właśnie (tj. do Marii i Adama Wojcieszak) przeprowadzili się moi dziadkowie [XM(MH)] (tj. Katarzyna i Edward Dzieciątko) kiedy uciekali ze Stawca koło Milicza w ówczesnych Niemczech i przenieśli się do Cielczy. Ów Adam Wojcieszak był najstarszym z 5 dzieci rodziny kowalskiej zamieszkałej w Bułakowie koło Pogorzeli, której głowami był Stanisław Wojcieszak oraz Magdalena Wojcieszak z domu Skrzypek. (Tamci Stanisław i Magdalena Wojcieszakowie mieli następujące dzieci: Adam Wojcieszak (ur. 12/1894, zm. 5/1956), Roman Wojcieszak (?) który też miał 4 dzieci; Maria Wojcieszak po mężu Konieczna (ur. 1897 r.), zamieszkała Bułaków k/Koźmina - też miała 4 dzieci; Anna Wojcieszak (zmarła w wieku 13 lat); Ignac Wojcieszak (zmarł w wieku 18 lat).

Maria Wojcieszak [XMMMC₅] z domu Kubiak (ur. 5/1894, zm. 5/1946 w wieku 52 lat) miała aż 12 dzieci z Adamem Wojcieszak (ur. 12/1894, zm. 5/1956 a pochowanym w Borku). Oto owe ich dzieci: Cecylia Daszyńska z domu Wojcieszak (ur. 14/11/1913), ostatnio zamieszkała przy ul. Matejki 20/8, 56-400 Oleśnica; Maria Kurzawa z domu Wojcieszak (ur. 1915, zm. 5/1977), ostatnio zamieszkała w Witaszycach koło Jarocina; Joanna Wasik z domu Wojcieszak (ur. 1918) ostatnio zamieszkała ul. Żelazna 7/6, 66-400 Gorzów - która miała 3 synów: Zbyszka (tel. 6123), Jórka i Leszka; Marian Wojcieszak (ur. 20/5/1920) ostatnio zamieszkały Przyczyna Dolna 11a, 67-400 Wschowa, tel. 22-41 - który miał 4 dzieci: ? zmarłe, Jerzy Wojcieszak (wojskowy) ostatnio zamieszkały ul. Bezpieczna 17/3, Wrocław, tel. 253919, Lech Wojcieszak ostatnio zamieszkały Siedlica 150, 67-407 Siedlica, Jolanta Kołodziejczyk z domu Wojcieszak ostatnio zamieszkała we Wrocławiu; Zygmunt Wojcieszak (ur. 1922, zmarły po 2 latach); Bronisław Wojcieszak (ur. 1924, zmarły po 1 miesiącu); Bronisława Wojtkowiak z domu Wojcieszak (ur. 7/1925) ostatnio zamieszkała koło Śremu przy ul. Jeżyka 20 m. 11, 62-100 Wągrowiec; Irena Majewska z domu Wojcieszak (ur. 1927) sama mająca dużo dzieci a zamieszkała ul. Jesionowa 14, 41-800 Zabrze; Czesław Wojcieszak (ur. 1930, zm. 1957 i pochowany w Borku) – który miał syna Juliana Wojcieszak ostatnio zamieszkałego w 63-811 Zimnowoda 7a w Leszczyńskim; Basia Wojcieszak po mężu Pawlicka (ur. 1932) ostatnio zamieszkała 63-810 Siedmiorogów 1, k. Borku (Leszczyńskie); inż. Antoni Wojcieszak (ur. 13/5/1935) ostatnio zamieszkały ul. Jeżyka 8/11 62-100 Wągrowiec, który **pisze książkę o rodzinie** – a posiada 2 dzieci; oraz Jan Wojcieszak (ur. 1934, zmarł w dniu urodzin).

Oczywiście, każde z powyższych 12 dzieci Marii Wojcieszak [XMMMC₅] z domu Kubiak oraz Adama Wojcieszak, jeśli tylko zdołało przeżyć ciężki okres dzieciństwa, założyło potem własną rodzinę i miało własne dzieci. Przykładowo Cecylia Daszyńska z domu Wojcieszak (ur. 14/11/1913), ostatnio zamieszkała przy ul. Matejki 20/8, 56-400 Oleśnica, wyszła za mąż za Stefana Daszyńskiego (ur. 1/9/1910, zginął w 2-giej wojnie światowej) - ojca chrzestnego mojego brata Czesława Pająk [X₅MS₃]. To ich ślub udokumentowany został na poniższej "**Fot. X6.4.2**". Razem mieli 3 dzieci, mianowicie: Maryla Witek z domu Daszyńska (ur. 28/12/1934)

X-42

ostatnio zamieszkała ul. Sejmowa 8 m. 6, 56-400 Oleśnica (jej mężem był inż. Edmund Witek); Irena Kubicka z domu Daszyńska (ur. 20/10/1936) ostatnio zamieszkała ul. Rewolucji Październikowej 41/10, 56-400 Oleśnica; Józef Daszyński (ur. 16/12/1938), ostatnio zamieszkały ul. Sobieskiego 5/4, 41-800 Zabrze.

Z kolei np. Maria Kurzawa z domu Wojcieszak (ur. 1915, zm. 5/1977), ostatnio zamieszkała ul. Kolejowa 25 m. 1, 63-230 Witaszyce koło Jarocina, poślubiła Kazimierza Kurzawa (ur. 1910 roku) i miała z nim 4 dzieci, mianowicie: Józio Kurzawa (ur. 1936) zamieszkały Witaszyce, Zenon Kurzawa (ur. 1937) ostatnio zamieszkały ul. Hanki Sawickiej 7/9, 63-300 Pleszew, Małgorzata Kurzawa (ur. 1948) ostatnio zamieszkała Miasteczko Śląskie, oraz Ewa z domu Kurzawa (ur. 1951).



Fot. X6.4.2: Ślub Cecylii Wojcieszak ze Stefanem Daszyńskim w Cielczy w dniu 4 lutego 1934 roku. Odnotuj bardzo podobny wygląd głów i twarzy u niemal wszystkich osób ujętych na tym zdjęciu. Oto wyszczególnienie utrwalonych osób:

Leżący: muzykańcy ze Zdun.

Pierwszy rząd (od lewej ku prawej): Stanisława Gosek (stoi), pod jej ramieniem Magdalena Wojcieszak (matka Adama Wojcieszaka), w czarnej chuście Maria Wojcieszak i Adam Wojcieszak - trzymają małego swojego brata Czesława, Cecylia Daszyńska (panna młoda), obok Stefan Daszyński (pan młody - zaginiony we wojnę w 1939 roku), z białą chustą na ramionach Cecylia Daszyńska (matka Pana młodego), z lisem ciotka Stefana Daszyńskiego niejaka Adela z Jarocina, z wąsem (ostatni) Grześkowiak ze Zdun (brat Adeli z Jarocina).

Drugi rząd (z lewej ku prawej): z maleńkim wąsikiem Wincenty Pająk (mój ojciec), Józef Gosek (ten z dużym wąsem), Pani Rydzik - żona kierownika Szkoły w Cielczy (na jej rękę dziecko: Jerzy Rydzik), przed dzieckiem Kazimiera Prędkiewicz (żona profesora), w białym szalu Maria Wielebińska z Pogorzeli, Joanna Wojcieszak, Antonina Daszyńska, z kołnierzykiem Maria Wojcieszak, Maria Błazejewska z domu Daszyńska (siostra pana młodego), Maria Zepar z Cielczy (koleżanka szkolna Cecylii Daszyńskiej), z muchą Maria Daszyńska z domu Ratajczyk,

X-43

w chustce Michalina Wojcieszak, obok Franciszka Karpik, dalej przy Anastazji Pająk stoi Magdalena Skibicka (siostra Katarzyny Dzieciątko), na końcu Anastazja Pająk (z Ludwikiem Pająk na rękach) za jej głową widać połowę twarzyczki mojego najstarszego brata, którego na rękach trzyma Edward Dzieciątko (ten z wąsem).

Trzeci rząd (też z lewej do prawej): profesor Prędkiewicz, Czesław Gładczak, Moszyk Edward, Teofil Zegar (wszyscy oni z Cielczy), Kula Franciszek, Dudek, Furmaniak, Jan Daszyński (brat pana młodego) ze swoją żoną (właściciele restauracji w Cielczy).

X6.4.3. Spokrewniona rodzina Skibickich

O tej gałęzi pochodnej rodziny moich dziadków jestem głównie świadomy dzięki Kaśce Chwastyniak, która mieszkała na stałe w Cielczy (w byłych folwarcznych tzw. "czworakach" niedaleko od obecnego kościoła), a stąd którą odwiedzałem podczas mojego pobytu w Cielczy w latach 1957 i 1958.

Związek moich genów z genami rodziny Skibickich wywodzi się od siostry mojej babci, czyli osoby zwanej Magdalena Skibicka z domu Kubiak [XMMMC₄], urodzonej w 1885 roku zaś zmarłej w 1943 roku w wieku 63 lat. Owa Magdalena poślubiła niejakiego Franciszka Skibickiego (?).

Magdalena i Franciszek Skibicki mieli razem 8 następujących dzieci: Ludwik Skibicki (zmarł po 1 miesiącu), Franciszek Skibicki (ur. 1/1906, zm. 1/1960), Maria Pogorzelec z domu Skibicka (ur. 1/1908, zm. 1954), Marcynia Skibicka - stara panna (ur. 1910, zm. ?), Stanisław Skibicki (ur. ?, zm. ?), Kaśka Chwastyniak z domu Skibicka zamieszkała w Cielczy (ur. 1914 w Kołędach, zm. ?) - adoptowała jakąś sierotę noszącą potem nazwisko Danką Chwastyniak (ur. 1948) - (owa ich adoptowana córka oczywiście nie dzieli ze mną żadnych wspólnych genów), Franciszka Karpik z domu Skibicka (zamieszkała w domu kolejowym z Oleśnicy), oraz Staśka Skibicka (zmarła w wieku 2 lat).

X-45

X7. Inne rodziny pospokrewniane z naszą poprzez małżeństwa (z którymi jednak ja, tj. [X], NIE dzielę wspólnych genów)

Istnieje też sporo innych pochodnych rodzin, które za pośrednictwem małżeństw spokrewniły się z opisywanymi tutaj rodzinami noszącymi część tych samych genów co ja. Tyle, że aż do pokolenia mojego i mojego rodzeństwa ich genetyka NIE złączyła się z genetykami rodzin tu opisywanych. Ich przykładami mogą być rodziny: Hajdunów, Potockich, Lipka, Pierzyńskich, Brzdęków, Płaczek, oraz kilku jeszcze innych. Chociaż o niektórych z tych rodzin w moje posiadanie weszło już sporo danych, narazie ich tu NIE opisuję dla aż całego szeregu powodów. Nie wykluczam jednak, iż jeśli Bóg i zainteresowani na to mi pozwolą, to również będę je tu mógł opisać w przyszłości.

X-46

X8. Standard życiorysu, czyli informacje które dobrze byłoby zawierać w życiorysach

Aby przyszłym pokoleniom naszej rodziny udostępnić w miarę kompletne informacje na temat cech genetycznych przekazywanych im od poprzednich pokoleń, dobrze byłoby gdyby sporządzając czyjś życiorys wypytywać się m.in. o następujące dane:

- Imię i nazwisko.
- Datę urodzenia.
- Miejsce urodzenia.
- Dane o metryce urodzenia.
- Dane rodziców (tj. co najmniej pełne nazwiska rodziców i daty ich urodzeń oraz jeśli jest znana, także ich śmierci)
- Dane o rodzicach chrzestnych - jeśli te są dostępne.
- Obchodzenie imienin.
- Cechy fizyczne (podać w jakim roku), szczególnie zaś wzrost, waga, oczy, włosy, grupa krwi i RH, znaki szczególne, zdrowie, wzrok, zęby.
- Najważniejsze cechy charakteru - szczególnie dotyczące współżycia z innymi ludźmi.
- Adresy (lata kiedy te były ważne), szczególnie ów najdłuższy (stały), a także ostatni. Jeśli dostępny to również telefon i email.
- Dane małżeństwa. Kto poślubiony (imię i nazwisko - w tym panieńskie dla żony), kiedy i gdzie (data i miejsce ślubu), dane świadectwa ślubu, najbliższa rodzina współmałżonka.
- Dzieci z każdego małżeństwa (w kolejności urodzenia) - a także, jeśli istnieją, pasierby.
- Wykształcenie. Włączając szkołę podstawową, średnią i ewentualnie studia (jaki dyplom).
- Ulubione przedmioty, znajomość języków, wyjazdy za granicę.
- Hobby, ulubione zabawy, zainteresowania, zdolności, talenty, inklinacje, osiągnięcia, ulubione powiedzenia, itp.
- Kariera zawodowa (gdzie i w jakich latach pracował) oraz ewentualne choroby zawodowe.
- Niezwykłe zdarzenia w życiu (widok cudów i niezwykle zwierząt, wypadki, nieszczęścia).
- Ulubiane potrawy, skłonności, nawyki, nałogi (np. papierosy), fobie, manie, itp.
- Choroby, dolegliwości, ułomności ciała, oznaki starzenia, pamięć, zdolności umysłowe.
- Śmierć. Szczególnie zaś data śmierci, wiek w chwili śmierci, prawdopodobna przyczyna śmierci, a jeśli są znane – także przebieg umierania, miejsce pochowania.

Rozdział Y:

UWAGI KOŃCOWE I PODSUMOWANIE

Przed zakończeniem tej autobiografii chciałbym podziękować czytelnikowi za jej uważne przeczytanie. Mam nadzieję że myśli i idee w niej zawarte przyniosą czytelnikowi jakiś pożytek.

Paradoksem tej autobiografii jest fakt, że w bliskim otoczeniu czytelnika zapewne w chwili jej czytania nadal znajduje się ktoś, kto podobnie jak ja w swoim życiu, jest przytłumiany i zadreptywany przez swoje otoczenie. Być może po jej przeczytaniu warto więc zacząć traktować swoich bliźnich tak jakbyśmy to my byli w ich skórze. Wszakże nie wiemy, który z nich kiedyś dołoży liczącą się kontrybucję jaka zadziała wysoce korzystnie na losy nas samych oraz naszych potomków.

Polska nigdy nie stworzyła nikomu warunków aby dał coś z siebie tej cywilizacji żyjąc w jej granicach. Zawsze albo musiał on wydawać swoje dzieła pośmiertnie (jak Kopernik) - aby przypadkiem nie zostać spalonym na stosie, albo też pracować poza granicami kraju (jak Skłodowska i ja). Najwyższy więc czas, aby naprawić tę wyniszczającą nasz naród tradycję.

Y1. Podsumowanie

Moje życie było jednym przedłużającym się polem bitwy. Nie zawsze też wygrywałem swoje batalie. Faktycznie to po ogromnej większości swych bitew musiałem raczej liczyć swoje straty, niż swoje zdobycze. Niemniej wierzę, iż zapoczątkowałem wojnę o lepsze jutro, jaka w końcowym rozrachunku okaże się zwycięska.

W mojej opinii **najwyższym wyrazem spełnienia czyjegoś życia jest, jeśli osoba ta pozostawia za sobą świat znacznie lepszy niż był on przed jej przybyciem**. Gdy ja zaczynałem swoje życie, zarówno ja jak i osoby w moim najbliższym otoczeniu mogły mieć jedynie nadzieję i wiarę w istnienie porządku, racjonalności i sprawiedliwości w naszym świecie fizycznym. Gdy zaś zaczął nadchodzić czas mojego odejścia, byłem już pewien, że ów porządek, racjonalność i sprawiedliwość z całą pewnością istnieją, oraz że o prawach i mechanizmach rządzących ich działaniami zdołałem swymi publikacjami poinformować innych bliźnich. Chciałbym też wierzyć, że owa moja droga życiowa od nadziei i wiary, aż do wiedzy i pewności, są moim osobistym wkładem w ulepszenie świata. Wysiłki bowiem dołożenia takiego właśnie wkładu nadawały sensu mojemu życiu oraz wzbudzały u mnie poczucie spełnienia.

Z-1

ZALĄCZNIKI:

Załącznik Z1: CHRONOLOGICZNY WYKAZ MOICH MONOGRAFII wraz z OPISEM ICH ZAWARTOŚCI

Niniejsza autobiografia zaplanowana została jedynie jako mój ogólny obraz i komentarz życia przez które przeszedłem. Większość interpretacji specyficznych wydarzeń oraz poszczególnych osiągnięć życiowych, które mogą wyjaśnić ich pochodzenie lub znaczenie, zawarte są w innych moich opracowaniach. Tym więc z czytelników których zainteresowały powyższe fakty i chcieliby przestudiować możliwe ich interpretacje, rekomendowane byłoby dodatkowe zapoznanie się ze wskazanymi tutaj innymi moimi (polskojęzycznymi) publikacjami. Ilustrowane egzemplarze aż całego szeregu moich opracowań (przykładowo oznakowanych poniżej symbolami [1/4], [1/5], [3B], [4B], [4C], [5/3e], [5/4], [7/2], [8], [8/2]) są już udostępniane nieodpłatnie w internecie w bezpiecznym i poręcznym formacie PDF w stanie gotowym do wydrukowania lub do czytania.

Oznaczenia przyjęte na poniższym wykazie: * = publikacje które w chwili kończenia niniejszej autobiografii ciągle były dopiero w trakcie opracowywania; e, w = monografie napisane w języku angielskim i włoskim; B, C = tematyczna odmiana B lub C danej publikacji, /2 = drugie wydanie, /3 = trzecie wydanie, /4 = czwarte wydanie, /5 = piąte wydanie. Dane bibliograficzne poszczególnych moich opracowań są następujące:

[1] Pajak J.: „Teoria Magnokraftu - monografia o dyskoidalnym statku kosmicznym napędzanym pulsującym polem magnetycznym”. Wydanie I, polskojęzyczne. Marzec 1986, Invercargill, Nowa Zelandia, ISBN 0-9597698-5-4; 136 stron, 58 rysunków. Była to pierwsza polskojęzyczna monografia opisująca magnokraft (obecnie już nieco przestarzała). Prezentuje ona fragment (tj. Teorię Magnokraftu) następującej monografii [1e]:

[1e] Pajak J.: „Advanced magnetic propulsion systems” (Monograph, Dunedin, New Zealand, 1990, ISBN 0-9597698-9-7, objętość 460 stron, w tym 163 rysunków i 7 tablic). Jest to najważniejsza (angielskojęzyczna) moja monografia (już piąte wydanie) zawierająca najpełniejszą prezentację wszystkich moich teorii i odkryć. Niniejsza monografia reprezentuje jej polskojęzyczną wersję.

[1w] „I Sistemi Avanzati di Propulsione - il Magnocraft” (tj. „Magnokraft i zaawansowane napędy magnetyczne”), Associazione Culturale Aquarius, Palermo 1998, Volume I - 337 stron, Volume II (Tavole, disegni e fotografie) 118 stron - w tym około 120 ilustracji (jest to wersja książkowa monografii [1a] wydana w języku włoskim w Palermo na Sycylii), nakład 1606 egzemplarzy; konsultacje w sprawie nabycia lub dystrybucji: Mr. Antonio Giannone, Via S. Sonnino 13, I-90124 Palermo - Sicily, Italy; Tel: +39 (91) 447663.

[1/2] Pajak J.: „Zaawansowane napędy magnetyczne”, Monografia, Dunedin, New Zealand, 1998, ISBN 0-9583380-2-7, około 1200 stron tekstu w tym 120 ilustracji i 7 tablic (w 7 tomach).

[1/3] Pajak J.: „Zaawansowane urządzenia magnetyczne”, Monografia, Dunedin, Nowa Zelandia, 1998, ISBN 0-9583727-5-6, około 1400 stron - w tym około 120 ilustracji i 7 tablic, w 9 tomach (jest to poprzedniczka niniejszej monografii [1/4]).

[1/4] Pajak J.: „Zaawansowane urządzenia magnetyczne”, czwarte wydanie, Monografia, Dunedin, Nowa Zelandia, 2009, ISBN 0-9583727-5-6, około 1800 stron - w tym około 120 ilustracji i 7 tablic, w 18 tomach.

[1/4e] Pajak J.: “Advanced Magnetic Devices”, 4th edition, Monograph, Wellington New Zealand, 2009, ISBN 0-9583727-5-6, around 1800 pages, in this around 120 illustrations and 7 tables, in 18 volumes (jest to angielskojęzyczna wersja monografii [1/4]).

Z-2

[1/5] Pająk J.: „Zaawansowane urządzenia magnetyczne”, piąte wydanie, Monografia, Wellington, Nowa Zelandia, 2007, ISBN 978-1-877458-01-9, około 2000 stron - w tym około 130 ilustracji i 7 tablic, w 18 tomach.

[1/5e] Pająk J.: “Advanced Magnetic Devices”, 5th edition, Monograph, Wellington New Zealand, 2007, ISBN 978-1-877458-81-1, around 2000 pages, in this around 130 illustrations and 7 tables, in 18 volumes (the English language version of monograph [1/5]).

[2] Pająk J.: „Komora Oscylacyjna czyli magnes jaki wzniesie nas do gwiazd”. Monografia, Dunedin, Nowa Zelandia, 1994, ISBN 0-9597946-2-X, 184 strony (w tym 4 tablice i 39 ilustracji).

[2e] Pająk J.: “The Oscillatory Chamber, arkway to the stars”. Monograph, Dunedin, New Zealand, September 1994, ISBN 0-9583380-0-0, (objętość 365 stron tekstu plus 104 ilustracji i 7 tablic).

[3] Pająk J.: „Badania osób z nieświadomianymi przeżyciami (UFO abductees)”. Monografia, Dunedin, Nowa Zelandia, styczeń 1996, ISBN 0-9583380-9-4, 410 stron (w tym 56 rysunków i 5 tablic).

[3/2] Pająk J.: „Badania osób z nieświadomianymi przeżyciami”, 2-gie wyd., Dunedin 1997, ISBN 0-9583380-1-9, 550 s. (5 tab, 56 rys).

[3B] Domała A., Pająk J.: „Kosmiczna układanka”, Traktat, Dunedin, Nowa Zelandia, 1998 rok, ISBN 0-9583727-6-4, około 100 stron; konsultacje w sprawie nabycia: Andrzej Domała, ul. Kolejowa 3 m. 29, 05-120 Legionowo.

[4] Pająk J.: „Kręgi zbożowe i inne lądowiska UFO z Nowej Zelandii”, Monografia, Dunedin, Nowa Zelandia, 2014*, około 200 s. i 50 rys.

[4B] Jan Pająk i Kazimierz Pańszczyk: „Tunele NOL spod Babiej Góry”, Traktat, Dunedin, Nowa Zelandia, 1998 rok, ISBN 0-9583380-7-8, około 100 stron tekstu i 13 rysunków.

[4C] Pająk J., Wróbel A.: „Interpretacje zdjęć UFO w świetle Teorii Magnokraftu”, Traktat, Timaru 2014*, ok. 150 stron i ok. 200 zdjęć UFO.

[5] Pająk J.: „Kataklyzm koło Tapanui 1178 A.D. - nowozelandzki odpowiednik eksplozji tunguskiej”, Dunedin 1989, ISBN 0-9597698-8-9, 74s.

[5e] Pająk J.: “UFO explosion in New Zealand 1178 A.D. which tilted the Earth”, Dunedin, New Zealand, 1992, ISBN 0-9597946-7-0, 78 stron, (włączając w to 31 ilustracji).

[5/2] Pająk J.: „Eksplozja UFO w Nowej Zelandii 1178 A.D. która pochyliła Ziemię”, Dunedin 1993, ISBN 0-9597946-8-9, 148 stron (w tym 37 rysunków). Prezentowała ona szczegółowe opisy wszystkich rodzajów śladów materialnych pozostawianych przez UFO na Ziemi, koncentrując się wszakże na badaniach dwóch miejsc eksplozji tych wehikułów (tj. Tapanui w Nowej Zelandii i Tunguskiej na Syberii). Była ona drugim, uaktualnionym wydaniem polskojęzycznym angielskojęzycznej monografii [5a].

[5/2e] Pająk J.: „UFO explosion in New Zealand 1178 A.D. which tilted the Earth” (t.j. „Nowozelandzka eksplozja UFO Anno Domini 1178, która pochyliła Ziemię”), Dunedin, New Zealand, 1992, ISBN 0-9597946-7-0, 78 stron, (włączając w to 31 ilustracji).

[5/3] Pająk J.: „Eksplozja UFO w Nowej Zelandii 1178 A.D. która obróciła Ziemię”, trzecie wydanie, Dunedin, Nowa Zelandia, 2 lipca 1996, ISBN 0-9583380-8-6, około 300 stron - w tym 38 ilustracji.

[5/3e] Pająk J.: “The New Zealand explosion of 1178 AD which tilted the Earth”, third edition, Dunedin 1992, ISBN 0-9597946-7-0, 150 pages, (in this 32 illustrations).

[5/4] Pająk J.: „Eksplozja UFO w Tapanui z roku 1178 AD, która przemieściła kontynenty”, czwarte wydanie, Dunedin, 2001, ISBN 0-9583380-6-X, około 400 stron plus 40 rysunków.

[6] Pająk J.: „Magnetyczne pozyskiwanie energii otoczenia”; Dunedin, Nowa Zelandia, 1990 rok, ISBN 0-9597946-0-3, 36 stron.

[6e] Pająk J.: “The magnetic extraction of energy from the environment” (Monograph, Dunedin, New Zealand 1990, ISBN 0-9597946-1-1, 20 stron plus 2 tablice i 14 rysunków).

Z-3

[6/2] Pająk J.: „Telekinetyczne pozyskiwanie energii otoczenia”, Monografia, Dunedin, New Zealand, maj 1992, ISBN 0-9597946-3-8, 68 stron (włączając w to 2 tablice i 22 rysunki). Prezentuje teorię efektu telekinetycznego, eksperymenty nad tym zjawiskiem, oraz już zbudowane urządzenia go wykorzystujące (włączając w to skrótowe omówienie Thesta-Distatica). Jest ona drugim (poszerzonym i uaktualizowanym) wydaniem oryginalnie angielskojęzycznej monografii [6e].

[7] Giordano D. i Pająk J.: „Losy jednej piramidy”. Traktat, Dunedin, Nowa Zelandia, 1995, ISBN 0-9583380-3-5, 52 str. (w tym 2 ilustracje). Po polsku.

[7e] Giordano D. i Pająk J.: „Story of one pyramid”. Treatise, Dunedin, New Zealand, 1995, ISBN 0-9597946-5-4, 50 stron (w tym 2 ilustracje). Jest to angielskojęzyczne wydanie traktatu [7].

[7w] Giordano D. i Pająk J.: „Storia di una piramide”. Trattato, Dunedin, Nuova Zelanda, 1996, ISBN 0-9597946-4-6, 53 strony (w tym 2 ilustracje). Jest to włoskojęzyczne wydanie traktatu [7].

[7/2] Giordano D. i Pająk J.: „Piramida myśli”. Traktat, Timaru, New Zealand, 2000, ISBN 0-9583380-4-3, 200 stron - w tym 12 ilustracji (po polsku).

[7/2e] Giordano D. and Pająk J.: “Pyramid of thoughts”. Treatise, Timaru, New Zealand, 2000, ISBN 0-9583727-1-3, pp. 180, 12 Figures (in English). This is the second edition of treatise [7e].

[7B] Pająk J., Szewczyk W.: „Urządzenie do ujawniania niewidzialnych obiektów ukrytych w stanie migotania telekinetycznego” (zamierzony w 2 tomach, wydano jedynie tom 1), Traktat, Dunedin, Nowa Zelandia, 1998 rok, ISBN 0-9583727-8-0, tom 1 około 70 stron (w tym 4 ilustracje).

[8] Pająk J.: „Totalizm”, Monografia, Wellington, Nowa Zelandia, 2001, ISBN 0-9583727-3-X, w 8 tomach, około 1000 stron i 10 ilustracji (po polsku).

[8e] Pająk J.: „Totalizm”, Monograph, Wellington, New Zealand, 2001, ISBN 0-9583727-2-1, w 8 tomach, około 1000 stron i 10 ilustracji (po angielsku).

[8/2] Pająk J.: „Totalizm”, drugie wydanie, Monografia, Wellington, Nowa Zelandia, 2009, ISBN 978-1-877458-00-2, w 8 tomach, około 600 stron i 10 ilustracji. Jest to drugie wydanie monografii [8] (po polsku).

[8e/2] Pająk J.: “Totalizm”, second edition, Monograph, New Zealand, 2009, 978-1-877458-80-4, in 8 volumes, around 600 pages and 10 illustrations - this is the second edition of [8e] (in English).

[9] Pająk J.: „Autobiografia”, Nowa Zelandia, 1998 rok, ISBN 978-1-877458-46-0, około 200 stron. (Jest to niniejsza autobiografia.)

[9B] Pająk Cz. i Pająk J.: „Przysłowia wschodu oraz z innych stron świata - proverbs of the orient and from other corners of the world”, wydawnictwo poznańskie (ul. Fredry 8, 61-701 Poznań, Polska), 2003 rok, ISBN 83-7177-273-4, 551 stron, zawiera ponad 2700 przysłów.

Załącznik Z2:

ILOŚĆ I TREŚĆ INNYCH MOICH PUBLIKACJI

Niezależnie od monografii wyszczególnionych w poprzednim załączniku, w swoim życiu napisałem albo ja sam (albo też zostało napisane na podstawie dokumentacji którą ja dostarczyłem innym autorom) ponad 100 innych opracowań. Najwięcej z nich miało charakter artykułów i referatów naukowych. Aby niepotrzebnie nie wydłużać objętości niniejszej autobiografii, nie będę tutaj wyszczególniał wszystkich z nich. Część z nich wszakże jest powyszczególniana w moich monografiach. Jedynie wspomnę tutaj że jak na koniec 2009 roku te inne opracowania obejmowały:

- (a) 16 zaprezentowanych referatów na konferencje naukowe,
- (b) 16 artykułów w recenzjowanych czasopismach naukowych,
- (c) 16 artykułów w czasopismach naukowo-technicznych,
- (d) 1 rozprawa doktorska (na stopień Doktora Nauk Technicznych),
- (e) 2 podręczniki akademickie,
- (f) 2 książki,
- (g) 6 raportów technicznych z badań sporządzonych na zamówienie przemysłu,
- (h) około 50 artykułów w gazetach opracowanych na bazie moich materiałów,
- (i) ponad 100 odrębnych stron internetowych, każda prezentująca odmienny temat.

Najistotniejsze z owych innych niż moje monografie opracowań obejmowały m.in.:

- „Analityczne badanie rozkładu temperatur we wrzecionach obrabiarek skrawających ze szczególnym uwzględnieniem wrzeciona tokarki” (i.e. „Analytical investigation of the temperature distribution in machine tool spindles with particular regard to lathe spindle”); Rozprawa Doktorska, Politechnika Wrocławska - Technical University of Wrocław, Poland; 6 lipca 1974 roku, 146 stron.
- „Teoria rozwoju napędów” (i.e. „The theory of propulsion development”), Astronautyka (Poland), No 5/1976, strony 16 to 21. (Od niej wszystko dla mnie się zaczęło.)
- „Budowa i działanie statków kosmicznych z napędem magnetycznym” (i.e. „Spaceships with magnetic propulsion design and principles of operation”), Przegląd Techniczny Innowacje (Poland), No. 16/1980, strony 21 do 23.
- „Magnocraft”, OMNI (USA) - tj. mój artykuł który został skrócony, przerobiony i skomentowany w lutowym (February) wydaniu OMNI z 1984 roku, V.1. No. 6, strona 87.
- “Gravitation als Dipolare Felder” (tj. “Koncept Dipolarnej Grawitacji”), Raum & Zeit (West Germany), No. 34, Juni/Juli 1988, strony 57 do 69.
- John Pinkney: “The Bemusing Triangle”, People (Tygodnik ilustrowany, 54 Park Street, Sydney, NSW 2001, Australia), 29 November 1988, strony 18-20.
- „Salamis’in yıkımı Yeni Zelanda’dan mı?” (tj. „Salamis: czy zniszczenie przyszło z Nowej Zelandii”), Kıbris (Dr. Fazıl Küçük Bulvarı, Yeni Sanayi Bölgesi, Veteriner Dairesi Yanı, Lefkoşa, North Cyprus, via Mersin 10, Turkey), nr 1404, 29/06/1993, strona 18 i nr 1405, 30/06/1993, strona 18.
- “Signal processing in the ‘Zhang Heng Seismograph’ for remote sensing of impending earthquakes” (tj. „Przetwarzanie sygnału w ‘Sejsmografie Zhang Henga’ dla zdalnego wykrywania nadchodzących trzęsień ziemi”). Referat na Międzynarodową Konferencję o Technologiach Pomiarowych (The International Conference on Sensing Technology), ICST-2005, Massey University, Palmerston North, New Zealand, 21 do 23 listopada (November) 2005, strona internetowa o adresie <http://icst.massey.ac.nz> . Referat ten był opublikowany na stronach 669 do 673 w „Proceedings” na ową konferencję (ISBN

Z-5

0-473-10504-7). Referat ten jest dostępny poprzez Internet pod adresem: http://www-ist.massey.ac.nz/conferences/icst05/proceedings/ICST2005-Papers/ICST_112.pdf .

Załącznik Z3:

Cytowania opinii czytelników moich opracowań

Oto cytaty kilku pozytywnych opinii zawartych w listach ustosunkowywujących się do moich badań i do moich publikacji - negatywne opinie czytelnik może poznać z internetu, gdzie publikuje się ich całe zatrzesienie (aby NIE łamać „praw prywatności”, pod każdym cytowaniem przytaczam tylko pierwsze litery prawdziwego imienia i nazwiska. Jednak ja znam pełne dane kontaktowe każdej z cytowanych osób):

- „Niewielu spotyka się naukowców takich jak Pan: solidna wiedza w połączeniu z wyobraźnią i fantazją. Nasz Rodzinny Klub Sympatyków d-ra Pająka prosi o jak najczęstsze publikowanie efektów Pana pracy i przemyśleń.” (L.R. Z. Wolsztyn, Polska).

- “Most people here are not even sure where New Zealand is but they know who you are. You are a man of international fame. Keep up the good work; we are watching you. If you don't succeed you are already known around the world and that in itself is an accomplishment that few people ever enjoy.” (F. Z., Johnstown, USA; around 1983).

“We are absolutely enthused with your works. The prospects it opens up are fabulous!” (B. G., Germany; 21 May 85).

- “Your excelent manuscript is now received and I am under the impression that: it would be truly a wonder to see the Magnocraft in our sky.” (F.M. M., Bryte, USA; November 10, 1986).

- „Twoją monografię przestudiowałem na tyle, że mogę teraz wyrazić swoje myśli na jej temat. Piszę, że przestudiowałem na tyle, że.. co od razu sugeruje, że nie przeczytałem jej kompletnie od „deski do deski”. Tak jest istotnie, gdyż to jest rzecz, którą czyta się bardzo ciężko a nawet są takie momenty, o których za chwilę, że muszę przerwać czytanie. Niektóre rozdziały przeczytałem dwa razy, niektóre czytałem i musiałem przerwać, gdyż ta monografia to kompletny nowy światopogląd i wymaga zupełnie innego, nowego spojrzenia na świat. Stąd też kiedy czytam ją to muszę głęboko się wczuć w zagadnienie i mocno wysilać wyobraźnię jakby wnikając w istotę rzeczy i świata. Podczas takiego intensywnego myślenia dostaję przy czytaniu jakiegoś niepokoju i muszę przerwać czytanie i myślenie o tym bo wydaje mi się, że „I'm going to get nut (crazy)”. Nie wiem czy to uczucie pochodzi wyłącznie od czytania tej monografii.” (C. P. Malbork, Poland; 28 stycznia 1987 roku).

- “I read an article about your new ideas about gravitation in the German magazine “Raum & Zeit” today. It was very interesting and convincing. Your ideas fascinate me.” (T. P., Heideweg, Germany; 26.6.'88).

- “With much admiration and interest I have read your article “Gravitation als Dipolare Felder” in Raum und Zeit. Here at last is an encompassing idea that gives light in on a lot of scattered phenomena.” (H. C. M., Haarlem, 19 July 1988).

- “Pana artykuł “Gravitation als dipolare Felder” w czasopiśmie “Raum und Zeit” (Juni-Juli 1988 Nr. 34) wzbudził we mnie podziw i zachwyt. Pana argumenty dały mi odpowiedź na wiele innych problemów i pytań. Pana rozważania są jasne, precyzyjne i genialne! Mam Dyplom z Krakowa - Univ. Jagielloński - teraz uczę fizyki w Liceum w Niemczech! Mój syn, Carlo, 15-lat, przeczytał pana artykuł przedemną i zachwycony polecił mi go również przeczytać.” (L. K., Wipperfürth, Germany; 28.02.89).

- “I have heard of your theory of “gravity of bipolar fields” in the magazine “Raum und Zeit” and think it is the most progressive and comprehensive theory of all. I have already introduced it to many people, Engineers, esoterics and yogis.” (H. R., auingen/Donau, Deutschland; 03.08.89).

Z-7

- "Thank you for your treatise which I received last December. I have now wonded through it and although parts of it took a bit of getting used to, I found it absolutely fascinating." (P. S. L., Kenilworth, England; 20th March 1991).

- „Serdecznie dziękuję za odpowiedź Pana na mój list. Nie spodziewałem się tego co odnajdę w Pana pracy „Magnetyczne pozyskiwanie energii otoczenia”, którą obecnie studiuje i muszę stwierdzić - wciągnąłem się - w ten temat bez reszty. Jest naprawdę przekonująca, lecz także co mnie zafascynowało realna, zwarta, wyjaśniająca mi wszystko pozostawiając jak najmniej wątpliwości.” (R. B., Warszawa, Poland; 30 marca 1991 r).

- „I read your text with interest. You make very points clearly, concisely and very cogently. I am truly sorry (though not entirely surprised) that your careful work has received such a shabby treatment from scholars. While it must be difficult at times, feel you must not let your morale be affected by ill-considered and adverse criticism from others. History will be the judge of your work.” (Assoc. Professor C. P., The University of Adelaide, Adelaide, Australia 27th February 1992).

- „Dziękuję za obszerny list oraz dołączoną do tego listu monografię [6p/2]. Przeczytałem je jeszcze tego samego dnia. Potem odłożyłem na bok, by po tygodniu przeczytać ją jeszcze raz. Nie sposób tu w tym liście opisywać swoje przemyślenia i sugestie, ale temat jest ciekawy wręcz pasjonujący. Ludzie zajmujący się tymi sprawami, przez znawców są podziwiani, przez laików wyśmiewani, przez dyletantów wręcz tępieni. ... Imponuje mi Pan swoją wiedzą i zainteresowaniami ogromnie. Tematyka jest szalenie interesująca i niemal dziewicza. Dobrze jest, że zabrał się Pan do tych rzeczy z zapasem wielkiej wiedzy teoretycznej. Jest Pan człowiekiem wykształconym. Podkreślam to, ponieważ na wiele tysięcy absolwentów szkół wyższych opuszczających mury uczelni co rok, tylko kilku, dosłownie kilku to ludzie wykształceni, pozostała reszta to ludzie nauczani. A wiadomo, że nauczyć to i słonia można tańczyć w cyrku.” (H. W., True, Mundelstrup, DENMARK; 9.08.1992).

- „Chyląc czoło przed Pańskim Geniuszem pragnę niewyobrażalnie mocno podziękować za zaszczyt, jaki mi Pan uczynił przysyłając swoją monografię. ... Panie Profesorze - jestem po pierwszym czytaniu nadesłanej monografii, wrażenie jest przeogromne. Oprócz sporej dawki wiedzy znalazłem w niej odpowiedź (między wierszami) na wiele nurtujących mnie problemów i pytań. Od dawna bowiem interesuję się zjawiskami ogólnie określanymi jako para-normalne w tym telekineza, teleportacja, lewitacja, medytacja, hipnoza, reinkarnacja, filozofia bytu itp. Koncept Dipolarnej Grawitacji na wiele spraw pozwolił mi zyskać bardziej zrozumiały ogląd. Za to właśnie dodatkowo SERDECZNIE PANU DZIĘKUJĘ!” (A. O., Białosłowie; 1994-06-23).

- „Na wstępie mojego listu, chciałbym wyrazić swoje uznanie dla Pańskiej pionierskiej pracy. Jestem głęboko przekonany, że to właśnie Pan zapoczątkował wejście ludzkości w zupełnie nową epokę rozwoju technicznego.” (B. W., Lubin; 1995.05.23).

- „Jestem zafascynowany nowym rodzajem obiektu latającego zwanego magnokraftem, którego konstrukcję i zasadę działania Pan opracował, udokumentował i jednocześnie z rozmachem ją propaguje i upowszechnia. Zagadnienia które zostały rozpracowane zmuszają do myślenia, do konstruktywnego myślenia. ... Mam ogromną satysfakcję, że Polak, nasz Polak wynalazł i opracował magnokraft, i jednocześnie poparł go istniejącymi dowodami w Nowej Zelandii.” (J. N., Warszawa; 26 maj 1995 rok).

- „Otóż po przeczytaniu Pańskiej monografii {6/2} odniosłem silne wrażenie, że zagadnienia w niej opisane są mi jakoś dziwnie znajome, choć nigdy w moim obecnym życiu nie zetknąłem się z nimi. ... Jak już wspominałem, opisy magnokraftu i urządzeń wykorzystujących efekt telekinetyczny wydały mi się dziwnie znajome, jak gdybym już kiedyś miał z tym do czynienia. Tak więc po przeczytaniu monografii {6/2} popadłem w jakąś dziwną niemoc. .. Pożyczyłem monografię mojej nauczycielce fizyki w technikum (V klasa - rok 1993). Zrobiło to na Niej ogromne wrażenie, była zdumiona moimi zainteresowaniami i pełna podziwu dla Pańskiej pracy. Zaproponowała mi przygotowanie referatu, zorganizowała salę i

Z-8

sprowadziła na odczyt dwie klasy - w sumie około sześćdziesiąt osób. ... Niestety, zainteresowanie było mizerne, nauczycielki musiały nawet przywoływać do porządku niektórych uczniów. Po prelekcji tylko jeden słuchacz podszedł do mnie żeby porozmawiać, ale szybko zszedł na temat fantastyki naukowej. Nauczycielka ubolewała trochę nad tą obojętnością uczniów, sama wykazując duże zainteresowanie. ... Pożyczyłem Pańską monografię pewnemu fizykowi ze stopniem naukowym doktora. Po przeczytaniu tej monografii oburzył się bardzo i gorączkowo próbował obalić Pańskie teorie w oparciu o tradycyjną wiedzę. Oczywiście nazwał Pana Szarlatanem. Na tym przykładzie uzmysłowiłem sobie jaką burzę Pan rozpętał w świecie nauki. Ja natomiast mocno wierzę, że Pańskie badania mają sens i czuję, że kiedyś będzie Pan zaliczony w poczet najwybitniejszych naukowców, który wniósł olbrzymi wkład w rozwój cywilizacyjny Ziemi. Wiem, że tak będzie - po prostu wiem." (J. J., Bielsko-Biała; 5.06.1995 r.).

- "To tell you the truth, I have found it {[7]} so interesting that it has occupied all my time since then!!" (J. T., Auckland, New Zealand; 22 June 1995).

- "Your letter dated June 23rd and your most interesting and thought-provoking report on "the pyramid" arrived yesterday, and I have already studied it two times. ... Quite obviously, your research work directed towards these possibilities is of the most meritorious and valuable kind!" (Dr. H. F., Wörthsee, Germany; July 7, 1995).

- "I sat and read it {[7]} in one sitting. It fills the gaps for me as I have played around with pyramids in the past." (K. W. P., Psychologist, Wanganui, New Zealand; 29/7/95).

- „Teraz już wiem dlaczego pan Kazimierz {Bzowski} zawsze powtarza, że powinien być Pan pretendentem do nagrody Nobla! To co Pan osiągnął i nad czym Pan pracuje, tematy które Pan „rozgryza” są dla mnie pasjonujące.” (M. Z., Warszawa; 19.10.1995 roku).

- „After having read your STORY OF ONE PYRAMID I can say I am fascinated! The work you are doing is most interesting and what you say about the "theoretical" background is 100% true.” (A. I. M. S., Oberschleissheim, Germany; 2 November 1995).

- „Tym swoim artykułem tak mnie Pan zauroczył Profesorze, iż postanowiłem, że muszę osiągnąć tą Pańską Pracę. ... Teraz Pan Profesorze - Polski naukowiec otwiera bramę przestworzy Wszechświata i ukazuje kierunek i sposób kontaktu ze światłem - z Bogiem. Chwała Ci Panie Profesorze za Twą bezcenną mądrość i wiedzę. Oby ludzkość naszej planety poszła za tym światłem dla poznania i zjednoczenia się z nimi. Może wówczas miernikiem tej planety będzie miłość, wiedza i dobroć a nie pieniądz i pochodne jego. ... Niech na celowniku myślowym polskich naukowców zawsze będzie troska o dobro jutra naszej planety, gdyż wielcy tego świata, za jakich się uważają Amerykanie i Rosjanie, za wszelką cenę pragną wieść prymat na tej ziemi. Najbardziej skuteczną lecz i najbardziej niebezpieczną bronią jest ludzki mózg. Dobrze jeśli tę nieograniczoną skarbnicę wykorzystuje się w celach pokojowych a nie militarnych.” (T. L., Płock; 3.I.1996 r.).

- „Koncept Dipolarnej Grawitacji {z [3]} czyta się jak najlepszy kryminał z każdą stroną dochodząc do coraz większego przekonania jaki to człowiek na ziemi może być jeszcze ślepy. Przy takiej lekturze trudno ukryć pewne zakłopotanie, kiedy czytelnik zepchnięty w granice nieznanego szamocze się w niewiedzy jak ryba na lądzie, nie znajdując żadnego punktu oparcia wynikającego ze starych, utartych naukowych nawyków. Przedstawiona przez Pana nowa głębia Bytu, pełna fascynujących pomysłów wryła mi się głęboko w pozostałe przy życiu szare komórki, rozbudzając tym większą ciekawość świata. O nigdzie nie spotykanych nowych atrybutach, które przypisał Pan rzeczywistości myślę chętnie i często. Czasami mąci mi się wyobraźnia, kiedy zastanawiam się nad analogią odwrotności, rozbudowaną przez Pana dla drugiego końca „dipola”, z którego wynurza się przeciw-świat.” (A. O., Warszawa; 2.02.1996).

- „Przede wszystkim proszę przyjąć wyrazy uznania za wszechstronną działalność na niwie ufologii, która wielce inspirowa innych, w tym także i mnie pobudza do zdwojonego wysiłku i trzeźwego myślenia na temat Nieznanego, w szczególności zaś UFO, bowiem ów

Z-9

fenomen stanowi niewątpliwy zwornik, wokół którego oscylują inne, równie tajemnicze dla nas zjawiska w rodzaju telepatii, itp." (K. P., Warszawa, Poland; 1996-03-02).

- „Podziwiam Pańską pomysłowość oraz niezwykłą pracowitość, a pozatym szczególnie trafną metodologię. Czytam powoli i z zapalem, w tej chwili akurat o dipolarnej grawitacji. To jest rewelacja!!! Myślę, że stworzył Pan nie tylko magnokraft ale i Święty Kanon UFOlogii. Gratuluję z całego serca.” (A. O., Warszawa; 2.04.1996).

- „W tym miejscu muszę wyrazić Panu wdzięczność z powodu aspektów pedagogicznych zawartych w Pańskiej monografii, które narazie w niezbyt wielkim ale korzystnym stopniu na mnie wpłynęły. Od dłuższego czasu znajduję się w jakiejś formie bierności i poddania się biegowi losów. Pańskie myśli natchnęły mnie iż ów bieg losów można przynajmniej po części wziąć we własne ręce.” (S. J., Darmstadt, Germany; 4.04.96).

- „Bardzo dziękuję za list oraz egzemplarz traktatu, który przeczytałem z wielkim zainteresowaniem. Gratuluję nowych pomysłów i twórczej pracy.” (A. P., Gdańsk, Poland; 1996.04.18).

- „Jakoś tak się dzieje że od ostatnich Świąt Bożego Narodzenia kiedy to wziąłem do ręki Pana prace i zacząłem czytać zaczęło się dziać coś dziwnego. I ciągle doznaję czegoś w rodzaju przebudzenia i trwa to do dziś. Z mojej podświadomości wychodzą różne historie. Kawałki z przyszłości i przeszłości, są także jakieś wspomnienia z pobytu w świecie astralnym. Oglądając Pana wykład znalazłem kawałek. Miałem nieodparte wrażenie że to już kiedyś widziałem. Również Methernitha była mi jakoś dziwnie znajoma. Było to tak jakbym to już oglądał ale od tyłu filmowane inną kamerą.” (96-05-29). „Kiedy ja to sobie przypomnę. A kiedy byś chciał? To niech będzie wtedy kiedy wezmę do ręki te prace tego profesora. I tak też się stało gdy zacząłem czytać opisy Thesta-distatica i inne. Tak zaczęło mi puszczać iż myślałem że odchodzę od rozumu. ... Niektóre z blokad wprowadziłem sobie sam (wezmę te prace tego profesora do ręki i sobie przypomnę). Zobacz jak odchodzisz od rozumu jak sobie przypomniałeś.” (18-07-96) „Zacząłem czytać Pana pracę D {t.j. rozdział D z monografii [3]} i znowu niemogę. Ciągle wracam myślami do swoich wspomnień z innych stanów świadomości.” (22.07.96) „Czytając te Pana prace tak się jakoś dzieje że przy niektórych tematach następuje odblokowanie wspomnień. Czuję to tak jak bym to widział kiedyś. Czy we śnie, transie. Raz jest tak jak bym tam był i kiedyś brał udział. Innym razem jakby mi ktoś pokazywał.” (31 lipca 96) Są to fragmenty z kilku kolejnych listów napisanych w datach przytoczonych w nawiasach przez: G. G., Kaletnik, Poland.

- “Don't lose your drive if - at present - there are not many readers. It may sound like a platitude, but “geniuses are seldom recognized at once”. May I wish you further successes in your work + interesting findings” (A. I. M. S., Oberschleissheim, Germany; May 19, '96).

- „Od czasu naszej pierwszej wymiany korespondencji zaznajomiłem się z większością Pańskich monografii. Podczas czytania opisu komory oscylacyjnej nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że czytam o czymś co jest mi znane, ale nigdy sobie tego nie uświadamiałem. Uznałem zbudowanie komory, lub udowodnienie że jej budowa jest niemożliwa, za sprawę priorytetową dla naszej cywilizacji.” (P. H., Brzeg, Poland; 7 sierpnia 1996 roku).

- „Podsumowując chciałbym dodać, że Pańska monografia {[3/2':E]} jest naprawdę imponująca, bardzo prosta i przemawia do mnie jak „matka do małego dziecka” - prostymi słowami. Wprost niektóre zdania i myśli są tak zbudowane, iż wydaje mi się, jakby je Pan wziął z mojej głowy. Myślę, że nie ma sensu tu coś dodawać, choć czasem, ktoś może być odmiennego zdania. Gratuluję Panu pomysłu tej idei! Ponadto chcę rzec, że jest Pan wielkim człowiekiem, prawego serca! Bardzo, bardzo serdecznie Pana pozdrawiam!” (Z. O., Sosnowiec; 18 maja, 1997 r.).

- „Prosił mnie Pan także o uwagi na temat Pańskich badań. Postaram się więc teraz zaprezentować kilka z nich. Po pierwsze: podziwiam Pana za niespotykaną wytrwałość w kierunku dowodzenia swoich racji oraz za bezinteresowność w udostępnianiu wyników swoich badań każdej zainteresowanej osobie. Po drugie: niezmiernie cenię sobie przystępność i

Z-10

niepodważalność Pańskich publikacji. Po trzecie zakres prowadzonych badań jest imponujący. Rzecz kolejna to naukowe dowody zawarte w Pańskich pracach. Jak powszechnie wiadomo największe wrażenie sprawiają zawsze fakty. Osobiście doznałem lekkiego szoku połączonego z dreszczykiem emocji przy czytaniu monografii na temat eksplozji UFO w Tapanui oraz nad Tajgą." (S. Ż., Garnek, Poland; 3 czerwca 1997 roku).

- „Po dokładnym przeanalizowaniu a co za tym idzie i przeczytaniu monografii {[3/2]} jednocześnie oddając monografię następnej osobie stwierdzam, że jest ona sekwencją nadrzędnej wiedzy na tej planecie uwidacznia się to między innymi w ukazaniu Praw moralnych, w aspekcie praw fizycznych jak również poprzez udowodnienie konceptu dipolarnej grawitacji ukazujący nam świat jako jedną nadrzędną istotę składającą się z trzech różnych komponentów." (P. S., Szamotuły; 16 wrzesień 1997r.).

- „Niniejszym listem pragnę zawiadomić Pana iż, otrzymałem przesłaną na mój adres przesyłkę z drugą częścią Pańskiej monografii [3/2M], jak również i tom najnowszej monografii pt. „Zaawansowane napędy magnetyczne”, co sprawiło mi ogromną niespodziankę. Chciałbym na wstępie swego listu przeprosić Pana i usprawiedliwić zarazem za zwłokę w potwierdzeniu otrzymania w/w monografii. Na swoje usprawiedliwienie dodam to że miałem poważne problemy w pracy zawodowej i w życiu osobistym. Nie zaniedbywałem, przez ten czas, propagowania Pańskiej idei magnokraftu i popularyzowania monografii [3/2M] z którą dzięki Panu, a za moim pośrednictwem zapoznało się już cztery osoby (nie licząc mnie). Moje dosyć skromne badania (ograniczone do najbliższej rodziny i kręgu znajomych) pozwoliły mi na odkrycie u dwu osób, na siedem badanych, bliźn w ściśle określonym przez Pana miejscu. ...

- W czasie wakacyjnego urlopu szeroko dyskutowaliśmy z bratem i inż. J. na tematy zawarte w monografii [3/2M]. W. J. był zdumiony i zafascynowany Pańskimi odkryciami i teoriami, nazwał je „Fizyką XXI wieku”. Podczas dyskusji doszliśmy do wniosku, biorąc pod uwagę ogrom temtów jakie Pan w swoich monografiach porusza i drąży, że być może otrzymuje Pan Panie Profesorze przekaz ze Wszechrozumu który rządzi całym Wszechświatem. Nie umniejsza to rzecz jasna w żadnym razie pańskim odkryciom i wysiłkom. Jest to aż niewiarygodne żeby tak szczegółowo i dokładnie rozpracować tyle tematów, by „trzymały się one kupy” i były spójne ze sobą. Musi Pan przecież oprócz swoich badań (czesto skrywanych, co je komplikuje) wykonywać pracę zawodową oraz dbać o normane codzienne życie, co też wymaga sporego wysiłku intelektualnego i fizycznego. Dla mnie osobiście dziwnym i nie zrozumiałym jest fakt, że człowiek o tak szerokich horyzontach myślowych jest „dołowany” przez kolegów profesorów i instytucje które oni reprezentują. Przecież są one powołane by szerzyć wiedzę i dociekać prawdy, badać różne niezrozumiałe zjawiska i teorie które na ich kanwie powstają. Może jednym z powodów jest obawa przed wywróceniem istniejącego porządku rzeczy i nieuchronnymi zmianami które i tak przecież nadejdą. Relacje świadków i osób uprowadzonych na pokłady UFO potwierdzają w całej rozciągłości pańskie koncepty. Dziwi mnie i moich znajomych również brak należytego Pańskim odkryciom, zainteresowania ze strony laboratoriów i placówek naukowo-badawczych które to, odkrycia ze względu na swoją doniosłość powinny w/w placówki popierać i promować. Prawdopodobnie nad niektórymi (lub wieloma) aspektami które interesują Pana, trwają tajne i zaaawansowane badania, dlaczego jednak bez Pańskiego udziału? Może ma Pan do spełnienia rolę piewcy i popularyzatora tego co wydaje się nam aż nieprawdopodobne i zakrawa na niewiarę, a co w niedługim czasie stanie się uznanymi faktami. Sądzę że, uznanie oficjalnie (choć w klauzuli tajności) Pańskich odkryć mogłoby wyciszyć Pańską działalność „społeczną” to znaczy propagowanie z własnych zasobów materialnych, swoich osiągnięć na tym polu, a być może że właśnie w ten sposób realizuje się idea szerokiej i w miarę dostępnej popularyzacji tego co nieuchronnie nadchodzi i co będzie naszym udziałem w niedalekiej przyszłości. Nasuwa się tu jeszcze jedno pytanie, czy nie obawia się Pan czysto fizycznego zagrożenia swojej osoby, gdyż na pewno wielu ludziom, to co publikuje i robi Pan, jest nie na rękę i jest dla nich

Z-11

zagrożeniem ich autorytetu, sytuacji materialnej i sensu tego czym się zajmują? Jednak doniosłe idee i dokrycia z wielkim trudem torują sobie drogę do ich zastosowania i uznania. Historia ma na to wiele przykładów, często dramatycznych nawet. Tym bardziej zasługuje Pan na podziw i uznanie za ogromny wysiłek który wkłada Pan w swoje badania. Panie Profesorze, „tak trzymać” dalej, to wszystko ma sens i choć napotka Pan jeszcze wiele trudności (czego Panu nie życzymy) Pańskie prace przebiją się napewno na oficjalne pola nauki i będzie Pan uważany za wybitnego odkrywcę i prekursora w interesujących i badanych przez Pana dziedzinach, którym to jest już Pan dla nas dzisiaj. Serdeczne pozdrowienia z Krasnegostawu. S. W. i grupa sympatyków Pańskich idei.” (S. W., Krasnystaw; 20.IX.97r.).

- „Nadesłaną wcześniej przez Pana monografię [3/2m] na adres mojego brata (S. W., Krasnystaw) przeczytałem z dużym zainteresowaniem. Ogrom wiedzy zgromadzony w tej monografii może przyprawić o zawrót głowy. W trakcie „pochłaniania” kolejnych kartek Pańskiej monografii stało się jasne, że wiele dziwnych zjawisk (radiestezja, jasnowidzenie, duchy, samospalania, lewitacja, etc.) ma wspólny mianownik, którego dostarcza Pański Koncept Dipolarnej Grawitacji. Wcześniej nawet nie miałem podstaw dla racjonalnego wyjaśnienia tych „dziwnych” zjawisk. Koncept ten spełnia warunek dobrej teorii - w sposób możliwie prosty tłumaczy wiele zjawisk. Koncept Dipolarnej Grawitacji jest nawet prawdopodobnie Teorią Wielkiej Unifikacji, która łączy praktycznie wszystko.” (D. W., Krasnystaw; 25.IX.1997).

- „Bardzo interesująco przedstawił Pan filozofię zwaną totalizmem w [3/2] rozdział E, otrzymany ostatnio od Pana, a szczególnie Mechanika totalistyczna i jej metody obliczeniowe. Wkrótce wyślę do Pana jakąś książkę w zamian za monografię [8], która zawiera większą ilość przykładów rozwiązywanych z zastosowaniem Mechaniki totalistycznej. ... Na tym kończę. Dołączam słowa uznania dla Pańskiej nieocenionej pracy i wkładu w rozwój świadomości Ziemi. Proszę odpisać w chwili wolnej.” (W. Z. K., Libusza, Ks.; 10.10.97).

- „Co się zaś tyczy pomocy jaką Pan mi zaoferował przy wydaniu traktatu przyznam szczerze, iż jestem zaskoczony, ośmielę się nawet użyć słowa zaszokowany. Bo właściwie jak można wytłumaczyć fakt kiedy to sława w dziedzinie ufologii oferuje pomoc osobie zupełnie nie znanej i właściwie z żadnym doświadczeniem ufologicznym. Różnica poziomu wiedzy jaka nas dzieli jest tak ogromna, że wydaje się bazzasadne jakiegokolwiek porównywanie, co w jeszcze większym stopniu mnie dziwi, tymbardziej w dzisiejszych czasach kiedy to oczekiwanie na jakąkolwiek pomoc jest rzadsze od „czarnych pereł”. (K. P., Nowy Targ; 3.11.1997).

- „Drogi Profesorze, jestem w trakcie czytania Pańskiej książki, mam duchową ucztę - dziękuję.” (Kartka od: J. W., Warszawa; 18.11.1997 r).

- „Obecnie czekam na propozycję zamastrowania jako Second Mate na statek. Pańską monografię [3/2'] biorę w rejs (kontrakt) jako, że odczytam na przerwie pływania na „obcych banderach”. Będę w kontakcie z Panem. Jestem zafascynowany Pańską Koncepcją Dipolarnej Grawitacji i myślę, że jest Pan PIONIEREM w tej materii. Uważam, że jeśli wszystkie założenia pokryją się w rzeczywistości z praktyką to nagroda NOBLA jest mało istotnym wydarzeniem w rozmiarze Pańskiej Koncepcji, której skutki są obecnie trudne do oszacowania. Życząc jak najszybszego zrealizowania Pana wysiłków, przyłączam się oczywiście do grona Klubu Badań wraz z moimi kolegami, którzy czekają na swoją kolejną korzystania z monografii. Z poważaniem,” (W. W., Świnoujście; 13.10.1997).

- „Nie ukrywam, że bardzo interesowałyby mnie te części monografii [1/2], które dotyczą Adama, Ewy, oraz wszelkich aspektów filozoficznych i historycznych. Serdecznie życzę Panu w Nowym Roku dalszych sukcesów w pracy która doprowadziła do rozszyfrowywania problematyki UFO, co niestety często naraża na różnorodne trudności czego również i ja trochę doświadczyłem.” (R. W., Wrocław; 31.01.98).

- Jak Pan zauważył, pierwszego e-maila jaki chciałem wysłać, nie otrzymał Pan, gdyż dostałem zwrotne info, że nie dotarł, dlatego wysłałem na wp.pl. Proszę trwać przy swoich ideałach, czas pokaże, że ma Pan rację. Czytając Pana wiekopomne idee, intuicja

Z-12

podpowiada, że wzniesie Pan w przyszłości ludzkość na wyższy stopień rozwoju. To zupełnie nowa i przyszłościowa generacja możliwości w każdej dziedzinie. Jak dobrze składa się, że jest Pan Polakiem i mogę w tym języku swobodnie z Panem rozmawiać, czując duch przekazywanych myśli. To takie dostrojenie się w te sprawy. (Z. C., Wed, 10 Nov 2004 09:34:22.)

- I'm an italian pilot, I'm one of the few that trust in innovations and in antigravitational theories, since it is a new way of flying. Nowadays we fly as they do in the 20th centuries, a sure but very old way... Since we use the power of the air instead of the power of magnetics strictly connected to the electricity. It is an important step for the humanity also if a lot of people doesn't trust in it. For me it's easier since I've followed the various experiments that I've seen it on the net too. I know that we're yet far to fly this kind of crafts but this email is to support you and all the scientists connected to this kind of studies and experiments to go ahead and demonstrate that this new way of flying is well possible and will take us to another kind of life. Same as it happened in last centuries, innovations are too much hard to be accepted, but in my poor opinion, I think we will be able to surf the space other than using old common engines powered by old common combustibles that are not useful to be used for space translation. (A. by P., Sun, 8 May 2005 23:26:01.)

- Podejrzewam, że czasami może być Pan nieco załamany walcząc z wieloma wiatrakami. Należy się Panu jakieś wsparcie moralne, dlatego cytuję Panu co napisałem na jednej z grup. Niech Bóg Pana prowadzi. (H. K., , Wed, 2 Nov 2005 20:21:57.) Uważam, że nie można sobie pozwolić na nieczytanie Pająka. Jeżeli ma się umysł otwarty. Jeszcze wczoraj napisałem na jego temat, cytuję pod linią. Pająk szuka nieustannie i oczywiście szukając znajduje. Co mnie szokuje, jego niesamowita intuicja. Facet wie gdzie szukać, jak to ze sobą powiązać. Coś jeszcze o Pająku. On najwyraźniej niczego i nikogo się nie boi. Ani rządów, ani UFOli. Facet ma niesamowitą odwagę oraz determinację, aby ukazać nam prawdę o świecie. Nie dba o opinie, nie przeraża go nic nie wiedząca ciemna masa ludzi, nie mających zielonego pojęcia o niczym. Facet wie co robi, jest pracowity, zdeterminowany i szalenie odważny. Jest on dla mnie wzorem człowieka mądrego i zarazem uczciwego. Oczywiście mam dla niego znacznie więcej szacunku niż dla JP II. Pająk jest geniuszem, który wie najwięcej ze wszystkich specjalistów od UFO. Facet ma przeogromną wiedzę, doskonały zmysł obserwatorski i potrafi umiejętnie kojarzyć fakty. Aby Pająka zrozumieć, należy mieć olbrzymią wiedzę, której w języku polskim jest BARDZO NIEWIELE. Dlatego Polacy często nabijają się z Pająka uważając, że na pewnym etapie mu odbiło. Nic podobnego! Na pewnym etapie Pająk zdał sobie doskonale sprawę, że nie tylko wie jak ONI to robią ale jest w stanie nawet przewidzieć niektóre ich kroki. Dlatego Pająk w sumie nie powinien za wiele pisać po polsku ponieważ trafia jak kula w płot. Uważam, traci czas. Powinien pisywać wyłącznie po angielsku. Polacy przez nikogo nie są właściwie traktowani. Amerykanie i cały zachód mają nas za idiotów. UFO raczej Polski unika, a niewielu tłumaczy artykuły na te tematy na język polski, bo i po co? Dlatego większość z was to gamonie, którzy jedynie potrafią wydukać: A ja się nie zgodzom. No bo kurna skąd mam wiedzieć, co!? Języków łobcych poza ruskim (tyż cieniuśko) także ni wim.

- I don't quite know how to express my gratitude! Yeah I'm not too surprised that you don't receive emails from my country. That is the problem I have most with my countrymen, it is that it is not at all popular in my country to seek knowledge beyond what we are told we should believe or know. Matter of fact, by being inquisitive beyond the status quo you're looking for a relentless uphill battle in life (this is the world over I know, not just in my country). So it is extremely difficult for me to find the like minds in order to discuss and explore the ideologies and theories that I've had since adolescence. And without the technical know how (experience in physics and engineering) it has been increasingly difficult to discern whether or not I have a revolutionary, and innovative mind or am I just plain crazy, if you know what I mean. But, increasingly in my research I am coming across more

Z-13

and more people with ideologies and values like myself but these are normally from people of a generation long gone before my parents where even on the face of this Earth (such as Galileo, Nikola Tesla and others). Then I run across you, and you have completed an astonishing amount of literature and inventions that are right up my alley of thought (well honestly you are well beyond me because of education and life experience). And I agree with your ideologies and philosophies most of all of whom I have studied and I cannot lie I was floored to find that this is a man from my own time. It was just unbelievable to me to be blessed that I might have a dialogue with this wonderfully smart and brave man, you do not know what your acceptance of my request means to me but I'm sure you will soon get the picture that I am honest and true about helping you to see the work you put in to be actually witnessed by you in your lifetime. ... Take care and I'll be in touch. With a Totaliztic Salute, (M. T. B., Sat, May 30, 2009 at 11:49 AM.)

- Szanowny Panie profesorze! Jestem osoba głęboko zainteresowana parapsychologia, ufo i wszystkim co powiązane z tematyką. Według mnie jest Pan jednym z nielicznych na Ziemi ludzi, którzy wyprzedzają obecny stan wiedzy i światopogląd. Jest to wg. mnie wyprzedzenie o 200-300 lat. Przypomina Pan średniowiecznego Giordano Bruno, który spłonął na stosie za to że miał odwagę twierdzić iż istnieją inne cywilizacje. Myślę jednak że Pana wysiłki nie idą w próżnię, zostaną dostrzeżone. Po prostu ludzkość jeszcze nie dorosła do zaakceptowania, zrozumienia. Ale przyjdzie taki moment że zostanie Pan „odkryty na nowo”. To taka moja refleksja, niejako przy okazji. (M. B., Bydgoszcz, Mon, Jun 8, 2009 at 9:43 AM.)

Załącznik Z4:

BILET NA KSIĘŻYC

W swoim życiu stworzyłem wiele konstruktywnych idei, które potem wdrażałem w swoim rzeczywistym życiu. Zwykle nie spełniały się one dla mnie, jednak wiem iż nie świadczy to wcale o samych pomysłach, a raczej o czasach w jakich ujrzały one światło dzienne, a także o mentalności ludzi z którymi miałem do czynienia.

Jednym z bardziej interesujących idei był mój „**Bilet do Księżyca**”. Jego celem było zainteresowanie jak największej ilości osób w popieraniu idei **magnokraftu**. Mój „Bilet na Księżyc” wydany był bowiem i przyznawany za szczególne zasługi dla rozwoju magnokraftu. Nadal też **podtrzymuję swoje uprzednie zobowiązanie przyszłych budowniczych magnokraftu, że jeśli w przyszłości zgłosi się do nich osoba na którą wystawiony był taki bilet, lub potomek takiej osoby, aby uhonorowali wyrażone w owym bilecie zobowiązania.**

Moje bilety były numerowane. Do chwili obecnej wydałem ich w sumie 20 dla następujących osób (wszystkie podane tu ich nazwiska są prawdziwe):

1. Ryszard Zudzin.
2. Stanisław Przeworek.
3. Andrzej Ośliżło.
4. Mark Ainsworth.
5. Steve Howe.
6. Bin Tick Low & Regina Low née Lee Kim Mooi.
7. Andrzej Olszewski i Małgorzata Olszewska.
8. Diana Olszewska.
9. Sue (moja żona).
10. Anthony Lee.
11. David P. Williams & Gloria Williams.
12. Spencer Mike Robinson & Chikako Robinson.
13. (bilet numer 13 NIE był przyznany)
14. Joao Varela Gomes.
15. R. Beierle.
16. Stanisław Mokrzan.
17. Axel I.M. Skyba.
18. Marek Rymuszko
19. Daniela Giordano.
20. Georg Duve.

Warto tutaj ujawnić, że jeden z owych "Biletów do Księżyca", mianowicie numer 7 wystawiony dla Andrzeja Olszewskiego i Małgorzaty Olszewskiej, opublikowany został przez otrzymującą go rodzinę jako ostatnia ilustracja z ich książki o następujących danych bibliograficznych: Andrzej Olszewski "**Boski Gwałt – Tejemnice Starych Cywilizacji**", Warszawa 1996, ISBN 83-900944-1-X, Copyright © by Andrzej Olszewski.

Oto dwa przykłady treści takiego biletu najpierw przytoczone w języku polskim potem w angielskim (użyte w nich nazwiska i dane są prawdziwe):

Z-15

Kuala Lumpur, Malaysia, 11 stycznia 1995 roku.

Bilet do Księżyca

Nr 7

Za pośrednictwem niniejszego biletu jego wystawca daje wyraz swego najwyższego uznania dla Państwa

Andrzeja Olszewskiego
Małgorzaty Olszewskiej

zamieszkałych: ul. Mozarta 3/419, 02-736 Warszawa, za ich konstruktywny wkład w promocję i popularyzację magnokraftu.

Jako wyraz tego uznania wystawca przyznaje osobom figurującym na tym bilecie prawo do udziału w honorowym przelocie z Ziemi do Księżyca i z powrotem pierwszym magnokraftem zbudowanym na naszej planecie. Przelot ten będzie nieodpłatny, zaś osoby którym go przyznano poddane zostaną na czas lotu wszystkim przywilejom i protokołowi przyjętym dla VIP.

Przywileje wynikające z tytułu niniejszego biletu nie posiadają limitu czasowego ale nie mogą one być cedowane na rzecz innych osób. Przyszły budowniczy magnokraftu może jednak nałożyć na ich realizowanie następujące warunki:

1. Wyznaczyć własny termin realizacji przelotu.

2. Uzależnić ewentualny osobisty udział zapraszanych w locie od wyników badań medycznych stwierdzających że osoby na które bilet ten został wystawiony w dniu lotu wykazują kondycję fizyczną i psychiczną wymaganą do zniesienia warunków i wymogów takiej podróży.

3. W przypadku decyzji osób korzystających z biletu o osobistym udziale w przelocie zobowiązać je do podpisania deklaracji bezwarunkowego podjęcia niebezpieczeństw i ryzyka jakie mogą wynikać z tytułu lotu w prototypowym wehikule.

W przypadku gdyby zaistniały okoliczności wynikające z w/w warunków jakie uniemożliwiłyby osobisty udział zapraszanych w przyznanej tu podróży, wtedy na ich wniosek lub na wniosek ich rodziny, w jednorazową podróż na Księżyc zabrany może zostać oryginał niniejszego biletu jako wyraz symbolicznego uhonorowania zapraszanych nim osób.

Wystawca tego biletu niniejszym korzysta ze swoich praw wynalazcy magnokraftu aby moralnie zobowiązać dowolną instytucję i państwo które w przyszłości jako pierwsze zbudują na naszej planecie wehikuł działający na zasadzie magnokraftu (bez względu na użytkową nazwę jaka wehikułowi temu w przyszłości może zostać nadana) do respektowania wszystkich zobowiązań wynikających z treści tego dokumentu.

Wystawca niniejszego biletu:

(Prof. dr inż. Jan Pająk - wynalazca magnokraftu.)

Z-16

Kuala Lumpur, Malaysia, 22 January 1996.

Ticket to the Moon

No. 19

By virtue of this ticket the inventor of the Magnocraft wishes to show his highest gratitude to Mrs:

Daniela Giordano

of "I Cavalieri di Pegaso", Ricerche D'Avanguardia, Via Antonio Veneziano, 120, I-90138 Palermo, Italy, for her constructive contribution to the development of telepathic communication devices.

As an expression of gratitude, the inventor would like to grant her a return ticket for a honorary flight from Earth to the Moon in the first Magnocraft ever built on our planet. This flight will be free of charge and the ticket bearer will be accorded VIP privileges and protocols for its duration.

Privileges incorporated in this ticket have no time limit but are not transferable to another person. The future builder of the Magnocraft may, however, subject their direct realization to the following conditions:

1. Set the deadline for implementation.
2. Impose the requirement that the participant of the trip should pass medical examinations which certify that he is physically and mentally fit to undertake the requirements and difficulties of such a trip.
3. Request a written declaration of unconditional acceptance of dangers and risks that can result from the flight in a prototype vehicle.

Should circumstances occur which would make it impossible for the bearer to participate in person on this trip, then at her own request or at the request of her family, the original copy of this ticket can be taken on board of the Magnocraft to symbolically honour the bearer.

The issuer of this ticket herewith executes his rights as the inventor of the Magnocraft in order to morally compel any institution and country which will build the first vehicle on our planet the operation of which will utilize the principles of the Magnocraft (independently of what technical name this vehicle may be given) to respect and implement all the obligations resulting from this document.

Issued by:

(Dr Jan Pająk (Engineer) - the inventor of the Magnocraft.)